



Charlotte
LINK

Ciernista róża

*Przed przeszłością nie da się uciec, a wina
zawsze pozostanie winą...*

CHARLOTTE LINK

CIERNISTA RÓŻA

(Die Rosenzüchterin)

Tłumaczenie Ewa Sprydowicz



Wydanie polskie: 2014

Wydanie oryginalne: 2000

Tytuł oryginału:

Die Rosenzüchterin

Copyright © 2000 by Blanvalet Verlag, München a division of
Verlagsgruppe Random House GmbH, München, Germany

Copyright © 2014 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2014 for the Polish translation by Wydawnictwo
Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk

Korekta: Aneta Iwan, Agata Szczyrba

ISBN: 978-83-7999-091-7

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadraga.pl

www.soniadraga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

Plik ePub przygotowała firma eLib.pl

al. Szucha 8, 00-582 Warszawa

e-mail: kontakt@elib.pl

www.eLib.pl

Prolog

Czasami już nie mogła patrzeć na róże. Zdawało jej się wtedy, że dłużej nie wytrzyma ich piękna, widoku aksamitnych, kolorowych kwiatów, dumy, z jaką wyciągały główki do słońca, jakby ciepłe promienie były tylko dla nich i dla nikogo więcej. Bywają bardziej wrażliwe niż mimozy: a to im za mokro, a to za zimno, a to za wietrznie, a to za gorąco. Często z niewiadomych powodów zwieszają główki i sprawiają wrażenie, jakby miały zaraz umrzeć; trzeba nie lada wysiłku, energii i zdrowia, żeby do tego nie dopuścić. A zarazem przejawiają równie niezrozumiałą wytrzymałość, stawiają czoła srogiej pogodzie i niewłaściwemu traktowaniu, kwitną, pachną, rosną. Nie ułatwiają życia nikomu, kto ma z nimi do czynienia.

Pomyślała, że nie powinna tak agresywnie reagować na róże. To głupie i nieodpowiednie.

Uprawie róż poświęciła czterdzieści lat życia, ale tak naprawdę nigdy nie miała do nich dobrej ręki. Prawdopodobnie dlatego, że nie lubiła róż i właściwie zawsze chciała robić coś innego. Udało jej się wyhodować kilka dość interesujących krzyżówek, zwłaszcza róż herbacianych, bo jeśli już, to właśnie ten typ przypadł jej do gustu. Łączyły w sobie elegancję i specyficzną twardość – i dobrze się sprzedawały. Jakimś sposobem zawsze udawało jej się zapewnić byt swojej małej rodzinie, ale często myślała, że gdyby nagle zjawiła się dobra wróżka ze skrzynią złota, już nigdy więcej nie dotknęłaby żadnej róży.

Czasami, kiedy Beatrice Shaye uświadamiała sobie, że w gruncie rzeczy róż ani nie lubiła, ani nie umiała się z nimi obchodzić jak prawdziwy

ekspert, zadawała sobie pytanie, co w takim razie było rzeczywiście bliskie jej sercu. Od czasu do czasu musiała się upewnić, że coś takiego jeszcze istniało, bo świadomość, że poświęciła życie czynności i roślinom, do których czuła tak mało sympatii, czasami budziła w niej smutek i kazała szukać sensu życia gdzie indziej. A przecież zawsze wyrażała się ironicznie o poszukiwaczach sensu. Sens życia tłumaczyła zawsze słowem: przeżycie, i to przeżycie w prostym, mało dramatycznym znaczeniu. Przeżyć, czyli robić to, co trzeba: wstać, wykonać pracę, którą trzeba wykonać, jeść, pić, iść do łóżka, spać. Wszystko inne to tylko ozdoby. Sherry mieniące się w kieliszkach jak jasne złoto. Muzyka wypełniająca pomieszczenie, która sprawia, że serce bije szybciej, a krew płynie żwawiej. Książka, od której nie sposób się oderwać. Zachód słońca nad morzem, koło wieży Pleinmont, który dotyka samej duszy. Psi nos, mokry, zimny, gwałtowny, na twarzy. Ciepły, spokojny letni dzień, którego spokój zakłóca jedynie krzyk mew i cichy szum fal w zatoczce Moulin Huet. Rozgrzana skała pod gołymi stopami. Zapach lawendowych pól.

Właściwie te wszystkie rzeczy stanowiły odpowiedź na jej pytanie: kochała Guernsey, swoją małą ojczyznę, wysepkę na kanale La Manche. Kochała St. Peter Port, malownicze miasteczko portowe na wschodnim wybrzeżu. Kochała narcyzy, które kwitły wiosną na skraju dróg, kochała dzikie niebieskie hiacynty, na które można się natknąć w rzadkich, pełnych światła lasach. Kochała ścieżkę na urwisku wysoko nad morzem, zwłaszcza odcinek między Pleinmont Point i zatoczką Petit Bôt. Kochała swoją wioskę Le Variouf i swój kamienny domek położony wysoko, na skraju wioski. Ba, kochała nawet rany wyspy, brzydkie wieże strażnicze starej twierdzy wybudowanej przez niemieckich najeźdźców, ponury, wybity w szarym granicie German Underground Hospital, który budowali przymusowi robotnicy, i dworce, które Niemcy kazali rozbudować, żeby móc transportować materiały do budowy zachodniej ściany. A poza tym kochała w tym krajobrazie, na tej wyspie rzeczy, których nie widział, nie słyszał nikt poza nią: wspomnienia obrazów i głosów, chwil, które na zawsze wryły się w jej pamięć. Być może człowiekowi bliskie jest to, co zna przez całe życie. Czy dobre, czy złe, to co znajome zakrada się do zakątków serca, w których rodzi się uczucie. W pewnym momencie człowiek nie pyta

już, czego właściwie chciał, tylko patrzy na to, co otrzymał. I godzi się z tym.

Oczywiście czasami się zastanawiała, jak wyglądałoby jej życie w Cambridge. W takie wieczory jak ten, stare miasteczko uniwersyteckie we wschodniej Anglii szczególnie często przychodziło jej na myśl. Miała wrażenie, że już tysiące razy – jak dzisiaj – siedziała w porcie, sącząc sherry, i to był obraz jej życia, życia, które prowadziła zamiast tego w Cambridge. I zamiast alternatywnego życia we Francji. Wtedy, po wojnie, mogła wyjechać do Francji z Julienem...

Ale po co się nad tym długo zastanawiać, przywołała się do porządku. Sprawy potoczyły się tak, jak być może potoczyć się musiały. W każdym życiu, była o tym przekonana, roi się od straconych szans, przegapionych okazji. Kto mógłby powiedzieć o sobie, że zawsze konsekwentnie zmierzał do celu i nie szedł na kompromis?

Pogodziła się z błędami i pomyłkami swojego życia. Uporządkowała je, umieściła między wszystkimi innymi zdarzeniami, które ją spotkały, aż zagubiły się w tej masie, stały się blade i niezauważalne. Z czasem nauczyła się ich w ogóle nie zauważać, a momentami całkowicie o nich zapomnieć.

W jej rozumieniu oznaczało to, że się z nimi pogodziła.

Tylko nie z różami.

I nie z Helene.

Właściciel restauracji Le Nautique w St. Peter Port podszedł do stolika, przy którym siedziały dwie starsze panie.

– Dwa sherry, jak zwykle? – zapytał.

Beatrice i jej przyjaciółka Mae spojrzały na siebie.

– Dwa sherry, jak zwykle – odparła Beatrice. – I dwie sałatki. Awokado z pomarańczami.

– Oczywiście. – Zawahał się. Lubił pogadać, a o tak wczesnej godzinie (nie było jeszcze szóstej po południu) poza paniami w restauracji nie było nikogo. – Znowu doszło do kradzieży jachtu – oznajmił ściszym głosem.

– To był wielki, biały jacht. Nazywał się „Heaven can wait”, „Niebo może poczekać”. – Pokręcił głową. – Dziwna nazwa, prawda? No ale niedługo

będzie się tak nazywał, podobnie jak niedługo będzie miał ten piękny biały kolor. Pewne już go przemalowali i sprzedali jakiemuś Francuzowi na stałym ładzie.

– Kradzieże jachtów są równie stare, jak ta wyspa – odparła Beatrice. – Zawsze były i zawsze będą. Kogo to właściwie obchodzi?

– Ludzie nie powinni zostawiać swoich łodzi bez nadzoru na całe tygodnie – stwierdził właściciel restauracji. Wziął popielniczkę z sąsiedniego stolika, postawił przed starszymi paniami, tuż obok wazonu z różami, które w tym tygodniu zdobiły salę jadalną. Wskazał mały biały kartonik z napisem „Rezerwacja”. – O dziewiątej ten stolik będzie mi potrzebny.

– Do tego czasu już dawno nas tu nie będzie.

Restauracja Le Nautique znajdowała się bezpośrednio przy porcie w St. Peter Port, stolicy wyspy Guernsey. Przez dwa wielkie okna widać było wspaniały widok na niezliczone jachty, które cumowały w porcie; właściwie mogło się wydawać, że siedzi się między statkami, że stanowi się część portowego życia i zgiełku.

Z restauracji można było obserwować ludzi uwijających się na drewnianych pomostach, patrzeć, jak bawią się dzieci i psy, wpatrywać się w przepływające w oddali wielkie statki, które przywoziły turystów ze stałego lądu. Czasami ten widok przypominał obraz, barwny i nierzeczywisty. Zbyt piękny, zbyt doskonały, jak fotografia w katalogu biura podróży.

Był poniedziałek trzydziestego sierpnia, wieczór pełen ciepła i słońca, a jednak jużznaczony zbliżającą się jesienią. W powietrzu nie czuło się już letniej miękkości, przypominało kryształ, było chłodniejsze i bardziej ożywcze. Wiatr pachniał morzem. Mewy uwijały się między niebem a morzem, krzycząc przeraźliwie, jakby wiedziały, że nadchodzą jesienne sztormy i zimno, że wkrótce nad wyspą zalegną gęste mgły i latanie będzie utrudnione. Może lato potrwa jeszcze dziesięć dni, może dwa tygodnie, potem jednak odejdzie na zawsze.

Kobiety niewiele rozmawiały. Zgodziły się, że sałatka jest jak zwykle

pyszna i że nic nie może się równać ze szklaneczką sherry, zwłaszcza gdy, jak tutaj, podaje się je hojną ręką w wysokich kieliszkach do szampana. Poza tym właściwie się do siebie nie odzywały, obie pogrążone we własnych myślach.

Mae przyglądała się badawczo Beatrice, na co mogła sobie pozwolić, bo towarzyszka najwyraźniej niczego nie zauważyła. Jej zdaniem Beatrice ubierała się absolutnie nieodpowiednio jak na siedemdziesięciolatkę. Na ten temat rozmawiały już nieskończoną ilość razy – bez rezultatu. Beatrice nosiła dzinsy, aż nie przetarły się zupełnie, do nich wkładała sprane koszulki i bezkształtne swetry, których jedyną zaletą było to, że chroniły przed wiatrem i zimnem. Siwe kręcone włosy zazwyczaj zbierała w kucyk zwykłą gumką.

Mae, która chętnie wkładała dopasowane jasne kostiumy, co dwa tygodnie chodziła do fryzjera i za pomocą makijażu starała się zatuzować ślady wieku, wytrwale usiłowała namówić przyjaciółkę, by ta bardziej o siebie zadbała.

– Nie możesz się ubierać jak nastolatka! Mamy siedemdziesiąt lat, musimy się z tym liczyć! Te dzinsy są za wąskie, zrozum, i...

– Co byłoby złe tylko w przypadku, gdybym była gruba.

– A te tenisówki to...

– Najbardziej praktyczne obuwie dla kogoś, kto od rana do nocy jest na nogach.

– Masz na swetrze mnóstwo psiej sierści – stwierdzała Mae zarazem oskarżycielsko i z rezygnacją, bo i tak wiedziała, że nic się nie zmieni ani w kwestii sierści, ani tenisówek, ani dzinsów.

Dzisiaj jednak milczała. Przyjaźniły się z Beatrice od dzieciństwa i przez ten czas zdążyła sobie wyrobić czułe anteny, które wychwytywały nastrój przyjaciółki. Dziś wyczuwała, że Beatrice nie jest w najlepszym humorze. Najwyraźniej po głowie chodziły jej ponure myśli i lepiej było nie drażnić dodatkowo przyjaciółki komentowaniem jej wyglądu.

„Ma świetną figurę – pomyślała Mae – trzeba to przyznać. Od dwudziestego roku życia nie przytyła chyba nawet o gram”. Wiedziała, że Beatrice porusza się tak miękko, jakby fizyczne dolegliwości starości były wynalazkiem przeznaczonym dla innych, nie dla niej.

Mae znowu przypomniał się ukradziony jacht, o którym wspominał właściciel restauracji. „Niebo może poczekać”.

„Naprawdę dziwna nazwa” – pomyślała.

Beatrice spojrzała przez okno na port i upiła łyk sherry. Była tak pogrążona w myślach, że nie widziała, co się dzieje na dworze.

W końcu Mae przerwała milczenie.

– Co słyhać u Helene? – zapytała.

Beatrice wzruszyła ramionami.

– To co zawsze. Wiecznie narzeka, ale koniec końców nikt nie pojmuje, co jest takiego strasznego w jej życiu.

– Może sama tego nie wie – stwierdziła Mae. – Po prostu do tego stopnia przywykła do narzekania, że nie potrafi już przestać.

Beatrice nie znosiła rozmów o Helene.

– Co u Mai? – zapytała, żeby zmienić temat.

Mae denerwowała się od razu, ilekroć rozmowa schodziła na jej wnuczkę.

– Obawiam się, że obraca się w złym towarzystwie – odparła. – Ostatnio widziałam ją z pewnym mężczyzną. Aż mną zatrzęsło. Rzadko widuje się tak brutalne twarze. Boże, byłabym szczęśliwa, gdyby między nią a Alanem w końcu wszystko się ułożyło!

Beatrice wołała nie rozmawiać o swoim synu Alanie.

– Zobaczymy – odparła tonem, który jasno dawał Mae do zrozumienia, że nie życzy sobie dłużej rozmawiać na ten temat.

Mae zrozumiała to od razu i znowu siedziały w milczeniu naprzeciwko siebie. Zamówiły dwa kolejne sherry i wpatrywały się w ostatnie miękkie światło przemijającego sierpniowego dnia.

I właśnie w tym świetle, w coraz szybciej zapadającym zmroku, Beatrice wydało się nagle, że rozpoznała kogoś, kogo ostatnio widziała przed wielu laty. Twarz w tłumie, która zwróciła jej uwagę, sprawiła, że pobladła i skuliła się. To trwało zaledwie sekundę, potem wmówiła sobie, że się pomyliła. Ale Mae zauważyła w niej zmianę.

– Co jest? – zapytała.

Beatrice zmarszczyła czoło i odwróciła się od okna. Ściemniło się nagle, z minuty na minutę, i było za ciemno, żeby jeszcze cokolwiek dostrzec.

– Wydawało mi się przed chwilą, że kogoś widziałam – odparła.

– Kogo?

– Julienu.

– Julienu? Naszego Julienu?

„Nigdy nie był nasz” – pomyślała gniewnie Beatrice, ale nie skomentowała słów Mae.

– Tak. Ale pewnie się pomyliłam. Niby po co miałby przyплыć na Guernsey?

– Mój Boże, pewnie się bardzo zmienił – stwierdziła Mae. – Wkrótce skończy osiemdziesiąt lat, prawda?

– Siedemdziesiąt siedem.

– Niewiele lepiej. Nie wyobrażam sobie w ogóle, że mogłybyśmy go jeszcze rozpoznać. – Prychnęła, a Beatrice się zastanawiała, jaki miała powód do prychnięcia. – Podobnie jak on nas, starych próchen.

Beatrice milczała, jeszcze tylko raz zerknęła w okno, ale choćby nawet dało się teraz coś zobaczyć, mężczyzna, którego przez jedną zapierającą dech w piersiach chwilę wzięła za Julienu, już dawno zniknął w tłumie.

„Pomyłka – pomyślała – i z powodu pomyłki moje serce nie powinno walić jak szalone, na miłość boską!”

– Chodźmy – powiedziała do Mae. – Zapłaćmy i jedźmy do domu. Jestem zmęczona.

– Dobrze – odparła Mae.

CZEŚĆ I

1

Wszystkie poranki były takie same. O szóstej zadzwonił budzik Beatrice. Dała sobie jeszcze pięć minut, podczas których rozkoszowała się ciepłem łóżka i otaczającym ją spokojem. Spokojem, który zakłócały jedynie dobrze znane odgłosy: świergot ptaków w ogrodzie, a czasami, przy odpowiednim wietrze, cichy szum morza.

Gdzieś w głębi domu zatrzeszczała deska w podłodze, podrapał się jeden z psów, cykał zegar. A potem drzwi do sypialni uchyliły się odrobinę szerzej i Misty wsadziła nos do pokoju. Miała stalowoszarą sierść w kolorze mgły, która jesienią zalegała nad zatoką Petit Bôt, i dlatego to imię przyszło Beatrice do głowy, gdy po raz pierwszy wzięła ją, wówczas jeszcze małego szczeniaczka, na ręce. Wtedy Misty składała się wyłącznie z wielkich, niezdarnych łap, puchatej sierści i bystrych oczek czarnych jak węgielki. Dzisiaj była wielkości cielaka.

Misty nabrała rozpędu i wskoczyła na łóżko, które zatrzeszczało i zajęczało sprężynami pod jej ciężarem. Wtuliła się w kołdrę, przewróciła

na grzbiet, uniosła wszystkie cztery łapy do góry, polizała Beatrice po twarzy, dając mokry, serdeczny dowód psiej miłości.

– Misty, na podłogę! – poleciła Beatrice bez przekonania i suka, która wiedziała, że wcale nie musi się przejmować słowami pani, ani drgnęła.

Dla Beatrice skończyło się pięć minut leniuchowania. Wstała energicznie, ignorując, na ile to możliwe, lekką sztywność stawów, która przypominała, że już nie jest taka młoda, jak jej się jeszcze czasami wydawało. Za żadne skarby nie chciała stać się taka jak Mae, która od rana do nocy zajmowała się swoim ciałem, wsłuchiwała się w siebie bez przerwy i co trzeci dzień była u lekarza, bo wydawało jej się, że coś jest nie tak. Według Beatrice właśnie w ten sposób przyciągała wszelakie schorzenia. Jednak rozmawiały o tym już nieraz i żadna nie zmieniła zdania. Ich przyjaźń w dużym stopniu polegała na tym, że przyglądały się sobie ciekawie, ze zdumieniem kręcąc głową.

W łazience, pod prysznicem, Beatrice zastanawiała się, co dzisiaj zrobi. Obecnie mogła sobie pozwolić na takie rozważania, bo wycofała się już z życia zawodowego, które dawniej narzucało przebieg każdego dnia. Zajmowała się różami już tylko dla przyjemności, choć słowo „przyjemność” nie do końca oddawało stan rzeczy. Ale skoro róże już rosły, musiała się o nie zatroszczyć. Czasami, gdy znalazł się kupiec zainteresowany kwiatami, zwłaszcza turyści, sprzedawała je. Ale nie reklamowała się już w pismach branżowych, nie zajmowała się sprzedażą wysyłkową. Nie starała się już także wyhodować nowej odmiany. Zostawiła to innym, zresztą nigdy za tym nie przepadała.

Kiedy wyszła z łazienki, miała w głowie sto spraw, które trzeba było załatwić, a w jej ruchach zauważało się szybkość i zniecierpliwienie, bardzo dla niej typowe. Wydawało się, że wszystko, co robi, robi w pośpiechu, co większość osób w jej otoczeniu uważało za bardzo męczące.

Od wpół do siódmej do wpół do ósmej Beatrice spacerowała z psami. Oprócz Misty miała jeszcze dwa. Były to wielkie, niesforne psiska nieokreślonej rasy. Beatrice kochała co prawda wszystkie psy bez wyjątku, ale otaczała się najchętniej takimi, które rozmiarami przypominały cielaki albo kucyki.

Psy wypadły na dwór, ledwie otworzyła im drzwi. Dom był położony

powyżej wioski Le Variouf; z tego punktu widać było morze. Okoliczny krajobraz stanowiły rozległe łąki, gdzieniegdzie przerywane kępami drzew. Strumyki spływały w stronę morza. Nad nimi stały tu i ówdzie stare młyny, w przeszłości napędzane energią wodną. Kamienne murki otaczały wielkie pastwiska, po których przechadzały się krowy i konie. Powietrze pachniało solą i wodą, algami i piaskiem. Im bliżej morza, tym bardziej rześki był wiatr, tym bardziej przejrzyste powietrze. Beatrice wkrótce doszła do ścieżki prowadzącej wzdłuż klifu i zobaczyła morze. Tutaj, wysoko, rosły już nieliczne drzewa, smagane wiatrem, płaskie. Wokół ścieżki kłębiły się krzewy i pnącza, wśród nich także jeżyny z dojrzałymi, soczystymi owocami na gałązkach.

Psy, pobudzone krzykiem mew i wiatrem w nozdrzach, puściły się biegiem z głośnym szczekaniem. Beatrice wiedziała, że znają tu każdą piędź ziemi i nie przejmowała się ich karkołomnymi skokami. Zatrzymała się na wzniesieniu nad wodą i głęboko zaczerpnęła tchu.

Mimo wczesnej pory słońce już się wychyliło z za horyzontu i barwiło fale czerwonymi promieniami. Zanościło się na kolejny bezchmurny wrześnieowy dzień, gorący prawie jak w środku lata. Już od tygodnia było nietypowo ciepło jak na tę porę roku. Wrzos w górnych partiach urwiska przyciągał wzrok czerwonymi kwiatami, na dole, w zatoce połyskiwał jasno piach. Kormorany i rybitwy szykowały się na pierwszy tego dnia połów.

Beatrice ruszyła dalej ścieżką. Co pewien czas zrywała jeżynę i z rozkoszą wsuwała do ust. W pewnym sensie usiłowała w ten sposób odwrócić swoją uwagę. Ta pora, ten spacer wysoko nad morzem, należał do najbardziej niebezpiecznych chwil dnia. Z zatoką Petit Bôt, do której prowadziła ścieżka, wiązało się zbyt wiele wspomnień, zarówno dobrych, jak i złych, choć to właściwie nie sprawiało różnicy.

W złych wspomnieniach odżywały stare koszmary, z których część do dzisiaj nie straciła dawnej mocy. A z dobrymi wiązało się poczucie niepowtarzalności i smutek na myśl, że chwile szczęścia się w życiu zdarzają, ale nigdy nie zostają w nim na długo. Beatrice już dawno zakazała sobie uzalania się nad sobą, ale czasami nie mogła opędzić się od gorzkich myśli, że w jej życiu tego szczęścia nie było zbyt wiele. Ilekroć

myślała o tym, z jaką lekkością i zadowoleniem zawsze żyła Mae – w każdym razie wtedy, gdy nie zawracała sobie głowy wymyślonymi chorobami ani ponurymi prognozami co do przyszłości świata. Mae nigdy nie musiała się zmierzyć z prawdziwą tragedią; najbardziej bolesnym wydarzeniem w jej życiu była, jak dotychczas, śmierć ojca przed pięciu laty. Miał dziewięćdziesiąt dwa lata, gdy umarł na zawał serca w pięknym domu starców pod Londynem. Beatrice uważała, że miał o wiele lepszą jesień życia, o wiele łżejszą śmierć niż wielu innych. Mae zachowywała się tak, jakby spotkała ją wielka tragedia, podczas gdy jej matka, która została sama w domu starców, zniosła ten cios losu z godnością.

Mąż Mae nosił ją na rękach, dzieci nigdy nie sprawiły jej zawodu, wnuki także zapowiadały się wspaniale. No, może z wyjątkiem Mai, która stanowiła zagrożenie dla wszystkich mężczyzn na wyspie, ale i ona zapewne spoważnieje, gdy minie w jej życiu okres burzy i naporu. Nie, los nigdy nie potraktował Mae surowo.

„A mnie? – zastanawiała się Beatrice. – Czy mnie los potraktował surowo?”

To pytanie pojawiało się niemal zawsze tu, na urwisku, i właśnie dlatego czasami dochodziła do wniosku, że może lepiej unikać okolic zatoki. Jednak do tej pory zawsze udawało jej się pozostawić to pytanie bez odpowiedzi, spychać je na dno świadomości. Jakby na przekór co rano, od wielu dziesiątek lat, wyruszała w tę samą stronę. Nie pozwoli, by kilka przykrych myśli zmusiło ją do zmiany trasy i nawyków.

Także tego ranka odepchnęła od siebie pytanie o przeciwności losu i zawołała psy – czas wracać do domu. Helene zapewne siedzi już sztywno wyprostowana w łóżku i czeka na poranną herbatę. Beatrice wiedziała, jak niecierpliwie wypatruje jej powrotu ze spaceru. Nie dlatego, że była głodna czy spragniona, ale po długiej nocy Helene brakowało kogoś, kto wysłucha jej skarg i narzekań. Helene skarżyła się chętnie i często i podobnie jak Mae poświęcała zbyt dużo czasu rozmaitym dolegliwościom. O ile jednak Mae miała też inną, przyjacielską, pogodną stronę, Helene często miała tylko jedno, ponure, markotne, zrzędzące oblicze.

– Chodźcie, chłopcy! – zawołała do psów. Misty, jedyna suczka, musiała się pogodzić z tym określeniem. – Wracamy do domu! Musimy

nakarmić Helene!

Psy minęły ją biegiem i zwartą gromadką pognały w kierunku domu. O ile wcześniej kusila je perspektywa szalonej zabawy nad morzem, teraz liczyły na smakowite śniadanie.

„Są zawsze zadowolone – pomyślała Beatrice – bo dla nich najważniejsze są najprostsze sprawy w życiu. Niczego nie kwestionują, po prostu żyją”.

Wracała do domu jeszcze szybszym krokiem, niż szła nad zatokę, i kiedy dotarła do drzwi, wszystkie przykre myśli zniknęły.

Dom, zbudowany z brązowego granitu charakterystycznego dla wyspy, otoczony różami, rododendronami i wielkimi niebieskimi hortensjami, w świetle poranka jawił się jej jak mały, spokojny raj. Zielone okiennice były otwarte na oścież, nie licząc tych w pokoju Helene, na piętrze. Było dokładnie wpół do ósmej. Według Beatrice wszyscy mieszkańcy wyspy Guernsey mogliby regulować zegarki.

Za dziesięć ósma weszła do pokoju Helene, niosąc tacę, na której stała filiżanka herbaty i talerzyk z dwiema grzankami. Co prawda Helene uparcie powtarzała, że rano nie jest w stanie niczego przełknąć, ale jakimś tajemniczym sposobem kanapki w końcu znikają. Beatrice kiedyś o to zapytała; Helene odparła, że nakarmiła nimi ptaki, ale Beatrice nie do końca w to uwierzyła.

Helene była szczupła i drobna, ale nie wyglądała na zabiedzoną, było więc jasne, że ukradkiem zjada więcej, niż przyznaje. Zapaliwszy nocną lampkę, siedziała sztywno wyprostowana wśród poduszek. Zapewne zdążyła już pójść do łazienki, bo miała starannie przyczesane włosy i jasnoróżową szminkę na ustach. Zirytowana Beatrice zastanawiała się w duchu, czemu, skoro już wstała, nie mogła też otworzyć okna i okiennic. Pokój, ciemny, gorący, duszny, przypominał katakumby i zapewne właśnie ten efekt chciała osiągnąć Helene. Miała osiemdziesiąt lat, czasami faktycznie coś zapominała i gubiła się w rzeczywistości, ale na ogół demonstrowała imponującą przenikliwość, zwłaszcza jeśli chodziło o to, by wzbudzić współczucie otoczenia.

Oczekiwała współczucia i troski od rana do nocy. Beatrice wiedziała, że nie zawsze tak było, ale Helene od dawna przejawiała tendencję do pograżenia się w bezradności, niejako zmuszała otoczenie, by otaczało ją czułą opieką i spieszyło jej z pomocą. W miarę upływu lat ta skłonność się nasilała i teraz już tylko nieliczni byli w stanie znieść jej ciągłą płaczliwość i marudzenie.

– Dzień dobry, Helene – odezwała się Beatrice, stawiając tacę na stoliku przy łóżku. – Jak się spało?

Znała odpowiedź, która padła bardzo szybko.

– Właściwie nie zmrużyłam oka, szczerze mówiąc. Kręciłam się i wierciłam przez całą noc, kilka razy zapalałam światło i usiłowałam poczytać, ale teraz jestem taka zdekoncentrowana, że nie mogłam się skupić i...

– Bo tutaj jest za gorąco – wpadła jej w słowo Beatrice. Wystarczyło pół minuty w dusznym powietrzu, a już wydawało jej się, że nie ma czym oddychać. – Nigdy nie zrozumiem, dlaczego w lecie śpisz przy zamkniętym oknie.

– Lato już się skończyło! Dzisiaj mamy drugiego września!

– Ale gorąco jest nadal jak w lecie!

– Boję się, że ktoś mógłby wejść przez okno – przyznała Helene ze wstydem.

Beatrice zachnęła się pogardliwie.

– Proszę cię, Helene, niby jak ktoś miałby to zrobić? Przecież pod oknem nie ma niczego, po czym mógłby się wspiąć!

– Ściana nie jest idealnie gładka. Zwinny wspinacz mógłby...

Beatrice otworzyła na oścież okno i okiennice, i pokój wypełniło aksamitnie świeże, ranne powietrze.

– Helene, odkąd pamiętam, śpię przy otwartym oknie i jeszcze nikt nigdy się do mnie nie zakradł. I to nawet w czasach, gdy byłam o wiele młodsza i może wcale nie miałabym nic przeciwko temu – dodała, chcąc żartem złagodzić gniew, który zapewne bił z jej słów.

Helene się nie uśmiechnęła. Zacisnęła oczy porażone światłem, sięgnęła po filiżankę, upiła łyk herbaty.

– Jakie masz plany na dzisiaj? – zapytała.

– Przed południem chciałam się trochę zająć ogrodem, a po południu umówiłam się z Mae w St. Peter Port.

– Tak? – W głosie Helene zabrzmiała nadzieja. Czasami Beatrice i Mae zabierały ją na wspólne spacerunki po wyspie albo na zakupy. Bardzo lubiła spędzać czas z Mae, która zawsze otaczała ją troskliwą opieką, była dla niej miłsza i serdeczniejsza niż Beatrice. Szczegółowo wypytywała o jej samopoczucie, cierpliwie wysłuchiwała wszystkich narzekań. Nigdy nie krzywiła się z irytacją, co często się zdarzało Beatrice, nigdy nie dawała jej odczuć, że jest tylko nieznośną staruszką, która wszystkim działa na nerwy. Nie, Mae była zawsze miła i uprzejma. Niestety, akurat ona właściwie nigdy nie decydowała, co się wydarzy; zazwyczaj ton narzucała Beatrice, a jej zwyczajnie nie uśmiechała się myśl, by dokądkolwiek zabierać Helene.

Teraz także puściła mimo uszu znaczące pytanie, tylko zaczęła się krzątać po pokoju. Pozbierała ubrania Helene z poprzedniego dnia, wyjęła z komody czystą bieliznę, starannie ułożyła ją na fotelu.

– A co będziecie robić w St. Peter Port? – dopytywała uparcie Helene. – Pójdziecie na kawę?

– Nie chodzę gdzieś tylko po to, żeby się napić kawy, Helene, przecież o tym wiesz! – rzuciła Beatrice ze zniecierpliwieniem. – Nie, po prostu mamy pewne sprawy do załatwienia. Będzie też Maja; ma sobie sama wybrać prezent urodzinowy, który Mae jej kupi, ode mnie też coś dostanie.

– Przecież jej urodziny są dopiero w przyszłym miesiącu – burknęła Helene. Wnuczka Mae budziła w niej mieszane uczucia, starała się jednak zdobyć na obiektywizm. – Ile właściwie skończy lat?

– Dwadzieścia dwa. Chce iść na imprezę i włożyć nowe ciuchy, tak seksowne, że faceci będą do niej lecieć jak muchy do miodu – tak przynajmniej to określiła.

Helene westchnęła. Rozwiązany tryb życia Mai budził w przyzwoitych kobietach jedynie oburzenie, to oczywiste, ale czasami, ku swemu zdumieniu, wyczuwała w sobie także cień zazdrości, ukryty między pokładami pogardy i moralnego oburzenia, że Maja czasami dostawała to, na co sobie zasłużyła brakiem zahamowań – czasami było to oko podbite przez urażonego kochanka, czasem bolesny zabieg, dzięki któremu

pozbywała się niechcianych konsekwencji nocy zapomnienia. Maja już dwukrotnie usunęła ciążę – przynajmniej Helene wiedziała o dwóch zabiegach, niewykluczone, że zrobiła to więcej razy. Mae zwierzyła się Helene, że jej wnuczka jest mistrzynią świata w zapominaniu o zażyciu tabletki. Helene powtarzała sobie, że na całej wyspie Guernsey – i na sąsiednich – chyba nie ma mężczyzny, który chciałby się z Mają ożenić, z Mają, która szła do łóżka prawie z każdym, którego spotkała na swojej drodze. Więc doprawdy, nie ma powodu do zazdrości! A jednak czasami czuła właśnie to, i może tak naprawdę wcale nie chciała tego zrozumieć, bo prawda w takich wypadkach oznaczała tylko ból. Nawet jeśli brała pod uwagę fakt, że jej młodość przypadała na zupełnie inne czasy niż młodość Mai, że wtedy życie było podporządkowane innym wyobrażeniom, nie mogła się powstrzymać i porównywała młodą Helene i młodą Maję. I za każdym razem odczuwała ten dziwnie intensywny ból.

„Miałabyś z życia więcej, gdybyś więcej z niego brała” – podsunął kiedyś oschły wewnętrzny głos i od tego czasu nigdy do końca nie zamilkł.

– Ja też chętnie coś jej podaruję – zaproponowała szybko. – Wybiorę się z wami, niech sama sobie coś wybierze.

Beatrice westchnęła; wiedziała, że Helene spróbuje jeszcze raz.

– Helene, przecież w gruncie rzeczy nie chcesz jej dawać żadnych prezentów, zresztą nikt tego od ciebie nie oczekuje – powiedziała. – Nie przepadasz za nią, do czego masz pełne prawo, i nie musisz w jej urodziny udawać, że jest inaczej.

– Ale...

– Chcesz się z nami wybrać, bo znowu nie wiesz, co robić przez cały dzień. Ale to nie jest dobry pomysł. Wiesz, jaka jest Maja, kiedy szuka się dla niej prezentu: jak szalona biega po całym sklepie, nawet Mae i ja z trudem za nią nadążamy, a z tobą nie mamy w ogóle szans. Pomyśl tylko, ile w St. Peter Port jest stromych uliczek i schodów, a tobie bardzo dokucza reumatyzm!

Helene skuliła się w sobie, oczy zasły jej łzami.

– Wiesz, Beatrice, czasami jesteś naprawdę okrutna. Dlaczego nie powiesz po prostu, że będę dla was ciężarem?

– Bo wtedy uznasz, że jestem jeszcze bardziej okrutna – odparła

Beatrice, odwracając się do drzwi. W miarę możliwości posprzątała w pokoju i znowu miała wrażenie, że się udusi, jeśli choćby przez chwilę będzie słuchała jękliwego głosu Helene i widziała jej wybladłą twarz.

– Zanosz się na piękny dzień. Możesz usiąść sobie w ogrodzie, poczytać i cieszyć się, że nie musisz biegać po okolicy.

Helene zacisnęła usta. Wiele osób wygląda wrogo z zacisniętymi wargami, ale nie ona. Ona nadal budziła współczucie.

– Skoro tak bardzo się przejmujesz urodzinami Mai – rzuciła – czy w ogóle pamiętasz, że niedługo są też moje urodziny?

– Choćbym chciała, nie mogłabym o tym zapomnieć – odparła szorstko Beatrice.

Niby jakim cudem? Ona i Helene urodziły się tego samego dnia – piątego września. Z tym że Helene przysłała na świat dziesięć lat wcześniej. I nie na Guernsey, jak Beatrice, tylko w Niemczech.

Zamówiła krowi nawóz od rolnika z Le Variouf. Chciała po raz ostatni w tym roku nawieźć swoje róże, a nic nie nadaje się do tego lepiej niż krowi nawóz, o wiele lepszy niż wszystko, co można kupić w sklepie. Sam, rolnik z Le Variouf, przyjechał zaraz po śniadaniu i wyładował całą przyczepę nawozu; teraz jej nabytek cuchnął w szopie, a Beatrice jakoś nie miała ochoty zabrać się do pracy. Może było po prostu za gorąco. Sam też uważał, że zanosz się na nieznośny upał – zdecydowanie za gorąco jak na tę porę roku.

– Zauważyłem to od razu, gdy tylko wstałem – powiedział. Zsunął kapelusz na tył głowy i chustką starł pot z czoła. – Dzisiaj będzie cholernie gorąco, tak sobie pomyślałem. A rano przynajmniej odrobinę wiało. Teraz powietrze ani drgnie, zauważyła to pani? Najmniejszego powiewu, nic a nic! Ciężko będzie dzisiaj pracować!

– Akurat dzisiaj wybieram się do miasta – odparła Beatrice. – I nic na to nie poradzę. Jakoś to przeżyję.

– To fakt, pani przeżyje wszystko, pani Shaye! – Roześmiał się i mimo upału nie pogardził wódką, którą go poczęstowała. Sam co jakiś czas chętnie zaglądał do kieliszka, ale musiał się z tym ukrywać, bo jego żona

się złościła, ilekroć wyczuła od niego alkohol.

Beatrice przypominała sobie jego słowa, gdy szła przez ogród w kapeluszu z szerokim rondem dla ochrony przed słońcem, z wiklinowym koszem na przegubie oraz sekatorem w dłoni, którym przycinała uschnięte pędy i chwasty wśród róż. Miłe, spokojne zajęcie, zważywszy na pogodę.

Pani przeżyje wszystko, pani Shaye!

Zdawała sobie sprawę, że ma opinię niepokonanej, że nikt i nic nie da jej rady i czasami zastanawiał ją upór, z jakim otoczenie trwało w tym przeświadczeniu. Ona osobiście nie czuła się nawet w połowie tak silna, jak najwyraźniej postrzegało ją otoczenie. Nie, raczej miała wrażenie, że zdołała się otoczyć solidnym pancerzem, który odpierał wszelkie ciosy i naciski z zewnątrz, a przede wszystkim chronił przed ciekawskimi spojrzeniami jej życie wewnętrzne. Bo w głębi serca kryły się do dzisiaj rany, które, jak jej się wydawało, co jakiś czas dawały o sobie znać, przypominały, że nadal się nie zabiłiły. Na szczęście chyba naprawdę nikt nawet nie podejrzewał ich istnienia.

Szybko i sprawnie zajmowała się różami, ale nie odezwała się do nich ani jednym słowem. Jej ojciec zawsze z nimi rozmawiał, twierdził, że to bardzo ważne.

– To żywe istoty, potrzebują uwagi i poczucia, że się je traktuje poważnie, że się je lubi. Wyczuwają dobre intencje, wiedzą, gdy się szanuje ich charakter, upodobania oraz nawyki. Podobnie jak wiedzą, gdy traktuje się je pogardliwie i obojętnie.

Jako mała dziewczynka Beatrice chłonęła te słowa ciekawie; ani przez chwilę nie zwątpiła w ich prawdziwość.

Ale też Andrew Stewart, jej ojciec, był dla niej pierwszym po Bogu i nie było na świecie rzeczy, w którą by mu nie uwierzyła. W pewnym sensie do dzisiaj się z nim zgadzała, ale nigdy jakoś nie umiała postępować według jego rad. W którymś momencie, podczas trudnych lat wojennych albo w ciężkich czasach po wojnie, zatraciła odziedziczoną po nim delikatność i czułość, przesiąkniętą autentyczną miłością tworzenia. Andrew był zbyt wrażliwy, a na to nie mogła ani nie chciała sobie pozwolić. Poza tym cały czas miała wrażenie, że ktoś, kto rozmawia z różami, sam nadstawia

policzek na ciosy od losu. Może był to tylko przesąd, *idée fixe* nie do udowodnienia, ale sprawił, że nie potrafiła wykrztusić choćby słowa do róz. Od piętnastego roku życia milczała w ich obecności. Instynkt jej podpowiadał, że gdyby się na to zdobyła, zerwałaby tamę.

Kiedy Helene zawołała z domu, że jest do niej telefon, dziękowała losowi za pretekst, by na kilka minut uciec z dusznego upału.

– Kto dzwoni? – zapytała, wchodząc do holu. Helene, otulona w różowy jedwabny szlafrok, stała przed lustrem ze słuchawką w dłoni.

– Kevin – odparła. – Chce cię o coś zapytać.

Kevin także hodował róże, ale w przeciwieństwie do Beatrice cały czas był czynny zawodowo. Miał trzydzieści osiem lat, był gejem i ze wzruszającą sympatią odnosił się do obu starszych pań z Le Variouf. Jego plantacja leżała o dwadzieścia minut jazdy samochodem, na południowo-zachodnim krańcu wyspy.

Często do nich dzwonił. Często doskwierała mu samotność, a jeszcze nie dojrzał do kolejnego poważnego, trwałego związku. Niedawno rozstał się z wieloletnim partnerem, młodym mężczyzną imieniem Steve i jednocześnie zakończył romans z nieco podejrzanym Francuzem. W tej chwili wydawało się, że był całkiem sam.

Guernsey miało gejom niewiele do zaoferowania. Kevin marzył, że pewnego dnia przeniesie się do Londynu i tam znajdzie mężczyznę na całe życie, przy czym wszyscy, którzy go znali, wiedzieli, że nigdy nie opuści wyspy. A już na pewno nie był stworzony do brutalnego życia w wielkim mieście.

Beatrice wyjęła Helene słuchawkę z ręki.

– Kevin? Co słychać? Przyznasz chyba, że dzisiaj jest za gorąco, żeby pracować.

– Wiesz przecież, że nie mogę sobie pozwolić na choćby jeden dzień bumelowania – odparł. Miał niewiarygodnie niski głos, którym przez telefon doprowadzał kobiety do szaleństwa. – Posłuchaj, Beatrice, potrzebuję twojej pomocy. Strasznie mi głupio, ale... mogłabyś mi pożyczyć trochę pieniędzy?

– Ja? – zdziwiła się Beatrice. Kevin często pożyczał pieniądze, zwłaszcza w ciągu minionego pół roku, ale z tą prośbą właściwie zawsze

zwracał się do Helene. Straciła dla niego głowę i miał pewność, że nigdy nie odprawi go z kwitkiem.

– Głupio mi znowu zwracać się z tą prośbą do Helene – przyznał zakłopotany. – Dopiero co pożyczyła mi sporą sumę. Więc pomyślałem, że może ty...

– Ile potrzebujesz?

Zawahał się.

– Tysiąc funtów – powiedział w końcu.

Beatrice się skuliła.

– To dużo.

– Wiem. I obiecuję, że wszystko zwrócę, nie musisz się o to obawiać.

Oczywiście, że musiała się o to obawiać. Beatrice wiedziała przecież, że Helene nie oddała chyba jeszcze ani grosza. Bo nie miał z czego. Kevin nigdy nie miał pieniędzy.

– Dobrze, Kevin, pożyczę ci te pieniądze – powiedziała. – A co do zwrotu, nie musisz się spieszyć. Ale nie do końca rozumiem, po co ci znowu tyle pieniędzy. Interes idzie aż tak źle?

– A jakie interesy idą dobrze w dzisiejszych czasach? – mruknął niezrozumiale. – Konkurencja nie śpi, ogólna sytuacja gospodarcza nie jest najlepsza... Poza tym postawiłem dwie nowe szklarnie i trochę potrwa, zanim ten wydatek się zwróci. Ale zapewniam...

– Dobrze już, dobrze. Wpadnij jutro, wypiszę ci czek. – Beatrice nie chciała słuchać pustych obietnic, nie chciała też prawić mu morałów. Według niej Kevin żył po prostu na zbyt wysokiej stopie. Eleganckie krawaty z jedwabiu, kaszmirowe pulowery, szampan... to wszystko ma swoją cenę.

„On nigdy nie zrobi majątku” – pomyślała.

– Prawdziwy z ciebie skarb – powiedział z wyraźną ulgą w głosie. – Odwdzięczę ci się przy najbliższej okazji.

– Cudownie – odparła. Kevin odwdzięczał się zawsze w ten sam sposób – gotował wręcz bosko i tworzył cudowną atmosferę za sprawą kwiatów, świec, kryształów, ognia na kominku. Kiedyś powiedział Beatrice, że jest jedyną kobietą, w której się kiedykolwiek zakochał.

Po skończonej rozmowie jeszcze chwilę stała w przedpokoju.

Pomyślała, że Kevin wydawał się wystraszony, jakby bardzo wiele zależało od tego, czy dostanie te pieniądze.

„Oby się nie okazało, że wpakował się w większe tarapaty niż to, o czym mówił” – pomyślała.

– Czego chciał Kevin? – zainteresowała się Helene. Podczas rozmowy dyskretnie wyszła do kuchni, teraz jednak wróciła i usiłowała sprawiać wrażenie, że zjawiała się tu przypadkiem, co jednak nie było prawdą. Cały czas była czujna, spięta, chcąc za wszelką cenę wiedzieć o wszystkim, co się działo w domu, zwłaszcza jeśli dotyczyło to Beatrice – z kim rozmawiała i o czym, z kim się spotykała, co planowała i dlaczego.

– Masz chorobliwą potrzebę kontroli! – wykrzyczała jej kiedyś Beatrice w twarz i Helene zalała się łzami, ale nic się nie zmieniło.

– Pieniądzy – odparła Beatrice. Wiedziała, że Helene i tak podsłuchiwała, więc mogła zagrać w otwarte karty. – Obiecałam, że mu pożyczę.

– Ile?

– Tysiąc funtów.

– Tysiąc funtów? – Helene wydawała się naprawdę zaskoczona. – Znowu?

– A co? Ostatnio też tyle pożyczał?

– W zeszłym tygodniu. W zeszłym tygodniu dałam mu tysiąc funtów. Ale dlaczego nie zwrócił się do mnie?

– Pewnie właśnie dlatego. – Beatrice starała się opanować irytację, ale wystarczyła krótka rozmowa z Helene, by wyprowadzić ją z równowagi. – Nie chce znowu pukać do twoich drzwi i wyciągać ręki po pieniądze.

– Ale po co mu ciągle tyle pieniędzy?

– Nie wiem, nie wyobrażam sobie tego. Pewnie ma nowego, drogiego kochanka. To cały Kevin.

– Ale dlaczego...

– Na miłość boską, Helene, przestań w końcu wiercić mi dziury w brzuchu! Ja też nie wiem, po co mu tyle pieniędzy. Jeśli tak bardzo cię to interesuje, idź do niego i sama go zapytaj!

– I znowu na mnie krzyczysz!

– Bo ty *zawsze* musisz *wszystko* wiedzieć. Co, mam ci może jeszcze

opowiedzieć, co mi się śniło? I co robiłam w toalecie?

Oczy Helene zaszczyły łzami.

– Zawsze jesteś dla mnie taka okropna. Na każdym kroku dajesz mi do zrozumienia, że działam ci na nerwy. Całymi dniami siedzę sama, nikt się mną nie przejmuje, nikomu na mnie nawet odrobinę nie zależy. A kiedy chcę choć trochę uczestniczyć w twoim życiu, ty...

Ilekcio Helene zaczynała się uskarżać na swój los, mogło się to ciągnąć w nieskończoność i zawsze kończyło się morzem łez. Beatrice nie czuła się teraz na siłach, by to znosić.

– Helene, czy możemy omówić twoją opłakaną sytuację innym razem? Chciałabym teraz skończyć pracę w ogrodzie i pojechać do miasteczka na spotkanie z Mae. Jak myślisz, mogę?

Wypowiedziała to wszystko niebezpiecznie łagodnym, grzecznym tonem, bo wiedziała, że budził w Helene strach. I rzeczywiście, starsza kobieta ugryzła się w język i odwróciła na pięcie. Pójdzie teraz do siebie, by tam się wypłakać za wszystkie czasy.

Beatrice odprowadzała ją wzrokiem, gdy powoli wchodziła na górę, i zastanawiała się, dlaczego nie jest zdolna współczuć tej biednej neurotyczce. Helene była kobietą głęboko nieszczęśliwą, zawsze taka była. Nie potrafiła odnaleźć spokoju nawet na starość.

„A ja nie jestem w stanie jej współczuć” – pomyślała Beatrice. I przeraziła się samej siebie, gdy w myślach dodała: „Nie jestem w stanie, bo z każdym dniem bardziej jej nienawidzę”.

Karin już w samolocie wiedziała, że ta podróż okaże się pechowa. Najpierw przez pomyłkę usiadła na nie swoim miejscu i facet, którego fotel zajęła, potraktował ją tak, jakby w karygodny sposób zagarnęła cudzą własność. Później miotła się po całym samolocie, póki nie ulitowała się nad nią jedna ze stewardes i nie zaprowadziła jej na miejsce. Czując, że zbliża się atak paniki, Karin zapadła się w fotel i drżącymi palcami szukała w torebce tabletek. Znalazła w końcu płaskie pudełeczko i z przerażeniem stwierdziła, że jest niemal puste. Jeszcze nigdy do tego nie doszło, nigdy nie była w takiej sytuacji. Jeśli w ogóle wychodziła z domu, co zdarzało się bardzo rzadko, zawsze sprawdzała po tysiäckroć, czy ma z sobą wystarczającą ilość tabletek. Zrobiła to także tym razem, wybierając się w dłuższą podróż, tyle że była pewna, że w pudełeczku są dwa pełne płatki.

„Jak mogło do tego dojść?” – zastanawiała się nerwowo. W płatku została jedna jedyna tabletką!

W pierwszym odruchu chciała się zerwać z miejsca i wysiąść z samolotu. Polecą bez niej, ona nie może teraz podróżować. Na Guernsey, czyli za granicą, nie dostanie tego lekarstwa, zwłaszcza że nie miała przy sobie recepty. Ale samolot już ruszył z miejsca i Karin zorientowała się, że nie zdoła wysiąść. Musi polecieć na Guernsey i musi sobie poradzić z jedną tabletką.

Zdażyła się już przekonać, że ataki paniki zjawiają się zazwyczaj nieoczekiwanie, zalewają ją jak gigantyczna fala, sprawiają, że na długie koszmarnie minuty pogrąża się w przerażeniu i rozpacz.

Przeczuła panikę, która dopadła ją w samolocie; zaczęło się, gdy mężczyzna, którego miejsce zajęła, na nią warknął, a sprawę dokończyło odkrycie, że pudełko z tabletkami jest niemal puste. Choć jednak doskonale wiedziała, że panika lada chwila zaatakuje z pełną siłą, porażona mocą ataku histerycznie chwytła ustami powietrze. W ciągu kilku sekund jej

lekki bawełniany sweterek przesiąkł potem, nogi trzęsły się jak galareta, serce i puls biły jak szalone, jakby przed chwilą przebiegła maraton. Dygotała na całym ciele, wiedziała jednak, że to drżenie pochodzi z jej wnętrza, że nic na świecie nie zdołałoby jej rozgrzać. Szczękała zębami, starając się to robić jak najciszej. Wiedziała, że w takich chwilach robi się blada jak ściana. Pewnie wyglądała jak duch. Oprócz symptomów fizycznych, takich jak drżenie, pot i zimno, dopadła ją też panika, która rozprzestrzeniała się w jej duszy jak pożar w suchym lesie. W wyobraźni już niemal słyszała głos Michaela:

– Jaki znowu strach, na miłość boską?

W kółko o to pytał. Najwyraźniej jeszcze ani razu nie zdołała udzielić mu zadowolającej odpowiedzi.

– To coś więcej niż strach, to panika. Panika nie do opisania. Przerazenie. Męka. Sytuacja bez wyjścia. Nienazwany lęk, którego nie sposób okiełznać, bo nie wiadomo, skąd się bierze.

– Nie ma *nienazwanych lęków*. Nie ma *nienazwanej paniki*. Każdy chyba wie, czego się boi, co wprawia go w panikę!

– *Wszystko. Życie. Ludzie. Przyszłość*. Wszystko wydaje się ciemne, groźne, jakby...

Za każdym razem jej tłumaczenia nikły w poczuciu bezradności.

– Nie umiem tego opisać, Michael. To straszne. A ja jestem bezbronna.

– Bzdura. Człowiek nigdy nie jest całkiem bezbronny. To kwestia silnej woli. Ale ty już od dawna przyjęłaś bezpieczne założenie, że w ogóle nie masz silnej woli. Dzięki temu możesz bezradnie załamać ręce i egzystować od jednego ataku paniki do kolejnego.

Słyszała jego głos, jak bezlitośnie wbijał jej się w głowę, samolot tymczasem jechał na pas startowy. Na próżno usiłowała opanować dygot i wewnętrzne przerażenie.

Tabletka... Wiedziała, że wystarczy minuta po zażyciu, by ogarnął ją spokój. Ale wtedy już jej nie będzie. Podziała pięć, może sześć godzin, a dopiero pojutrze będzie mogła opuścić Guernsey.

– Źle się pani czuje?

Jak przez mgłę docierał do niej głos sąsiadki. Przez łzy zobaczyła przyjazne oblicze starszej pani. Siwe włosy, dobroduszone spojrzenie.

– Ma pani sine usta. I trzęsie się pani jak osika. Mam zawołać stewardesę?

– Nie, dziękuję. – Tylko nie zwracać na siebie uwagi. Wiedziała z doświadczenia, że to tylko pogorszyłyby sytuację. – Mam tabletki... Zażyję i zaraz poczuję się lepiej.

– Boi się pani latać?

– Nie. Ja... To niedoleczone przeziębienie... – Zabrzmiało to mało wiarygodnie, ale w tej chwili nic innego nie przyszło jej do głowy. Dopiero za trzecim razem zdołała wydobyć tabletkę z opakowania. Drżącymi palcami podniosła ją do ust. Bez trudu przełknęła bez popijania; tę sztukę opanowała do perfekcji w ciągu minionych lat, gdy musiała łykać tabletki w najmniej oczekiwanych momentach.

– Dawniej bardzo bałam się latać – stwierdziła starsza pani, puszcżając mimo uszu tłumaczenie o niezaleczonym przeziębieniu. – Doszło do tego, że w ogóle nie chciałam wsiąść do samolotu. I wtedy sobie powiedziałam, że muszę jakoś się z tym uporać. Moja córka wyszła za mąż na Guernsey i chcę co jakiś czas widywać ją i wnuki... Samochodem to kawał drogi, a kolejną... o mój Boże! – Machnęła ręką. – No więc przyzwyczyłam się do latania. I teraz już wcale się nie boję. – Uśmiechnęła się. – Pani też weźmie się w garść.

Karin zamknęła oczy. Tabletka zaczęła już działać. Drżenie ustało. Przestała marznąć. Pot wysychał na skórze. Panika powoli ustępowała. Odetchnęła głęboko.

– Już nie jest pani taka blada – zauważyła sąsiadka. – Te tabletki zdziałały cuda. Co to właściwie było?

– Baldrian. – Karin pospiesznie chowała pudełeczko do torebki. Rozluźniała się, głowa opadła jej na oparcie.

Sześć godzin. Sześć godzin, jeśli spojrzeć na to optymistycznie, a optymizm w tej fazie, tuż po zażyciu tabletek, przychodził jej łatwo. Sześć godzin spokoju. A potem?

„Jakim cudem poradzę sobie jutro w banku? – zastanawiała się. – Jak w ogóle wyjdę z hotelu?”

Kolację i śniadanie może sobie darować i po prostu zostać w pokoju. Przy odrobinie szczęścia kupi kanapkę na lotnisku St. Martin, dzięki temu

przynajmniej nie bardzo zgłodnieje. Ale do banku mogła pójść dopiero jutro i już teraz nie wiedziała, jak zdoła tego dokonać.

„Pomyślę o tym jutro – zdecydowała. – Może wcale nie dostanę ataku i tym samym w ogóle nie będzie żadnego problemu”.

W głębi umysłu kryła się pewność, że atak i tak nadejdzie, bo zawsze nadchodził, ale pod wpływem lekarstwa ta myśl nie mogła się rozwinąć, nabrać mocy. Było tak, jakby jej zmysły spowijał cienki welon. Po prostu pozwoli, by sprawy biegły własnym torem.

Reza Karim z przejęciem wymachiwał rękami i wyrzucał z siebie potok słów w ojczystym pakistańskim, zanim wziął się w garść i przeszedł na ubogi, prosty angielski.

– Nie wiem! Naprawdę nie wiem, jak mogło do tego dojść. Nie mam tu żadnej rezerwacji! Pani Palmer, bardzo mi przykro. Może pani zapomniała mnie zawiadomić?

Karin uchwyciła się kontuaru dwiema rękami i wpatrywała się w niego hipnotycznym wzrokiem.

– Panie Karim, pokój zarezerwował mój mąż. Czy raczej jego sekretarka, jak się domyślam. Do tej pory ten system działał bez zarzutu.

– Owszem, ale tym razem nie mamy rezerwacji! – Karim nerwowo kartkował księgę rezerwacji. – Nic! Tutaj wszystko zapisujemy, a nie ma ani słowa!

– Panie Karim, muszę dostać pokój. – Zaczęła się pocić, ale może to wskutek upału, który spowijał wyspę. Środek uspokajający nadal działał. Ale co, na miłość boską, zrobi, jeśli nie dostanie pokoju? Ilekroć przebywała na Guernsey, zatrzymywała się w hotelu St. George, finansowo bardzo przystępnym, i nieraz przemknęło jej przez myśl, że Michael spokojnie mógłby jej zafundować nieco elegantszy nocleg niż w tym budyńeczku wciśniętym między inne domy, w którym wiecznie unosił się zapach starego jedzenia, wiekowe bordowe dywany straszyły brudem, na piętro prowadziły wąskie, kręte schodki, a w łazienkach nie było nawet mowy o jakimkolwiek komforcie, by już nie wspomnieć o tym, że w ciasnych klitkach człowiek z trudem obraca się wokół własnej osi, a przy suszeniu

włosów co chwila uderza łokciem w ścianę. Z czasem jednak przywykła do zateęchłych pokoików oraz pana Karima i tym sposobem utarło się, że zatrzyma się właśnie tutaj. Ostatnio coraz bardziej kurczowo trwała przy wszystkim, co znajome. Choć w tym hoteliku nie czuła się najlepiej, perspektywa znanego dyskomfortu wydawała jej się o wiele lepsza niż poszukiwanie czegoś nowego i ewentualna konfrontacja z nieznanym.

– Oczywiście, oczywiście, to jasne, że pani potrzebuje pokoju – mrucał Karim. – Ale tak się nieszczęśliwie składa, że wszystko mamy zarezerwowane. Sama pani wie, że na co jak na co, ale na brak gości nigdy nie narzekamy!

Roześmiała się. Karin nie miała o tym pojęcia i nie bardzo mogła to sobie wyobrazić, ale zakładała, że nie kłamie, przynajmniej jeśli chodzi o obecną sytuację. Gdyby miał do dyspozycji choćby schowek pod schodami, zaproponowałby jej nawet takie lokum.

– Mogę zadzwonić? – zapytała.

– Oczywiście!

Przysunął jej aparat, staroświeckie czarne monstrum, które znała jedynie ze starych filmów telewizyjnych. Wybrała numer do laboratorium i wewnątrz do gabinetu Michaela.

Odebrał osobiście, od razu.

– Słucham.

– Michael, to ja, Karin. Słuchaj, jestem w tej chwili w St. George i wyobraź sobie, nie ma dla mnie pokoju. Najwyraźniej coś było nie tak z rezerwacją.

– Niemożliwe.

– A jednak. Pan Karim nie ma żadnej rezerwacji.

– Więc niech ci da jakikolwiek pokój.

– Nie ma wolnych miejsc, ani jednego.

Michael westchnął.

– Niemożliwe! – Sądząc po jego tonie, po brzmieniu jego głosu, chciał powiedzieć: „I coś ty znowu zmalowała? Czy już niczego, naprawdę niczego nie potrafisz zrobić dobrze?”.

Czuła, jak gdzieś w jej ciele zaczynają wibrować nerwy. Było to uczucie podobne do niezidentyfikowanego, nieokreślonego bólu, którego nie

sposób zlokalizować. Tak jakby w ciągu minionych lat to miejsce zatarło się boleśnie i przy najmniejszym dotknięciu promieniowało bólem.

– Nie wiem, czy to możliwe, czy nie – odparła. – W każdym razie tak jest. Nie ma tu dla mnie pokoju.

– To pewnie zwykłe niedopatrzenie – stwierdził Michael. – W każdym razie na pewno przekazałem Soni, żeby zrobiła ci rezerwację.

Sonia, jego sekretarka, zazwyczaj sumiennie wypełniała swoje obowiązki.

– No dobrze, ale co ja mam teraz robić? – zapytała nerwowo Karin.

Michael znów westchnął.

– Chyba jesteś w stanie znaleźć sobie inny hotel i tam wynająć pokój! Co, na Boga, miałbym dla ciebie zrobić stąd?

– Michael, boję się. Najchętniej od razu wróciłabym do domu. Ja... – Zawahała się, nie chcąc przyznać się do swojego gapiostwa, w końcu jednak wyznanie przeszło jej przez gardło: – Nie mam tabletek. Została mi już tylko jedna i musiałam ją zażyć w samolocie. I teraz nie wiem...

– Nie, to niemożliwe! – Gdyby ktoś teraz usłyszał Michaela, mógłby pomyśleć, że rozmawia z osobą chorą na umyśle, która coraz bardziej działa mu na nerwy. – To ja wysyłam cię na Guernsey, opłacam lot, raz jeden proszę cię o coś, a ty...

– Już nieraz byłam tu ze względu na ciebie.

– Ale to naprawdę jedyna rzecz, której od ciebie oczekuję. Poza tym nie proszę cię przecież o nic, na miłość boską. I tak zmniejszyłem do minimum wszelkie oczekiwania, które może mieć mąż. Proszę cię tylko o tę jedną jedyną przysługę, zaledwie dwa razy do roku – i teraz nawet to już za wiele? Co, jesteś już na to za dobra? Za delikatna? Za wrażliwa?

– Nic takiego nie powiedziałam. – Lekki dotychczas, wibrujący ból przybierał na sile. Na razie działało lekarstwo, ale Karin wiedziała, że jeśli szybko nie zakończy tej rozmowy, kruchy spokój załamie się o wiele wcześniej niż przed upływem sześciu godzin.

– Nie, nie wrócisz teraz z Guernsey! Słyszysz mnie? Rano pójdziesz do banku, dopiero wtedy wrócisz. Jeśli nie chcesz czekać do soboty, spróbuj przebukować bilet na jutro wieczorem. Ale najpierw pójdziesz do banku, rozumiemy się?

– Tak – szepnęła. Znowu miała wrażenie, że słysząc jego głos, staje się coraz mniejsza, i to dosłownie. Jakby naprawdę ubywało jej centymetrów, jakby kuliła się w sobie. W pewnym momencie będzie tak mała, że nikt już jej nie zobaczy. Albo po prostu zniknie.

W głosie Michaela pojawiło się tylko odrobinę więcej ciepła. Wyglądało na to, jakby sobie przypomniał, że jej ataki paniki bywają bardzo gwałtowne, i być może przyszło mu do głowy, że może lepiej ją trochę uspokoić, zamiast pozbawiać ostatnich resztek poczucia własnej wartości.

– Dasz sobie radę. Teraz pójdziesz i poszukasz noclegu. Może pan Karim ci pomoże. Wieczorem zadzwoń do mnie i powiedz, czy wszystko dobrze poszło. – Tymi słowami zakończył rozmowę i Karin, która chciała jeszcze coś powiedzieć, przełknęła niewypowiedziane słowa i też odłożyła słuchawkę.

– Może mógłby mi pan pomóc w szukaniu pokoju? – zwróciła się do Karima.

Podrapał się w głowę.

– To niełatwa sprawa. Właściwie cholernie trudna. Na całej wyspie pewnie już wszystko zarezerwowane.

Alan Shaye czuł, że jest po prostu śmieszny, gdy parkował pod domem, w którym mieszkała Maja, i wpatrywał się w okna i drzwi, jakby oczekiwał, że lada chwila pojawi się w nich coś zaskakującego.

„Żałosny, śmieszny dupek – powtarzał sobie. – Kiedy Maja mnie tu zobaczy, pęknie ze śmiechu!”

Co jakiś czas przejeżdżały samochody, z trudem wymijając go na wąskiej, stromej uliczce. Niektórzy kierowcy znacząco pukali się w czoło albo gniewnie kręcili głowami. Nie zwracał na nich uwagi. Wpatrywał się w okna drugiego piętra i zastanawiał, co się tam właściwie dzieje.

Choć właściwie doskonale wiedział. Na tyle znał Maję, może nawet lepiej niż samego siebie. Nie po to zniknęła z mężczyzną w mieszkaniu, żeby saczyć z nim herbatkę i gawędzić. Maja miała bardzo konkretne wyobrażenie rozkoszy. Oceniała mężczyzn w bardzo prosty sposób: czy są w stanie zapewnić jej maksymalną rozkosz w łóżku? Czy mają pieniądze

i są gotowi hojną ręką wydawać je na nią? Czy mają stosunkowo małe wymagania, zadowolą się tym, co im raczy dać, i nie zaczną urządzać scen zazdrości, gdy wyjdzie na jaw, że jej łożę dziela z tuzinem innych kochanków? Bo Mai nie wystarczył jeden mężczyzna.

– To tak, jakbym czytała tylko jedną książkę – tłumaczyła kiedyś, kiedy robił jej wyrzuty w związku z jej trybem życia. – Albo jakbym miała zwiedzić w życiu tylko jeden kraj. Jeść tylko spaghetti, nic więcej. Zawsze pić to samo wino. Miałabym bardzo ograniczony ogląd świata!

– Nie możesz przecież tego porównywać! Nie możesz tak samo traktować jedzenia, picia, podróżowania, czytania i mężczyzn. Nie możesz próbować kolejnych facetów tak jak coraz to innego wina czy biura podróży!

Roześmiała się wtedy.

– Właściwie dlaczego nie? Podaj mi jeden jedyne dowód na to, że te rzeczy się od siebie różnią. Dlaczego nie mogłabym sobie najpierw wszystkiego obejrzeć, zanim się zdecyduję?

– Przecież nikt nie twierdzi, że masz być z pierwszym facetem, który zjawi się w twoim życiu.

Znowu się roześmiała.

– Oczywiście, że nie, bo nie ty byłeś tym facetem. W innym wypadku właśnie tak byś uważał.

– Maja, to, co ty robisz, znacznie przekracza granice eksperymentowania i poznawania nowości. Konsumujesz wszystko bezkrytycznie. Nie zostajesz z żadnym z tych mężczyzn na tyle długo, żeby się o nim czegokolwiek dowiedzieć. To dla ciebie zabawa. Co więcej, ty w ogóle nie chcesz dokonać wyboru. Wydaje mi się, że chcesz w ten sposób spędzić całe życie.

Zarzuciła mu ręce na szyję, uśmiechnęła się. Była śliczna i potrafiła być czarująca.

– Och, Alan, zachowujesz się jak guwernantka! I masz taką surową minę! Spójrz na to inaczej, w pewnym sensie jestem ci wierna! Jesteśmy razem od prawie czterech lat. Bez względu na to, co robię, nigdy naprawdę z tobą nie zerwałam.

Wyswobodził się z jej ramion. To, co mówiła, było śmieszne,

upokarzające.

– Nie, nie jesteśmy razem od prawie czterech lat! Od prawie czterech lat co jakiś czas przyjmujesz mnie w poczet swoich kochanków! Lubisz spędzać ze mną czas, tak, ale nie jesteś gotowa na budowanie związku.

– Przecież jesteśmy w związku!

– Wybacz, ale bardzo prawdopodobne, że każde z nas inaczej rozumie słowo „związek”. Dla mnie to oznacza zaufanie, świadomość, że mogę polegać na drugiej osobie. Rozumiesz? A tym samym w związku nie ma miejsca na osoby trzecie. I dlatego kiedy jestem z tobą, nie chodzę do łóżka z innymi kobietami.

– A mógłbyś.

– Jeśli mówisz to poważnie, wcale mnie nie kochasz!

– Och! – odwróciła się zirytowana i znudzona zarazem. – Nie kocham! Alan, mam dwadzieścia jeden lat! Czego ty ode mnie chcesz? Przysięgi na wieczność? Ślubu wierności? Deklaracji, że ty i tylko ty? Może w twoim wieku to normalne, ale ja jestem na coś takiego za młoda!

Oczywiście trafiła w dziesiątkę. Właśnie tu był pies pogrzebany. Przypomniał to sobie teraz, w upalne wrześnie popołudnie, gdy zaparkował pod jej domem i czuł, jak powoli rozplywa się w samochodzie, wbity w skórzany fotel. Różnica wieku była zbyt duża. Miał czterdzieści dwa lata, Maja wkrótce będzie obchodziła dwudzieste drugie urodziny. Był od niej o dwadzieścia lat starszy, po prostu. Wcale nie czuł się stary, ale w jej oczach oczywiście był. Miał inne oczekiwania, bo znajdował się w innym momencie życia niż ona. Chociaż nie przypominał sobie, by nawet jako dwudziestolatek prowadził równie hulaszczy tryb życia. Tak naprawdę nie znał nikogo, kto zachowywałby się tak jak ona.

„Zapomnij o niej – upomniał się znużony – trzymaj się od niej z daleka, do cholery!”

Postanowił sobie wcześniej, że podczas tego pobytu na Guernsey jej nie odwiedzi. Podczas ostatniego spotkania w lecie, jakoś na początku czerwca, powiedział jej, że jeśli o niego chodzi, ich związek to już przeszłość. Zbyła go wzruszeniem ramion.

– I tak właściwie się nie widywaliśmy – zauważyła. – Ty w Londynie, ja tutaj... Kilka razy do roku, kiedy tu jesteś... ale sam tego chciałeś!

– Przecież chciałem, żebyś zamieszkała w Londynie!

– Owszem, ale na twoich warunkach. Chciałeś, żebym się uczyła, żebym pracowała, żebym...

– Żebyś w końcu zrobiła maturę, owszem. Ale i tak mogliśmy zamieszkać razem. Zająłbym się tobą, wiesz przecież.

– Doprawdy, Alan, ależ z ciebie ostoja moralności. Jeśli będę grzeczna, spotka mnie nagroda, tak? Nie możesz mnie traktować jak małą dziewczynkę. Jestem już dorosła.

– Więc zachowuj się jak dorosła! Uporządkuj swoje życie. Nie możesz dalej tak funkcjonować. Żyjesz z dnia na dzień, śpisz do południa, po południu się obijasz, a w nocy balujesz. Pozwalasz, żeby babka cię utrzymywała, i chyba liczysz na to, że zawsze tak będzie!

– Bo będzie. Niby dlaczego mam się teraz martwić tym, co będzie za dziesięć lat? Zawsze coś się znajdzie!

– Mae nie będzie żyła wiecznie.

– To znajdzie się ktoś inny.

– Chcesz powiedzieć: mężczyzna?

– Tak. Zawsze znajdzie się jakiś mężczyzna.

Wpatrywał się w nią w zadumie, w jej beztrzesko uśmiechnięte usta, w błyszczące oczy.

– Maju, nie zawsze będziesz miała dwadzieścia lat. Nie zawsze będziesz taka ładna jak teraz. Rozumiesz? Nie zawsze mężczyźni będą się o ciebie zabijać.

– A ty, Alan, zawsze tylko narzekasz. Przedstawiasz wszystko w najczarniejszych barwach! Jesteś tak strasznie nudny i ponury! Każdemu od razu psujesz humor! – Roześmiała się przy tych słowach, myślami była daleko od wszelkich posępnych perspektyw.

Kiedy tego dnia wysiadał z samolotu z Londynu na lotnisku St. Martin, myślał o tym, że mało prawdopodobne, by udało mu się uniknąć spotkania z Mają. Zapewne przyjdzie w niedzielę na urodziny jego matki. Złościło go, że w ogóle zawracał sobie tym głowę, ale bał się tego spotkania. Bał się, że wyczyta z jego twarzy uczucie, którym ją darzył, które od lat tyleż rozpaczliwie co daremnie starał się zwalczyć. Intrygowało go, dlaczego nie był w stanie raz na zawsze wyrzucić Mai z serca. Dlaczego ciągle była

obecna w jego życiu? W jego londyńskim mieszkaniu, w biurze. Kiedy spotykał się z przyjaciółmi, ba, nawet kiedy był z innymi kobietami. Nie mógł o niej zapomnieć.

„Co za dziadostwo” – pomyślał.

Wynajął samochód na lotnisku, ale zamiast od razu pojechać od matki, do Le Variouf – na co zresztą wcale nie miał ochoty, a co i tak nastąpi szybciej, niżby sobie tego życzył – skręcił do St. Peter Port i podjechał pod dom Mai. Mieszkała w ślicznym dwupokojowym mieszkanku, które opłacała jej babka Mae. Z okien w tylnej części rozciągał się wspaniały widok na morze i zamek Cornet, twierdzę w miejskim porcie.

Już miał wracać do auta, gdy nagle zobaczył Maję. Schodziła w dół stromą uliczką, szła powoli, w rytmie narzucanym przez upał. Miała na sobie krótką, wąską spódniczkę i białą koszulkę, która kończyła się powyżej talii i odsłaniała pępek. Długie, opalone nogi nikły w tenisówkach. Jak zawsze sprawiała wrażenie osoby całkowicie beztroskiej.

Mężczyzna, który jej towarzyszył, wydał się Alanowi co najmniej podejrzany. Typ południowca, z mnóstwem żelu we włosach i lustrzanymi okularami na nosie. Był szczupły, ale przystojny i na pewno silny. Wyglądał zupełnie jak sutener z przedmieścia.

„I może właśnie nim jest” – pomyślał Alan.

Oczywiście twardo siedział dalej i miał nadzieję, że Maja go nie zobaczy. Nie było szans, że rozpozna samochód, zresztą mało prawdopodobne, by przyglądała się jakoś szczególnie uważnie. Uśmiechała się promiennie do swego towarzysza, choć ten nie odwzajemniał uśmiechu. W ślad za nią wszedł do domu. Drzwi zamknęły się za nimi. Alan powtarzał sobie, że teraz najrozsądniej byłoby wcisnąć gaz do dechy i odjechać, jakiegokolwiek inne zachowanie to masochizm w czystej postaci, czemu właściwie ma się dręczyć wyczekiwaniem, aż ci dwoje wreszcie skończą to, po co weszli do domu? A jednak coś go powstrzymywało, kazało mu tam tkwić, cierpieć i sterczeć pod jej oknami, podczas gdy ona świetnie bawiła się w środku.

„Kiedyś to się skończy” – powtarzał sobie, przy czym nie chodziło mu o jej seksualne gierki, tylko o własną obsesję. Pewnego ranka obudzi się i stwierdzi, że już nie kocha Mai Ashworth. Że to już przeszłość, że znowu

jest wolny. Że może już kochać inne kobiety i cieszyć się życiem.

Około szóstej poczuł, że dłużej nie wytrzyma. Cały czas dręczyło go pragnienie, zresztą nie było w tym nic dziwnego w taką pogodę. Ale coraz bardziej uświadamiał sobie, że marzy mu się bardzo specyficzny środek mający ugasić jego pragnienie. I nie chodziło mu o wodę czy sok pomarańczowy. Potrzebował czegoś mocniejszego. Jak zawsze. Jak prawie codziennie.

Bardzo blisko domu Mai znajdował się pub, który otwierał podwoje o szóstej. Kiedy Alan wszedł do środka, oprócz niego w lokalu było jedynie czworo młodych ludzi siedzących przy kontuarze. Wielki plakat zapowiadał wieczorny koncert na żywo. Zamówił whisky i usiadł przy wielkim kamiennym kominku naprzeciwko baru. Był to duży, dwupiętrowy lokal z potężnymi belkami pod sufitem, zastawiony drewnianymi stołami i krzesłami. O ile pamiętał, wieczorami pub pękał w szwach, teraz jednak minęło prawie czterdzieści pięć minut, zanim weszło dwóch kolejnych gości, najwyraźniej rybaków, którzy rozmawiali o wyprawie do Sark z turystami. Alan tymczasem wychylił jeszcze dwie szklaneczki whisky i trzy razy był w łazience. Kusiło go, by zamówić kolejną whisky, ale przypomniał sobie, że czeka go jeszcze jazda samochodem, i pomyślał, że matka znowu będzie narzekała, gdy poczuje od niego zapach alkoholu. Cały czas gapił się na drzwi, jakby się spodziewał, że lada chwila do środka wejdzie Maja z nowym facetem. Wiedział, że czasami tu zaglądała. Dzisiaj jednak najwyraźniej wolała zostać w łóżku albo wybrała się z kochankiem gdzie indziej. Wstał z trudem, podszedł do baru, zapłacił, a potem wyszedł na dwór.

Dawało się już zauważyć nadciągającą jesień. Słońce zniknęło za domami, w cieniu było chłodno. O tej porze na dworze przydawał się ciepły sweter.

„Już wkrótce dni będą szare – pomyślał. – Zwłaszcza w Londynie. Wieczory są długie, ciemne i ponure. Trzeba całego morza whisky, by je znieść”.

Okna Mai były ciemne, co jednak wcale nie musiało oznaczać, że wyszła. Może po prostu zasnęli. Dzięki whisky ta myśl nie była tak bardzo bolesna.

„To nie moja sprawa – powtarzał sobie – nic mnie to nie obchodzi”.

Zobaczył tę kobietę, gdy chciał zamknąć samochód. Stała na chodniku po drugiej stronie wozu. W pierwszej chwili pomyślał, że może miała problem z przecięnięciem się między samochodem a murem, bo zaparkował okropnie niezdarnie i rzeczywiście blokował prawie cały chodnik. Zaraz jednak zobaczył, że ona trzyma się dwiema rękami dachu samochodu. Była śmiertelnie blada, miała sine usta, jej skóra lśniła od potu.

– Dobrze się pani czuje? – Nie bardzo mógł odjechać, póki trzymała się kurczowo jego dachu. – Może pani pomóc?

Do tej chwili chyba go nie zauważyła, bo skuliła się w sobie i przyglądała mu się ze zdziwieniem. W jej oczach wyczytał zaskakującą rozpacz. Wydawało mu się, że wytrzeźwiał w ułamku sekundy.

– Może za szybko biegła pani pod górę? – zastanawiał się na głos. – Przy takim upale to może mieć opłakane skutki. Może usiądzie pani na chwilkę... Proszę poczekać, tylko otworzę samochód.

W aucie nie było centralnego zamka. Alan podszedł do wozu od jej strony, otworzył drzwiczki od strony pasażera.

– No, dobrze. Proszę usiąść. Wygląda pani, jakby miała zaraz zemdleć.

Niemal bezgłośnie poruszyła szarymi ustami. Usiłował zrozumieć, co chciała powiedzieć.

– Musi pani mówić trochę głośniej. Co się stało?

Opadła na fotel. Gestem znamionującym totalne wyczerpanie odchyliła głowę do tyłu i zamknęła oczy. Otworzył bagażnik, poszperał w torbie, znalazł kostki glukozy, wyjął je i wrócił do kobiety. Rozwinął kotkę cukru z celofanu.

– Proszę to zjeść, poczuje się pani lepiej.

Nie zareagowała, więc po prostu wsunął jej kostkę między zęby. Przez moment odpychała ją językiem, ale potem się poddała.

– Proszę tego nie gryźć – polecił z przejęciem. – Tylko pozwolić, by tabletkę się rozpuściła.

Otworzyła oczy.

– Już... mi... lepiej – wymamrotała.

– Ciągle bardzo źle pani wygląda. Może zawieźć panią do lekarza?

Przecząco pokręciła głową.

– Ja... nie mam gdzie mieszkać – wykrztusiła z trudem.

Dopiero teraz uświadomił sobie, co go tak bardzo irytowało: choć mówiła płynnie po angielsku, była cudzoziemką. Na pewno nie pochodziła z wyspy, nie była też Angielką. Pewnie turystka. Bez noclegu? Z drugiej strony, nie wyglądała na bezdomną. Znowu zamknęła oczy, dzięki czemu miał okazję przyjrzeć się jej dokładniej.

Nie był w stanie stwierdzić, czy jest ładna, czy nie. Jak dla niego była zbyt bezbarwna. Chuda, blada, bez makijażu. Jasne włosy związane zwykłą gumką. Miała na sobie dzinsy i jasny bawełniany sweterek, pognieciony i chyba przepocony. Być może mogłaby coś z sobą zrobić, ale najwyraźniej nie przywiązywała wagi do tego, jak wygląda.

– Nie ma pani gdzie mieszkać? – powtórzył. – A kiedy pani przyjechała?

Ponownie uniosła powieki. „Ma piękne oczy – zauważył. – O intrygującym niebieskozielonym odcieniu, ocienione zaskakująco długimi rzęsami”.

– Dzisiaj przyjechałam – odparła. – Z Niemiec.

– I nie ma pani gdzie przenocować?

– Coś poszło nie tak z rezerwacją. – Miała coraz przytomniejsze spojrzenie. Wyprostowała się. – Już mi lepiej. Naprawdę, czuję się już dużo lepiej.

Rzeczywiście, na jej policzkach dostrzegł lekki rumieniec.

– I o wiele lepiej pani wygląda. Ale proszę jeszcze nie wstawać – dodał pospiesznie, widząc, że próbuje się podnieść. – Na to chyba nie jest pani jeszcze gotowa.

– Sekretarka mojego męża miała mi zarezerwować pokój, ale najwyraźniej coś poszło nie tak – wyjaśniła.

– A gdzie chciała się pani zatrzymać?

– W zajeździe St. George, jak zawsze. Zostawiłam tam bagaże. Pan Karim, właściciel, wykonał kilka telefonów, ale nie udało mu się znaleźć żadnego wolnego pokoju. Wybierałam się do informacji turystycznej, wie pan, koło portu, i po drodze wstąpiłam do... – Zmarszczyła czoło. – Zaraz, jak to się nazywa? Taka samoobsługowa restauracja koło kościoła. Trochę egzotyczna...

Wiedział, o czym mówiła.

– The Terrace. Pewnie tam pani była.

– Tak. Stałam w kolejce do kasy. Już miałam na tacy jedzenie i napój, już byłam blisko, i wtedy... – Urwała.

Przyglądał jej się uważnie.

– Tak?

– Wpadłam w panikę – podjęła cicho. – Pomieszczenie wirowało mi przed oczami. Ci wszyscy ludzie... W ułamku sekundy straciłam panowanie nad sobą. Musiałam stamtąd wyjść, nie myślałam o niczym innym... wszystko poleciało mi z rąk, to znaczy cała taca i to wszystko, co na niej było...

– I wybiegła pani?

– Tak, po prostu uciekłam. Chciałam wrócić do hotelu, do moich rzeczy... Pobiegłam wzdłuż ulicy i nagle nie mogłam zrobić ani kroku dalej. Nogi się pode mną ugięły... złapałam się pańskiego samochodu... – Po raz kolejny usiłowała wstać, lecz Alan delikatnie przytrzymał ją na miejscu.

– Jeszcze moment. Cały czas jest pani bardzo blada.

– Zabieram panu czas...

– Wcale nie. Wie pani co? Wejdźmy tu naprzeciwko, do The Cock and Bull. – Wskazał pub po przeciwnej stronie uliczki. – Napijemy się po kieliszku. To pani dobrze zrobi.

– Muszę poszukać noclegu.

– I tu chyba mogę pani pomóc. Moja mama czasami wynajmuje pokoje u siebie w domu. Zadzwońię do niej i jeśli akurat ma wolny pokój, będzie pani mogła się u niej zatrzymać. Co prawda Le Variouf leży na odludziu, na południowym skraju wyspy, ale to chyba pani nie przeszkadza?

– Ani odrobinę. Chciałabym już wiedzieć, gdzie spędzę dzisiejszą noc.

Przytrzymując się uchylonych drzwi samochodu, dźwignęła się powoli. Nadal nieco niepewnie trzymała się na nogach, ale widać było, że czuje się już lepiej.

– Muszę jeszcze wrócić do The Terrace – powiedziała. – Chciałabym zapłacić za naczynia, które potłukłam.

– Obawiam się, że już zamknęli. Ale może pani jutro tam wrócić, sprawa nie jest taka pilna. – Zastanawiał się, czy nie przytrzymać jej za

rękę, ale zdecydował, że jednak lepiej nie. Będzie szedł koło niej i w razie czego zawsze zdąży ją podtrzymać, gdyby zauważył, że znowu robi jej się słabo. Ale z każdym krokiem poruszała się pewniej.

Właściwie dlaczego to robił? Wcale mu się jakoś specjalnie nie podobała, a teraz w pewnym sensie miał ją na głowie. Szedł z nią na drinka i właściwie wziął na siebie problem załatwienia jej noclegu. Jeśli się okaże, że matka akurat nie ma wolnego pokoju albo po prostu chwilowo nie chce przyjąć nikogo pod swój dach – co się czasami zdarzało, a kiedy matka się przy czymś uprze, nie ma zmiłuj – nie wyrzuci przecież tej znerwicowanej bieduli w środku lasu. Będzie musiał coś jej załatwić.

„Podejrzewam – pomyślał z bezlitosną szczerością – że robię to jedynie dlatego, że dzięki temu mam pretekst, by ponownie wejść do knajpy i czegoś się napić”.

The Cock and Bull zdążył się zapełnić gośćmi. Większość opierała się o bar, kilka osób stało przy kominku. Muzycy z zespołu, który miał wystąpić na żywo, właśnie przyszli i rozpakowywali instrumenty. Jeden z nich dostrajał wiolonczelę.

Kobieta zatrzymała się w progu. Miała taką minę, jakby chciała odwrócić się na pięcie i uciec.

– Tyle tu ludzi...

– Wcale nie. W takim dużym pomieszczeniu wszyscy nikną. – Oby tylko nie zmieniała zdania, przecież już niemal czuł smak alkoholu i nagle nie mógł myśleć o niczym innym. – Proszę usiąść przy drzwiach, dzięki temu będzie pani miała wrażenie, że może w każdej chwili wyjść.

Czarował ją i namawiał tak długo, aż w końcu przycupnęła z wahaniem na skraju krzesła, cały czas gotowa do ucieczki, z taką miną, jakby wszędzie czyhało na nią nie lada niebezpieczeństwo. Podszedł do baru, zapytał, czy może zadzwonić, i już po drodze wychylił pierwszą szklaneczkę. Nieznajoma działała mu na nerwy, ale alkohol pomógł się uspokoić. Przynajmniej na tyle, że był w stanie wysłuchać wyrzutów matki, o których wiedział, że nadejdą.

Oczywiście, że się martwiła. Wiedziała przecież, o której wylądował, i zamartwiała się, gdzie się podziewał.

– Nie mogłeś chociaż zadzwonić? Gdzie ty właściwie jesteś? W knajpie?

Ponieważ zapewne słyszała knajpiane odgłosy w tle, nie mógł się wypierać.

– Tak, ze znajomą. – Nie wiedział nawet, jak się nazywa, ale nie musiał tego od razu mówić matce. – Posłuchaj, mam, czy pokój gościnny jest wolny? Zgodziłabyś się na gościa?

Zgodnie z jego oczekiwaniami, nie była zachwycona.

– Szczerze mówiąc, nie. W niedzielę mamy wielką imprezę, mam pełne ręce roboty i...

– Ta kobieta sama się sobą zajmie. – Wydała mu się bardzo neurotyczna, ale to na wszelki wypadek zachował dla siebie. – Później z nią przyjadę. Nie ma gdzie przemocować, więc byłoby fajnie, gdybyś jej pomogła.

Westchnęła.

– Najważniejsze, że w końcu się pokażesz. Od dawna nie było cię na Guernsey, a kiedy w końcu się zjawiasz, spędzasz całe popołudnie w barze. Martwię się o ciebie, Alan. Wiesz sam, czym to się u ciebie kończy, gdy zaczynasz pić. Chyba...

Nie mógł tego dłużej słuchać.

– Do zobaczenia, mam. Przyjadę w miarę wcześniej! – Odłożył słuchawkę, zamówił dwie whisky i wrócił z nimi do stolika. Nieznajoma nadal siedziała na skraju krzesła, przycupnięta tak niepewnie, że obawiał się, by lada chwila nie zsunęła się na podłogę.

– Proszę. – Postawił przed nią szklanekę. – Proszę to wypić. A przy okazji, nazywam się Alan Shaye.

– Karin Palmer. Z Berlina. – Zamoczyła usta w whisky. Jej rozbiegane spojrzenie błędziło po lokalu, by w końcu zatrzymać się na Alanie. – I co powiedziała pańska mama?

– Załatwione. Pokój jest wolny, może się pani w nim zatrzymać. – Usiadł koło niej. Zapach słodki w szklance doprowadzał go do szaleństwa. Wiedział, że nie powinien tu wracać. Teraz pewnie nie uda mu się przestać pić i wiedział dobrze, jak to się skończy: Alan Shaye, zapłakana kupka nieszczęścia, czołgająca się po podłodze.

Widział, że Karin powoli się odpręży, jakby świadomość, że będzie miała gdzie spać, dodała jej trochę sił.

– Mój Boże – mruknęła. – Co za dzień!

– Najwyraźniej było tego wszystkiego trochę dla pani za dużo – stwierdził Alan. – I układ krążenia zastrajkował. Jutro na pewno poczuje się pani o wiele lepiej.

Znowu zmrużyła oczy. Szalał wewnątrz, widząc, że prawie nie tknęła swojej whisky, a w jego szklaneczce znowu pokazało się dno. Najchętniej sięgnąłby po jej szklankę i wypił.

– Jutro muszę iść do banku – powiedziała.

– To żaden problem. Z Le Variouf może pani pojechać autobusem, ale prawdopodobnie ktoś panią podwiezie. Jestem pewien, że jutro moja mama będzie się wybierała do St. Peter Port, ja prawdopodobnie też. Proszę nie zawracać sobie tym głowy.

Westchnęła głęboko, nerwowo bawiła się szklanką.

„Czego właściwie ona się tak panicznie boi? Wygląda jak zając wpatrzony w lufę strzelby”.

– Zostaję na Guernsey do poniedziałku – oznajmił. Właściwie nie miał powodu, by opowiadać nieznanym o swoim życiu, ale chciał, żeby wciągnęła go w rozmowę, przede wszystkim po to, żeby odepchnąć od siebie natrętne myśli o kolejnej szklaneczce whisky. – Mieszkam w Londynie, ale dorastałem tutaj, na wyspie. Rodzina mojej matki mieszka tu od pokoleń.

– A czym zajmuje się pan w Londynie? – zapytała grzecznie. – W sensie zawodowym.

– Jestem prawnikiem.

– Ciekawy zawód.

– Podoba mi się. Odkąd pamiętam, chciałem zostać prawnikiem. – Zamyślił się na chwilę. – W Londynie też mi się bardzo podoba. Nie chciałbym mieszkać w żadnym innym mieście. Była pani kiedyś w Londynie?

– Nie. Jako dziecko trochę podróżowałam, ale w Londynie jeszcze nigdy nie byłam.

– A teraz w ogóle pani nie podróżuje?

Pokręciła przecząco głową.

– Od dziesięciu lat właściwie nie.

– A dlaczego nie?

Zorientował się, że tym pytaniem wprowadził ją w zakłopotanie.

– Oczywiście, jeśli nie chce pani odpowiadać...

– Nie, nie. – Zamyśliła się. – Tylko naprawdę nie wiem, co odpowiedzieć. To długa historia.

Właściwie nie miał ochoty wysłuchiwać historii jej życia, bo podejrzewał, że jest po prostu cholernie nudna. Ale zarazem nie chciał wracać do domu. Zdawał sobie sprawę, że był już przynajmniej nieźle wstawiony i po prostu nie wytrzyma narzekania matki. Nie chciał też iść spać. W łóżku zapewne zacznie rozmyślać o Mai, potem o sobie i wszystko skończy się koszmarne bolesną autoanalizą.

– Niech pani opowiada – zachęcił. – Skoro mało brakowało, a straciłaby pani przytomność w moim samochodzie...

Uśmiechnęła się, ale był to wymuszony grymas.

– Od czego zacząć? Ja... – Urwała nagle, spoważniała i ten wyraz twarzy, stwierdził Alan, pasował jej o wiele bardziej niż udreńczony grymas, który widział u niej do tej pory. – Właściwie można to powiedzieć w kilku słowach. Byłam nauczycielką. Poniosłam zawodową klęskę. Od tego czasu nigdy w pełni nie pozbierałam się psychicznie. Od kilku lat jestem na silnych środkach uspokajających. Bez nich właściwie nie wychodzę z domu.

– Och – stwierdził zdumiony. Nie przyszło mu do głowy, że ta nudziara jest uzależniona do tabletek. „Chociaż jak właściwie twoim zdaniem wyglądają lekomanki? – skarcił się w myślach. – Przecież takie rzeczy zdarzają się także ludziom, którzy wyglądają zupełnie normalnie”.

– Czyli dzisiaj... – domyślił się.

Karin skinęła głową.

– To nie przez upał. I to nie krażenie. Zapomniałam tabletek. Zostały w domu, w Niemczech. Miałam przy sobie tylko jedną. Zażyłam ją już w samolocie, ale w końcu przestała działać, wtedy w kolejce do kasy w The Terrace. No cóż. – Wzruszyła ramionami. – Dalej już pan wie.

– Tak, dalej już wiem. – Wstał. – Przepraszam panią na chwilę, zamówię sobie jeszcze jedną whisky. – Z pewnym trudem udało mu się iść do baru w linii prostej. Kręciło mu się w głowie i miał nadzieję, że da radę

dojechać samochodem do domu. „Właściwie nie powinienem więcej pić” – pomyślał, ale jednocześnie wiedział, że nie zrezygnuje z następnej kolejki. Całe jego ciało domagało się alkoholu. I dusza także. Z każdym łykiem Maja stawała mu się bardziej obojętna, ale jeszcze nie całkiem. Jeszcze jedna, dwie kolejki i będzie mógł spokojnie obserwować, jak się bzyka ze wszystkimi facetami na wyspie.

Trochę chwiejnym krokiem wracał ze szklaneczką w ręku do stolika, przy którym poblada Niemka cały czas nerwowo kołysała się na krześle, kurczowo zaciskała dłonie na swojej ciągle pełnej szklance i z przerażeniem patrzyła na każdego, kto wchodził do pubu.

„Ależ z niej mięczak” – pomyślał w nagłym przypływie agresji i jednocześnie zachciało mu się śmiać. Kim on jest, żeby tak myśleć? Czepiał się alkoholu równie kurczowo jak ona tabletek. Jego lęki, jego wątpliwości i fobie były zapewne innej natury niż jej, choć to w gruncie rzeczy nie miało znaczenia. On nie potrafił żyć bez whisky, ona łykała środki uspokajające, żeby odważyć się wyjść z domu.

„No to naprawdę dobraliśmy się jak w korcu maku” – pomyślał, a widząc jej umęczoną twarz, uznał, że to mało przyjemna konstatacja. On chyba nie wydaje się tak niezrównoważony? A może jednak, tylko sam nie zdaje sobie z tego sprawy?

– Ale co jakiś czas jednak pani podróżuje, prawda? – zauważył. – W innym wypadku nie byłoby pani tutaj.

– Dwa razy do roku – odparła. – Dwa razy do roku przylatuję na Guernsey na dwa, trzy dni. I tyle.

– I daje pani radę?

Przepraszająco wzruszyła ramionami.

– Owszem, z tabletkami.

– A dlaczego przylatuje pani na tak krótko? Na te dwa-trzy dni właściwie nie opłaca się przyjeżdżać. I nie można poznać wyspy.

Poruszyła się niespokojnie.

– Jestem tu służbowo. W interesach męża.

– Rozumiem.

I naprawdę rozumiał. Zapewne chodziło o podatki. Domyślał się, że Karin podejmowała tu pieniądze, które jej mąż lokował na Guernsey, z dala

od niemieckiego urzędu podatkowego. Od tego typu interesów roilo się na wyspie. Nic go to nie obchodziło. Nawet jeśli chodziło o nielegalne machinacje, to nie była jego sprawa.

– Powinna pani zostać trochę dłużej – namawiał. – Choćby teraz. Pogoda jest cudowna i tak ma być do końca przyszłego tygodnia. Mogłaby pani pozwiedzać, popływać, trochę odpocząć.

Uśmiechnęła się znużona.

– To niemożliwe. Muszę jak najszybciej wracać do domu. Nie poradzę sobie bez tabletek, muszę dostać receptę od lekarza. Pan nie rozumie... – Zmarszczyła czoło, rozważała w napięciu, w jaki sposób wytłumaczyć mu swoją skomplikowaną sytuację. – Bez lekarstw czuję się bardzo źle. Nie ręcę za siebie, mam straszne napady paniki, z którymi nie wiem, jak sobie radzić.

– Dzisiaj pani sobie poradziła.

Przyglądała mu się ze zdumieniem.

– Jak to?

– No przecież mniej więcej dwie godziny temu taki atak paniki dopadł panią w The Terrace. I nie mogła się pani poratować tabletkami. Więc pani przetrzymała.

– Cóż, ja...

– Nie, pani *naprawdę przetrzymała atak paniki*. Było ciężko, było strasznie, ale nie umarła pani od tego.

– Ale *wydawało* mi się, że umieram. Nie miałam pojęcia, co robić...

Tym razem się nie wahał, żeby jej dotknąć. Kojącym gestem położył jej rękę na ramieniu. Wyczuwał, jak delikatnie drży na całym ciele.

– Pani się tylko *wydawało*, że umiera. Owszem, rozumiem to. Myślała pani, że tego nie wytrzyma. Ale co było potem?

– Zjawił się pan i mnie uratował.

Przecząco pokręcił głową.

– Ja tylko pozwoliłem pani posiedzieć w moim samochodzie, ale nie to było decydujące. Panika ustąpiłaby tak czy inaczej. Tak po prostu jest.

– Skąd pan to wie?

– Wydaje mi się, że taka jest zasada, a pani przypadek tylko ją potwierdza. Przypuszczam, że po raz pierwszy od dawna pozwoliła pani,

by panika osiągnęła punkt kulminacyjny. Z konieczności, bo nie mogła pani odpowiednio wcześniej zdusić ataku tabletkami. Ale nic, naprawdę nic nie może wznieść się dalej niż na najwyższy punkt. A potem zaczyna opadać. Zupełnie jak pływy morza. Fale piętrzą się, narastają straszne i groźne, coraz większe, aż w pewnym momencie osiągają punkt kulminacyjny, wznoszą się, załamują. A później już miękko suną po piasku.

Odsunęła od siebie szklaneczkę.

– Jestem bardzo zmęczona. Możemy już jechać?

Jego szklaneczka znowu była pusta. Zazwyczaj piłby dalej, aż do nieprzytomności, był już na najlepszej drodze. Ale może powinien posłuchać jej prośby, potraktować to jako ostrzeżenie. Jeśli teraz wróci z nią do domu, uchroni się przed katastrofalnym upadkiem – i morderczym kacem następnego dnia.

– Dobrze, chodźmy – zgodził się. Wstał. Niemal tracił rozum, widząc złocisty płyn w jej szklaneczce – whisky, której ona już nie dopije, a on...

Nie, nie zrobi tego. Nawet osoba tak niezrównoważona jak ona poradziła sobie bez środków odurzających; musiał udowodnić, że jego też na to stać.

– Nie wolno pani nigdy zapomnieć tego dnia – oznajmił, gdy razem wyszli w ciemność. Chłodne, słone powietrze dobrze im zrobiło. – Musi pani zapamiętać, jak się pani czuła, gdy przyszła panika, a pani nie miała nic na swoją obronę. Jak to było, gdy strach narastał, dławił panią, aż była pani przekonana, że umrze. Jak pani zapadła się w sobie. A potem mogła pani znowu oddychać równo i spokojnie. Drżenie ustąpiło. Myśli odzyskały jasność i stwierdziła pani, że jednak przeżyje. Już zawsze tak będzie.

– Jak? – zdziwiła się.

– Nigdy pani od tego nie umrze. Przetrwa pani każdy atak paniki. A to oznacza, że nie musi się pani bać tak bardzo jak teraz.

Odpowiedziała ledwie słyszalnym głosem:

– A jednak się boję. I obawiam się, że nie będę w stanie zwalczyć tego strachu.

– A może? Ilekroć przypomni sobie pani dzisiejszy dzień. – Zatrzasnął

za nią drzwiczki. – To zapewne pierwszy raz od dawna, gdy przetrwała pani atak paniki, prawda?

– Tak.

– Może pani być z siebie dumna. Wygrała pani i to, co udało się pani raz, uda się jeszcze wiele razy.

Na chwilę zamknęła oczy.

– Czy możemy już jechać?

– Najpierw wstąpimy do Rezy Karima po pani bagaż, dobrze? – przypomniał.

Nie odpowiedziała. Odrzuciła głowę do tyłu, ufna jak małe dziecko.

„Ten dzień nie mógł się skończyć inaczej – pomyślał zrezygnowany. – Niepotrzebnie tu przyjechałem”.

Po raz ostatni zerknął w górę, w okna Mai.

W mieszkaniu nadal było ciemno.

„Koszmarne podwójne urodziny, które co roku trzeba obchodzić z taką pompą” – pomyślała Beatrice zirytowana. Osobiście pozwoliłaby bez mrugnięcia okiem, żeby piąty września minął niezauważony. Uważała fakt, że człowiek postarzał się o kolejny rok, za niezbyt wdzięczny powód do świętowania, a już zwłaszcza gdy przekroczyło się siedemdziesiątkę. Przecież w życiu spotka ją już niewiele dobrego i bardzo ją drażniło, gdy goście starali się osłodzić jej gorzką pigułkę, życząc właśnie tego:

– Sama się przekonasz, Beatrice, życie szykuje ci jeszcze niejedną niespodziankę – zapewniła Mae i przytuliła ją serdecznie, wręczając apaszkę od Hermèsa. Beatrice nigdy jej nie włoży, o czym Mae doskonale wiedziała, ale nie poddawała się i za wszelką cenę usiłowała zrobić z przyjaciółki prawdziwą damę.

„Kropla draży skałę” – mawiała często Mae, choć Beatrice nie wydawało się to odpowiednie w tym wypadku.

– Moja droga, wcale nie mam ochoty na niespodzianki – zauważyła, na co Mae odparła, że los nie pyta nas, na co mamy ochotę. Właściwie nigdy. Mae uwielbiała pustą paplaninę muśniętą nutką filozofii, czyli durną pop-psychologię, jak określała to w duszy Beatrice.

Tego dnia zawsze trzymała się na uboczu, pozwalała, żeby to Helene była w centrum zainteresowania jako gwiazda przyjęcia, jubilatka. Helene co roku domagała się imprezy i Beatrice jeszcze nigdy nie zdobyła się na to, by jej tego odmówić. Choć sama czuła się fatalnie, rozpromieniona twarz Helene sprawiała, że łatwiej jej było się pogodzić z gwałtem, który, tak to odczuwała, jej zadawano. Helene, często ponura i sfrustrowana, tego dnia uśmiechała się, a w jej oczach widniał błysk, którego na co dzień nigdy tam nie było. Zakładała letnią sukienkę w kwiaty, właściwie nieodpowiednią dla jej wieku, ale cała garderoba Helene składała się z sukienek przeznaczonych dla kobiet co najmniej trzydzieści lat od niej młodszych. Malowała się mocno, nie żałując szminki ani różu, w upięte włosy wsuwała

sztuczną różę i z kieliszkiem szampana w dłoni gawędziła z gośćmi, swobodna i zrelaksowana.

Beatrice obserwowała Kevina, który stał przy bufecie, przyglądając się nieufnie wszystkim potrawom. Jako świetny kucharz miał bardzo wysokie wymagania i mało co spełniało jego oczekiwania. Beatrice z rozbawieniem stwierdziła, że pewnie teraz też dostrzegł coś, co mu nie odpowiadało. Catering zapewniała bardzo dobra firma z St. Peter Port, ale Kevin na pewno znajdzie włos w zupie, zadzwoni jutro i będzie narzekał ostrym głosem.

– Witaj, Beatrice – odezwał się ochryply kobiecy głos. – Wyglądasz, jakbyś chciała uciec na koniec świata.

Beatrice się odwróciła. Maja podeszła do niej i przyglądała się jej ironicznym wzrokiem. Miała na sobie strzęp sukienki, małe czarne nic, które odsłaniało zdecydowanie zbyt wiele opalonego ciała. Jej rozpuszczone włosy spływały na plecy. Paznokcie dłoni i stóp pomalowała na czarno, na prawym przegubie pobrzękiwały cienkie srebrne bransoletki.

– Witaj, Maju – odpowiedziała Beatrice. Jak zawsze, gdy nie widziała jej choćby przez jeden dzień, oszołomiła ją uroda młodej kobiety. Maję otaczała aura młodości i zmysłowości, która sprawiała, że zwykli śmiertelnicy zapominali czasem przy niej języka w gębie. Sprawiała wrażenie, że cały czas prowokuje i czeka. Jej małe, jędrne piersi zdawały się rzucać wszystkim wyzwanie.

– Wystarczy, żeby ta dziewczyna skinęła ręką, powiedziała jedno zdanie albo po prostu stała bez ruchu – powiedziała kiedyś Mae – a już ma się wrażenie, że zaprasza człowieka do łóżka. Zastanawiam się, co to jest! Chyba sama nie ma na to wpływu!

„Ale doskonale zdaje sobie z tego sprawę – pomyślała teraz Beatrice. – Wie dobrze, jak działa na innych i bardzo świadomie się tym posługuje”.

– Właściwie powinnam ci teraz złożyć życzenia urodzinowe – powiedziała Maja. – Ale ponieważ domyślam się, że nie masz ochoty ich słuchać, odpuśćę sobie. Może zamiast tego coś ci podać?

– Nie, dziękuję. Nie pojmuję, jakim cudem możecie wypić tyle szampana. Dla mnie jest za gorąco na alkohol.

– Och, akurat szampana mogę pić właściwie zawsze. – Maja rozejrzała

się i zatrzymała wzrok na Kevinie, który niemal z obrzydzeniem nakładał sobie na talerzyk mikroskopijne porcje jedzenia. – Kevin znowu wygląda zabójczo – zauważyła. – Jeszcze nigdy nie widziałam faceta z takim ciałem. A do tego doskonale wie, jak się ubrać. Te dżinsy są po prostu rewelacyjne.

W oczach Beatrice wszystkie dżinsy były takie same; nigdy nie pojmowała, jakimi kryteriami kierowali się młodzi ludzie, orzekając, że akurat te spodnie są koszarne, a tamte to ostatni krzyk mody. Co do jednego Maja miała rację: Kevin wyglądał fantastycznie. Oprócz niej był najpiękniejszym człowiekiem w pomieszczeniu.

– Razem bylibyście bajkowo piękną parą – mruknęła Beatrice. – Ale wiem, że nic z tego nie będzie.

– Rzeczywiście, musielibyśmy się ograniczyć do pięknego wyglądu. A to na dłuższą metę trochę za mało.

Beatrice się roześmiała.

– Zwłaszcza dla ciebie. Pewnie przeszłabyś załamanie nerwowe.

Maja jej zawtórowała.

– I tu pewnie masz rację. O Boże, niestety muszę też złożyć życzenia Helene. Znowu popatrzy na mnie takim wzrokiem, że czuję się jak puszczalska, i spojrzy na moją sukienkę tak, że robi mi się głupio z powodu dużego dekoltu. Dziwne, prawda? Helene to jedyna osoba, która mnie onieśmiela. Może dlatego, że jest Niemką? Mówi się przecież, że Niemcy...

– Uważaj na słowa – ostrzegła Beatrice. – I nie wąż się jej tego powiedzieć! Bo jeszcze wywołasz atak hysterii. W ogóle nie chce rozmawiać o swoim pochodzeniu.

– I komplikuje coś, co wcale nie jest trudne. Jest Niemką, i co z tego? Przecież dawne animozje wygasły wiele lat temu.

– Według ciebie i twoich rówieśników, i bardzo dobrze – zauważyła Beatrice. – Ale na Guernsey jest jeszcze wielu mieszkańców, którzy dobrze pamiętają wojnę. Helene przyjechała tu jako żona niemieckiego oficera. Tego się nie zapomina i wiele osób doskonale o tym pamięta.

– Teraz już jest stąd. Nikt jej niczego nie zarzuca.

Beatrice spojrzała na Helene, pogrążoną w rozmowie z małą dziewczynką, która wręczyła jej bukiet kwiatów.

– Tamte czasy były traumą dla nas wszystkich – zauważyła. – Każdy radzi sobie z tym na swój sposób, ale pewnych spraw nie sposób zapomnieć.

Wzrok Mai zdradzał, że myślami była gdzie indziej. Beatrice widziała to już nieraz. Młodzi nie chcieli słuchać o wojnie, o niemieckiej okupacji Wysp Normandzkich na kanale La Manche, przecież to się działo tak dawno temu i ich nie dotyczyło. Nie interesowało ich, co się wtedy działo, a już na pewno nie obchodziło to Mai, której uwagę pochłaniali mężczyźni, nocne kluby i romanse.

– Pójdę załatwić sprawę z Helene – powiedziała. – Później jeszcze pogadamy, Beatrice!

Podeszła do Helene, która od razu spochmurniała.

„Nigdy za sobą nie przepadały” – pomyślała Beatrice, która nabrała już ochoty, by wymknąć się dyskretnie z własnego urodzinowego przyjęcia. Wtedy jednak zobaczyła, że do pokoju wszedł Alan. Nie widziała go od rana.

Westchnęła głośno. Nie mogła przecież zniknąć akurat wtedy, gdy jej jedyny syn przyszedł złożyć jej życzenia.

Z wiekiem Alan coraz bardziej upodabniał się do ojca. Miał ciemne włosy, ciemne oczy i czasami naprawdę przypominał francuskiego *bon vivanta*. Był przystojny, ale jego urodę znaczyły ślady alkoholowych ekscesów. Jego skóra traciła dawną sprężystość, choć liczył dopiero czterdzieści dwa lata. Miał też mocno podkrążone oczy. Od dawna był alkoholikiem, Beatrice miała tego świadomość, choć na razie dobrze funkcjonował, odnosił sukcesy zawodowe i póki co udawało mu się ukrywać nałóg. Beatrice wiedziała, że kilka lat wcześniej miał romans z Mają – a przynajmniej zakładała, że chodziło tylko o romans. Z czasem jednak zrozumiała, że Alan zaangażował się w związek z młodszą kobietą o wiele bardziej, niż kiedykolwiek to przyzna. Opętała go. Beatrice nie pojmowała, jak taki atrakcyjny, wykształcony mężczyzna mógł do tego stopnia stracić głowę dla tak pustej trzpiotki. Bo choć Maja naprawdę była śliczna, żaden mężczyzna z odrobiną rozumu w głowie ani przez chwilę nie myślałby o poważnym z nią związku. Maja nigdy nie stanie się wierną żoną. Bez wahania przyprawi rogi każdemu mężczyźnie u swego boku.

Beatrice miała nadzieję, że Alan prędzej czy później to zrozumie i da sobie z nią spokój.

– Witaj, Alan – odezwała się, gdy stanął koło niej. – Jest niedziela, jedenasta rano, a ty już nie śpisz. Czyżby to miał być dowód twojej miłości?

Alan musnął ustami jej policzek. Jego oddech pachniał miętą, ale nawet cukierki, które zjadał w celach kamuflażu, nie zdołały zatuszować zapachu whisky.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, mamó. Wyglądasz świetnie jak na swój wiek, naprawdę!

– Twoim zdaniem to komplement? Dziękuję. – Widziała, jak przeczesuje pokój wzrokiem. – Maja jest tam, z Helene, jeśli to jej szukasz – poinformowała go. – Będziesz miał okazję z nią porozmawiać.

Alan uśmiechnął się, ale był to wymuszony grymas.

– Nie, mamó, wcale nie rozglądałem się za Mają. Chciałem się po prostu przekonać, kto przyszedł. Widzę sporo starszych pań. To wszystko twoje przyjaciółki? Czy raczej Helene?

– Znajome. Nie przepadam za żadną z tych starych bab, ale kiedy w perspektywie jest darmowe jedzenie i picie, wałę drzwiami i oknami. Szczerze mówiąc, jeśli o mnie chodzi, mogłoby ich tu w ogóle nie być, ale Helene musi poczuć, że jej urodziny to wyjątkowy dzień, więc robię dobrą minę do złej gry.

– Hm. – Alan przez chwilę przyglądał się Mai, cały czas pogrążonej w rozmowie z Helene, i szybko uciekł wzrokiem w inną stronę, gdy spostrzegł, że matka przygląda mu się uważnie. – A poza tym, mamó, co słychać? – zapytał lekko. – Jak tam róże? Udało ci się wyhodować nową fantastyczną odmianę?

– Już od dawna nawet nie próbuję. Całkowicie wycofałam się z interesów, żyję z dnia na dzień i robię tylko to, co mi sprawia przyjemność. – Uśmiechnęła się smutno i zarazem ironicznie. – Wiesz, na starość życie staje się nudne.

– Ale nie twoje, mamó! – Porwał kieliszek szampana z tacy przechodzącego obok kelnera i jednym haustem wypił połowę zawartości. – Zawsze masz jakieś plany, zawsze coś robisz. Chyba sobie nie przypominam, żebyś kiedykolwiek leniuchowała.

– Co nie zmienia faktu, że to, co robię, jest nudne. Ale porozmawiajmy o czym innym. Zawodowo wszystko u ciebie w porządku?

– Oczywiście. – Jego kieliszek był pusty, ale szczęście się do niego uśmiechnęło: stał tuż koło tacy z lampkami szampana i mógł szybko uzupełnić braki. – Wiesz, w mojej pracy bardzo ważne są kontakty, a z tym akurat nigdy nie miałem problemów. Znam w Londynie sporo ważnych, wpływowych osób, co bardzo ułatwia mi pracę.

– To dobrze. Cieszy mnie, że wszystko dobrze się układa – odparła Beatrice.

Drżenie dłoni, w której trzymał kieliszek, budziło jej niepokój. Pił pierwszego dnia, gdy przyjechał na Guernsey, tamtego wieczora, kiedy w końcu przyjechał z knajpy w St. Peter Port i przywiózł z sobą młodą kobietę, którą poznał na ulicy. Drażniło ją, że pierwsze kroki po powrocie na Guernsey skierował do knajpy, ale wtedy przynajmniej był wieczór. W piątek i sobotę został w domu i choć pił wino do kolacji, nie było go jakoś specjalnie dużo. Ale teraz było wczesne popołudnie, a on już zaglądał do szklaneczki z whisky. „Może w minione dni było tak samo – pomyślała – tylko ja niczego nie zauważyłam”.

– A... prywatnie? – zapytała ostrożnie. – Coś nowego?

– Prywatnie wszystko w porządku – odparł natychmiast, niemal za szybko, zbyt radośnie, żeby zabrzmiało to wiarygodnie. – Raz ta, raz tamta, ale bez specjalnej bliskości. Najwyraźniej nie jest mi pisany normalny, mieszczański związek.

Beatrice wiedziała, że w gruncie rzeczy marzył mu się właśnie *normalny, mieszczański związek*, ale było oczywiste, że w życiu się do tego nie przyzna.

– Każdy powinien kogoś mieć – zauważyła – bo wtedy wszystko jest po prostu lepsze. Tak zwana wolność ludzi zwodniczym czarem, ale w pewnym momencie staje się pustką, przerostem formy nad treścią.

– Mamo... – rzucił Alan ze zniecierpliwieniem, ale nie dała mu dokończyć:

– Tak, wiem, to twoje życie i nie mam prawa się w nie wtrącać, ale zastanawiam się, czy prywatnie naprawdę układa ci się tak doskonale, jak mówisz. Sam fakt, że od rana szukasz ratunku w alkoholu, sugeruje, że

chyba jednak masz kilka poważnych problemów.

– Co to ma znaczyć, że od rana szukam ratunku w alkoholu? – powtórzył zirytowany. – To chyba przyjęcie, tak? Rozejrzyj się, poza tobą każdy sący szampana. Czemu właściwie podajesz alkohol, skoro później marudzisz, gdy goście go piją?

– Nie szampana mam na myśli, Alan – zauważyła miękko. – Już kiedy tu przyszedłeś, nie byłeś trzeźwy. Wyczułam to wyraźnie, choć nie było tego dużo.

– Mój Boże, dwa czy trzy łyżki whisky po śniadaniu! Czy to twoim zdaniem naprawdę katastrofa?

Beatrice pokręciła przecząco głową.

– Nie, ale może do niej doprowadzić. Alan, ty się znieczulasz. Obawiam się, że pustka, o której mówiłam, już cię dopadła i teraz usiłujesz ją wypełnić. Ale whisky to kiepski pomysł. Oszukuje cię, mami, że wszystko będzie łatwiejsze, a w rzeczywistości tylko pogarsza sytuację.

Alan jednym haustem opróżnił drugi kieliszek szampana.

– Wiesz, mam, chyba mam pomysł, jak możesz sobie urozmaicić starość – rzucił. – Zatrudnij się u Anonimowych Alkoholików jako kaznodzieja. Masz do tego prawdziwy talent. Sprowadzisz na drogę cnoty mnóstwo zbłąkanych owieczek. No i...

– Alan, powinienesś...

– Wiesz co, mam lepszego adresata twoich kazań. Co prawda nie chodzi o alkohol, ale o coś podobnego. – Rozejrzał się dokoła i w końcu wskazał wzrokiem kącik, w którym Karin Palmer kulila się na krześle, spoglądając bojaźliwie po pokoju. Jeden z gości, który zamienił z nią parę zdań i starał się wciągnąć ją w rozmowę, właśnie odchodził zirytowany. Z Karin bardzo trudno się rozmawiało. – Karin Palmer jest uzależniona od środków uspokajających, mam. Łyka je co chwila. Ma napady paniki. Na pewno się ucieszy z twojej terapii.

Beatrice zerknęła na Karin.

– Nie pojmuję, jakim cudem musiałeś się zaopiekować akurat nią. W niczym nie przypomina kobiet, które zazwyczaj tu przywozisz.

– Już ci mówiłem, to był przypadek. W pewnym sensie wpadła mi prosto pod koła. Zajmij się nią, może posłucha twoich rad chętniej niż ja.

Odwrócił się na pięcie, odszedł i demonstracyjnie sięgnął po kolejny kieliszek szampana. Zatrzymał się koło Helene i Mai, gdzie perorował głośno, często wymachując rękami.

– Głupek – stwierdziła szorstko Beatrice. Miała dość. Nie chciało jej się dłużej przebywać na przyjęciu, na którym wszystko ją drażniło. Może mogłaby wyciągnąć z kąta tę biedną myszkę Karin Palmer i zaprosić ją na spacer w ogrodzie. Chciała się dowiedzieć czegoś więcej o kobiecie, którą Alan znalazł i sprowadził do domu. Nawet jeśli poznali się przypadkowo, musiała mieć w sobie coś, co zaintrygowało go na tyle, że zaoferował jej pomoc. Może coś z tego będzie.

Beatrice oddała by wiele, byle wyzwolić syna ze szponów tej nieznośnej Mai Ashworth, więc pomyślała sobie, że nie zaszkodzi przyjrzeć się uważnie młodej Niemce.

Poza tym i tak chętnie wychodziła. Na dworze była piękna letnia pogoda, ale Helene niemal zawsze zostawała w domu, tym samym zmuszając także gości, by zrezygnowali ze słońca. Helene zawsze narzekała na pogodę. Było jej to za zimno, to za gorąco, za sucho, za mokro. Beatrice nie przypominała sobie, by choć jeden jedyny raz była zadowolona.

Wziąwszy dwa kieliszki szampana, podeszła z nimi do Karin. Nie uśmiechało jej się dalej obserwować, jak Helene zbiera hołdy, Alan zaś adoruje Maję i przy okazji się upija. Najdalej za dwie godziny nie będzie nawet wiedział, jak się nazywa.

– Czytałam dzisiaj fajną książkę – zaczęła Karin. – Historię człowieka, który przeżył niemiecką okupację na brytyjskich Wyspach Normandzkich na kanale La Manche.

– No i co – burknął Michael obojętnie, ze znużeniem. Był późny wieczór, miał za sobą ciężki dzień. Już od dawna chciał być w łóżku, ale był zbyt wyczerpany, żeby poczłapać na piętro, rozebrać się, umyć zęby.

Więc tymczasem siedział przy kuchennym stole, kurczowo wczepiony w kieliszek czerwonego wina. Karin siedziała naprzeciwko niego, bardziej przytomna i mniej sfrustrowana niż zazwyczaj. Przez otwarte okno wpadało ciągle jeszcze aksamitnie ciepłe powietrze wrześnieowej nocy. Dom spowijała tajemnicza cisza – tajemnicza, bo zdawała się skrywać jakieś sekrety, nieokreśloną obietnicę, zapowiedź zmian.

„Noc, która niesie obietnicę... to pewnie tylko głupie odczucie” – pomyślała Karin. Była gotowa założyć się o każdą sumę, że Michael tak tego nie odbiera.

Wydawało się, że minęły całe wieki, odkąd po raz ostatni siedzieli tak razem: zmęczeni, nad lampką wina, bez wzajemnych oczekiwań. Co jakiś czas wymieniali parę słów, potem znowu milczeli, ale w tym milczeniu nie było tego obojętnościowego niepokoju, który według Karin stał się już częścią ich życia. Może wynikało to stąd, że Michael był widocznie tak zmęczony, że nie musiała obawiać się z jego strony żadnych zaczepiek. Jego ostry język tępał, gdy dużo pracował, a później jeszcze raczył się alkoholem. Sytuacja przywodziła jej na myśl same początki ich związku, kiedy wszystko między nimi jeszcze się układało. Czasem wieczorami siedzieli właśnie tak, obok siebie, wtedy jeszcze w zapuszczonym studenckim mieszkanku na Kreuzbergu, pili tanie wino, które im wcale nie smakowało i kończyło się to bólem głowy, ale które wtedy bardzo lubili.

Obcość wkradała się między nich ukradkiem, żywiła się zawodowymi niepowodzeniami Karin, jej zwątpieniem w siebie, jej depresją. I karierą

Michaela, jego dążeniem do coraz większych pieniędzy, jego zachłannością, jego bezwzględnym dążeniem do kolejnego celu. Coraz bardziej oddalali się od siebie. W pewnym momencie okazało się, że stoją na dwóch różnych szczytach, że dzieli ich przepaść, nad którą nie ma żadnego mostu, żadnej drogi. Szanse na pojednanie były właściwie zerowe.

– Przecież opowiadałam ci o tej kobiecie, u której zatrzymałam się na Guernsey – ciągnęła Karin. Mówiła trochę za szybko, ale zależało jej na tym, żeby w pełni wykorzystać tę chwilę bliskości i spokoju.

– Beatrice Shaye.

– Beatrice Shaye. Mieszka z jeszcze jedną starszą panią, Niemką. Helene Feldmann. I dlatego Beatrice mówi świetnie po niemiecku.

– No to miałaś szczęście, przynajmniej nie musiałaś się wysilać na angielski – zauważył Michael ze znużeniem. Ziewnął głośno. – O Boże, ależ jestem zmęczony! Już do dawna powinienem być w łóżku.

– Za niemieckiej okupacji podczas II wojny światowej niemiecki był przedmiotem obowiązkowym we wszystkich szkołach na wyspach na kanale La Manche – powiedziała Karin. – Wiedziałaś o tym?

– Nie.

– Helene Feldmann przybyła na wyspę jako żona niemieckiego oficera. Zajęli dom, w którym mieszkała Beatrice, sama, bo jej rodzice uciekli. Feldmannowie ją wychowywali.

– Naprawdę nie pojmuję, co cię tak bardzo fascynuje w tych ludziach – zauważył. – To zwykli ludzie, z którymi nic cię nie łączy. Nigdy więcej ich nie zobaczysz.

– Przecież znowu każesz mi jechać na Guernsey.

– No tak, ale wtedy zatrzymasz się w hotelu! Ten pokój w... – jak to się nazywało? Le Variouf – to była sytuacja awaryjna. W przyszłości nie będziesz się zapuszczać na takie odludzie!

– W książce o niemieckiej okupacji tych wysp, którą właśnie czytam – Karin uparcie wracała do poprzedniego tematu – też jest mowa o Erichu Feldmannie. Najpierw był majorem, później, w czasie wojny, awansował na oberstleutnanta. Odpowiadał za transport materiałów budowlanych na wyspę – no wiesz, tego wszystkiego, czego potrzebowali, by umocnić linię ochrony i wybudować wiele podziemnych bunkrów. Autor książki

przedstawia go jako człowieka nieobliczalnego. Czasami dopisywał mu świetny humor i wtedy wydawał robotnikom dodatkowe racje żywnościowe, a czasami stawał się potworem, który wyznaczał drakońskie kary i sam je wymierzał, gdy jego złość nie znalazła ujścia.

– Takich jak on było wtedy mnóstwo – zauważył Michael. – Trzecia Rzesza wywabiła ich z mysich nor, wyniosła do władzy. Wreszcie mogli bezkarnie dać upust swoim skłonnościom i jeszcze ich za to chwalono. Ten Erich Feldmann... domyślam się, że już nie żyje?

– Zmarł na początku maja 1945 roku, tuż przed kapitulacją okupanta na wyspie. Okoliczności śmierci są niezbyt jasne, ale w chaosie, który wtedy panował, wszystko jakoś przeszło bokiem.

– Pewnie zlinczowali go wyzwoleni robotnicy przymusowi – domyślił się Michael. – A przynajmniej mam nadzieję, że to zrobili. Ale właściwie czemu w ogóle zawracasz sobie głowę takim paskudnym typem?

– Poznałam wdowę po nim. I kobietę, która jako młodziutka dziewczyna mieszkała z nim pod jednym dachem. Chętnie dowiedziałabym się o nich wszystkich czegoś więcej.

– Idź do archiwum, poszperaj w starych dokumentach. Nie żeby to miało jakikolwiek sens, ale przynajmniej czymś się zajmiesz i nie będziesz od rana do nocy marudziła, jak bardzo doskwierają ci te twoje neurozy. Dawniej zawsze powtarzałem, że powinnaś zostać dziennikarką, a w każdym razie podjąć jakieś kroki w tym kierunku. Ale nie, ty koniecznie chciałaś...

– Tak, wiem, koniecznie chciałam sama podejmować decyzje, i to był błąd, i teraz niestety muszę z tym żyć. Już nieraz o tym rozmawialiśmy.

– Wcale nie musisz z tym żyć, wszystko można zmienić.

– Mam trzydzieści cztery lata i...

– Mówię przecież: wszystko można zmienić. Mając zarówno lat sześćdziesiąt, jak i osiemdziesiąt cztery. Trzeba tylko tego *chcieć*. Chyba to rozumiesz: wola jest podstawowym warunkiem, który musi być spełniony. Ale można się nauczyć chcieć. Ba, nawet siły można się nauczyć! – Przyglądał się jej ze skoncentrowanym zdecydowaniem w oczach.

„Ta porażająca siła – pomyślała – ta bezlitosna energia. Zawsze, kiedy tak na mnie patrzy, tracę marne resztki mego żalosego poczucia własnej

wartości”.

Nagle poczuła się bardzo zmęczona.

– Właściwie wcale nie o tym chciałam rozmawiać, chciałam ci tylko powiedzieć...

– A ja jednak uważam, że powinniśmy o tym porozmawiać.

– Nie.

– Dlaczego nie?

– Dlatego – odparła bojowo.

Michael pokręcił głową. Przetrzymał moment kryzysu, był teraz przytomny i rześki, i przez to znowu niebezpieczny.

– Czasami gadasz jak dziecko. Tylko dziecko na pytanie „dlaczego” odpowiada po prostu: „dlatego”, a i to jedynie wtedy, kiedy nie ma innych argumentów. Mój Boże, czy ty już *nigdy nie dorosisz*?

– Ja...

– Mówiąc metaforycznie, Karin, wiecznie stoisz z bezradnie zwieszonymi rękami. Poddałaś się i wciąż się nad sobą użalasz. Coś ci się nie udało, a teraz nie masz dość odwagi, by ponownie dźwignąć się na nogi. Nie, ty tylko rozwalasz się na kozetce psychoanalityka, wiecznie narzekasz i faszujesz się tabletkami, które dają ci złudne wrażenie, że chociaż częściowo nad czymkolwiek panujesz. A w rzeczywistości coraz bardziej tracisz kontrolę i...

– Na Guernsey – powiedziała Karin cichutkim, słabym głosem – wytrzymałam całe trzy dni bez tabletek.

Przerwał jej szorstkim gestem dłoni.

– I co, uważasz to za wielki sukces? Nie miałaś wyjścia, musiałaś jakoś wytrzymać. I poszło ci raczej kiepsko niż dobrze, sądząc po tym, co opowiadałaś. Przecież musiałaś, i to moimi pieniędzmi, zapłacić w restauracji za potłuczone naczynia? Po tym, jak wpadłaś tam w histerię? Cóż, moim zdaniem nie wygląda to na początek poprawy i zwycięstwo w walce z uzależnieniem!

– Nie miałam napadu hysterii, tylko atak paniki. Nie możesz przecież...

– Na Boga, a co za różnica? Histeria, panika... A rzeczywistość jest taka, że tysiące kobiet chodzą do restauracji i zachowują się zupełnie normalnie, prawda? Nie muszą od razu wybiegać w panice, tłukąc po drodze połowę

zastawy!

Nie wiadomo dlaczego zapiekły ją oczy, pierwszy znak, że zaraz popłyną łzy. Przesadzał okropnie i był w tym bardzo okrutny. Nie chodziło tylko o to, co mówił, ale także o to, jak to mówił. Jego słowa były jak zatrute strzały wystrzelone z bezlitosną precyzją i siłą.

– Jeszcze nie wszystko ustaliłam – zaczęła niespokojnie, ale zaraz urwała. To i tak nie miało sensu, i tak jej nie posłucha. Terapeutka powtarzała jej, że za łatwo daje się zepchnąć do defensywy. „Niech pani przestanie się wiecznie bronić! Tylko dziecko się tłumaczy. Albo winny przed sądem. A pani nie jest ani jednym, ani drugim. Jest pani dorosłą kobietą, która nie musi się wiecznie ze wszystkiego tłumaczyć”.

„Ale ona go nie zna – pomyślała. – Nie zna jego zarzutów, ataków, pretensji. Nie wie, jak to jest, gdy czujesz się przyparta do ściany i możesz tylko bezradnie wymachiwać rękami”.

– A jeśli chodzi o twoje poszukiwania w sprawie tego całego Ericha Feldmanna – ciągnął Michael, a jego ton nie pozostał cienia wątpliwości, co sądzi o jej zainteresowaniu nieżyjącym od dawna nazistowskim oficerem – niewiele ci z tego przyjdzie. Zawracanie sobie tym głowy to zwykła strata czasu, ale jak już powiedziałem, to akurat nigdy nie było dla ciebie przeszkodą, by dwadzieścia cztery godziny na dobę kręcić się w kółko. A gdybyś nawet zebrała się w sobie i poszła do jakiejś biblioteki czy archiwum, byłoby to w końcu coś innego niż wieczne zamykanie się w domu i pogrążanie w fobii przeciwko całemu światu i całej ludzkości. Wiesz, co ci powiem? Wcale tego nie zrobisz! Nie wytkniesz nosa za drzwi, nie mówiąc o tym, żebyś miała pójść w miejsce *publiczne*! Przecież nie jesteś nawet w stanie odwiedzić mnie w laboratorium! Czasami nie stać cię nawet na to, żeby iść *po zakupy*! Przeceniasz swoje siły w tej sprawie, ale może dzięki temu czujesz się lepiej. Snujesz marzenia, które nigdy się nie spełnią.

Złość dodawała mu sił, mówił coraz głośniejszym, coraz bardziej energicznie. Karin rozpoznawała wzbierający w nim gniew, irytację, która nabrzmiwała w nim przez cały miniony rok. No pewnie, że miał już tego po dziurki w nosie. Przystojny mężczyzna sukcesu, właściciel dużego laboratorium stomatologicznego, człowiek kulturalny i towarzyski – uwiązany do kobiety, która przez swoje leki i obawy właściwie nie

wychyla nosa z domu, nie przyjmuje gości, nigdzie mu nie towarzyszy. Kobiety, która coraz bardziej zatracą się w bezbarwności, która zawsze nosi te same bezkształtne ciuchy, której brakuje odwagi choćby na to, żeby rozjaśnić sobie włosy, by włożyć spódnicę krótszą niż do kostek. Pragnął innej partnerki, zdawała sobie z tego sprawę. Kobiety, z którą naprawdę mógłby dzielić życie.

– Ale przecież znowu poleciałam sama na Guernsey – zauważyła cicho. Michael podniósł ręce do nieba w dziękczynnym geście.

– Poleciałas na Guernsey! Znowu! Dzięki Panu Bogu, że czuwał nad tobą podczas tej jakże niebezpiecznej misji! Cóż to był za dramat, zanim wsiadłas do samolotu! Niekończące się dni szlochów i hysterii. Panika. A potem rozpacz, gdy okazało się, że poleciałas bez tabletek. I nie masz gdzie przemocować. Jezus Maria, myślałam, że to koniec świata! A przecież ty poleciałas tylko na Guernsey. Żeby wyświadczyć mi drobną przysługę. I sobie samej też – dodał ciszej, ale jeszcze zimniejszym tonem. – Z tych pieniędzy całkiem nieźle sobie żyjesz.

– Przeżyłam cztery dni bez tabletek. Za granicą. Wśród nieznajomych. Przetrwiałam ostry napad paniki bez leków. Czy to dla ciebie nie ma naprawdę żadnego znaczenia?

Dopił ostatni łyk z kieliszka i wstał. Panował nad sobą, tego wieczora nie zaatakuję po raz kolejny, to jednak nie oznacza, że nagle stanie się przyjazny i ugodowy.

– Proszę, nie oczekuj teraz pochwał za to, że *choć raz* nie zareagowałaś tak histerycznie, jak zazwyczaj – dodał ze znużeniem. – Nie stać mnie na to. Nie chcę cię okłamywać, udawać czegoś, czego nie ma. Nie rozumiem już ani ciebie, ani twoich problemów. Nie mogę już słuchać twoich tłumaczeń, twoich wymówek, twoich przechwałek małymi sukcesami, które nigdy do niczego nie prowadzą, są tylko błyskami w ciemnym tunelu. Nie mogę ci dać tego, czego oczekujesz. Nie będę głaskał cię po głowie i chwalił, że świetnie ci idzie i że robisz postępy, że jestem z ciebie dumny. Nie jestem z ciebie dumny. Ani z ciebie, ani z tego, co robisz czy mówisz. Zawsze gardziłem słabością. Być może nie jest to powód do dumy, ale taki jestem i już. Niby dlaczego miałbym udawać kogoś innego? – Odwrócił się na pięcie i wyszedł z kuchni. Jego kroki

niosły się echem w korytarzu, potem zaskrzypiały schody, gdy szedł na górę.

Wpatrywała się w polakierowane na biało drzwi, które się za nim zamknęły. Nie trzasnęła nimi dramatycznie, ale nie był już zły, ostatnio właściwie nigdy nie był zły, raczej znużony i zrezygnowany. Może łatwiej byłoby znieść jego złość. Spokój, z jakim okazywał jej pogardę, sprawiał jej niewyobrażalny ból. Nie mówił w afekcie, nie zarzucał jej rzeczy, które właściwie nie miały większego znaczenia, które po prostu chciał z siebie wyrzucić, żeby jakoś dać upust swojemu wzburzeniu, a o których później powie – i szczerze będzie tak uważał – że nie miał nic złego na myśli. To, co mówił, będzie prawdziwe jeszcze po wielu dniach, po wielu tygodniach.

„To już koniec” – pomyślała. Było jej zimno i zarazem ogarnął ją dziwny spokój. „To już koniec. Bardziej mnie już nie zrani. Ani on, ani nikt”.

Nasłuchiwała w ciszy, nagle przepętniona dziwną pewnością, że atmosfera nocy zmieniła się po tym, jak padło tyle niewypowiedzianych do tej pory słów. Ale tak naprawdę nic się nie zmieniło. Tykał zegar nad lodówką. Lodówka mruczała cicho. Gdzieś w oddali, chyba kilka przecznic stąd, zawarczał silnik, na co zaraz rozszczeakał się pies i równie szybko umilkł. To była ciepła, spokojna noc.

„Może już długo nie pożyję” – pomyślała Karin.

Była to cudowna, kojąca myśl.

15 września 1999

Kochana Beatrice,

Mam nadzieję, iż nie uzna Pani, że się narzucam, pisząc ten list, ale bardzo miło wspominałam trzy dni w Pani domu, w cichej, uroczej wiosce, w pięknym dzikim krajobrazie. Chciałam podziękować Pani synowi, że w tamten straszny dzień pomógł mi w St. Peter Port i zabrał mnie do Pani. Sama nie byłam w stanie się czymkolwiek zająć. Niestety, nie znam jego londyńskiego adresu. Czy mogłaby mi Pani przekazać moje podziękowania? Byłabym bardzo wdzięczna.

Bardzo miło wspominałam też Pani urodziny. Z wielką przyjemnością spacerowałam po Pani pięknym ogrodzie i rozmawiałam o przeszłości Pani i pani Helene Feldmann. Zapewne wiele Pani przeżyła, spędzając na Guernsey całą niemiecką okupację. Po powrocie do domu poszukałam nieco informacji na ten temat – moje wiadomości ograniczały się do wiedzy szkolnej, zresztą zakurzonej. Większość osób, przynajmniej tych, które to interesuje, wie mniej więcej, co się działo w okupowanej Francji, Holandii, Polsce i Bóg jeden wie gdzie jeszcze, ale o Wyspach Normandzkich? Zapomniana kraina. Dosłownie, prawda? Wyczytałam, że gdy alianci wylądowali w Normandii, zostawili wyspy za sobą i w efekcie, gdy kawałek po kawałku wyzwolali Europę, wyspy zostały odcięte na morzu i nikt nie przejmował się ich losem.

W książce opisującej tamte czasy trafiłam na nazwisko męża Helene, Ericha Feldmanna. Jestem ciekawa, jaki był na co dzień, w domu – wobec Pani i wobec Helene.

Jeśli uzna Pani, że się narzucam, proszę po prostu nie odpowiadać na ten list.

Pozdrawiam serdecznie,
Karin Palmer

22 września 1999

Kochana Karin,

Ależ skądże znowu, wcale się Pani nie narzuca! Zastanawia mnie tylko, dlaczego to Panią interesuje. Jest Pani młoda, domyślam się, że dopiero przekroczyła Pani trzydziestkę. Kiedy chcę porozmawiać z młodymi o tamtych czasach, ziewają znudzeni i rozpaczliwie trzepoczą rękami w nadziei, że szybko się zamknę i dam spokój starym opowieściom. W najlepszym wypadku grzecznie udają zainteresowanie, którego wcale nie odczuwają. Jestem na tyle stara, że doskonale wiem, kiedy człowiek udaje.

Może z Niemcami jest inaczej. Może ze względu na historię Niemcy muszą zawsze słuchać uważnie, ilekroć mowa o tamtych czasach. To część pokuty, która przypadła w udziale kolejnym pokoleniom. Nie możecie tak po prostu powiedzieć: to mnie nie obchodzi, jest mi obojętne!

A może także w Niemczech młodzi ludzie tak mówią? Nigdy tam nie byłam, nie utrzymuję też kontaktów z niemieckimi turystami na Guernsey, więc nie mam pojęcia, jakie są w Niemczech tendencje. O Erichu Feldmannie jest mowa w jakiejś książce? I bardzo dobrze, że ktoś opisał jego niecne czyny. Tak, miałam wątpliwą przyjemność spędzić pięć lat w domu chorego psychicznie człowieka, który nader często dawał upust swemu szaleństwu w aktach nieobliczalnego sadyzmu.

Chociaż właściwie było odwrotnie – to on mieszkał w *moim* domu. Zajął go, rozpanoszył się w nim jak potężny, silny chwast, który wszystkim pozostałym roślinom stopniowo odbiera przestrzeń i powietrze. Wszystko sprowadzało się tylko i wyłącznie do jego

potrzeb, tylko i wyłącznie. W innych czasach zostałby pewnie urzędnikiem średniego szczebla, który ogranicza się do terroryzowania rodziny oraz kilku podwładnych, ale narodowy socjalizm dał mu niestety poczucie władzy i wiele niebezpiecznych instrumentów do ręki. Byli na wyspie ludzie, dla których był panem życia i śmierci, i wykorzystywał tę pozycję na dobre i na złe. Z równą satysfakcją łaskawie wznosił kciuk do góry, jak opuszczał go w dół.

Ja jednak niewiele o tym wiedziałam. Miałam go na co dzień w domu, a ponieważ byłam dzieckiem, dom był całym moim światem. A mimo to w ciągu tych lat udało mi się, jak sądzę, dostrzec go we właściwym świetle.

Wtedy nie byłabym w stanie określić, jakie uczucia we mnie budził. Nienawiść, sympatię, wdzięczność, strach... Jego nastroje zmieniały się szybciej niż chmury nad morzem w wietrzny dzień. Dzisiaj wydaje mi się, że dominowała nienawiść. Nienawiść do mężczyzny, który w pewnym momencie narzucił mi ojcowską miłość i który mnie boleśnie zawiódł, kiedy uwierzyłam w zapewnienia o trosce i powoli zaczęłam zmieniać nastawienie. Tak, koniec końców została tylko nienawiść...

Guernsey, czerwiec 1940

A przecież wtedy, w pierwszej chwili, jawił jej się jak zbawca, jak anioł stróż. Tak bardzo się bała, była taka samotna i głodna. Nad wyspą przez dwa dni latały samoloty, warkot ich silników sprawiał, że Beatrice wpadała w panikę. Cały czas tkwiła między kwiecistą sofą i bujanym fotelem w saloniku, niezdolna się poruszyć. Nawet gdy głód i pragnienie doskwierały jej coraz bardziej, nie odważyła się iść do kuchni po coś do jedzenia czy picia. Była jak sparaliżowana. Całą drogę z St. Peter Port do domu pokonała biegiem; czasami zwalniała, by potem znowu puszczać się biegiem, rozpaczliwie chwytając ustami powietrze. W końcu na czworakach wspięła się pod górę, ukryła się w saloniku i zaczęła dygotać na całym ciele.

Przez pierwsze dni – ile to trwało? Kilka dni, może tydzień? – jeszcze co jakiś czas zakradała się do kuchni, brała jabłko albo kawałek chleba, wypijała parę łyków wody i zaraz znowu wycofywała się do nory w saloniku, skulona jak małe, przerażone zwierzątko. Odkąd nad wyspą rozległ się warkot samolotów, w ogóle nie wychodziła z kryjówki. Wiedziała, że stanie się coś strasznego, a ona nie ma nikogo, kto mógłby jej pomóc. Czekala, przekonana, że wkrótce umrze.

Kiedy nagle stanął przed nią nieznajomy mężczyzna, właściwie nawet się nie przerażała. Przyglądała mu się niemal obojętnie. Miał na sobie szary mundur i wysokie oficerki z czarnej skóry. Zdjął czapkę z głowy, trzymał ją w ręku. Był bardzo duży, ale nie wydawał się szczególnie niebezpieczny.

– A kogo my tu mamy? – odezwał się. Mówił po angielsku, ale jakoś dziwnie. Na pewno nie był Anglikiem. – Jak się nazywasz, malutka?

Nie była pewna, czy zdoła wydobyć z siebie jakikolwiek dźwięk. Nie była nawet pewna, czy na tyle panuje nad ciałem, by zmusić język i usta do formowania słów. Ale spróbowała odpowiedzieć.

– Beatrice. – Zabrzmiało to jak pisk małego ptaszka. – Bea trice Stewart.

– Aha. Beatrice. Może wyjdiesz z tego kąta? Trudno mi się z tobą rozmawia, gdy się kulisz pod fotelem i właściwie nawet nie widzę twojej buzi.

Skinęła głową i usiłowała wstać, ale zaraz znowu ugięły się pod nią nogi i opadła na ziemię. Nieznajomy pochylił się nad nią zdecydowanie. Poczula, jak obejmują ją silne ramiona, otoczył ją wytrawny zapach, pewnie jego wody po goleniu, lepszej niż ta, której używała tata. Spodobał jej się. Nieznajomy posadził ją na kwiecistej sofie, zniknął na chwilę, a gdy wrócił, przyniósł szklanekę wody.

– Wypij to – powiedział. – Nie wiem, jak długo tu siedzisz, ale wydajesz się wycieńczona. W domu jest coś do jedzenia?

Małymi łyżkami wypijała wodę. Jedzenia nie przełknie, czuła to.

– Ja... nie jestem głodna – wymamrotała.

Usiadł na krześle naprzeciwko niej.

– Ile masz lat? – zapytał.

– Jedenaście.

– No proszę. A gdzie rodzice?

– Wyjechali.

– Wyjechali? Dokąd?

Wypiła całą szklanekę wody i poczuła, jak wracają jej pierwsze blade odruchy życia; jej nogi nie były już miękkie jak z waty i podejrzewała, że wkrótce będzie mogła znowu na nich stanąć.

– Statkiem – odparła. – Odplynęli statkiem.

– Ewakuowali się. No tak, z wyspy wyjechało prawie dwadzieścia tysięcy mieszkańców – stwierdził mężczyzna, po czym dodał ze zdziwieniem: – I rodzice cię zostawili?

Do tej pory Beatrice wcale nie płakała. Była w szoku, nie docierały do niej żadne uczucia. Ale teraz coś w niej puściło, poczuła, że coś ściska ją za gardło, a łzy zaraz popłyną wartkim strumieniem. Wiadomo, że rodzice, Andrew i Deborah, jej nie zostawili. Nigdy nie zrobiliby czegoś takiego. To był po prostu pech.

– Wsiadli na statek – wyjaśniła. – Ja nie.

Mężczyzna skinął głową zatroskany i przejęty.

– Pewnie tłum was rozdzielił – domyślił się.

Skinęła głową. Nigdy nie zapomni nieprzeniknionej masy na statkach ani portu w St. Peter Port czarnego od ludzi. Beatrice nie do końca rozumiała, dlaczego w ten piękny, słoneczny, czerwcowy dzień musiała opuścić swój śliczny ogród i wsiąść na zatłoczony statek. Deborah usiłowała jej to wytłumaczyć:

– Może się tak zdarzyć, że Niemcy będą chcieli zająć naszą wyspę. I już wkrótce tu będą. Kto może, woli uciekać z Guernsey. Wyjeżdżamy do Anglii.

Beatrice zawsze chciała zobaczyć Anglię, a szczególnie Londyn, bo Deborah, która właśnie tam dorastała, opowiadała o tym mieście z wielkim rozmarzeniem. Ale nie wiadomo dlaczego, nie miała ochoty na tę nieoczekiwaną podróż. To wszystko działo się tak szybko, a już wcześniej w powietrzu wisało coś dziwnego. Wszyscy od rana do nocy słuchali radia z poważnymi, przejętymi minami, wszyscy co chwila zatrzymywali się na pogawędkę i gadali, gadali, gadali...

Beatrice zrozumiała, że Niemcy podbili Francję, i bardzo ją to martwiło, bo najwyraźniej martwiło też dorosłych. Wybrzeże bretońskie było blisko,

bardzo blisko. Niemcy są niebezpieczni, to było dla niej jasne. Nazwisko Hitlera krążyło nad wyspą jak zły duch. Beatrice wyobrażała go sobie jako demona o wielkiej nieczystej mocy.

A później gruchnęła wieść, że padł Paryż, że rząd francuski skapitulował. Beatrice coraz częściej słyszała słowo „ewakuacja”.

– Co to jest ewakuacja? – zapytała mamę.

– To oznacza, że nas stąd zabiorą – wyjaśniła Deborah. – Pojedziemy do Anglii i tam będziemy bezpieczni. Nie będzie nas tutaj, gdy wkroczą Niemcy.

– A co z różami tatusia?

Deborah wzruszyła ramionami.

– Musimy je zostawić.

– Ale... nasz dom! Nasze meble! Nasze naczynia! Moje zabawki!

– Możemy zabrać tylko część rzeczy, ale może nic złego się nie stanie podczas naszej nieobecności...

– A wrócimy? – zapytała Beatrice cichutko.

Matka miała łzy w oczach.

– Oczywiście, że wrócimy. Angielska armia rozgromi Niemców i wtedy wrócimy do domu, i wszystko będzie jak dawniej. Potraktuj to jak wakacyjną wyprawę, dobrze? Fajną, daleką wyprawę.

– A gdzie zamieszkamy?

– U ciotki Natalie w Londynie. Bardzo ci się tam spodoba.

Ciotka Natalie była siostrą Deborah i Beatrice jej nie lubiła, ale chyba nikogo nie obchodziło, co ona sądzi na temat planów ewakuacji. W pośpiechu pakowano walizki, panika rozprzestrzeniła się po wyspie jak wirus. Beatrice musiała zdecydować, którą zabawkę chce zabrać; wybrała klauna, który na co dzień wisiał nad jej łóżkiem, bez nogi i oka. Andrew nawoził i podlewał róże z taką miną, jakby lada moment miało mu pęknąć serce. Deborah starannie zamykała dom, ryglowała okiennice. Miała kamienny wyraz twarzy i płomienne, suche oczy.

– Mae i jej rodzice też pojadą, tak? – upewniła się Beatrice po raz kolejny.

– Tak, tak – mruknęła Deborah, ale Beatrice nie do końca jej uwierzyła. A nie wyobrażała sobie podróży do Anglii, gdy najlepsza przyjaciółka

zostaje na Guernsey. Wymuszony pobyt w Londynie będzie znośny tylko w towarzystwie Mae.

Wydawało się, że w St. Peter Port zebrali się chyba wszyscy mieszkańcy wyspy. Samochody i autobusy parkowały wysoko nad portem, w uliczkach i zaułkach tłoczyli się ludzie, nie sposób było przejść.

Najtrudniej było się dopchać do prowizorycznych stanowisk informacyjnych. Każdy chciał się jeszcze w ostatniej chwili upewnić, że naprawdę musi wyjechać.

– Nie możemy się pogubić – martwił się Andrew, ledwie wysiedli z autobusu, którym przyjechali do stolicy z Le Variouf. – Idźcie za mną. Beatrice, mocno trzymaj mamusię za rękę!

Beatrice z całej siły ścisnęła dłoń Deborah. Od zamieszania wokół kręciło jej się w głowie. Do tej pory nie miała pojęcia, że na Guernsey mieszka aż tyle ludzi! Co chwila ktoś ją szturchał, kopał, trącał, obrywał łokciami, torbami i walizkami, ludzie nad jej głową krzyczeli, klęli, wołali. Deborah biegła o wiele za szybko, Beatrice z trudem dotrzymywała jej kroku. Rozglądała się za Mae, lecz nigdzie jej nie widziała. Ale spotkanie konkretnej osoby w tym tłumie to byłby istny cud. Powoli zbliżali się do statków cumujących w porcie pod czujnym okiem ciemnej twierdzy Cornet, która miała strzec wyspy, a jednak nie zapewniła jej ochrony. Wiele statków wyglądało żałośnie, na niektórych żagle połatano byle jak, na niejednej burcie czerniały ślady kul. Beatrice słyszała, jak rozmawiało o tym dwóch mężczyzn. Podobno część statków ewakuowała angielskich żołnierzy z Dunkierki, gdy zaatakowali Niemcy.

– Pływały pod szkopskim obstrzałem – tłumaczył.

Beatrice to wszystko wydawało się bardzo niebezpieczne. W niczym nie przypominało wakacyjnej wycieczki, tylko koszmarną, niebezpieczną przygodę.

Nigdy nie dowiedziała się na pewno, dlaczego właściwie puściła rękę matki. Weszły na trap prowadzący na pokład jednego ze statków. Tłum był bardzo gęsty, nieprzenikniony, ludzie stawali się coraz bardziej bezwzględni. Liczyło się jedno – zająć dobre miejsce na statku, w ogóle dostać się na pokład, uciec z wyspy. Potężny, gruby mężczyzna pchnął Beatrice na bok, potknęła się, puściła dłoń Deborah. Natychmiast zaczęła

krzyczeć:

– Mamusiu! Mamusiu!

Słyszała też przeraźliwe krzyki Deborah, rozpaczliwe jak płacz kotki szukającej młodych. Nagle ktoś ją złapał i męski głos zawołał:

– Mam ją! Wszystko w porządku! Mam ją!

Nie знаła tego mężczyzny. Później doszła do wniosku, że Deborah, z którą natychmiast straciła kontakt wzrokowy, uznała, że to był Andrew, że to on złapał Beatrice. W panującym hałasie nietrudno było pomylić męskie głosy. W każdym razie już więcej nie wołała albo Beatrice jej nie słyszała. Dosłownie chwilę później puściła rękę nieznanego. Zaczęła krzyczeć, ale nikt nie zwracał na nią uwagi, nikt jej nie widział. Napierające masy ludzi spychały ją coraz dalej, aż nagle znowu stała na skraju trapu. Dlaczego nie spróbowała jeszcze raz dostać się na statek...?

Zapewne panika dodała jej sił, by przebić się przez tłum ludzi w porcie. Myślała tylko o jednym: wrócić od domu. Jak najdalej od tego tłumy, od hałasu, od ludzkiej masy, w której obawiała się, że lada chwila ją uduszą, zatratują. Tak przynajmniej wspominała to w kolejnych latach. Ale może tak naprawdę niczego nie czuła, o niczym nie myślała. Była w szoku, poruszała się jak marionetka, bez namysłu, bez rozumu. W końcu śmiertelnie wyczerpana dotarła do domu, drżącymi palcami wyjęła zapasowe klucze spod kamienia na rabatce, otworzyła drzwi i zaszyła się w domu jak lis w norze, gdy ucieka przed hordą psów i myśliwych.

Nieznajomy uśmiechem dodawał jej otuchy.

– Nic strasznego się nie stało, malutka – powiedział. – Już nie będziesz sama.

– Zaprowodzi mnie pan do rodziców? – zapytała.

Przecząco pokręcił głową.

– Niestety, to niemożliwe, w tej chwili nikt nie może popłynąć do Anglii. Ani z Anglii na wyspy.

– Ale kiedy...

– Kiedy podbijemy Anglię, problem sam się rozwiąże – dokończył za nią.

Właściwie dopiero w tej chwili do niej dotarło, że stojący naprzeciwko niej mężczyzna musi być Niemcem. To dlatego tak dziwnie mówił po

angielsku, dlatego miał na sobie mundur. Nie wyglądał na potwora, choć tak właśnie wyobrażała sobie Niemców. Podał jej wodę, nie zastrzelił jej od razu i chyba w ogóle nie miał wobec niej złych zamiarów. Mimo to ogarnął ją głęboki smutek; szok minął i w końcu dotarła do niej świadomość, że Deborah z Andrew byli daleko i że minie sporo czasu, zanim znowu ich zobaczy.

– I co mam teraz robić? – szepnęła.

– Przecież nie jesteśmy potworami – zauważył mężczyzna. – Nic ci się nie stanie.

– Ale ja chcę do mamy! – Zabrzmiało to jak słowa małej dziewczynki. Sama słyszała łzy w swoim głosie.

– Musisz teraz być dzielną młodą damą – stwierdził mężczyzna i po raz pierwszy usłyszała w jego głosie nutę zniecierpliwienia. – Szlochy i narzekania nic nie dadzą. Pewnego dnia wrócisz do rodziców, ale do tego czasu musisz się zachowywać tak, żeby byli z ciebie dumni.

Zdławiła łzy i skinęła głową. Sam pewnie nie zdawał sobie sprawy, ale właśnie wypowiedział zdanie, dzięki któremu udało jej się przetrwać nadchodzące lata. Będzie się zachowywała tak, żeby Deborah i Andrew byli z niej dumni.

– Dlaczego w ogóle korespondujesz z tą kobietą? – zapytał Kevin zdziwiony. – Przecież właściwie jej nie znasz!

– Wiem – mruknęła Beatrice. – Ale zadaje tyle ciekawych pytań. Chyba naprawdę chciała się dowiedzieć czegoś o mnie, o Helene, o naszym życiu. Dlaczego miałabym jej nie opowiedzieć?

Siedziała za kuchennym stołem u Kevina i przyglądała mu się, gdy gotował. Zaprosił ją na kolację w podziękowaniu za czek, który mu wręczyła, proponując, żeby wpadła trochę wcześniej i towarzyszyła mu podczas przygotowań. Wiedział, że sprawiało jej to ogromną przyjemność. Bardzo chętnie przesiadywała w jego przytulnej, ciasnej kuchni z polakierowanymi na biało meblami. Piła wino, zapalała papierosa i gawędziła. Często powtarzała, że niewiele rzeczy relaksuje ją w równym stopniu co te spotkania, zwłaszcza jeśli nie brała w nich udziału Helene.

– Ta... jak jej na imię? Ta Karin mieszka w Niemczech i tak po prostu interesuje ją historia życia dwóch nieznanymi kobiet na Guernsey? Moim zdaniem to co najmniej dziwne. Oby się nie okazało, że ma niecne zamiary.

Beatrice się roześmiała. Zapaliła papierosa i z rozkoszą zaciągnęła się dymem.

– A niby jakie niecne zamiary?

Kevin się zamyślił.

– Może chodzi jej o pieniądze.

– Niby jakim cudem? Że już nie wspomnę o tym, że ani u Helene, ani u mnie nie bardzo mogłaby się obłowić.

Kevin w zadumie pokręcił głową.

– Jesteś zbyt ufna. I chyba trochę naiwna. Ja po prostu nie opowiadałbym o sobie komuś całkiem obcemu.

– Jest nieszkodliwa. To młoda kobieta z poważnymi problemami. Wydała mi się bardzo samotna.

– Mężatka?

– Tak.

– W takim razie nie jest samotna.

– Przecież od tego, czy ma się męża, czy nie, nie zależy, czy człowiek czuje się samotny! W związku też może doskwierać samotność. – Zmarszczyła czoło. – Jak długo jeszcze będziesz szorował te pomidory? Zaraz nic z nich nie zostanie!

Podniósł głowę znad zlewu.

– Z warzywami nigdy nie dość ostrożności – stwierdził. – Chyba nie chcesz, żebym cię zatruł, co?

– Wydawało mi się, że to pomidory z twojego ogrodu, z uprawy ekologicznej.

– Owszem, ale nie chodzi tylko o pestycydy, ale też o bakterie, które są wszędzie.

– W moim wieku przeżyło się już tyle bakterii, że człowiek nie zwraca na nie uwagi – mruknęła Beatrice. Oparłszy się wygodnie, z niepokojem obserwowała Kevina. – Ostatnio jesteś bardzo spięty. Nieobecny myślami. Jakby coś cię dręczyło.

– Wiesz przecież, że mam pewne kłopoty finansowe.

– Nadal?

– Czek od ciebie bardzo mi pomógł, sam już nie wiem, jak ci dziękować – zapewnił Kevin, ale uśmiech, który towarzyszył tym słowom, wydawał się wymuszony. – Wszystko już w porządku.

– Na pewno?

– Tak, na pewno. Beatrice, proszę, nie przyglądaj mi się tak badawczo! I porozmawiajmy o czymś innym. Przecież to ma być miły wieczór. Przykre tematy zostawmy w spokoju.

Wysłuchała jego prośby.

– Dobrze – rzuciła lekko. – Dajmy temu spokój. Ładnie tu u ciebie, Kevin. Nie znam nikogo, kto miałby równie nieskazitelnie czystą kuchnię. Kiedy sobie pomyślę, jak wygląda kuchnia w londyńskim mieszkaniu Alana... to znaczy wiem, jest tam czysto, ale zimno i nieprzytulnie.

– Ale pewnie i tak się cieszysz, że to Alan jest twoim synem, a nie ja. Niewiele matek jest w stanie pogodzić się z tym, że ich syn jest gejem.

Beatrice się zamyśliła.

– Myślę, że najtrudniej im pogodzić się z tym, że ich synowie są *nieszczęśliwi*. A fakt, jakie związki wybieramy, przekłada się na to, czy jesteśmy szczęśliwi, czy nie. Homoseksualizm wiąże się z wieloma problemami, o czym sam wiesz najlepiej. Tylko że styl życia Alana też spędza mi sen z powiek. Nie ma prawdziwego domu. Wydaje mi się, że ma wiele przelotnych romansów, ale nigdy nie wiąże się na dłużej.

– Może właśnie tak chce żyć – zauważył Kevin. Mył sałatę z równym przejęciem, jak wcześniej pomidory. – I może to dla niego lepiej, że co chwila sypia z inną, niż żeby nadal wzdychał do tej trzpiotki Mai!

Beatrice pokręciła głową.

– A moim zdaniem nadal do niej wzdycha. I właśnie na tym polega problem. Oszalał na jej punkcie. Nie widzi innych kobiet, przez co nie ma szans na normalny związek. Czasami bardzo się o niego boję.

– Nadal jest na wyspie?

– Nie, już dzień po moich urodzinach wrócił do Londynu. Pewnie zobaczymy się dopiero na Boże Narodzenie.

Kevin nagle znieruchomiał, na jego twarzy pojawił się wyraz napięcia.

– Słyszałaś to?

Beatrice przyglądała mu się uważnie.

– Nie. Co?

– Wydawało mi się, że ktoś jest przy drzwiach.

– No to zobacz! Zresztą chyba każdy, kto cię odwiedza, po prostu wchodzi do środka?

– Nie – odparł. – Zamykam drzwi na klucz. Na pewno nic nie słyszałaś? Beatrice wstała.

– Sprawdzę.

Wyjrzała do wąskiego korytarzyka. Rzeczywiście, Kevin nie dość, że zamknął drzwi na klucz, to jeszcze założył łańcuch. Beatrice otworzyła drzwi i wyjrzała na zewnątrz. Nie dostrzegła nikogo, poza kotem, który wygrzewał się we wrześniowym słońcu na kamiennym murku. Niedaleko domu okrągła wieża kościoła pod wezwaniem Świętego Filipa de Torteval odcinała się na tle bezchmurnego, ciemniejszego nieba. Czerwony blask zachodu ścielił się na dzikich kwiatkach rosnących wokół działki.

Odetchnęła pełną piersią. „Jak tu pięknie” – pomyślała. Wioskę

Torteval na południowo-zachodnim krańcu wyspy lubiła jeszcze bardziej niż swoje ojczyste Le Variouf. Z Torteval można było dotrzeć na piechotę do Pleinmont Point, a surowe, nagie skały, spienione fale, trawa wiecznie przygniatana wiatrem do klifu odpowiadały jej bardziej niż łagodniejszy krajobraz południa. Uwielbiała Pleinmont. Ilekroć chciała coś naprawdę przemyśleć, pobyć sama, wsłuchać się w siebie, szła właśnie tam.

Wróciła do kuchni.

– Nikogo nie ma – odparła. – Tylko kot.

– Więc mi się zdawało. Zamknęłaś drzwi?

– A od kiedy ty je zamykasz? Nie, zostawiłam otwarte.

– W dzisiejszych czasach trzeba być ostrożnym. Coraz więcej słyszy się o kradzieżach.

Roześmiała się.

– Ale przecież nie na Guernsey!

Obserwowała, jak przełożył sałatę, najwyraźniej w końcu spełniającą jego standardy czystości, do salaterki. Wydawał jej się coraz większym dziwakiem. Ta obsesja czystości, strach przed włamaniem... Chyba trochę za długo mieszkał sam. Doświadczenie ją nauczyło, że w takich sytuacjach w ludziach rozwijają się dziwactwa. Byli za bardzo pochłonięci sobą, od rana do nocy koncentrowali się wyłącznie na sobie. Nic dziwnego, że człowiek zaczynał się zastanawiać.

„Biedny Kevin” – pomyślała czule.

Z typową dla siebie wrażliwością zorientował się, że o nim myśli, i od razu starał się skierować jej uwagę na inne tory.

– I co? Odpiszesz tej Niemce? – zapytał.

– Dlaczego nie? Na stare lata człowiek robi się gadatliwy, a skoro się okazuje, że ktoś chce mnie wysłuchać – czemu nie skorzystać z okazji?

– Bo możesz przy okazji rozdrapać rany, które dopiero co się zasklepiły.

W zadumie wpatrywała się w dym ze swego papierosa.

– Nie wierzę, że się zasklepiły – powiedziała w końcu. – Nie do końca. Z pewnymi rzeczami człowiek nigdy nie może się pogodzić. Można je tłumić, odpychać od siebie, ale to nie znaczy, że człowiek się z nimi uporał.

– Mówi się, że tłumienie to złe rozwiązanie, ale ja się z tym nie zgadzam – odezwał się Kevin. – Zwyczajna pop-psychologia. Niby

dlaczego nie tłumić przykrych wspomnień, skoro dzięki temu łatwiej nam żyć? A mnie się wydaje, że tobie żyje się spokojniej, gdy nie wspominasz koszmaru tamtych lat. Po co ci to? Prowadzisz przyjemne, stosunkowo beztrudne życie. Zapomnij o wszystkim, co kiedyś ciążyło ci na sercu.

– Zapomnieć i tak nie zapomnę. Pewne wspomnienia są jak klej błyskawiczny, nie sposób się ich pozbyć, choćby nie wiem co. A czasami po prostu łatwiej jest o nich opowiedzieć niż z nimi walczyć, gdy uparcie cisną się na pierwszy plan.

– Cóż, sama wiesz, co robisz – mruknął Kevin.

Płomiennie czerwone promienie zachodzącego słońca dotarły do okna, rozpały kuchnię. Kevin nakrywał do stołu. Za kilka minut słońce zajdzie i świat spowije miękkie światło późnoletniego wieczoru.

Beatrice pogrążyła się w zadumie. Przez całe popołudnie pisała list do Karin, ale jeszcze go nie wysłała, nie wiedziała jeszcze, czy w ogóle to zrobi. Zauważyła, że Kevin uznał jej zachowanie za co najmniej dziwne. I może miał rację. Właściwie wcale nie знаła tej kobiety, przed którą tak ochoczo odsłaniała historię swojego życia.

„Z drugiej strony, przecież właściwie nie opowiadam jej historii mojego życia – dumiała. – To Niemka, była tu parę razy, interesuje ją, co przed pięćdziesięciu laty działo się na wyspach. Po prostu naświetlam jej pewne fakty i tyle”.

Wiedziała jednak, że to niezupełnie prawda. Bardzo dokładnie opisała uczucia i przeżycia porzuconej dziewczynki, która czaiła się w saloniku rodziców i z przerażeniem wsłuchiwała się w warkot samolotów, którymi najeźdźcy przybywali na wyspę. Pozwoliła, by nieznajoma zajrzała w głąb jej duszy, odsłoniła się przed nią bardziej niż przed własnym synem. Przy czym Alan zapewne zareagowałby ziewnięciem na „zakurzone historie sprzed wieków”, jak zwykł je nazywać.

„Może rzeczywiście powinnam zakończyć tę korespondencję – zastanawiała się. – Karin Palmer to miła, ostrożna kobieta. Wystarczy z mojej strony delikatna aluzja, że mam tego dosyć, a zaraz się wycofa. W każdej chwili mogę przestać”.

Przede wszystkim jednak nie powinna o tym tyle myśleć. Usiłowała się skoncentrować na słowach Kevina, który narzekał na wzrost przestępczości

na całym świecie. Zaintrygowało ją, skąd u niego ta nowa obsesja włamania; z tego, co wiedziała, nie było tu czego kraść. Miała za to pewność, że wkrótce znowu zawita do Le Variouf z prośbą o czek. Tym razem pewnie zwróci się do Helene.

Helene miała słabość do Kevina, który pod wieloma względami był jej ideałem młodego mężczyzny: uprzejmy, porządnicki, schludny, a na dodatek nie uganiał się, jak wielu jego rówieśników, za kobietami. Typowe dla Helene było to, jak skutecznie zamykała oczy na jego orientację seksualną; ani razu nie przeszło jej przez myśl, że Kevin ugania się za *facetami*. Podobnie jak nie przyjmowała do wiadomości, że przy całym swoim uporządkowaniu i schludności nie zdołał uporządkować własnego życia – cały czas żył ponad stan i ciągle się u kogoś zapożyczał, czego nie można było powiedzieć o Alanie. „Helene to prawdziwa mistrzyni w ignorowaniu rzeczywistości – myślała Beatrice. – Tak długo wciska świat w swoją wizję, aż wszystko zaczyna pasować. Ale Kevinowi nie będzie mogła zbyt długo pomagać. Bez względu na to, ile zaoszczędziła, te pieniądze zapewne już się kończą”.

I proszę, znowu wróciła myślami do Helene, a zatem i do Karin. Po południu napisała do niej długi list. Siedziała sobie wygodnie w ogrodzie pod jabłonią, w wiklinowym fotelu, z nogami opartymi o drugi fotel, z grubą książką na kolanach jako podkładką do pisania. Znowu było niespodziewanie ciepło, ale w powietrzu już wyczuwało się jesień, w błękicie nieba pojawiły się chłodne tony.

Helene nie było w domu, wybrała się na herbatkę do Mae i Beatrice miała nadzieję, że wróci dopiero wieczorem. Kiedy Helene nie było, od razu czuła się lepiej, bardziej wolna. Miała wrażenie, że oddycha jej się lżej.

List do Karin zaczęła słowami: „Helene Feldmann ukradła mi moje życie”, ale zaraz je skreśliła i kreśliła tak długo, aż stały się całkowicie nieczytelne. Zdradzały zbyt wiele, zdecydowanie więcej, niż chciała zdradzić nieznajomej. Więcej, niż chciała zdradzić *komukolwiek*. Nawet Mae nie słyszała tego nigdy z jej ust. Tak właściwie jeszcze nigdy nawet tego nie pomyślała. Być może samo uczucie tkwiło w niej od nie wiadomo kiedy, ale nigdy go nie nazwała, nigdy się na to nie *odważyła*, bo sama świadomość była zbyt przerażająca. Ukradzione życie to nie to samo co

ukradziony samochód; bolesne poczucie nieodwracalności straty, której doznała, wprawiło ją w panikę, dławiło, odbierało powietrze. Zamaszyście przekreślając słowa na papierze, usiłowała zarazem wytrzeć je z pamięci, z myśli, choć wiedziała przecież, że to niemożliwe. Nie sposób unicestwić tego, co raz się zrodziło. Przeczynała już, że te słowa coraz częściej, coraz nachalniej zaczęły się pojawiać w jej myślach. Zamiast od nich zaczęła list od formułek bez znaczenia, miażdżących uwag o pogodzie i przeciągającej się suszy na wyspie. Dopiero potem zaczęła pisać o tym, co działo się wtedy. O początkowym okresie mieszkania w domu rodziców z Erichem Feldmannem.

Guernsey, czerwiec/lipiec 1940

Już nie odszedł. Rozejrzał się i stwierdził z wewnętrznym przekonaniem:

– Tu jest dobrze. Wspaniale. Zostaję.

Do pokoju wszedł inny żołnierz, młodziutki. Przez chwilę rozmawiał z oficerem, ale ponieważ rozmawiali po niemiecku, nie rozumiała ani słowa. Ten, który ją znalazł i wyciągnął z ukrycia, przedstawił się jako Erich Feldmann i w myślach powtarzała to trudne do wymówienia nazwisko. Erich Feldmann.

Erich wskazał na nią i coś powiedział. Drugi mężczyzna skinął głową. Podeszedł do Beatrice, wziął ją za rękę i mruknął:

– Chodź, zobaczymy, czym można by cię nakarmić.

Mówił po angielsku prawie bezbłędnie, miał ciepłe, przyjazne spojrzenie. Beatrice poszła za nim do kuchni. Pomieszczenie wypełniał nieprzyjemny zapach; letni upał od dawna gościł w czterech ścianach, gdzieś w kredensie skwaśniało mleko.

– Potrzebny nam lód – stwierdził mężczyzna po tym, jak uchylił drzwi lodówki i z obrzydzeniem odwrócił głowę. – Wszystko spłynęło.

Buszował w szafkach, co Beatrice odebrała jako bolesne naruszenie prywatności. Przecież to szafki Deborah! Ale powtarzała sobie, że mężczyzna miał chyba dobre intencje.

Szukał dla niej czegoś do jedzenia.

– Jak się pan nazywa? – zapytała cicho.

– Wilhelm, ale wszyscy mówią do mnie Will. A ty?

– Beatrice.

– To piękne imię, Beatrice. A jak się wszyscy do ciebie zwracają?

– Tak, jak mam na imię.

– A twój ojciec? Matka? Nie posługiwali się żadnym zdrobnieniem?

Coś dławiło ją w gardle.

– Mama... – Jej głos brzmiał bardzo dziwnie. – Mama często mówiła do mnie Bee.

– Jeśli chcesz, też będę tak do ciebie mówił. – Przyglądał się jej badawczo. – A może tylko mama może tak do ciebie mówić?

Dławienie w gardle narastało. Jeszcze chwila i zaleje się łzami. Nie chciała się rozplakać, nie chciała, żeby ją obejmował i pocieszał, żeby głaskał ją po głowie, dokładnie tak, jak domyślała się, że chciał zrobić.

Udało jej się. Przetykała ślinę tak długo, aż ustało pieczenie pod powiekami.

– Wołałabym, żeby zwracał się pan do mnie Beatrice – powiedziała w końcu.

Westchnął cicho.

– Dobrze. Posłuchaj, Beatrice, wszystko w kuchni jest zgniłe albo spleśniałe. Niestety musisz jeszcze trochę poczekać, ale obiecuję, że dzisiaj wieczorem dostaniesz coś do jedzenia.

Właściwie wcale nie była głodna, ale tego już nie powiedziała. Dorośli zawsze obstawali przy tym, że dzieci powinny pochłaniać niewiarygodne ilości jedzenia, i pod tym względem Niemcy zapewne wcale nie różnili się od Anglików.

– Mogę iść do siebie? – zapytała.

Will skinął głową; wydawał się poruszony. Beatrice poczuła, że było mu jej żal, tak bardzo chciał za wszelką cenę ją pocieszyć.

„A może ja wcale nie chcę, żeby jakiś Niemiec mnie pocieszał” – pomyślała gniewnie. Bez słowa odwróciła się na pięcie i pobiegła na górę, do swego pokoju.

A tam wszystko było jak dawniej. Od gorączkowego wyjazdu rodziny

nic się nie zmieniło. Tapeta w różyczki, błękitna jak niebo komódka z lustrem, małe oprawione obrazki przedstawiające wyspiarskie pejzaże, łóżko, na którym siedziały lalki i pluszowe zwierzaki, biureczko, pomalowana na biało szafa – to wszystko było zwyczajne, nietknięte ostatnimi wydarzeniami. Zabłąkana pszczoła rozpaczliwie uderzała o zamknięte okno, bzyząc monotonnie. Beatrice otworzyła okno i owad z ulgą uleciał w błękit nieba.

Pokój zalało letnie ciepło, zapach róż, które rosły pod oknem, wypełniał powietrze zmysłową słodyczą. Zwłaszcza róże zdawały się w większym stopniu niż otaczające ją sprzęty emanować spokojem, który do tej pory był podstawą jej życia. Wcześniej nie zdawała sobie sprawy, jak oczywiste były dla niej powtarzalność i niezmiennosc każdego dnia. Przeczucie podpowiadało, że tamte czasy już nigdy nie wrócą, a mimo to kurczowo chwyciła się nadziei, że koszmar minie, że obudzi się ze złego snu i wszystko będzie jak dawniej.

Beatrice spędziła całe popołudnie na swoim łóżku, sztywno wyprostowana, mocno zaciskając kolana, jak grzeczna uczennica, choć do tego wizerunku nie pasowały zmierzwiłone włosy i wyczerpanie na twarzy, w której płonęły wygłodniałe oczy. Słyszała, jak cały dom tętnił życiem. Co chwila podjeżdżały samochody, ze wszystkich pokoi dobiegały głosy i kroki. Niemieckie krzyki wydawały jej się groźne, przede wszystkim dlatego, że nie rozumiała ani słowa i nie wiedziałyby nawet, gdyby w tej chwili rozmawiali akurat o niej, o tym, co z nią dalej będzie.

Powstrzymała ochotę, by przytulić do siebie lalkę albo pluszowego zwierzaka. Uznała, że to nie wypada. Miała wrażenie, że wystarczył jeden obrót Ziemi wokół własnej osi, a świat zmienił się całkowicie i w niczym nie przypominał dawnej rzeczywistości. Dzieciństwo skończyło się bezpowrotnie. Skończyło się gwałtownie, nie było łagodnego przejścia w nowe życie. Ale Beatrice już nigdy nie poszuka pociechy w ramionach misia albo lalki.

Wczesnym wieczorem zjawił się Will i powiedział, że na kolację ma zejść do jadalni. Beatrice wciąż nie czuła głodu, ale spełniła polecenie. Na dole, w holu, piętrzyły się skrzynie i pudła. Przez otwarte drzwi wejściowe widziała samochód terenowy, przy którym stało dwóch żołnierzy

pograżonych w rozmowie. Wystawiali twarze do wieczornego słońca, śmiali się. Nie kojarzyli jej się z wojną, byli po prostu młodymi mężczyznami, którzy rozkoszowali się wolnym czasem.

„To dla nich tylko zabawa” – pomyślała Beatrice z dreszczem. W jadalni zainstalował się Erich oraz trzech inni oficerowie. Stali wokół stołu, palili papierosy i rozmawiali po swojemu. Stół nakryto najlepszą porcelaną Deborah, wyłożono też stare srebrne sztuce i kryształowe kieliszki do wina. Domownicy zazwyczaj wyciągali tę zastawę tylko z okazji świąt, na urodziny, Boże Narodzenie i Wielkanoc. Niemcy jednak najwyraźniej traktowali je jako przedmioty codziennego użytku. A może uznali, że mają dzisiaj co świętować? Może chcieli uczcić zwycięstwo nad wyspą? W każdym razie w kandelabrach zapłonęły świece, a na kredensie królowała wielka szklana misa pełna wody, w której pływały róże we wszystkich możliwych kolorach. Przez otwarte drzwi na taras widać było jasnozielony trawnik.

Po raz pierwszy od dawna nie było słyhać warkotu samolotów, ciszę przerywało jedynie cykanie świerszczy i śpiew ptaków. W pewnym sensie Beatrice drażniło to, że mimo dramatycznych wydarzeń wyspa właściwie nie zmieniała swego charakteru.

Kiedy weszła do pokoju, Erich odwrócił się do niej z uśmiechem.

– A oto i nasza młoda dama – powiedział. Znowu mówił czystą, pozbawioną wszelkiego akcentu angielszczyzną. – Panowie, przedstawiam wam pannę Beatrice Stewart.

Nie dodał – choć może wspominał im o tym wcześniej – że pod nieobecność rodziców to jest *jej* dom. Traktował ją jak gościa, który zjawia się za późno i tym samym nachalnie zwraca na siebie uwagę.

Nazwiska mężczyzn przemknęły jej koło uszu, nie zrozumiała ich, zresztą wcale jej nie obchodzili, poza tym, że najwyraźniej wszyscy byli oficerami. Do Ericha zwracali się per „panie majorze” i odnosili się do niego z wielkim szacunkiem. Panoszył się w domu jak gospodarz, kazał Willowi, który, jak się domyślała Beatrice, był kimś w rodzaju kamerdynera, przynosić wino z piwnicy, nalewał je hojną ręką. Beatrice pamiętała, jak dumny był ojciec ze swojej piwniczki, i złościło ją, gdy Erich Feldmann dumnie odczytywał etykiety z poszczególnych butelek, jakby

osobiście gromadził te specjały.

Kucharz podał jedzenie. Był blady i chudy, nie odzywał się ani słowem, ale chyba znał się na swoim fachu, bo wyczarował wysmienitą pięciodaniową kolację. Przez całe popołudnie zwożono niewiarygodne ilości jedzenia. Beatrice intrygowało, czy Niemcy przywieźli to wszystko z sobą, czy po zajęciu wyspy po prostu zaanektowali zapasy mieszkańców. Właściwie nic nie zjadła, piła tylko pospiesznie sok pomarańczowy, który Will postawił przy jej nakryciu. Mężczyźni rozmawiali po niemiecku, żartowali, wydawali się w świetnym humorze. Dopiero kiedy podano deser, Erich ponownie zwrócił się do Beatrice:

– Od jutra Will będzie cię dwie godziny dziennie uczył niemieckiego. Chyba szybko się nauczysz naszego języka, jesteś jeszcze w takim wieku, że szybko przyswajasz.

– A poza tym wygląda na inteligentną młodą damę – zauważył jeden z oficerów i dobroduszenie uśmiechnął się do Beatrice.

– Niby czemu miałabym się uczyć niemieckiego? – zdziwiła się. – Przecież nie będę mieszkała w Niemczech.

Po jej słowach zapadła krępująca cisza. Will chciał dolać wszystkim wina. Pierwszy roześmiał się Erich, jak się wydawało Beatrice, nie z rozbawieniem, raczej agresywnie.

– Moja droga, to naprawdę urocze! Ale w twoim wieku nie postrzega się rzeczywistości we właściwym świetle. Przecież ty już mieszkasz w Niemczech, nie rozumiesz tego?

– Ja... – zaczęła Beatrice, ale Erich nie dał jej dojść do głosu:

– Musisz to zrozumieć. Im prędzej, tym lepiej. Te wyspy, ta ziemia, jest teraz częścią *Niemiec!*

Jeden z oficerów był chyba zdania, że pod wpływem wydarzeń ostatnich dni Beatrice była w szoku i że to nie czas, by wyklądać jej ideologię narodowego socjalizmu.

– Mała jest pewnie zmęczona – zauważył niespokojnie. – A poza tym...

– Owszem, jest zmęczona, ale musi się nauczyć! – ryknął Erich. Język trochę mu się plątał, mówił zdecydowanie za głośno. Miał szkliste spojrzenie. Beatrice wydawało się, że za dużo wypił, ale zapewne reagował tak nawet na niewielkie ilości alkoholu. Pomyślała, że gdyby wstał, mógłby

upaść.

– Cały świat to będą Niemcy – powiedział. – Rozumiesz? Wschód, zachód, północ, południe – gdziekolwiek spojrzysz, gdziekolwiek pójdziesz, wszędzie będą Niemcy. Nie zauważyłaś jeszcze, z jaką łatwością zajmujemy kolejne kraje? Nie znalazł się jeszcze naród, który stawiałby nam opór. No, proszę, kto się na to zdobędzie? Powiedz, kto jest od nas silniejszy? – rzucił Beatrice wyzwanie.

– Przecież to jeszcze dziecko – zauważył drugi oficer.

Erich odwrócił się ku niemu ze zręcznością drapieżnika, który rzuca się na ofiarę.

– No właśnie! I właśnie dlatego musi zrozumieć, jak bardzo zmieni się świat, w którym przyjdzie jej żyć. Ze starego porządku nie zostanie kamień na kamieniu. I nic, musi to sobie zapamiętać, nie będzie takie jak dawniej!

Wszyscy milczeli. Słowa nadal wisały w powietrzu. Will dolewał wszystkim wina. Przez pewien czas słychać było jedynie szcęk sztućców i brzęk kieliszków. Beatrice zerknęła na Ericha. Jego policzki przybrały nienaturalnie czerwony odcień, zdecydowanie za szybko pił wino. Niemal fizycznie wyczuwała bijące od niego zagrożenie. Było w nim coś brutalnego, niekontrolowanego. Wcześniej, w południe, podczas ich pierwszego spotkania, tego nie wyczuła, ale teraz – owszem, bardzo wyraźnie. Najwyraźniej wystarczyła nawet mała dawka alkoholu, by to w nim obudzić.

Po posiłku wstała i poszła na górę. Na dole mężczyźni zapewne nie wylewali za kołnierz, bo rozmowy i śmiechy przybierały na sile. Bez problemu rozróżniała głos Ericha wśród pozostałych.

Beatrice usiłowała zagłuszyć głosy w głowie. Podeszła do otwartego okna i głęboko wciągnęła w płuca ciepło jasnej czerwcowej nocy. Pomyślała o rodzicach, wyobrażała ich sobie z jak najdrobniejszymi szczegółami. Ciekawe, gdzie teraz są? Czy dotarli szczęśliwie do Anglii? Pewnie zamartwiają się o córeczkę. Czy Deborah myśli o niej właśnie w tej chwili? Może ich myśli spotkają się w połowie drogi? Beatrice czuła, *wiedziała*, że mamusia tak samo wpatruje się w noc i za nią tęskni.

– Nie martw się, mamusiu – szepnęła. – Jestem już duża i przetrzymam to wszystko. Nie martw się o mnie. Na pewno się jeszcze zobaczymy. I to

całkiem niedługo.

Przez chwilę jeszcze myślała, że może zajrzy do niej Will, żeby jej życzyć dobrej nocy, ale nie pokazał się, więc w końcu się rozebrała i położyła do łóżka. Nie wykąpała się, choć woda, mydło i pasta do zębów bardzo dobrze by jej zrobiły, obawiała się jednak, że w drodze do łazienki spotka Ericha, a ta wizja budziła zbyt duży niepokój. Ale po tym, jak przez godzinę leżała w łóżku, dotarło do niej, że owszem, mogłaby jeszcze długo odwlekać mycie, ale nie wytrzyma nawet dziesięciu minut z pójściem do toalety. Wstała i cichutko poszła do łazienki. Z dołu nie dobiegały żadne odgłosy. Zamknęła za sobą drzwi, oparła się o nie ciężko. Widziała się w lustrze naprzeciwko i przeraziła się swoim bladym odbiciem. Bardzo schudła, była wymizerowana, miała ostro zarysowane kości policzkowe i wielkie, wystraszone oczy. Długie, ciemne włosy zwisały jej smętnie, niechlujnie opadały na ramiona, brzydkie i matowe. I czy biała koszula nocna zawsze była na niej taka luźna?

Skoro już tu była, umyła się, wyszorowała zęby, wyszczotkowała włosy. Wyglądała lepiej i tak też się czuła. Krytycznie przeglądała się w lustrze i wtedy zjawiała się myśl: „Nie powinnam tu zostawać. Tak, to *mój* dom, ale teraz zajęli go *oni*, a ten mężczyzna jest niebezpieczny. Powinnam się stąd wyprowadzić”.

Była to myśl tak przerażająca, że przyprawiła ją o szybsze bicie serca i musiała się złapać umywalki, żeby nie upaść. Do tej pory mimo wszystko postrzegała dom jako bezpieczne schronienie i robiło jej się słabo na myśl, że miałaby go porzucić. Ale to złudne wrażenie, to już nie był jej dom. Przeszedł w ręce wroga, w każdej chwili mógł się stać pułapką. Teraz najważniejsi byli ludzie, ludzie, którzy ją kochali i którzy się o nią zatroszcą.

Na wyspie mieli wielu przyjaciół, problem w tym, że nie wiedziała, ilu z nich zostało. Przypomniła sobie tłumy w porcie i wydało jej się mało prawdopodobne, żeby na wyspie został choćby jeden angielski kot. Może to ona jest ostatnią, która...

– Dowiesz się, kiedy to sprawdzisz – powiedziała pod nosem.

Deborah uważała, że Mae i jej rodzice też wyjechali, ale nie była tego pewna i być może państwo Wyatt nadal byli na Guernsey. Tęsknota za

przyjaciółką stała się nie do zniesienia. Nie będzie zwlekała ani chwili.

Zakradła się do swego pokoju, ubrała błyskawicznie – wybrała szkolny mundurek, bo przecież będzie jej potrzebny, gdy znowu pójdzie do szkoły. Do małej, pokrytej lnem walizeczki, w której dawniej przechowywała lalczyne ubrania, spakowała parę zmian bielizny, długie spodnie i sweterek. To musi jej wystarczyć, zresztą Mae na pewno coś jej pożyczy. Żeby tylko była w domu! Modliła się gorąco, bezszelestnie otwierając drzwi. Na paluszkach skradała się korytarzem, cichutko schodziła ze schodów, zwinnie przeskoczyła skrzypiący stopień, wiedziała przecież doskonale, gdzie się znajduje.

W wąskim holu odetchnęła głęboko. Chciała jeszcze wyjąć z szafy okrągły marynarski kapelusik, ale usłyszała za sobą jakiś dźwięk. Odwróciła się i zobaczyła Ericha. Stał w drzwiach do saloniku. Zastygł w bezruchu.

Z pokoju za jego plecami padało księżycowe światło, w którym wydawał się mrocznym cieniem bez twarzy. Beatrice słyszała jego oddech, czuła zapach alkoholu, który zdążył wypić. Ona także milczała i przez dłuższą chwilę stali tak w ciszy naprzeciwko siebie. A potem cień się poruszył i zapalił światło.

Beatrice zamrugła. Erich był trupio blady, na jego twarzy lśniła warstewka potu. Wyglądał zupełnie inaczej niż zaledwie trzy godziny wcześniej przy kolacji; wtedy był rumiany i wręcz nieprzyjemnie ożywiony. Teraz, gdy krew odpłynęła mu nawet z ust, wydawał się nierzeczywisty, słaby i chory.

– No proszę – mruknął, cedząc słowa, ale Beatrice zauważyła już, że po angielsku mówił wolniej niż po niemiecku. – Wybierasz się w podróż?

Ponieważ mała walizeczka stała u jej nóg, nie miało sensu mu wmawiać, że szła do ogrodu podziwiać blask księżyca.

– Do mojej przyjaciółki Mae – odparła.

– Do twojej przyjaciółki Mae? A gdzie ona jest, jeśli wolno zapytać?

– Mieszka trochę dalej, w wiosce.

– Hm... Nie wyjechała podczas ewakuacji?

Akurat tego Beatrice nie wiedziała, ale odpowiedziała z zimną krwią:

– Nie.

Pobladł jeszcze bardziej, choć nadal mówił spokojnym, chłodnym głosem:

– Aha. A dlaczego wymykasz się do niej w środku nocy? Dlaczego nie poczekałaś do rana, żeby ze mną o tym porozmawiać?

Nie wiedziała, czy zdobędzie się na to, by powiedzieć mu prawdę, ale pomyślała, że właściwie nie ma wiele do stracenia.

– Byłam pewna, że mi pan nie pozwoli.

Uśmiechnął się bez złośliwości, ale też bez cienia sympatii.

– Byłaś pewna? Więc pomyślałaś sobie: na wszelki wypadek oszukam go i wymknę się pod osłoną nocy.

– Mae i jej rodzice są dla mnie jak rodzina. Ja...

Cały czas się uśmiechał.

– Czy choć przez chwilę przyszło ci do głowy, jak bardzo bym się martwił?

„On? Martwił się? Być może” – pomyślała. Od pierwszego dnia otoczył ją na swój sposób troskliwą opieką i właściwie nie mogła powiedzieć o nim złego słowa, poza tym, że drażniły ją jego agresywne mowy przy kolacji. Nie odpowiedziała.

Pot na jego twarzy spływał małymi, lśniącoymi kropelkami. Chyba nie czuł się najlepiej.

– Musisz zrozumieć, że czuję się za ciebie odpowiedzialny, Beatrice – powiedział. – A dokładnie mówiąc, nie *czuję* się – jestem. Znalazłem cię roztrzęsioną i przerażoną w saloniku, samą na tym świecie, i od tej chwili jestem za ciebie odpowiedzialny. Może wydaje ci się, że jesteś bardzo dorosła, i rzeczywiście jesteś bardzo dojrzała jak na swój wiek, ale nadal jesteś dzieckiem, więc potrzebujesz kogoś, kto się tobą zajmie. Twoich rodziców tu nie ma i jak mówiłem, sporo czasu minie, zanim znowu ich zobaczysz. Na razie – i zależy mi na tym, żebyś to naprawdę zrozumiała – należysz do mnie. Jestem twoim opiekunem, powiedzmy. A to oznacza... – Urwał na moment, by po chwili powiedzieć powoli i wyraźnie: – A to oznacza, że *robisz, co ci każę. I mieszkasz w moim domu. Pod moją opieką. Zrozumiałaś?*

– Tak, rozumiałam – odparła Beatrice chłodno. Straciła nadzieję na spotkanie z Mae. Uznała, że byłoby nierozsądnie po raz drugi próbować

opuścić dom.

– Może znowu zachce ci się uciekać – dodał, jakby czytał w jej myślach.
– Więc uprzedzam: to nie ma najmniejszego sensu. Jak doskonale wiesz, znajdujemy się na wyspie. Pełnej niemieckich żołnierzy. Panujemy nad każdym skrawkiem tej ziemi, a to oznacza, że znalazłbym cię w mgnieniu oka. Nie masz szans, Beatrice, i chciałbym, żebyś w pełni zdawała sobie z tego sprawę.

– Ale właściwie czemu tak bardzo panu zależy na tym, żebym tu została – zdziwiła się Beatrice – skoro mogłabym zamieszkać u przyjaciółki?

Zmarszczył czoło i zrozumiała, że we własnym mniemaniu udzielił jej wystarczających wyjaśnień i nie życzył sobie dalszych dyskusji.

– Zdecydowałem, że tu zostaniesz – powiedział – i nic tego nie zmieni. Im szybciej pogodzisz się z tą myślą, tym łatwiej będzie nam wszystkim. A teraz marsz na górę, zdejmij ten śliczny szkolny mundur i do łóżka. Wyglądasz na zmęczoną.

„A ty na chorego” – pomyślała gniewnie, ale już bez słowa odwróciła się na pięcie i poczłapała, z idiotyczną lalczyną walizką w rękę, na górę, do swego pokoju. Znacząco trzasnęła drzwiami. Po kilku chwilach rozległy się ciężkie kroki Ericha. Poszedł do łazienki, a później do sypialni rodziców i właśnie ten moment zabolął najbardziej w tym burzliwym dniu: chwila, gdy słyszała, jak niemiecki oficer bez wahania zajmuje pokój Deborah i Andrew, i czuje się w nim jak u siebie.

Niecałe trzy tygodnie później na wyspie zjawiała się Helene Feldmann.

Przez ten czas Beatrice zdążyła się otrząsnąć z początkowego szoku, ale nadal każdy dzień wydawał jej się sennym koszmarem, przy czym najgorsza była świadomość, że dramat nie skończy się jutro ani nawet za miesiąc. Nic nie wskazywało na to, żeby Niemcy mieli opuścić wyspy, chyba że wydarzyłoby się coś, co by ich do tego zmusiło. Przez czternaście dni łudziła się, że nadlecą brytyjskie samoloty, liczyła na RAF i marynarkę wojenną, na nieustraszoną armię, która pospieszy im na ratunek i przepędzi najeźdźców. Ale gdy nic się nie działo, zaczęła rozumieć, że

w Londynie – przynajmniej chwilowo – zaakceptowano obecny stan rzeczy.

Przybycie Niemców poprzedziła opinia o nich, że pracują systematycznie, szybko i dokładnie, że kiedy się do czegoś biorą, sprawnie i gruntownie doprowadzają rzecz do końca. Brytyjczycy, którzy pozostali na wyspach, przekonali się ze zdumieniem, że była to opinia nader prawdziwa.

Ulice szybko się zmieniły. Pomijając to, że wszędzie widziało się niemieckie mundury, na wszystkich urzędowych gmachach zawisły flagi ze swastyką, a gdzieś tam zmieniono też angielskie nazwy ulic, większych budynków i instytucji. Na przykład zamek Cornet, potężna twierdza górująca nad portem w St. Peter Port, nazywała się teraz „Hafenschloß”. Malownicza wioska Torteval stała się „Spitzkirchen”, a to ze względu na charakterystyczną, widoczną z daleka wieżę kościelną. Oczywiście wydano rozkaz, by miejscowi posługiwali się wyłącznie nowymi nazwami, ale tym akurat nikt się nie przejmował. A koniec końców akurat tego Niemcy nie mogli stale kontrolować.

O wiele trudniejsza do zaakceptowania była, ostatecznie przez Niemców przeforsowana, zmiana zasad ruchu ulicznego. Już nie jeżdżono po lewej stronie, tylko po prawej, jak w całej Europie kontynentalnej. Wprowadziło to spore zamieszanie, także wśród Niemców, bo po takiej zmianie większość znaków drogowych okazała się nieaktualna, a tak szybko nie dało się ich zmienić. Z drugiej strony, już tylko nieliczni mieszkańcy wyspy mieli samochody; wiele aut zarekwirowano i trzeba się było postarać o specjalne zezwolenie, by móc zachować własny samochód. W praktyce takie zezwolenie dostawali właściciele maszyn rolniczych oraz wozów dostawczych. Benzyna była racjonowana, dostępna wyłącznie na kartki, podobnie jak żywność.

Niemiecki zakaz zgromadzeń położył kres nawet tak niewinnym rozrywkom jak klub brydżowy, w którego spotkaniach i tak przeszkadzałaby wprowadzona przez okupanta godzina policyjna. Szkolnictwo, zapomniane w wojennym chaosie tuż przed ewakuacją, miało wkrótce ożyć i Niemcy oczekiwali, że szkoły wkrótce ponownie przyjmą uczniów, przy czym głównym przedmiotem nauczania miał być język

niemiecki.

Lipiec był gorący i ponury. Beatrice nie próbowała więcej wymykać się z domu. Dbała o róże, co w jej mniemaniu oznaczało budowanie więzi z ojcem, i znosiła pogardliwy uśmiech, z jakim Erich kwitował jej zabiegi.

– Teraz nie jest czas na kwiatki i tym podobne drobiazgi – powiedział kiedyś. – Teraz jest wojna. Ale właściwie nie mam nic przeciwko temu, że zajmujesz się ogrodem.

Obstawał przy tym, żeby Will codziennie uczył ją przez dwie godziny niemieckiego. Beatrice tego nie znosiła, ale tłumaczyła sobie, że skoro okupacja może jeszcze trochę potrwać, znajomość języka wroga będzie miała same zalety.

Zresztą dobrze się z Willem dogadywała. Zaprzyjaźnili się szybko, zastępował jej starszego brata, którego zawsze chciała mieć.

Liczyła na to, że zamieszka w domu z nią i Erichem, ale najwyraźniej Erich uznał, że to niestosowne, i umieścił Willa w mieszkanku na stryszku nad stodołą, który zazwyczaj zajmowali robotnicy, których Andrew od czasu do czasu zatrudniał. Deborah pięknie urządziła mały pokój o bielonych ścianach pod skośnym sufitem; w oknie wiatr bawił się kwiecistymi zasłonkami, wygodna kanapa służyła w nocy za łóżko, pośrodku stał okrągły stolik i wiklinowy fotel, w kącie – elektryczna płyta kuchenna i czajnik. Will powiedział, że na lekcje będzie przychodził do domu, ale Beatrice odparła, że wolałaby zaglądać do niego. Zgodził się, nie wnikając, co nią kierowało, i Beatrice podejrzewała, że domyślał się, dlaczego dokonała takiego wyboru; tym sposobem choć na kilka kroków oddalała się od Ericha. Jemu tłumaczyła, że w domu nie może się skoncentrować, czemu akurat nie mógł zaprzeczyć, bo rzeczywiście co chwila zjawiali się i wychodzili oficerowie, odbywały się narady polowe, na podjeździe parkowały samochody; krótko mówiąc, działo się dużo i było głośno.

Tak więc Beatrice codziennie o trzeciej po południu wspinała się po stromej drabinie do królestwa Willa, żeby tam przez dwie godziny ślęczyć nad skomplikowanymi, zawilgocionymi zasadami niemieckiej gramatyki.

Will czekał na nią zawsze z imbrykiem herbaty i ciepłymi słowami otuchy. Nigdy się nie odważył w jej obecności powiedzieć nic złego

o Erichu, ale szybko się zorientowała, że nie przepadał za impulsywnym szefem. Nie odpowiadała mu też chyba rola adiutanta zwycięskiego oficera w podbitym kraju, ale na ten temat także wypowiadał się bardzo ostrożnie.

Tylko raz znalazł się blisko niebezpiecznego tematu – kiedy Beatrice przysłała na lekcję kilka minut za wcześniej i przyłapała go na pisaniu listu. Odłożył pióro, siedział wpatrzony w gorące, pachnące, lipcowe niebo; tego dnia zanosilo się na burzę i wszyscy, ludzie i zwierzęta, wyczuwali dziwne napięcie w powietrzu.

Na jego twarzy malował się smutek, który głęboko poruszył Beatrice.

– Will – zaczęła cicho.

Drgnął, nie słyszał, jak wchodziła.

– Jesteś już – stwierdził. Rozluźnił się, znowu był tym radosnym chłopakiem, który potrafił każdemu dodać otuchy. Ale przez moment Beatrice widziała zupełnie inne jego oblicze.

– Zaraz nastawię wodę – powiedział. – Czy może uważasz, że dzisiaj za gorąco na herbatę?

– Wolałabym łyk zimnej wody – przyznała. Po chwili zaś dodała: – Wydawał się pan bardzo smutny, Will. Co się dzieje?

Nalał zimnej wody do dwóch szklanek i postawił je na stole.

– Pisałem właśnie list do rodziców i... – Wzruszył ramionami.

– Tęskni pan?

Wahał się przez chwilę, ale zaraz skinął głową.

– Tak, tęsknię. Ale ty wiesz najlepiej, jak to jest.

Patrzyli na siebie z powagą, jedenastoletnia dziewczynka i dorosły mężczyzna, w tej chwili połączeni bólem, który okazał się zadziwiająco silną więzią. W tym momencie nie liczyła się bariera językowa, to, że byli różnej narodowości, że byli wrogami.

W końcu odezwała się Beatrice:

– Ale ja nie chciałam się rozdzielić z rodzicami. A pan...

– Och, Beatrice, to nie takie proste. Jeśli myślisz, że chciałem, żeby sytuacja wyglądała tak jak teraz... – Nagle w jego głosie usłyszała gorycz, której wcześniej w nim nie było. – Nie wolno ci myśleć, że wszyscy niemieccy żołnierze są zadowoleni z obrotu sprawy – mówił szybko, zaraz jednak zrozumiał, że posunął się za daleko, uśmiechnął się i wycofał: – Ale

to nie są tematy, którymi będziemy sobie zawracać głowę. Jesteś tutaj, żeby się uczyć niemieckiego. Pokaż pracę domową. Idę o zakład, że znowu nie zrobiłaś nawet jednego błędu!

Bał się Ericha, wyczuwała to. Wszyscy bali się Ericha. Liczni żołnierze, którzy wiecznie kręcili się po domu, okazywali mu szacunek i respekt, które wyczuwała, nawet nie rozumiejąc języka. Wydawało się, że nikt nie chce go rozdrażnić. Beatrice podejrzewała, że odnosili się do niego tak ostrożnie, bo wiedzieli, jaki jest nieobliczalny. Nie знаła drugiego człowieka, którego nastroje zmieniałyby się tak gwałtownie w ciągu jednego dnia. Niekiedy miała wrażenie, że rozmawia z inną osobą, z czasem jednak zauważyła, że jego wahania nastrojów przebiegają według określonego rytmu.

Rano był wiecznie zmęczony, źle wyglądał, prawie się nie odzywał i właściwie nic nie jadł, tylko pił mocną czarną kawę i gorączkowo palił pierwszego tego dnia papierosa. Potem jednak humor poprawiał mu się szybko, podobnie jak wygląd. Policzki nabierały rumieńców, w oczach pojawiał się błysk, stawał się gadatliwy, ożywiony, na swój sposób serdeczny. W tej fazie nawet hiobowe wieści nie robiłyby na nim wrażenia. Wszystkich częstował wódką i papierosami.

Po południu następował kolejny spadek nastroju, ale teraz nie było to zmęczenie i senność poranka, raczej rozdrażnienie oraz irytacja. Nie był w stanie usiedzieć spokojnie, był w ciągłym ruchu, palił papierosa za papierosem, gasił na wpół wypalone, by zaraz sięgnąć po następnego. Atakował każdego, kto wszedł mu w drogę. Czasami ręce drżały mu tak mocno, że nie był w stanie podnieść filiżanki kawy do ust. Około piątej – Beatrice mogłaby regulować zegarek według jego humorów – było już po punkcie kulminacyjnym i powoli przeistaczał się w sztucznie serdecznego, nienaturalnie pogodnego człowieka, którego zapamiętała z pierwszego dnia. Od szóstej sączył aperitify z gośćmi – co wieczór zapraszał oficerów na kolację – a później przechodził na wino, na które reagował policzkami czerwonymi jak u indyka i przesadną gestykulacją. Śmiał się, perorował, snuł własne teorie na temat sytuacji na świecie, ale w pewnym momencie, zazwyczaj dosyć szybko, bez konkretnego powodu zapadał się w sobie, ogarniało go znużenie, pograżał się w melancholii graniczącej z depresją.

Błądł, jego usta stawały się sine. Czasami Beatrice słyszała, jak snuje się po pokojach i mamrocze coś niezrozumiale pod nosem.

Pewnego dnia, jakoś pod koniec lipca, na początku lekcji niemieckiego Will oznajmił z tajemniczym uśmiechem:

– Dzisiaj spodziewamy się pani Feldmann. Około piątej powinna tu być.

Beatrice aż do tej pory nie wiedziała, że Erich ma żonę.

– Naprawdę? – zdziwiła się.

Will skinął głową.

– Podobno wcale nie chciała przyjechać, ale major Feldmann nalegał. Cóż, pewnie nie chce siedzieć tu sam.

Beatrice dopiero po chwili opanowała lęk. Nie żeby podobało jej się mieszkanie tylko z Erichem, ale tę sytuację przynajmniej już знаła, a nieznana pani Feldmann budziła w niej strach. A jeśli okaże się heterą, która jeszcze bardziej skomplikuje jej życie?

– Ach, Will – westchnęła. – Powiedz, jaka właściwie jest pani Feldmann?

– Nie znam jej – odparł ze smutkiem. – Słyszałem tylko, że jest bardzo piękna.

To jeszcze bardziej podcięło Beatrice skrzydła. Wyobrażała sobie elegancką światową damę, która wkroczy tu jak gwiazda filmowa i będzie się z pogardą wyrażała o wszystkim, co tu zastanie. Pewnie nic nie przypadnie jej do gustu i od razu zarządzi liczne zmiany. Ktoś taki jak Erich, najwyraźniej zajmujący na wyspie wysokie stanowisko, musi mieć odpowiednią żonę.

Był to dzień, gdy i bez tego czuła się załamana i nieszczęśliwa. Cały czas miała nadzieję otrzymać jakieś wieści od rodziców, ale nie było żadnego listu ani pocztówki, a tym bardziej nie dzwonił telefon, choćby nie wiadomo jak długo wpatrywała się w niego błagalnie. Will co prawda powtarzał, że to jeszcze nic nie znaczy, że właściwie nie ma żadnego kontaktu między wyspami a Anglią, ale Beatrice wbrew rozsądkowi liczyła na to, że rodzicom uda się jakoś przesłać córce wiadomość. Martwiło ją, że to nie następowało. Nadal nie opłakiwała straszliwych zmian w swoim życiu, ale jej rozpacz się pogłębiała. A do tego Erich nakrzyczał na nią przy

śniadaniu. Mówił do niej po niemiecku, nie zrozumiała, co go rozwścieczyło, bo według niego robiła za małe postępy.

– Co wy właściwie robicie dzień w dzień przez dwie godziny, gdy do niego chodzisz? – wrzeszczał. Poranny letarg ustąpił wściekłości. – Co wy, gracie w chińczyka czy co? – Patrzył na nią gniewnie. – Nie wypada, żebyś spędzała tyle czasu sam na sam z młodym mężczyzną w jego kwaterze, wcześniej powinienem był o tym pomyśleć. Od tej pory on ma przychodzić tutaj i będzie cię uczył pod moim nadzorem, jasne?

Na szczęście w południe był w świetnym humorze i gdy Beatrice się pożegnała, żeby iść do Willa, chyba już zapomniał o porannym rozkazie, bo skinął głową i mruknął roztargniony:

– Tak, tak, idź. Ucz się pilnie, jasne? Mam wobec ciebie wielkie plany.

Nie wiedziała, co przez to rozumiał, ale zaniepokoiły ją te słowa.

Delikatnie wspomniała przy Willu o nierównych nastrojach Ericha. Odparł ostrożnie, że wiele osób to zauważa i że mówi się o tym na wyspie.

– Na szczęście wiem mniej więcej, kiedy schodzić mu z drogi – zauważyła Beatrice i ciszej dodała: – Kiedy to się wreszcie skończy?

Jakoś przeżyli popołudnie. Will nie mógł się skoncentrować, a Beatrice robiła więcej błędów niż zazwyczaj. W końcu podał jej książkę i powiedział, że do jutra powinna spróbować przeczytać cały pierwszy rozdział.

– A teraz wracaj do domu i nic się nie martw – rzucił na pożegnanie. – Może pani Feldmann nie jest taka straszna.

Beatrice nie miała najmniejszej ochoty na konfrontację choćby z jednym z Feldmannów, więc zasyłała się w ogrodzie, w ulubionym zakątku koło wysokiego białego muru, przy którym jej ojciec zasadził pędy winorośli. Na Wyspach Normandzkich nie było najlepszych warunków do uprawy winorośli, ale przy odrobinie wsparcia rośliny radziły sobie całkiem nieźle, trzeba im było tylko zapewnić zaciszne miejsce osłonięte od wiatru, nasłonecznione. Biały murek, który Andrew wybudował własnoręcznie, odbijał światło i ciepło, i tym sposobem mieli własne winogrona. Ale i tutaj zaniedbanie nie dawało o sobie zapomnieć, chwasty wyrastały z ziemi, panoszyły się wszędzie.

– Biedny ogródek – szepnęła. – Ale ja nic nie poradzę. Sama nic nie

zrobię.

Przeglądała książkę, usiłowała przeczytać pierwsze opowiadanie, ale znała jeszcze za mało słówek i nie udało jej się wychwycić sensu zdania. Zdenerwowana, sfrustrowana, dała sobie w końcu spokój. „Pewnie już nigdy nie nauczę się tego języka” – pomyślała znużona.

Upał sprawiał, że chciało jej się spać, więc przymknęła oczy i chyba nawet na chwilę zasnęła. Drgnęła, słysząc odgłos, którego w pierwszej chwili nie potrafiła zidentyfikować, zaraz się jednak zorientowała, że to kobiecy płacz. Wstała, żeby się rozejrzeć.

Kobieta przycupnęła po drugiej stronie białego murku, na skraju poidelka dla ptaków, którego już od wielu tygodni nikt nie napełniał wodą i na którego brzegach zagościła gruba warstwa mchu. Na białej sukience kobiety zostaną zielone plamy, gdy wstanie. Ukryła twarz w dłoniach. Szlochała falami, płacz momentami cichł, by po chwili przybrać na sile. Jej jasne włosy połyskiwały rdzawo w popołudniowym słońcu. Upięła je w skomplikowany kok, ale kilka kosmyków wysunęło się z fryzury i opadało na ramiona miękkimi, falującymi pasmami.

Beatrice domyśliła się do razu, że ma przed sobą panią Feldmann.

– Dzień dobry – odezwała się nieśmiało.

Pani Feldmann podniosła głowę i spojrzała na Beatrice. Jej twarz była mokra od łez, a oczy czerwone od płaczu. Może dlatego wydawała się Beatrice młodsza, niż była w rzeczywistości, w każdym razie sprawiała wrażenie osoby bardzo młodej, a już na pewno o wiele młodszej od Ericha. Choć miała na sobie elegancką sukienkę z drogiego materiału, nie było w niej nic światowego. Przypominała małą, smutną dziewczynkę, która się zgubiła i nie wie, jak wrócić do domu.

– Dzień dobry – odparła cicho, wycierając oczy wierzchem dłoni. Wyglądała, jakby chciała wstać, ale nie miała na to siły. – Pewnie jesteś Beatrice. – Mówiła po angielsku bez akcentu, lepiej niż jej mąż, ale częściej się zacinała w poszukiwaniu odpowiednich słów. – Mąż mi o tobie opowiadał. Jestem Helene Feldmann.

Sięgnęła do kieszeni, wyjęła pogniecioną chusteczkę, wydmuchała nos.

– Przepraszam – odezwała się. – Myślałam, że tu w ogrodzie nikogo nie ma. Pewnie masz o mnie dziwne zdanie. – Głos jej zadrżał. Lada chwila

znowu zaleje się łzami.

– Siedziałam za murem – odparła Beatrice – i usiłowałam czytać książkę. – Podniosła tomik, który dostała od Willa. – Ale właściwie nic nie rozumiem. Próbuje się nauczyć niemieckiego, ale jakoś mi nie idzie.

– Dasz radę – zapewniła Helene. – W twoim wieku człowiek szybko się uczy. Czasami wydaje się, że nie dasz rady, ale potem coś się w tobie otwiera i nagle się zastanawiasz, dlaczego wcześniej wydawało ci się to takie trudne. Sama zobaczysz, wkrótce nawet śnić będziesz po niemiecku.

Ta wizja nie bardzo pocieszyła Beatrice, ale wiedziała, że Helene nie miała nic złego na myśli. Obawy, które żywiła na myśl o nieznannej pani Feldmann, rozwiały się, ale zniknęła też przez chwilę wybujała nadzieja, że oto poznała kogoś, kto weźmie ją w ramiona, przytuli i wypyta o troski. Rozwiała się tak szybko, jak się pojawiła. Helene, choć dorosła, przypominała pisklaka, który wypadł z gniazda. W jej wykonaniu pocieszenie ograniczało się do nieudolnego szukania właściwych słów. Jednocześnie cały czas spojrzeniem sama błagała o wsparcie.

Helene znowu zaczęła płakać; przeprosiła za to pod nosem, lecz nawet nie starała się powstrzymać łez. Beatrice odczekała chwilę, a potem ostrożnie przysiadła koło niej na omszałym skraju poidła dla ptaków. Po chwili wahania nieśmiało objęła ją ramieniem.

Ten ruch wystarczył, by Helene straciła resztki panowania nad sobą. Z głośnym szlochem ukryła twarz na ramieniu Beatrice.

– Wszystko będzie dobrze – pocieszała ją Beatrice, choć sama nie wierzyła w prawdziwość tych słów i nie miała pojęcia, dlaczego Helene tak cierpi.

A Helene płakała i płakała, z czasem jednak uspokoiła się trochę. Już nie dygotała na całym ciele, jakby zrodziła się w niej nadzieja, nie potrafiła jednak określić, na czym to polegało. W jedenastoletniej Beatrice znalazła wsparcie, którego szukała, i będzie się na niej opierała, póki dziewczynka zostanie przy niej.

– I tak jest do dzisiaj – stwierdziła Beatrice.

Kevin, który akurat ustawił na stole misę sałaty, spojrzął na nią zaskoczony.

– Co?

– Nic, myślałam o Helene. O naszym pierwszym spotkaniu wśród róż, w ogrodzie.

– Już ci kiedyś mówiłem, że nie powinnaś tyle myśleć o przeszłości.

– Dziwne – mruknęła zadumana – ile drobiazgów się człowiekowi przypomina, gdy głębiej się nad czymś zastanowi. Widzę to teraz dokładnie, bardzo długo nie byłam w stanie tego opisać, ale teraz już pamiętam, jak to było.

Kevin przyniósł półmisek z ziemniakami.

– A co takiego sobie przypominałaś? – zapytał. – Jaki istotny szczegół?

– Sukienkę, którą Helene miała wtedy na sobie. Cały czas mam ją przed oczami. Przez lata nie byłabym w stanie jej opisać, ale teraz dokładnie ją pamiętam.

Kevin postawił ziemniaki na stole.

– A co w niej było takiego wyjątkowego?

– Nic. Po prostu fascynuje mnie proces przypominania sobie. Jej sukienka wyglądała tak, jak jej stroje do dzisiaj: romantyczna, słodka, dziewczęca. Nigdy nie wyrosła z tego stylu, jakby zatrzymała się na pewnym etapie rozwoju i nie mogła pójść dalej.

– Najwyraźniej.

– I jeszcze coś zauważyłam. Wisiała na mnie i szlochała, aż w końcu, po bardzo długim czasie, przestała płakać i wyswobodziła się z moich objęć. A potem powiedziała...

– Co?

– Coś w stylu, że jestem małą, dzielną dziewczynką. Że jestem silna i kiedyś wezmę życie we własne ręce i... że... że stawię czoła wszystkiemu,

co stanie mi na drodze.

– Mądra kobieta – mruknął Kevin. – Miała rację. Choć wcale cię wtedy nie znała.

Beatrice wpatrywała się w płomień świecy, której cień niespokojnie tańczył na ścianie.

– I powiedziała coś jeszcze: że nie była i nigdy nie będzie taka jak ja. I że nigdy nie będzie mogła żyć tak, jak zechce.

Kevin starannie nakładał warzywa, kartofle i rybę na podgrzane uprzednio talerze.

– To cała Helene – stwierdził. – Nic nowego. Przecież zawsze tak gada. Beatrice obstawała przy swoim.

– Ale wtedy powiedziała to po raz pierwszy. Właściwie powinno mi to być do myślenia. Bo wtedy nie narzekała, nie lamentowała tak po prostu, jak teraz ma w zwyczaju. W jej głosie była zazdrość, czysta, podła zazdrość. Nigdy później tego nie słyszałam, panowała nad tym czy raczej opracowała strategię, jak się z tą zazdrością obchodzić. Postanowiła po prostu – może podświadomie, co nie zmienia faktu – upodobnić moje życie do jej egzystencji. Swoimi lękami, troską i środkami ostrożności ograniczała mnie tak samo, jak wiecznie ograniczała siebie; zarazem była w tej komfortowej sytuacji, że znalazła sobie towarzyszkę. Robiąc ze mnie ofiarę, zdołała pogodzić się z tym, że sama także nią była. I już tamtego dnia w ogrodzie zaczęła robić ze mnie część swego niespełnionego, ograniczonego, nieszczęśliwego życia.

Kevin dolał im wina i usiadł przy stole naprzeciwko Beatrice.

– Gdybyś wtedy mogła to przewidzieć – zauważył – co było oczywiście absolutnie niemożliwe, bo miałaś tylko jedenaście lat, ale gdybyś naprawdę wyczuła wtedy zazdrość w jej głosie i gdybyś wyciągnęła z tego właściwe wnioski, czy coś potoczyłoby się inaczej? Co mogłabyś zmienić?

– Nic – odparła. – Jedzmy, zanim wystygnie.

Karin obudziła się w środku nocy z sennego koszmaru. Nie od razu przypomniała sobie, co się w nim działo, ale była zlana potem, jej serce biło jak oszalałe i dygotała na całym ciele. Leżała na plecach wpatrzona w ciemność i nagle powróciły sceny ze snu. Jęknęła cicho. Michael poruszył się u jej boku; wstrzymała oddech, żeby go nie obudzić. Miał płytki sen, a do tego niesamowite wyczucie jej nastrojów. Od razu się zorientuje, że jest w kiepskiej formie, i zaraz zasypie ją wyrzutami albo zacznie udzielać rad, po których poczuje się jeszcze gorzej. A ona osiągnęła już ten punkt, w którym wolałaby porozmawiać o swoich problemach z kimś obcym niż z własnym mężem, choć według niej związek małżeński zawierało się też po to, żeby wzajemnie służyć sobie wsparciem w ciężkich chwilach.

Ale może ten kryzys trwał po prostu za długo. Tak przynajmniej stwierdziłby Michael, gdyby przypomniała mu definicję małżeństwa.

„Oczywiście, że w trudnych chwilach udziela się drugiej osobie wsparcia – powiedziałby – ale kiedy trudne chwile trwają ponad rok, nie sposób oczekiwać od partnera tego samego zaangażowania. Po takim czasie ta druga osoba powinna się nauczyć jakoś stawać na nogi”.

Często posługiwał się tym wyrażeniem, jakby w jego oczach było synonimem siły i zdecydowania. We własnym mniemaniu sam już kilkakrotnie stanął na nogi, podczas gdy Karin uważała, że tak naprawdę nigdy nie upadł, a po drugie, że to wszystko pic na wodę.

„Człowiek potrzebuje w życiu pomocy – pomyślała. – Człowiek wiecznie potrzebuje pomocy”.

Zaraz jednak poprawiła się w myślach: nie powinno się mówić „człowiek”, tylko „ja”. Bo to ona potrzebowała wsparcia, Michaelowi nigdy nie było potrzebne.

Wstała bezszelestnie. Nie śmiała sięgnąć po szlafrok z obawy, że w ten sposób go obudzi. Po cichutku wymknęła się z pokoju i zeszła na parter. Dygotała z zimna. Nic dziwnego; taka spocona, na pewno się przeziębi,

jeśli nie będzie uważać. W saloniku znalazła wełniany koc, którym się otuliła, siadając w fotelu przy oknie. Za krzywo opuszczonymi żaluzjami nic jeszcze nie zdradzało, że wkrótce nadejdzie świt. Październikowa noc była czarna, nieprzenikniona, przesycona – wiedziała to na pewno – zapachem wilgoci, liści, które wkrótce opadną, pożegnaniem i przeciągającym się chłodem. Zadrżała pod grubym, miękkim, wełnianym kocem, dygotała w środku drżeniem pochodzącym z wewnętrznego osamotnienia.

Przed południem napisała list do Beatrice, nawiązywała do tego, jak starsza pani opisała swoje pierwsze spotkanie z Helene Feldmann oraz huśtawkę nastrojów Ericha, jego epizody euforii i depresji.

„Czy brała pani pod uwagę, że mógł przyjmować środki psychotropowe? – zapytała w liście. – Tabletki uspokajające, pobudzające, antydepresanty – w zależności od nastroju? Bo sądząc z pani opisu, wydaje się to bardzo prawdopodobne. Pewnie sięgał po coraz większe dawki, a w przerwach między tabletkami przejawiał coraz intensywniejsze zachowania”.

Rozważała, czy napisać coś więcej o sobie – o koszmarach, które nie dawały jej spać, o sprawach, które miały miejsce w jej życiu i nie dawały jej spokoju, ale nie zdobyła się na odwagę i zakończyła list banalnymi uwagami. Nie wyczuwała ze strony Beatrice zainteresowania tym, co mogłaby jej powiedzieć. Beatrice opowiedziała jej wiele o sobie i zapewne na tym nie poprzestanie, bo najwyraźniej chciała wyrzucić z siebie pewne wspomnienia. Chociaż z drugiej strony było równie możliwe, że nie odezwie się nigdy więcej, że umilknie, wycofa się całkowicie. Jedno było pewne: nie przejawiała najmniejszego zainteresowania tym, by w ich korespondencyjnej rozmowie wziąć na siebie jej, Karin, problemy. Zresztą wobec wszystkiego, przez co przeszła Beatrice, pewnie wydawały jej się błahe i banalne.

W koszmarze, przez który teraz złana potem, rozdygotana kulila się pod kocem jak chore zwierzę, ponownie stała przed grupą uczniów, rzucona na żer wściekłej tłuszczy, która znęcała się nad nią bezlitośnie.

Michael jednak, któremu wcześniej o tym opowiadała, uważał, że przesadza i niepotrzebnie dramatyzuje.

– Żadna tłuszczka, która się nad tobą znęca! To była grupka dzieciaków, którym znudziło się siedzenie w ławkach i słuchanie nudnych lekcji – nie tylko twoich, także innych nauczycieli. Ale tylko u ciebie wyczuli, że mogą sobie pozwolić na coś więcej, u innych nie. Dzieciaki są jak psy, próbują, jak daleko mogą się posunąć, ale to ty wyznaczasz granicę, nikt inny.

Często się zastanawiała, czy to prawda, czy okrucieństwo uczniów rzeczywiście nie było skierowane w nią osobiście, tylko dotyczyło wszystkich, którzy nie potrafili się przed nim bronić. Koniec końców sprowadzało się do tego samego: była ofiarą, a ofiara rzadko kiedy budzi współczucie. W najlepszym wypadku kończy się lekką pogardą, w najgorszym ściąga się na siebie coraz to nowe sadystyczne tortury. W pewnym momencie uczniowie zaczęli to traktować jak sport, jak wyzwanie: co tu jeszcze wymyślić, żeby doprowadzić Karin Palmer do samobójstwa albo przynajmniej zmusić ją do odejścia ze szkoły.

O niczym nie zapomnieli. Zablokowali windę, gdy chciała wysiąść i zmusili ją, by ponownie zjechała na parter. Oblewali jej sukienkę atramentem, przyczepiali do pleców żakietu karteczki ze sprośnymi napisami, przebijali opony samochodu, wypełnili torebkę psimi rzygowinami, rysowali na tablicy jej karykatury jako paskudnej jędzy. Aż doszło do tego, że podczas lekcji nie była w stanie wypowiedzieć nawet jednego zdania, którego nie zagłuszałiby gadaniem i gwizdami. Inni nauczyciele skarżyli się na hałasy dochodzące z sal, w których miała lekcje. Kiedyś ktoś poinformował dyrektora i ten, o dziwo, nieoczekiwanie zjawił się osobiście. Później Karin myślała sobie nieraz, że zapewne poczuł się, jakby trafił w środek wojny domowej. Zanim wszedł, uczniowie przerzucali się papierowymi samolocikami, ciskali w siebie zgniecionymi kartkami i gumowymi kółkami, skakali po krzesłach i ławkach, mazali po tablicy, okładali się mokrą gąbką. Rzucali kredą przez otwarte okno. Dwie dziewczyny zadomowiły się przed lustrem nad umywalką i tuszowały sobie rzęsy. A pośrodku tego chaosu stała Karin, opowiadając o angielskiej rewolucji w XVII wieku. W tym czasie rozpaczliwie wypróbowywała różne strategie, by sobie poradzić z koszmarną sytuacją. Tego dnia postanowiła całkowicie ignorować zamieszanie i prowadzić lekcję jak gdyby nigdy nic. Jej wcześniejsze krzyki i groźby okazały się nieskuteczne, zresztą była za

bardzo wykończona, żeby dalej walczyć.

W pierwszej chwili w ogóle nie zauważyła dyrektora, ale nagle uczniowie przestali się wzajemnie przekrzykiwać i rzucać samolocikami, a dziewczyny sprzed lustra schowały tusz i lekko speszzone wróciły na miejsce. Karin nie łudziła się nawet przez moment, że tę zmianę wywołało coś w jej zachowaniu; już dawno straciła wiarę w siebie i w to, że kiedyś wydarzy się cud. Wiedziała za to, że pobladła, widząc dyrektora.

Odczekał, aż zapadła cisza jak makiem zasiał – co trwało zaledwie kilka sekund – i ryknął na całe gardło:

– Co się tutaj dzieje?!

Nikt nie odpowiedział. Uczniowie wbili wzrok w podłogę, zbyt tchórzliwi, by choćby pisnąć. Dyrektor cieszył się respektem w całej szkole.

– Gdzie gospodarz klasy?! – huknął.

Gospodarz klasy się ujawnił. Poczul się fatalnie. Dyrektor wypytywał o przyczyny zamieszania, ale tamten nie miał oczywiście w tej sprawie nic do powiedzenia.

– Już... już niedługo weekend – wykrztusił w końcu, i teraz kilka osób się uśmiechnęło.

Dyrektor spojrział na Karin, która stała przy biurku ze zwieszonymi rękami i czuła, jak oblewa się potem.

– Na przerwie zapraszam do siebie – rzucił jeszcze, odwrócił się na pięcie i bez słowa pożegnania wyszedł z klasy.

Później wcale nie był taki bez serca, właściwie nawet okazał jej troskę i współczucie, a Karin poczuła się upokorzona jak nigdy dotąd. Najwyraźniej inni nauczyciele już się na nią skarżyli i miała opinię szkolnej nieudacznicy. Dyrektor delikatnie, ale bez ogródek polecił jej zwrócić się do psychologa, bo przecież musi być jakiś powód jej wiecznych problemów pedagogicznych.

Jeszcze dzisiaj, skulona pod kocem w saloniku, pamiętała, jak się wtedy czuła – jakby wymierzył jej policzek, a w głębi duszy odezwało się dobrze skrywane oburzenie: dlaczego akurat *ja*? Dlaczego nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby na kozetkę wysłać te rozszalałe, wściekłe *potwory*?

Przypomniła sobie, jak bardzo ją zabolął brak solidarności ze strony kolegów po fachu. Jak często błagała o wsparcie słowami i spojrzeniami.

Opowiadała o najbardziej krnąbrnych uczniach i wzrokiem błagała o pocieszający komentarz, coś w stylu: „Tak, wiem doskonale, jak to jest, też mam problem z...”. Ale nigdy tego nie usłyszała. Przeciwnie, zdawali się czerpać sadystyczną przyjemność z mówienia czegoś wręcz odwrotnego od tego, na co liczyła. Chętnie podkreślali, że akurat z *tymi* uczniami, z *tą* klasą nie mają żadnych kłopotów. W ogóle nic nigdy nie sprawiało im problemu. Widziała, jak bardzo podkreślali swoją wyższość nad nią, jak bardzo jej kosztem budowali własne ego, zamiast choć raz dodać jej sił. Bardzo boleśnie i namacalnie doświadczyła słuszności starego powiedzenia, że wszyscy kopią leżącego.

Tak było. Kopali ze wszystkich sił. Zaczęła brać środki uspokajające, żeby co rano w ogóle pójść do szkoły. Pojawiły się problemy ze spaniem i ataki astmy. Zwróciła się do lekarza w związku z bólami żołądka. Stwierdził ostry stan zapalny.

– Skończy się wrzodami – ostrzegł. – Musi pani na siebie uważać, ograniczyć stres.

Do dzisiaj miała w uszach swój gorzki śmiech. Równie dobrze mógłby jej poradzić, żeby powiesiła sobie księżyc pod sufitem. Stres i napięcie narastały z każdym dniem. Chudła w oczach, bo nie mogła jeść, a to, co udało jej się przełknąć, zwracała. Zadziwiająca, że minęło tak dużo czasu, zanim Michael zauważył, jak bardzo jest chora. Chociaż właściwie nie, wcale nie zadziwiająca. Typowe. U jego boku można zdechnąć, a niczego nie zauważy.

W pewnym momencie – o ile pamiętała, przy śniadaniu – nagle zlustrował ją wzrokiem i niemal z wyrzutem stwierdził, że bardzo schudła.

– Właściwie wyglądasz jak szkielet. Co jest? Odchudzasz się? – oczywiście wiedział o przebitych oponach, widział też plamy z atramentu na jej ubraniach, ale nie zdawał sobie sprawy z ogromu prześladowań, których ofiarą padła Karin.

– Źle się czuję – wymamrotała. Miała przed sobą kolejny dzień w szkole; widziała w lustrze, że niemal pozieleniała na twarzy.

– W takim razie powinnaś iść do lekarza – stwierdził, przyjrzał jej się uważniej i dodał: – Naprawdę źle wyglądasz. Znowu dręczysz się jakąś straszną historią?

– Chyba się przeziębiam.

– Idź do lekarza – powtórzył, zerwał się z miejsca i na stojąco dopił kawę, bo jak zwykle już był spóźniony.

Poruszyła się ostrożnie w bezpiecznym kokonie koca. Nagle ta sytuacja wydała jej się idealną metaforą jej życia: oto ona, skulona w kłębek, rozedrgana, z pochyloną głową, uciekająca przed całym światem. „Skąd inni biorą siłę do życia? – zastanawiała się. – Gdzie jest to tajemne źródło, z którego czerpią? Skąd młodziotka Beatrice czerpała siłę, by zmierzyć się z przerażającym upadkiem uporządkowanego świata, który znała?”. Beatrice, co wywnioskowała z jej listów, miała godną podziwu umiejętność dopasowania się do okoliczności bez utraty przy tym własnego charakteru. Nie przymilała się do nikogo, nie umizgiwała się, ale też nie uchylała przed nieuniknionym i radziła sobie z rzeczywistością taką, jaka była. Uczyła się niemieckiego, żeby zrozumieć wroga, i zaprzyjaźniła się z Willem, żeby mieć sprzymierzeńca na wypadek, gdy będzie potrzebowała jego wsparcia. Instynktownie wyczuwając, że Erich jest niebezpieczny, starała się schodzić mu z drogi, ale jednocześnie dbała, by w miarę możliwości utrzymywać z nim poprawne stosunki. Ze strachem o rodziców radziła sobie sama. W jej listach nie było ani słowa o rozpaczach czy narzekaniach, choć Karin miała wrażenie, że początkowy szok utrzymywał się jeszcze przez wiele tygodni. Wydawało się, że najbardziej zabolą Beatrice swoboda, z jaką Erich zaanektował dom jej rodziców. Została sama w obliczu niepohamowanego ataku i buntowała się przeciwko temu całą sobą.

Karin usiłowała sobie wyobrazić, co by czuła, gdyby obcy wkroczyli do jej domu i zachowywali się w nim jak u siebie. Zdawała sobie sprawę, że chodziło o coś więcej niż sam fakt zagarnięcia cudzej własności. Obce buty, które deptały domowe dywany, obce dłonie, które dotykały znajomych drzwi i okien, obce usta, pijące z rodzinnych naczyń – to wszystko zostawiało w duszy ranę, która być może nigdy nie zblizniła się do końca. Niszczyło pierwotne zaufanie, wiarę w nienaruszalność własnego terytorium.

Usłyszawszy ciche kroki na schodach, wstrzymała oddech. Zapaliło się światło, oślepiło ją. W progu stał Michael. Prezentował doskonałą figurę w skąpych slipach, bez koszulki. Wydawał się bardzo zdziwiony.

– Co tu robisz? – zapytał.

Zdawała sobie sprawę, jak dziwnie musi wyglądać skulona pod kocem jak Indianin, wpatrzona w przestrzeń. Nie wiedziała od razu, co powiedzieć, więc tylko uśmiechnęła się przepaszająco.

– Jest wpół do trzeciej – zauważył. – Dlaczego jeszcze nie śpisz?

– Spałam – zapewniła.

– Wiem. Ale dlaczego wstałaś? Dlaczego tu siedzisz i gapisz się przed siebie? Mogłabyś chociaż czytać czy oglądać telewizję.

„No oczywiście – pomyślała z cieniem irytacji – jak się nie śpi, powinno się coś robić, choćby nawet tylko gapić w telewizor”.

– Dużo myślałam – odparła.

Michael westchnął, zupełnie jakby miał przed sobą krnąbrne dziecko, z którym nie mógł dać sobie rady.

– A o czym niby? – zapytał zirytowany. – O uczniach? O tamtym?

Nie mógł wiedzieć, co jej się śniło, ale wspominając o „tamtym”, trafił w dziesiątkę, o czym dobrze wiedział. Karin nie miała ochoty przyznawać mu racji.

– Może cię to zdziwi, ale nie, nie myślałam o „tamtym” – odparła naburmuszona.

– Na pewno?

– Na pewno.

– No cóż – mruknął. Przeszłował z nogi na nogę, chyba było mu zimno. – Czyli rozmyślałaś o tej Angielce, z którą korespondujesz?

– A jeśli nawet?

Przewrócił oczami.

– Na Boga, sama mówiłaś, że ma ponad siedemdziesiąt lat! Co cię w niej tak fascynuje?

– Nie wierzę, że naprawdę chcesz to wiedzieć.

Zacisnął oczy, najwyraźniej dotarł do niego ostry ton jej słów – ton, którego nie słyszał już od dawna, może nawet nigdy.

– Przecież nie pytałbym, gdyby mnie to nie interesowało.

O dziwo, nie miała najmniejszej ochoty mu nic tłumaczyć. Zamiast tego wpatrywała się w swoje długie, gołe nogi i usiłowała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio z nim spała. Chyba z półtora roku temu. Był zaproszony na

uroczystą kolację, ona jak zwykle została w domu. Wrócił w środku nocy roześmiany i rozbawiony, trochę wstawiony. Spała już, ale obudziła się, gdy położył się koło niej i wyciągnął ku niej rękę.

– Co jest? – zapytała sennie. Jak zawsze zażyła tabletki, żeby zasnąć, i z trudem wracała do rzeczywistości.

– Jesteś piękna – wymamrotał. – Bardzo piękna.

Właściwie nigdy jej tego nie mówił, i dlatego tak bardzo zaskoczyły ją te słowa, do tego stopnia, że poczuła się nieco odważniejsza. Pozwoliła mu się dotykać, choć właściwie wcale nie miała na to ochoty; czuła się zbyt nieszczęśliwa, zbyt słaba, żeby w ogóle myśleć o seksie. Z jękiem przykrył ją sobą, a ona cały czas wmawiała sobie gorączkowo, że tak jest dobrze, że to cudownie, że on jej pragnie, że budzi jego pożądanie. Ale wewnętrzny głosik ścigał ją na ziemię: tak naprawdę Michael nie pragnął jej, zapewne inna kobieta, może poznana na kolacji, pobudziła go, a ona była tylko pierwszą, która wpadła mu w ręce. To już się później nie powtórzyło. I nigdy więcej nie powiedział, że jest piękna.

– Czy ty w ogóle widzisz we mnie jeszcze kobietę? – zapytała. – W sensie erotycznym.

– O co ci chodzi? – zachnął się zirytowany.

– Dokładnie o to, o co pytam.

Przez jego twarz przemknął uśmiech, właściwie tylko cień uśmiechu, ale to wystarczyło, by w pełni zrozumiała, jak ją postrzega. W tym uśmiešku widziała jak w lustrze siebie jego oczami: skuloną pod kołdrą, rozdygotaną, przerażoną sennymi koszmarami, które wypędzały ją z łóżka. Słaba, słaby człowiek. Wyczytała z jego miny, że nie dostrzegał w niej niczego więcej, że jej pytanie wydało mu się wręcz śmieszne.

Wstała, odrzuciła koc, ale dzięki temu nie poczuła się ani bardziej wolna, ani silniejsza.

– Zapomnij o tym – mruknęła. – Zapomnij, o co pytałam. To było głupie z mojej strony.

– Posłuchaj... – zaczął ostrożnie, ale przerwała mu natychmiast:

– Nie chcę więcej o tym rozmawiać. Plotłam bzdury i prosiłabym cię, żebyś już do tego nie wracał.

– Dobrze już, dobrze. – Nie naciskał, ale była zbyt urażona, żeby

dostrzec to małe zwycięstwo, które udało jej się odnieść. Michael się odwrócił: – Wracasz do łóżka?

– Kładź się, ja jeszcze trochę pooglądam telewizję. Teraz chyba nie uda mi się zasnąć.

Chciał chyba jeszcze coś powiedzieć, ale zmienił zdanie. Słyszała odgłos jego bosych stóp na terakocie w przedpokoju.

Karin przycisnęła rozpalone nagle czoło do zimnej szyby w saloniku. Wolna. Gdybyż tylko mogła być wolna. Wolna od bolesnych wspomnień, od starych uczuć i obrazów. Wolna od samej siebie.

24 grudnia 1999

Kochana Karin,

Dzisiaj Boże Narodzenie, a ja wysyłam Pani cały pakiet listów. Zapewne myślała już Pani, że nie chcę mieć z nią nic wspólnego, bo tak długo nie pisałam. A tymczasem, jak Pani widzi, pisałam pilnie, w sumie dziesięć listów, jak policzyłam, ale nie wiem dlaczego, nie mogłam się zdobyć na to, by je wysłać. Naprawdę nie wiem dlaczego. Może dlatego, że nadal jest Pani obcą osobą, co z jednej strony kusi, by opowiedzieć Pani o rzeczach, które do tej pory zachowałam dla siebie, a z drugiej strony – jakoś mnie krępuje i każe uważać na słowa. Zastanawiam się w takich chwilach, czemu w ogóle do Pani piszę, a ponieważ nigdy nie znajduję zadowalającej odpowiedzi, tracę odwagę i przez kilka dni nie nadaję się do rozmowy czy też, dokładnie mówiąc, do pisania. A już bardzo precyzyjnie: do pisania owszem, ale nie do wysyłania. Za każdym razem powtarzam sobie, że robię to dla siebie. Spisuję wspomnienia dobre i złe, a potem chowam do szuflady, niech tam zbierają kurz.

Z pisaniem jest jak z lawiną, zaczyna się od odrobiny śniegu, ale potem jest go coraz więcej i więcej, aż porywa także ziemię i drzewa. A potem ta masa gna w dół, do doliny, i już nic nie zdoła jej wstrzymać. Ja teraz też już nie mogę przestać i wcale nie chcę. A ponieważ ja także jestem próżna i schlebia mi Pani zainteresowanie, zdobędę się dzisiaj na odwagę i wyślę Pani wszystkie listy za jednym razem.

Jest jeszcze wcześniej, ale byłam już z psami na spacerze, po ciemku.

Nie mamy śniegu w tym roku; tu, na Wyspach, śnieg pada

rzadko, ale pamiętam, że na Boże Narodzenie 1940 roku, pierwsze święta pod niemiecką okupacją, wszystko pokryła cieniutka warstwa białego puchu; była na łąkach, murkach, dachach. Niemcy uwielbiają śnieg na Boże Narodzenie i byli bardzo poruszeni, widząc go na Guernsey niejako na powitanie. Podczas wielu późniejszych lat oczywiście także zdarzał się śnieg, ale nie jestem w stanie powiedzieć dokładnie, w jakich latach. A dwudziestego czwartego grudnia 1940 nigdy nie zapomnę.

Dwudziestego czwartego grudnia wypadały urodziny Ericha. Wydaje mi się, że z jednej strony fakt, że przyszedł na świat w tak znaczącym dniu, napawał go dumą, a z drugiej był wściekły, że Jezus co roku odwraca od niego uwagę. Inaczej niż w Anglii, w Niemczech Wigilia Bożego Narodzenia to ważny dzień i choćby Erich nie wiadomo jak się starał, by to jemu oddawano należne honory, nie mógł nic poradzić na to, że nawet najniżsi rangą podwładni mieli wtedy w głowach co innego niż *jego* święto. Przez te pięć lat, które spędziłam z Erichem Feldmannem pod jednym dachem, wszystkie święta Bożego Narodzenia, poza ostatnimi, kończyły się katastrofalnie, bo za każdym razem miał wrażenie, że niewystarczająco uczczono jego jubileusz.

Będziemy świętować jutro i to będą prawdziwie angielskie święta. Mam nadzieję, że wszystko pójdzie gładko. Mam już prezenty dla Helene, same praktyczne drobiazgi. Kilka książek, płyty CD i mnóstwo marcepanu, za którym przepada, choć oczywiście zarzeka się, że nie może go nawet przełknąć.

Od niej dostanę perfumy, jak zawsze na Wielkanoc, Boże Narodzenie, na urodziny. I kalendarz ze zdjęciami, jak co roku. Z różami. Na każdy miesiąc inna róża, czasami cały bukiet, czasami jeden rozwinięty kwiat albo pączek, albo szklana waza pełna kwiatów unoszących się na wodzie. Zadaje sobie wiele trudu, sama wybiera zdjęcia oraz cytaty, które pod nimi umieszcza i które jakoś tam pasują do danego miesiąca. Dostaję takie kalendarze od prawie pięćdziesięciu lat. Helene ma prawdziwą obsesję na punkcie fotografowania róż w naszym ogrodzie, ma już chyba tysiące zdjęć.

Najbardziej lubi róże rosnące między białym murkiem i poidelkiem dla ptaków, tam gdzie spotkałyśmy się po raz pierwszy. Pstryka tam jak oszalała. A ja nie wiadomo dlaczego reaguję agresją, gdy widzę ją tam z aparatem, jak skrada się ukradkiem, jakby gwałtowniejszy ruch miał sprawić, że róże umrą albo że miejsce straci swój urok.

Najgłupsze jest to, że właściwie wcale nie lubię róż, więc ten cały kalendarz to tylko strata czasu i wysiłku. Wspominałam już o tym? O mojej awersji do róż? Każdy oczekuje, że skoro poświęciłam im całe życie, muszę je kochać, bo w pewnym sensie nasz zawód to nasze życie, prawda? A może Pani postrzega to inaczej? Moim zdaniem właśnie w tym tkwi sedno problemu: te cholerne róże decydowały o moim życiu, które tak naprawdę miało wyglądać zupełnie inaczej.

Po studiach w Southampton chciałam rozejrzeć się nieco po świecie, ale wtedy na drodze stanęło mi Cambridge, co samo w sobie nie było takie złe. Co prawda to nie wielki świat, ale też ma swój charakter, który bardzo mi odpowiadał.

A potem wróciłam na Guernsey i z umiarkowanym sukcesem uprawiałam róże. Zapewne umrę w tym samym domu, w którym się urodziłam, w którym spędziłam całe życie. O ile Helene nie umrze przede mną – jest o dziesięć lat starsza, ale to nic nie znaczy – także w chwili mojej śmierci będzie wisiał nad moim łóżkiem kalendarz z różami. Może znajdę w sobie dość siły, by przewrócić kartkę albo zedrzeć go całkowicie.

Chciałabym w chwili śmierci czuć na twarzy psi jęzor, chciałabym poczuć ten ciepły, zawsze odrobinę nieświeży psi oddech, chciałabym wpleść palce w miękką, ciepłą sierść, bo dzięki temu miałabym wrażenie, że zabieram z sobą część życia. Ale znając Helene, podsunęłaby mi pod nos ledwie rozkwitłą różę, żeby mi „osłodzić” ostatnie chwile – i nie jestem pewna, czy wtedy nie puściłabym pawia.

Och, Karin, co za świąteczny list! Teraz oczami wyobraźni widzę chwilę mojej śmierci, a Pani zapewne myśli, że biednej starowince już całkiem odbiło. A przecież dzisiaj nie jest dzień na ponure rozważania, wręcz przeciwnie! Alan przyjechał już wczoraj, śpi w pokoju gościnnym i pewnie nie pokaże się do południa, bo na

urlopie wstaje mniej więcej o tej porze, zwłaszcza jeśli wieczorem nie wylewał za kołnierz. Wczoraj sam jeden osuszył butelkę czerwonego francuskiego wina, potem jeszcze wychylił kilka kieliszków wódki, a zaczął od podwójnej whisky. Wolę nie myśleć, co na to wszystko jego wątroba. Pewnie któregoś dnia po prostu odmówi dalszej współpracy.

Kevin szykuje nam dzisiaj kolację, co oczywiście oznacza, że do gotowania zabierze się już po południu. Za każdym razem przywozi z sobą właściwie całe wyposażenie, bo uważa, że tym, co mam u siebie, nigdy nie da się przyrządzić naprawdę smakowitego posiłku. Zapewne byłoby łatwiej, gdybyśmy to my pojechały do niego, ale zgodnie z tradycją Wigilię Bożego Narodzenia spędzamy w domu, a tradycji powinno się przestrzegać. Po raz kolejny wyczaruje prawdziwą ucztę i nawet Helene nie będzie miała powodu, by narzekać i twierdzić, że nie przełknie ani kęsa. Choćby dlatego, że ona naprawdę lubi Kevina. I wie, że on odwzajemnia to uczucie. W pewnym sensie są do siebie podobni z tym narzekaniem na wszystko, a poza tym nie ma większych hipochondryków niż ci dwoje; nie wysmiewają się wzajemnie ze swoich dolegliwości, tylko słuchają się uważnie i ze współczuciem.

Oprócz tego zaprosiłam też Mae i Maję, to znaczy, prawdę mówiąc, zaprosiłam tylko Mae, ale ona wczoraj zadzwoniła z pytaniem, czy może przyjść z Mają, bo ta znowu pokłóciła się z rodzicami i lepiej, żeby na jakiś czas zeszła im z oczu.

Właściwie nie mogłam jej odmówić. Maja jest co prawda nimfomanką, ale to mi w gruncie rzeczy nigdy nie przeszkadzało, przeciwnie, zawsze poprawiał mi się humor, gdy widziałam oburzenie Helene. Niestety, odkąd wiem, że Alan za nią szaleje, wołałabym, żeby wyjechała na koniec świata. Mam nadzieję, że Alan nie dlatego ostatnio więcej pije, ale nawet jeśli, i tak nic na to nie poradzę. Chciałabym przede wszystkim przemówić mu do tego durnego łba, żeby w końcu przejrzał na oczy i pozbył się tego straszego gustu, jeśli chodzi o kobiety. Maja to zwykła puszczałka o kamiennym sercu, ale on nie chce tego słuchać. Wiecznie widzi we

mnie tylko matkę, to już istne przekleństwo, bo rzeczywiście martwię się o niego nadal, choć stuknęła mu już czterdziestka i od lat jest dorosłym prawnikiem z problemem alkoholowym.

Mówiąc krótko, będzie miło, pójdziemy na spacer, gdy Kevin będzie się krzątał w kuchni, potem wrócimy do ciepłego, pięknego domu pełnego smakowitych zapachów i będziemy godzinami zajadać smakołyki. W pewnym momencie Helene zacznie narzekać, że jest zmęczona (nie może tego normalnie *powiedzieć*, musi się na to *uskarżać*), i pójdzie spać, Alan zacznie pić wpatrzony w Maję, która będzie się świetnie bawiła, nie zwracając na niego uwagi.

A jak Pani planuje spędzić święta? Mało pisze Pani o sobie. Domyślam się, że woli Pani zachować swoje zmartwienia dla siebie. Nasza korespondencja jest pod tym względem nieco jednostronna, ale zmiana tej sytuacji leży w Pani gestii, nie w mojej. To zależy tylko od Pani, prawda?

Merry Christmas. I wszystkiego najlepszego w Nowym Roku, w nowym tysiącleciu. Mam dziwne przeczucie, że nadchodzący rok okaże się znaczący, ale może to tylko takie wrażenie. W końcu i tak nigdy nie wiadomo, co nas czeka, i dlatego życie jest takie niepokojące. Dobrze chociaż, że zawsze można liczyć na to, co przewidywalne. Ja na przykład wiem, że jutro dostanę perfumy i kalendarz z różami.

Karin, być może będzie Pani miała chwilę, by poczytać o tym, jak dalej potoczyły się losy moje, Helene i Ericha.

Życzę Pani wszystkiego najlepszego.

Pozdrawiam serdecznie,
Beatrice

Guernsey, sierpień/wrzesień 1940

Beatrice przez dłuższy czas sądziła, że Erich traktuje ją jak ofiarę, na której się wyżyje, gdy nikogo innego nie będzie pod ręką, ale przekonała się szybko, że ta rola przypadła Helene. I nie wyżywał się na niej tylko

wtedy, gdy innej ofiary nie było w pobliżu; robił to zawsze. A może po prostu zawsze musiał kogoś dręczyć. W każdym razie Helene nadawała się do tego doskonale.

Liczyła sobie dwadzieścia jeden lat, wkrótce miała skończyć dwadzieścia dwa. Szybko się okazało, że ma urodziny piątego września, zupełnie jak Beatrice. Helene nie posiadała się z zachwyty.

– To nie przypadek! – zawołała. – To musi coś znaczyć.

– Co niby? – zachnął się Erich. – Czy ty naprawdę musisz doszukiwać się znaczeń w najbardziej trywialnych zbiegach okoliczności?

Helene od razu poczerwieniała i zaraz zagryzła usta. Ale Erich tym razem był zły także na Beatrice.

– A ty masz natychmiast skończyć z takim zachowaniem, bo u mnie z czymś takim daleko nie zajdziesz – powiedział. – W ten sposób nie staniesz się częścią tej rodziny, to ci gwarantuję!

– Nie wiem, o co panu chodzi – odparła.

– Och, wiesz, wiesz. Jest koniec sierpnia, do twoich urodzin został tydzień, ale nie pisnęłaś ani słowa. Gdyby nie Helene, piąty września minąłby bez echa. Mieszkamy pod jednym dachem. Powinniśmy wiedzieć, kiedy które z nas obchodzi urodziny, nie uważasz?

– Nie pytał mnie pan.

– Pewne rzeczy masz mi mówić, nie czekając na pytanie, tylko dlatego, że jesteś dobrze wychowaną dziewczynką, która wie, jak się zachować. Oczywiście mogę cię nauczyć dobrych manier, ale zastanów się, czy nie byłoby łatwiej, gdybyś sobie przypomniała, co już wiesz na ten temat.

– A które to będą urodziny? – zapytała Helene tym piskliwym głosem, który się pojawiał, ilekroć mąż przywołał ją do porządku.

– Dwunaste.

– Czyli jesteś już prawie młodą damą – zauważył Erich. – Może urządzimy tego dnia małe przyjęcie – choć właściwie na to nie zasłużyłaś, bo milczałaś!

– Możemy wydać przyjęcie dla nas obu – podsunęła Helene, czym ponownie ściągnęła na siebie gniew Ericha.

– Czy ty nie możesz *choć raz* usunąć się na bok? Naprawdę nie jesteś do tego zdolna? Czy naprawdę świat ci się zawali, gdy raz ustąpisz miejsca

dwunastoletniemu dziecku?

– Nie, pomyślałam tylko...

– Nic nie pomyślałaś, i na tym właśnie polega nasz problem. Po prostu wydawało ci się, że ktoś zajmie twoje miejsce i od razu pchałaś się na środek. Boże drogi, zastanawiam się, kiedy ty wreszcie dorośniesz.

Oczy Helene zaszyły łzami. Energicznie odsunęła krzesło, chciała podbiec do drzwi, ale Erich zatrzymał ją ostrym głosem:

– Zostań! Porozmawiamy o przyjęciu urodzinowym Beatrice!

Beatrice nigdy nie słyszała, by ojciec w ten sposób zwracał się do matki, nie wyobrażała sobie też, żeby Deborah mu na to pozwoliła, ale Helene się zatrzymała, jakby pociągnął za niewidzialną smycz. Była blada i spięta.

Erich tymczasem znowu patrzył na Beatrice.

– Jak sobie wyobrażasz swoje urodziny?

Beatrice nie miała pojęcia i w milczeniu wpatrywała się w Ericha.

– Zaprosimy gości. Kogo chciałabyś tu widzieć?

Beatrice nie miała najmniejszej ochoty na przyjęcie, ale wyczuwała za ojcowskim ciepłem Ericha narastającą agresję i uznała, że rozsądniej będzie przyjąć jego propozycję.

– Chciałabym zaprosić Willa – powiedziała.

Erich ze zdziwieniem uniósł brwi.

– Willa? Wielka przyjaźń, co? No dobrze, to twoje urodziny. – Był chyba zaskoczony. – Kogo jeszcze? – zapytał, nerwowo bębniąc palcami w stół.

Beatrice postanowiła zaryzykować po raz drugi.

– Mae – powiedziała.

– Mae? – powtórzył Erich. – Czy to nie jest ta przyjaciółka, do której wymykałaś się pierwszej nocy?

– Tak.

– Nie wiesz nawet, czy nadal jest na wyspie.

– Nie wiem, ale jeśli tak, chciałabym się z nią zobaczyć.

– Sprawdzimy to. No dobrze, zatem Will i ta Mae. Helene, zajmiesz się wszystkim: ciastem, napojami i tak dalej. Oczywiście nie będziesz miała nic przeciwko temu, że też przyjdę? Nasz kochany Will potrzebuje wsparcia, nie może zostać sam z dwiema damami.

Od tej chwili Beatrice wyobrażała sobie gorączkowo, że Mae naprawdę jest nadal na wyspie i że może wkrótce zobaczyć się z przyjaciółką. Erich obiecał, że się tym zajmie, zapisał nazwisko Mae oraz adres jej rodziców. Beatrice miała nadzieję, że zajmie się tym zaraz po śniadaniu, on jednak najwyraźniej się nie spieszył. Obserwowanie jej zniecierpliwienia sprawiało mu chyba dziwną satysfakcję.

Podczas lekcji niemieckiego przekazała Willowi zaproszenie, ale podkreśliła, że całe przyjęcie to pomysł Ericha.

– Nie chciałam tego, ale bałam się, że wpadnie w szal.

Will skinął głową.

– Lubi wywierać nacisk na innych. Nawet jeśli chce im sprawić przyjemność.

– Ile on właściwie ma lat?

– Major Feldmann? Coś koło czterdziestki.

– Helene niedługo skończy dwadzieścia dwa. Jest od niego o wiele młodsza. A on bardzo źle ją traktuje.

Will skinął głową.

– Też to zauważyłem. Traktuje ją jak małą dziewczynkę. I pewnie tak ją postrzega – w końcu jest od niego o połowę młodsza.

Godzinę później Beatrice zastanawiała się, dlaczego właściwie Helene wyszła za Ericha. Czasami ze śmiechem rozmawiały z Mae o miłości, właściwie nie bardzo wiedząc, co to jest. Mae zadurzyła się kiedyś w pewnym chłopaku z St. Martin i twierdziła, że to, co do niego czuła, to miłość i że teraz już wie, czemu ludzie się pobierają. Beatrice powiedziała o tym Deborah, która uznała, że Mae jest za młoda na miłość.

– Nie spieszcie się – powiedziała. – Pewnego dnia obudzą się w was nowe uczucia i już to wystarczająco zbije was z tropu.

Najwyraźniej miłość mąciła umysł.

Erich był bardzo przystojny i może dlatego Helene za niego wyszła. A teraz tkwiła w pułapce, być może żałując pochopnej decyzji. Beatrice obiecała sobie, że sama będzie bardzo ostrożna.

Kiedy dobiegała do podjazdu prowadzącego ku domowi, już z daleka słyszała głos Ericha. Biła z niego tak przerażająca mieszanka nienawiści i chłodu, że Beatrice wzdrygnęła się odruchowo mimo późnosierpniowego

słońca, które tego dnia znowu świeciło z prawdziwie letnią siłą. Była piąta po południu, pora, w której zazwyczaj humor Ericha się poprawiał, w tej chwili jednak wydawał się bardzo rozdrażniony i poirytowany.

Przed drzwiami stał samochód, obok niego – czterech uzbrojonych po zęby niemieckich żołnierzy. Jeden z nich trzymał karabin gotowy do strzału.

Przed żołnierzami stało dwóch mężczyzn. Ich żałosny wygląd kontrastował boleśnie ze zdrowymi, dobrze odżywionymi okupantami. Choć wysocy, obaj potulnie zwiesili ramiona i opuścili głowy. Nędzne, podarte ubrania zwisały z wychudzonych ciał. Mieli zapadnięte policzki i szare twarze o wyostrzonych rysach. Nerwowo miętosili w dłoniach czapki. Bali się, ale jeszcze bardziej niż strach rzucało się w oczy poczucie bezradności.

Erich przechadzał się przed nimi i mówił po angielsku:

– Macie dbać o ogród i kiedy mówię dbać, to właśnie to mam na myśli. Na trawniku nie może być ani jednego suchego liścia, ani jedna róża nie może zwiędnąć. Odpowiadacie za to osobiście, jasne? Macie wielkie szczęście, chyba zdajecie sobie z tego sprawę? Inni budują mur obronny i kopią bunkry. Oni naprawdę ciężko harują, dźwiganie głazów to straszna robota, zapewniam was. Ale jeśli teraz cieszyacie się w duchu, że będzie wam tu jak u mamy, to się mylicie. – Zatrzymał się i zwrócił do wyższego z jeńców: – Patrz na mnie, kiedy do ciebie mówię! Jak się nazywasz?

Mężczyzna podniósł głowę. Jego ciemne oczy przepętniał smutek.

– Mam na imię Julien – powiedział. Mówił po angielsku z silnym francuskim akcentem.

– Aha. A ty?

To pytanie skierował do drugiego mężczyzny, z oczu którego biło to samo poczucie beznadziei.

– Pierre.

– Dobrze. Julien i Pierre. Będziecie tu pracować, tak? Porządnie pracować. Będziecie wykonywać rozkazy moje i mojej żony i będziecie sumienni. *Bardzo* sumienni. Macie się do mnie zwracać per „panie majorze” i kłaniać się, ilekroć mnie zobaczycie. Wiecie, jak się nazywam? Major Feldmann. Dla was: pan major. I pamiętajcie, żeby mi się kłaniać za

każdym razem. – Podniósł głos tak, że stał się jeszcze bardziej przenikliwy, przecinał powietrze jak ostrze. – I zapamiętajcie raz na zawsze, że jesteście niczym! *Niczym!* Takich jak wy są tysiące, więc jeśli nie będę z was zadowolony, zastąpię was innymi! Natychmiast, bo nikogo na całym świecie nie obchodzi, co się dzieje z takimi zerami jak wy. Bo zero to zawsze zero, a nikt nie zwraca sobie głowy śmieciami! Zgadza się ze mną?

Milczeli. Erich zmrużył oczy.

– Pytam, czy się ze mną zgadzacie?! Julien? Pierre?

– Tak – odparł Julien.

– Tak – powiedział Pierre.

Erich nie zmienił wyrazu twarzy.

– A teraz do roboty. Ogród bardzo zarósł, będziecie mieli co robić.

W tej chwili dostrzegł Beatrice, która zbliżała się powoli. Uśmiechnął się.

– Witaj, Beatrice. Mam dla ciebie dobrą wiadomość. Twoja ukochana Mae rzeczywiście jest nadal na wyspie z rodzicami. I przyjdzie na twoje urodziny.

Beatrice się skuliła. Na chwilę naprawdę zapomniała o Mae. Zaraz jednak serce zabiło jej żywiej i poczuła, że krew napływa jej do policzków. Erich to zobaczył i chyba go ucieszyło, że sprawił jej przyjemność.

– No widzisz, wcale nie jest tak źle – powiedział.

Więźniowie zniknęli w ogrodzie w towarzystwie jednego z żołnierzy. Beatrice odprowadzała ich wzrokiem.

– Kto to?

– Jeńcy wojenni. Z Francji.

– Jeńcy wojenni?

– Tak. Jak zapewne wiesz, Niemcy pokonały Francję. Nie zwracaj na nich uwagi. Większość Francuzów nie jest wiele warta, są zakłamanymi i nieobliczalnymi. Jest wśród nich wielu przestępców.

Beatrice mężczyźni nie wydali się niebezpieczni, ale postanowiła mieć się na baczności. Zresztą i tak miała ważniejsze sprawy na głowie.

Erich oczywiście natychmiast znowu się napuszył.

– Posłuchaj, musisz się nauczyć cierpliwości. Tak bardzo zależało ci na

urodzinach i ja ci na to pozwoliłem. Chyba możesz jeszcze trochę poczekać!

Nie było sensu mu tłumaczyć, że wcale nie prosiła o imprezę urodzinową. Znała go już za dobrze, by wiedzieć, że nie wdawał się w dyskusje, że przekręcał fakty tak, jak mu pasowało. Nie odpowiedziała, pobiegła od siebie i znacząco trzasnęła drzwiami. Stała przy oknie wpatrzona w drzewa. Widziała, że liście na czubkach już powoli powlekają się żółcią. Deborah mówiła kiedyś, że jeśli się chce, można nawiązać kontakt myślowy z kimś, kto jest bardzo daleko. „Kiedy o kimś intensywnie myślisz, kiedy wysyłasz mu myśli i emocje, poczuje to. Powstanie taka niewidzialna więź między wami”.

Ze wszystkich sił myślała o Deborah i Andrew.

– Myślę o was – szepnęła. – Myślę o was z całej siły. Mam nadzieję, że to czujecie. Chciałabym poczuć, że i wy o mnie myślicie, bo jestem pewna, że tak właśnie jest. Mamusiu, wiem, że się o mnie martwisz, ale niepotrzebnie. Nic mi nie będzie i głęboko wierzę, że prędzej czy później znowu będziemy razem.

Bardzo długo tak stała, przepelniona, jak jej się wydawało, poczuciem bliskości, pełna obaw, że tylko je sobie wyobraża. W pewnym momencie zorientowała się, że ogród spowiły cienie, a słońce, zakryte mgiełką, powoli znika za horyzontem.

Poczuła głód i zdziwiła się, że nikt nie woła jej na kolację. Wyszła ze swego pokoju, chcąc zejść do jadalni, ale w korytarzu jej uwagę przykuły dziwne odgłosy. Zatrzymała się w pół kroku.

Odgłosy dobiegały z sypialni rodziców, którą obecnie zajmowali Erich i Helene. Brzmiały przerażająco, jakby ktoś cierpiał i szlochał. O dziwo, wydawało jej się, że to Erich tak jęczy.

Powoli zakradła się bliżej. Drzwi były lekko uchylone, tak że mogła zajrzeć do środka. Widziała łóżko rodziców i Ericha i Helene, nagich, zgrzanych, zdyszanych. Erich leżał na plecach, odrzucił głowę do tyłu, jęczał cicho. Helene siedziała na nim okrakiem i poruszała się szybko, rytmicznie. Długie jasne włosy, zazwyczaj starannie upięte, spływały jak złoty jedwab na jej plecy, aż do pośladków. W gasnącym popołudniowym blasku jej jasna skóra przypominała kość słoniową. Helene była bardzo szczupła i zgrabna, miała silne, jędrne uda i małe, krągłe piersi. Na jej

twarży malował się triumfalny uśmiezek, wyraz zadowolenia, którego Beatrice nigdy u niej nie wiedziała. Wyglądała prawie na szczęśliwą, a w każdym razie nie była teraz zastraszona ani onieśmielona. Była silna, silniejsza niż dyszący pod nią Erich. O dziwo, świat stanął na głowie i dwie osoby, które, zdawałoby się, zajmowały jasno określone pozycje, nagle zamieniły się miejscami. W ciągu kilku godzin zaszła zmiana, która odebrałaby Beatrice mowę, gdyby nie to, że już zaniemówiła z przerażenia.

To, co robili, wydało jej się obrzydliwe, choć nie do końca zdawała sobie sprawę, co widzi. Oczywiście słyszała co nieco o „tych sprawach”, ale kiedy zapytała o to Andrew, odesłał ją do Deborah, a ta stwierdziła, że Beatrice jest jeszcze za młoda i że później jej wszystko wytłumaczy. Najwięcej dowiedziała się od Mae, która miała starszego brata i nasłuchiwała się od niego rozmaitych historii o stosunkach damsko-męskich. Większość brzmiała jednak tak fantastycznie, że Beatrice nie bardzo mieściło się w głowie, że coś takiego może się dzieć naprawdę. Jednak to, co teraz widziała, zdawało się potwierdzać grozę, która przebijała także z opowieści Mae.

Nagie ciała lśniące od potu, agresywne ruchy, jęki, wykrzywione twarze – Beatrice wydawało się, że obserwuje walkę na śmierć i życie, w którą dwie osoby wdały się z niewiadomego powodu.

Erich oddychał coraz szybciej, Helene poruszała się tak gwałtownie, że jej włosy podskakiwały w rytm ruchów. A potem Erich zawył jak zdychające zwierzę, naprężył mięśnie, by w końcu zapaść się w sobie. Leżał bez ruchu i dyszał ciężko, zdawał się rozplýwać z ulgi i zmęczenia.

Helene już się nie ruszała. Jeszcze przez chwilę siedziała na Erichu, potem zsunęła się z niego i położyła obok. Przytuliła się do niego, objęła ręką, ukryła mu twarz na ramieniu. Beatrice nie umiałaby powiedzieć, na czym to polegało, ale w ciągu kilku sekund zmienił się stosunek władzy i wszystko wróciło do dawnego układu. Helene była słaba, Erich – mocny. Być może wynikało to z czułości, z jaką Helene zabiegała o jego uwagę, i chłodu, z którym ją lekceważył. Znosił jej pieszczoty, ale ich nie odwzajemniał. W pewnej chwili energicznie opuścił nogi na ziemię i wstał, strącając dłoń Helene jak naprzykrzającą się muchę.

– Erich – szepnęła. Zdawała się smutna i zraniona.

Beatrice nie zrozumiała odpowiedzi po niemiecku, ale ton jego głosu był zimny i odpychający. Jego ciało rysowało się ciemnym cieniem na jasnej plamie okna.

Miał długie nogi i szerokie bary. Był pięknym mężczyzną, podobnie jak Helene była piękną kobietą; stanowili bardzo atrakcyjną parę, pod względem estetycznym bardzo dobraną. Nikomu nie przyszłoby do głowy, że ich związek był jak zmurszałe, zbutwiałe drewno.

Helene podciągnęła kołdrę pod szyję. Wyraz triumfu, który zaledwie kilka minut temu zupełnie zmienił jej twarz, zniknął bez śladu. Znowu przypominała przerażoną łanię i wyglądała, jakby zaraz miała się rozpłakać.

Erich włożył mundur, przeczesał włosy przed lustrem. Całkowicie panował nad sobą, znowu był tym, przed którym drżało całe otoczenie, człowiekiem, o którym nigdy nie było wiadomo, jakie myśli chodzą mu po głowie.

– Czas na kolację – powiedział. Tym razem Beatrice wszystko rozumiała. Coraz częściej wychwytywała całe zdania albo chociaż ich fragmenty.

Helene się nie ruszała. Błagała wzrokiem o odrobinę czułości, ale było jasne, że równie dobrze mogła zaklinać kamień.

– Czas na kolację – powtórzył Erich i tym razem zabrzmiało to jak groźba.

Helene ciaśniej otuliła się kołdrą. Wyglądało na to, że w ogóle nie chce wstać, wydawała się blada i upokorzona. Erich włożył wysokie czarne oficerki i tym samym był gotów. Wziąwszy z krzesła kłęb ubrań, cisnął go na łóżko, prosto na brzuch Helene.

– Ubierz się i chodź na dół – polecił, ruszając ku drzwiom.

Beatrice w ostatniej chwili schowała się w łazience, zanim wyszedł na korytarz i żwawym krokiem zszedł na parter.

Piątego września po południu przyszła Mae z rodzicami. Na widok przyjaciółki Beatrice po raz pierwszy, odkąd zaczął się ten koszmar,

poczuła łzy pod powiekami, ale zaraz wzięła się w garść. Obiecała sobie, że Erich nigdy nie zobaczy, jak ona płacze.

Objęły się z Mae serdecznie, jak dwoje rozbitków. Mae na przemian śmiała się i szlochała, i zasypała ją tysiącem pytań, nie czekając na odpowiedź.

– Myśleliśmy, że jesteś w Anglii! – krzyczała. – Myślałam, że oszaleję, kiedy się okazało, że zostałam na wyspie!

Pani Wyatt, matka Mae, nie ukrywała troski.

– Drogie dziecko, gdybyśmy wiedzieli, że tu jesteś, już dawno zabralibyśmy cię do nas. Ale twoi rodzice oznajmili, że wyjeżdżacie, i nie przyszło nam do głowy, że zostałam!

– Beatrice należy teraz do nas – oznajmił Erich. – Proszę się o nią nie martwić.

Rodzice Mae mierzyli najeźdźców wrogim wzrokiem, ale zachowali milczenie. Jak wszyscy pozostali na wyspach Anglicy musieli znosić różne szykany ze strony Niemców; obowiązywał zakaz zgromadzeń, godzina policyjna, racjonowanie wszelkich produktów. Zarekwirowano ich samochód i zwrócono dopiero po długich protestach; nawet Niemcy musieli w końcu przyznać, że lekarzowi auto jest niezbędne. Pani Wyatt nie mogła już chodzić do klubu brydżowego, wielu ich znajomych internowano. Widziała robotników, których sprowadzano ze stałego lądu do prac przy budowie bunkrów i umocnień. Edith Wyatt miała wrażenie, że Niemcy oszaleli zupełnie na punkcie twierdz, wież i schronów. W ciągu kilku tygodni od swego przybycia zdążyli już zmienić oblicze wyspy. Kolumny jeńców, dżipy, flagi ze swastykami, pierwsze wagony towarowe do transportu granitowych głazów – wyglądało to wszystko na świetnie naoliwioną maszynę wojenną, która działała bez zarzutu i której nie sposób zatrzymać. Naziści potrafili nad wszystkim zapanować. Byli doskonałymi organizatorami, wykazywali się nieludzką czy może nadludzką dokładnością. Pani Wyatt, która dotychczas prowadziła wygodne, nudne życie żony wiejskiego lekarza, miała wrażenie, że jej świat stanął na głowie, wszędzie wietrzyła nieokreślone niebezpieczeństwo. Nie żałowała jednak, że nie wyjechali z wyspy. Nie mogła się zdobyć na to, by porzucić przytulny domek, a jej mąż uważał, że jako lekarz powinien tu zostać.

A teraz co dnia umierała ze strachu, że im ten domek zabiorą. Widziała to wszędzie dokoła; okupanci rekwirowali domy na prawo i lewo, i rzadko kiedy pozwalali prawowitym właścicielom zostać w choćby jednym ciasnym pokoiku.

– Bardzo chętnie zabierzemy Beatrice do nas – zwrócił się doktor Wyatt do Ericha. – Przyjaźniliśmy się z jej rodzicami i wydaje mi się, że Deborah i Andrew Stewartowie chcieliby, żebyśmy się zaopiekowali ich córką.

Choć Erich się uśmiechał, jego oczy pozostały zimne.

– A mnie się wydaje, że ważne jest, czego *ja* chcę. Beatrice zostaje u nas. Mae może ją odwiedzać, ale na razie nie życzę sobie, żeby Beatrice chodziła do państwa.

Doktor Wyatt nic na to nie powiedział, pogłaskał tylko Beatrice po głowie, jakby tym pocieszającym gestem chciał jej dać do zrozumienia, że mimo wszystko będzie się nią opiekował, nie straci jej z oczu.

Helene nakryła do stołu w ogrodzie; co prawda wieczory były już chłodne, ale za dnia słońce świeciło jeszcze mocno i spowijało wszystko miękkim, złotym światłem. Pachniało dojrzałością, słodczą owoców, a róże rozsiewały aromat jeszcze intensywniejszy niż w lecie.

Helene miała na sobie tradycyjną bawarską sukienkę; Beatrice zrozumiała, że to Erich kazał jej ją włożyć, choć sama za nią nie przepadała. Znowu wydawała się nieszczęśliwa, udręczona i wyglądała na młodszą, niż była w rzeczywistości.

Doktor Wyatt i jego żona zostali grzecznie, ale dobitnie wyproszeni, gdy Erich wyjaśnił, że wieczorem Will odwiezie Mae do domu.

A potem zaczęło się dziwaczne przyjęcie urodzinowe. Usiedli przy stole w ogrodzie, Helene nakryła tego dnia najlepszą porcelaną Deborah.

Erich sięgnął po jedną z filiżanek z porcelany Wedgewooda i unióś ją wysoko w górę.

– Od mojej żony możesz się wiele nauczyć, Mae – stwierdził. – Naprawdę wiele.

Helene się zarumieniła, a Mae przyglądała się im, nic nie rozumiejąc.

Erich odstawił filiżankę; zadzwęczała cicho, bo ruchy miał energiczne.

– Helene w specyficzny sposób przygotowuje młode damy do dorosłego życia – ciągnął. – W bardzo zręczny sposób, bo

Helene *jest* bardzo zręczna.

Will rozglądał się nerwowo na boki. Helene wyglądała tak, jakby lada moment miała wpaść w panikę.

Erich delikatnie wodził palcami po złotej krawędzi filiżanki.

– Urządzamy dzisiaj przyjęcie w ogrodzie, tak? Wiadome to było od dawna, od rana, odkąd było jasne, że pogoda dopisze. Powiedziałem więc Helene, że ma nakryć w ogrodzie. I zrobiła to. I to *jak* pięknie.

– Erich – jęknęła Helene.

Ponownie wziął filiżankę, uniósł ją wysoko i upuścił. Delikatna porcelana roztrzaskała się o suchą, twardą ziemię.

Wszyscy przy stole wpatrywali się w skorupy.

– Helene lubi pokazywać młodym damom, czego się *nie* robi – wyjaśnił Erich. Sięgnął po talerz i także go stłukł.

– Czy twoja matka kiedykolwiek używała tej zastawy w ogrodzie? – Erich spojrzał na Beatrice.

– Nie przypominam sobie – odparła cicho.

– Nie przypominasz sobie? Dziwne. Nigdy nie miałem wrażenia, że masz kiepską pamięć. Nieważne; nie sądzę, by twoja matka była na tyle głupia, żeby taszczyć najlepszą porcelanę do ogrodu, gdzie w każdej chwili coś się może stłuc. – Wstał i zanim ktokolwiek zdążył zareagować, ściągnął obrus ze stołu. Talerze, filiżanki, imbryk do kawy i sztucce posypały się z głośnym brzękiem. Kawa i kakao rozprysły się na wszystkie strony, ciasto zmieniło się w bezkształtną masę jabłek, śliwek, bitej śmietany i biszkoptu na trawie.

Helene krzyknęła:

– Nie, Erich, nie rób tego, proszę!

Ale oczywiście było już za późno. Zresztą i tak nie mogłaby go powstrzymać, musiał jakoś wyładować złość. Wszyscy zerwali się na równe nogi i w milczeniu wpatrywali się w chaos u swoich stóp.

– Na miłość boską, panie majorze – sapnął Will.

Helene zalała się łzami, a Mae miała taką minę, jakby zaraz miała pójść w jej ślady.

Erich zawołał Francuzów:

– Julien! Pierre! Chodźcie tu natychmiast!

Nadeszli z głębi ogrodu, posłuszni i przestraszeni jak psy, które miały za sobą brutalną tresurę.

– Macie tu posprzątać – warknął Erich. – Nie chcę widzieć choćby odłamka, bo inaczej z wami porozmawiam.

Oddalił się wielkimi krokami, a po chwili rozległ się warkot silnika i pisk opon, gdy samochód ruszał z miejsca.

– Dziewczynki, idźcie do pokoju Beatrice i sobie porozmawiajcie – poradził Will. – Ja się zajmę panią Feldmann.

Helene szlochała histerycznie, wstrząsana spazmami.

– Zawsze taki jest? – zapytała przerażona Mae.

– Czasami taki, czasami nie – odparła Beatrice.

Patrzyła ze złością na potłuczoną porcelanę. Deborah tak bardzo lubiła tę zastawę, dbała o nią i sięgała po nią tylko w wyjątkowych okazjach. Ku swemu zdumieniu Beatrice poczuła, że co do jednego zgadza się z Erichem: rzeczywiście było głupotą ze strony Helene wybrać akurat tę zastawę na przyjęcie w ogrodzie! Ale pewnie chciała jak najlepiej. Zresztą nie można wykluczyć, że Erich warknąłby na nią również w przypadku, gdyby nie wybrała najlepszej porcelany. Beatrice dostrzegła już największy koszmar tego układu: jeśli Erich szukał ujścia dla swojej złości, nie miało znaczenia, co Helene mówiła, robiła, jak się zachowywała. Zawsze popełniała błąd, a on mógł się na niej wyładować.

Will odszedł z zapłakaną Helene, Francuzi uklękli na ziemi i zbierali skorupy naczyń. Beatrice zaciągnęła Mae za biały murek, po którym pięła się dojrzewająca winorośl.

– Chciałabym jakoś poinformować rodziców, że nic mi nie jest, i chciałabym się dowiedzieć, co z nimi, ale stąd nic nie mogę zrobić. Jak myślisz, może twój tata mógłby się jakoś z nimi skontaktować?

– Zapytam go – obiecała Mae, ale nie czuło się w niej pewności siebie. – Mówił, że nie ma kontaktu z Londynem, Niemcy wszystko zablokowali. Zwyciężają wszędzie, na wszystkich frontach. Tata mówi, że chcą podbić cały świat.

– Nikt nie może podbić całego świata – stwierdziła Beatrice, ale wcale nie była taka pewna, że akurat Niemcom to się nie uda. Sądząc po minie Mae, jej wiara w to, że wkrótce wszystko będzie po staremu, znacznie

ucierpiała. Co prawda już od tygodni widywała Niemców na całej wyspie, ale do tej pory nie miała z nimi właściwie żadnego kontaktu. A teraz miała okazję doświadczyć Ericha w szczytowej formie; w jej oczach był ucieleśnieniem grozy słyszalnej w głosach mieszkańców, gdy mówili o Niemcach. Teraz zrozumiała strach matki i wyraz wiecznej troski na twarzy ojca.

– Lepiej byłoby wyjechać – stwierdziła, ale Beatrice powiedziała cicho:

– Cieszę się, że zostaliście. Gdyby nie wy, czułabym się całkiem osamotniona.

Jeszcze długo siedziały w milczeniu wśród traw, wystawiały twarze do słońca, wdychały zapach róż. W pewnym momencie usłyszały wołanie Willa. Wstały i wyszły zza murku, żeby je zobaczyć. Francuzi zniknęli, podobnie jak wszelkie ślady nieudanego przyjęcia w ogrodzie. Wokół panowała cisza i spokój.

– Odwiozę cię do domu, Mae – powiedział Will. – Beatrice, zajrzyj do pani Feldmann. Jest na górze, u siebie. Obawiam się, że nie czuje się najlepiej.

Dziewczynki pożegnały się, spięte i przerażone, co dalej.

– Wkrótce się zobaczymy – obiecała Mae, ale Beatrice zdawała sobie sprawę, że to zależy od humorów Ericha i że utrudnianie kontaktów z przyjaciółką sprawiało mu nie lada przyjemność.

Odprowadziła wzrokiem samochód Willa, póki nie zniknął za zakrętem, a potem pobiegła do domu na górę i z wahaniem zapukała do sypialni. Cisza. Ostrożnie uchyliła drzwi. Pokój był pusty. Na łóżku leżała otwarta walizka, a w niej – kilka bez ładu i składu wybranych sztuk odzieży i bielizny.

Szafa była otwarta, na podłodze poniewierało się kilka spódnic. Wyglądało na to, że ktoś chciał się spakować w pośpiechu, brał pierwsze lepsze sztuki garderoby i już przy układaniu ich w walizce stracił resztki cierpliwości. Beatrice przemknęło przez głowę, że Erichowi nie spodoba się taki bałagan w pokoju i będzie bardzo zły. Dlaczego Helene tak go prowokuje? I gdzie ona właściwie jest?

Stała niezdecydowana i zastanawiała się, czy szukać Helene, czy samej tu posprzątać, gdy nagle z łazienki dobiegł głuchy odgłos. Podeszła do

drzwi, wahała się przez chwilę, zaraz jednak je otworzyła – nie były zamknięte od środka. Stała w progu i usiłowała zrozumieć, co widzi.

Z pełnej po brzegi wanny już przelewała się woda, na kamiennych płytach posadzki formowały się pierwsze kałuże. Helene leżała przed wanną. Miała na sobie tylko morelowy szlafroczek; rozsunął się, odsłaniając jej szczupłe, dziewczęce ciało. Długie włosy, z powodu wilgoci ciemniejsze niż zazwyczaj, rozsypały się wokół głowy. Kałuże koło niej były czerwone, z nadgarstków Helene rytmicznie wypływały strumienie żywej krwi.

Widok krwi zaskoczył Beatrice, jej umysł w pierwszej chwili nie chciał przyjąć do wiadomości, co tu się właściwie działo. Przeszła ostrożnie między kałużami, w których czerwieniły się, jak teraz widziała, plamy krwi, zakręciła kurek i dopiero wtedy spojrzała na ziemię. Uklękła koło Helene, zobaczyła brzytwę leżącą nieco dalej na podłodze i głębokie, brzydkie nacięcia na przegubach.

– O Boże – szepnęła przerażona.

Helene wciąż leżała nieruchomo, tak blada, że Beatrice przez jedną koszmarną chwilę myślała, że już nie żyje, zauważyła jednak, że jej pierś poruszała się jeszcze w lekkim oddechu; straciła przytomność, ale nie życie.

– O Boże – powtórzyła Beatrice, zerwała się na równe nogi, zawołała Willa, zaraz jednak przypomniała sobie, że przecież akurat odwozi Mae do domu. Mae! Musi zaraz zadzwonić do jej ojca!

Zbiegła ze schodów do saloniku, drżącymi rękami podniosła słuchawkę, zadzwoniła na centralę, poprosiła o połączenie z domem doktora Wyatta. Modliła się, żeby ktoś był w domu. Choć nie miała o tym pojęcia, czuła, że Helene może się lada chwila wykrwawić na śmierć.

Odebrała matka Mae, zdenerwowana od pierwszej chwili, gdy usłyszała przerażony głos Beatrice.

– Co się stało? Coś z Mae?

– Nie, Mae lada chwila będzie w domu. Ale tak, stało się coś strasznego! Pani Feldmann podcięła sobie żyły! Leży w wannie, wszędzie jest pełno krwi i myślę, że ona zaraz umrze!

Słyszała ciche trzaski w słuchawce, słyszała, jak operatorka na centrali głośno zaczerpnęła tchu, i przemknęło jej przez głowę, że teraz po całej

wyspie rozejdzie się wiadomość, że młodziutka żona majora Feldmanna chciała odebrać sobie życie, i jak bardzo Ericha zaboli świadomość, że tragedii nie udało się zapobiec.

– Już wysyłam męża – powiedziała Edith Wyatt i rozłączyła się.

Beatrice wróciła na górę do łazienki, w której plamy krwi przybierały zatrważające rozmiary. Wyjęła z szafki naręczce ręczników, przykryła nimi przeguby Helene w nadziei, że krew przestanie płynąć, ale ręczniki błyskawicznie nasiąkły czerwienią i wydawało się, że nic nie powstrzyma życia uciekającego z ciała Helene.

Beatrice starała się za wszelką cenę zapanować nad ogarniającą ją paniką. Nie może teraz stracić panowania nad sobą. Wróciła na dół, zerknęła na drzwi wejściowe, liczyła na to, że zobaczy na zakręcie samochód doktora Wyatt, ale podjazd był cichy i pusty. Od ogrodu nadciągał chłód, na trawie połyskiwała wilgoć. Wrześniowy wieczór był już ciemny.

„Ona umrze – przebiegło jej przez głowę – ona umrze!”

Ta myśl sprawiła zaskakująco silny ból, przy czym nie wiedziała, czy bardziej przerażała ją perspektywa utraty Helene, czy to, że zostałaby sama z Erichem. Rozpaczliwie rozglądała się za Pierre'em, Julienem czy jednym z żołnierzy patrolujących teren posiadłości, ale akurat w tej chwili nikogo nie było w zasięgu wzroku. Na szczęście w tej chwili samochód doktora Wyatt wjechał na podjazd i zatrzymał się z piskiem opon przy drzwiach wejściowych.

– Gdzie ona jest? – rzucił lekarz.

Beatrice odwróciła się i pobiegła na piętro, do łazienki, która teraz przypominała raczej rzeźnię.

– Jezu, najwyższy czas! – krzyknął doktor Wyatt, odepchnął Beatrice i wpadł do łazienki.

– Przeżyje? – zapytała Beatrice i nagle zorientowała się ze zdziwieniem, że szczęka zębami.

– Módlmy się o to – mruknął lekarz, ale w jego głosie nie było nadziei.

Will zagrzał jej mleko z miodem i przypomniał, żeby się przebrała, bo całą górę jej sukienki pokrywały krwawe plamy.

Beatrice narzuciła szlafrok i siedziała skulona w saloniku przy kominku, na którym Will rozpałił ogień. Małymi łyżkami piła mleko, dygocąc na całym ciele. Will poszedł na górę, żeby posprzątać w łazience. Zajęło mu to sporo czasu. Po tym, jak doktor Wyatt prowizorycznie opatrzył Helene, ściągnął karetkę i zabrano ją do szpitala w St. Martin, Will, który właśnie w tej chwili wrócił do domu, już poinformowany przez panią Wyatt o przebiegu wydarzeń, przez chwilę widział zszarzałą, upiorną twarz i myślał, że Helene już umarła. Doktor Wyatt zapewnił, że ona jeszcze żyje, ale obawiał się, że nie zdołają jej uratować.

– Pojadę z nią do szpitala – powiedział. – Proszę się zaopiekować Beatrice. Nie może teraz zostać sama.

– Oczywiście, że się nią zajmę – zapewnił Will. Beatrice jeszcze nigdy nie widziała go w takim stanie.

– Czy można skontaktować się jakoś z majorem Feldmannem? – zapytał doktor Wyatt. – Musi się dowiedzieć o stanie żony.

– Nie mam pojęcia, gdzie jest – stwierdził Will bezradnie. – Już po południu kilkakrotnie usiłowałem skontaktować się z nim przez radio, ale nie włączył swego odbiornika. Na pewno jednak wkrótce wróci do domu. – Nerwowo przeczesał włosy palcami. Wydawał się przejęty i przerażony. – Nie powinienem był wychodzić. Pani Feldmann całkowicie straciła panowanie nad sobą, a ja miałem dziwne przeczucie. Ale krzyknęła mi w twarz, że chce zostać sama, i zniknęła w sypialni, a tam przecież nie mogłem jej towarzyszyć, prawda? Byłem u siebie, później odwiozłem Mae i...

– Proszę się tak nie denerwować – polecił doktor Wyatt. – Nie mógł pan przypuszczać, że pani Feldmann targnie się na swoje życie. Zresztą koniec końców, jeśli ktoś naprawdę chce to zrobić, nikt i nic go nie powstrzyma. – Poklepał Willa po plecach, by mu dodać otuchy, wsiadł do samochodu i odjechał w ślad za karetką, która już była przy bramie wjazdowej.

Will co chwila usiłował się skontaktować z Erichem przez radio, w przerwach między gotowaniem mleka, rozpalaniem ognia na kominku i sprzątaniem łazienki, ale daremnie.

Wyczerpany usiadł z Beatrice w saloniku.

– Łazienka jest już czysta – powiedział. – Ona straciła chyba całe litry krwi. Jestem ciekaw... – Nie dokończył. Zmienił temat: – Beatrice, powinnaś się już położyć. Pewnie jesteś ledwo żywa. Masz za sobą koszmary dzień.

– Nie zasnę teraz – powiedziała. – Wolałabym zostać tutaj.

– Dobrze. Boże, gdybym wiedział, jak się to wszystko skończy! Żeby pan major wrócił już do domu...

– Myśli pan, że zadzwonią do nas ze szpitala, jeśli... – Beatrice nie wiedziała, jak ubrać tę myśl w słowa.

– Zadzwonią do nas, gdy będzie jakaś zmiana – powiedział Will. Wpatrywał się w aparat. – Na razie brak wieści to najlepsze, co może być.

O wpół do jedenastej sam zadzwonił do szpitala. „Stan pani Feldmann jest bez zmian – usłyszał – nadal nie odzyskała przytomności. Doktor Wyatt cały czas jest przy niej”.

– Przynajmniej jeszcze żyje – pocieszał Will. Był trupio błydy i Beatrice stopniowo zdała sobie sprawę, że martwi się nie tylko o Helene, także o siebie. Jak zareaguje Erich, gdy się dowie, co się stało? Oczywiście będzie szukał winnego, żeby nie musiał się zmierzyć z własną winą. A kto nadawał się do tej roli lepiej niż Will? W krytycznej sytuacji zostawił Helene samą, co więcej, opuścił teren posiadłości. I nagle Beatrice nabrała pewności, że Erich będzie bardzo zły na Willa.

W końcu, krótko po północy, usłyszeli na zewnątrz warkot silnika, potem trzaśnięcie drzwiczek, a po chwili do pokoju wszedł Erich. Wydawał się w świetnym humorze, trochę zmęczony, ale spokojny.

Rozejrzał się ze zdumieniem.

– A co wy tu jeszcze robicie o tej porze? Nie mogliście spać?

Will wstał. Beatrice wydawało się, że trzęsą mu się nogi.

– Panie majorze – zaczął. Mówił po niemiecku, ale Beatrice zrozumiała mniej więcej, co mówił. Łamiącym się głosem opowiadał przebieg wydarzeń.

Erich kazał mu natychmiast zadzwonić do szpitala w St. Martin.

– Dlaczego, do cholery, nie wezwaliście *niemieckiego* lekarza?! – ryknął.

– Beatrice знаła tylko... – zaczął Will, ale Erich nie dał mu dokończyć.

– A pan gdzie był? Jak pan śmiał zostawić moją żonę samą w takim

stanie? Samą z dwunastoletnią dziewczynką?

Will podał mu słuchawkę.

– Szpital, panie majorze.

Erich ryknął nazwisko do słuchawki i zażyczył sobie rozmawiać z lekarzem prowadzącym jego żony. Słuchał uważnie przez dłuższą chwilę i powiedział:

– Tak, dziękuję. Tak, będę bardzo zobowiązany. Dziękuję.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na Willa.

– Odzyskała przytomność. Jej stan jest stabilny. Lekarz twierdzi, że z tego wyjdzie. – Jego twarz lśniła od potu. – Whisky.

Will nalał mu i podał szklaneczkę.

Erich wypił wszystko jednym haustem.

– Jeszcze.

Drugą whisky wypił równie szybko jak pierwszą. Beatrice miała wrażenie, że już na początku nie był całkiem trzeźwy, a jeśli dalej będzie pił w takim tempie, wkrótce zaleje się w trupa. Zacisnęła dłonie na kubku gorącego mleka, czując, jak strach otacza ją zimnym całunem.

Erich przewiercał Willa wzrokiem.

– Will, proszę iść do siebie i położyć się spać. Oczywiście zdaje pan sobie sprawę, że ta sprawa będzie miała dla pana konsekwencje. Jakie, muszę się zastanowić.

– Jeśli mógłbym jeszcze coś zrobić... – mruknął Will, ale odpowiedział mu jedynie cyniczny uśmiech.

Ze schyloną głową wyszedł z pokoju. Po chwili usłyszeli chrzęst żwiru pod jego oficerkami.

Erich nalał sobie trzecią whisky. W jego ruchy wkradła się niepewność.

– Dobrze, że byłeś w domu, Beatrice – powiedział. Plątał mu się język. – Jak dobrze, że tu jesteś. Jesteś dzielną, odważną dziewczynką. Moja Helene nie żyłaby już zapewne, gdybyś nie zareagowała tak rozsądnie i odważnie.

Beatrice odprężyła się odrobinę. Na *nią* w każdym razie nie był zły. Postanowiła wykorzystać jego dobry humor na korzyść Willa.

– Sir, Will odwoził Mae zgodnie z pańskim rozkazem. Robił to, czego od niego wymagano.

Erich nalewał sobie czwartą whisky.

– Może jesteś za młoda, żeby to zrozumieć, Beatrice – stwierdził miękko. – Jako mój adiutant Will ma pewne przywileje, ale też musi się liczyć ze zwiększonymi oczekiwaniami. Ma robić, co mu każę, owszem, ale co to właściwie oznacza? Spełniać moje rozkazy, naturalnie, jednak musi też umieć samodzielnie ocenić sytuację. Muszę móc na niego liczyć w tym względzie. Nie potrzebuję niewolnika. Niewolników już mam, to ci dwaj Francuzi, którzy dbają o ogród, to ci, którzy na całej wyspie budują bunkry i mury obronne. Potrzebuję kogoś, kto potrafi też myśleć.

Słysząc było, że sporo wypił, ale w jego głosie nie było emocji, a Beatrice zdążyła się już zorientować, że to najgorszy stan. Jeśli – jak wcześniej tego dnia – atakował i wyżywał się na wszystkich dokoła, najczęściej na Helene, był przykry i wredny, ale zazwyczaj na tym się kończyło. Nie, Erich był groźny, gdy stawał się łagodny, mówił cicho, spokojnie, rzeczowo przedstawiał swoje zdanie. Wtedy planował cios, który zadawał z zimną krwią i dlatego był tak bardzo niebezpieczny.

Mimo to zdobyła się na odwagę:

– Will nie mógł się przecież domyślać, że ona zrobi coś takiego. Nikt tego nie przypuszczał.

Erich uśmiechnął się lodowato.

– Helene jest histeryczką. Nie wiesz tego jeszcze, za krótko ją znasz. Will oczywiście też nie, ale jest dorosły, a dorosły powinien umieć ocenić pewne sygnały. Jestem pewien, że szybko się zorientował, że ma do czynienia z osobowością neurotyczną, z osobą, która jak najbardziej może się targnąć na własne życie.

Beatrice gwałtownie otworzyła oczy.

– Czy już kiedyś usiłowała...

– Odebrać sobie życie? Nie. Ale uwierz mi, już niejedno z nią przeżyłem. Awantury, szloch, histerie, ataki gorączki, omdlenia. Zadziwiająco, ile potrafi zrobić, byle zwrócić na siebie uwagę otoczenia albo dać mi do zrozumienia, że źle ją traktuję. Jest bardzo pomysłowa. Nie można zostawiać jej samej, kiedy wpada w histerię. Jest wtedy zdolna do wszystkiego – co nam dzisiaj udowodniła.

– Była smutna, bo pan na nią nakrzyczał, sir.

– Czyżby? – Erich wyjął z kieszeni papierosa, zapalił. – Musisz coś

zrozumieć, Beatrice. Helene jest wiecznie smutna. To część jej natury. Od rana do nocy myśli tylko o sobie, o swoich problemach i troskach, o wymyślonych chorobach i urazach. Zajmuje się tylko sobą, a to prowadzi do przesadnych reakcji, które możesz u niej zaobserwować.

Beatrice nie była taka pewna, że załamanie nerwowe po tym, jak potraktował ją mąż, to ze strony Helene przesada, choć podcięcie sobie żył było rzeczywiście drastycznym posunięciem.

– I co teraz zrobimy? – zapytała rzeczowo.

Erich przyglądał jej się ze zdumieniem.

– Jak to: co zrobimy?

– No cóż, domyślam się, że pani Feldmann wkrótce wróci do domu i ja... i musimy uważać, żeby znowu tego nie zrobiła. Tego albo... czegoś innego. Nie powinna zostawać sama.

Erich ze zniecierpliwieniem strzepnął popiół z papierosa na blat stołu.

– Posłuchaj, Beatrice, przede wszystkim nie możemy jej okazać, jak bardzo nami wstrząsnęło to, co zrobiła. Widzisz, jeśli się zorientuje, że takie idiotyzmy budzą troskę i współczucie, może ciągle się uciekać do takich sztuczek. Helene za wszelką cenę chce być w centrum uwagi, choćby w tym celu miała sobie co wieczór podcinać żyły.

– Może szuka ciepła?

W jego oczach pojawił się niebezpieczny błysk.

– Chcesz powiedzieć, że jej tego nie daję? Ciepła?

– Nie wiem, sir.

– Na pewno myślisz coś jeszcze. Znam cię, zawsze masz mnóstwo pomysłów. Powiedz mi, co myślisz, Beatrice.

Wzruszyła ramionami. Nie odpowiedziała. Erich zgasił papierosa na stole (a mamusia tak dbała o ten blat, przemknęło jej przez głowę) i wstał.

– Zadzwońię do szpitala – powiedział w końcu.

Zważywszy na okoliczności, Helene czuła się w miarę dobrze, puls się unormował, zasypiała.

– Możemy iść spać – stwierdził. – Nie ma powodów do obaw. Helene jest bezpieczna. Nic jej nie będzie.

Ponownie sięgnął po butelkę whisky.

– Świetnie się spisałaś, Beatrice, naprawdę. Jesteś bardzo rozsądną

dziewczynką. Jestem z ciebie dumny.

„Właściwie dlaczego jest ze *mnie* dumny?” – pomyślała gniewnie, ale nic nie powiedziała. Napięcie stopniowo ustępowało, przechodziło w zmęczenie. Była trzecia nad ranem i nagle myślała już tylko o jednym, o swoim łóżku, o tym, żeby zasnąć, głęboko, bez snów, by zapomnieć o wydarzeniach ostatnich godzin – o zakrwawionej Helene, bladym Willu, pijanym Erichu.

„O tym wszystkim pomyślę jutro” – postanowiła znużona.

Obudziła się z poczuciem, że nie jest sama. Jakimś cudem świadomość, że oprócz niej w pokoju jest jeszcze ktoś, przedarła się przez opary snu. Spała jak kamień, jak tego chciała, ale teraz dostrzegła w oknie szare światło poranka. Było chyba jeszcze bardzo wcześnie, gorące słońce późnego lata jeszcze kryło się w oddali; posępna barwa światła zdradzała, że za oknami czaiła się mgła.

W nosie łaskotał ją oddech przesycony whisky. Erich siedział przy jej łóżku, pochylał się nad nią.

– Śpisz? – sapnął.

W pierwszej chwili pomyślała, żeby może udać, że rzeczywiście śpi, ale wyczuwała, że tym sposobem się go nie pozbędzie. Nie da jej spokoju, póki jej nie obudzi, więc równie dobrze mogła od razu otworzyć oczy.

Jej żołądek kurczył się boleśnie. Bała się, choć nie wiedziała czego. Do tej pory Erich szanował prywatność jej pokoju. Zajął cały dom, ale tu nigdy nie wchodził, a ona sądziła, że tak już będzie zawsze, jakby na mocy niepisanej umowy, której oboje zobowiązali się przestrzegać.

A teraz ją złamał. Nie dość, że wszedł do pokoju, to jeszcze przysiadł na łóżku.

„Za blisko – szeptał głosik w jej głowie. – Zdecydowanie za blisko. Nie powinien tu być”.

W końcu uniosła powieki.

W pokoju było na tyle jasno, że widziała jego rysy. Był bardzo blady, być może dlatego, że światło poranka pochłaniało barwy, sprawiając, że wszystko i wszyscy wydawali się bladzi. Oczy błyszczały mu

nienaturalnie, na czole perlił się pot.

– O, nie śpisz – stwierdził z ulgą w głosie.

– Co się dzieje? – Usiadła gwałtownie. – Która godzina?

– Dochodzi ósma. Nie... – Widział, że chce wstać, i uspokajającym gestem położył jej rękę na ramieniu. – Nie wstawaj. To była długa noc. Odpocznij dzisiaj.

– Nie jestem zmęczona. – Ponownie usiadła. – Ja...

I znowu pchnął ją na poduszki, delikatnie, ale stanowczo.

– Nie, moja mała, dzielna dziewczynko. Teraz będziesz odpoczywać. Nie chcemy przecież, żebyś nagle zemdlą.

Nie bardzo wiedziała, o co mu chodzi, o co się martwił, dlaczego traktuje ją jak kruchą figurkę z porcelany. Wiedziała jedynie, że nie ma sensu mu się opierać. „W jego wypadku to nigdy nie ma sensu” – pomyślała nagle ze znużeniem.

Zamknął jej dłoń w swoich, głaskał ją czule.

– Gdyby nie ty, Beatrice, gdyby nie ty...

Nie śmiała cofnąć ręki, ale w myślach zaklinała go, żeby wreszcie sobie poszedł. Serce waliło jej jak oszalałe, oprzytomniała zupełnie, czuła, jak jej ciało spina się do ucieczki, choć wiedziała, że przed nim nie umknie.

– Na całym świecie nie ma nikogo, kto mnie zrozumie – oznajmił Erich.

– Nikogo. Wyobrazasz to sobie, mała Beatrice? Jakie to uczucie, kiedy na całym świecie nikt cię nie rozumie?

– Helene pana rozumie, sir.

– Helene? Ona rozumie mnie najmniej. Helene tylko udaje, że jest dobra i troskliwa. Helene chce wszystkim narzucić swoją wolę i dąży do tego szczególnie perfidnymi metodami – trzepocząc rzesami, mówiąc piskliwym dzieciennym głosem, patrząc tak, że człowiek od razu ma wyrzuty sumienia i w końcu robi, co ona zechce, tylko po to, żeby nie czuć winy, której tak naprawdę nie ponosi.

Erich umilkł i ponuro patrzył przed siebie. Choć był ewidentnie pijany, mówił jasno i wyraźnie i Beatrice widziała sens i logikę w jego wywodach. Przypomniało jej się, jak tata kiedyś powiedział, że niektórzy ludzie po alkoholu widzą wszystko jaśniej i wyraźniej. Zapewne Erich był jednym z nich.

– Pewnie myślisz, że w naszym związku to ja jestem silniejszy – ciągnął.
– Wszyscy tak myślą, bo Helene wiecznie jęczy i narzeka. Dzięki temu jest bardzo, bardzo silna, rozumiesz, Beatrice? Zresztą pewnie sama to zobaczysz. Helene zmusza wszystkich, by postępowali tak, jak ona chce. Mnie także.

„Dlaczego on mi to opowiada? – zastanawiała się. – To przecież jego sprawy. Wcale nie chcę tego wiedzieć”.

– Często brakuje mi kogoś, kto mnie rozumie – jęknął płacząco. – Kogoś, komu mogę się ze wszystkiego zwierzyć. Różne rzeczy chodzą mi po głowie, chyba wiesz. Często mam bardzo piękne przemyślenia. Głębokie, rozumiesz? Ale czasami są też bardzo, bardzo smutne.

Spojrzał na nią. Wydawało jej się, że czeka, aż ona coś powie.

– Przykro mi, sir – mruknęła.

– Jest we mnie wielki smutek – oznajmił uroczyście. – Chciałbym, żebyś to wiedziała, Beatrice. Dzięki temu łatwiej ci będzie mnie zrozumieć. Czasami pewnie wydaję ci się dziwny. W takich chwilach dopada mnie ten straszny smutek.

Beatrice zaczęła się zastanawiać, czy on aby na pewno wie, co mówi, ale nagle przypomniały jej się jego dziwaczne zmiany nastrojów, które rzeczywiście czasami wydawały się co najmniej zaskakujące. Jego zachowanie zbyt często przechodziło od euforii w rozpacz, od agresji w melancholię. Kiedy zamykał się w sobie, nieraz miała wrażenie, że snuje złowrogie plany i skrywa się w cieniu, żeby nikt nie wiedział, co knuje pod czaszką. Ale może rzeczywiście trapiły go ponure myśli.

– Noszę w sobie wroga – oznajmił. Nagle wydawało się, że postarzał się o wiele lat. – Jest straszniejszy, bardziej niebezpieczny niż wrogowie zewnętrzni. Kryje się głęboko w mojej duszy, ale to oznacza, że nie mogę przed nim uciec. Nie mogę go też pokonać, bo jak mógłbym iść na wojnę z samym sobą?

„Czeka na odpowiedź czy nie?” – zastanawiała się. Na wszelki wypadek milczała. Po przeciągającej się minucie ciszy Erich podjął przerwany wątek:

– My, Niemcy, jesteśmy narodem zwycięzców. Wkrótce podbijemy cały świat. Przychodzi ci do głowy choćby jeden kraj, który jest w stanie stawić

nam czoła? Nie ma nikogo, niczego, co mogłoby nas powstrzymać. Jesteśmy rasą panów, świat należy do nas. Mój naród jest dumny i potężny. Tym bardziej doskwiera mi świadomość, że sobie nie radzę... – Położył sobie rękę na sercu. – Że nie radzę sobie z bezwzględnym wrogiem we własnej duszy. Jest ode mnie silniejszy, jest cholernie silny. Czasami udaje mi się go ogłuszyć i wtedy przez jakiś czas śpi, daje mi spokój, ale zarazem mam wrażenie, że w takich chwilach zbiera siły do kolejnego ataku, a gdy wraca do życia, jest silny i żywotny jak młody pies. I wtedy dopada mnie, wbija we mnie kły i nie puszcza.

– Może wcale nie jest taki silny, jak się panu wydaje – zaczęła ostrożnie Beatrice. Wolałaby usiąść, bo w pozycji leżącej jeszcze bardziej uświadamiała sobie swoją uległość, ale była przekonana, że z powrotem pchnąby ją na poduszki, więc nawet nie próbowała czegoś, co z gruntu było skazane na niepowodzenie. – Może tylko się puszy i stroszy.

Erich przyglądał się jej zaciekawiony.

– Jak to?

Zastanawiała się, jak to ująć w słowa. Chodziło o rzeczy i tak trudne do zrozumienia, do nazwania. Andrew często z nią rozmawiał o jej lękach, o tym, jak sobie z nimi radzić. I uświadomił jej, że można zapanować nad każdym strachem, pod warunkiem, że nie da się mu zapanować nad sobą.

– Kiedy się czegoś boimy – zaczęła, przywołując z pamięci słowa ojca – robimy najczęściej krok w tył. Nasz przeciwnik robi więc krok w przód. My mamy mniej miejsca, on więcej. Wydaje się, że jest mocniejszy, ale to tylko złudzenie, bo przecież to my zrobiliśmy mu miejsce.

– I co?

Zamyśliła się.

– Może czasami trzeba po prostu stać. I przyjrzeć się uważnie. Może ten przeciwnik wcale nie jest taki silny.

Uśmiechnął się pod nosem.

– W twoich ustach brzmi to tak łatwo, mała Beatrice. Jak to... – Przyglądał się jej bacznie. – Czy ty się mnie właściwie boisz?

– Nie.

– Naprawdę?

– Naprawdę.

W jego czach pojawiło się coś na kształt podziwu.

– Wierzę ci. Jesteś mocna, mocniejsza niż ja czy Helene. Podejdź tutaj! – przyciągnął ją do siebie. – Obejmij mnie. Zrobisz to? Tylko na chwilę.

Odsunęła się odruchowo. Erich czule dotknął jej policzka.

– Naprawdę nie chcę niczego innego. Obejmij mnie tylko.

Z wahaniem zarzuciła mu rękę na szyję. Materiał munduru okazał się szorstki. Przycisnął swoją twarz do jej twarzy; z tej odległości jeszcze wyraźniej czuła zapach whisky, jego zarost drapał ją w policzki. Jego bliskość nie była nieprzyjemna; mimo oparów alkoholu docierał do niej także inny, przyjemniejszy zapach – mieszanka dobrej wody po goleniu i jego skóry, przywodzącej na myśl suche wytrawne zioła.

– Dajesz mi dużo siły – szepnął z ustami na jej szyi. – Potrzebuję cię, Beatrice.

Zdumiona stwierdziła, że w tej chwili chyba naprawdę tak uważał. Tulił się do niej jak małe, zagubione dziecko. „Jak bardzo się to wszystko jeszcze skomplikuje?” – pomyślała.

I wtedy Erich zaczął cicho płakać.

„Żaden miesiąc nie jest równie beznadziejny jak styczeń” – pomyślała Karin. Wiele osób twierdzi, że listopad nastraja je pesymistycznie, ale Karin chodziło o coś innego. Listopad lubiła. Jego krótkie, szare dni, mgła i zimny wiatr zapowiadały przytulność. Listopad usprawiedliwiał zamknięcie się w czterech ścianach, ucieczkę przed światem, poszukiwanie schronienia w blasku świec, gorącej herbatce, kolędach i ogniu na kominku. W listopadzie często miała wrażenie, że przez tych kilka tygodni świat i ona nadawali na tych samych falach.

W styczniu natomiast było całkiem odwrotnie. Styczeń był jak szeroko otwarte drzwi, przez które wdziera się nowy rok ze wszystkimi możliwościami i niebezpieczeństwami. Usiłowała to kiedyś wytłumaczyć Michaelowi i aż za dobrze pamiętała irytację, z jaką przyjął jej słowa.

– Możliwości i niebezpieczeństwa! Mój Boże, Karin, jakie to dla ciebie typowe! Słowo „możliwość” niejako odruchowo łączysz z czymś negatywnym. Nawet nie przyjdzie ci do głowy, by w związku z możliwościami pomyśleć o czymś pozytywnym!

– Ale ja...

Nie dał jej dokończyć.

– Zawsze i wszędzie wietrzysz niebezpieczeństwo. To chore, rozumiesz? A najgorsze, że twój stan wcale się nie poprawia. Czy naprawdę sobie nie wyobrażasz, że w twoim życiu coś może przebiegać bez zagrożenia? Albo jeszcze śmieiej, że byłabyś w stanie stawić czoła niebezpieczeństwu?

Ta myśl rzeczywiście wydała jej się bardzo śmiała.

„On tego nie rozumie – przemknęło jej przez myśl – w ogóle nie wie, jak to jest”.

W tym roku styczeń był jeszcze gorszy. Zapowiadał nie tylko nowy rok, ale także nowy wiek, a nawet nowe tysiąclecie. Karin miała wrażenie, że wszystkie zagrożenia tylko urosły, otaczały ją, czały się, czyhały na nią.

– Chciałabym, żeby już było lato – szepnęła.

Siedzieli rano przy śniadaniu, powietrze przesycił zapach kawy i jajecznicy. Na parapecie leżał uschnięty wieniec adwentowy; świece wypaliły się prawie do końca. Zakurzony, zapomniany relikwiarz.

– Wszyscy czekają na lato – mruknął Michael, znowu zniecierpliwiony.

– Jasne, lato jest ciepłe, kolorowe, pachnące. W zimie nikt nie widzi niczego pozytywnego.

– W styczniu – poprawiła Karin. – W styczniu nie widzę niczego pozytywnego.

Michael zamieszał kawę.

– A teraz znowu o styczniu! Słuchaj, zrozumiałbym, gdybyś stwierdziła, że styczeń jest zimny i mokry, i dlatego go nie znosisz. Ale ciebie znowu dopadły te idiotyczne lęki, prawda?

Speszona przyznała mu rację.

Michael westchnął głęboko i wygodnie rozparł się na krześle; sprawiał wrażenie człowieka, który godzi się z losem i jest zdecydowany omówić dany temat, ale nie ma ochoty ukrywać irytacji i znużenia.

– Czy nie mogłabyś choć raz spróbować, tylko spróbować, jakoś się uporać ze strachem przed wszystkim i wszystkimi? Nie pojmuję tych wszystkich fobii. Gdybyś chociaż potrafiła konkretnie powiedzieć, czego właściwie się boisz, co takiego strasznego mogłoby ci się przydarzyć! Tylko że ty sama tego nie wiesz. Nie jesteś w stanie wymienić choćby jednego zagrożenia. I dlatego to wszystko jest takie bezsensowne. I beznadziejne.

„Bezsensowna i beznadziejna – pomyślała Karin. – Tak podsumował moje uczucia. W każdym razie te cechy, które we mnie widzi”.

– Powinnam mieć jakiś cel – powiedziała. Mówiła zbyt wysokim głosem, jak prawie zawsze podczas rozmowy z Michaeliem. Westchnął kolejny raz.

– Aha. No proszę, wracamy do punktu wyjścia. Chciałabyś mieć jakiś cel. O czym myślałaś?

Oczywiście wiedział doskonale, że nie myślała o *niczym*. Że owszem, miała mnóstwo pomysłów co do rzeczy, którymi chciałaby się zająć, ale na żadną z nich nie miała odwagi. I tu był pies pogrzebany.

– Nie wiem – odparła.

– Skoro mówisz, że potrzebujesz celu, masz chyba *coś konkretnego* na myśli.

– Do starej pracy nie wrócę.

– O tym rozmawialiśmy już setki razy i chyba możemy sobie darować ten punkt, nie uważasz? Zamiast wciąż omawiać to, czego *nie możesz*, zastanówmy się chociaż raz nad tym, *co możesz!*

„Chyba strasznie działał mu na nerwy” – pomyślała. Wystarczyła krótka wymiana zdań, by poczuła się tak zmęczona i sfrustrowana, jakby całą noc spędziła na poważnych dyskusjach. Wiedziała już, że z tej rozmowy nic nie wyniknie – nawet odrobina współczucia i sympatii ze strony mężczyzny, za którego wyszła osiem lat wcześniej. Żałowała, że w ogóle poruszyła ten temat.

– To nieważne – powiedziała cicho.

Michael oczywiście nie chciał do razu dać za wygraną. Karin nieraz przychodziło na myśl, że miał mentalność kota, który bawi się z myszą, zanim ją pożre. Mysz może uciec na kilka metrów, zanim kocia łapa ponownie przygwoździ ją do ziemi.

„Dlaczego zawsze jestem myszą?” – zastanawiała się desperacko.

– Co to ma znaczyć: nieważne? Poruszyłaś ten temat, bo *rzeczywiście* jest ważny. W innym wypadku nie zaczęłabyś tej rozmowy, prawda? Bo chyba nie chciałabyś rozmawiać podczas ostatniego spokojnego śniadania, zanim wrócę do pracy, o czymś *nieważnym*?!

– Michael...

– Sama powiedziałaś, że potrzebujesz celu. Zapytałem, co masz na myśli. A potem zaproponowałem, żebyś może spojrziała na wszystko z innej perspektywy i rozważyła różne możliwości. I nagle dochodzisz do wniosku, że cała rozmowa nie ma sensu. Czy ty naprawdę nie dostrzegasz, że ta cała rozmowa wydaje się, delikatnie mówiąc, neurotyczna?

Kot zadał cios. Karin dostała nowy epitet. Oprócz upartej i beznadziejnej teraz jest też neurotyczna.

W pierwszej chwili żałowała, że w ogóle poruszyła temat dotyczący *jej*. Przy Michaelu coś takiego po prostu się nie sprawdzało. Nie wiadomo kiedy znajdowała się w ślepym zaułku i broniła się przed jego zarzutami. Ale czy naprawdę tylko przy nim tak reagowała? Właściwie

w towarzystwie innych bardzo szybko kończyło się tym samym. Jakimś cudem właściwie wszyscy, nawet tacy, którzy poza tym byli zbyt głupi, by do trzech zliczyć, szybko odkrywali jej słabe punkty. Wyczuwali jej strach i niepewność, i na tym żerowali. Współczuli jej, litowali się nad nią, analizowali, radzili. Co bardziej agresywni zapędzali ją w kozi róg.

– Jakie masz plany na dzisiaj? – zapytała w nadziei, że uda jej się odwrócić rozmowę od siebie. – Masz dzisiaj ostatni dzień wolnego. Powinieneś..

Michael skrzywił się ironicznie.

– Aha, jasnie pani życzy sobie zmienić temat. Zdawało mi się, że mieliśmy porozmawiać o twoich planach zawodowych. A może już cię to nie interesuje?

– To bez sensu.

Westchnął po raz trzeci. Karin poczuła się jak mała kapryśna dziewczynka.

– Z takim nastawieniem to rzeczywiście bez sensu. Jeśli od początku nie wierzysz w pozytywny efekt swoich działań... Tu właśnie jest pies pogrzebany. Skoro *ty* sama w siebie nie wierzysz, nikt inny tego nie robi.

To zdanie słyszała z jego ust tak często, że czasami naprawdę zbierało jej się na mdłości. Jak to zrobić – uwierzyć w siebie? Chciała go zapytać: „Zrobiłabym to od razu, gdybym tylko wiedziała jak. Jest na to jakaś metoda? Jak stać się kimś takim jak ty?”.

Obserwowała, jak rozpierał się w fotelu i spletał ręce za głową. Zawsze uważała, że był przystojny, i teraz też to widziała, ale po raz pierwszy przemknęło jej przez myśl, że nie wygląda *sympatycznie*. Wydała się sobie wredna i jędzowata, sama się siebie przestraszyła, ale nie mogła dłużej upiększać tego, jakim go widziała, nie okłamując samej siebie: Michael nie wyglądał ani trochę sympatycznie.

W jego uśmiechu kryła się arogancja, dawniej ledwie widoczna, teraz rzucająca się w oczy. Jego swobodna postawa, pytająco uniesione brwi, odrobinę za długie włosy zaczesane do tyłu, z efektownym siwym pasmem na skroni, podkreślały, że jest człowiekiem, który doskonale wie, jak działa na innych i chętnie sięga po tę broń.

„I co właściwie widzi, kiedy na mnie patrzy?” – zastanawiała się

ponuro. Jak przez mgłę przypomiwała sobie, że kiedyś uchodziła za atrakcyjną kobietę. Podczas studiów ciągle słyszała komplementy. Mężczyźni zachwycali się jej długimi nogami, jasnymi oczami i długimi rękami. Teraz już od dawna nikt się za nią nie oglądał. Wiedziała, że z jej oczu zniknęły blask i ciepło, że za rzadko się uśmiecha, że frustracja i strach wykrzywiły jej rysy goryczą. Wyglądała tak, jak się czuła: szara, zastraszone, spięta, zahukana.

Przemknęło jej przez myśl, że to zapewne nie potrwa już długo, że już wkrótce Michael ją zdradzi – o ile oczywiście do tej pory tego nie zrobił.

– No więc – powtórzyła pytanie, które już raz zadała, ale Michael dotychczas nie raczył na nie odpowiedzieć. – Co będziesz dzisiaj robił?

Zgniół w dłoni serwetkę i wstał.

– Cóż, przeszedł mi świąteczny nastrój – oznajmił, a jego ton dawał jasno do zrozumienia, że ją o to obwinia. – Jadę do laboratorium. Dzisiaj nikogo tam nie ma i mogę w spokoju zająć się księgowością.

Pocałował ją tak przelotnie, od niechcienia, że było to aż rażące. Pachniał dobrą wodą kolońską i Karin pomyślała, że zapewne już od dawna w jego życiu jest inna kobieta. Ta myśl zabolęła, ale była zbyt zrezygnowana, by się złościć z takiego powodu.

„W styczniu na Guernsey właściwie nie ma śladu po typowym dla wyspy uroku” – stwierdził Alan. Od dwóch godzin siedział w przytulnej, porządnie ogrzewanej kafejce w St. Peter Port, zjadał ciastka z kremem, pił bawarkę i kiedy wyszedł na dwór, lodowaty wiatr uderzył go z brutalną siłą. Powietrze wibrowało od drobnitkich kropli, które natychmiast oblepiały skórę i włosy nieprzyjemnym wilgotnym całunem. Kiedy wcześniej szedł do kafejki z samochodu, pogoda nie wydawała mu się aż tak paskudna. Wiatr zdaje się zmienić kierunek na północno-wschodni. W wiadomościach zapowiadano intensywne opady na nadchodzący tydzień.

Właściwie nie wiedział, czemu już wyszedł z przytulnej kawiarenki. Lot do Londynu miał dopiero za dwie godziny, a niby dlaczego miałby siedzieć w zimnym samochodzie i czytać gazetę?

„Już ty wiesz czemu – odpowiedział cichy głos w głowie. – Gdybyś dłużej tam został, lada chwila zamówiłbyś koniaczek i nie poprzestałbyś na jednym. Bo na jednym nigdy się nie kończy, prawda? A przecież jesteś taki dumny, że to już jedenasta rano, a ty jeszcze nie wypijeś ani szklaneczki”.

Zdarzały się dni, gdy starał się sam sobie udowodnić, że panuje nad piciem. Że owszem, chętnie zagląda do kieliszka, ale tak naprawdę wcale nie potrzebuje alkoholu, żeby się lepiej poczuć. Wtedy zwlekał z pierwszą szklaneczką whisky czy kieliszkiem wina aż do wieczora – przynajmniej taki miał plan i czasami nawet udało mu się go zrealizować. Ale czasami nie, choć wtedy zawsze miał dobre wytłumaczenie: obiad z klientem, podczas którego niegrzecznie byłoby nie pić. Kiepskie samopoczucie i spadek ciśnienia, na które najbardziej pomagał kieliszek koniaku. Zawodowa niesnaska, po której musiał napić się whisky. Większość znanych mu osób piła w ciągu dnia; nie miał wrażenia, że przesadza.

„Dzisiaj niestety nie mam żadnego pretekstu – pomyślał i z drzeniem ciałniej otulił się płaszczem. – Chyba że zimno. Pyszny gorący grzaniec...”.

Ta myśl była na tyle kusząca, że szybkim krokiem oddalił się od kafejki. Może popełniał błąd, tak często i intensywnie myśląc o alkoholu, zastanowił się. I przez to ten temat staje się tak ważny.

Ale temu oczywiście była też winna Beatrice. To, jak czujnie obserwowała go podczas świąt, liczyła mu szklaneczki whisky, podejrzewała, że gdzieś ukrył tajemne zapasy. Niestety, w sylwestra o drugiej nad ranem weszła do saloniku i zastała go w fotelu ze szklaneczką whisky w dłoni, w kłębach dymu z trzech papierosów, które wypalił. Miał na sobie szlafrok, ale był boso, bez skarpet i kapci; pamiętał, że marzył od stóp, ale nie miał siły poczłapać na górę do sypialni.

– Co ty tu właściwie robisz? – zapytała Beatrice i uniosła brwi w sposób, który wydawał mu się zarazem bardzo szpanerski i karcący.

Odpowiedział agresywnie:

– A ty?

Bynajmniej niespieszona, choć przecież jego w kółko za to karciła, wyjęła szklanę z kredensu i też nalała sobie whisky, co najmniej podwójną, o ile dobrze widział.

– Obudziłam się i nie mogłam zasnąć – wyjaśniła, siadając na kanapie. –

I pomyślałam sobie, że może się uda, kiedy się czegoś napiję.

– Coś podobnego – mruknął Alan. – Zupełnie tak samo jak ja. Czyżbyśmy mieli pełnię?

– Nie. – Upiła spory łyk i od razu się skrzywiła. – Właściwie wcale nie lubię whisky.

– Więc dlaczego ją pijesz?

– Bo butelka była pod ręką. Chyba dlatego. A może dlatego, że poczułam zapach twojej szklanki albo twój, sama nie wiem. Cały pokój śmierdzi alkoholem, mimo papierosów. Ile już wypijeś?

Był wewnętrznie rozdarty – z jednej strony chciał jej szorstko przypomnieć, że ma już ponad czterdzieści lat i nie musi się przed nią tłumaczyć, z drugiej miał dziecinną ochotę zaszokować ją, wymieniając jakąś bardzo wysoką liczbę.

– Sześć albo siedem – rzucił znudzony i dołał sobie alkoholu.

– Bzdura, po takiej ilości nie mógłbyś mówić. Ale martwi mnie, że pijesz w środku nocy.

– Podobnie jak ty.

– U mnie to sytuacja wyjątkowa.

– Czyżby? Nie wiem, czy ci uwierzyć. Zresztą ja nocami najczęściej śpię.

– Alan! – odstawiła kieliszek i mierzyła go badawczym wzrokiem. – Coś jest nie tak, przecież to widzisz! Za dużo pijesz, wszyscy to wiedzą. A to nocne przesiadywanie... Nie mam pojęcia, czy w Londynie też to robisz, i zaczynam się zastanawiać, czemu właściwie nie możesz spać, przed czym uciekasz w alkohol!

– Przed chwilą ci powiedziałem, że w Londynie tego nie robię. Może to ten dom. Tu ciągle coś skrzypi i trzeszczy. Nikt normalny przy tym nie zaśnie.

– Alan...

Z brzękiem odstawił kieliszek.

– Mamo, daruj sobie to przesłuchanie. Jestem dorosły. Wiem, co robię.

– Nie jesteś szczęśliwy.

– A skąd ten wniosek?

– Widzę to, zresztą chyba każdy widzi, nawet jeśli nie zna cię tak

dobrze jak ja. Zdradza to twoja mina, widać to w twoich oczach, w twoim zachowaniu. Masz czterdzieści dwa lata, odnosisz sukcesy zawodowe, jesteś przystojny – ale też tak samotny, że to niemal namacalne. Przykro mi, gdy widzę cię w takim stanie, żałuję, że nie chcesz ze mną o tym porozmawiać, zastanowić się wspólnie, co możemy na to poradzić.

Nawet teraz, tydzień później, gdy stał niezdecydowany na zimnym wietrze w porcie, pamiętał doskonale, jak przy tych słowach zrobiło mu się niedobrze. Zawsze odbierał jako obciążenie psychiczne wszelkie próby Beatrice, by się do niego zbliżyć, gdy używała słowa „my” i sugerowała wspólne przedsięwzięcia. Czuł, jakby kładła mu na piersi ołowiany ciężar, robiło mu się gorąco, nie mógł oddychać. Nie miał pojęcia, skąd się brała ta reakcja; być może wynikała z faktu, że wiedział, jak nieprawdziwe jest to „my”. W świecie Beatrice istniało tak naprawdę tylko „ja”. Kiedy mówiła „zastanowić się wspólnie”, miała na myśli: „ja opracuję plan, a ty go zaakceptujesz”.

Nie znosił, gdy dobierała się do jego mechanizmów ochronnych. Dobra, może rzeczywiście w jego życiu nie wszystko było tak, jak powinno, ale przynajmniej nad tym panował i nawet jeśli był nieszczęśliwy, przez większość czasu udawało mu się tak to maskować, że sam prawie tego nie zauważał. Nie mógł pozwolić, by ktoś wchodził w to życie z butami, pakował całą dłoń do rany i usiłował mu wmówić, że jest nieudacznikiem. Beatrice była pod tym względem niepokonana. Obserwowała ludzi tym swoim rentgenowskim spojrzeniem, przewiercała ich wzrokiem, w ułamku sekundy wykrywała ich słabości i wbijała w nie zęby. Oczywiście pod pozorem troski i chęci pomocy.

A w rzeczywistości, był przekonany, szukała władzy. Dziwiło go, że zawsze, gdy wracał na Guernsey, zatrzymywał się w jej domu, pozwalał, by go kontrolowała, szykanowała, krytykowała. Nie tylko się zatrzymywał, także zostawał na jakiś czas.

Przyjechał dzień przed świętami Bożego Narodzenia, tymczasem mijał już pierwszy tydzień stycznia, a on nadal tkwił na wyspie. Wziął sobie wolne do dziewiątego stycznia i zastanawiał się teraz, co go podkusiło, żeby spędzić bezcenne dni urlopu na Guernsey. Równie dobrze mógł przecież polecieć na południe i wygrzewać się w słońcu.

Ale wtedy byłby sam. I w Londynie, i na południu. Nie żeby podrywanie kobiet w knajpach i hotelowych barach przychodziło mu z trudem. Kobiety zawsze mu wszystko ułatwiały, wychodziły mu naprzeciw, reagowały ochoczo na jego pierwszy uśmiech czy spojrzenie. Ale seria krótkich przelotnych romansów nauczyła go, że nawet w najbardziej intymnej sytuacji z drugim człowiekiem można się poczuć samotnie. Czasami bardziej niż siedząc samemu przed telewizorem. W pewnym momencie miał dosyć numerków na jedną noc. Nie musiał już sypiać z kolejnymi partnerkami, by się utwierdzać we własnej atrakcyjności. Aż w końcu większą przyjemność sprawiała mu rozmowa z kobietą niż zabieranie jej do łóżka.

„Pewnie się starzeję albo mama ma rację i jestem już tak samotny, że nawet seks nie sprawia mi radości”.

Ogarnęło go głębokie poczucie beznadziei i nagle wydało mu się, że wiatr wieje jeszcze mocniej, jeszcze zimniej. Pragnienie alkoholu nie dawało o sobie zapomnieć. Wiedział, że po jednym głębszym od razu poczuje się lepiej. Już niemal czuł pieczenie w gardle, ciepło w żołądku, lekki zawrót głowy. Szary styczniowy dzień nabierze barw, powietrze się ogrzeje. Wahał się przez chwilę, rozejrzał się dokoła, zobaczył ją i wiedział już, czemu w kółko wraca na Guernsey, czemu zostaje dłużej niż powinien, znowu poczuł dziecienną nadzieję, która kazała mu wciąż wracać w miejsce, którego tak naprawdę nie znosił.

Zobaczył Maję i pomyślał: „Do cholery, to się nigdy nie skończy”. Tęsknił za nią. Jak głupi, naiwny uczeń wielbił ją i wbrew rozsądkowi pielęgnował gdzieś w sercu, w umyśle, w duszy nadzieję, że wszystko – życie, codzienność, przyszłość – będą o wiele piękniejsze, gdy ona w końcu go wybierze.

– Cześć, Alan – odezwała się, gdy podszedł bliżej.

– Cześć, Maja – odparł. Na całe szczęście udało mu się nadać głosowi nonszalancki, beztroski ton. W rzeczywistości serce waliło mu jak oszalałe i jeszcze intensywniej niż przedtem myślał o szklaneczce whisky, dzięki której odzyskałby równowagę.

– Myślałam, że już wyjechałeś – zagaiła. – Co za miłe spotkanie. – Uśmiechała się miękko, czule, jak Madonna, ale kokieterijne błyski w jej

oczach zdradzały, że jest bardzo świadoma każdego gestu i spojrzenia.

Alan zastanawiał się, czy z jakiegoś powodu była odporna na zimno, czy może marzła niemiłosiernie, ale była gotowa zapłacić tę cenę za to, żeby fantastycznie wyglądać. Miała na sobie spódniczkę tak wąską i krótką, że zapewne siadała w niej z największy trudem. Sweterek kupiła co najmniej o rozmiar za mały. Czarne rajstopy podkreślały jej długie, smukłe nogi. Buty na obcasie sprawiały, że wydawała się jeszcze wyższa i szczuplejsza, chyba jeszcze szczuplejsza niż na Boże Narodzenie, gdy widział ją po raz ostatni.

Właściwie dlaczego tak bardzo poruszyła go jej chudość? Z trudem przypominał sobie, że nie było w niej nic, co mogłoby kogoś poruszyć. Maja była bystra, przebiegła i postępowała z pewną bezwzględnością. Jeśli czasami wyglądała krucho i dziewczęco, to tylko dlatego, że w tych momentach tak właśnie *chciała* wyglądać.

Przerzuciła sobie płaszcz przez ramię.

– Nie boisz się, że się przeziębisz? Chodzisz po dworze prawie goła! – zapytał trochę szorstko.

Skrzywiła się ironicznie.

– Może krążenie ci szwankuje, bo *mnie* nie jest zimno.

Jego uwadze nie uszedł siny odcień jej ust – miękkich, pełnych, ciepłych – i wiedział, że kłamie. Choć marzła, uznała, że płaszcz zakryłby za dużo ciała.

„Wybij ją sobie z głowy – powtarzał sobie gniewnie i desperacko zarazem. – Z nią nigdy nie będziesz szczęśliwy. Nikt nie będzie. Kobieta, która na takim mrozie chodzi bez płaszcza tylko po to, żeby bardziej wyeksponować piersi i nogi, *nie jest wiele warta!*”

Przeraził się tego stwierdzenia, jeszcze nigdy nie oceniał jej tak surowo i zaraz pożałował swoich myśli. Był niesprawiedliwy: jest młoda, ma apetyt na życie, popełnia błędy, tak, ale taka jest młodość, jedni szaleją bardziej, inni mniej. Maja może więcej niż inni... ale nie powinien tylko dlatego uważać, że jest nic niewarta, nie ona, kobieta, za którą tęsknił, którą tak bardzo kochał..

– Muszę być na lotnisku dopiero za dwie godziny – powiedział. – Pójdziemy na kawę?

Zamyśliła się.

– Masz tu gdzieś samochód? Możemy pojechać nad morze. Uwielbiam je w takie dni.

Wyciągnął z kieszeni kluczyki.

– Dobrze. Chodźmy.

Czasami Helene rozmyślała, czemu właściwie się uparła, żeby zostać na Guernsey. A w takie dni to pytanie powracało ze zwiększoną intensywnością. Ołowianoszare niebo przytłaczało ją, podobnie jak zawrodość wiatru i nagie konary drzew w ogrodzie, gnące się pod naporem podmuchów. Nie wiadomo dlaczego w takie dni doskwierała jej tęsknota za krajem; za krajem, w którym nie była od ponad pięćdziesięciu lat. W ciepłe, jasne dni Guernsey z powodzeniem zastępowało utracone Niemcy.

Za to w ciemne, ponure, chłodne dni miała wrażenie, że otwiera się stara, zabliźniona rana. Myślała wtedy o Berlinie, o starym domu, znajomych ulicach, zakątkach, które odwiedzała, ludziach, których znała. O przyjaciółkach ze szkolnej ławy, o mężczyznach, z którymi flirtowała, zanim w jej życiu pojawił się Erich. Niewinne miłości, kilka kradzionych pocałunków, romantyczne spacerunki w zasypanym śniegiem Grunewaldzie.

To nigdy nie było nic poważnego, dopiero z Erichem związała się naprawdę. Dzisiaj jednak, z perspektywy czasu, te dawno zapomniane randki jawiły jej się jak stracone okazje, szanse na inne życie, które przegapiła i które umknęło jej bezpowrotnie.

To oczywiście głupota dumać o tym w jej wieku, gdy właściwie na wszystko jest już za późno. Beatrice powiedziałaaby, że nie ma sensu marnować energii na rozważanie spraw, których nie może zmienić, które należą do przeszłości. Ale Beatrice była po prostu inna: rzeczowa, konkretna, niemal obsesyjnie skoncentrowana na tym, by patrzeć tylko przed siebie. Beatrice nie dopuszczała do siebie żadnych ponurych myśli. A może po prostu lepiej ukrywała swoje troski?

Helene wyszła ze swego pokoju, po którym przechadzała się nerwowo. Kręciła się, chcąc zaprowadzić jako taki porządek, ale kończyło się na

chaotycznym przestawianiu rzeczy z miejsca na miejsce, a efekt właściwie był żaden.

Zeszła na dół, nasłuchiwała, czy usłyszy jakieś dźwięki w głębi domu, które sugerowałyby obecność kogoś jeszcze. Cisza. Beatrice pewnie pojechała na zakupy, jak często o tej porze. Helene poszła do saloniku. W pokoju, ogrzewanym przez cały dzień, było przyjemnie ciepło, ale Helene zastanawiała się, czy dodatkowo nie napalić na kominku, bo widok tańczących płomieni i trzask polan w ogniu działały na nią kojąco.

Erich palił w tym kominku przy byle okazji, w mgliste zimowe dni i w chłodne letnie wieczory. Nagle przypomniała jej się pierwsza jesień na Guernsey, tamte tygodnie po jej powrocie ze szpitala. Była wtedy bardzo nieszczęśliwa, słaba i smutna, a październik i listopad nie przyniosły babiego lata, tylko nietypowy dla tych okolic chłód i niekończące się opady deszczu. Bardzo długo nie mogła dojść do siebie; z powodu złej pogody, ale też dlatego, że jej dusza nie wspierała ciała w powrocie do zdrowia. Była w depresji, tęskniła za krajem, nie dawała sobie rady sama z sobą.

Jedyną zaletą tego okresu była troska, jaką otaczał ją Erich. Co prawda miał do niej pretensje o to, co zrobiła, ale starał się nie krzyknąć na nią za bardzo i zauważyła, że tym razem naprawdę go zaszokowała. Denerwował się, jeśli nie widział jej zaraz po powrocie do domu albo gdy nie odpowiadała na jego wołanie, a ona czasami do tego stopnia pogrążała się w myślach, że go nie słyszała, i naprawdę nie spała, tylko gapiała się w okno albo usiłowała rozgrzać się przed kominkiem.

Erich wyklinał Willa na czym świat stoi, jakby to on był wszystkiemu winien, ale Helene wyjaśniła, że Will w niczym nie zawinił i że nie życzy sobie, by opuszczał ich rodzinę. Była to jedna z nielicznych chwil w jej życiu, gdy sprzeciwiała się Erichowi i mówiła głośno, czego sobie życzy, oraz jedna z równie nielicznych sytuacji, gdy Erich uszanował i spełnił jej prośbę. Przegrywał walkę z depresją, łykał coraz więcej tabletek, huśtawka jego nastrojów była coraz bardziej dotkliwa. Musiało minąć sporo czasu, zanim Helene się dowiedziała, że coraz częściej zwracał się do Beatrice, kiedy czuł się gorzej.

Do dzisiaj nie zapomniła przerażenia, które ją ogarnęło, gdy zrozumiała, że jej męża i dwunastolatkę łączyła dziwna więź. I nie chodziło

tu o fascynację seksualną, zresztą Helene wątpiła, by mogło do tego dojść; znała zasady moralne Ericha, wiedziała, że nie tknąłby Beatrice. Nie, chodziło o coś innego: chciał, żeby stała się jego powiernicą, zausznicą, współniczką, chciał zdobyć jej zrozumienie i sympatię.

Zazdrość uderzyła ją obuchem, ale myślała przy tym nie o Erichu, tylko o Beatrice. Zmienne humory i nieobliczalność Ericha męczyły ją coraz bardziej, więc nie miała nic przeciwko temu, że znajdował sobie innych, przy których się wyżywał i wyplakiwał. Ale nie Beatrice. Beatrice nie chciała mu oddać. Beatrice należała do niej i Erich powinien przestać robić na nią zakusy.

Nie zapomniała jeszcze tamtego dnia, gdy przypadkiem podsłuchiwała rozmowę tych dwojga. To był styczeń 1941 roku, dzień taki jak dzisiaj, gdy zimny wiatr gnał po niebie chmury. Helene długo spała i było już blisko południa, gdy schodziła na parter. Miała na sobie tylko szlafrok, marzyła jak co dzień od tamtego dnia we wrześniu i powoli przyzwyczajała się do myśli, że już nigdy w życiu nie będzie jej ciepło. Marzyła jej się filiżanka gorącej kawy, ale już z dłonią na klamce do jadalni zastygła w bezruchu, bo usłyszała za drzwiami głos Ericha. Zdziwiło ją to; myślała, że już dawno wyszedł.

– To przez zimno – stwierdził i jak na ironię wspomniął o czymś, co Helene naprawdę bardzo dawało się we znaki. – Mam w sobie straszny chłód. I pustkę. To się nigdy nie skończy.

– Nie wiem, co powiedzieć, sir. Już wiele razy o tym rozmawialiśmy. – Beatrice mówiła po niemiecku jeszcze z silnym akcentem, ale właściwie bezbłędnie.

„Jak szybko się uczy – pomyślała Helene z podziwem – jaka to zdolna bestyjka”.

Podziw przerodził się w ciepło, rzadkie i cudowne, ale zarazem jej żołądek ścisnął się boleśnie. *Już wiele razy o tym rozmawiali.* A więc zwierzał się jej, opowiadał o demonach, które go dręczyły, o wrogu w swojej głowie, o mrocznych myślach, które dopadały go tak często. A *ona* na to pozwalała, dawała mu czas i zrozumienie, przemawiała miękkim głosem.

– To nie tak, że nie mam w życiu celu – ciągnął. – Oczywiście, że go mam, my, Niemcy, go mamy. Walczymy o nowy świat, i ta walka to moje

zadanie, moja służba. Dzięki temu moje życie ma sens. Wielki sens, nie uważasz? Wielki, prawdziwy sens.

Beatrice nie odpowiedziała („bo niby jak mogłaby na to zareagować – pomyślała Helene – jako mieszkanka podbitego kraju”), ale zapewne bacznie przyglądała mu się tymi pięknymi oczami.

Erich dopytywał się desperacko:

– Dlaczego ja tego *nie czuję*? Wiem, o co chodzi, rozumiem to umysłem, intelektem, ale tego *nie czuję*! Czuję jedynie bezsens. To absurdalne, absurdalne i sprzeczne z wielkim zadaniem, które wypełnia mnie całego. Nie pojmuję, jak to możliwe. Może gdybym to zrozumiał, byłoby mi łatwiej.

Helene oddalała się od drzwi na miękkich nogach. Ciężko usiadła na najniższym stopniu. Niezbyt wyraźnie słyszała odpowiedź Beatrice; zapewne powiedziała coś wymijającego, bo przecież niemożliwe, żeby powiedziała to, co samo nasuwało się na myśl, ale czego chyba nie można było oczekiwać od dwunastoletniego dziecka, a mianowicie, że wielkie zadanie, na które powoływał się Erich, było na tyle wątpliwe, że doskwierało mu bardziej, niż sam chciał przed sobą przyznać, niekoniecznie z moralnego punktu widzenia, ale raczej dlatego, że jego efekt był nie do końca przewidywalny.

„On się boi – zrozumiała nagle Helene i wiedziała instynktownie, że to prawda. – On się panicznie boi końca i dlatego ucieka w depresję, żeby nie dostrzegać własnego strachu”.

Drzwi się otworzyły. Wyszedł Erich, blady, z oczami przekrwionymi ze zmęczenia. Helene wiedziała, że nocami prawie nie sypiał.

– Och, Helene – stwierdził, chyba wcale niezaskoczony jej widokiem. – Co ty tu robisz? Przeziębisz się.

– Schodziłam na śniadanie, ale zakręciło mi się w głowie i musiałam usiąść.

– Zażywasz żelazo, które przypisał ci doktor Mallory? – Pochylił się nad nią, musnął jej usta policzkiem. – Muszę lecieć, ale jest Beatrice, dotrzyma ci towarzystwa przy śniadaniu.

Szedł sztywno wyprostowany, z dumnie uniesioną głową, pokonał korytarz i wyszedł. Zapewne kosztowało go to sporo wysiłku. Helene

wiedziała doskonale, co oznaczały jego sztywne plecy; potrzebował całej siły woli, żeby przywołać w sobie oficera i nie zdradzić, jak fatalnie się czuje.

Drzwi się zatrzasnęły i jednocześnie z jadalni wyszła Beatrice. Tego ranka wyglądała bardzo ładnie. Na jej twarzy malowała się dojrzałość nieodpowiednia dla jej wieku.

– Dlaczego nie jesteś w szkole? – zapytała ostro Helene.

– Dzisiaj zaczynamy później, nie będzie lekcji niemieckiego.

Język niemiecki wprowadzono we wszystkich szkołach na wyspie jako przedmiot obowiązkowy, ale z braku nauczycieli lekcje odbywały się sporadycznie.

– Aha. A dlaczego nie będzie?

– Nauczycielka jest chora. Na grypę. I nie ma kto jej zastąpić.

Helene wstała z trudem; musiała się przytrzymać poręczy.

– A ty, zamiast chociaż raz, *jeden jedyny raz*, zajrzeć do mnie, godzinami gawędzisz sobie z Erichem?! – krzyknęła gniewnie.

Beatrice spojrzała na nią ze zdziwieniem.

– Rozmawialiśmy może kwadrans, nie więcej.

Ale ze mną dzisiaj jeszcze wcale nie rozmawiałaś. Nawet przez kwadrans.

– Przecież pani jeszcze spała.

– A kto ci to powiedział? – Helene mówiła coraz głośniejszym głosem, w jej głosie pojawiły się wysokie tony. – Kto ci powiedział, że spałam? A może tylko leżałam i czekałam, aż ktoś do mnie zajrzy!

– Przecież nie mogłam tego wiedzieć – zauważyła Beatrice grzecznie i zarazem z wyraźnym znużeniem całą sprawą. – Przykro mi.

– O nie, wcale ci nie jest przykro! – wrzasnęła Helene. – W ogóle się nie liczę w twoim życiu! Zastanawiam się tylko, dlaczego wtedy nie pozwoliłaś mi umrzeć. Tak byłoby lepiej dla nas wszystkich!

Beatrice nic nie odpowiedziała. Helene odwróciła się na pięcie i pobiegła na górę.

– Mogę to znowu zrobić! Zrobię to! – Weszła do łazienki, zamknęła za sobą drzwi, zasunęła zasuwę.

Dysząc ciężko, przysiadła na skraju wanny i starła sobie pot z czoła,

chłodną wilgoć, zimną warstwę, która przy każdym bardziej stanowczym ruchu rozlewała się po całym jej ciele.

Z satysfakcją nasłuchiwała, jak Beatrice biegnie po schodach na górę. Szarpała za klamkę zamkniętych drzwi.

– Helene, proszę otworzyć! Proszę wyjść!

Helene nie odpowiadała, słuchała, jak Beatrice błaga ją i zaklina, ale nie ruszyła się z miejsca. W końcu Beatrice odeszła i wróciła z Pierre'em, który wyważył drzwi. Kawałki drewna rozprysły się na boki, framuga zatrzeszczała niebezpiecznie. Jedna z desek uderzyła w umywalkę i zostawiła brzydki odprysk w emalii. Pierre, Beatrice i niemiecki strażnik wpadli do łazienki z przaśnięciem w oczach. Helene cały czas siedziała na skraju wanny. Spojrzała na całą trójkę.

– Wszystko w porządku, madame? – zapytał Pierre łamanym niemieckim i rozejrzał się czujnie w poszukiwaniu śladów krwi lub innych dowodów na to, że znowu próbowała popełnić samobójstwo.

– Nigdy więcej proszę tego nie robić – powiedziała Beatrice, która potrzebowała dłuższej chwili, by wziąć się w garść. – To nie w porządku. Proszę już tego nie robić.

Ale oczywiście robiła to jeszcze nieraz. W pewnym momencie te występy stały się rutyną, a im bardziej traciły swoją moc – w pewnym momencie Pierre nie wyważał już drzwi, a Beatrice nie była trupio blada – tym bardziej nieznośna stawała się Helene. Widząc, że jej strategia nie działa, wymyślała coś nowego. Wynajdowała sobie coraz to nowe choroby, napady gorączki, migreny. Kiedyś tak schudła, że wszyscy się obawiali, że trzeba ją będzie zawieźć do szpitala.

„I przez to wszystko straciłam miłość Beatrice – myślała teraz. – Jeśli w ogóle kiedykolwiek mnie kochała. Zawsze byłam jej tylko ciężarem, do dzisiaj”.

Podeszła do okna, wyjrzała na dwór. Wiatr się wzmaczał, wieczorem rozpuła się sztorm. Gdzieś w domu trzasnęły drzwi. Helene odwróciła się z nadzieją w oczach.

– Kto tam? – zawołała.

Nikt nie odpowiadał.

Zaparkowali w zatoce Petit Bôt, tuż przy starym kamiennym młynie, w którym w lecie działało małe bistro. W ogrodzie stały zapomniane drewniane stoły i ławy, ale po kamienistej plaży przechadzały się tylko nieliczne mewy szukające czegoś wśród żwiru. Dalej rozciągało się już tylko morze – szare, ciemne, wściekle atakowało wybrzeże. Kamienne schodki prowadzące z klifu nad wodę lśniły od wilgoci przesycającej powietrze. Nagie gałęzie drzew pochylały się niebezpiecznie, bezradne pod naporem wiatru. Mewy krzyczały głośno, pozwalały, by sztorm unosił je szybko, wysoko jak diabelski młyn.

„Lot do Londynu nie będzie łatwy” – pomyślał Alan.

Chciał otworzyć drzwiczki samochodu, ale wiatr był tak silny, że właściwie mu to uniemożliwiało.

– Chyba jednak damy sobie spokój ze spacerem – stwierdził niespokojnie.

Maja się roześmiała.

– Od krawędzi klifu zaraz odepchnie nas wicher. Zostańmy lepiej w ciepłym samochodzie i zapalmy papieroska.

Wyciągnęła z torebki paczkę papierosów i podała mu, ale podziękował. Wyjął jej z ręki tandetną zapalniczkę z napisem „Rainbow Colours”, podał jej ogień i wtedy przypomniał sobie, że przecież Rainbow Colours to nazwa dyskoteki na obrzeżach St. Peter Port, która cieszyła się złą sławą ze względu na odbywające się tam podejrzane interesy. „Kiedy była tam po raz ostatni? – zastanawiał się. – W zeszłym tygodniu? Wczoraj? Przedwczoraj?”

Pamiętał, że kiedy tańczyła, wyglądała oszalamiająco. Jej ciało poruszało się zmysłowo, miękko, jak ciało akrobatki. Miała niewiarygodne wycucie rytmu i ruchu oraz zmysłowość, która zwałała mężczyzn z nóg. Wzbudzała sensację nawet w supermarkecie; w dyskotece wszystkie inne kobiety bladły przy niej kompletnie. Z iloma mężczyznami ostatnio tańczyła? Z iloma poszła później do łóżka?

Żeby takie myśli nadal tak bardzo bolały! Był zażenowany intensywnością swoich odczuć, tą nastoletnią beznadziejną miłością, nad którą nie mógł zapanować siłą umysłu. Bawiła się nim, wodziła go za nos. Nie miał pojęcia, jaki cel, jeśli w ogóle jakiś, jej przy tym przyświecał.

Wiatr kołysał samochodem. Maja się roześmiała.

– Auto podskakuje, jakbyśmy się tu kochali – stwierdziła rozbawiona. – Z daleka każdy by tak pomyślał.

Alan na nią nie patrzył.

– Chciałabyś się teraz kochać?

Głęboko zaciągnęła się papierosem.

– A ty?

– To ja zapytałem.

– Z tobą zawsze było mi dobrze. – Brzmiało to szczerze, ale wiedział, że jej nigdy nie można ufać. – W końcu to ty nie chciałeś więcej!

– To nie tak – zauważył. – Po prostu nie chciałem dalej w taki sposób.

– Ach, no tak, czyli miałam się wyrzec całej radości życia i zostać starą nudziarą, wyrzec się wszystkich przyjemności i tak dalej!

– Chciałem, żebyśmy się pobrali.

– To to samo.

– Słuchaj, naprawdę nie sądzę, żeby małżeństwo oznaczało koniec beztróskiego życia, oczywiście zakładając, że przez beztróskie życie nie rozumie się jedynie liczby partnerów do łóżka, z którymi spędza się upojne noce. Z tego rzeczywiście trzeba po ślubie zrezygnować.

Prowokacyjnie dmuchnęła mu dymem w twarz.

– Mój Boże, słyszysz, że znowu gadasz jak nudny belfer?

Opuścił okno i demonstracyjnie machał ręką, żeby pozbyć się dymu z samochodu. W tej chwili do wnętrza wtargnął lodowaty powiew wiatru.

– Na dłuższą metę nie możesz traktować każdego, kto usiłuje ci delikatnie pokazać, że w twoim życiu nie wszystko jest tak jak powinno, jak upierdliwego nauczyciela. Abstrahując już od twojego życia erotycznego, nie przyszło ci nigdy do głowy, że powinnaś w końcu pomyśleć o przyszłości zawodowej? Nie możesz przecież do końca życia włączyć się po barach i pozwalać, żeby babka cię utrzymywała, nie możesz żyć z dnia na dzień. W pewnym momencie musisz w końcu zacząć coś robić!

Ponownie dmuchnęła mu dymem w twarz.

– Co ty powiesz? Czyżbyś miał dzisiaj kiepski dzień? Ciągłe tylko nudzisz i nudzisz bez końca, aż mi nogi zdrętwiały. Nie będziemy się

pieprzyć?

„Nie byłaby taka, gdyby w ogóle nic do mnie nie czuła” – wmawiał sobie, sam przed sobą tłumacząc jej zachowanie. Przecież nie bawisz się kimś, na kim ci nie *zależy*.

– Chciałbym z tobą porozmawiać. Chodzi o coś więcej niż szybki numer w samochodzie, w każdym razie według mnie.

Zniecierpliwiona, założyła nogę na nogę.

– Przecież ci mówiłam, że mogę jechać z tobą do Londynu. I to natychmiast. Musisz tylko...

– Muszę tylko opłacić ci mieszkanie i samochód, utrzymywać cię, obsypywać drogimi prezentami. To mnie nie interesuje.

„Muszę zachować chociaż resztki godności – pomyślał. – Chociaż odrobinę poczucia własnej wartości”.

– Masz przecież dość pieniędzy, a gdyby naprawdę ci na mnie zależało...

– Zależy mi na tobie na tyle, że byłbym gotów się z tobą ożenić. Co powinno być wystarczającym dowodem moich uczuć.

Kolejny raz dmuchnęła mu dymem w twarz.

– Przestań! – rzucił ostrzegawczo.

– Co mam przestać?

– Przestań mnie prowokować. Przestań zachowywać się jak głupia gąska. Dorośnij wreszcie!

– Wiesz chyba, że zawsze robię to, co chcę – odparła znudzona. – A ty? Co chcesz robić?

– Może chciałbym raz na zawsze zniknąć z twojego życia – rzucił gniewnie i jednocześnie poczuł, że zachowuje się jak mały chłopiec, który tupie nogą i rzuca puste groźby.

Roześmiała się głośno, perliście, cisnęła niedopałek na podłogę samochodu, zdusiła butem. Wszystko, co robiła, było nacechowane beztrąską.

– Boże, Alan, naprawdę, jesteś taki kochany! Chcesz zniknąć z mojego życia? Naprawdę? Przecież to ci się nigdy nie uda!

Miała rację, a on był na siebie wściekły za słabość. Nie da rady, po prostu. Choćby traktowała go nie wiadomo jak źle, pogardliwie

i lekceważąco, choćby wabiła go bezwzględnie i potem brutalnie odpychała, choćby stawiała idiotyczne żądania i chociaż żyła w przekonaniu, że w pewnym momencie Alan się złamie i do niej wróci. Wiedział, że za wszelką cenę chciała wyjechać do Londynu i że znajdzie sposób, by to zrobić. Koniecznie chciała znaleźć bogatego głupka, który będzie ją utrzymywał i pogodzi się z jej szalonymi eskapadami. Była piękna, nieustraszona, pełna fascynującej żądzy życia. „Kocham ją – pomyślał zrezygnowany – i zawsze będę ją kochał”.

– Muszę jechać na lotnisko – mruknął. – Podrzucę cię do St. Peter Port.

– Dobrze – odparła obojętnie, a jej oczy nagle zasnuła senność. – Pójdę do domu, prześpię się. Dzisiaj jest taki dzień, że chce się go przespać.

– Inni ludzie pracują – zauważył, choć wiedział, że znowu nazwie go nudnym belfrem i że nie lubiła, gdy ją pouczał.

– Inni ludzie śpią w nocy – odparła.

– Aha. A ty poprzedniej nocy *nie* spałaś?

Jej oczy stały się jeszcze bardziej nieprzeniknione, na ustach pojawił się znaczący uśmiezek.

– Nie, spać nie spałam.

Jej spojrzenie zdradzało wszystko. Alan silił się na beztroski ton głosu, choć zazdrość chwytła go za gardło, zatruwała ciało i duszę.

– Czyli miałaś towarzystwo.

Uśmiechnęła się szerzej. Przeciągnęła się jak kotka, która wygrzewa się na słońcu.

– Owszem. No wiesz, życie... – Przechyliła głowę na bok, na moment zamknęła oczy i dokończyła: – Życie jest nieziemsko piękne i nieprzewidywalne.

Szybkim, zdecydowanym ruchem przekręcił kluczyk w stacyjce i odpalił silnik.

– Dobrze, że tak do tego podchodzisz. Cieszę się ze względu na ciebie.

Roześmiała się, a potem nagle pochyliła się do przodu i przysunęła twarz do przedniej szyby.

– Czy to nie Kevin? – zapytała zdziwiona.

I rzeczywiście, szedł między wysokimi murami oddzielającymi plażę od reszty lądu. Wydawało się, że porwie go pierwszy lepszy silniejszy

powiew wiatru, zdążył też już przemoknąć do suchej nitki. Był to widok o tyle zaskakujący, że Kevin, jakiego znali, za żadne skarby świat nie wychyliłby nosa z domu w taką pogodę. Nienawidził moknąć, nie znosił źle wyglądać.

– Dziwne – mruknęła Maja. – Co on tu robi? Nie uwierzę, że akurat dzisiaj wybrał się tutaj na spacer.

– To co robi, nie jest całkiem bezpieczne – zauważył Alan. – W zatoce fale są dość wysokie.

– Może spotkał się tu z kochankiem i kochali się gdzieś w jaskini? – domyśliła się Maja. Otworzyła drzwi od swojej strony, wysiadła, kuląc się pod naporem wiatru, i zawołała:

– Kevin! Hej, Kevin, co ty tu robisz?

Wiatr porywał jej słowa, rozrywał je na niezrozumiałe strzępy. Kevin, który akurat doszedł do młyna, podniósł głowę i zobaczył samochód. Skuliwszy się, patrzył na wóz z takim przerażeniem, jakby zobaczył ducha. A potem ostrożnie podszedł bliżej.

Maja energicznie machała rękami.

– Kevin!

Doszedł do samochodu i zobaczył, kto w nim siedzi. Z jego twarzy zniknął wyraz przerażenia.

– Maja! Alan! – Na wietrze prawie nie było go słychać. – Co wy tu robicie?

– Wsiadaj! – krzyknęła Maja. – Bo się nabawisz zapalenia płuc!

Otworzył tylne drzwiczki i opadł na siedzenie. Oddychał ciężko, głośno.

– Jezu, co za pogoda – wykrztusił.

– Coś ty robił na plaży? – zapytał Alan, jadąc powoli wąską, krętą drogą pod górę.

Kevin odgarnął mokre włosy z czoła.

– Musiałem się przejść. Wszystko wali mi się na głowę i pomyślałem, że pospaceruję brzegiem morza.

– Słuchaj, Kevin, albo jesteś chory, albo coś jest z tobą nie tak – stwierdziła Maja. – Według ciebie niebo musiałyby być chyba całkowicie bezchmurne, żebyś się odważył wychylić nos z domu.

– A jednak, droga Maju, mylisz się co do mnie – odciął się z nietypową złośliwością. – Nie jestem miękka ciotką, za jaką mnie uważasz.

„O rany – pomyślał Alan – a tego co znowu ugryzło!”

Przyglądał się Kevinowi w lusterku. Wydawał się blady, zmęczony i spięty. Po typowym dla niego pogodnym uroku nie było śladu. Zaciskał usta w wąską kreskę.

– Chyba wstałeś lewą nogą – stwierdziła Maja i roześmiała się. – Jak się tu właściwie dostałeś? Gdzie twój samochód?

– Przyjechałem autobusem.

– Autobusem? Ale dlaczego...?

– Może przestaniesz mnie w końcu wypytywać? Co ci jeszcze mam powiedzieć, czy rano byłem w toalecie i dlaczego tak, ewentualnie: dlaczego nie?

– Dobrze, już dobrze – zachnęła się. – Już się zamykam. Nie wiem, co cię ugryzło, Kevin!

– Chętnie odwiózłbym cię do domu – włączył się Alan – ale najpierw muszę odwieźć Maję do St. Peter Port i nie zdążę obrócić jeszcze do Torteval, bo samolot wystartuje beze mnie.

– Nie ma sprawy, i tak mam coś do załatwienia w St. Peter Port. Wsiądę razem z Mają.

W milczeniu zawrócili do miasta i zatrzymali się przed trzypiętrową kamienicą na Hauteville Road, w której mieszkała Maja. Kevin wysiadł natychmiast, burknął coś pod nosem na pożegnanie.

Maja spojrzała za nim i pokręciła głową.

– Ależ to dziwne. Widziałeś kiedyś Kevina w takim humorze?

– Nie, ale szczerze mówiąc, Kevin jest mi obojętny. – Spojrzał na nią. – Czas już na mnie. Wszystkiego najlepszego.

– Kiedy pokażesz się znowu na Guernsey?

– Nie wiem jeszcze. – Nerwowo bębnił palcami o kierownicę. – Chyba zostanę nieco dłużej w Londynie.

Maja pochyliła się nad nim, cmoknęła go lekko w policzek.

– Zadzwoń. Mogłabym cię przecież kiedyś odwiedzić w Londynie, prawda?

– Zobaczymy – odparł wymijająco, ale wyczuł, że nie dała się nabrać.

Ze śmiechem wysiadła zwinnie z samochodu; ten śmiech brzmiał mu w uszach jeszcze wtedy, gdy przez coraz gęstsza mgłę jechał na lotnisko; ba, słyszał go jeszcze, gdy siedział w samolocie i wyspa stawała się już tylko plamką na morzu, tak nieważną, a zarazem tak istotną.

Wieczorem Karin zapytała Michaela, czy miał romans, co od razu potwierdził. Jego szczerość poruszyła ją chyba tak samo jak fakt, że jej podejrzenia okazały się słuszne.

– Jak to: tak!? – krzyknęła poruszona do głębi jego krótką, szybką reakcją.

– Tak znaczy tak – burknął zniecierpliwiony i kierowany nie tyle wyrzutami sumienia, co ciekawością, dodał: – Jak się dowiedziałas?

– Nie dowiedziałam się, podejrzewałam.

– Aha! Czyli strzał w ciemno, który okazał się strzałem w dziesiątkę. – Irytowało go chyba, że z własnej woli się podłożył. – Bardzo sprytnie, muszę przyznać.

Karin odczekała parę chwil, miała nadzieję, że Michael powie coś na swoje usprawiedliwienie, on jednak w milczeniu siedział naprzeciwko niej przy stole, bawił się kieliszkiem czerwonego wina i mierzył ją chłodnym, zdystansowanym wzrokiem.

– Kim ona jest? – zapytała w końcu odruchowo, mechanicznie.

– Nie znasz jej.

– Ale chyba się jakoś nazywa. Ma jakiś zawód. Ileś lat. Jakieś życie.

– A co to ma za znaczenie? – Dolał sobie wina. Błysnął drogi zegarek na jego przegubie. Miał piękne dłonie, silne i zarazem szczupłe. – *Dla ciebie?*

– Chciałabym po prostu wiedzieć, kim jest kobieta, która odebrała mi męża.

– Która odebrała ci męża! I znowu ten teatralny dramat! Skąd w ogóle pomyśł, że mnie tobie odebrała?

– Sam mi to powiedziałeś.

– Bzdura. Do tego wcale jeszcze nie doszło.

– Ach, więc to tylko romans?

– Sam nie wiem, przekonamy się. Czy muszę ci to teraz tłumaczyć ze szczegółami?

Odpowiedziała błyskawicznie:

– A co, mam czekać, aż będziesz umiał to nazwać?

– Co chcesz wiedzieć?

– Od dawna to trwa?

– Prawie rok.

– Gdzie ją poznałeś?

– W barze. Zrobiło się późno, byłem w laboratorium, chciałem jeszcze gdzieś wstąpić na drinka, no i... no i ona tam była!

– Jest ode mnie młodsza?

„Szaleństwo – pomyślała – pytać o coś takiego, mając trzydzieści cztery lata! Zazwyczaj kobiety dopiero koło pięćdziesiątki zaczynają się obawiać młodszych rywalek. Ale najwyraźniej nie ma tu żadnych reguł. Nigdy nie jest za wcześnie na zdradę, a ta druga zawsze może być młodsza. Albo starsza. W gruncie rzeczy to żadna różnica”.

– Jest od ciebie trochę młodsza – odparł Michael. – Ale niewiele. Chyba półtora roku.

Skoro to nie dwudziestolatka, co takiego w niej było? Dlaczego Michael uznał ją za atrakcyjną?

I choć domyślała się, jak brzmią odpowiedzi na te pytania, zadała je i usłyszała to, czego się spodziewała.

– Na miłość boską, pod każdym względem jest twoim przeciwieństwem, dobrze? Jest bardzo pewna siebie, bardzo silna, bardzo odważna. Jest pełna radości życia i emanuje optymizmem. Bycie z nią to jedna wielka przygoda, jest pełna niespodzianek i spontaniczności.

Wyrzucał to wszystko z siebie, a każde słowo było jak policzek. Najgorsze było nie to, że wysławiał tamtą pod niebiosa, ale że rozrywał w strzępy ją, Karin. Zmieniał ją w kobietę bez charakteru, bez osobowości, bez czegokolwiek, co mogłoby zainteresować mężczyznę. W jego oczach była żalonym zerem, i nagle było jak zawsze: w ułamku sekundy narzucił jej swoje zdanie, a ona nawet nie protestowała.

W jego oczach była zerem i sama też tak się postrzegała. Z trudem przełknęła ślinę i pomyślała po raz kolejny: „To już dno dna. Najgorsza chwila. Gorzej być nie może. Ale lepiej też nie”.

Wyczytała pogardę w jego oczach. Instynktownie wiedziała, że

pogardzał jej nieumiejętnością bronienia się. Musiałaby chyba chlusnąć mu w twarz czerwonym winem, cisnąć w niego popielniczką albo zagrozić, że puści go z torbami. Nie powinna się kulić i zapadać w sobie, zmieniać się w kupkę nieszczęścia. Michael nienawidził słabości, a w jego oczach ona była właśnie uosobieniem słabości.

Wstała, bo nie mogła już dłużej siedzieć. Podeszła do okna, za którym kruczoczarna noc pochłaniała wszystko, co zazwyczaj się za nim znajdowało.

– I co dalej? – zapytała w końcu.

Michael najwyraźniej wcale się nad tym nie zastanawiał.

– Jak to: co dalej? Jak zawsze. Na miłość boską, Karin, od lat żyjemy obok siebie. Wszystko się przecież jakoś układa, prawda? Nie musimy niczego zmieniać.

– Nie, poza tym, że teraz już nie będziesz musiał mi wmawiać, że wieczorem wrócisz później, bo masz dużo pracy. W przyszłości będziesz mi po prostu mówił, że idziesz do niej, tak?

– Cóż, jeśli uważasz, że to gustowne...

Odwróciła się do niego. Oburzenie wzbierało w niej falą, zaciskało się jak pięść. Odcięła się z ostrością, której od dawna nie słyszała w swoim głosie:

– Ale oczywiście gustowne jest to, co ty robisz, prawda?

Odrobinę skulił się w sobie, najwyraźniej ton jej głosu zaskoczył także jego.

– Może to nie jest eleganckie – odparł po chwili – ale mam tylko jedno życie.

– A ograniczenie się do mnie byłoby marnowaniem tego życia, tak?

Teraz i on wstał; widziała po nim, że ta rozmowa działa mu na nerwy, ale że doprowadzi ją do końca, by w końcu mieć ją z głowy.

– Skoro sama to nazywasz marnowaniem... Jezu, Karin, popatrz na siebie! Jesteś kłębkim kompleksów, zwątpienia, niepewności i lęku, nie daj Boże, żebyś odważyła się zrobić choćby krok do przodu! Bez końca łykasz tabletki uspokajające, a mimo to zamiast coraz lepiej jest coraz gorzej. Nie mogę z tobą niczego zaplanować, ani urlopu, ani nawet wyjścia do restauracji. Nie mogę zapraszać do domu współników w interesach, bo

wpadasz w panikę, ilekroć zjawia się tu więcej niż jedna osoba. Nie mogę cię nigdzie z sobą zabrać, bo na siedem dni w tygodniu przez sześć twierdzisz, że nie jesteś w stanie wyjść z domu. Naprawdę uważasz, że tak sobie wyobrażałem moje życie?

Karin czuła łaskotanie w dłoniach. W całym jej ciele panika szykowała się do ataku. Co robić? Przecież Michael miał rację.

– Przepraszam – szepnęła i równocześnie pomyślała, że jest chyba jedyną żoną na świecie, która przeprosza za to, że jej mąż ma romans. – Ja... zdaję sobie sprawę, że bardzo cię zawiodłam.

Patrzył na nią, a w jego oczach nie było pogardy, tylko współczucie – i to było chyba jeszcze gorsze.

– Kiedyś byłaś inna – zauważył. – Naprawdę cię kochałem. Za wszelką cenę chciałem cię zdobyć. Myślałem, że to najważniejsze na świecie, że od tego wszystko zależy.

– Jak to: wszystko? – zdziwiła się.

Machnął ręką.

– Wszystko. Szczęście, spełnienie, sam nie wiem!

– Może kiedyś mieliśmy szansę – szepnęła.

– Pewnie tak – mruknął obojętnie.

I wtedy zrozumiała. Tak bardzo się od niej oddalił, że nawet nie żałował tamtej straconej szansy.

CZEŚĆ II

1

– Posłuchaj, Helene, nie zwracałbym się do ciebie, gdyby to nie była naprawdę ważna sprawa – zaczął Kevin.

Wydawał się bardzo spięty, blady i niewyspany. Był zdecydowanie za ciepło ubrany jak na wyjątkowo ciepły kwietniowy dzień – miał na sobie sztruksy i niebieski wełniany sweterek. Mocno się pocił, twarz mu błyszczała, kosmyki ciemnych włosów przywarły do czoła.

– Dlaczego tak ciepło się ubierasz? – zdziwiła się Helene. – Przecież na dworze już prawie lato!

– Ale wcześniej było mi bardzo zimno, teraz rzeczywiście jest gorąco. Sam już nie wiem. – Zmęczonym gestem starł pot z czoła. – Może bierze mnie grypa.

– Rzeczywiście nie najlepiej wyglądasz – stwierdziła zatroskana. Dolała mu herbaty. – Proszę, napij się. A może wolałbyś coś zimnego?

– Nie, nie, herbata wystarczy. – Wydawało się, że prawie nie zauważa, co pije. Ręce drżały mu lekko. – Posłuchaj, naprawdę nie zwracałbym się

z tym znowu do ciebie, Helene, gdyby sprawa nie była taka pilna – powtórzył niespokojnie. – Pewnie uważasz, że nigdy nie oddam ci tych wszystkich pieniędzy, które już od ciebie pożyczyłem, ale daję ci słowo honoru, że...

– Przecież wcale nie o to chodzi – nie dała mu dokończyć Helene. – Jestem święcie przekonana, że pewnego dnia wszystko mi zwrócisz.

– I to z odsetkami i odsetkami od odsetek!

– Nie ma mowy, od przyjaciół nie chcę żadnych odsetek. Nie, Kevin, chodzi po prostu o to, że się o ciebie martwię. Ciągłe potrzebujesz pieniędzy... chyba bardzo się zadłużyłeś.

– Szklarnie w zatoce Perelle kosztowały majątek. Musiałem wziąć w banku większy kredyt, niż początkowo zakładałem. A teraz jeszcze wzrosły stopy procentowe.

– A jak właściwie idą interesy? – zapytała Helene ostrożnie.

Kevin wzruszył ramionami.

– Jakoś idą, choć bywało lepiej. Ogólna sytuacja w gospodarce... sama wiesz.

Helene westchnęła. No tak, czasy były ciężkie. Już właściwie nie było mowy o takim boomie, jak w cudownych latach osiemdziesiątych. Ale mimo to nie do końca pojmowała, jakim cudem...

– Ile właściwie ci potrzeba? – zapytała.

Siedzieli w saloniku, w ponurym świetle zmierzchu, który kończył ten piękny wiosenny dzień. Wiśnia pod oknem dawała chłodny, zielony cień. Helene i Beatrice zasadziły ją kilka dni po zakończeniu wojny, chciały za wszelką cenę przyczynić się do czegoś żywego, rosnącego, pięknego. Wtedy drzewko było marną, kruchą sadzonką.

– Za życie – powiedziała Helene, odłożyła łopatę i odgarnęła z czoła niesforne włosy. Zaraz znowu zakreśliło jej się w głowie i musiała usiąść. Głód bardzo dawał się we znaki. I tak była słaba, a miesiące niedożywienia znacznie pogorszyły jej stan. Mdląła co chwila, a panujący wówczas upał bardzo dawał się jej we znaki.

Drzewko bardzo długo nie chciało się przyjąć, choć podlewały je gorliwie, i przez dłuższy czas myślały, że uschnie. Aż nagle, gdy już w ogóle przestały się nim przejmować, na suchym badyłu pojawił się

najpierw jeden listek, potem drugi, ba, wypatrzyły nawet kilka białych kwiatków.

„A teraz jest taka wielka, taka silna” – myślała Helene.

Kevin prosił, żeby zostali w domu, i wtedy wiedziała już, że znowu chodzi o pieniądze.

– Potrzebny mi mniej więcej tysiąc funtów – oznajmił.

Helene wstrzymała oddech.

– To bardzo dużo pieniędzy!

– Właściwie nawet tysiąc dwieście, wtedy na jakiś czas miałbym spokój.

– Nie zastanawiałeś się, czy nie dałoby się tych szklarni kupić taniej?

– Jeżeli już coś się robi, trzeba to robić porządnie. – Kevin bezradnie rozłożył ręce. – Zdaję sobie sprawę, że jestem okropny. Pewnie wydaje ci się, że cię wykorzystuję, ale ja naprawdę nie mam nikogo, do kogo jeszcze mógłbym się zwrócić. Znowu zostałam mi tylko ty.

Helene jak zwykle czuła się mile polectana taktyką Kevina – którą zresztą przejrzała na wylot – że traktował ją jak ostatnią deskę ratunku. Świadomość, że jest potrzebna, dobrze jej robiła, zwłaszcza teraz, gdy była stara i czuła się zapomniana, niepotrzebna. Kevin oczywiście zdawał sobie z tego sprawę i wykorzystywał to dla swoich celów, ale Helene była przekonana, że mimo to darzył ją szczerą sympatią. Zastępowała mu matkę, babkę, starszą siostrę. Nie miał już żadnych krewnych. Często powtarzał, że gdyby nie Helene, czułby się jeszcze bardziej samotny.

– Pójdę po czek – powiedziała, wstając lekko, i zobaczyła, jak jego rysy łagodnieją. Obawiał się, że tym razem mu odmówi. Idąc na górę, zastanawiała się, ile właściwie już mu pożyczyła. Chyba coś około dziesięciu tysięcy funtów.

Kiedy wróciła na dół, zobaczyła Beatrice wracającą z ogrodu. Miała na rękach rękawice robocze i włosy przewiązane jedwabną chustką. Helene poznała ten szal – kupiła go w Paryżu i podarowała Beatrice. Był bardzo drogi, a Beatrice wiąże nim włosy do pracy!

„Na każdym kroku – pomyślała Helene. – Na każdym kroku musi mi udowodniać, co o mnie sądzi”.

– Widziałam Kevina w jadalni – zagaiła Beatrice. – Przyszedł do ciebie czy do mnie?

– Do mnie – odparła Helene. Starala się schować trzymany w dłoni czek, ale Beatrice już go zobaczyła.

– Znowu dajesz mi pieniądze. Przecież był tu zaledwie trzy tygodnie temu! I cztery! I na początku lutego! I...

– Nic nie szkodzi. Mam dość pieniędzy.

– Nigdy nie zrozumieć, jak ty to robisz – mruknęła Beatrice. – Skąd masz takie sumy? Twoja renta jest naprawdę skromna. Musiałaś bardzo oszczędzać i teraz chcesz to wszystko przepuścić na Kevina?

– Nie przepuszczam. Niby co taka stara kobieta jak ja ma zrobić z takimi pieniędzmi? To chyba rozsądne, że pragnę pomóc młodemu człowiekowi, który chce dojść do czegoś własnymi rękami.

– Kevin już dawno do czegoś doszedł, a fakt, że ciągle potrzebuje pieniędzy, świadczy wyłącznie o tym, że uparcie żyje ponad stan.

– Przecież kupił te szklarnie nad zatoką Perelle.

– Owszem, w zeszłym roku. Zresztą chciałabym kiedyś zobaczyć te słynne szklarnie. Biorąc pod uwagę, ile już z ciebie wycisnął na ten cel, muszą być naprawdę supernowoczesne.

– Wydawało mi się, że go lubisz.

– Oczywiście, że go lubię. Ale uważam, że nie potrafi się obchodzić z pieniędzmi. Bez względu na to, czy chodzi o szklarnie, czy coś innego, wiecznie popełnia błędy. Jest jak studnia bez dna.

– *Z moimi* pieniędzmi mogę robić, co chcę – stwierdziła Helene po chwili milczenia.

Beatrice pojednawczo uniosła rękę.

– Ależ oczywiście, przecież nikt tego nie kwestionuje. Ale bądź ostrożna, dobrze?

Rozdzwonił się telefon i wybawił Helene od odpowiedzi. Beatrice pobiegła do aparatu, a Helene poszła do jadalni, gdzie już niespokojnie kręcił się Kevin. Chwycił czek tak, jak tonący chwyciłby brzytwę.

– Dziękuję, Helene. Naprawdę nie wiem, co bym bez ciebie zrobił. – Starannie schował czek do kieszeni. – Czas już na mnie. Może wpadniesz w sobotę? Ugotuję ci coś pysznego.

– Wpadnę – zapewniła. Jego uśmiech, jego przyjaźń były jak powiew ciepłego wiatru, jak zapach kwiatów. Kevin potrafił cudownie głaskać

ludzką duszę. Helene zapłaciłaby za to o wiele więcej.

Odprowadziła go do drzwi, patrzyła, jak wsiadał do samochodu. Zeszłej jesieni przez pewien czas musiał sobie radzić bez auta – ktoś skasował mu tył podczas parkowania i długo trwało, zanim mógł odebrać swój wóz z warsztatu. Helene zapłaciła za naprawę, bo sprawcy nie udało się odnaleźć. „To jest ten pech, który prześladowa Kevina” – stwierdziła Beatrice.

Pomachał jej, zanim odjechał. Odprowadzała go wzrokiem, póki nie zniknął za zakrętem. Dopiero wtedy zamknęła drzwi.

Beatrice wyszła jej naprzeciw.

– Dzwoniła Karin – powiedziała. – No wiesz, ta młoda kobieta, którą Alan przywiózł we wrześniu. Jutro będzie na Guernsey. Pytała, czy mogłaby się tu zatrzymać, i przepraszała, że dzwoni tak w ostatniej chwili.

– Rzeczywiście w ostatniej chwili – mruknęła Helene. – Pewnie nagle podjęła decyzję.

– Miała dziwny głos – przyznała Beatrice z namysłem. – Była pobudzona, zdenerwowana. Zapytałam, na ile przyjeżdża, na co odparła, że nie wie. I dodała jeszcze: „Może już nigdy nie wrócę”. Potem się rozłączyła.

Najpierw wrzucała do walizki wszystko jak leci. Nie była w stanie się skoncentrować. Zajrzała do szafy, wyjmowała wszystko, co wpadło jej w ręce, i w końcu zorientowała się, że tym sposobem wybiera rzeczy całkowicie przypadkowe. Wyrzuciła więc zawartość walizki i próbowała się skupić. Kwiecień, a zatem dość ciepło. Potrzebne jej będą lekkie rzeczy. Koszulki, szorty, jedna, dwie sukienki. Ale na chłodne wieczory przydadzą się dzinsy, sweter, kurtka przeciwdeszczowa. Skoro jedzie samochodem, może zabrać tyle bagażu, ile tylko chce. Czy jej się uda? Bardzo dokładnie przestudiowała trasę na mapie.

Musiła pojechać do Saarbrücken i tam przekroczyć granicę francuską, a potem dalej, w stronę Paryża, stamtąd na północ, do Bretanii, Saint-Malo, gdzie wsiądzie na prom na Guern sey...

Zamknęła walizkę, spakowała bieliznę i rajstopy do przygotowanej

torby podręcznej. Przez telefon Beatrice wydawała się nieco zaskoczona, ale też zadowolona.

– Ależ oczywiście, Karin, proszę przyjechać! Na wiosnę nie mam jeszcze żadnych rezerwacji. Pokój będzie na panią czekał.

Serdeczność Beatrice dobrze jej zrobiła. Miała szczęście, bo mogło się przecież okazać, że starsza pani nie będzie miała dla niej miejsca, a Karin nie była pewna, czy starczyłoby jej odwagi i siły, by szukać noclegu gdzie indziej. Może wtedy dałaby sobie spokój z całym tym planem.

Chociaż właściwie nie miała innego wyjścia.

Spowolniła nerwowe ruchy, którymi pakowała swoje rzeczy. Położyła walizkę i torbę na łóżku – na łóżku, w którym przez prawie dwanaście lat spała z Michaeliem. Minionej nocy także. I może naprawdę to była ostatnia noc.

Znowu wrócił późno. Jeszcze rano, zaraz po śniadaniu, zadzwonił, że praca się przeciągnie. Od jakiegoś czasu już się nawet nie silił na te kłamstewka. Przychodził i wychodził, jak mu pasowało. Zachowywał się tak, jakby Karin już tam właściwie nie było.

Oglądała do późna telewizję, wypijała przy okazji całe morze czerwonego wina, chcąc odpędzić od siebie przykre myśli, że tak naprawdę marnuje swoje życie, tu, w tym domu, z butelką wina, przed telewizorem. Miała trzydzieści cztery lata. Wszyscy twierdzili, że czas między trzydziestym a czterdziestym piątym rokiem życia to fantastyczny okres w życiu kobiety, ale dla Karin był to istny koszmar.

O wpół do dwunastej poszła spać oszołomiona winem, oprzytomniała jednak, ledwie zgasiła światło. Wierciła się niespokojnie, nasłuchiwała odgłosów domu, w końcu znowu zapaliła światło, sięgnęła po książkę, czytała, stwierdziła, że nie jest w stanie przeczytać ze zrozumieniem choćby jednego zdania.

O pierwszej otworzyły się drzwi wejściowe. Michael wrócił do domu. Sądząc po jego energicznych krokach na schodach, był w świetnym humorze. Na piętrze usiłował zachowywać się cicho. „Najwyraźniej w końcu przypomniał sobie o moim istnieniu” – pomyślała Karin z goryczą. Na palcach wszedł do sypialni i skrzywił się, widząc, że w pokoju pali się światło, a Karin nie śpi.

– Dlaczego nie śpisz? – zapytał z wyrzutem. Zdaje się, że dobry humor zniknął w zastraszającym tempie.

– Późno wracasz. – Nie odpowiedziała na jego pytanie.

Wiedziała doskonale, że wraca od kochanki, widziała to po nim, przy czym nie byłaby w stanie określić, po czym to poznała. Nie miał ani przekrzywionego krawata, ani szminki na policzkach, ani rozczochranych włosów, nie pachniał kobiecymi perfumami. Ale emanował czymś... Zadowoleniem, pewnością siebie, akceptacją siebie i swojego życia... szczęściem...

„Tak, może to właśnie to” – pomyślała Karin, a ucisk w żołądku zdradzał, jak bardzo poruszyła ją ta myśl: „On jest szczęśliwy”.

Do tej pory nie chciała myśleć o pozamałżeńskim romansie i szczęściu, bo szczęście w jej wyobrażeniu łączyło się z pewną czystością, ze staroświeckim romantyzmem, ale widocznie sama się oszukiwała. Michael najwyraźniej był szczęśliwy, przynajmniej na takiego wyglądał, i tyle. Jego szczęścia nie zmieni fakt, że ona je ignoruje.

– A która to godzina? – zapytał Michael, gdy wyrzuciła z siebie te pytania. Usiadł na łóżku tyłem do niej i powoli zdejmował buty. Karin zerknęła na budzik koło pościania, choć i tak wiedziała, która jest godzina.

– Pięć po pierwszej. Domyślam się, że do tej pory nie siedziałeś w laboratorium.

Zdjął buty, wstał, rozluźnił krawat pod szyją.

– Do diabła, no nie, skądże. Co niby miałbym w nocy robić w biurze?

– Czyli byłeś u *niej*?

– Tak.

– Miło było?

Spodziewała się, że puści jej pytanie mimo uszu, ewentualnie da jej nonszalancko do zrozumienia, że nie powinna gadać takich bzdur i wprowadzać ich obojga w zakłopotanie. On jednak wahał się przez chwilę i w końcu odpowiedział:

– Tak. Spędziliśmy cudowny wieczór.

W jego głosie pojawiły się miękkie nuty. Karin przypomniała sobie ponuro, że ostatnio słyszała je wiele lat temu. Zapomniała już o nich, nie sądziła, że Michael nadal ma to w sobie. A teraz przywołał je ot tak, jakby

nie minął nawet jeden dzień, jakby nic się nie zmieniło, jakby tymczasem świat się nie zawalił.

Musiała chwilę odczekać, by wziąć się w garść, a potem odezwała się ochryple:

– Cóż, mój wieczór nie był cudowny. Oglądałam telewizję, choć sama już nie wiedziałam, na co patrzę, i wypłam butelkę czerwonego wina. Nikt nie dzwonił. Z nikim nie rozmawiałam.

Michael wzruszył ramionami.

– Czyli tak, jak lubisz, co? Żadnych rozmów, żadnych ludzi, niczego, co mogłoby cię przestraszyć. Przecież chciałaś takiego życia. Powinnaś się cieszyć.

– Naprawdę wierzysz, że chciałam takiego życia?

– Tak *żyjesz*, więc zakładam, że właśnie tego chcesz.

– Wiec uważasz, że człowiek z założenia lubi to, co robi?

– W innym wypadku chyba by tego nie robił, prawda? – Zdążył się rozebrać, wślizgnął się pod kołdrę, przeciągnął się, ziewnął. – Padam z nóg. Mogłabyś zgasić światło?

Usiadła.

– Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że potrzebuję pomocy? *Twojej* pomocy?

Jego dobry humor był już tylko wspomnieniem. Spędził uroczy wieczór, pragnął zasnąć, wspominając co piękniejsze chwile, a już na pewno nie chciał się zajmować problemami żony. I tak nie mógł ich rozwiązać, zresztą miał ich po dziurki w nosie.

– Musimy o tym teraz rozmawiać? – zapytał z ponownym ziewnięciem.

– Jest pierwsza w nocy. Chciałbym się choć trochę przespać, zanim będę musiał wstać o szóstej.

– To nie moja wina, że tak późno przychodzisz do łóżka.

– Nie powiedziałem, że to twoja wina, prosiłem tylko, żebyś dała mi spać. Chyba możesz to dla mnie zrobić?

W jego głosie pojawiła się ta ledwo wyczuwalna ostrość, którą dobrze znała i o której wiedziała, że nie powinna jej ignorować. Ale przecież zawsze milczała, gdy tego od niej wymagał, prawda?

– Tak dalej być nie może – wyrwało jej się. – Musisz w końcu

powiedzieć, jak to sobie właściwie wyobrażasz. Jak długo chcesz ciągnąć ten romans, jak długo mamy się bawić w tę parodię małżeństwa?

Chciała powiedzieć to twardo, stanowczo, odważnie stawić mu czoła, ale jak nader często jej głos zabrzmiał jękliwie, oskarżycielsko, nawet dziecinnie. Jak głosik dziecka, które błaga o miłość i zrozumienie.

– Michael – zaklinała go i tym samym miarka jego cierpliwości się przebrała. Wyprostował się gwałtownie, spojrział na nią oczami błyszczącymi ze złości, od której aż drżał mu głos.

– Karin, wyjaśnijmy sobie raz na zawsze: nie mieszaj mnie w twoje problemy! Nie pomogę ci, mogę co najwyżej zapadać się razem z tobą w to bagno, a na to nie mam najmniejszej ochoty! Zachowujesz się jak mała dziewczynka, która siada w kącie, szłocha i czeka, aż ktoś do niej podejdzie, weźmie za rączkę i będzie się nią opiekował, chronił i sam nie wiem, co jeszcze! Ale tak nie jest! Dla nikogo! Albo sama wyleziesz z bagna, albo zapadniesz się w nim po szyję. Ale przestań wołać o pomoc, bo tym sposobem tylko marnujesz siły, a takiej pomocy, o jaką ci chodzi, i tak nie dostaniesz! – W jego oczach nie było nawet śladu współczucia czy szacunku, tylko znużenie i irytacja. – A teraz zostaw mnie w spokoju – zakończył i opadł z powrotem na poduszki.

Bardzo szybko zasnął, o czym świadczył jego regularny oddech. Ona z kolei przez całą noc właściwie nie zmrużyła oka. Jego słowa chodziły jej po głowie i gdy opadło oburzenie, gdy zapomniała o bólu, dotarła do niej bolesna prawda: choć to, co mówił, było brutalne i przykre, było też prawdziwe.

Przecież nie była już dzieckiem. Nikt nie podejdzie, nie weźmie jej na rękę, nie będzie wiązał jej butów ani mówił, jak żyć.

Była sama.

Musiała zdecydować, co dalej. Musiała zaryzykować, że popełni błąd. Musiała sama wszystko robić, sama ponosić za to odpowiedzialność. Ta bezlitosna świadomość przyprawiała ją o zawrót głowy, ale jednocześnie narastała w niej pewność, że właściwie nie ma ani innego wyboru, ani nic do stracenia, i ta myśl zdusiła w zarodku wzbierającą panikę. Czuła się, jakby spadała; równie dobrze mogła to zaakceptować, bo przecież i tak nie powstrzyma upadku.

„Przestań się miotać i wołać o pomoc – szeptał wewnętrzny głos. – Nie zamykaj się w strachu. Po prostu żyj. Więcej nikt od ciebie nie chce”.

Zanim nadszedł ranek, doszła do wniosku, że pojedzie na Guernsey. Serce waliło jej jak oszalałe, żołądek stawał dęba, ale starała się nie zwracać uwagi na histeryczne reakcje organizmu.

Odczekała, aż Michael, milczący, zmęczony i trochę przygaszony, wyszedł z domu; nie pytała go, o której wróci, bo teraz było jej obojętne, kiedy się znowu pojawi. Miała wrażenie, że jej opanowanie działało mu na nerwy i ta myśl dodawała jej otuchy.

Torba była gotowa. Musiała jeszcze tylko wybrać buty oraz iść do banku, żeby podjąć i wymienić pieniądze. Co prawda zamierzała hojną ręką czerpać z pieniędzy Michaela w St. Peter Port, ale nie miała pewności, czy on nie zablokuje konta, a nie chciała zostać nagle bez środków do życia. Zabierze z sobą tyle, że wystarczy jej na co najmniej sześć tygodni.

Spakuje swoje rzeczy do samochodu i jutro rano, zaraz po tym, jak Michael wyjdzie, wyruszy w drogę. Jeszcze nie zdecydowała, czy zostawi mu karteczkę z informacją, gdzie się znajduje i dlaczego w ogóle wyjechała. „Właściwie wcale nie musi wiedzieć, gdzie jestem – stwierdziła. – Przez kilka dni może się spokojnie o mnie pomartwić, a zresztą zawsze mogę do niego zadzwonić”.

Przeżyła cały dzień w swego rodzaju transie, zrobiła wszystko, co musiała. Panikę miała pod kontrolą; zażyła dwie tabletki, żeby jej nie ulec. Była przekonana, że po wczorajszej konfrontacji Michael wróci do domu na czas, więc nakryła do stołu, przygotowała jedzenie, wstawiła do lodówki butelkę wina. Wizja, że będzie siedziała naprzeciwko niego, zapewne w milczeniu, wpatrzona w jego ponurą minę, wiedząc, że następnego dnia jej zniknięcie wprawi go w zdumienie i konsternację, dawała jej przedsmak triumfu. Tym razem to ona prowadziła, o włos. Wiedziała coś, czego on nie wiedział. I ta myśl, w połączeniu z tabletkami, napełniała ją niemal poczuciem zwycięstwa.

Michael nie pojawił się przez cały wieczór. W końcu Karin wyrzuciła kolację do śmieci, sama dopiła wino do końca, zastanawiała się, czy posprzątać ze stołu, ale w końcu zostawiła wszystko tak, jak było. Niech sam się zastanowi, jak sobie radzić z domem, to już nie jej sprawa. Poszła

do łóżka. Jak przewidziała, Michael nie pojawił się aż do rana. Nie spała, wstała o świcie – była piąta – i zaczęła się szykować do podróży. Euforia zniknęła, ustąpiła lękom i poczuciu klęski. Musiała stąd wyjechać, zanim panika zagości na dobre, inaczej nie da rady.

Połknęła dwie tabletki, choć wiedziała, że to ograniczy jej zdolność prowadzenia samochodu, ale bez nich nie zdołałaby wyjść z domu. Z głośnym płaczem wyjeżdżała z podjazdu. Obejrzała się na dom, pogodny i spokojny w porannym słońcu. Wydawał jej się jedynym bezpiecznym schronieniem w wielkim, strasznym świecie. Płakała ze strachu, nogi jej drżały, ale pokonała zakręt i pojechała dalej; jechała coraz szybciej, płakała coraz bardziej. Wiedziała już, że nie zawróci.

Helene miała na sobie białą letnią sukienkę z bufkami, zdecydowanie nieodpowiednią dla osoby w jej wieku, którą jednak z niepojętych przyczyn bardzo lubiła i nie przejmowała się, że wygląda w niej groteskowo. Wkładała ją na wyjątkowe, w jej mniemaniu, okazje. Najwyraźniej do takich zaliczała kolację u Kevina.

– Jak wyglądam? – zapytała, wchodząc roztańczonym krokiem do kuchni, i Beatrice musiała przyznać, że zrobiła to z pewnym wdziękiem. – Wszystko w porządku? Jak moje włosy? Biżuteria?

– Wygląda pani doskonale, Helene – zapewniła Karin.

Siedziała w kącie na krześle, z kieliszkiem wina przed sobą. Wydawała się bardzo zmęczona. Przyjechała na Guernsey poprzedniego wieczora i jeszcze nie do końca sobie uświadamiała, że udało jej się przetrwać tę przygodę bez problemów. Wyruszyła w drogę na własną rękę i dotarła tam, gdzie chciała. Czuła się schwyтана, uwięziona, zirytowana samą sobą.

Helene rozpromieniła się, słysząc jej komplement.

– Bardzo pani dziękuję, Karin. – Jak zawsze w jej obecności, Helene mówiła po niemiecku, podobnie jak Beatrice. – W tej sukience nadal czuję się taka młoda i wolna.

„Niestety sprowadza się to do twojego poczucia – pomyślała Beatrice – bo wyglądasz bardzo staro”.

Helene wyjęła z kredensu kieliszek i też nalała sobie wina. Założyła piękną kolia z granatami, prezent od Ericha na którąś rocznicę ślubu, Beatrice wiedziała to na pewno. W świetle zachodzącego słońca kamienie mieniły się czerwienią i fioletem.

– Zaplanowałyśmy sobie z Karin spokojny wieczór – odezwała się Beatrice. – Zamówiliśmy pizzę, a wina w domu jest pod dostatkiem. Niestety jest jeszcze trochę za zimno, żeby zjeść na dworze.

Dzień był znowu bardzo ciepły, ale ledwie słońce skryło się za horyzontem, od morza zerwał się chłodny wiatr i przewiewał je na wylot.

Helene nuciła coś pod nosem. Beatrice oparła się o kredens i obserwowała starszą kobietę z irytacją zmieszaną z rozbawieniem, do którego sama nie chciała się przyznać.

Przez kilka minut wszystkie milczały, ale zanim w małej kuchni wezbrało napięcie, usłyszały warkot silnika na podjeździe – przyjechał Kevin.

Wszedł prosto do kuchni, bez pukania, bo drzwi wejściowe były otwarte; zresztą i tak uważał się za członka rodziny.

Wystroił się z tej okazji, bo wiedział, że Helene przywiązuje wagę do takich rzeczy. Starannie ułożone włosy błyszcząły, pod szyją miał piękny, rzucający się w oczy krawat.

„Ale wygląda kiepsko – stwierdziła Beatrice. – Za mało sypia i wydaje się, że ma mnóstwo problemów na głowie”.

Kevin skomplementował sukienkę Helene, uściskał Beatrice i uśmiechnął się serdecznie do Karin.

– Jak to miło, że znowu jest pani na wyspie! Beatrice nie wspominała, że ma gościa!

– Pani Karin dopiero przyjechała – ucięła Beatrice. – Kevin, oczywiście umieramy z zazdrości, że dzisiaj zaprosiłeś Helene, a my musimy zadowolić się pizzą. Mam nadzieję, że nas też niedługo zaprosisz.

– Oczywiście. A już na pewno, zanim pani Karin wyjedzie. Musi pani skosztować mojej kuchni. Później już nic nie będzie smakowało tak samo. – Uśmiechnął się i wziął Helene za rękę. – Chodźmy już. Musimy się pospieszyć, bo inaczej jedzenie nam się zmarnuje. Czekaj nas uroczy wieczór. Beatrice, obiecuję, że odwiozę Helene całą i zdrową.

Po minie Helene było widać, że czuje się jak młodziutka dziewczyna, którą wielbiciel zabiera na tańce, którą uwodzi magia wiosennego wieczoru i obietnic, jakie z sobą niesie. Zdawała się nie pamiętać, że ma ponad osiemdziesiąt lat, a Kevin trzydzieści parę, podobnie jak tego, że kobiety w ogóle go nie interesowały. Od czasu do czasu potrzebowała takiej ucieczki w fantazję, w nadzieję, że ma jeszcze przed sobą całe życie, że dostanie od niego wszystko, co ma do dania. Beatrice, która nigdy nie umiała się oszukiwać, często wahała się między pogardą a swoistą zazdrością.

Zniknęli, a Karin stwierdziła ze zdumieniem:

– Dziwne to wszystko, co wyprawia Kevin, prawda? To znaczy, on jest przecież młodym mężczyzną. W sobotnie wieczory ma chyba coś lepszego do roboty niż gotowanie dla starszej pani i zabawianie jej rozmową!

Beatrice zapaliła papierosa.

– Na pewno ma coś lepszego do roboty. Ale proszę się nie rozczulać, że poświęca Helene tyle czasu. Kevin wie doskonale, dlaczego to robi. Doi ją od lat, a że Helene za każdym razem ulega jego urokowi, odnosi całkiem niezłe sukcesy. Nigdy nie będzie w stanie tego zwrócić, ale ona uległa mu do tego stopnia, że nie chce wywierać na niego nacisku, nie byłaby do tego zdolna.

– A czy ma aż tyle pieniędzy, że w kółko może mu coś pożyczać?

Beatrice przecząco pokręciła głową.

– No właśnie nie, i dlatego nie podoba mi się to, co wyprawia Kevin. Helene otrzymuje skromną rentę, ale przez te wszystkie lata sporo zaoszczędziła. I dlatego ma mu z czego pożyczać. Tym sposobem kupuje sobie jego przyjaźń. Kevin o tym wie i to wykorzystuje. Powtarza oczywiście, że wcale nie musi mu niczego dawać, ale jest przecież jasne, że z samotną starszą panią może zrobić, co tylko zechce, bo w pewnym sensie ona jest całkiem bezbronna. Widziała pani, jak wiele dla niej znaczy ten wieczór. Z wdzięczności oddałaby mu wszystko do ostatniego pensa.

– Więc Helene jest taka samotna? – zapytała Karin. – A ja myślałam...

– Każdy wie, że są ludzie bardziej samotni od niej. Mieszka tutaj ze mną pod jednym dachem, opiekują się nią Mae i Kevin, ale wydaje mi się...

– Beatrice machinalnie strzepnęła popiół z papierosa do zlewozmywaka. – Cierpienie to subiektywne odczucie. Kiedy Helene cierpi, to cierpi naprawdę, choćby wszyscy wokół uważali, że powinno jej być dobrze. Doskwiera jej taka specyficzna forma samotności. Ma poczucie, że życie przeciekło jej między palcami, że przegapiła wszystko, co w życiu ważne. Chciałaby odzyskać młodość, a ponieważ to, jak wiadomo, niemożliwe, rozpaczliwie szuka chociaż namiastki młodości. Widziała pani przecież tę sukienkę, którą na dzisiaj włożyła – taką dziewczęcą. Widziała ją pani w tym newralgicznym momencie, gdy jest bardzo wrażliwa. Kevin ma doskonale wyczucie takich sytuacji. Jest wobec Helene szarmanckim

staroświeckim dżentelmenem, który całuje ją w rękę i obsypuje komplementami. A ona to wszystko łyka.

– Może to wcale nie taki zły układ – zauważyła Karin z namysłem. – Oczywiście można twierdzić, że to ze strony Kevina nieuczciwe, że niejako każe Helene płacić za swoje towarzystwo i zainteresowanie, ale z drugiej strony daje jej coś, co pozwala jej łatwiej znosić starość. Wydaje mi się, że końcówka życia nie jest łatwa i takie wieczory jak dzisiaj, w połączeniu z radością oczekiwania, są warte więcej niż największe pieniądze.

– Helene to rozpuszczone stworzenie, egoistyczne i samolubne – stwierdziła gniewnie Beatrice. – Zawsze uważała, że życie powinno podać jej wszystko na tacy; wiecznym jęczeniem i narzekaniem udało jej się doprowadzić do tego, że wszyscy wokół ciągle się nad nią rozczulali i robili wszystko za nią. Ja po prostu uważam, że postępuje nierozsądnie, trwoniąc pieniądze. Niewykluczone przecież, że umrę przed nią, a ona będzie potrzebowała opieki, za którą będzie musiała zapłacić. Nie myśli perspektywicznie i na tym polega problem.

– Jej mąż nie żyje do dawna? – zapytała Karin.

– Erich? Od maja 1945 roku – odparła Beatrice i zdusiła niedopałek na talerzyku. – Odszedł dokładnie przed pięćdziesięciu pięciu laty.

Szorstkość jej głosu onieśmiała Karin, a jednak zapytała:

– Czy Helene było wtedy ciężko? I... *pani*?

– Ciężko? – powtórzyła Beatrice. Bez namysłu zapaliła kolejnego papierosa, wydmuchała dym w powietrze i w zadumie wpatrywała się w szare kółka. – Wie pani, kiedy ktoś umiera nagle, człowiek jest przerażony, chyba że osiągnęło się ten wiek, w którym to normalne, ale w przypadku Ericha to nie wchodziło w grę. Kiedy umarł, miał czterdzieści cztery lata. To był szok. Dla Helene o wiele większy niż dla mnie, ale ja też to przeżyłam.

Umilkła na chwilę. Karin przyglądała jej się oczekująco. Chciała dowiedzieć się czegoś więcej o Erichu, o tym wszystkim, co dawno temu działo się w tym domu. Nie wiedziała, czy interesowało ją to naprawdę, czy tylko chciała zagłuszyć w sobie głos, którzy przypominał o Michaelu, przywoływał strach i powtarzał, że jej ucieczka to wydarzenie tak nieprawdopodobne, że może się skończyć tylko w jeden sposób – czymś

strasznym. Nie chciała tego słuchać. Była zbyt znudzona, by mierzyć się z tymi wszystkimi problemami, które nad nią wisiły.

„Pomyślę o tym jutro. Albo pojutrze, albo innego dnia, kiedy nie będę aż tak zmęczona”.

– Ale szok minął – ciągnęła Beatrice – i w końcu nam wszystkim ulżyło. Nie można powiedzieć, że Erich był z gruntu zły, ale na pewno był *szkodliwy*. Sprowadzał nieszczęście na innych, i to nawet wtedy, gdy akurat miał dobre intencje. Jeśli mam być całkiem szczerą, muszę przyznać, że wcale mi go nie żal.

– Czy w latach przed śmiercią nadal tak źle traktował Helene?

Beatrice przecząco pokręciła głową.

– Nie, bardziej się starał. Jej próba samobójcza wstrząsnęła nim bardziej, niż chciał się do tego przyznać. Możliwe też, że obawiał się o swoją reputację; stawiałoby go w złym świetle, gdyby jego żona co rusz podcinała sobie żyły. Bo ta wiadomość oczywiście rozeszła się po wyspie lotem błyskawicy. No więc wziął się w garść. Usiłował stworzyć pozory małżeńskiego szczęścia, które oczywiście były fikcją, ale rzeczywiście nie rzucał się już na Helene bez powodu, nie robił jej wyrzutów. Jednak był wobec niej okrutny pod innym względem. Nawet bardzo okrutny.

Guernsey, czerwiec 1941 – czerwiec 1942

Początkowo Beatrice odetchnęła z ulgą, widząc, że napięcie między Erichem a Helene zelzało, wkrótce jednak zauważyła, że pod powierzchnią kryją się te same konflikty i że w tej ukrytej formie są nawet bardziej przerażające niż dawniej. Miała wrażenie, że siedzi na beczce prochu, która lada chwila może wylecieć w powietrze.

Latem 1941 roku było coraz gorzej. Erich miał za sobą ciężką wiosenną depresję; większość czasu był zamknięty w sobie, skulony, milczący. Teraz jednak coś się zmieniło. Pokonał najgorsze, odzyskał energię i chęć działania. Bywał jowialny i serdeczny, ale też agresywny i wrogi. Ponieważ nie śmiał już wyładowywać się na Helene, coraz częściej jego ofiarami byli Julien i Pierre. Wyzywał ich i nigdy nie był zadowolony z ich pracy, choćby

nie wiadomo jak się starali.

– Jesteście chorobliwie leniwi. Jesteście do niczego – stwierdził po tym, jak obszedł cały ogród i zobaczył, że nie wyschła jeszcze farba na świeżo pomalowanej ławce, co według niego świadczyło o powolnym tempie prac.

– Wiecie, dlaczego tak jest? Bo jest wam za dobrze, a przez to jesteście leniwi i nieruchawi. Za dużo jecie, za dużo śpicie, i to trzeba zmienić. Może nie? Chyba się ze mną zgadzacie, że to się musi zmienić?

Pierre i Julien nie odpowiedzieli. Stali w milczeniu z czapkami w dłoniach, ze zwieszonymi głowami, ale Beatrice, która obserwowała całe zajście z daleka, widziała, jak Julien na moment podniósł głowę, widziała gniewny błysk w jego ciemnych oczach, widziała, jak buntował się wewnętrznie na takie traktowanie, poniżenie, które musiał znosić w milczeniu.

– Dzisiaj nie dostaniecie już nic więcej do jedzenia i picia – zdecydował Erich. – A od jutra połowę dziennej racji. Przekonamy się, czy wtedy będziecie lepiej, szybciej pracować.

Było dopiero przedpołudnie; Julien i Pierre na śniadanie zjedli, jak co dzień, dwie kromki chleba i wypili filiżankę kawy. Czekał ich jeszcze długi dzień, a zanosilo się na upał. Zazwyczaj mogli w każdej chwili podejść do drzwi kuchennych, wychodzących na werandę od strony ogrodu, i poprosić o wodę, oprócz tego dostawali też obiad i kolację. Helene była oburzona, gdy Erich poinformował ją, że nie może im dawać nic do jedzenia ani picia.

– Erich, to nieludzkie. Chociaż wodę! Nie zrobili nic złego, dlaczego chcesz ich tak dręczyć?

– Muszą zrozumieć, co to praca – odparł szorstko. – A skoro nie chcą się tego nauczyć inaczej, może to przemówi im do rozumu. Zobaczysz, że teraz będą o wiele karniejsi.

Po chwili zastanowienia wyszedł ponownie, by oznajmić swoją decyzję, że właśnie dzisiaj zacznie się budowa ogródka skalnego. Wspominał o tym już nieraz. Spodobała mu się wizja, by przy podejździe, tam gdzie ogród opadał stromo ku szosie, ułożyć głazy, spomiędzy których wyrastałyby pojedyncze krzaki róż. Kamienie trzeba było przyciągnąć znad morza, z zatoki Petit Bôt.

Żołnierz, który pilnował Francuzów, otrzymał rozkaz, by towarzyszył im w drodze do zatoki i z powrotem oraz dopilnował, by „nic głupiego” nie strzeliło im do głowy.

– Będą musieli obrócić kilka razy – stwierdził Erich. – Ale dzisiaj wieczorem, kiedy wrócę, chcę zobaczyć kawał dobrej roboty, więc żadnych przerw. Ci dwaj muszą się w końcu nauczyć, co to znaczy pracować na życie. Ja też nie dostaję niczego za darmo.

Wsiadł do samochodu i odjechał z Willem za kierownicą. Najeźdźcy zaczęli budowę podziemnego szpitala niedaleko Le Variouf i Erich nadzorował cały projekt. Miało go nie być aż do wieczora.

Idąc do szkoły, Beatrice nie mogła przestać myśleć o obu Francuzach. Mae zauważyła, że jest nieobecna duchem i gdy przycisnęła ją do muru, przyjaciółka wyznała, że martwi się o Julię i Pierre’a.

– Słyszałam od rodziców, że wielu robotnikom przymusowym jest ciężko – szepnęła Mae stłumionym głosem. – Mój tata leczył kilku, którzy zachorowali. Właściwie Niemcy mają swoich lekarzy, ale akurat żadnego nie było w pobliżu... Tata mówił, że niektórzy byli w fatalnym stanie. Wielu z nich umiera.

Wbiła zęby w kanapkę z serem, którą przyniosła z domu, i z przejęciem spojrzała na Beatrice.

– Myślisz, że pan Feldmann zagłodzi tych Francuzów na śmierć?

– Bzdura – zachnęła się gniewnie Beatrice. Czasami wielkie niebieskie oczy i piskliwy głosik przyjaciółki budziły w niej złość. – Ale będzie się nad nimi znęcał, a to też niedobrze. Z nim nigdy nic nie wiadomo.

Lekcje skończyły się w południe, co nie było rzadkością w związku z brakami w kadrze nauczycielskiej. Było gorąco, nagrzane powietrze drżało, nad morzem unosiła się leciutka mgiełka. Na ostatniej lekcji był niemiecki, ale Mae prawie niczego nie zrozumiała i dlatego teraz, gdy szły zakurzonymi drogami do domu z St. Martin, Beatrice tłumaczyła jej niemieckie przypadki. Nowy język nie był już dla niej problemem, niemal płynnie rozmawiała z Helene i Erichem, a czasami nawet śniła po niemiecku. Mae przeciwnie – niemiecki przychodził jej z trudem, ciągle łamała sobie język, plątała się i zacinała, tak że nie rozumiałaby jej ani Anglik, ani Niemiec.

Dom Wyattów znajdował się na początku wioski. Kiedy do niego doszły, Mae nie umiała więcej niż zaraz po szkole, ale umówiły się, że jutro rano, przed lekcjami, wszystko sobie jeszcze powtórzą. Beatrice ruszyła dalej sama. W ogrodach po obu stronach drogi kołysała się wysoka czerwcową trawą, przekwitały ostatnie dmuchawce, panoszyły się gęste paprocie i liliowe naparstnice. Dni ciągnęły się w nieskończoność, noce były jasne, przepełnione dzikością, związaną zapewne z bezsennością dręczącą teraz i ludzi, i zwierzęta. Beatrice przypomniała sobie, jak Deborah mówiła, że w czerwcu zawsze czuje się jak po szampanie.

– I tęsknię, tak bardzo tęsknię – powtarzała. – Kiedy nawet późno w noc na niebie widnieje jeszcze jasna smuga, wyobrażam sobie, że gdzieś tam coś na mnie czeka, coś mnie wabi, przyzywa, i tak bardzo chcę ulec tej pokusie...

Andrew przyglądał jej się spod wysoko uniesionych brwi.

– Muszę przyznać, że to, co mówisz, daje do myślenia. Mówisz jak mała dziewczynka, która marzy o wielkiej miłości. Czyżbym już ci nie wystarczał?

Deborah się roześmiała, objęła go i Beatrice miała wrażenie, że to tylko żarty. Ale wiedziała też, że czasami matka siedziała nocą w ogrodzie i wpatrywała się w smugi światła na zachodzie; kilka razy ją zaskoczyła, gdy sama nie mogąc spać, snuła się po domu. Deborah była spięta, w jej oczach kryła się dziwna, przerażająca rozpacz. Beatrice nie śmiała się do niej odezwać, na paluszkach wróciła do siebie i ukryła się pod kołdrą. Pewność, że jej świat jest poukładany i spójny, zachwiała się; nie wiedziała, jak oceniać dziwne zachowanie Deborah, ale czuła, że matka nie jest tak szczęśliwa, jak się wydawało na pierwszy rzut oka. W miarę upływu lat zorientowała się, że ten niepokój pojawiał się w maju, w czerwcu osiągał punkt kulminacyjny, a w połowie lipca znikał. Może to była kwestia jasnych nocy. Kiedy wracała ciemność, Deborah była znowu pogodna i roześmiana. Ale teraz był czerwiec i Beatrice cały czas myślała o mamie. Czy także w Anglii wychodzi wieczorami, siada na trawie i z drżeniem czeka na nie wiadomo co, na coś, czego pragnie najbardziej na świecie? A może tak bardzo martwi się o córeczkę, że wszystko inne schodzi na dalszy plan?

Beatrice była przekonana, że prędzej czy później zobaczy znowu rodziców, nie zniosłaby myśli, że mogłoby być inaczej, ale czasami obawiała się, że zanim do tego dojdzie, wszystko zmieni się tak bardzo, że nie będą już umieli podjąć wspólnego życia w tym samym miejscu, w którym je przerwano. Nie uda im się odzyskać dawnego spokoju. Będą musieli żyć z obrazami, które na zawsze wbiją się w pamięć, z lękami, które będą ich dręczyć w snach. Zresztą, ile jeszcze potrwa, zanim Niemcy albo podbiją cały świat, albo skapitulują? „Może do tego czasu zdążę dorosnąć – pomyślała Beatrice ze strachem. – A jeśli rodzice mnie nie poznają? Będę kimś zupełnie innym i nie będziemy mieli o czym rozmawiać”. Była załamana, gdy doszła do podjazdu prowadzącego do domu; upał dawał się jej we znaki. Wcześniej pogoda nie miała na nią wpływu, nie zwracała uwagi na słońce, deszcz czy wiatr, ale ostatnio często kręciło jej się w głowie, zwłaszcza kiedy było zimno albo gorąco, i często czuła się źle, zmęczona i nieszczęśliwa.

– Za szybko rośniesz – twierdziła Helene. – Od zeszłego roku urosłaś prawie dziesięć centymetrów.

Szła podjazdem głodna i spragniona, i nagle zobaczyła Julię i Pierre'a, którzy pod okiem strażnika układali na zboczu pierwsze głazy przytargane z zatoki. Po twarzach obu spływał pot, przepocone ubrania kleiły im się do pleców. Julien wyglądał tak, jakby miał lada chwila zemdleć, jakby trzymał się na nogach resztkami sił. Wartownik schronił się w cieniu buka, znudzony palił papierosa i od czasu do czasu popijał wodę z manierki. W prawej dłoni miał pistolet.

Beatrice biegła do domu najszybciej jak mogła. W kuchni zastała Helene zajęta krojeniem pomidorów do sałatki.

– Jak dobrze, że już jesteś! – zawołała. – Sałatka zaraz będzie gotowa. Musisz coś zjeść, jesteś bardzo blada.

Beatrice odstawiła teczkę w kąt.

– Julien i Pierre też muszą coś jeść. I pić. Obaj ledwo żyją.

Helene spojrzała na nią z nieszczęśliwą miną.

– Nie mogę. Sama słyszałaś, co powiedział Erich.

– Ale przecież oni tak ciężko pracują! A na dworze jest bardzo gorąco. Helene, *musimy* im coś dać!

– Nie możemy ryzykować. Żołnierz na pewno powie o tym Erichowi. To bez sensu, Beatrice. Bardzo mi ich szkoda, ale nic na to nie poradzimy.

W milczeniu jadły sałatkę. Pół godziny później zobaczyły Francuzów w ogrodzie na tyłach domu, razem ze strażnikiem. Najwyraźniej pozwolił im na chwilę odpoczynku, bo obaj osunęli się ciężko na trawę i starli pot z twarzy.

Żołnierz zapalił kolejnego papierosa. Odszedł kilka kroków, spojrzał badawczo na wyczerpanych jeńców, upewnił się, że właściwie nie są w stanie się ruszyć, i zniknął w zaroślach.

Ledwie zniknął im z oczu, Julien wstał. Chwiał się na nogach, nie mógł ustać. Jego mokra twarz była trupio blada. Poczłapał do uchylonych kuchennych drzwi.

– Proszę – wychrypiał. – Wody. Łyk wody!

Beatrice już sięgała po szklankę, ale Helene złapała ją za rękę.

– Nie! Będziemy miały problemy!

Beatrice odepchnęła jej dłoń.

– Przecież to bez znaczenia! On zaraz zemdleje!

Julien rozchylił usta, dyszał ciężko. W jego ciemnych oczach błyszczała gorączka.

– Proszę – powtórzył. – Tylko mały łyczek, dla Pierre' a i dla mnie.

Pierre także zdobył się na odwagę i z wahaniem podszedł bliżej.

– Poproszę trochę wody – powiedział.

Beatrice nie zdążyła nawet nalać wody do szklanki, gdy z krzaków wynurzył się żołnierz. Błyskawicznie odbezpieczył broń.

– Co tu się dzieje?! – ryknął.

Beatrice stanęła w drzwiach ze szklanką wody w ręku.

– Oni muszą się napić, umierają z pragnienia.

– Tak szybko się nie umiera – stwierdził żołnierz. – Wylej tę wodę, młoda damo! Mam rozkazy od pana majora!

– Tak nie można! – zawołała błagalnie Beatrice. – Przecież oni ciężko pracują, a jest tak gorąco!

Żołnierz był nieporuszony.

– Musisz to omówić z panem majorem, ale ja mam moje rozkazy i zrobię wszystko, by nie wpakować się w kłopoty!

Beatrice spojrzała prosząco na Helene.

– Helene...

Tamta bezradnie rozłożyła ręce.

– Nic na to nie poradzę. Przykro mi, ale nie mam tu nic do powiedzenia.

– Ja tylko wypełniam rozkazy – powtórzył żołnierz i wycelował z broni do umęczonych mężczyzn. – No, szybciej. Wracać do pracy.

Beatrice czuła, że znowu kręci jej się w głowie. „Co się dzieje? – pomyślała. – Dlaczego ciągle źle się czuję?”

– Jesteście okropni! – krzyknęła. – Jak możecie? Jak możecie pozwalać na coś takiego?

– Poskarż się majorowi – odparł żołnierz, ale jego głos dobiegał nagle z daleka, jakby tłumiony ścianą z waty oddzielającą go od Beatrice. Zobaczyła też spojrzenie Julienu, w którym smutek i nienawiść ustąpiły niememu podziękowaniu za jej odwagę – chciała przecież podważyć rozkazy Ericha. To spojrzenie obudziło w niej coś nowego, dziwne, obce uczucie, którego nie umiała określić. Zanim jednak zdążyła to dokładniej przemyśleć, ściana z waty runęła na nią, wypełniła jej usta i uszy, otoczyła ją, spowiła wszystko nocną ciemnością.

Leżała w swoim łóżku i usiłowała sobie przypomnieć, co się właściwie stało. Zdumiona stwierdziła, że jest ubrana, ba, miała na sobie szkolny mundurek. Dlaczego położyła się w nim spać?

I wtedy zobaczyła znajomą twarz doktora Wyatta.

– No proszę, nasza młoda dama już do nas wraca. Długo spałaś, Beatrice. A przedtem odpłynęłaś na dobre.

– Co się stało? – zapytała, siadając gwałtownie, zaraz jednak znowu zrobiło jej się słabo. Jęknęła cicho.

Z kąta pokoju wynurzyła się pobladła Helene.

– Boli cię coś? – zapytała.

– Nie, tylko kręci mi się w głowie, ale już mi lepiej.

– Zostawię ci krople, masz je zażywać co rano i zaraz znowu poczujesz się lepiej – zapewnił doktor Wyatt. – Po prostu ostatnio trochę za szybko

rośniesz, to wszystko. Czasami organizm nie radzi sobie z okresem dojrzewania – dodał, patrząc na Helene. – Układ krążenia nie nadąża za rosnącym ciałem. – Mówił powoli, wyraźnie, żeby go łatwo zrozumiała. – A do tego te upały... od dawna nie mieliśmy tak upalnego czerwca jak w tym roku. Naprawdę nie ma pani powodu do zmartwień.

– Po prostu nagle upadła – mówiła Helene. – Tak się przestraszyłam, że nie wiedziałam, co robić.

– Nic poważnego się nie stało – zapewnił doktor Wyatt. – Nie sądzę też, żeby to miało się powtórzyć. – Zamknął torbę, uśmiechnął się ciepło do Beatrice i machnął ręką, gdy Helene chciała odprowadzić go do drzwi. – Proszę nie zawracać sobie głowy, znam drogę. Proszę zostać z pacjentką.

– Naprawdę bardzo miły człowiek – stwierdziła Helene po jego wyjściu. – Dobrze, że od razu przyszedł. – Wyglądała na bardzo zmęczoną i poruszoną.

„Bardzo to wszystko rozdmucha” – pomyślała Beatrice.

– Odzyskałaś przytomność już w kuchni – opowiadała Helene – ale nie mogłaś wstać. Pierre chciał cię wnieść na górę, ale sam jest taki osłabiony... Żołnierz musiał mu pomóc... – Przełknęła łyżę.

– Teraz czuję się dobrze – zapewniła Beatrice. – Ostatnio czasami było mi niedobrze, ale jeszcze nigdy nie kręciło mi się w głowie tak bardzo jak dzisiaj.

– Na górze od razu zasnąłaś. Zadzwoiłam po doktora Wyatta, na szczęście mógł od razu przyjechać. – Westchnęła. – Tak bardzo się o ciebie bałam, ale doktor Wyatt uważa, że w twoim wieku to normalne. Mój Boże, co za dzień!

Beatrice oprzytomniała zupełnie i zorientowała się, że coś się dzieje. Od strony ogrodu dobiegały głosy, krzyki, wrzaski, trzaskały drzwi, samochody podjeżdżały po dom, silniki innych cichły w oddali. A do tego szczekały psy.

– Co się dzieje? – zapytała. – Co to za hałasy?

– Na razie nie zawracaj sobie tym głowy – mruknęła Helene. Wydawała się rozgorączkowana, poruszona. – Rano ci wszystko wytłumaczę.

Tymi słowami oczywiście tylko rozbudziła ciekawość Beatrice.

– Nie. Chcę wiedzieć teraz, bez względu na to, o co chodzi.

– Och – szepnęła Helene. – Erich jest oczywiście wściekły, ale nic na to nie poradzę. To... to po prostu pech... ty zemdlałaś, musieliśmy coś zrobić... nie mogliśmy cię tak zostawić i...

– Helene! – wpadła jej w słowo Beatrice. – *Co się stało?*

Helene unikała jej wzroku.

– Julien zniknął – powiedziała cicho. – W tym całym zamieszaniu udało mu się uciec. Zniknął bez śladu.

Erich odebrał ucieczkę Francuza jako osobisty afront i w ciągu kilku tygodni zrobił wszystko, co było w jego mocy, by odnaleźć i schwytać Juliana. Żołnierze patrolowali całą wyspę z rozkazem, by „zajrzeć w każdą dziurę i sprawdzić, czy ten drań się tam nie schował!”. Policja, w dużej części rekrutująca się z Gestapo, przeszukiwała domy w wioskach i miasteczkach. Mieszkańcy, wyrwani ze snu w środku nocy, obserwowali bezradnie, jak policjanci rewidowali ich domy, robiąc przy tym straszny bałagan i zadając ostrymi głosami obcesowe pytania. O ile do tej pory najeźdźcy dbali o przyzwoite kontakty z mieszkańcami wyspy i nie dawali się im we znaki specjalnymi prześladowaniami, o tyle teraz dali się poznać od strony, którą już dawno widzieli mieszkańcy innych podbitych krajów. Pokazali, jak bardzo potrafią być niebezpieczni, bezwzględni i brutalni. Zjawili się na Guernsey jako przeciwnicy, z którymi można się dogadać, ale potrafili też być wrogami.

Julien jakby zapadł się pod ziemię.

– Na pewno ktoś mu pomaga! – ryczał Erich. – Jak inaczej mógłby przeżyć? Pewnie zaszył się w jakiejś skalnej rozpadlinie nad morzem i w życiu go nie znajdziemy. Ale skąd ma jedzenie? Przecież musi coś jeść!

– Może nie ma go już na wyspie – podsunęła nieśmiało Helene. – Do Alderney jest niedaleko i...

– Bzdura, na Alderney byłoby mu jeszcze ciężiej. Tam już prawie nie ma Anglików, są tylko nasi. Może Jersey... – Mamrotał coś ponuro pod nosem, by nagle walnąć pięścią w stół tak, że wszyscy skulili się bojaźliwie. – Drań ma więcej szczęścia niż rozumu, jeśli mu się to udało! Nikt nie może ot tak wsiąść na łódź i przepłynąć z jednej wyspy na drugą! Wszędzie aż się roi od strażników. Noce są jasne, pogodne, byłoby go widać z daleka. Musiałby oszaleć, żeby tak ryzykować!

Żołnierze zabrali Pierre'a jeszcze w dniu ucieczki Julienu. Kiedy po niego przyszli, był blady jak ściana. Beatrice martwiła się o niego i wieczorem zapytała Ericha, co się z nim stało.

– Przesłuchują go – padła odpowiedź. – Niewykluczone, że wiedział o planach Julienu i wie, gdzie tamten się ukrywa.

– Nie sądzę, żeby coś wiedział – wtrąciła Helene – bo nie wydaje mi się, żeby Julien cokolwiek planował. Myślę, że spontanicznie wykorzystał nadarzącą się okazję, zamieszanie po tym, jak Beatrice zemdląca. A tego przecież nie mógł przewidzieć.

Erich spojrzał ponuro na Beatrice.

– Można by nabrać pewnych podejrzeń, Beatrice, gdybym nie wiedział, że jesteś za mądra na takie bzdury. Właściwie można by uznać, że to wszystko zostało z góry ukartowane. Ale nie zdobyłabyś się na coś takiego, prawda?

– Nic nie zrobiłam – odparła niechętnie.

Po tygodniu Pierre wrócił i od razu zabrał się do pracy. Miał złamany nos, podbite oko, chyba też zrobili mu coś w nogę, bo kulał i ciągnął za sobą stopę. Dostawał jedzenie i picie, ale bardzo skąpo racjonowane, i było widać, że wkrótce nie będzie miał sił do ciężkiej pracy fizycznej. Musiał teraz sam układać głazy w skalnym ogródku oraz dbać o dom i ogród. Erich postanowił nie dawać mu nikogo do pomocy; niech Pierre zapłaci za ucieczkę Julienu.

– Co oni ci tam robili? – zapytała szeptem Beatrice, dając mu wodę w kuchennych drzwiach.

Pierre pił łapczywymi haustami.

– Torturowali – wykrztusił łamaną angielszczyzną. – Ale ja nic nie powiem. Nie wiem. Nie mam pojęcia, gdzie Julien!

Beatrice zapytała Ericha, co stałoby się z Julienem, gdyby go złapano. Odpowiedź nie pozostawiała żadnych wątpliwości:

– Będzie rozstrzelany.

Erich nie mógł kontynuować poszukiwań z takim rozmachem, z jakim je zaczął; na dłuższą metę nie miał na to dość ludzi. Kazał jednak wydrukować plakaty i okleił nimi całą wyspę.

– Ktoś go w końcu gdzieś zobaczy – stwierdził ponuro. – I może będzie

to ktoś, komu zależy na dobrej współpracy z nami, Niemcami.

Na wyspie było sporo Anglików, którym na tym rzeczywiście zależało. Liczba donosów, zazwyczaj anonimowych, była zaskakująco wysoka. Najczęściej donoszono na ludzi, którzy mieli radio; posiadanie radioodbiornika było zakazane, ale wielu mieszkańców zlekceważyło rozkaz, by go oddać. Poza tym na Guernsey kwitł czarny rynek, dzięki któremu nie trzeba się było ograniczać do skromnych przydziałów kartkowych. Także i w tej sprawie było sporo donosów, więc Erich mógł spokojnie liczyć na to, że ci, którzy udzielili schronienia zbiegłemu jeńcowi wojennemu, zostaną prędzej czy później zadenuncjowani przez zawistnego sąsiada albo odwiecznego wroga.

Pod koniec czerwca Niemcy zaatakowali Rosję. W szkole wszyscy rozprawiali o tym z przejęciem. Nauczycielka niemieckiego oznajmiła, że zwycięstwo Trzeciej Rzeszy zbliża się wielkimi krokami. Pokazała uczniom na mapie, jak wielka jest Rosja.

– Teraz pewnie dopiero widzicie, jak potężne będą Niemcy, gdy wszystko będzie nasze – mówiła z taką dumą, jakby sama czuła się jednym ze zdobywców. – Po tym zwycięstwie żaden naród na ziemi nie będzie się nam przeciwstawiał.

Zdaniem Beatrice Niemcy na tej mapie wydawały się malutkie w porównaniu z Rosją i pomyślała, że Hitler sporo ryzykuje, atakując takie wielkie państwo. Ale potem zobaczyła zaznaczone kreskami części Europy, które Niemcy już podbili, i westchnęła głęboko. Nazistom już sporo się udało. Więc może niewzruszone przekonanie Niemców było uzasadnione. W pewnym momencie zapanują nad całym światem i wtedy już po wsze czasy wszędzie będą żołnierze w podkutych butach, wszędzie wprowadzą ruch prawostronny, a swastyka zastąpi brytyjską flagę. Ale wtedy przynajmniej znowu będzie z Andrew i Deborah.

Minęło lato, gorące i suche, a po Julenie nadal nie było ani śladu. Jego ucieczka oznaczała także kryzys w relacji między Erichem i Beatrice; już nie była jego powiernicą. Erich wiedział – i nawet nie starał się tego ukryć – że była po stronie Julienu i miała nadzieję, że nigdy go nie złapią. Co prawda wcześniej też nie sprzyjała Erichowi ani nazistom, jej serce zawsze biło dla pokonanych, ale do tej pory nie było sytuacji, w której musiałyby się

jednoznacznie zdeklarować. A teraz wszystko było jasne. Przypomniała Erichowi, że zaanektował dom, w którym mieszkał z Beatrice, że nie przyjęła go pod swój dach z własnej woli. Była wrogiem, a on zbyt wiele jej powiedział. Wycofał się więc wewnątrz, unikał jej bliskości, nie wdawał się w rozmowy o czymś ważniejszym niż zwykła wymiana informacji. Beatrice cały czas czuła na sobie jego spojrzenie, czasami niemal przygważdżał ją wzrokiem, widziała, jak z sobą walczył, by nie wciągnąć jej w rozmowę jak dawniej. Wyglądał źle i pił za dużo, często zaczynał już po południu, zaraz po powrocie do domu. Upał sprawiał, że szybko zasypiał. Beatrice była zachwycona, że coraz częściej siadała do kolacji tylko z Helene, bo Erich chrapał na kanapie albo – zdarzało się – już w łóżku. Helene co prawda działało to na nerwy, ale nie okazywała tego. Owszem, narzekała i marudziła, lecz nie atakowała nikogo konkretnie.

„Ciekawe, czy którekolwiek z nich zastanowiło się choć przez chwilę, do kogo *ja* się zwracam z moimi problemami?” – myślała Beatrice z goryczą.

Dawniej rozmawiała z rodzicami o wszystkim, co ją gryzło, a gdy nie chciała omawiać tego z nimi, szła do Mae. Ale teraz właściwie nie mogła z nią znaleźć wspólnego języka. Miała wrażenie, że jest od niej o całe lata starsza. Przeżyła za dużo, cały czas przeżywała zbyt wiele rzeczy, o których Mae nie miała pojęcia. Oczywiście Mae tak jak ona żyła pod niemiecką okupacją i musiała się mierzyć z ponurą codziennością, ale jak dawniej chronili ją najbliżsi, miała przy sobie rodziców i w oczach Beatrice była małą, naiwną dziewczynką. A ona, Beatrice, doświadczała niemieckiej okupacji na własnej skórze. To *ją* rozdzielono z rodzicami, to *ona* nie miała pojęcia, czy i kiedy znowu ich zobaczy. To *jej* życie stanęło na głowie, to *ona* musiała się z dnia na dzień odnaleźć w całkiem nowej sytuacji. W porównaniu z Mae czuła się jak staruszka. Mae chichotała, kochała się w chłopaku z St. Martin, który w ogóle nie zwracał na nią uwagi, a o którym mimo to chciała ciągle z przejęciem rozprawiać. Beatrice reagowała na przemian znudzeniem i rozdrażnieniem. Miała poczucie, że już nikt jej nie rozumie.

Niemcy podbijali Rosję, tak jak wszystkie inne kraje; Erich co wieczór ogłaszał nowe etapy, nowe zwycięstwa.

Wyspy Normandzkie coraz bardziej przypominały fortecę, pierwszą linię obrony, mającą bronić dostępu do francuskiego wybrzeża. Najeźdźcy sprowadzali z Francji materiały budowlane, budowali nowe linie kolejowe, nieużywane tory powracały do życia. Wszędzie powstawały mury, wieże, podziemne bunkry. Ulicami wędrowały kolumny robotników przymusowych – skulone, wygłodniałe twarze o przerażonych, zrozpaczonych oczach. Odkąd Hitler zaczął wojnę z Rosją, na wyspy przywożono radzieckich jeńców wojennych. Wśród mieszkańców krążyły mrozące krew w żyłach opowieści o bestialskim traktowaniu, zabójstwach, o nieszczęśnikach, którzy mdleli z wyczerpania i głodu, pozbawieni opieki lekarskiej wegetowali i umierali w brudnych barakach. Mówiono, że na Alderney powstaje obóz koncentracyjny, do którego przywiozą Żydów z kontynentu. Sytuacja się zaostrzała, okupanci byli coraz bardziej nerwowi, a co za tym idzie – niebezpieczni.

– Niemcy przeliczyli się z Rosją – powiedział doktor Wyatt któregoś wieczora, gdy Mae zaprosiła Beatrice na kolację i wszyscy razem siedzieli w małym, przytulnym pokoju stołowym. – Na razie jeszcze wszystko idzie dobrze, ale porwali się na wojnę ze zbyt potężnym przeciwnikiem i prędzej czy później poczują, że grunt pali im się pod nogami.

Słyszało się o intensywnych bombardowaniach Londynu i wielu mieszkańców wyspy martwiło się o mieszkających tam bliskich. Nadal nie mieli z nimi żadnego kontaktu, żadnych wieści z Anglii, ale co chwila pojawiały się nowe plotki, sensacje i domysły.

„W Londynie nie sposób przespąć nawet jednej nocy – powtarzano z ust do ust. – Mieszkańcy godzinami przesiadują w piwnicach, a nad ich głowami wałęsają się domy, płoną całe ulice. Wszyscy wysyłają dzieci na wieś. Jest wiele ofiar śmiertelnych”.

„Miejmy nadzieję, że rodzice wyjechali z miasta” – myślała Beatrice.

Erich coraz częściej wyjeżdżał na kilka dni, czasami nawet na tydzień lub dwa do Francji, nie mówił jednak Helene ani Beatrice, co właściwie tam robił. Helene przypuszczała, że nadzorował transport materiałów budowlanych na wyspę, przede wszystkim zbrojonego betonu. Beatrice przekonała się, że pod jego nieobecność życie było o wiele bardziej znośne. Częściej zaglądała do Wyattów. Choć z Mae niewiele ją łączyło, lubiła

spędzać wieczory z angielską rodziną, wolała to niż wysłuchiwanie wiecznego narzekania Helene. Ta co prawda namawiała ją w kółko, żeby została w domu, ale nigdy jej nie zakazała odwiedzin u Wyattów, w przeciwieństwie do Ericha. Beatrice miała więc więcej swobody, czasami nawet nocowała u Wyattów, bo zrobiło się bardzo późno i Helene nie mogła od niej oczekiwać, że wyjdzie na zewnątrz po godzinie policyjnej.

Jesienią i zimą depresja Ericha przybierała na sile; kulminacja nastąpiła dwudziestego czwartego grudnia – w jego urodziny. Boże Narodzenie mieli obchodzić zgodnie z niemieckim zwyczajem, z wieczerzą wigilijną, choinką, przy blasku świec. Pierre z Willem ustawili choinkę w saloniku, w południe Helene i Beatrice zaczęły ją ubierać. Erich zniknął w sypialni, przez wiele godzin nie dawał znaku życia, aż zdenerwowana Helene zaproponowała, żeby Beatrice zajrzała do niego i zapytała, jak się czuje.

– Cokolwiek by mówić, to jego urodziny. Jeszcze nawet nie rozpakował prezentów, zresztą powinniśmy w końcu pokroić tort. Powiedz mu, żeby do nas dołączył.

– Sama mu to powiedz.

Helene przypominała spłoszonego królika.

– Sama nie wiem... Zawsze bardzo przeżywa swoje urodziny... Nie mogłabyś ty...

„Przecież to jej mąż – myślała z goryczą Beatrice, idąc na górę. – Dlaczego zawsze posługuje się *mną*, gdy chodzi o *niego*?”

Erich nie zareagował na pukanie, ale drzwi były otwarte, więc Beatrice po prostu weszła do pokoju. Od razu otoczył ją zapach alkoholu; wypełniał całe pomieszczenie, mieszał się z nieprzyjemnym odorem potu. Erich stał przy oknie, wpatrzony we wczesny zimowy zmierzch, który już spowijał ogród i gęstniał z każdą chwilą. Nie zapalił światła i w pokoju widać było tylko zarysy mebli.

– Beatrice? – zapytał, nie odwracając się. – To ty?

– Sir, chcieliśmy zapytać, czy zejdzie pan do jadalni. Helene chciałaby pokroić tort.

– Koszmarna pora roku, prawda? – Puścił jej pytanie mimo uszu i nadal

się nie odwracał. – Taka ciemna, taka zimna. Zauważyłaś, że przez cały dzień niebo było ciemne? Ani odrobiny słońca, tylko ciężkie, szare chmury. Ciemność poranka przeradza się w ciemność wieczoru, a pomiędzy nimi nie ma nic.

– Sir...

– Zastanawiałaś się kiedyś, jaki wpływ na człowieka ma pora roku, w której się urodził? W jasności czy w mroku? W cieple czy w zimnie? Myślisz, że to ma wpływ na jego życie?

– Chyba nie.

– Beatrice, ty urodziłaś się na początku września. Pod koniec lata, gdy świat jest pełen zapachów i kolorów, i z każdym dniem jest ich więcej. Urodziłaś się i na świecie powitały cię jasność i piękno. Pewnie wydawało ci się, że trafiłaś do raju.

Trochę bełkotał, robił coraz dłuższe pauzy między słowami, nie mógł się skoncentrować, ale na tyle długo o tym myślał, że mimo wszystko był w stanie ubrać tę myśl w słowa:

– A ja przyszedłem na świat w najciemniejszej porze. Dwudziestego czwartego grudnia. Dwudziesty pierwszy grudnia to najkrótszy dzień roku. Dwudziestego czwartego nie jest lepiej. Właściwie to nawet nie dzień, to wieczna noc.

Na dworze za oknem gęstniał mrok. Beatrice nie bardzo wiedziała, jak mogłaby zakwestionować jego słowa.

– Ale za to mamy Boże Narodzenie – powiedziała w końcu. – A to coś wyjątkowego.

Erich roześmiał się gorzko, boleśnie.

– O tak, coś wyjątkowego – prychnął. – Ten cholerny dwudziesty czwarty grudnia jest tak ważny, że nikomu nie przyjdzie do głowy, że tego dnia mogłoby się wydarzyć coś jeszcze oprócz narodzin Jezusa. A moje urodziny? Nikogo nie obchodziły. Nigdy.

W końcu się odwrócił. Beatrice z trudem widziała jego twarz. Wydawał się szary, stary, zmęczony.

– A wiesz, ja nigdy nie byłem ważny. Dla nikogo. Wiesz, co mi często powtarzała moja matka? „Erich – mówiła – zepsułeś mi wtedy święta. Wszyscy siedzieli przy choince i świętowali, a ja leżałam w łóżku

i wydawałam cię na świat. Nie mogłeś sobie wybrać innego dnia?”

– Na pewno żartowała – zauważyła Beatrice.

– Żartowała, oczywiście, jasne. Ale żart nigdy nie jest *tylko* żartem, rozumiesz? Zawsze jest w nim odrobina prawdy. W tamtą Wigilię 1899 roku moja matka pewnie myślała: „Do licha, dlaczego akurat dzisiaj? Czy ten szkrab nie mógł poczekać? Albo trochę się pospieszyć? Dlaczego akurat dzisiaj?”.

– Tego chyba nie można sobie wybrać – zauważyła Beatrice rzeczowo. Jak zwykle podczas rozmowy z Erichem poczuła, że zbliża się ból głowy. Jakby jej mózg doznawał skurczy. Czy nie mógłby sam się uporać ze swoimi problemami?

Przyglądał się jej.

– Moje życie jest równie ponure jak dzień, w którym przyszedłem na świat.

– Może zejdzie pan na dół?

– Później – odparł i odwrócił się do okna.

Nie przyszedł na kolację. Helene i Beatrice same siedziały nad sałatką śledziową i winem.

Helene była zdenerwowana i spięta.

– Ten dzień co roku jest koszmarny – mruknęła, niespokojnie bawiąc się serwetką. – Właściwie nie bardzo wiem, z czym nie może się uporać. Chyba po prostu z tym, że z roku na rok jest coraz starszy.

– Albo z tym, że tego dnia nie jest w centrum uwagi – dodała Beatrice.

Zjawił się, kiedy Helene i Beatrice chciały już iść spać. Świece na choince się wypaliły, sprzątnięto już ze stołu, w pokoju panowała senna atmosfera. Wino zaszumiło Beatrice w głowie; po raz pierwszy piła alkohol. Nie była w stanie skoncentrować się na otoczeniu.

Erich był w szampańskim humorze, bardzo ożywiony. Beatrice przypuszczała, że zażył coś dla poprawy nastroju.

Nie chciał nic jeść, ale narzekał, że nie palą się już świece na stole i na choince, i w końcu Helene poszła po nowe, znalazła je, umocowała w lichtarzach, zapaliła. Erich zdecydował, że wszyscy razem zaśpiewają *Cichą noc*, ale śpiewał tylko z Helene, bo Beatrice nie znała tekstu po niemiecku. Potem stanął pośrodku pokoju i wygłosił płomienną

mowę o wojnie, nie stroniąc od wielkich słów i zamaszystych gestów. Zwycięstwo jest na wyciągnięcie ręki, Führer lada dzień udowodni całemu światu swoją wielkość, rasa panów uwolni ziemię od niedoskonałych form istnienia. Wykrzykiwał banały ochrypłym pijackim głosem, ale w jego spojrzeniu, gestykulacji, w jego postawie było coś fałszywego. „Sam nie wierzy w to, co mówi – stwierdziła Beatrice. – Wygłasza zasłyszane slogany, bo nie chce się nad tym zastanawiać. Ale to bzdury, i on dobrze o tym wie”.

– Idę spać – powiedziała i chciała wstać, ale Erich pchnął ją z powrotem na krzesło.

– Siadaj. Jeszcze nie skończyłem.

Mówił dalej, przerywając swoją tyradę dla otwarcia butelki wina, nalał Helene i Beatrice, mimo jej protestów, sam wypił kolejne dwa kieliszki. Mówił coraz bardziej niewyraźnie, czasami zdania nie miały sensu, potem znowu brzmiały w miarę logicznie, choć to były już tylko powtórki nazistowskiej propagandy.

W pewnym momencie świece znowu się wypaliły, ale Erich już nie stał, tylko siedział, kurczowo trzymając się stołu, i w pewnym momencie oznajmił, że nazywa się Erich Feldmann i nikomu nic do tego.

– Może powinniśmy zaprowadzić go na górę – podsunęła Beatrice.

Erich nie protestował, gdy wsparły go z obu stron i zaciągnęły na górę. Chciał coś powiedzieć, ale nie był w stanie wykrztusić jednego wyraźnego słowa. W sypialni podprowadziły go do łóżka. Runął na nie jak długi i natychmiast zasnął.

– Rano będzie się fatalnie czuł – stwierdziła Helene z westchnieniem. – Zastanawiam się, czy jest szansa, że kiedyś przeżyjemy razem święta Bożego Narodzenia, które nie będą *koszmarnie!*

Według Beatrice właściwie każdy dzień w jego towarzystwie był koszmarem, ale nic nie powiedziała. Pragnęła snu i spokoju, a jeszcze bardziej tęskniła za Deborah i Andrew.

Następnego ranka obudziła się bardzo wcześnie, choć poszła spać bardzo późno. W okno zaglądał mglisty, zimny dzień, szary i ponury.

Przypomniało jej się, co mówił Erich o tej porze roku i niemal poczuła na własnej skórze dreszcz, który nim wstrząśnie, gdy tego ranka uniesie powieki i zobaczy mgłę. Zaraz jednak pomyślała, że to przecież dwudziesty piąty grudnia, dzień Bożego Narodzenia, i dawniej cieszyłaby się na to święto bez względu na mgłę i zimno. W saloniku na kominku buzowałby ogień, dom przepęłniałby zapach kawy i jajecznicy na bekonie, a ona klęczałaby w szlafroku na dywanie i rozpakowywała prezenty. Otoczona ciepłem i miłością słuchałaby, jak Deborah nuci pod nosem kolędy.

Wstała, ubrała się, zeszła na parter, zajrzała do zimnej, nieprzytulnej jadalni, w której został jeszcze zaduch świec oraz puste kieliszki i butelki na stole – ślady alkoholowego szaleństwa, któremu poprzedniego wieczora oddawał się Erich.

Nagle poczuła, że nie zniesie dzisiejszego poranka w tym domu, z Erichem i Helene. Będzie za smutno, zbyt beznadziejnie. Włożyła płaszcz, wymknęła się na dwór i ruszyła do Mae.

Powietrze było zimne i wilgotne, gęsta mgła ograniczała widoczność do kilku metrów. Na łąkach po obu stronach drogi srebrzyły się mleczne pasma. Co jakiś czas promień słońca przebijał się przez mgłę i ścielił się na trawie i murku. Wszędzie panowała cisza, idealna cisza, jakby mgła pochłonęła całe życie. Beatrice wyprostowała się i zadrżała; wiedziała, że ten dreszcz wywołała nie tylko temperatura.

Przytulny dom Wyattów, z okiennicami w oknach i drzewami owocowymi w sadzie, kusił na skraju wioski. Był ciemny, co bardzo ją zirytowało. Czyżby jeszcze spali? Ale okiennice były otwarte i po chwili wahania Beatrice dotknęła kołatki.

Cisza. Spróbowała jeszcze raz i znowu nic. Obeszła dom, dotarła do drzwi kuchennych, zajrzała przez okno i zobaczyła Julię, który siedział przy stole, pijąc kawę.

Zobaczył ją w tej samej chwili. Zerwał się na równe nogi. Wydawało się, że w pierwszej chwili chciał uciekać, chować się, zaraz jednak chyba zdał sobie sprawę z bezsensowności takiego zachowania. Stał więc nieruchomo i przyglądali się sobie, ona ze zdumieniem, on z przerażeniem.

A potem podszedł do drzwi, uniósł zasuwę i otworzył.

– Beatrice! – zawołał ochryple. – Jesteś sama?

– Tak, sama. Julien... Nie wiem, co...

Cofnął się o krok.

– Wejdz, proszę – szepnął. Ledwie przekroczyła próg, szybko ponownie zaryglował drzwi.

– Pukałam do drzwi frontowych. – Beatrice odruchowo także zaczęła szeptać. – Ale kiedy nikt nie otwierał...

– Nie słyszałem – odparł. Był bardzo blady, najwyraźniej bardzo się przestraszył. – No tak, postąpiłem bardzo nierozsądnie, siedząc w kuchni. Przecież równie dobrze to Niemcy mogliby nagle zjawić się na progu.

– Albo sąsiedzi, którzy mogliby na pana donieść – zauważyła. – Od kiedy pan tu jest?

– Od trzeciego dnia po ucieczce. Początkowo ukrywałem się w jaskini na brzegu, ale tam nie zdołałbym przeżyć. Doktor Wyatt był jedynym, kogo znałem i komu ufałem. Od razu przyjął mnie pod swój dach.

– Tyle razy tu byłam i nigdy niczego nie zauważyłam – dziwiła się Beatrice.

– Mieszkam na strychu. – Julien skrzywił się lekko. – Niezbyt przytulne miejsce, ale lepsze to niż praca u Niemców. Doktor Wyatt kombinuje, jak mnie wywieźć z wyspy, uważa jednak, że na razie to zbyt niebezpieczne. Niemcy pilnują całego wybrzeża.

– Mae wie? – zainteresowała się.

Julien twierdząco skinął głową.

– Oczywiście, bez jej wiedzy nie byłoby to możliwe. Najwyraźniej jednak trzymała język za zębami.

– Owszem. – Beatrice była pod wrażeniem. Dziecinna, roztrzepana Mae potrafiła dochować tajemnicy. Nie posądzała jej o to.

– A gdzie Mae i jej rodzice?

– U przyjaciół. Zaprosili ich na świąteczne śniadanie, wrócą w południe. Napijesz się kawy, Beatrice? Siadaj, proszę! – przysunął jej krzesło. Powoli opuszczało go napięcie. – Musiałem zejść z tego strychu, musiałem. Tam na górze można oszaleć. Czasami dopada mnie klaustrofobia. Mam ochotę otworzyć okno na oścież i krzyczeć, ale oczywiście tego nie robię. – Wyjął z kredensu drugą filiżankę, postawił

przed Beatrice, nalał jej kawy. – Proszę, napij się, chyba bardzo zmarzłaś.

Gorąca kawa dobrze jej zrobiła. Beatrice zacisnęła palce na filiżance, czuła, jak ciepło ogrzewa jej dłonie.

Jak to miło siedzieć tu z Julienem przy kawie, zamiast wysłuchiwać bredni Ericha i jęków Helene.

– Co pan robi całymi dniami?

Julien spojrzał na nią z dumą.

– Uczę się angielskiego. To znaczy znam go ze szkoły, ale brakowało mi praktyki. A teraz czytam po angielsku, doktor Wyatt dał mi też podręcznik do gramatyki. Nie słyszysz, że mówię lepiej?

– Doskonale.

Rzeczywiście, jego angielszczyzna znacznie się poprawiła, ale nadal mówił z silnym francuskim akcentem, co jednak Beatrice bardzo się podobało. Mogłaby go słuchać godzinami.

– Nie wiem, czy jeszcze kiedyś wrócę do kraju – ciągnął. – Moim zdaniem wolna Francja niedługo przestanie istnieć. Trzecia Rzesza rozrasta się jak rak, szybko, bezlitośnie. Gdyby więc kiedykolwiek udało mi się wyrwać z tej wyspy, pewnie udam się do Anglii i dlatego warto, żebym dobrze znał ten język.

Jego ciemne, melancholijne oczy zasnuły się mgłą, na twarzy pojawił się wraz smutku i zmęczenia, który do głębi poruszył Beatrice. Chciała wziąć go za rękę, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie.

– Tęskni pan, prawda? – zapytała zamiast tego.

Skinął głową.

– Czasami wydaje mi się, że umrę z tęsknoty. Za rodzicami, rodzeństwem, za krajem. Za przyjaciółmi, za językiem. I za wolnością. – Odetchnął głęboko. – Beatrice, w twoich włosach i ubraniach jest zimno i wilgoć. Chciałbym zanurzyć w nich twarz i pić. Często mnie kusi, żeby pobiec przed siebie, przez łąki, wzdłuż urwiska, przez las, położyć się na ziemi, wdychać zapach trawy, kwiatów, drzew, poczuć na twarzy zimny wiatr. Wydaje mi się, że oszaleję, jeśli zaraz się nie przekonam, ile mam siły, jak działają moje mięśnie... – Poruszył ramieniem. – Codziennie ćwiczę z ciężarkami. Nie mogę przecież siedzieć beczynnie i bezradnie patrzeć, jak moje ciało traci siły i energię.

– Może to już niedługo – pocieszała. – Mówi się, że Niemcom nie najlepiej idzie w Rosji.

Julien rozłożył ręce.

– I co to niby ma za znaczenie? Hitler zawarł pakt z diabłem, a diabeł jest potężny. – Gwałtownie zmienił temat. – Jak tam Pierre? Nadal u was jest?

– Tak. Przesłuchiwali go wtedy. I torturowali.

– Tego się obawiałem. Nie powinienem był uciekać, prawda? Ale już od dawna chodziło mi to po głowie. Snułem plany, namawiałem Pierre'a, żeby uciekał ze mną, ale za bardzo się bał. W kółko powtarzał, że nie odważy się na coś takiego, aż w końcu zrozumiałem, że muszę zrobić to sam, bo on naprawdę się nie zdobędzie.

– Czuję się w miarę dobrze – odparła Beatrice. – W zimie nie ma za wiele do roboty. Dostaje bardzo małe racje żywnościowe, ale poza tym traktują go znośnie.

Julien skinął głową, ale myślami był gdzie indziej. Niespokojnie błądził wzrokiem po kuchni.

– Musimy być bardzo ostrożni – podkreślił. – Jesteś pewna, że nikt cię nie śledził?

– Nikt, na pewno. I nikomu nic nie powiem. Mam tylko nadzieję... – Nie dokończyła, wiedziała, że Julien domyślał się, co miała na myśli. Rewizje były na wyspie na porządku dziennym i równie dobrze mogło pewnego dnia paść na doktora Wyatta. Julienowi cały czas groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. – Przetrywamy to wszystko – powiedziała i zatoczyła łuk dłonią, zamykając w tym geście i małą kuchnię, i całą wyspę. – Wszystko. Niemców, wojnę, cały ten cholerny bałagan.

Julien uśmiechnął się po nosem, rozpogodził się i nagle wyglądał na tak młodego, jak naprawdę był.

– Cały ten cholerny bałagan – powtórzył. – O tak, na pewno to przetrwamy.

Na wojnie szczęście zaczęło odwracać się od Niemców na wiosnę 1942 roku i mimo wysiłków okupanta, by zablokować przepływ informacji

i zastąpić fakty własną propagandą, mieszkańcy wysp wiedzieli dokładnie, jak wygląda sytuacja na światowych frontach; nie było prawie domu, w którym ukradkiem nie słuchano by BBC. Plotki krążyły od domu do domu, od wioski do wioski. Mówiło się, że w Rosji sytuacja wcale nie jest taka różowa, a w Niemczech cywilom dają się we znaki angielskie naloty. Jedni twierdzili, że lada dzień Ameryka przystąpi do wojny, drudzy upierali się, że to nigdy nie nastąpi. „Churchill planuje inwazję na kontynencie” – dowodzili niektórzy. „Bzdura – oburzali się inni – nigdy nie zgromadzi odpowiednich wojsk”. Fala przybierała, ale nikt nie wiedział jeszcze, co przyniesie. A jednak w pewien trudny do określenia sposób coś się zmieniło; zwycięska aura Niemców traciła blask.

Naziści wierzyli, że nikt i nic ich nie powstrzyma, a tymczasem się okazało, że wcale tak nie jest i nawet Niemcy są wrażliwi na ciosy.

– Szczęście długo im dopisywało – przyznawał doktor Wyatt. – Ale taka szczęśliwa passa nigdy nie trwa wiecznie, zawsze zdarzają się i wzloty, i upadki, i w życiu nazistów, i nas wszystkich.

Beatrice coraz więcej czasu spędzała u zaprzyjaźnionej rodziny, bo Erich bardzo często przebywał we Francji, a Helene, choć usiłowała zatrzymać ją w domu, nie śmiała jej niczego zakazać. Beatrice widziała, że Mae jest zazdrosna o Julię; do tej pory była jedyną osobą niedoroślą, która wiedziała o jego kryjówce, a teraz wtajemniczono także Beatrice. A poza tym Beatrice spędzała więcej czasu z nim na górze niż z Mae na ploteczkach, zwierzeniach i spacerach. Z nim rozmawiała godzinami, odpytywała go z angielskich słówek i uczyła się francuskiego. Czytał jej Wiktora Hugo i opowiadał, że ten francuski pisarz mieszkał kiedyś na Guernsey.

– Czytaj dalej – prosiła, bo historia Quasimoda, dzwonnika z Notre-Dame, zafascynowała ją do tego stopnia, że nie mogła się doczekać dalszego ciągu.

– Mnie już chyba w ogóle nie poznajesz – pożaliła się Mae pewnego dnia, gdy Beatrice wpadła z wizytą, przywitała się i od razu skierowała na strych.

– Obiecałam Julienowi, że... – zaczęła Beatrice, ale Mae nie dała jej dokończyć.

– Julien, Julien, Julien! Myślisz już tylko o nim! Wiesz, co myślę? Zakochałaś się w nim, właśnie tak! Zadurzyłaś się po uszy i dlatego w kółko do niego przychodzisz!

– No wiesz, większej bzdury od dawna nie słyszałam – stwierdziła oburzona, ale słowa Mae przez cały dzień nie dawały jej spokoju. „To prawda” – doszła do wniosku i ta świadomość wstrząsnęła nią do głębi. Oczywiście, że się w nim zakochała; właśnie to było to dziwne uczucie, które wypełniało ją od pewnego czasu. Odkąd Julien w dniu ucieczki tak dziwnie na nią popatrzył, coś się w niej zmieniło, ale do tej pory nie wiedziała, co to było. A teraz, gdy już wiedziała, oczekiwanie stało się niemal nie do zniesienia. Poszła do domu, zamknęła się w pokoju, przyglądała się swemu odbiciu w lustrze nad komodą i usiłowała spojrzeć na siebie oczami Julienu. Widziała wysoką, chudą dziewczynkę o patykowatych rękach i nogach, o wąskiej twarzy, która wydawała jej się niedokończona, za ostra. Miała lekko skośne oczy. Kocie, mawiała Helene, o poważnym, nieco sceptycznym spojrzeniu. Wydawała się starsza niż Mae, jak stwierdziła, w ogóle wyglądała na więcej niż trzynaście lat. Nie podobały jej się kręcone brązowe włosy, były za grube, zbyt niesforne, splątane, a powinny być miękkie i jedwa biste.

Z westchnieniem stanęła bokiem, żeby obejrzeć się z profilu, uniosła włosy do góry, uśmiechnęła się kokieteryjnie, choć nie bardzo jej to wyszło. Nie była typem kokietki i przeczuwała już, że nigdy nie będzie.

Po chwili wahania powoli zsunęła z ramion sukienkę. Była to jedna z letnich kreacji Helene, którą ta dla niej przerobiła. Beatrice wiedziała, że ładnie w niej wygląda i wkładała ją często, idąc do Julienu. Delikatna zielen podkreślała kolor jej oczu, sprawiała, że we włosach pojawiały się kasztanowe błyski. Tak przynajmniej mówił Julien. Sama tego nie widziała, ale wystarczyło, że on to dostrzegał.

Sukienka zsunęła się z bioder, opadła wzdłuż nóg na podłogę. Z wahaniem zadarła lniany podkoszulek. Najpierw nieśmiało, potem krytycznie oglądała swoje kościste ciało, widoczne łuki żeber, wyraźnie zarysowane pod bladą skórą, małe, białe piersi poprzecinane błękitnymi żyłkami, zwieńczone nabrzmiętymi, czerwonymi sutkami. Majteczek nie zdjęła, czułaby się głupio, przez lustro i przez myśli o Julienie. Ale i tak

widziała ostro zarysowane biodra i długie, smukłe, gładkie uda.

„Powinnam trochę przytyć – myślała. – Mężczyznom to się chyba podoba”. Przypomniała sobie, jak czasami Deborah narzekała, że przytyła, na co Andrew odpowiadał, że powinna dbać o każdy gram i postarać się, by było ich jeszcze więcej.

– Przecież muszę mieć za co złapać – mawiał. – Czy mam stać z pustymi rękami!

– Dziecko! – syczała Deborah speszona, ale „dziecko” i tak wszystko słyszało i widziało, jakim spojrzeniem Andrew pieścił ciało żony. „Tak samo jak Julien, kiedy na mnie patrzy” – pomyślała.

Ta myśl wywołała dziwne uczucie w brzuchu, dreszcz, przyjemny, ciepły ciężar.

Może Julien też się w niej zakochał.

Ta myśl budziła niepokój, ale i radość, oznaczała, że w jej życiu coś się zmieni, a może nawet, że już się zmieniło. A może tylko wmawia sobie bzdury; czy dwudziestoletni mężczyzna naprawdę mógłby się zakochać w trzynastoletniej dziewczynce?

„We wrześnie czternastoletniej” – poprawiła się.

Kilka dni później przypadkiem poruszyła temat urodzin w rozmowie z Julienem. Zapytał, co chciałaby od niego dostać. Siedzieli na strychu i przed chwilą skończyli czytać *Dzwonnika z Notre-Dame*. Na dworze było bardzo gorąco; uchylili lufcik, ale powietrze i tak było lepkie i duszne. Julien był niespokojny, co chwila przerywał lekturę, kręcił się bez celu po pokoju. Wkrótce miał minąć rok, odkąd uciekł i zapadł się pod ziemię, i ta myśl napawała go przerażeniem.

– Rok! Cały rok! – Francuski akcent w jego głosie był bardziej słyszalny niż zazwyczaj. – Już od roku siedzę na tym strychu jak zwierzę w klatce i nic się nie zmieniło. Niemcy nadal tu są, nadal okupują mój kraj i te wyspy. I tak może być jeszcze przez wiele lat! Przesiedzę całe życie na strychu! W pewnym momencie przestanę nawet liczyć na zmianę, bo nie będę już w stanie funkcjonować na zewnątrz. Bo to się zapomina, wiesz? A może Niemcy odejdą, gdy będę stary, i kiedy wyjdę, zobaczę świat w niczym nieprzypominający tego, który zapamiętałem.

– Wszyscy twierdzą, że niemiecka zwycięska passa wkrótce się

skończy.

– Tego nie wie nikt. Nie wiadomo, jak będzie. A mnie życie przecieka między palcami. Siedzę tu i nikt mi nie pomaga. Nikt!

W pewnym momencie znowu usiadł, sięgnął po książkę, ale był zdekoncentrowany i czytał tak szybko, że momentami Beatrice w ogóle nie mogła go zrozumieć. W końcu zamknął książkę, spojrzał na nią i zapytał, kiedy ma urodziny i jakie ma plany na ten dzień.

– Nie wiem, do tego jeszcze mnóstwo czasu...

– Mimo wszystko chciałbym wiedzieć, na co masz ochotę.

Zamyśliła się.

– Chciałabym mieć tę książkę – powiedziała. – *Dzwonnika z Notre-Dame*.

Julien natychmiast podał jej książkę przez stół.

– Proszę, weź ją sobie. Oczywiście, że możesz ją zatrzymać – to twoja pierwsza powieść po francusku. Ale ta stara, poplamiona książka to nie jest prawdziwy prezent urodzinowy.

Nie miała pojęcia, co jeszcze mógłby jej podarować. Nie miał przecież nic; nawet ubrania, które nosił, należały do doktora Wyatta.

– Cudowny prezent – zapewniła.

– Nie, nie. – Julien wstał i znowu chodził wokół niej. Widziała napięcie na jego twarzy. Nagle zatrzymał się w pół kroku.

– Mam pomysł – oznajmił. – Nie mogę dać ci prawdziwego prezentu, ale możemy w twój dzień zrobić coś szalonego. Spędzimy tę noc nad morzem. Pójdziemy na urwisko, usiądziemy na piasku w blasku księżyca, może nawet wykąpiemy się w morzu i...

Beatrice się roześmiała.

– Przecież to niemożliwe, to zbyt niebezpieczne.

– Oczywiście, że możliwe. Zachowamy ostrożność i nikt nas nie zobaczy.

– Po godzinie policyjnej nie można wychodzić, wybrzeże patrolują niemieckie łodzie. Na pewno ktoś nas zobaczy. Co prawda na początku września noce nie są tak jasne jak teraz, ale...

– Ale...?

– Nie powinniśmy – powtórzyła bez przekonania.

Wystarczyły dwa kroki, by znalazł się koło niej, ściągnął ją z krzesła,

zamknął w ramionach. Jeszcze nigdy nie byli tak blisko siebie.

– Zrobimy to – powiedział cicho. – Nie możemy ciągle umierać ze strachu. Zróbmy coś szalonego, dzikiego, niebezpiecznego!

Cały czas przecząco kręciła głową, ale jej opór malał z każdą chwilą. Nawet jeśli oszaleje ze strachu, lepsze to, niż przez całą noc stać w oknie, wpatrywać się w aksamitną czerń nieba, wsłuchiwać w szum drzew i traw, i rozmyślać, co by było, gdyby zdobyła się na odrobinę odwagi.

– Zostaliśmy kochankami w moje czternaste urodziny – powiedziała Beatrice. – I byliśmy nimi przez kilka kolejnych lat. Byłam wtedy pewna, że nikogo nie pokocham tak jak jego. W tym wieku miłość jest przeraźliwie intensywna, odbiera grunt pod nogami. Myślałam tylko o Julienie, dniami i nocami. Czasami przypominało mi się, że powinnam bardziej martwić się o rodziców, i wtedy ogarniały mnie wyrzuty sumienia, ale na krótko. Byłam po uszy zakochana w Julienie, promieniałam ze szczęścia. Mimo koszmaru wojny byłam przeszczęśliwa.

– I nikt pani tamtej nocy nie widział? – spytała Karin.

Beatrice pokręciła głową.

– Noc była bardzo jasna. Biegliśmy wzdłuż urwiska i zapewne byliśmy widoczni z daleka, ale szczęście nam sprzyjało. Nic się nie stało. Aż do rana mieliśmy spokój.

– Romantyczna historia – stwierdziła Karin, a Beatrice zauważyła:

– Czasami sobie myślę, że romantyczne historie powstają w trudnych czasach. Człowiek ryzykuje bardziej, żeby dostać to, czego pragnie.

Cały czas siedziały w kuchni, było już po północy, na dworze padał deszcz. Kwietniowy deszcz bębnił monotonnie, mocno. Wcześniej przyjechał dostawca pizzy z jedzeniem i teraz w kuchni stały puste pudełka, a powietrze przesycił zapach topionego sera, pomidorów i oregano. Beatrice zapaliła świece, ich płomyki odbijały się w kieliszkach, w których zostało jeszcze trochę czerwonego wina. Panowała atmosfera ciepłej bliskości, zaufania, którego do tej pory nie było między Karin i Beatrice. W ciągu minionych godzin powstała między nimi swoista więź, niezobowiązująca, swobodna, taka, jaka zdarza się tylko między kobietami. Nie miało znaczenia, że dzielą je całe pokolenia. Rozumiały się.

– Do dzisiaj zastanawiam się czasami, czy Julien naprawdę mnie kochał – ciągnęła Beatrice. – To znaczy, czy kochał mnie tak, jak ja jego, z tym samym oddaniem i poświęceniem. Wydaje mi się, że dla niego stanowiłam

nić łączącą go z życiem. Był odcięty od świata, zamknięty, pozbawiony nadziei, a kiedy mnie obejmował, kiedy się kochaliśmy, stawał się zwykłym młodym mężczyzną, który kochał się ze swoją dziewczyną. I wtedy żył. Być może na moim miejscu mogłaby być jakakolwiek inna.

– Ale nie Mae – zauważyła Karin. – Mieli pół roku, żeby między nimi zaiskrzyło, ale do niczego nie doszło.

– To prawda, nie Mae. Ale też ona nadal była dzieckiem, w przeciwieństwie do mnie. A poza tym była córką ludzi, którzy go ukrywali, którzy dla niego ryzykowali wszystkim. Gdyby się z nią przespał, wtedy, gdy była tak młoda... Myślę, że miałby straszne wyrzuty sumienia. Nie mógłby tego zrobić.

– Pani też była młodziutka.

– Naszej pierwszej nocy skończyłam czternaście lat. W dzisiejszych czasach dziewczęta zaczynają chyba jeszcze wcześniej. Wtedy rzeczywiście było to coś wyjątkowego, ale... – Beatrice wzruszyła ramionami. – W zaistniałych okolicznościach nie mogło być inaczej. Tak w każdym razie mi się wtedy wydawało.

– Nie bała się pani, że zajdzie w ciążę?

– Cały czas. Bez przerwy. Staraliśmy się uważać na tyle, na ile było to możliwe, a koniec końców pewnie zwyczajnie mieliśmy szczęście. Przez tyle lat nic się nie stało.

– A Wyattowie niczego nie zauważyli?

– Przywykli już, że godzinami przesiadywałam u niego na strychu. Zresztą doktora Wyatta i tak prawie nigdy nie było w domu. Kłapa w podłodze była zamknięta, schodki wciągnięte na górę ze względów bezpieczeństwa, na wypadek gdyby doszło do nagłej rewizji. Tak więc, jeśli Mae albo jej mama czegoś od nas chciały, otwieraliśmy drzwiczki i opuszczaliśmy drabinkę. Nikt nie mógł nas zaskoczyć.

– Mimo wszystko nie zdziwiłabym się, gdyby pani Wyatt nabrała jakichś podejrzeń. Młody chłopak i młoda dziewczyna... tyle godzin we dwoje...

– Pani Wyatt umierała ze strachu przez Julię. Miała wrażenie, że jej rodzina jest cały czas w niebezpieczeństwie. Myślę, że nie miała już siły martwić się o moją cnotę. Dwa lata temu byłam u niej w Londynie w domu

starców i wspominałyśmy tamte czasy – do dzisiaj nie ma o niczym pojęcia. Może się nawet cieszyła, że dotrzymuję Julienowi towarzystwa, że miał jakąś rozrywkę i nie narzekał wiecznie. Ani nie snuł planów ucieczki. Co prawda najchętniej wysłałaby go na koniec świata, ale zarazem była przekonana, że gdyby go schwytano, mógłby zdradzić, gdzie się do tej pory ukrywał. Była wiecznie blada i spięta.

– A Mae...?

– Z Mae rzeczywiście było trudniej. Wyczuwała, że coś przed nią ukrywam, ale nie miała żadnych podstaw, by cokolwiek podejrzewać. Nasza przyjaźń przechodziła poważny kryzys, choć tak naprawdę to była moja wina. Właściwie nie zwracałam na nią uwagi. Pewnie było jej bardzo przykro.

Karin sięgnęła po butelkę i dołała sobie wina. Wypiła już i tak za dużo, czuła przyjemną lekkość i pomyślała, że chyba rozsądniej będzie na tym poprzestać, ale tym razem tej myśli nie towarzyszyło poczucie winy, że może się upić. Bo też nie piła tak jak ostatnimi czasami wieczorami przed telewizorem: z gniewem, za wszelką cenę chcąc się znieczulić, wiedząc zarazem, że następnego dnia czekają ją dreszcze i ból głowy.

Dzisiaj piła, bo alkohol dobrze wchodził, bo wino jej smakowało. Było jej dobrze w przytulnej kuchni. Monotonne stukanie deszczu niesło ukojenie. Czuła, jak gdzieś głęboko w jej sercu rodzi się przekonanie, jeszcze nie do końca uformowane, nieubrane w słowa, że życie może być piękne.

– Zresztą tak naprawdę podejrzliwa była Helene – podjęła Beatrice przerwany wątek. Zapaliła chyba dwudziestego papierosa tego wieczora i paliła z taką rozkoszą, jakby to był pierwszy. – A przecież akurat ona wiedziała najmniej. Ale w kółko powtarzała, że się zmieniłam, że mam inną aurę. Najwyraźniej wyczuwała we mnie coś, co budziło jej niepokój.

– A teraz wie? – zapytała Karin.

Beatrice skinęła głową.

– Tak, z czasem się dowiedziała. Po wojnie. Ale wtedy już nic nie mogła na to poradzić.

Dwie i pół godziny wcześniej słyszały, jak Helene wróciła do domu. Kevin na pożegnanie szepnął jej coś tajemniczo, co zapewne sprawiło, że

poczuła się jak młoda dziewczyna, którą wielbiciel za późno odprowadza do domu i obawia się, że obudzi jej rodziców.

– Wie doskonale, jak się zachować – stwierdziła Beatrice ze złośliwym uśmiechem.

Helene na chwilę zajrzała do kuchni, okręciła się tak, że jej biała sukienka zawirowała.

– Nie śpicie jeszcze? – Jej oczy błyszczały. Ubrała się rzeczywiście bardzo nieodpowiednio do swego wieku, ale w jej twarzy Karin widziała ślady dawnej urody. – To był cudowny wieczór! Kevin przygotował boską kolację! Chyba zaraz pęknę, tyle zjadłam! Słuchaliśmy muzyki, a gdy się ściemniło, Kevin zapalił wszystkie świece w pokoju. No, dzisiaj na pewno będę dobrze spała! – Posłała im całusa. – Dobranoc! Niech wam się przyśni coś pięknego!

I już jej nie było, z nietypową w jej wieku lekkością wbiegła na piętro.

– Dobrze się czuje – zauważyła Karin. – A to najważniejsze.

– Kevin zapewne też – mruknęła gorzko Beatrice. – Bo Helene wiele zapłaci, żeby przeżyć więcej takich wieczorów.

Potem odezwała się z namysłem:

– Wydaje mi się, że w tamtym okresie Helene mnie nienawidziła. Wiedziała, że coś się dzieje, wiedziała, że jej nic nie powiem. Zdesperowana zwróciła się do Ericha. Powiedziała mu, że znikam na długie godziny i ona się obawia, że wpadłam w złe towarzystwo. Erich nie posiadał się ze złości. Tak często wyjeżdżał, że właściwie nic nie zauważył i teraz poczuł się oszukany, zdradzony. Wrzeszczał, że mam mu powiedzieć, z kim się spotykam i gdzie. Powiedziałam, że z Mae – co było ryzykowne, bo przecież właśnie tam ukrywał się Julien, ale o wiele bardziej rzuciłoby mu się w oczy, gdybym powiedziała, że się z nią nie spotykam. Poza tym i tak o tym wiedział. Mówiłam więc, że chodzę na długie samotne spacerunki, tłumaczyłam, że tęsknię za rodzicami, że jestem w takim okresie rozwoju, że pragnę samotności. Ale nie całkiem w to uwierzył. Przyjrzał mi się uważnie i doszedł do wniosku, że jestem jakaś inna. Odparłam, że to pewnie dlatego, że dawno mnie nie widział i po prostu jestem starsza.

– Nie, to nie to, nie tylko to – mruknął, marszcząc czoło. – Jest w tobie coś... coś, co mi się nie podoba! Ani trochę!

W każdym razie zażądał, żebym od tej pory prosto po szkole wracała do domu i siedziała tam do wieczora. Helene kazał pilnować, żebym wypełniała jego polecenie. Liczyłam na to, że uda mi się ją wykiwać, kiedy Erich znowu wyjedzie, ale sprawa okazała się bardziej skomplikowana. Helene miała własny interes w tym, żeby zatrzymać mnie w domu. Nie znosiła samotności i dlatego tak bardzo cierpiała, gdy zniktałam.

– A więc spotkania z Julienem były bardzo utrudnione – domyśliła się Karin.

Beatrice powoli skinęła głową.

– Co jednak nie znaczy, że niemożliwe. Ale oczywiście nie widywaliśmy się już tak często, zresztą związane z tym ryzyko dla wszystkich wplątanych stało się znacznie wyższe. Bo przecież ilekroć wymykałam się ukradkiem, ryzykowałam, że Helene za mną pójdzie albo rozhisteryzowana wpadnie w panikę i zarządzi poszukiwania na szeroką skalę, a to oznaczałoby koniec Juliana oraz wielkie kłopoty dla Wyattów. Wydaje mi się, że właśnie wtedy zaczęłam nienawidzić Helene. Od samego początku działała mi na nerwy, ale właściwie było mi jej żal i tak naprawdę nigdy nie czułam do niej niechęci. Ale teraz poznałam ją od gorszej strony. Zrozumiałam, że jest egoistką, że za jej dziecinną buzią kryje się żelazna wola. Była bezwzględna, jeśli chciała przeforsować to, na czym jej zależało. Wtedy to zrozumiałam i kolejne wydarzenia tylko utwierdzały mnie w tym przekonaniu. Aż w pewnym momencie zorientowałam się, że czuję do niej już tylko pogardę.

Karin się zawahała.

– A jednak zostały panie razem na całe życie.

Beatrice przyglądała jej się uważnie. Gwałtownym gestem zdusiła niedopalek.

– Nie do wiary, prawda? Naprawdę jej się to udało. Ta krucha istotka o okrągłych oczach osiągnęła swój cel; terroryzuje mnie do dziś. Nie lada sukces, musi pani przyznać. Nie udałooby się to wielu innym, silniejszym ludziom.

Karin wydawało się, że powiedziała coś nie tak.

– Bardzo mi przykro, jeśli... – zaczęła, ale Beatrice zbyła ją machnięciem ręki.

– Nie musi pani być przykro, Karin. Miała pani rację. A teraz już czas spać. Dochodzi pierwsza, a jutro też jest dzień.

Zostawiły wszystko na stole i ruszyły na górę.

Karin dopiero teraz poczuła, jak bardzo jest zmęczona. Czerwone wino podziało usypiająco, a monotonne bębnienie deszczu o szyby potęgowało senność. Zasnęła, ledwie przyłożyła głowę do poduszki.

Obudził ją dzwonek telefonu. Jak to się często zdarza, początkowo ten dźwięk stał się częścią jej snu. Była w domu, czekała na Michaela i nagle ktoś zadzwonił do drzwi. „To pewnie on – domyśliła się – muszę mu otworzyć”.

Usiadła w łóżku, rozejrzała się zdumiona, usiłując sobie przypomnieć, gdzie się znajduje. Skojarzyła, że jest na Guernsey, nie w domu, i że to nie dzwonek do drzwi, tylko telefon. Zastanawiała się, czy zbiec do holu, wtedy jednak dobiegł ją głos Beatrice, choć nie słyszała jej słów. Po chwili rozległy się kroki na schodach i ktoś zapukał do drzwi.

– Karin? – spytała Beatrice. – Karin, nie śpi pani?

– Nie, a co?

– Dzwoni pani mąż. Chciałby z panią porozmawiać.

A więc najwyraźniej zastanawiał się, gdzie może być i pomyślał o Guernsey. Nie sposób odmówić mu umiejętności kojarzenia. „Ciekawe, czy się martwił?” – zastanawiała się Karin. Zerwała się z łóżka. „A może tylko się irytuje, że robię coś, nie pytając go o zdanie”.

Spojrzała w okno; padało nadal, ale już nie tak intensywnie jak w nocy.

– Rano znowu zaświeci słońce – zapewniła Beatrice, która czekała przy drzwiach. Była już ubrana, miała wilgotne plamy na odzieży i mokre włosy. Pewnie była już z psami na spacerze. – I dobra pogoda utrzyma się długo.

– Cudownie – powiedziała Karin z ziewnięciem. – O Boże, jak już późno. Strasznie zasnęłam!

– Proszę się nie przejmować, jeszcze nie ma nawet ósmej – zapewniła Beatrice ze znaczącym uśmiechem. – Pani mąż chyba się trochę zdenerwował.

Karin boszo pobiegła do holu i podniosła słuchawkę.

– Tak? – rzuciła. Nie udało jej się powstrzymać ziewnięcia.

– Karin? – W głosie Michaela rzeczywiście wyczuwało się zdenerwowanie. – To ty?

– Tak. O co chodzi?

Miała wrażenie, że rozpaczliwie chwycił powietrze ustami.

– O co chodzi? I ty *mnie* o to pytasz?

– No tak. Przecież to ty do mnie dzwonisz.

– Posłuchaj... Ja... Jezu, czy ty się dobrze czujesz? Znikasz tak o, bez słowa, wyjeżdżasz, a potem jeszcze bezczelnie wygłupiasz się przez telefon?

Karin zauważyła, że dłonie drżą jej lekko, jak zawsze, gdy Michael się na nią złościł. „Dlaczego właściwie wiecznie się go boję – pomyślała i zaraz się poprawiła: – *tym razem* nie muszę się go obawiać. Dzieli nas kilkaset kilometrów. A jeśli Michael przesadzi, po prostu odłożę słuchawkę”.

Drżenie ustało. Przeszypowała z nogi na nogę, ale z zimna, nie ze zdenerwowania.

– Niestety nie miałam możliwości poinformować cię o moich planach – odparła spokojnie. – Bo w nocy przed moim wyjazdem nie wróciłeś do domu.

– Aha. I uważasz, że to ci daje prawo, żeby wyjechać bez słowa? Bez żadnej informacji? – W jego głosie mieszały się oburzenie i żal nad sobą. – Wyobrażasz sobie, jak bardzo się martwiłem?

– A czy *ty* sobie wyobrażasz, jak ja się martwię, kiedy nie wracasz na noc do domu?

– Wiesz przecież, że... – Nie dokończył. Najwyraźniej nawet jemu było głupio.

– Że masz kochankę i zapewne u niej zostałeś – dokończyła za niego. – Nie uważasz, że to absurdalna sytuacja? Powinniśmy coś z tym zrobić.

– Na przykład uciec? Myślisz, że tym sposobem coś zmienisz?

Zamyśliła się, choć zdawała sobie sprawę, że on właściwie wcale nie oczekuje odpowiedzi na to pytanie.

– Może tak – odparła. – Może dzięki temu oboje będziemy mieli dość czasu i spokoju, żeby to wszystko przemyśleć.

Zauważyła, że zbiła go z tropu.

„Zazwyczaj wytrąca go z równowagi to, że ktoś się go nie boi – pomyślała – i kiedy ktoś się przy nim nie denerwuje”.

– Przemyśleć! – zachnął się. – Przemyśleć! A co ty do cholery musisz niby przemyśleć?

Starła się nie zmieniać tonu, choć cięta riposta cisnęła jej się na usta, bo coraz bardziej postrzegała jego ignorancję jako coś skandalicznego.

– Przyszłość – powiedziała. – To, jak ona ma dalej wyglądać.

– Ach, tak. I o tym chcesz decydować sama, na Guernsey?

– Cóż, z tobą trudno o czymkolwiek decydować. Nie wydaje mi się, żebyś chciał cokolwiek zmieniać w zaistniałej sytuacji. Jesteś zadowolony z życia i właściwie masz wszystko, czego ci potrzeba.

Zamyślił się. Wiedziała, że po takim namyśle zazwyczaj był bardzo złośliwy i okrutny.

– Wiesz co – stwierdził – znowu wszystko jest jak dawniej, według tego samego wzoru. Sytuacja ci nie odpowiada, coś idzie nie po twojej myśli, nie tak, jak to sobie wyobrażałaś – i od razu się poddajesz. Nie masz za grosz charakteru, nie masz, jak to się mówi, jaj. Nie wytrzymujesz konfrontacji, a już na pewno nie potrafisz się zmierzyć z przeciwnościami losu. Postępujesz jak zwykle: uciekasz. Ukrywasz się, chowasz głowę w piasek i liczysz na to, że całe zło jakimś cudem cię ominie. I wcale przy tym nie zauważasz, że jesteś coraz słabsza, coraz bardziej wystraszona, coraz bardziej bierna i...

Wyrzucał z siebie słowa z szybkością karabinu maszynowego.

Karin czuła, że ręce znowu jej drżą, uginały się pod nią kolana, oblała się potem.

– Michael – wychrypiąła.

– Karin, powiem to raz, ale dobitnie: jesteś największym tchórzem, jakiego w życiu widziałem. Najsłabszą osobą. A moja *kochanka*, o której wечно wypowiadasz się z taką pogardą, ma w przeciwieństwie do ciebie dość odwagi, siły i energii, by się zmierzyć z nieprzyjemną prawdą i podjąć walkę. A ty...

Był górą. Sytuacja w ułamku sekundy obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni. Po jej wcześniejszym opanowaniu nie było śladu. Zaskoczenie

Michaela minęło, teraz wyczuwał jej słabość i zaatakował bezlitośnie, jak drapieżny ptak na widok rannego królika.

– Michael... – wykrztusiła jeszcze raz, ale miała wrażenie, że jej głos dobiega z daleka. Drżenie rąk ustąpiło odrętwieniu. W tym momencie ktoś delikatnie, ale stanowczo wyjął jej z ręki słuchawkę. Beatrice stanęła koło niej i odłożyła słuchawkę na widełki.

– Zanim nam tu pani zemdleje – powiedziała – proszę skończyć rozmowę. A teraz zapraszam na kawę. Niech mi pani powie, co się dzieje.

Po śniadaniu Karin wybrała się na spacer. Nie padało już, wiatr rozpędził chmury, co jakiś czas pokazywało się nawet słońce. Mokre łąki zdawały się lśnić. Mewy przecinały powietrze z głośnym krzykiem. Pachniało świeżą ziemią, pąkami kwiatów, solą morską.

Wędrowała skrajem urwiska wysoko nad morzem, oddychała czystym powietrzem i z każdym krokiem czuła się bardziej wolna. Opowiedziała Beatrice o wszystkim. W pewnym momencie dosiadła się Helene, żeby też posłuchać, i wcale jej to nie przeszkadzało. Poszła za ciosem, zwierzyła im się także ze swojej klęski zawodowej, opowiedziała o atakach paniki i lękach, o uzależnieniu od tabletek, o tym, jak Michael ją traktował, o tym, że w końcu zwrócił się ku innej.

O dziwo, wcale przy tym nie płakała. Mówiła spokojnym, rzeczowym tonem. Helene, jak to ona, wzdychała z teatralnym współczuciem, ale Karin i tak dobrze to zrobiło.

Beatrice wysłuchiwała jej w milczeniu, odezwała się tylko raz, gdy rozdzwonił się telefon:

– Niech dzwoni. Idę o zakład, że to pani mąż. Spokojnie może jeszcze trochę poczekać.

A później opadła na oparcie krzesła, przyjrzała się jej i powiedziała:

– Na miłość boską, niech się pani tym tak nie gryzie! Już niejeden musiał zrezygnować z zawodu z różnych przyczyn. Napady paniki dają się we znaki wielu osobom. Zdziwiłaby się pani, wiedząc, jak wielu ludzi sięga codziennie po tabletki uspokajające. A pani ktoś wmówił, że jest pani beznadziejna, do niczego, i dlatego siedzi pani bezradnie, przekonana, że musi to wszystko potulnie znosić.

– Ja chyba już w ogóle w siebie nie wierzę – szepnęła.

Beatrice się roześmiała.

– Rzeczywiście, chyba nie. Wygląda pani jak przerażona mysz. Ale wiary we własne siły można się nauczyć, zapewniam panią. W którymś momencie życia chyba każdy ją traci, to normalne.

Po raz pierwszy od dawna Karin poczuła w ten poranek zręby nowej pewności siebie. Oczywiście, że po rozmowie z Michaelem wzięła tabletkę, ale otuchy dodała jej także beztroška, z jaką Beatrice wysłuchiwała jej opowieści. Nagle zaczęła widzieć wszystko w jaśniejszych barwach, życie nie wydawało jej się już jedną wielką smugą szarości. Być może miało to także związek z fizycznym oddaleniem od Michaela. Z każdym kilometrem, który ją od niego oddalał, czuła się lepiej. Choć wcześniej już wiele razy była na Guernsey bez niego, zawsze jechała na jego polecenie, podróżowała tak, jak on to zaplanował. Nigdy nie była naprawdę wolna. Kontrolował ją długą, niewidzialną, ale mocną smyczą. A ona była posłuszną marionetką, grzecznie wypełniała jego polecenia, podejmowała w banku pieniądze, które tam wpłacał, żeby wystrychnąć na dudka niemiecki urząd podatkowy, upychała je w walizce i za każdym razem umierała ze strachu na lotnisku podczas kontroli. Musiała faszerować się tabletkami, żeby zrobić to, czego od niej wymagał. Za wszelką cenę starała się zasłużyć na pochwałę, czuła się jak cyrkowy koń, który po występie czeka na kostkę cukru. I nigdy jej nie dostawała. Nie było też mowy o poklepaniu po plecach. Michael był zawsze tak bardzo jej pewny, że nawet ze względu na swoje lewe interesy nie starał się zadbać o jej dobry humor.

„Ciekawe, czy teraz się boi, że wyczyszczę mu konto?” – zastanawiała się i rozbawiła ją wizja Michaela gryzącego palce ze strachu o pieniądze. Podczas rozmowy był zły, jak zwykle szybko zepchnął ją do defensywy, ale i tak wyczuła, jak bardzo poruszyło go jej zniknięcie, wyczuła jego zdumienie i niedowierzanie. Tego nigdy w życiu się nie spodziewał. Przez nią jego świat zachwiał się w posadach. Jeszcze kilka dni temu nie uwierzyłaby, że jest zdolna do czegoś takiego.

Niebo jaśniało z każdą chwilą i już po kilku minutach wiatr rozgonił chmury. Błękit odbijał się we wzburzonym morzu pokrytym białymi grzywami fal. Słońce grzało tak mocno, że Karin zdjęła kurtkę i obwiązała

się nią w pasie. Jeśli taka pogoda się utrzyma, zdąży się pięknie opalić. Szła pogrążona w myślach, kiedy nagle wyrósł przed nią mężczyzna. Kevin.

– Spokojnie – zaczął kojąco. Widział jej strach. – To tylko ja.

Od razu dostrzegła, jak źle wyglądał. Przypomniała sobie radosny nastrój Helene tego ranka. Najwyraźniej dla Kevina wczorajszy wieczór nie był równie sympatyczny. Albo już tego ranka spotkała go jakaś przykrość.

– Och, Kevin – powiedziała. – Nie spodziewałam się, że kogoś tu spotkam.

– Przestało padać i chciałem trochę pobiegać – wyjaśnił. Brzmiało to trochę tak, jakby się tłumaczył.

Karin trochę zdziwiło, że chciał biegać akurat *tu*, nad zatoką Petit Bôt, a nie bliżej swego domu w Torteval, ale o nic nie pytała. Gdyby chciał coś dodać, zawsze mógł to zrobić.

Kevin złapał się za głowę.

– Jeszcze ciągle mam kaca. Po tym, jak wczoraj odwiozłem Helene, wróciłem do domu i podczas sprzątania wychyliłem drugą butelkę wina, a do tego kilka kieliszków grappy... Skutki czuje się dopiero następnego dnia.

– Helene bardzo się wczoraj podobało – zapewniła Karin. – Jest dzisiaj w świetnym humorze.

– Tak? Bardzo się cieszę. To bardzo miła kobieta, czasami trochę męcząca, ale... No cóż. Polubiliśmy się. – Wzruszył ramionami. – Wszystkie starsze panie mnie lubią. Jestem pewnie mężczyzną ich marzeń, takim, o jakim śniły w młodości.

Uśmiechnął się, odprężył, jego policzki nabrały kolorów. Karin przyglądała mu się, widziała regularne rysy, ciemne włosy, szeroko rozstawione oczy o nietypowym szarozielonym odcieniu, ciepły uśmiech. Taki mężczyzna na pewno działa na kobiety, nie tylko na starsze panie, a jednak nigdy do niczego z żadną z nich nie dojdzie.

Stali niezdecydowani, a potem Kevin zaproponował:

– Jeśli pani chce, przejdziemy się razem. Nie chcę jeszcze wracać do domu. Powietrze jest cudowne, prawda?

– A morze ma piękny zapach. Dawno mnie tu nie było. Czasami człowiek zapomina, jak tu pięknie.

Szli obok siebie wzdłuż urwiska. Karin czuła sól na ustach. „Chciałabym nigdy stąd nie wyjeżdżać” – pomyślała nagle.

Kevin zdawał się czytać w jej myślach:

– Jak długo pani zostanie?

– Nie wiem. – Zawahała się. Kevin uważnie przyglądał się jej z ukosa.

– To oczywiście nie moja sprawa – zastrzegł. – Ale jeśli ma się jakieś problemy, tutaj można spojrzeć na nie z dystansu i poszukać rozwiązania. Odległość często pomaga.

– Myślę, że znajdę jakieś rozwiązanie – odparła, choć wcale nie była tego taka pewna.

– Wygląda pani inaczej niż jesienią. Wtedy wydawała się pani bardzo spięta. I... – Urwał.

– Tak?

– Przerazona. Zamknięta w sobie. Na urodzinach Helene i Beatrice właściwie w ogóle się pani nie uśmiechała i miałem wrażenie, że umiera pani ze strachu, gdy ktoś się do pani odezwał. A teraz jest inaczej.

Uśmiechnęła się.

– Rzeczywiście czuję się lepiej, taka... wolna. Może czasami trzeba robić rzeczy, o które człowiek sam siebie nie podejrzewa. To cudowne uczucie, kiedy nagle wszystko gra.

– Na pewno. To zwycięstwo nad własnymi słabościami. Nic innego nie daje takiej siły. – Umilkł, zamyślił się nad własnymi słowami. – I nic innego nie jest takie trudne – dodał.

„Z nim też nie jest najlepiej – pomyślała Karin. – Problemy zjadają go żywcem”.

Przypomniało jej się, jak Beatrice wspominała, że ciągle brakuje mu pieniędzy. Więc może umawiał się z Helene nie tylko po to, by dzięki niej pławić się w luksusie, może chodziło o poważniejsze sprawy. Może nie spał po nocach przez poważne kłopoty finansowe. Nie wyglądał na skacowanego, tylko jak ktoś, kto od dawna nie zaznał spokoju. Jego oczy przypominały ślepią zaszczutego zwierzęcia.

– Nie wiem, czy mogę już mówić o zwycięstwie – nawiązała do jego słów. – Kto wie, jak się to wszystko skończy? Może koniec końców wrócę do domu z podkulonym ogonem i ukryję się pod kołdrą.

Roześmiała się, ale Kevin patrzył na nią z powagą. Przystanął.

– Nie – powiedział. – Idę o zakład, że tak się to nie skończy.

Przestała się śmiać.

– Skąd u pana taka pewność?

– Bo widzę pani minę – odparł. – Już pani poczuła ten smak. Smak wolności. I nie zrezygnuje pani tak łatwo.

Wziął ją pod rękę czułym, serdecznym gestem.

– Myślę, że zostanie tu pani bardzo długo – powiedział.

„Na tej wyspie po prostu nie da się wytrzymać” – pomyślała Maja.

Zima była koszmarna. Żadnych turystów, mnóstwo deszczu, nudne imprezy z równie nudnymi miejscowymi. Kiedy jeszcze chodziła do szkoły, uważała miejscowych chłopaków za fascynujące towarzystwo; byli umięśnieni, opaleni, wysportowani i napaleni na dziewczynę jej pokroju, która chętnie oddawała im się na tylnym siedzeniu samochodu albo na miękkim piasku plaży. Ale większość z nich nie wytykała nosa poza wyspę i nie można było z nimi o niczym porozmawiać; co mądrzejsi zatrudnią się w banku, pozostali przejmą pensjonaty rodziców albo najmą się w porcie na kutrach rybackich. Maja wiedziała z doświadczenia, że rybacy cuchną rybami nawet prosto po wyjściu spod prysznic. Zapach morza przenika głęboko pod skórę; do dzisiaj wzdrygała się na wspomnienie niejednej miłości, gdy wydawało jej się, że ktoś wyrzucił jej na głowę wiadro krewetek.

Od tego czasu preferowała turystów, zwłaszcza urlopowiczów z Francji i Niemiec. Niektórzy okazali się naprawdę i ciekawi, i zamożni, ale w gruncie rzeczy byli to tylko biali, często otyli nudziarze, który czuli się jak Don Juan, gdy udało im się poderwać śliczną miejscową dziewczynę. W ferworze emocji nie zauważali, że uroczy wieczór kosztował ich majątek. Z czasem jednak Maja widziała w nich już tylko głupków i podobnie jak było z rybakami i praktykantami z banku, miała uczucie, że traci z nimi bezcenne chwile życia.

Akurat teraz, w kwietniu, przybywali tłumnie na wyspy ze swoimi aparatami, plecakami i butami do wędrówek. Wiezorami tłoczyli się w barach i szukali przelotnej przygody. Dawniej pokazywałyby się często w popularnych knajpach, chciałyby zwrócić na siebie uwagę potencjalnej zwierzyny i obejrzeć nowe ofiary. Ostatnio jednak coraz bardziej nudziła ją ta rozrywka.

„Jezu, chyba się nie starzeję” – pomyślała z przerażeniem.

Stała w kolejce do okienka w Royal Bank of Scotland w St. Peter Port i zastanawiała się, dlaczego tak dużo ludzi wybrało się do banku w zwykły poniedziałkowy rano. Najwyraźniej wszyscy postanowili akurat dzisiaj załatwić sprawy finansowe. Zwłaszcza emeryci. Z irytującą powolnością i dokładnością wpłacali na konta groszowe sumy albo takie podejmowali i zaczynała już podejrzewać, że to działanie celowe, jakby z jedyne go wydarzenia tego dnia chcieli zrobić coś naprawdę znaczącego.

Kolejka, w której stała, powoli posuwała się naprzód. Widziała swoje odbicie w lustrze przy drzwiach wejściowych. Przyjrzała się sobie uważnie. Przed chwilą zastanawiała się, czy przypadkiem już się nie starzeje, i teraz niemal spodziewała się dostrzec w lustrze bruzdy wokół ust i zmarszczki przy oczach. „Już niedługo będę miała trzydzieści lat” – pomyślała.

Ale to, co zobaczyła, uspokoiło ją. Ze smukłą, chłopięcą figurą nadal mogła uchodzić za nastolatkę. Ciężkie buty na platformach sprawiały, że jej szczupłe nogi wydawały się jeszcze dłuższe. Krótki czarny sweterek odsłaniał skrawek płaskiego, opalonego brzucha. Na szyi miała sznur pereł, włosy spływały na plecy niesforną falą. Podkreśliła oczy kredką, musnęła usta czerwoną szminką. W świetle jarzeniówek wydawała się blada, wiedziała jednak, że w rzeczywistości jej cera ma ładny, zdrowy odcień. Widziała, że niemal wszyscy mężczyźni posyłali jej mniej lub bardziej ukradkowe spojrzenia. Dzięki temu odzyskała odrobinę utraconej pewności siebie.

„Kiedy powiem, że mam osiemnaście lat, wszyscy mi uwierzą” – stwierdziła zadowolona. Zamierzała wybrać wszystko z książeczki oszczędnościowej i miała nadzieję, że to wystarczy na podróż do Londynu. Babka Mae często wspomagała ją finansowo, gdyby nie to, byłoby fatalnie, ale ostatnio Maja wydawała sporo na ciuchy i nie bardzo wiedziała, jak wygląda sytuacja na jej koncie.

A bardzo chciała do Alana.

Dopiero w ciągu ostatnich tygodni zaczęło do niej docierać, że tak dalej nie może być. Marnowała się na Guernsey, zadowalała się tandetnymi przygodami, ale prawdziwe życie toczyło się gdzie indziej, za morzem. Nagle ogarnął ją strach graniczący z paniką, tak intensywny, że zapierał jej dech w piersiach. Boże drogi, tyle czasu już zmarnowała! Musi wziąć się

w garść, i to szybko; nie może sobie pozwolić na utratę kolejnych miesięcy. W bezsenne noce rozmyślała godzinami, analizowała kolejne pomysły, odrzucała je po kolei i szukała następnych.

Aż którejś wietrznej, zimnej, marcowej nocy przypomniała sobie o Alanie. Gwałtownie usiadła, czuła, jak mocno bije jej serce, gdy pomyślała: to jest to! Alan! Dlaczego wcześniej o nim nie pomyślałam?

I nagle Alan wydał jej się światłem w tunelu, rozwiązaniem wszelkich problemów. Przypomniała sobie ich ostatnie spotkanie w styczniu, wszystko, co wtedy powiedział. Owszem, prawił jej kazania, jak zawsze, ale w jego oczach wyczytała, że nadal jej pragnął, i choćby myślał o niej jak najgorzej, nie zdobędzie się na to, by odesłać ją z kwitkiem. Koniec końców był w jej rękach jak wosk, nawet jeśli w kółko powtarzał, że nie będzie jej utrzymywał, nie będzie finansował jej stylu życia, jej drogich ciuchów ani imprez w modnych klubach.

Jeśli to umiejętnie rozegra, w pewnym momencie Alan będzie jadł jej z ręki. Przez jakiś czas będzie musiała pogodzić się z nudą, ale prędzej czy później będzie mogła żyć tak, jak zawsze tego chciała.

Właściwie dlaczego zawsze była tak głupia i pozwalała mu odejść, choć był najlepszym, co ją w życiu spotkało?

No dobra, musiała przyznać, że bawiło ją trzymanie go na długiej smyczy, obserwowanie, jak biegnie za nią potulnie, przyciąganie go i odpychanie w zależności od jej humoru. Ranienie go i obserwowanie, jak wraca mimo wszystko, gdy dla odmiany zaszczyciła go uśmiechem. Jak pokerzysta podbijała stawkę. Jak daleko mogła się posunąć? Kiedy Alan zaprotestuje? Kiedy się w końcu wkurzy i powie: dość?

Ale nie, on się nie wkurzał i powoli zaczynała się nudzić. Uczył się, ale nie podjął rzuconej przez nią rękawicy, nie pobił Mai jej własną bronią. Zdawała sobie sprawę, że wyszłaby na idiotkę, gdyby na poważnie związał się z inną kobietą. Musiałaby wtedy postawić wszystko na jedną kartę, żeby go odzyskać, a on chodziłby dumny jak paw, widząc, jak się męczy i planuje. Nigdy nie zrozumiał, że on także ma nad nią władzę. Biedny Alan! Nawet po tym wszystkim uzna się za szczęściarza, że ona raczy się u niego zatrzymać.

Kolejka ani drgnęła. Maja doszła do wniosku, że sąsiednia porusza się

szybciej i przeszła na jej koniec. Zorientowała się już za późno, że stoi tuż za Helene Feldmann. Do tej pory nie zauważyła staruszki; na szczęście Helene chyba także jej nie dostrzegła. Teraz Maja z całego serca miała nadzieję, że tamta nie odwróci się nagle i nie zobaczy jej tuż za sobą. Już sobie wyobrażała tę gadaninę. Helene była strasznie gadatliwa. Wydawało jej się, że wszystkich obchodzą jej nudne wspomnienia sprzed lat; nie pojmowała, że nikt nie chce słuchać jej paplaniny.

Helene podeszła do okienka.

„I teraz przez godzinę będzie podejmowała trzy funty pięćdziesiąt pensów – pomyślała Maja z irytacją. – Bo jest za głupia, żeby skorzystać z bankomatu!”

Znudzona wpatrywała się w swoje pomalowane na czarno paznokcie, ale ciekawie nadstawiała uszu, gdy Helene poprosiła o wypłatę piętnastu tysięcy funtów.

Maja gwałtownie podniosła głowę. Piętnaście tysięcy funtów? Stara ma tupet, że robi aż taki debet. Bo przecież niemożliwe, żeby miała tyle pieniędzy, prawda? Mae zawsze powtarzała, że utrzymuje się ze skromnej renty, kiedy Maja narzekała, że Helene wiecznie siedzi w domu i marudzi, zamiast podróżować i cieszyć się życiem.

– Ależ Maju, ona po prostu nie ma pieniędzy! Nie stać jej na przyjemności!

Akurat! Maja skrzywiła się pogardliwie. Jeśli ktoś idzie do banku i bez mrugnienia okiem podejmuje w poniedziałkowy poranek piętnaście tysięcy funtów, nie może być biedny jak mysz kościelna. Nawet jeśli to kredyt – to przecież banki nie dają takiej sumy na piękne oczy. Zresztą, może Helene wcale nie zaciągała długu. Maja nadstawiała ucha, ale nie słyszała, żeby urzędnik mówił o limicie kredytu i o debecie. Najwyraźniej bez najmniejszych oporów wydawał jej plik banknotów.

Helene upychała pieniądze do mikroskopijnej torebeczki, która wyglądała tak, jakby należała do tancerzki z lat pięćdziesiątych, odwróciła się na pięcie i zobaczyła Maję. W pierwszej chwili wydawała się przerażona, zaraz jednak wzięła się w garść.

– Maja! Nie zauważyłam cię! Co u ciebie? Ślicznie wyglądasz! – Mówiła odrobinę za szybko.

„Denerwuje się – stwierdziła dziewczyna. – Nie wie, ile słyszałam, i nie chce, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział”.

– Wszystko w porządku – rzuciła od niechcienia i podeszła do okienka, bo urzędnik już się kręcił zniecierpliwiony. Sprawdziła stan swojej książeczki oszczędnościowej i okazało się, że ma tam żałosne czterdzieści osiem funtów. To nie wystarczy. Będzie musiała znowu przycisnąć Mae, a jeśli to nic nie da, będzie w kropce.

„A ta stara wiedźma tak po prostu podejmuje piętnaście kawałków” – pomyślała rozdrażniona.

Helene czekała na nią i razem z nią dreptała do drzwi. Szła powoli, więc i Maja musiała zwolnić, co jeszcze bardziej ją zdenerwowało.

– Ponury dziś dzień – stwierdziła Helene ochryple. – Siedemnasty kwietnia.

Mai nie obchodziło w najmniejszym stopniu, dlaczego Helene uważała ten dzień za ponury, ale wyjątkowo jak na nią postanowiła być uprzejma i zapytała grzecznie:

– Dlaczego?

Helene zatrzymała się w pół kroku i westchnęła ciężko.

– Pięćdziesiąt pięć lat temu zaczął się koszmar – odparła. – Mój mąż wpadł w panikę. Tracił grunt pod nogami. I zaczęło się piekło.

Poszła dalej. Maja szukała w myślach odpowiedniej riposty, ona tymczasem zdążyła już zmienić temat i zapytała nagle:

– Jak to właściwie jest z tobą i z Alanem? Coś was jeszcze łączy?

– Chyba tak – odparła Maja. W myślach zaś dodała: „taką mam przynajmniej nadzieję”.

– Chciałabym się pani jakoś odwdzińczyć – stwierdziła Helene. – Za to, że przywiozła mnie pani do St. Peter Port.

Podeszły do samochodu, który Karin zostawiła przy kościele. Maja pożegnała się pospiesznie pod byle pozorem. Karin wysiadła, żeby pomóc Helene wsiąść, ale starsza pani nie chciała jeszcze wracać. Mimo sprzeciwów Karin uparła się, że pójdą razem na zakupy.

– Znam tu bardzo dobry butik – zapewniała. – Może coś się pani

spodoba.

– To niemożliwe, to zbyt dużo pieniędzy, Helene, przywiozłam panią z przyjemnością, ja...

– To dla mnie rozrywka, zresztą... – Helene się zawahała, ale zaraz dokończyła: – Zresztą uważam, że powinna pani sobie kupić parę nowych ciuchów. Jest pani piękną kobietą, ale czasami mam wrażenie, że robi pani co w jej mocy, żeby to ukryć. Nosi pani za luźne rzeczy i...

– Nie mam najlepszej figury, nie powinnam za bardzo pokazywać ciała. W oczach Helene pojawiły się gniewne błyski.

– Kto pani naopowiadał takich bzdur!?! – krzyknęła. – O ile mnie wzrok nie myli, pod tymi wszystkimi warstwami, którymi się pani otula, kryje się szczupła, długonoga osóbką o doskonałych proporcjach. Idziemy do sklepu, a sprzedawczyni potwierdzi moje słowa.

Karin miała pewne opory, ale Helene nie dawała za wygraną i koniec końców wylądowały w małym butik w bocznej uliczce.

„Odzież damska Claire” – głosił szyld w wysokich oknach wystawowych. Karin odetchnęła z ulgą, widząc, że oprócz nich nie ma tu innych klientek. Kiedy ostatnio kupiła sobie coś nowego? Wieki temu, co najmniej przed pięciu laty. Miała zbyt wiele kompleksów związanych ze swoim ciałem, choć musiała przyznać, że akurat *na ten temat* Michael nigdy nie wypowiadał się pogardliwie. Ale też nigdy nie prawił jej komplementów. Zapewne już od dawna w ogóle go nie zauważał.

– Myślała pani o czymś konkretnym? – zapytała ekspedientka.

Karin zaczęła się namyślać, bo właściwie nie szukała niczego specjalnego, ale Helene nie dała jej dojść do słowa:

– Tak, szukamy letniej sukienki. Krótkiej i obcisłej. Ta młoda dama ma świetną figurę i moim zdaniem powinna ją pokazywać.

Sprzedawczyni zmierzyła Karin fachowym spojrzeniem i skinęła głową:

– Rzeczywiście, nie powinna się pani chować w obszernych swetrach. Ma pani bardzo długie nogi, zapewne świetnie pani wygląda w krótkich sukienkach.

Po chwili przyniosła stertę ciuchów. Karin, początkowo speszona, stopniowo odkrywała radość tej przygody. Mierzyła wszystko po kolei:

sukienki, spódnice, spodnie i kolorowe koszulki. Ku jej zdumieniu okazało się, że naprawdę ma niezłe ciało. Była o wiele szczuplejsza, niż jej się wydawało, i miała naprawdę niezłe nogi. Ekspedientka i Helene nie posiadały się z zachwytu.

– W takim stroju wygląda pani zupełnie inaczej – zapewniła sprzedawczyni, a Helene dodała:

– Wszyscy mężczyźni będą się za panią oglądać, Karin. Cudownie pani wygląda.

W końcu Karin kupiła dwie krótkie, letnie, lniane sukienki, białą i czerwoną, kilka spódniczek mini i dobrane do nich koszulki, szorty i bluzeczkę bez ramiączek, którą zamierzała wkładać na spacer po plaży, żeby opalić ramiona. Helene chciała za wszystko zapłacić, ale Karin się uparła, że o tym mowy być nie może, i zapłaciła kartą kredytową ze wspólnego konta z Michaeliem. Uśmiechnęła się pod nosem na myśl, jak bardzo on się zdenerwuje, gdy dostanie wyciąg. Wydała sporo, ale pomyślała, ile zaoszczędził przez minione lata, gdy nie kupowała sobie nic nowego. Kochance pewnie kupował drogie prezenty, więc nie powinna odczuwać żadnych wyrzutów sumienia. Gdy wychodziły ze sklepu obładowane sprawunkami, była w świetnym humorze.

– Helene, zapraszam panią na obiad – powiedziała. – Umieram z głodu.

Wylądowały we włoskiej knajpce U Nina, ukrytej na małym podwórku. Zamówiły kalmary i lasagne, do tego butelkę czerwonego wina. Karin wybrała najdroższe.

– Za wszystko płaci mój mąż – powiedziała. – Więc niech pani pije do woli, Helene.

– Bardzo się pani zmieniła – stwierdziła Helene. – Zakupy dobrze pani zrobiły, prawda? Nabrała pani rumieńców i częściej się pani uśmiecha.

Rzeczywiście dobrze jej zrobiły. Karin czuła się lepiej, było jej lżej na duszy niż kiedykolwiek w ciągu minionych siedmiu czy ośmiu lat. Bo to było naprawdę cudowne uczucie, patrzeć w lustro i postrzegać się jako piękną. Taką, jaka mogła być: atrakcyjną, godną pożądania młodą kobietę, która miała do zaoferowania więcej, niż jej się zdawało. „Jeśli pogoda się utrzyma, zdążę się jeszcze opalić” – pomyślała.

Kelner przyniósł wino.

– Jak to miło, że znowu nas pani odwiedza, pani Feldmann – stwierdził.
– Dawno pani u nas nie było. Czy coś dzisiaj świętujemy?

Helene spochmurniała.

– No nie wiem, dla mnie zaczyna się najgorszy okres w roku. Moja droga krzyżowa – oznajmiła grobowym głosem.

Widać było, że kelner zastanawia się, czy jakoś na to zareagować, ale chyba nie znalazł wyjścia z sytuacji, bo stał koło nich z bezradnością wypisaną na twarzy.

– Madame? – powiedział w końcu pytająco.

Helene potrafiła na zawołanie przybrać minę skrzywdzonego niewiniątka i tym razem przeszła samą siebie:

– Mam na myśli okres, który doprowadził do śmierci mojego męża.

Kelner zrobił odpowiednio zasmuconą minę i pograżył się w zaimprovizowanej minucie ciszy.

„Ciekawe, czy on wie, że to był nazistowski dygnitarz?” – rozważała Karin. Przyglądała się kelnerowi. Był to młody, najwyżej dwudziestopięcioletni, przystojny Włoch. Nie przeżył wojennego koszmaru. Pewnie nie miał o nim pojęcia.

– Bardzo mi przykro – wymamrotał, nalał im wina i oddalił się pośpiesznie.

Karin zastanawiała się, czy ma zmienić temat, i łamała sobie głowę, o czym mogłyby porozmawiać. Ale Helene chyba wcale nie chciała, żeby ktoś ją pocieszał.

– Nieważne, ile minęło czasu – powiedziała cicho. – Co roku na wiosnę, od połowy kwietnia mam wrażenie, że to wszystko działo się wczoraj, jakby stało się zaledwie przed chwilą.

– To chyba bolesne, owdowieć w tak młodym wieku – zauważyła Karin trochę niezręcznie.

– Och, wie pani, nie to było najgorsze – mruknęła Helene. Upiła spory łyk wina, które zadziałało szybko i rozwiązało jej język. – Najgorsze były okoliczności – stwierdziła. – I z tym nie mogę się pogodzić. – Wpatrywała się w prawie pusty kieliszek. – Zapewne to panią zaszokuje, Karin, ale wcale nie cierpiałam tak bardzo nad tym, że *Ericha już nie było*. Nasze małżeństwo... nie było zbyt udane. Ilekroć był w pobliżu, czułam się

stłamszona, ale uświadomiłam to sobie dopiero później. Przy nim nie mogłam się śmiać, nie mogłam sobie pozwolić na bez troskę. Nie mogłam być młoda. Wyszłam za niego, mając osiemnaście lat, i od dnia ślubu czułam się jak staruszka, która zupełnie przypadkiem znalazła się w młodym ciele.

– Był pewnie niełatwym człowiekiem – zauważyła Karin. Przypomniała sobie opowieści Beatrice. – Nawet dojrzałej kobiecie byłoby z nim ciężko, a cóż dopiero osiemnastoletniej dziewczynie.

– Był zmienny, wybuchowy, mściwy, sentymentalny i cierpiał na depresję – orzekła Helene, a Karin zaskoczyła precyzją i rzeczowością, z jaką opisała męża. – Zaczęłam żyć dopiero po jego śmierci. O ile... – Nie dokończyła tej myśli, jakby ogarnął ją zabobonny lęk. – Nieważne – stwierdziła tylko. – Był, jaki był. Nie mógł być kimś innym, podobnie jak my wszyscy. Zresztą, minęło już tyle czasu...

Umilkła wsłuchana w swoje słowa, jakby w myślach wracała do czasów, gdy była młoda i wierzyła, że życie spełnia choć część z tego, co obiecuje.

– Minęło już tyle czasu... – powtórzyła.

– Jak... – zaczęła Karin ostrożnie. – W jaki sposób umarł pani mąż?

Zdawało się, że Helene boli sama myśl o tym. I rozmowa.

– Trzecia Rzesza leżała w gruzach – odparła. – Wie pani zapewne, jak straszny był to koniec. Prawdziwy koniec świata. Wisiał nad nim sąd wojenny aliantów i było jasne, że nie można się spodziewać łagodnego traktowania. Dziewiątego maja skapitulowało dowództwo wyspy. Ponad tydzień wcześniej, pierwszego maja, Erich odebrał sobie życie.

– Popęłił samobójstwo?

– Jak jego Führer. To znaczy *chciał* zrobić to samo co jego Führer i strzelić sobie w głowę. Nie wiem, czy w ostatniej chwili opuściła go odwaga, czy może po prostu spudłował... Kula trafiła w klatkę piersiową. Nie umarł od razu, o nie. Wykrwawiał się. Godzinami. Bardzo cierpiał.

– Była pani przy nim?

Helene skinęła głową.

– Cały czas. Trzymałam jego głowę na kolanach i usiłowałam go uspokoić, powtarzałam, że wszystko będzie dobrze... Ale nigdzie nie było

lekarza, to było najgorsze. Wszędzie panował chaos, cały świat walił się nam na głowę. Los Ericha nikogo nie obchodził. W pewnym momencie dostał gorączki, błagał o pomoc... Było wtedy strasznie gorąco... do tego głód, krew... – Wzdrygnęła się. – Nigdy w życiu nie zapomnę tamtego strasznego dnia – stwierdziła. – Nigdy w życiu nie przeżyłam czegoś równie potwornego i mam nadzieję, że już nigdy nie przeżyję. – Nie czekała na kelnera, sama sobie dołała. – Może porozmawiamy o czymś innym – rzuciła po dłuższej chwili.

Po powrocie do domu Karin jeszcze raz przymierzyła nowe ciuchy. Kręciła się przed lustrem, uśmiechała do swego odbicia. W pewnym momencie doszła do wniosku, że jest za blada. Taka twarz pasowała do starych swetrów i powyciąganych spodni, ale teraz psuła cały efekt. Poszperała w kosmetyczce, znalazła tusz do rzęs i szminkę. Delikatnie umalowała rzęsy i z zachwytem podziwiała efekt; jej oczy nabrały wyrazu, wydawały się większe, bardziej błyszczące. Pomalować też usta? Szminka była intensywnie czerwona, dostała ją jako próbkę w drogerii.

„Trudno – pomyślała – najwyżej ją zetrę”.

Efekt ją zaskoczył. Czerwień pasowała idealnie do koloru lnianej sukienki, którą miała na sobie, i do jej jasnych włosów. Usta, pełniejsze, bardziej zmysłowe niż zazwyczaj, sprawiały, że wydawała się bardziej uwodzicielska. Wyglądała bardzo kobieco, na osobę pewną siebie, zdecydowaną. „Nie jak wystraszony, spłoszony zając – pomyślała – tylko jak...”

Zastanawiała się, z jakim zwierzęciem mogłaby się porównać. Najbardziej lubiła koty.

„Kotka? – zapytała odbicia i uśmiechnęła się. – Ależ tak, jak smukła, jedwabista kotka o zielonych oczach i miękkiej, lśniącej sierści”. Uśmiechnęła się jeszcze raz i zaraz wróciła na ziemię: Boże, co za bzdury! Jakim cudem dorosła kobieta bawi się w takie głupoty! Wierzchem dłoni starła szybko szminkę z ust. Co za idiotyzm, wyobrażać sobie, że stanie się *femme fatale*. Ta rola nigdy jej nie odpowiadała, nigdy taka nie była, i nie bez powodu. Nie ma sensu wierzyć, że nowe ciuchy i makijaż wystarczą,

by stać się innym człowiekiem. Kobieta uwodzicielska to coś więcej niż elegancka sukienka i makijaż. Do tego trzeba jeszcze pewności siebie, wiary we własne siły, we własną skuteczność. Powinna uosabiać swobodę i niezależność.

A od tych wszystkich cech dzieliło ją jeszcze bardzo wiele. Nie była nawet pewna, czy w ogóle kiedykolwiek je posiadała.

Rozległo się pukanie do drzwi i Beatrice włożyła głowę do pokoju.

– Karin? Przeszkadzam? Chciałam tylko... – Urwała, a potem stwierdziła zdumiona: – Pięknie pani wygląda! Czy to nowa sukienka? Doskonale na pani leży.

Karin mocowała się z suwakiem.

– Ja... to był głupi pomysł... Helene poradziła, żebym kupiła sobie coś nowego, ale... – Niemal wpadła w panikę, gdy zamek nie ustępował.

Beatrice weszła do środka.

– Tym razem Helene miała rację. Jest pani piękną kobietą, Karin, i powinna to pani pokazywać wszem i wobec. Proszę poczekać, pomogę pani z tym suwakiem, bo jeszcze podrze pani sukienkę!

Karin ściągnęła ją jak drugą skórę, w której źle się poczuła.

– Pytanie tylko, po co się kupuje takie rzeczy? – stwierdziła. – W moim wypadku to nie ma najmniejszego sensu!

Beatrice przyglądała jej się uważnie.

– Ile pani ma lat?

– Trzydzieści cztery.

– Trzydzieści cztery! Cudowny wiek! Proszę mi uwierzyć, przed panią najlepsze dwanaście lat życia. Proszę to wykorzystać, na miłość boską! Niech pani nie zamyka się w sobie i nie wmawia wszystkim, że to bez sensu!

Karin włożyła szorty i koszulkę.

– Poczułam się jak idiotka, strojąc miny przed lustrem. Nagle sama sobie wydałam się żałosna.

– A mnie się wydaje, że powoli staje się pani normalna. Wie pani co? Zapraszam panią na długi spacer z psami. Musi się pani trochę opalić!

Spacerowały brzegiem urwiska, wysoko nad morzem, w towarzystwie trzech rozbawionych psów. Karin zaczęła:

– Byłam dzisiaj z Helene na obiedzie. Opowiadała o śmierci swojego męża. To były chyba ciężkie chwile.

– Owszem – przyznała Beatrice. – Wie pani, że postrzelił się w pierś? Długo umierał, a w okolicy nie było żadnego lekarza.

– Nawet ojca Mae?

– Wezwano go do innego przypadku na wyspie. W tamtym czasie panował tu istny chaos, wszyscy ciągle potrzebowali lekarza. Wielu ludzi głodowało, wyspa była prawie od roku odcięta od lądu stałego. Żywność od dawna stanowiła towar luksusowy.

– Miałam wrażenie, że Helene do dzisiaj nie pogodziła się z tym, jak umarł jej mąż.

– Tamtego dnia wykazała się imponującą odwagą. Trwała przy nim dosłownie do ostatniej chwili. Godzinami. Niejedna kobieta by uciekła, ale ona wytrzymała. – Beatrice się zamyśliła. – To była jedna z nielicznych sytuacji, gdy naprawdę ją podziwiałam – wyznała po chwili.

Dróżka w dół była coraz bardziej stroma, coraz węższa i bardziej kamienista. Psy z głośnym szczekaniem gnały przed siebie, rozbrykane, beztrojskie, merdające ogonami.

Karin z podziwem obserwowała, z jaką łatwością siedemdziesięcioletnia Beatrice pokonuje ten trudny odcinek. Usiłowała wyobrazić ją sobie jako młodą dziewczynę, która w jasną letnią noc spotyka się wśród głązów z ukochanym; oboje ryzykowali życiem, ale nie mogli się sobie oprzeć.

– Czy jeszcze kiedyś spotykała się pani z Julienem na zewnątrz? – zapytała. – Jak tamtej pierwszej nocy?

Były na dole, w zatoce. Na kamiennym murku, który oddzielał zatoczkę Petit Bôt od szosy, wisiała tabliczka informująca, że od pierwszego maja nie wolno wprowadzać psów na plażę, na razie jednak mogły iść spokojnie.

Minęły skupisko głązów i stanęły na jasnym piasku. Tego dnia morze było gładkie i spokojne, fale leniwie obmywały brzeg białą pianą, zostawiając po sobie algi oraz drobne muszelki. Psy jak szalone gnały wzdłuż linii wody. Beatrice wpatrywała się w dal. Oddychała głęboko, ze swego rodzaju szczęśliwym oddaniem.

„Ona kocha tę wyspę, jest jej częścią – pomyślała Karin. – Nieważne, czego kiedyś pragnęła, dzisiaj nie mogłaby mieszkać nigdzie indziej”.

– Często wymykaliśmy się pod osłoną nocy – odpowiedziała na jej pytanie Beatrice. – Musi pani zrozumieć, że Julien ukrywał się cztery lata. Czasami naprawdę już nie mógł tego wytrzymać. Ciasny stryżek pod skośnym dachem, tak niskim, że tylko w jednym miejscu mógł się wyprostować. Nuda... To był młody, silny mężczyzna, nie mógł latami od rana do nocy tylko czytać książek. Do tego dochodziły złe wieści z Francji, jego ojczyzny, wieczna troska o bliskich, o przyjaciół. Czasami, gdy włączył się nocami, miałam wrażenie, że prowokował los, specjalnie ryzykował, że go złapią, tylko po to, żeby wreszcie coś się zmieniło. Może nawet podświadomie chciał, by go zastrzelili i żeby to wszystko wreszcie się skończyło.

– Ale przecież na panią też sprowadzał niebezpieczeństwo!

– To nie było tak, że spotykaliśmy się zawsze, ilekroć w nocy wychodził z domu – zauważyła Beatrice. – Często wychodził sam, a ja dowiadywałam się o tym dopiero następnego dnia albo jeszcze później. I wtedy zaczęłam się bać na zapas. Sytuacja Niemców pogarszała się na wszystkich frontach i zachowywali się trochę jak zwierzę zapędzone w róg. Byli coraz bardziej niebezpieczni. Początkowo chodzili w chwale zwycięzców, dumni i napuszeni, po prostu niemili. Ale upojenie zwycięstwem sprawiało także, że byli lekkomyślni, dzięki czemu można ich było łatwo oszukać i po prostu robić swoje. Teraz jednak zaczynało im brakować powietrza. Myśl o zwycięstwie już nie dodawała im skrzydeł. Oczywiście żaden nie śmiał głośno wątpić w ostateczne zwycięstwo, ale w głębi duszy już chyba tylko nieliczni w nie wierzyli. Klęska pod Stalingradem oznaczała początek końca; to była równia pochyła, bez względu na to, co i jak głośno krzyczała brunatna propaganda po drugiej stronie kanału. To był początek końca. Raz za razem usiłowałam uświadomić to Julienowi. Tłumaczyłam, że to już na pewno długo nie potrwa, ale moje słowa nigdy właściwie do niego nie docierały, za to jego frustracja rosła z każdym dniem.

– Nadal panią kochał? – zapytała Karin.

Beatrice przysiadła na kamieniu i zapraszającym gestem wskazała miejsce obok siebie.

– Proszę usiąść. Chciałabym się chwilę poopalać. Opowiem pani o naszej miłości, a pani sama zdecyduje, czy to w ogóle była miłość.

– A pani tak nie uważa? – zdziwiła się Karin. Usiadła. Głaz okazał się cudownie ciepły i gładki. Leciutki wiaterek muskał jej usta solą. „Co za cudowny dzień” – pomyślała.

– Jak już powiedziałam – odparła Beatrice – wydaje mi się, że dla Juliana stanowiłam przede wszystkim więź z życiem. Potrzebował mnie, byłam dla niego ostatnim ratunkiem przed całkowitym załamaniem. Może to zabrzmiało zarozumiale, ale sądzę, że to dzięki mnie wytrzymał, nie poddał się, nie zapomniał się na tyle, by go pojmano. Tyle dla niego znaczyłam. Może pod tym względem o wiele więcej niż nasza, jakkolwiek by na to patrzeć – miłość.

Guernsey, lato 1943

Od lata 1943 roku zaopatrzenie na wyspach znacznie się pogorszyło. W grudniu 1941 roku do wojny przystąpili Amerykanie, po japońskim ataku na Pearl Harbor. Noc w noc ich myśliwce wraz z siłami RAF-u bombardowały niemieckie miasta, obracały w gruzy domy i ulice, niosły śmierć niezliczonym cywilom. Pod Stalingradem VI Armia poniosła druzgoczącą klęskę; trzeciego lutego 1943 roku dowództwo operacji ogłosiło kapitulację.

W Trzeciej Rzeszy brakowało żywności; wobec zniszczeń coraz gorzej radziło sobie rolnictwo.

Nikomui nie było w głowie wysyłanie statków z zaopatrzeniem na Wyspy Normandzkie, które samotnie trwały u wybrzeży Francji. Nadal gorączkowo szykowano je do obrony, choć już chyba nikt nie wierzył, że naprawdę mogłyby odeprzeć atak. Sprowadzano tysiące robotników przymusowych, którzy harowali ponad siły i umierali masowo z głodu i wycieńczenia. Im bardziej beznadziejna stawała się sytuacja wojenna, z tym większym uporem okupanci usiłowali zamienić wyspy w twierdze nie do zdobycia.

Racje żywnościowe były coraz bardziej skąpe, kartki przydzielano

coraz oszczędniej. Wyattom nie było łatwo wyżywić dodatkową osobę, bo przecież Julien nie dostawał swego przydziału i musieli się z nim dzielić swoimi racjami.

Dawniej lekarz nieraz dostawał zapłatę w naturze, ale teraz to także należało do przeszłości; ludzie sami nie mieli już co jeść. Mało kto z własnej woli oddawał jajko czy kawałek szynki.

Beatrice uważała, że Julien zbyt często tracił cierpliwość, za dużo narzekał. Inni ryzykowali dla niego życiem, dzielili się z nim ostatnim kęsem, a on nieraz tylko się użalał na swój los. Zdawała sobie sprawę, że doskwierała mu obecna sytuacja, ale w tych ciężkich czasach wielu cierpiało bardziej niż on. Coraz częściej wymykał się z domu pod osłoną nocy na sekretne przechadzki, choć Beatrice w kółko powtarzała, że się o niego boi i że takim postępowaniem naraża tych, którzy mu pomagają.

– O Boże! – krzyknął kiedyś rozgniewany. – Myślisz, że ich zdradzę, jeśli Niemcy mnie złapią? Za kogo ty mnie masz?

– Już oni potrafią zmusić człowieka do mówienia – odparła. Przypomniała sobie, jak wyglądał Pierre, gdy go przywieźli z powrotem. – Zresztą mogliby cię śledzić i wtedy nieszczęście gotowe.

– Czy mam tu oszaleć i strzelić sobie w głowę? – krzyknął. – Jak myślisz, jak długo jeszcze mam to wszystko znosić?

Objęła go, czule gładziła po włosach i choć nie płakał, zdawało jej się, że słyszała jego szloch. Pragnienie życia, ruchu, świeżego powietrza przytłaczały go.

– Czasami się obawiam, że on już dłużej nie wytrzyma – powiedziała pewnego dnia zatroskana pani Wyatt do Beatrice.

To był piękny, słoneczny, wietrzny sierpniowy dzień; chmury przesuwaly się szybko po błękitnym niebie, drzewa kołysaly się na wietrze, liście odbijały cudowne złociste światło. Po lekcjach Beatrice poszła do Mae mimo wyraźnego zakazu Helene. Miała jednak nadzieję, że uda jej się choćby przez chwilę zobaczyć Juliana. Jej uczucie pogłębiało się w miarę upływu czasu; kłody, które Helene i Erich rzucali jej pod nogi, tylko je rozpałały. Nie było chwili, by nie myślała o Julienie. W czasie lekcji, na spacerach, przed zaśnięciem i zaraz po obudzeniu. Wypełniał ją gorączkowy niepokój. Jej seksualność, początkowo bardzo niewinna,

niewidoczna, dochodziła do głosu, im więcej dostawała pożywki. Zbliżały się jej piętnaste urodziny i każdy bystry obserwator zorientowałby się, co się z nią dzieje, widząc błysk w jej oczach, rumieńce na policzkach i miękkość w ruchach.

– W takie dni – stwierdziła, nawiązując do pełnych troski słów pani Wyatt – jest mu pewnie wyjątkowo ciężko.

– To idź do niego i go pociesz – rzuciła ostro Mae.

Beatrice pilnowała, żeby się przed nią niczym nie zdradzić, ale Mae i tak była jedyną osobą, która domyślała się mniej więcej, co łączyło przyjaciółkę i Julię. Pod tym względem była mniej naiwna niż jej matka.

Beatrice weszła na strych do rozdrażnionego, niespokojnego Julię, który pił paskudną kawę zbożową, jedyną powszechnie dostępną – prawdziwa kawa osiągała horrendalne ceny na czarnym rynku, a i tam nie było o nią łatwo.

– Przyjdiesz dzisiaj do zatoki Petit Bôt? – zapytał zamiast powitania. – Muszę stąd wyjść, muszę nad morze. Muszę się z tobą zobaczyć.

– To zbyt niebezpieczne – orzekła Beatrice i przemknęło jej przez głowę, że Julien chyba nienawidzi tych słów, które padały z jej ust praktycznie zawsze, gdy wysuwał takie propozycje. Czuliła się jak zatroskana guwernantka, która psuje zabawę wszystkim w swoim otoczeniu, ale na miłość boską, chodziło przecież o coś więcej niż niewinne igraszki na plaży.

– O jedenastej będę w zatoce – powiedział. – Czy przyjdiesz, czy nie.

Podniósł głowę, zerknął przez uchylony lufcik w burzowe niebo, już mieniające się zimnym błękitem jesieni.

– Życie przecieka mi między palcami – stwierdził zrozpaczony. – Widzisz, jak chmury gnają po niebie? Tak samo przemija czas. A ja tkwię tutaj! – Zacisnął pięść, z całej siły uderzył w stół. – A ja siedzę tutaj!

– To już nie potrwa długo. Wszyscy mówią...

– Od lat mówią różne rzeczy. Nikt nie powstrzyma niemieckiego diabła, zrozumcie w końcu! Może chwilowo nie idzie im najlepiej, ale prędzej czy później karta znowu się odwróci. To się nigdy nie skończy. Nigdy!

Był to odwieczny lament, odwieczne narzekanie, na które Beatrice nie znajdowała odpowiednich słów. W kółko obiecywała mu koniec wojny,

koniec okupacji, a Julien w kółko powtarzał posępne przepowiednie, że końca nigdy nie będzie. Usiłowała go zrozumieć, tłumaczyła sobie, że w jego sytuacji taki pesymizm jest zrozumiały, co z kolei sprawiło, że posmutniała na myśl, że nie jest w stanie go pocieszyć, uspokoić.

– Przyjdiesz? – zapytał.

Westchnęła.

– Spróbuję, ale niczego nie obiecuję.

Wiedziała, że nie wątpił, że przyjdzie.

Tego wieczora Erich wrócił z Francji, co znacznie komplikowało sytuację. Miało go nie być dłużej i nikt nie wiedział, czemu wrócił przedwcześnie, zwłaszcza że sam nic na ten temat nie mówił. Był w wyśmienitym humorze i nawet przywiózł prezenty: dla Helene kolbę z pereł z wielkim, połyskującym zielono szmaragdem przy zapięciu, a dla Beatrice – pierścionek, duży żółty topaz osadzony w oprawie z ciężkiego, szerokiego złota. Był na Beatrice zdecydowanie za duży, zsuwał się nawet z kciuka i wyglądał bardzo ostentacyjnie na jej ciągle dziecinnej dłoni. Według Beatrice pasował do grubej starej matrony, a nie do niej, przede wszystkim jednak był to nieodpowiedni prezent od Ericha, zwłaszcza że Helene nie dał pierścionka. Oczywiście Erich zauważył od razu, że nie jest nim zachwycona.

– Co jest? – Zmarszczył czoło. – Nie podoba ci się?

– Jest za duży.

– No to go zmniejszymy. Masz bardzo szczupłe palce, trzeba ci to przyznać. Odejdzie sporo złota. Może da się z niego zrobić wisiołek.

– Albo drugi pierścionek – zauważyła ostro Helene. – Dla mnie.

Erich zrozumiał, że żadna z nich nie powitała go z entuzjazmem, na który liczył, który sobie wyobrażał. Z uśmiechem sięgnął do torby, którą przedtem nonszalancko rzucił w kąt.

– Może to was bardziej ucieszy – powiedział, wyjmując skarby, których na wyspie nie widziano od dawna. – Prawdziwa kawa – zachwalał. – Czekolada! Jedwabne pończochy. Mydło. Herbata. Pyszne ciastka. I co wy na to?!

Rzeczywiście, te prezenty zrobiły na Helene większe wrażenie niż sznur pereł.

– Mój Boże – powiedziała z nabożnym lękiem. – To we Francji jeszcze tak dobrze im się żyje?

– Większości nie, ale mają zapasy. A ja, jako człowiek troskliwy, oczywiście pomyślałem o was.

– Jak sytuacja na froncie? – zapytała Beatrice. Mylił się, licząc, że zdoła ją przekupić kawą i czekoladą.

– Och, wszystko jak najlepiej – odparł natychmiast Erich. – Oczywiście wojny nie wygrywa się z dnia na dzień, czasami coś się nieco opóźnia, ale całościowo wszystko wygląda wspaniale. Po prostu wspaniale.

– Słyszy się, że Niemcy wycofują się na wszystkich frontach – rzuciła Beatrice prowokacyjnie. – I niby dlaczego mamy na wyspie takie kłopoty z zaopatrzeniem, jeśli wszystko idzie tak świetnie?

Erich spochmurniał.

– Cholerna wroga propaganda! Usiłują osłabić morale i wolę walki, to jasne, a najłatwiej to osiągnąć, rozsiewając hiobowe wieści. Ale to wszystko nieprawda. – Westchnął gniewnie. – Najlepiej byłoby skonfiskować wszystkie radioodbiorniki na wyspie, ale to najwyraźniej niemożliwe.

Tego wieczora pił dużo, co było Beatrice na rękę, bo po alkoholu spał jak kamień. Helene, która nie czuła się najlepiej, także nie wylewała za kołnierz i gdy szła spać, bardzo plątał jej się język.

Było już po jedenastej, gdy Beatrice zdobyła się na odwagę, by wymknąć się z domu i zakraść na ścieżkę prowadzącą nad zatokę Petit Bôt. Wiedziała oczywiście, że teren posiadłości patroluje dwóch strażników, ale ci jeszcze nigdy nie zmienili raz ustalonych godzin i wypracowanego rytmu, bez problemu więc poczekała, aż drzwi wejściowe i podjazd były niestrzeżone. Mimo to jednak miała świadomość, że bardzo ryzykowała i że powinna była mieć dość rozumu w głowie, by się sprzeciwić Julienowi i zrezygnować z tej nocnej wyprawy.

„Co za głupota – myślała wściekła na siebie, przemykając się przez noc – żeby robić coś tak szalonego!”

Ale jak zwykle złość i gniew rozwiały się bez śladu, gdy Julien stanął naprzeciw niej i z niecierpliwością i zaborczością, które zdradzały jego

desperację, zamknął ją w ramionach. Czekał na nią w zatoce jak nieruchomy cień wśród gładów, a podszedł dopiero wtedy, gdy był pewien, że nikt jej nie śledził.

Stali wtuleni w siebie. Serce Beatrice biło jak oszalałe po szybkim biegu. Noc była ciepła, jedwabście czarna, po niebie nadal przesuwały się chmury, tak że księżyc i gwiazdy pojawiały się tylko chwilami. Morze szumiało spokojnie, tajemniczo. Wydawało się, że na ziemi nie ma innych ludzi poza nimi.

Julien szeptał po francusku czułe słówka i odgarniał jej kosmyk włosów, który uparcie opadał na czoło. Tu, na dworze, był zupełnie inny niż na strychu. Jakby krew szybciej płynęła mu w żyłach, jakby prędeziej oddychał, jakby wypełniała go siła, którą czerpał z nieznanego źródła. Oczy mu błyszczały, śmiał się ciepło, głęboko. Był młody, pełen życia, silny, pewny siebie.

„Jest wolny – pomyślała. – Tutaj, na zewnątrz, jest po prostu wolny i przez to staje się innym człowiekiem”.

Kochali się na jasnym piasku zatoki, a świadomość niebezpieczeństwa, które im groziło, i krótkiego czasu, jaki im pozostał, potęgowały ich pożądanie i oddanie.

Romantyczność tych spotkań się nie zmieniała, bo też sytuacja była wiecznie ta sama. Niebezpieczeństwo groziło im cały czas, cały czas nie wiedzieli, co przyniesie im przyszłość.

Leżeli obok siebie, trzymając się za ręce. Julien opowiadał po francusku o życiu po wojnie. W lepszych chwilach wierzył, że koszmar się skończy i że już niedługo będzie po wszystkim. Teraz była jedna z tych chwil. Leżał na brzegu morza, pod gołym niebem, widział nad sobą chmury i gwiazdy, kochał się z dziewczyną, cały czas jeszcze trzymał ją za rękę. Był zwyczajnym młodym mężczyzną, jak tysiące innych.

– Kiedy to wszystko się skończy, zarobię mnóstwo pieniędzy – stwierdził. Fakt, że mówił „to wszystko” a nie: „koszmar, terror, koniec świata” to był dobry znak. „To wszystko” było świadomie wybranym nieszkodliwym określeniem szaleństwa, które rozpętało się kilka lat wcześniej. – Jeszcze nie wiem dokładnie, w jaki sposób, ale sama się przekonasz, będę bogaty.

Beatrice usiadła i szukała czegoś w kieszeni sukienki. Ukradkiem zabrała kawałek czekolady, którą przywiózł Erich. Odłamała pasek i podała Julienowi.

– Proszę. Chcesz?

On też usiadł. Akurat w tej chwili znowu wyjrzał księżyc i w jego świetle Julien wydawał się upiornie blady. Beatrice wiedziała, że to nie tylko sprawka księżycowego światła; także za dnia był chorobliwie blady. W niczym nie przypominał silnego, opalonego chłopaka, który przybył na wyspę. Był już tylko cieniem samego siebie.

– Czekolada? Skąd masz? – Z rozkoszą zjadł od razu cały pasek. – Już nie pamiętałem, jak smakuje.

– Erich wrócił dzisiaj z Francji. Przywiózł mnóstwo smakołyków. – Patrzyła, jak żuje i oblizuje wargi. Wsunęła mu w usta kolejny pasek.

– Czy kiedy myślisz o tym, co będzie po wojnie, jest w twoich planach miejsce dla mnie? – zapytała.

Spojrzał na nią zdumiony.

– Oczywiście, czemu miałyby być inaczej?

– Nigdy o tym nie mówiłeś.

– A kiedy rozmawiamy o tym, co będzie po wojnie? I tak nie ma sensu o tym rozmyślać.

– Opowiadasz o pieniądzach, które zarobisz – zauważyła ostrożnie – ale nie o mnie.

– Nie łap mnie za słówka. Teraz mówiłem o pieniądzach, innym razem powiem o tobie. – Wstał nagle niespokojny. – Wiesz co? Chciałbym popływać. Chciałbym poczuć sól na ustach, wodę na skórze.

Choć nienawidziła siebie jako guwernantki, znowu musiała się w nią wcielić.

– Nie rób tego. To zbyt ryzykowne. W wodzie jesteś bardzo widoczny, mogą cię wypatrzeć z łodzi i z góry, z urwiska.

– Noc jest na to za ciemna, a poza tym nie ma tu żywej duszy. – Zniecierpliwiony wspiął się na palce.

Księżyc, jakby ostrzegawczo, znowu wyjrzał zza chmur i spowił ziemię bladą poświatą.

– Wcale nie jest tak znowu ciemno – odparła niespokojnie. – Chmury

przesuwają się bardzo szybko, księżyc nigdy nie znika na długo. Proszę cię, Julien. Niebezpieczne jest już to, że tu jesteśmy, ale skały przynajmniej jakoś nas osłaniają. W wodzie nie masz żadnej osłony.

– To ostatnia letnia noc. – Nie było na to żadnego dowodu, ale wydawał się tego pewny. – Zresztą nie wiadomo, kiedy znowu uda mi się wyjść. Idę popływać.

Odprawiała go wzrokiem, gdy biegł plażą do wody. W świetle księżyca jego ciało wydawało się srebrzyste. Poruszał się miękko, zwinnie; niemal czuła, jak rozkoszuje się pieszczotą powietrza i piasku, jak bardzo cieszy go bieg, gra mięśni. „Jest taki piękny – pomyślała – i taki nierozważny”. Poczowała się osamotniona, gdy tak siedziała w cieniu piętrzących się nad nią głazów i wypatrywała go w otchłani morza, w świetle księżyca. Starła się bardzo nie wyciągać pochopnych wniosków z tej sytuacji, nie doszukiwać się w niej przesadnej symboliki, ale miała wrażenie, że zamienili się rolami: on wyszedł na wolność, ona została w więzieniu. I w pewnym sensie tak właśnie było, zrozumiała to przed chwilą. Nie kochał jej tak naprawdę. Była jedną z rzeczy, które ułatwiały mu życie w ukryciu i dlatego była dla niego ważna, ale w głębi duszy nie był do niej przywiązany. Kiedy tylko odzyska wolność, zapomni o niej. Wróci do Francji i rzuci się w wir nowego, odzyskanego życia, otoczą go roześmiane, radosne dziewczyny, a on będzie flirtował, tańczył, pił, będzie je kochał, a z jedną z nich kiedyś się ożeni.

„Kim będę w jego wspomnieniach?” – zastanawiała się.

Ubrała się, wygładziła włosy dłońmi.

Będzie Beatrice, Angielką, którą nauczył francuskiego, z którą czytał Wiktora Hugo, którą pozbawił dziewictwa. Zapamięta jej bladą skórę, jej niesforne włosy, kościste ciało i pewnie to, że nie była zbyt ładna.

„Ale nie miał wyboru i byłam lepsza niż nic” – pomyślała gniewnie. Nerwowo przesunęła dłonią po piasku, zostawiając głębokie linie. „I do tego byłam jeszcze na tyle głupia, żeby spotykać się z nim na plaży w nocy i ryzykować życiem”.

Julien był już po pas w wodzie, zawahał się chwilę i rzucił się w fale. Płynął silnymi ruchami, przewrócił się na plecy, pozwolił, by woda go niosła, zaraz jednak znowu przecinał powierzchnię silnymi ruchami,

pluskając i chlapiąc przeraźliwie głośno w nocnej ciszy. Ku przerażeniu Beatrice księżyc w pełnej krasie wynurzył się zza chmur, wiatr przegnał je dalej i noc stała się niebezpiecznie jasna.

„To się musi źle skończyć” – pomyślała z bijącym sercem. Wstała, odważyła się podejść o krok bliżej.

– Julien! – zawołała półgłosem. – Wracaj, proszę! Za bardzo hałasujesz! Wracaj!

Oczywiście wcale jej nie słyszał. Brykał w wodzie jak rozbawione dziecko albo szczęśliwy delfin. Był jak na scenie, może się zapomniał, może rzucał losowi wyzwanie, tego Beatrice nie wiedziała.

„Powinam odejść – pomyślała. – Powinam zostawić go w tym szaleństwie samego, dopilnować, żeby mnie tu nie było”.

Kiedy padł strzał, ogłuszająco głośny, w pierwszej chwili nie wiedziała, co usłyszała, skąd pochodził dźwięk, zaraz jednak padł drugi strzał, a potem ostry głos wołał po niemiecku przez megafon:

– Proszę natychmiast wyjść z wody! Proszę natychmiast wracać na brzeg!

Na urwisku zajaśniały światła i nagle rozległo się wiele głosów, niemieckich głosów. Zapewne żołnierze, którzy znaleźli się na klifie, a teraz schodzili ku zatoce.

Beatrice czmychnęła między skały. Czuła się jak zając w sidłach, schwytna w pułapkę między morzem a urwiskiem, otoczona przez uzbrojonych wrogów. I znowu padły strzały, kule uderzyły w wodę, ale trafiały daleko od Julienu. Znajdował się chyba poza ich zasięgiem, to jednak nic nie znaczyło, prędzej czy później będzie musiał wrócić.

„Poddaj się – zaklinała go w myślach. – Poddaj się, na miłość boską, to twoja jedyna szansa!”

Julien zatrzymał się nagle, gdy padł pierwszy strzał, tak zdumiony, jakby w ogóle nie liczył się z obecnością niemieckich żołnierzy. Trwał nieruchomo także przy drugim strzale, wpatrzony w zatokę, jakby analizował sytuację.

Trzeci strzał przywrócił mu zdolność ruchów, ale zamiast posłuchać wezwania – którego być może nawet nie zrozumiał, bo jego niemiecki był bardzo kiepski – rzucił się w przeciwną stronę, szybkim kraulem płynął

prosto w morze, a potem skręcił na zachód. Choć czas w ukryciu go osłabił, śmiertelny strach dodawał mu siłę; poruszał się niewiarygodnie szybko i pewnie.

– Chce dopłynąć do drugiej zatoki! – krzyknął ktoś. – Wyślijcie tam ludzi, żeby go przejęli!

Beatrice jeszcze głębiej wbiła się między głazy. Zdawała sobie sprawę, że to marne schronienie. Znajdą ją. Może nawet zastrzelą.

Serce biło jej jak oszalałe. Przez moment kusiło ją, by wyjść, poddać się, zanim wyciągną ją siłą. Coś jednak ją powstrzymywało i nagle uznała, że nie powinna tak łatwo rezygnować.

„Muszę uciekać, zanim znajdą się na dole. Kiedy już tu będą, nie mam szans. Muszę uciekać”.

Znowu padły strzały, ale Julienowi nic już nie groziło. Już niemal zniknął za skalnym załomem.

Żołnierze powoli schodzili stromą dróżką; nie znali terenu, poza tym nie wiedzieli, czy na dole nie czeka na nich zasadzka.

Beatrice natomiast znała okolice od wczesnego dzieciństwa. Była tu tysiące razy, przemykała się wśród głazów jak kotka.

Myślała gorączkowo. Zachodnia ścieżka nie wchodziła w grę, to jasne. Od dróżki prowadzącej do zatoki słyszała warkot motorów; od tamtej strony zbliżali się na motorach, więc i tamta droga była odcięta. A zatem została jej tylko ścieżka na wschodnim urwisku, do której jednak nie miała jak się dostać – musiałyby wyjść z zatoczki i kawałek przebiec drogą, a tam już się roilo od Niemców. Czyli miała tylko jedno wyjście – wspiąć się na urwisko.

Problem w tym, że zanim zacznie się wspinać, będzie musiała przebiec całą szerokość plaży. Musiała zadbać o to, by się ukryć w krzakach przy skraju plaży, przylgnąć do kamieni i kryć się między głazami. Już miała ruszać, świadoma, że liczy się każda sekunda, gdy zobaczyła ubrania Juliana poniewierające się na piasku. Gdyby Niemcy rozpoznali w nich własność doktora Wyatta, lekarz i jego rodzina byłiby skazani.

Wyszła ze skalnej szczeliny, cały czas bezpieczna pod kamiennym nawisem, porwała spodnie, koszulę, buty i skarpety, ze wstrzymanym oddechem wróciła między skały, a potem pełzła wbita w głazy jak

jaszczurka. Niemcy tymczasem nadal strzelali z urwiska, na górze piszczały hamulce, żołnierze biegli na plażę.

Najbardziej przeszkadzały jej buty. Resztą ubrań obwiązała się w pasie albo przerzuciła je sobie przez ramię, ale buty niosła w lewej ręce, co oznaczało, że mogła się posługiwać tylko prawą. Wybrała najbardziej stromą, najtrudniejszą dróżkę na urwisko. Ta trasa to było czyste szaleństwo, zwłaszcza po ciemku i w zabójczym tempie, gdy mogła się posługiwać tylko jedną ręką. Nie miała czasu, żeby się zastanawiać, gdzie stąpnąć, nie macała stopą podłoża, żeby się upewnić, czy kamień utrzyma jej ciężar. Zdała się na pamięć – właśnie ta ścieżka stanowiła dawniej ulubioną próbę odwagi między nią a chłopakami z wioski, choć zawsze wspinali się tu za dnia, bez obciążenia – i liczyła na łut szczęścia.

Dobrze chociaż, że w tych trudnych momentach nie zawiodły jej mięśnie i nerwy. Poruszała się spokojnie, pewnie, mimo szybkości. Nie kręciło jej się w głowie, nie zbierało się na mdłości. „Kiedy już będzie po wszystkim, będę krzyczeć” – pomyślała nagle.

W zatoczce Niemcy wszczęli alarm. Nocną ciszę przerywały krzyki i strzały, potem doszło do tego ujadanie; ktoś sprowadził psy tropiące. Beatrice zdawała sobie sprawę, że to oznaczało, że miała coraz mniej czasu. Psy błyskawicznie znajdą zakątek wśród skał, a stamtąd pobiegną jej tropem do wschodniego urwiska i dalej, na górę, a wtedy będzie jasne, skąd przyszła. Wystarczy, żeby żołnierze poczekali na nią na górze.

Przyspieszyła, nie zwracała uwagi na ból w palcach, które zdrętwiały od kurczowego trzymania butów. Ostatnie głązy... wolną ręką namacała trawę, podciągnęła się resztkami sił i zdyszana opadła na ziemię.

Była na górze. Udało jej się.

Wiedziała, że nie może tu zostać, dokoła roiło się od niemieckich żołnierzy. Musiała uciekać co sił w nogach.

Dalej popęzła na czworakach. Nie śmiała biec wyprostowana, bo w świetle księżycy byłaby zbyt widoczna. Dopiero kiedy dotarła do zagajnika, zatrzymała się, oparła o drzewo i oddychała głęboko. Upuściła buty, rozluźniła zaciśnięte dłonie. Teraz poczuła, jak bardzo była zmęczona

i spięta. Kłuło ją w boku, trzęsły jej się nogi, kręciło w głowie, cała ociekała potem.

Ukryła twarz w dłoniach i czekała, aż drżenie ustąpi.

Co z Julienem?

Nie zdoła przecież opłynąć całej wyspy, w pewnym momencie będzie musiał wyjść na brzeg. Czy go złapali? „Jak mógł być aż tak nierozsądny – zastanawiała się rozpaczliwie. – Jak mógł być tak cholernie *głupi*?”

Musiała jak najszybciej dotrzeć do domu i mieć nadzieję, że Ericha jeszcze nie powiadomiono o zejściu na plażę, że jeszcze nie wstał i tym samym nie zorientował się, że jej nie ma.

Co do licha ma zrobić z ubraniami Juliana?

Wstała z trudem, podniosła buty i ruszyła do domu. W lasku się zatrzymała, ale chyba nikogo tu nie było. Poszła naokoło, ominęła wioskę łukiem, zbliżała się do domu rodziców od tyłu, bo uznała, że podjazd jest zbyt niebezpieczny.

Czekała w ogrodzie, wypatrywała patrolu, wstrzymywała oddech, ale dokoła panowała cisza. Przekradła się do szklarni stojącej na skraju posiadłości, która od początku wojny popadła w ruinę, bo sam Pierre nie radził sobie ze wszystkim.

W kącie piętrzyły się worki nawozu i ziemi, ale widać było, że od lat nikt do nich nie zaglądał. Beatrice rozsunała je odrobinę, ukryła między nimi ciuchy Juliana i ustawiła wszystko tak, jak było przedtem. Na razie uznała, że to w miarę bezpieczny schowek, a później się zobaczy.

Niezauważona przekradła się do domu, do swego pokoju, ale odetchnęła z ulgą dopiero wtedy, gdy zamknęła za sobą drzwi. Zdarła z siebie mokre od potu ubranie, niedbale cisnęła je na łóżko, wślizgnęła się pod kołdrę i zwinęła w kłębek jak embrion, chora ze strachu i zmęczenia. Było jej niedobrze, cały czas szczękała zębami. Stopniowo docierało do niej, jak wiele miała szczęścia, że jeszcze żyła, że przecież z łatwością mogli ją zastrzelić, że o włos uniknęła śmierci.

Oby nie musiała wymiotować. Oby Julien przeżył. Oby go nie złapali. Oby się okazało, że dobrze ukryła jego ubrania.

Miała gonitwę myśli. W pewnej chwili wydawało jej się, że musi wstać i pobiec do łazienki, bo zaraz zwymiotuje, ale jej żołądek uspokoił się

i ponownie opadła na poduszkę.

Dopiero o świcie udało jej się zapaść w niespokojny sen. Obudziły ją głosy, warkot silników i odgłos ciężkich butów na schodach. Dom wydawał się pełen ludzi, w powietrzu wyczuwało się nietypowe poruszenie.

„Julien” – pomyślała natychmiast.

Była ósma rano. Nikt jej nie budził... Ale zaraz przypomniała sobie, że to przecież sobota i nie musi iść do szkoły. Cały czas było jej niedobrze. Wstała, zerknęła w lustro i przeraziła się swoim odbiciem – była blada, wyglądała fatalnie, na chorą i nieszczęśliwą.

Schowała pogniecioną sukienkę do szafy, wyjęła czystą, ubrała się. Włosy sterczały jej na wszystkie strony, nie dawała sobie rady, nie mogła ich okiełznać, więc w końcu tylko przewiązała je wstążką.

Kiedy wychodziła z pokoju, natknęła się na Helene.

– No, jesteś wreszcie! – szepnęła Niemka. – Ależ afera! W nocy mało brakowało, a schwytaliby szpiega w zatoce Petit Bôt!

– Mało brakowało? – powtórzyła natychmiast Beatrice.

– Najwyraźniej im uciekł, ale teraz przeczesują całą wyspę. Na pewno go znajdą.

Z parteru dobiegał nerwowy głos Ericha.

– Macie mnie informować o wszystkim, co się dzieje, jasne? Chcę być na bieżąco! – wszedł na piętro, przyglądał się Beatrice. – Jak ty wyglądasz? Jesteś chora? – Nie czekał na odpowiedź, od razu mówił dalej: – Co za dziwna historia! Ten człowiek był w wodzie. Skąd się tam wziął?

– To naprawdę był szpieg? – zapytała Beatrice dziwnym, obcym głosem.

Erich znowu przyjrzał jej się badawczo.

– Jeśli nie szpieg, to kto?

– Nie wiem. Ktoś z wyspy, kto chciał się wykąpać...

– Nie no – zachnął się Erich. – Doprawdy, miewasz przedziwne pomysły! Obowiązuje godzina policyjna. Kto byłby na tyle szalony, żeby w środku nocy kąpać się w morzu?

„Ktoś, kto ma w nosie wasze rozkazy, ale to nie przyjdzie wam do głowy” – pomyślała gniewnie Beatrice.

Erich biegiem wrócił na dół – uosobienie ważności – a Helene stwierdziła zatroskana:

– Naprawdę kiepsko wyglądasz, muszę przyznać mu rację. Źle się czujesz?

– Źle spałam, to wszystko – odparła. W duszy dziękowała Bogu, że miała dość rozsądku, by zabrać z sobą ubranie Julienu. Teraz już nie wątpiła, że w oczach Niemców byłoby ważnym dowodem.

Przez cały dzień snuła się smętnie po domu i kombinowała, w jaki sposób mogłaby się dowiedzieć czegoś o Julienie. Gdzie się ukrył? Najwyraźniej jeszcze go nie znaleźli, wiedziałyby już o tym. Nie śmiała pobiec do Wyattów, zresztą i tak nie mogłaby tego zrobić ze względu na Helene, która nie odstępowała jej na krok, wciągała ją w głupiutkie rozmowy, trochę narzekała, zażyczyła sobie, by dotrzymała jej towarzystwa w ogrodzie, uznała jednak, że jest jej za zimno i wróciły do domu. Julien najwyraźniej nie mylił się, twierdząc, że to była ostatnia letnia noc; powietrze ochłodziło się znacznie mimo słońca na niebie. Niebo przybrało intensywnie błękitną jesienną barwę. Po raz pierwszy tego roku Beatrice dostrzegła, że liście brązowią się na brzegach.

„To już prawie koniec lata” – pomyślała i wzdrygnęła się, bo ta myśl wydała jej się dwuznaczna; w głębi duszy wiedziała, że rzeczywiście w jej życiu kończyło się coś, co już nigdy nie wróci.

Przez cały dzień dręczyły ją ponure myśli: martwiła się o Julienu i nie mogła się oprzeć wrażeniu, że sprawa jeszcze się nie skończyła. Była niespokojna i spięta. Chcąc choć na pół godziny uwolnić się od Helene, zamknęła się w łazience, żeby wyprać sukienkę, którą miała na sobie poprzedniej nocy. Nie bardzo wiedziała, w jaki sposób stan sukienki mógłby wpłynąć na jej los, ale zależało jej na tym, żeby zniknęły z niej wszelkie możliwe ślady. Kiedy wyszła z łazienki z mokrą sukienką przewieszoną przez ramię i szła do ogrodu, żeby ją rozwiesić, usłyszała ostry głos Ericha:

– Gdzie Beatrice?

– Nie wiem – odparła Helene. – Przed chwilą tu była.

– Muszę z nią natychmiast porozmawiać.

Spięta się cała. To nie był zwykły władczy ton Ericha, w jego głosie

mieszały się wściekłość, nieufność i gniew. Coś się wydarzyło.

Myśli kłębiły jej się w głowie. Na jaki wpadł ślad? Jaki dowód miał w ręku? Czemu ma zaprzeczyć, a do czego się przyznać?

Nie było sensu się ukrywać. Woląca stawić temu czoła, mieć to już za sobą, wiedzieć, co się właściwie dzieje.

– Tu jestem, na górze. – Ją samą zaskoczyło czyste brzmienie jej głosu.

– Chodź na dół! – warknął Erich. – Natychmiast!

Powoli schodziła ze schodów. Woda z mokrej sukienki kapłała na stopnie. Erich i Helene stali obok siebie w holu. Helene była blada i przerażona, Erich miał minę jak na Sądzie Ostatecznym. Trzymał coś w ręku, lecz Beatrice w pierwszej chwili nie zorientowała się, co to było. Zatrzymała się na najniższym stopniu; dzięki temu była prawie tego samego wzrostu co Erich i to dodawało jej pewności siebie.

– Może mi powiesz, co to jest? – zaczął. Mówił teraz bardzo cicho, co wydawało się jeszcze groźniejsze niż uprzedni wrzask.

Patrzyła na to, co wyciągał w jej stronę.

– Co to? – zapytała.

Podszedł bliżej.

– Tego właśnie chciałbym się dowiedzieć. – Cały czas mówił bardzo cicho. – Od ciebie.

Dopiero teraz zobaczyła, co trzymał między palcami. Kawalek papieru. Opakowania. Opakowania czekolady, którą przywiózł z Francji.

Jakimś cudem ułamki łamigłówek nadal nie trafiały na miejsce. Jej umysł nie chciał myśleć logicznie, nie chciał widzieć związków przyczynowo-skutkowych, ale już rodziło się w niej złe przeczucie, pierwsze sygnały, że znalazła się w pułapce.

– Zapomniałaś języka w gębie? – zapytał Erich. – Przecież zazwyczaj papłasz jak... żydowski jubiler! – Według niego była to jedna z najgorszych możliwych obelg. Beatrice, która doskonale o tym wiedziała, skuliła się i nagle poczuła, jak wcześniejszy paraliż nagle ustępuje.

– To jest papierek po czekoladzie – odparła.

Erich uśmiechnął się okrutnie, lekko.

– No właśnie. Właśnie tak. Papierek po czekoladzie. Ale nie angielskiej, prawda? Na wyspie nie można dostać takiej czekolady, zwłaszcza teraz, bo

teraz w ogóle nie ma tu żadnej czekolady. Zgadzasz się ze mną?

– Chyba tak – mruknęła. Strach chwycił ją za gardło. W końcu dostrzegła związek i w ułamku sekundy zrobiło jej się niedobrze.

– Przecież to papierek po czekoladzie, którą wczoraj przywiozłeś z Francji – stwierdziła Helene ze zdumieniem, nie rozumiejąc, nie pojmując, czemu Erich doszukuje się w tym fakcie czegoś dziwnego.

Odwrócił się do niej powoli.

– Otóż to, Helene. Widzę, że myślisz szybciej niż nasza kochana Beatrice. To jest papierek po czekoladzie, którą wczoraj przywiozłem z Francji. A wiesz, gdzie go znalazłem?

– Gdzie? – zapytała Helene, szeroko otwierając oczy.

– W zatoce Petit Bôt. Na plaży.

Helene nie wiedziała już, co ma myśleć.

– Ale jakim cudem tam się znalazł?

– Hm... – Erich udawał, że się zastanawia. – Właściwie przychodzą mi na myśl tylko trzy osoby, które mogły go tam zostawić. Ty, ja albo Beatrice. Nikt inny nie mógł tego zrobić.

– Ale ja nie byłam na plaży – zauważyła Helene. – I to od wielu tygodni, a już na pewno nie dzisiaj czy wczoraj.

– Ja też nie – odparł Erich. – Ja chyba nigdy nie byłem w tej zatoczce.

– No ale Beatrice też nie – Helene nic już nie rozumiała. – Ani dzisiaj, ani wczoraj. Cały czas byliśmy razem.

– A zatem to rzeczywiście niewytłumaczalne – mruknął Erich. – Jakim cudem ten papierek znalazł się na plaży? No bo przecież nie ma skrzydeł. – Przyglądał się Beatrice spod zmrużonych powiek. Cały czas trzymała mokrą sukienkę. U jej stóp zebrała się już mała kałuża.

– Ale przecież w zatoce był w nocy ten szpieg – myślała na głos Helene. – Może to o to chodzi.

– Wiesz co – stwierdził Erich z namysłem – wygląda na to, że zostaje już tylko jedna możliwość, a mianowicie taka, że jedno z nas było na plaży tej nocy. Bo zarówno wczoraj, jak i dzisiaj, jesteśmy nawzajem swoim alibi. Ale jeśli chodzi o godziny nocne, nikt za nikogo nie da sobie ręki uciąć.

Beatrice pomyślała, że teraz już wie, jak się czuje mysz, którą bawi się kot. Erich otaczał ją, osaczał, ale zarazem zwlekał, nie zapędzał jej w kozi

róg.

„Powiedz, o co ci chodzi – zaklinała go w myślach. – Powiedz to otwarcie i wtedy zobaczymy, co dalej”.

– Ale które z nas miałyby w nocy iść na plażę? – zdziwiła się Helene. – Przecież to czyste szaleństwo! Umarłabym ze strachu!

– Rzeczywiście nie wyobrażam sobie siebie w takiej sytuacji – przyznał Erich. – Helene, która w środku nocy schodzi stromą ścieżką do zatoki Petit Bôt, siada na piasku i zajada czekoladę... Beatrice, zgodzisz się chyba, że to do niej za grosz nie pasuje?

– Nie pasuje – potwierdziła Beatrice zmienionym głosem.

– Ale Beatrice też nie zrobiłaby czegoś takiego, nigdy w życiu – upierała się Helene. – Niby po co?

– Zatoka to romantyczny zakątek – zauważył Erich. – Ciepła sierpniowa noc, rozgwieżdżone niebo, szum morza, lekki wiaterek... Mój Boże, Helene, my też kiedyś byliśmy młodzi!

Z miny Helene można było wyczytać, że pogubiła się całkowicie. Nie miała najmniejszego pojęcia, o czym mówił jej mąż.

Erich przyglądał się Beatrice. Jego uśmiech zniknął niespodziewanie.

– Dość gadania – stwierdził lodowato. – Wiesz, Beatrice, można ci wiele zarzucić, ale nie jesteś głupia. Zdajesz sobie sprawę, że nie zdołasz się z tego wykręcić sianem. Z kim spotkałaś się w nocy w zatoce?

Popęłniła taki głupi, kretyński błąd, zabierając z sobą czekoladę! Jak mogła tak ryzykować?

Erich uważał, że tylko ona mogła zanieść czekoladę na plażę i że mężczyzna, którego żołnierze wzięli za wrogiego szpiega, to jej kochanek, z którym spotykała się ukradkiem pod osłoną nocy. W związku z tym wstrzymał poszukiwania obcego – wiedział, że w grę wchodzi miejscowy, który już dawno dotarł do domu i tym samym nie sposób byłoby go odnaleźć. Od Beatrice chciał się dowiedzieć dwóch rzeczy: kim był nieznajomy i od jak dawna go znała.

To było prawdziwe przesłuchanie, które ciągnęło się do późnego popołudnia. Beatrice siedziała na krześle w jadalni, cały czas trzymając

moką sukienkę, którą zasłaniała się jak tarczą. Nie wiadomo dlaczego cały czas myślała o tym, że sukienka wyschnie pognieciona i strasznie trudno będzie ją potem wyprasować. Oczywiście w danej chwili był to najbardziej błahy z jej problemów, ale kurczowo czepiała się tej myśli, zapewne po to, stwierdziła później, by trzymać się czegokolwiek.

Erich przechadzał się nerwowo, siadał, wstawał, zatrzymywał się, znowu chodził. Raz mówił cicho, raz wrzeszczał, chwilami był niebezpiecznie łagodny, chwilami groźny i agresywny. Krzyczał, awanturował się, szeptał, przysuwał się do niej tak blisko, że czuła na twarzy jego oddech. Starła się nie odsuwać. Starła się nie okazywać strachu i rzeczywiście to nie strach czuła przede wszystkim. Była zbyt otumaniona, by naprawdę się bać.

Myślała o pogniezionej sukience i o tym, że bez względu na to, co się stanie, musi trzymać język za zębami.

Helene kilkakrotnie przychodziła do jej pokoju, płakała i wyglądało na to, że przeżywa załamanie nerwowe. Cała sytuacja wstrząsnęła nią do głębi: nie umiała zapobiec rodzinnemu kryzysowi, a nie miała pojęcia, jak daleko posunie się jej mąż, by wydobyć prawdę z Beatrice. Do tego wszystko wskazywało na to, że jej przybrana córka naprawdę już od jakiegoś czasu ma chłopca, z którym spotykała się potajemnie, ani zaś ona, ani Erich nie mieli o tym najmniejszego pojęcia. Helene była tym zaskoczona, oburzona i zastanawiała się ciągle, jak mogło do tego dojść, jakim cudem Beatrice udało się zbudować taki związek w całkowitej tajemnicy przed domownikami.

A Beatrice milczała uparcie. Godzinami. Z czasem na tyle do tego przywykła, że zamykała się w tym milczeniu jak w bezpiecznej norze, uciekała w nie, żeby nie czuć na twarzy gorącego oddechu Ericha, nie słyszeć jego głosu.

– Jeszcze mi wszystko powiesz – stwierdził w nocy ochryple, zmęczonym głosem. – Prędzej czy później wszystko mi powiesz. Wiem, jak skłonić każdego do mówienia.

Beatrice zaczęła się zastanawiać, czy chce ją oddać w łapy esesmanów i czy po przesłuchaniu przez nich będzie cała w sińcach, jak Pierre. Instykt jednak podpowiadał, że Erich się do tego nie posunie. Robił wszystko, by ją

zstraszyć, lecz ani razu jej nie uderzył i nie upadnie aż tak nisko, by zlecić innym tę brudną robotę. Nie, preferował bardziej wyrafinowane metody. Zmęczenie. Rozstanie. Niekończące się nachalne pytania.

W pewnym momencie skinieniem ręki odesłał ją na górę, do pokoju; tam rozłożyła na krześle na wpół wyschniętą, pogniecioną sukienkę i wpełzła do łóżka, wyczerpana, oszołomiona, ale choć była tak zmęczona, nie mogła zasnąć, przez całą noc nerwowo wierciła się i kręciła, a gdy nadszedł ranek, wiedziała, że musi się przygotować na drugą rundę.

Przesłuchania trwały prawie trzy tygodnie. Erich nie pozwalał jej chodzić do szkoły, sam też właściwie nie wychodził z domu. Jeśli koniecznie musiał się oddalić, Helene i dwaj strażnicy mieli surowo przykazane, by ani na chwilę nie spuszczać Beatrice z oczu. Nie miała okazji, by nawiązać kontakt z Julienem – co oczywiście byłoby możliwe tylko pod warunkiem, że udało mu się szczęśliwie wrócić do Wyattów, a tego też nie wiedziała. Zakładała, że Mae o nią pytała, ale nie pozwolono im się spotkać i Beatrice nie miała pojęcia, co powiedziano przyjaciółce, by wytłumaczyć jej nieobecność w szkole. Czy Wyattowie się martwili? I Julien?

Rozumiała doskonale, na czym polegała taktyka Ericha: izolował ją. Odciał ją od wszystkiego, co stanowiło jej życie, jej codzienność. Od przyjaciół, kolegów ze szkoły, od obowiązków i przyjemności, które wyznaczały rytm każdego dnia. Została sama, pozbawiona informacji i więzi ze światem zewnętrznym. Za to godzinami musiała wysłuchiwać jego monotonnych, upartych pytań.

Nie miała najmniejszych szans – i to w oczach Ericha było chyba najważniejsze – żeby nawiązać kontakt z ukochanym mężczyzną.

– Nie pojmuję – oświadczyła któregoś dnia Helene, wyraźnie rozżalona – dlaczego mi o tym nie powiedziałaś. Nie mieści mi się to w głowie. Myślałam, że mi ufasz!

– Nie ma czego opowiadać – odpowiedziała Beatrice, jak niezmiennie za każdym razem.

Helene westchnęła głęboko. Oczywiście nie uwierzyła w ani jedno słowo, nikt nie wierzył. Ale wydawało się praktycznie niemożliwe wydobyć z Beatrice jej sekret. Erich nie dawał za wygraną, ale Beatrice też

nie ustępowała, tylko z upływem czasu coraz bardziej zamykała się w sobie. Nie buntowała się, nie walczyła, nie szukała wymówek, sposobów, by zmienić tę sytuację czy choćby zrobić coś, by stała się bardziej znośna. Pokornie znosiła wszystko, co się działo. Trochę tak, jakby uciekała do odległego zamkniętego świata, w którym nikt nie mógł jej dosięgnąć.

Bardzo schudła, pobladła, miała cienie pod oczami, włosy zwisały jej smętnie, bardziej niesforne niż dotąd. Z jej oczu zniknął blask, ruchy straciły lekkość i gibkość, które je dawniej cechowały.

Koniec końców skapitulował Erich. Zrozumiał, że Beatrice nie ustąpi, a nie mógł bez końca trzymać jej w domu, z dala od szkoły. Sam też nie miał czasu, by ją wiecznie wypytywać i maltretować. Przez zęby musiał przyznać, że tę rundę wygrała Beatrice.

– Już go nigdy więcej nie zobaczysz – zapewnił. – Nigdy, ani za dnia, ani w nocy, nie będziesz choćby przez sekundę sama. Możesz sobie wmawiać, że wygrałeś, ale w rzeczywistości poniosłeś klęskę. Od tej pory będziesz więźniem.

Adiutant odprowadzał ją do szkoły i z powrotem. Żołnierze pilnujący domu mieli rozkaz, by pod żadnym pozorem nie pozwolić jej się oddalić. W nocy jeden z nich siedział w holu; nie mogłaby go minąć niepostrzeżenie.

Dom stał się fortecą.

Beatrice miała jednak znowu kontakt z Mae, która bardzo się martwiła i niecierpliwiła. Dowiedziała się od niej, że po kilku dniach ich nerwowego oczekiwania Julien wrócił do Wyattów; wcześniej ukrywał się w szopach i stajniach, i powoli przedzierał do domu lekarza. Opowiedział o nocnej wycieczce oraz o tym, że mało brakowało, a zostałby schwytany.

– Tata był bardzo zły – opowiadała Mae – bo Julien ryzykował życiem nas wszystkich. Wcale nie miał ochoty znowu go ukrywać, ale przecież wtedy Niemcy mogliby go złapać i mógłby im wszystko opowiedzieć. – Nie wytrzymała, ciekawość wzięła górę: – Byłaś z nim tamtej nocy? – zapytała, a gdy Beatrice milczała, uznała to za odpowiedź twierdzącą.

– No cóż – stwierdziła i w jej głosie rozbrzmiewała ta sama satysfakcja, która malowała się na jej twarzy. – Więcej się z nim nie spotkasz. Pilnują cię

przez okrągłą dobę. Ta sprawa chyba już dobiegła końca.

Guernsey, czerwiec 1944 – maj 1945

W nocy z piątego na szóstego czerwca 1944 roku zaczęła się operacja Overlord, która zarazem zapoczątkowała ostatnią fazę drugiej wojny światowej i koniec dyktatury Trzeciej Rzeszy. Szóstego czerwca 1944 roku na wybrzeżu Normandii wylądowali alianci, ponad pół miliona amerykańskich, kanadyjskich i brytyjskich żołnierzy dokonało desantu na brzeg, trzy tygodnie później francuskie miasto Cherbourg znalazło się w rękach Amerykanów. Niemcy musieli się godzić z kolejnymi klęskami, na wschodzie i na zachodzie, a im słabsze było wojsko, tym głośniejsza stawała się wojenna propaganda. Nawet najwięksi pesymiści na wyspie z nadzieją podnosili głowy. Wszystko wskazywało na to, że koniec koszmaru naprawdę był na wyciągnięcie ręki.

Podczas desantu w Normandii alianci uznali wyspy za zbyt nieistotne, by je zajmować i tym samym narażać się na straty, zanim na stałym lądzie dojdzie do bezpośredniego starcia z wojskami Hitlera. I tak leżały zapomniane, ostatnie punkty niemieckiego oporu na Atlantyku, za plecami wyzwolicieli, z dnia na dzień odcięte od Wielkiej Rzeszy, z której do tej pory płynęło zaopatrzenie. Co prawda od 1943 roku jego funkcjonowanie pozostawiało, delikatnie mówiąc, wiele do życzenia, bo liczne łodzie podwodne przy francuskim wybrzeżu znacznie utrudniały transport żywności i innych niezbędnych produktów, ale mimo wszystko część statków docierała do portów, czasami lądowały też samoloty. Teraz to wszystko się skończyło. Teraz zaopatrzenie mogłoby dotrzeć z Anglii, ale Churchill zapowiedział: żadnej pomocy dla Wysp Normandzkich. Zdawał sobie sprawę, że wszelkie zapasy trafiłyby w ręce wroga, więc nie wysyłał niczego. Wolał głód rodaków niż wsparcie wroga.

Sytuacja pogorszyła się pod koniec 1944 roku. Piło się wtedy herbatę z pasternaku albo liści jeżyn, ewentualnie kawę z żołądździ. Prawie nie było chleba, skończyły się mięso i ser, bo przed inwazją wyjechało z wysp zbyt wielu mieszkańców, by rolnictwo funkcjonowało należycie. A z nadejściem

jesieni i zimy było jeszcze gorzej.

Najeźdźcy i podbici głodowali razem. Marzli, cierpieli, eksperymentowali z żałosnymi produktami własnej produkcji, które nie dość, że nie zabijały głodu, to jeszcze przyprawiały o ból żołądka. Łączył ich głód i poczucie, że wszyscy o nich zapomnieli. Wojna toczyła się gdzie indziej, losy świata decydowały się gdzie indziej, oni nie mieli z tym nic wspólnego. Znajdowali się na tyłach frontu, który ich ominął, nie dotknął nawet, skazał na czekanie. Nie mogli nic – nie mogli walczyć, zwyciężać, przegrywać, umrzeć. W każdym razie nie z bronią w ręku.

Za to z głodu – owszem. Najgorzej wyglądała sytuacja więźniów obozu koncentracyjnego na wyspie Alderney oraz wśród robotników przymusowych. Ich i tak skąpe racje żywnościowe dramatycznie ograniczono, co w praktyce oznaczało, że nie dostawali właściwie nic i w zależności od stanu zdrowia umierali wcześniej czy później. Anglicy i Niemcy jakoś dawali sobie radę i nagle musieli się zmierzyć z dziwną sytuacją – w pewnym sensie jechali na tym samym wózku: zmagali się z tymi samymi trudnościami, a przy tym z tych czy innych powodów jednych i drugich porzucił ich własny rząd. Niemcy narzekali na Berlin, który nie robił nic, by ich stąd zabrać albo w jakikolwiek inny sposób poprawić ich sytuację, Anglicy na Churchilla, który nie miał oporów, by poświęcić rodaków po to, żeby dosłownie zagłodzić wroga. A ponieważ z narzekania nic nie wynikało, wszyscy mieli świadomość, że musieli jakoś sobie radzić w zaistniałych okolicznościach. Połączyła ich wspólnota nieszczęścia. Razem próbowali jakoś przeżyć.

Stosunki między najeźdźcą a podbitymi zawsze wyglądały na wyspach inaczej niż na innych terenach zajętych przez hitlerowską Trzecią Rzeszę. Owszem, Niemcy zachowywali się butnie, agresywnie i władczo, ale nie miały tu miejsca brutalne represje, z masowymi egzekucjami włącznie, do których dochodziło w Polsce, Rosji czy nawet Francji. Z drugiej strony, na wyspach nigdy nie powstał ruch oporu, więc nie było też ataków na przeciwnika. Przez całą wojnę podbici i zwycięzcy mieszkali na jednej wyspie, odcięci przez morze od reszty świata, tworzyli zamknięte społeczeństwo, w którym niejako automatycznie stosunki układały się inaczej niż w krajach, z których można było wyjechać – przynajmniej jeśli

się walczyło po zwycięskiej stronie. Musiano znaleźć jakąś formę współlistnienia, bo nie sposób było się unikać. Spontanicznie, niezauważenie, zrodziło się poczucie wspólnoty, które w ostatnich miesiącach wojny, za sprawą głodu i strachu, przerodziło się w zadziwiająco głęboką solidarność.

We wrześniu 1944 roku Beatrice skończyła szesnaście lat i była głęboko przekonana, że to jej ostatnie urodziny pod niemiecką okupacją. Karta wojenna odwróciła się od Trzeciej Rzeszy, już nikt nie mógł temu zaprzeczyć.

– Jeszcze pół roku – szeptali mieszkańcy wyspy – i będzie po wszystkim.

Beatrice dziwnie się czuła na myśl, że wkrótce znowu zobaczy rodziców. Od ich rozstania minęły cztery lata, a zanim znów będą razem, będzie to już zapewne pięć. Teraz, gdy ta perspektywa nie była już taka odległa, Beatrice stawiała się coraz bardziej niecierpliwa. Gorączkowała się, nie mogła się już doczekać. Nie wytrzymywała swojej sytuacji, tego uwięzienia, konieczności opowiadania się z każdego kroku. Przez cały ten czas widziała Juliana tylko jeden jedyny raz: w marcu, z okazji urodzin Mae. Erich był wtedy we Francji i Beatrice udało się przekonać Helene, by pozwoliła jej pójść na przyjęcie urodzinowe przyjaciółki. Helene zgodziła się po długim namyśle i wahaniu. Beatrice szybko wymknęła się z grupy rozbawionych nastolatek, które wydawały jej się bardzo dziecinne i niedojrzałe, i pobiegła na strych. Po raz ostatni była tam latem ubiegłego roku.

Julien siedział w fotelu pod lufcikiem i wystawiał twarz do wiosennego słońca wpadającego przez uchylone okienko. Na widok Beatrice zrobił taką minę, jakby zobaczył ducha.

– To ty? Już myślałem, że nigdy cię nie wypuszczą!

– I nie wypuszczają, ale na urodziny Mae zrobili wyjątek.

Wstał z fotela, podszedł do niej. Był bardzo blady, na jego twarzy widniał grymas umęczenia, którego wcześniej, mimo wszystko, na niej nie było. Tak jakby faza buntu i gniewu dobiegła końca, a teraz przyszedł czas rezygnacji, przez co stał się wyciszony i depresyjny. Już się nie buntował, zamknął się w sobie i czekał na koniec, bez względu na to, jaki będzie.

– Fajnie, że jesteś – stwierdził, ale w jego głosie nie było entuzjazmu.

– Co ci powiedzieli państwo Wyatt?

– To, czego się dowiedzieli od Mae. Że właściwie nie wolno ci wychodzić z domu i dlatego nie przychodzisz.

– Czy oni wiedzą, że my... że wtedy byliśmy razem?

Potwierdził ruchem głowy.

– Domyślili się. Chyba rozeszła się plotka, że tamtej nocy byłeś na plaży z mężczyzną, a ponieważ mnie też nie było... – Wzruszył ramionami. – Na pewno nie wiedzą, co nas łączyło, ale domyślają się, że to było coś więcej, niż początkowo sądzili. Mają do mnie żal.

– Ale nadal cię ukrywają.

– Tak. Czyli pewnie mam szczęście, choć wcale tak tego nie odbieram.

– Wszystko przetrzymasz – zapewniła.

– Jasne – mruknął.

A potem przez dłuższą chwilę stali naprzeciwko siebie i żadne z nich nie wiedziało, co powiedzieć. Jakby nie było już nic do powiedzenia, jakby między nimi padły wszystkie słowa, jakby teraz pozostało im już tylko czekać, co przyniesie przyszłość.

– Muszę wracać do gości – powiedziała w końcu Beatrice. Julien powtórzył tylko:

– Jasne.

Nawet się nie dotknęli, nie było między nimi ani jednego czulego gestu, niczego, co przypominałoby o dawnej bliskości i intymności.

„Nawet nie zapytał, jak wtedy dotarłam do domu – pomyślała, schodząc ze stryszku. – Nie wspomniał o tym, na co mnie naraził, nie żałował, że wpakował mnie w obecną sytuację, że przez niego jestem prawie tak samo uwięziona jak on. I to wszystko z powodu jego lekkomyślności”.

Później już nie miała okazji go odwiedzić, ale też szczerze mówiąc, nie bardzo tego chciała, nie zależało jej. Zawiodła się na nim, a poza tym życie codzienne stawało się coraz bardziej uciążliwe i to nie był dobry czas na miłość.

Sylwestra 1944 roku spędzili we trójkę z Erichem i Helene w domu. Początkowo Erich zdecydował, że pojedą razem do St. Peter Port, do

kasyna oficerskiego, na przyjęcie noworoczne, później wspominał też coś o zaproszeniu do dowódcy sił zbrojnych na wyspach, koniec końców jednak nie miał ochoty nigdzie iść i zdecydował, że zostaną w domu. Beatrice podejrzewała, że się zorientował, że imprezy, które sobie wymyślił, wcale nie będą tak radosne, jak początkowo sądził, i dlatego stracił na nie ochotę. No bo kto w tych czasach mógł jeszcze wydawać przyjęcia? Brak żywności i ciągły głód dotknął także najwyższych rangą oficerów. Wszystko się skończyło, nawet przywileje. Wśród Niemców panowały grobowe nastroje, zwłaszcza że w radio słyszeli już tylko o ciągłych odwrotach armii hitlerowskiej i coraz śmielszych poczynaniach aliantów. Wśród Brytyjczyków napięcie i oczekiwanie spletały się z obawami: a jeśli o nas zapomną? A jeśli wojna się skończy, a oni zostaną tutaj z wrogiem, skazani na powolną śmierć głodową? Niemal wszyscy bardzo źle się wypowiadali o Churchill. Żelazna konsekwencja, z którą bojkotował wyspy i skazywał rodaków na coraz większe wyrzeczenia, nigdy nie będzie mu do końca wybaczona.

Dwudziesty czwarty grudnia, urodziny Ericha, minęły bez większych problemów. Zapasy alkoholu dawno się wyczerpały, a nie było jak ich uzupełnić, więc Erich nie pił, przechodząc przymusowy odwyk. Skończyła się zatem wybuchowa mieszanka prochów i alkoholu, która przyprawiała go o ową straszliwą huśtawkę nastrojów. Miał jeszcze najwyraźniej zapas lekarstw, bo za każdym razem, gdy wydawało się, że pochłonie go nadciągająca melancholia, w ostatniej chwili udawało mu się temu zapobiec. Beatrice zastanawiała się, co będzie, gdy lekarstwa też się skończą. Wtedy nie będzie już dla niego żadnego ratunku. Albo zachoruje, albo oszaleje, albo jedno i drugie.

W sylwestra było jasne, że coś zażył, bo był w szampańskim humorze, w euforii, choć nie miał ku temu żadnych powodów. Radio donosiło o klęskach na wszystkich frontach i choć te hiobowe wieści nadal przedstawiano jako meldunki o zwycięstwach, nikt już nie miał złudzeń – to był początek końca, który nadciągał w zastraszającym tempie. Amerykanie zajęli Akwizgran i tym samym weszli na terytorium Niemiec. Na wschodzie wojska radzieckie były niebezpiecznie blisko niemieckich granic; co prawda propaganda głosiła, że nigdy nie uda im się pokonać

oporu ściany wschodniej i wdrzeć się do Rzeszy, ale londyńskie BBC, którego informacje rozprzestrzeniały się po wyspie lotem błyskawicy z potajemnie słuchanych radioodbiorników, doniosło o niewyobrażalnie licznych oddziałach rosyjskich. Gigantyczny kraj, który dał się zaskoczyć niejako we śnie i początkowo prawie nie stawiał oporu, teraz mobilizował wszystkie siły i żołnierzy z najdalszych zakątków. Według BBC los Prus Wschodnich, wschodniego skrawka Rzeszy, był przesądzony. Atak Rosjan to była kwestia dni, a ich zwycięstwo na danym odcinku frontu – kwestia godzin.

„Chyba już nawet Erich nie wierzy w ostateczne zwycięstwo” – pomyślała Beatrice.

Na kolację w ten ostatni wieczór 1944 roku zjedli wodnistą zupę z kaszą i twardy, suchy, właściwie pozbawiony smaku ciemny chleb, a na deser – mirabelki z weków zrobionych jeszcze przez Deborah. Helene miała też dla nich niespodziankę – przyniosła ostatnie dwie butelki wina znajdujące się w domu, które wcześniej zabrała i ukryła w swojej szafie.

– Żebyśmy mieli czym wznieść toast – powiedziała.

– Na tobie zawsze można polegać – stwierdził Erich i roześmiał się radośnie.

Najpóźniej w tym momencie Beatrice się zorientowała, że musiał zażyć tabletki, bo w takiej sytuacji spodziewałaby się raczej napadu szału. Przez cały grudzień niemal co wieczór buszował w piwnicy w poszukiwaniu alkoholu, załamany, że niczego nie znajduje. Mógłby obrazić się śmiertelnie na Helene na wiadomość, że przez cały ten czas ukrywała przed nim dwie butelki. On jednak śmiał się tylko i raz za razem powtarzał, że ożenił się z najmądrzejszą, najbystrzejszą kobietą na świecie, która zawsze umie sprawić mu niespodziankę. Helene siedziała za stołem dumna jak paw i wyglądała tak, jakby miała pęknąć z radości, słuchając jego zachwyty.

Erich pił szybko, najwięcej ze wszystkich i udało mu się opróżnić obie butelki przed północą, tak że toast noworoczny wznosili gorzkim naparem z jeżynowych liści.

– Rok 1945 – ogłosił pompatycznie – będzie rokiem przełomowym. Rokiem heroicznej walki. Rokiem dzielnych kobiet i mężczyzn, którzy poświęcą ostatnie siły, by naród niemiecki, by Wielka Rzesza odniosły

zwycięstwo! – Podniósł kubek z cuchnącym naparem. – Heil Hitler! – krzyknął.

– Heil Hitler! – zawtórowała mu posłusznie Helene. Beatrice uznała, że chyba nie będą jej mieli za złe, jeśli zachowa milczenie, więc wzniosła toast bez słowa.

O wpół do pierwszej Erich oznajmił, że chce popatrzeć na gwiazdy i Beatrice ma iść na dwór razem z nim. Gdy wyszli na werandę na tyłach domu, natychmiast otoczył ich wilgotny chłód, który przenikał powietrze; był tak nieprzyjemny, że Beatrice najchętniej od razu wróciłaby do środka.

Miesiące niedojadania sprawiły, że bardzo schudła i tej zimy zimno dokuczało jej bardziej niż kiedykolwiek. Erich jednak, choć też chudy i wymizerowany, wypił tyle, że mimo wszystko na dworze czuł się świetnie.

– Ani jednej gwiazdy nie widać – stwierdził wpatrzony w ciemne, zamglone niebo. – Ani jednej gwiazdy w pierwszą noc tego jakże ważnego roku. Tylko mgła. Wieczna cholerna mgła. Na tej wyspie jest zawsze mgła. W Berlinie tak nie jest.

„Pewnie dlatego, że nie ma tam tyle wody” – pomyślała, ale nie powiedziała tego na głos. Objęła się ramionami i starała się nie szcząć zębami z zimna.

– To już koniec – powiedział Erich nagle. Jego głos się nie zmienił, mówił tym samym obojętnym tonem, co o mgle. – To już koniec Niemiec. Ja to wiem i ty to wiesz. Na razie nie chcę tylko martwić Helene.

– Wydaje mi się, że Helene też już wie – zauważyła Beatrice.

Erich pogardliwie machnął ręką.

– Helene jest jak dziecko, wierzy we wszystko, co usłyszy, pod warunkiem, że przedstawi się to dość przekonująco. Nie możesz traktować jej poważnie.

Mgła otaczała ich wilgotnymi jezorami.

„Dostanę zapalenia płuc” – przemknęło Beatrice przez głowę.

– Nie wiem dokładnie, jak będzie wyglądał koniec – ciągnął Erich. – Nie wiem, jaki będzie w Rzeszy, a jaki tutaj, na wyspach. Wiem jedno: będzie straszny. – Umilkł wsłuchany we własne słowa. Zdawało się, że mgła je pochłaniała i sprawiała zarazem, że nie sposób ich było cofnąć.

– Działy się straszne rzeczy – ciągnął. – Ludzie wiele wycierpieli. Nie twierdzą, że nie postępowaliśmy słusznie, czy może lepiej: nie uważaliśmy, że postępujemy słusznie. Że nie mieliśmy dobrych intencji.

Beatrice pomyślała o koloniach jeńców, których widziało się wszędzie na wyspie, o wychudzonych, zabiedzonych robotnikach przymusowych, o ich nieszczęśliwych, wymizerowanych, pustych twarzach. Pomyślała o tym, co słyszała o torturach i poniżeniu, o koszmarnym połączeniu morderczej pracy i głodowych racji żywnościowych. Pomyślała o Julienie, od lat ukrywającym się na strychu. Czy tak wyglądają dobre intencje?

– Ale oczywiście, jak wszyscy popełnialiśmy błędy, które będzie można wykorzystać przeciwko nam, i właściwie nie będziemy mieli jak się bronić – mówił Erich. – A oni nie będą mieli powodu, by potraktować nas ulgowo.

– Oni? – zapytała.

– Zwycięzcy. Historia. Potępią nas. O jedno cię proszę, Beatrice: bez względu na to, co usłyszysz, bez względu na to, jakie potworności wyjdą na jaw, zapamiętaj mnie takim, jakiego mnie poznałaś przez te lata. Nie pozwól sobie tego odebrać. Nie pozwól tego skalać. Nie pozwól tego zniszczyć.

– Co pan zrobił? – zapytała. – Czego mogę się o panu dowiedzieć?

Pokręcił głową.

– Nikt już nie będzie się bawił w takie rozróżnienia. Potraktują nas wszystkich tak samo, jedną miarą. Zrobią z nas diabły wcielone. Nie pozwól się oszukać, Beatrice.

Przypomniała sobie sadystyczną radość, z jaką znęcał się nad Julienem i Pierre'em. Być może on *już jest* diabłem wcielonym. Jednak tej możliwości Erich w ogóle nie brał pod uwagę. Stawał się coraz bardziej sentymentalny.

– Nie wiadomo, czy dożyję końca wojny. Czy go *przeżyję*. Zwycięzcy zapewne będą się bezwzględnie cieszyć swoim zwycięstwem. Może mnie zabiją.

Beatrice tego nie skomentowała, ale też Erich nie oczekiwał od niej odpowiedzi.

– Chciałbym cię prosić, żebyś zaopiekowała się Helene, gdyby coś mi się stało – powiedział nagle po dłuższej chwili wpatrywania się w noc, gdy Beatrice zastanawiała się, czy mu powiedzieć, że umiera z zimna. – Helene

nie może być sama. Życie ją przerasta. Jest słaba. A ty jesteś silna, Beatrice. Musisz się nią zaopiekować, jeśli mnie zabraknie.

– Sir, nie sądzę, żeby coś się miało panu stać – odparła, częściowo z grzeczności, a częściowo dlatego, że naprawdę nie sądziła, by coś mogło zakończyć jego życie. On jednak rozkoszował się tą myślą. Ponownie snuł wizję końca wojny, jak to będzie, jakim końcem świata będzie ta chwila dla nich wszystkich. Lubował się w wizjach zemsty zwycięzców i podkreślał, że wszystko, co robił, robił dla dobra narodu niemieckiego.

– To chyba normalne, że dla ojczyzny chce się zrobić wszystko, prawda Beatrice?

– Sir, jest mi zimno – powiedziała. Nie mogła dłużej powstrzymać szczękania zębami.

Patrzył na nią dziwnym wzrokiem.

– Zimno? Mnie jest gorąco. Cały płonę od wewnątrz. To jak gorączka!

– Muszę wracać od środka, inaczej się rozchoruję!

Jej słowa chyba go zdenerwowały. Przerwała mu, gdy roztaczał przed nią wizję końca świata. Zapewne też uznał, że mu nie wierzy.

– Dobrze, dobrze, idź do domu – burknął i machnął ręką. – Moim zdaniem wcale nie jest zimno, ale jeśli marzniesz...

Odebrał to jako osobistą zniewagę. Demonstracyjnie został na dworze jeszcze godzinę i wrócił dopiero, kiedy Beatrice i Helene szykowały się już do spania.

Dwa dni później i on, i Beatrice zachorowali na grypę.

Erich stosunkowo szybko doszedł do siebie, ale Beatrice została w łóżku na wiele tygodni. Grypa przeszła w zapalenie płuc; miała wysoką gorączkę, cierpiała z bólu, pogrążona w malignie snuła majaki, które zdawały się jedną wielką torturą. Cały czas widziała przy sobie Julię i w rzadkich chwilach przytomności umysłu bała się, że pod wpływem gorączki powie coś do niego na głos, a Helene, która cały czas siedziała przy jej łóżku, to usłyszy. Erich także często do niej zaglądał; dwukrotnie ocknęła się z koszmarnych snów, bo tuż nad sobą zobaczyła jego twarz. Za każdym razem krzyczała jak zwierzę w pułapce, co chyba sprawiło mu wielką przykrość, ale nie skomentował tego; wydawał się bardzo przejęty. Któregoś razu, gdy znowu oprzytomniała, usłyszała, jak w jej pokoju kłócił

się z Helene.

– Postąpiłeś nierozsądnie, spędzając z nią tak wiele czasu na dworze – twierdziła poruszona Helene. Starła się mówić cicho, więc jej głos przypominał wzbudzony szept. – Mogę się tylko modlić, aby przeżyła!

– Na dworze nie było zimno! To była ciepła noc!

– Oszalałeś! Tak ci się zdawało prze te twoje tabletki! Było lodowato. I mokro. A do tego ona jest delikatna i niedożywiona, jak my wszyscy. To jasne, że zachorowała!

– Ja też.

– Ale to była twoja wina. Zresztą nie byłeś tak chory jak ona.

– Daj już spokój i zamknij się. Chcesz ją obudzić?

Beatrice zacisnęła powieki. Lepiej, żeby się nie zorientowali, że nie śpi.

Doktor Wyatt zaglądał do niej codziennie. Często w ogóle nie była tego świadoma, ale czasami wiedziała, że to on. Helene stała tuż obok, więc nie mogła zapytać o Juliana, a jednak kiedyś, półprzytomna, wymieniła jego imię.

– Gdzie Julien? – zapytała.

Później przypomniała sobie potężną rękę, która gwałtownie nakryła jej usta, i przerażoną twarz doktora Wyatta.

– Co ona powiedziała? – Głos Helene dobiegał z daleka.

Doktor Wyatt mruknął coś wymijająco, co chyba ją zadowoliło, bo nie pytała dalej. Niebezpieczeństwo zostało zażegnane, ale nie na stałe. Doktor Wyatt odprężył się wyraźnie dopiero, kiedy pewnego ranka stwierdził, że Beatrice nie ma już gorączki.

Tymczasem nadeszła połowa lutego i w ogrodzie hulał zimny wiatr, gdy Beatrice po raz pierwszy od sześciu tygodni o własnych siłach opuściła posłanie. Chodziła na uginających się nogach, tak chuda, że wszystkie sukienki wisały na niej jak worki. W wąskiej twarzy oczy wydawały się nienaturalnie wielkie. Jej skóra przybrała niebieskosiny odcień, była blada i chora. Umyła przetłuszczone włosy, ale nie odzyskały ani odrobiny blasku. Jej organizm domagał się witamin i pokarmu, pożywnych, tuczających potraw, ale nie było niczego, musiała głodować jak wszyscy inni mieszkańcy wysp. Raz w miesiącu do portu zawijał statek Czerwonego Krzyża, który przywoził żywność i lekarstwa, ale nigdy nie było tego dość.

Zbyt wiele osób chorowało na gripę, zbyt wielu było starych i słabych.

Beatrice i tak miała szczęście, że mieszkała w domu wysokiego rangą oficera; w przeciwieństwie do wielu innych Erich miał pewne przywileje i dostawał rzeczy, z którymi pozostali mieszkańcy już dawno musieli się pożegnać. Ale i to nie wystarczyło, żeby znowu postawić Beatrice na nogi. Zbyt długo, zbyt ciężko chorowała.

Pierwsze blade promienie marcowego słońca skłoniły ją w końcu do wyjścia z domu. Wyglądała jak duch, była trupio blada, miała podkrążone oczy. Poruszała się ostrożnie, jak ktoś, kto nie wierzy we własne siły. Dużo płakała, bo nie panowała nad słabością, bo często czuła się zbyt osłabiona, żeby choćby sięgnąć po książkę i poczytać. Wbrew zaleceniom doktora Wyatta i troskliwym radom Helene powlokła się do szkoły, bo nie chciała stracić całego semestru, a poza tym uznała, że zorganizowana struktura dnia dobrze jej zrobi. Skończyło się fatalnie. Wycieńczona zemdląła, osunęła się z ławki, wezwano niemieckiego lekarza i karetką przywieziono do domu, gdzie ku przerażeniu Helene, na noszach zaniecono ją do pokoju.

– Musi jeszcze bardzo na siebie uważać – stwierdził lekarz stanowczo. – Jest w bardzo złym stanie. Jeszcze przez co najmniej cztery tygodnie nie powinna chodzić do szkoły.

Z trzech tygodni zrobiło się osiem. Jej stan się nie poprawiał. Przy pierwszym kroku ugiwały się pod nią nogi, a ilekroć ktoś się do niej odezwał, zalewała się łzami.

– To osłabienie – tłumaczył doktor Wyatt, ilekroć do niej zaglądał. – Płaczesz z wycieńczenia, dziecko. Twój system nerwowy odmówił współpracy. Powinnaś się teraz porządnie odżywiać.

Sytuacja zaopatrzeniowa była dramatyczna; nawet rodzina niemieckiego oficera dostawała głodowe przydziały. Helene zbierała szczaw i mleczkę i usiłowała coś z tego przygotować; co jakiś czas podawała zupę z kaszą, która bardziej przypominała wodę, a od święta jedli twarde, ciemny chleb, którego jedyną zaletą było to, że jeszcze kilka dni później ciążył w żołądku jak kamień i dawał złudne co prawda, ale jednak, poczucie sytości.

Od początku kwietnia słońce świeciło dzień w dzień na bezchmurnym

niebie; Beatrice godzinami przesiadywała w ogrodzie i czuła, jak stopniowo wraca jej wola życia. Słońce dawało jej energię, której zabrakło w pożywieniu. Z czasem bladość ustąpiła delikatnej opaleniznie, jasne policzki nabrały kolorów. W pewnym momencie odważyła się na spacer nad morzem; długo stała na plaży i głęboko oddychała czystym, słonym powietrzem, wpatrywała się w słońce połyskujące na falach i czuła, jak wracają jej siły, jak wygrywa życie. Poczwała pałący głód, jak zawsze, ale także optymistyczne przekonanie, że wszystko przetrwa i że jeszcze będzie dobrze. Zresztą wojna wkrótce się skończy.

W tamtych kwietniowych dniach 1945 roku Niemcy się załamały. Rosjanie zajęli Prusy Wschodnie i Śląsk, wyzwolili Polskę, stali u wrót Berlina. Z zachodu nadciągali Amerykanie, Anglicy i Francuzi, zajmowali kolejne miasta, kolejne regiony kraju.

Większość miast legła w gruzach. Mieszkańcy poddali się szybko, lekceważąc płomienne słowa przywódców Rzeszy. Wszyscy byli zdania, że to już sprawa tygodni, zanim sam Hitler skapituluje.

„To koniec – myślała Beatrice – to już naprawdę koniec”.

Trzydziestego kwietnia Adolf Hitler strzelił sobie w głowę w kancelarii Rzeszy w Berlinie.

Drugiego maja Rosjanie zdobyli Berlin.

Siódmego maja Trzecia Rzesza skapitulowała bezwarunkowo.

– Tak – mówiła Beatrice. – Tak to było. Wojna właściwie się skończyła, tylko my mieliśmy cały czas okupanta na karku i zastanawialiśmy się, co nam przyniesie los. Dowódca niemieckich sił na wyspie dziewiątego maja ogłosił kapitulację i natychmiast zjawili się nasi, angielscy żołnierze. Do połowy maja Niemcy, już jako jeńcy wojenni, opuścili Guernsey i pozostałe wyspy. Naprawdę było już po wszystkim.

Nadal siedziały na głazach nad morzem. Wiatr zdążył przegonić z nieba wszystkie chmury, słońce grzało zadziwiająco mocno. Karin przesunęła się tak, żeby chronić twarz przed promieniami; po zimie była jeszcze bardzo blada i wrażliwa, bała się poparzenia.

– Ale zanim to się stało, zanim doszło do kapitulacji – zauważyła – Erich się zastrzelił.

– Tak – potwierdziła Beatrice. – Pierwszego maja, pięćdziesiąt pięć lat temu.

– Dlaczego to zrobił?

– Właściwie nie wiem. Czy naprawdę tak bardzo bał się zemsty zwycięzców? Później nieraz myślałam o naszej rozmowie z sylwestrowej nocy. Wtedy wyraził swoje obawy, ale nie brałam jego słów poważnie. Pił, był na proszkach, w jego głosie brzmiał sentymentalizm, który u Niemców... – Urwała, roześmiała się. – Proszę mi wybaczyć, Karin, przecież pani też jest Niemką. Nie chciałam uogólniać i tym samym źle się wyrażać o pani narodzie. Miałam na myśli nazistów. Naziści potrafili być przeraźliwie sentymentalni. Często oczy zachodziły im łzami, gdy użalali się na swój ciężki los. Może dlatego nigdy nie wierzyłam w to, co mówił Erich. A po tamtym sylwestrze zaraz zachorowałam i nie miałam już głowy, by cokolwiek analizować, choć myślę, że nie robiłabym tego także w innych okolicznościach. Uznałam po prostu, że to jego zwykły bełkot, który czasem się z niego wylewał.

– Płakał, zanim się zastrzelił? – zapytała Karin. – Było coś po nim

widać?

Beatrice pokręciła głową.

– Był bardzo zdenerwowany. Chociaż to akurat można powiedzieć o wszystkich, o Niemcach i Anglikach, przy czym Niemcy przejmowali się chyba bardziej. Na wyspie wyczuwało się nieznośne wręcz napięcie. Wszyscy od rana do nocy warowali przy radioodbiornikami. Nikt nie wiedział, co nas czeka. Oficerowie odchodzili od zmysłów. Od tygodni nie mieli nowych rozkazów. Głodowali i czekali beczynnie. Myślę, że sami już nie wiedzieli, jaka jest ich rola. Okupowali wyspy u wybrzeża Francji, a z racji pochodzenia należeli do wielkich przegranych tej wojny. Cała ta okupacja była farsą, ale nie wiedzieli, czy i jak ją skończyć. A jednocześnie mieli przed oczami swoją przyszłość jako jeńców wojennych. Na wyspie setki więźniów zmarły z głodu i wycieńczenia. Były sądy wojenne i egzekucje. Nie mogli liczyć na to, że zwycięzcy obejdą się z nimi delikatnie.

– Ale przecież przyjaźnili się z mieszkańcami – zauważyła Karin.

– Przyjaźń to zbyt duże słowo. Ale rzeczywiście, było wiele związków niemieckich żołnierzy z Angielkami. A od lata 1944 roku wszyscy cierpieli wspólnie. Prawdziwej nienawiści do okupanta rzeczywiście nie było.

– Więc Erich właściwie nie miał się czego obawiać – mruknęła Karin. – Tu było zapewne inaczej niż w przypadku Niemców w, powiedzmy, Czechosłowacji. Tam musieli się liczyć z powstaniem, z krwawą zemstą, i tak właśnie było, ale tutaj...

– A mnie się wydaje, że Erich po prostu nie był w stanie pogodzić się z klęską – odparła Beatrice. – Przegrał. Idea, w którą uwierzył, której oddał się całym sercem, przepadła z kretesem. I z tym nie mógł się pogodzić. Z hańbą, ze wstydem, rozumie pani? Przed tym uciekał, a wydawało mu się, że jedynym wyjściem jest śmierć. – Wpatrywała się w wodę, jakby szukała czegoś na horyzoncie, ale Karin wiedziała już, że w myślach wróciła do tamtego majowego dnia w 1945 roku, że oczyma wyobraźni widziała siebie samą z tamtych lat. – Nie udało nam się go uratować. Jak mówiłam, nie udało nam się znaleźć lekarza. Doktor Wyatt był gdzieś na wyspie, jego żona nie miała pojęcia gdzie. Pobiełam do St. Martin, ale nie znalazłam ani niemieckiego lekarza, ani angielskiego. Później okazało się,

że większość z nich była w obozie jenieckim. Niemcy wpadli w panikę w związku ze złym stanem więźniów i liczyli na to, że przy pomocy lekarzy w ostatniej chwili uda się jeszcze coś zmienić. W większości wypadków było to jednak niemożliwe, zwłaszcza że lekarze właściwie nie mieli lekarstw ani bandaży. No cóż. – Wróciła wzrokiem do Karin i zarazem do terażniejszości. – W każdym razie nie udało nam się znaleźć nikogo, kto mógłby mu pomóc. I może tak było lepiej. Cokolwiek powiedzieć, sam tego chciał.

Karin przyglądała jej się uważnie.

– Opłakiwała go pani, Beatrice?

Beatrice się roześmiała, wyjęła z kieszeni pogniecionego papierosa i zapalniczkę, zapaliła. Morski wiatr igrał z płomykiem, udało się dopiero za piątym razem.

– Ericha? Opłakiwać? W pierwszej chwili myślałam sobie: „Nie żyje. To dobrze. Nic mnie z nim nie łączyło. Był nazistą, wrogiem. Znęcał się nad Julienem, zniszczył naszą miłość”. Nie, nie opłakiwałam go. Ani wtedy, ani potem. – Odgarnęła sobie włosy z czoła. – Ale z czasem zdałam sobie sprawę, że ja także przegrałam w walce ze śmiercią. I może to ja przegrałam najwięcej.

– Jak to?

– Zostawił mi Helene – odparła krótko. Karin wydawało się, że niechęć w jej oczach graniczyła z nienawiścią. – Zostawił mi Helene i czasami opłakiwałam już tylko siebie samą.

Samolot wylądował w Londynie punktualnie o 17.30. Maja czuła, jak przeraźliwie wali jej serce, gdy schodziła z pokładu. Była w Londynie dwa razy w życiu, za każdym razem z okazji urodzin prababki Wyatt, które wypadały w sierpniu, a których nie obchodzono, odkąd jubilatce stuknęła dziewięćdziesiątka i ta stwierdziła, że świętowanie urodzin w tym wieku to wstyd, zatem tym samym rezygnuje z życzeń i prezentów. Zdaniem Mai to było bardzo głupie. Ona osobiście oczekiwałaby, że inni będą obsypywać ją prezentami nawet do setki. A poza tym prababka Wyatt w ten sposób pozbawiła ją okazji, by raz do roku przyjechać od Londynu na koszt Mae, bo gdyby chodziło o rodzinną uroczystość, to ona pokryłaby wszystkie koszty.

A tak musiała czekać do teraz, gdy miała dwadzieścia dwa lata, zanim znowu się tu znalazła, co kosztowało ją wszystkie oszczędności co do grosza, a i tak to nie wystarczyło. Znowu się zadłużyła. Brakującą kwotę wyłożyła Mae.

Oczywiście nie obeszło się bez niekończących się upomnień i prośb, by odwiedziła starą prababkę Wyatt.

– Nie musisz mi nic oddawać, jeśli od czasu do czasu zajrzysz do mamy. Obiecujesz? Bardzo się z tego ucieszy, a mnie kamień spadnie z serca.

Maja nie miała najmniejszej ochoty spędzać choćby jednego popołudnia w towarzystwie dziewięćdziesięcioletniej staruszki, ale obiecała Mae, że „od czasu do czasu” ją odwiedzi. Potrzebowała pieniędzy Mae, a i tak nie było łatwo przekonać ją do tego planu, czyli do tego, że pojedzie do Londynu i zamieszka u Alana.

– Myślisz, że on tego chce? – zapytała babka z powątpiewaniem. – No wiesz, pojawia się i znika z jego życia, i liczysz na to, że powita cię z otwartymi ramionami. A co zrobisz, jeśli cię nie zechce?

Maja się roześmiała.

– Babciu, Alan prosił mnie już z tysiąc razy, błagał mnie na kolanach, żebym do niego przyjechała i z nim zamieszkała. Nie będzie mógł uwierzyć w swoje szczęście, gdy nagle stanę mu pod drzwiami.

– Kiedy ostatnio z nim rozmawiałaś?

– Na początku stycznia, a dlaczego pytasz?

– Teraz mamy kwiecień. Nie wiesz nawet, co od tego czasu mogło się zmienić w jego życiu. Może już kogoś ma. Może się przeprowadził. Może...

– Babciu, widzisz wszystko w czarnych barwach! U Alana nic się nie zmienia. Jest we mnie beznadziejnie zakochany i będzie na mnie czekał, aż posiwieje ze starości. Sama się przekonasz, wszystko będzie dokładnie tak, jak zaplanowałam.

Mae z westchnieniem otworzyła torebkę, znalazła książeczkę czekową, wypisała czek na czterysta funtów.

– To na wszelki wypadek! Bo najbardziej bym chciała, żebyś mi zwróciła czek, w ogóle go nie realizując. Ale gdyby z Alanem się nie ułożyło, musisz mieć pieniądze na nocleg i na powrót.

– Nie będzie takiej potrzeby, ale dziękuję bardzo. – Maja pospiesznie schowała czek. – Zadzwoń, kiedy już będę na miejscu, babciu. I pamiętaj, ja zawsze spadam na cztery łapy.

Mówiąc tak, szczerze w to wierzyła, a jednak teraz, wieczorem, gdy przybyła do Londynu, poczuła się trochę nieswojo. Oby się nie okazało, że czarnowidztwo Mae miało jakieś podstawy. Ale rzeczywiście, od rozmowy w styczniu Alan się nie odzywał. Zazwyczaj dzwonił co dwa, trzy tygodnie, pytał, co u niej, opowiadał, co nowego u niego. To nagłe milczenie i brak kontaktu były podejrzane. Z drugiej strony, może to tylko zmiana strategii. Latami uganiał się za nią właściwie bezskutecznie, więc może chciał zmienić taktykę – wycofał się. Milczał, odciął się od niej. Chciał ją wyprowadzić z równowagi, zmusić do wykonania kolejnego kroku.

„I będzie sądził, że to poskutkowało, gdy nagle stanę w progu jego mieszkania – myślała. – A przecież przyjechałabym i tak. Ale dobrze, niech myśli, że zwyciężył. Najważniejsze, że będę mogła się u niego zatrzymać”.

Alan mieszkał na Sloane Street i przez moment ją kusilo, żeby pojechać taksówką, wtedy jednak pozbyłaby się resztek gotówki i zostałby jej tylko czek od Mae, ten na czarną godzinę, którego właściwie nie powinna

realizować, choć już wiedziała, że i tak to zrobi. Ale na wszelki wypadek musiała zachować pewną sumę, więc z ciężkim sercem zdecydowała się na metro.

Londyńskie metro w godzinach szczytu okazało się piekłem na ziemi, zwłaszcza jeśli targało się z sobą dwie walizki na kółkach i ciężką torbę na ramieniu. Kwietniowy dzień był ciepły, powietrze w wagonie można by kroić nożem. Za pierwszym razem pojechała w złym kierunku i musiała pokonać całą trasę jeszcze raz, a kiedy w końcu – sama nie wiedziała, ile to trwało, miała wrażenie, że całe godziny – na stacji Sloane Street znowu wyszła na światło dzienne, ociekała potem, czuła się brudna, brzydka i nieatrakcyjna.

„Po prostu świetnie – pomyślała. – Akurat tak wygląda kobieta, która nieoczekiwanie staje w drzwiach faceta, żeby rzucić mu się na szyję i dać do zrozumienia, że ma ją od tej pory utrzymywać i wspierać finansowo”.

Zdyszana postawiła walizki, wyjęła notes z adresami, sprawdziła numer budynku i zmęczona zaczęła ostatni etap tej podróży.

Alan spodziewałby się każdego, tylko nie jej. Stał akurat w saloniku i sącył whisky – drugą tego dnia – gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Przez chwilę się zastanawiał, czy w ogóle otwierać; miał za sobą ciężki dzień i nie miał ochoty nikogo więcej oglądać, z nikim rozmawiać. Ale dzwonek nie milkł, ktoś dobijał się natarczywie, więc w końcu podszedł do drzwi z nadzieją, że to nie Liz, młoda kobieta, z którą był przez parę tygodni. Kilka dni temu rozstał się z nią, choć sam właściwie nie wiedział dlaczego – była ładna, inteligentna, dowcipna i po uszy w nim zakochana. Pewnie chodziło o to, że nie była Mają. I pewnie tak samo będzie ze wszystkimi innymi kobietami.

Otworzył drzwi i zobaczył Maję.

Dosłownie go zamurowało, czego o niej nie można było powiedzieć.

– Cześć, Alan. Na dole stoją jeszcze dwie moje walizki, sama nie dam rady ich wnieść. Mógłbyś mi pomóc? I pokaż mi gdzie jest łazienka, dobrze? Muszę się wykapać.

Bez słowa wskazał jej łazienkę. Błyskawicznie zniknęła za drzwiami.

Słyszał, jak zamyka je na klucz, a po chwili rozległ się szum wody. Czuł się jak posłuszny idiota, gdy zbiegł na parter i wtaszczył na górę dwie ciężkie walizy, w których przewoziła chyba kamienie młyńskie.

„Na jak długo przyjechała?” – zastanawiał się.

Sądząc po ilości bagażu, spakowała chyba cały swój dobytek. Stopniowo jednak odzyskał jasność myślenia i czuł, jak narasta w nim złość. To cała Maja, tak go najść bez uprzedzenia, bezwzględnie narzucić mu swoją wolę. A on słuchał jej potulnie, bez słowa spełniał jej polecenia. Z drugiej strony nie mógł przecież zostawić walizek na dole ani zabronić jej skorzystania z łazienki. Słyszał szum suszarki i głos Mai – nuciła coś. Najwyraźniej była w wyśmienitym humorze.

No oczywiście. Przecież wszystko poszło tak, jak sobie zaplanowała.

Poszedł do saloniku, nalał sobie trzecią whisky, upewnił się w myślach, że ma szampana w lodówce. Maja zaraz o niego poprosi, zechce wypić lampkę lub dwie, a potem zapewne zażyczy sobie, żeby zabrał ją na kolację do drogiej, modnej restauracji.

Dlaczego w ogóle przyjechała do Londynu?

Niespokojnie przechadzał się po pokoju. Minęło sporo czasu, zanim wyszła z łazienki. Owinęła się wielkim miękkim ręcznikiem, na jej barkach uwodzicielsko lśniło kilka zapomnianych kropli. Chyba celowo je tam umieściła.

Jej włosy lśniły, zdążyła pomalować usta i musnąć rzęsy tuszem, nie żałowała też perfum. Wcześniej, gdy weszła, wdawała się zmęczona i przygaszona, ale po tym nie było już śladu. Była wypoczęta, świeża, młoda, pełna energii. Jej oczy błyszcząły.

– Masz może papierosa? – zapytała. – I coś do picia?

W milczeniu podał jej paczkę. Gdy przytrzymał jej zapalniczkę z płomieniem, pochyliła się tak nisko, że poczuł zapach jej skóry i włosów. Natychmiast powróciły wszystkie tęsknoty, które nie dawały mu spokoju przez tyle dni i nocy. Dlaczego, do cholery, nie da sobie z tym spokoju? Z *nią*? Kusiło go, by wypowiedzieć słowa, o których wiedział, że powinny paść z jego ust. Powinien ją zapewnić, że skoro już tu jest, może oczywiście u niego przenocować, ale jutro ma się spakować i wyprowadzić. Niech sobie nie myśli, że może nim ot tak manipulować, że zatańczy tak, jak ona

mu zagra, że...

„O Boże – pomyślał znużony – przecież i tak tego nie powiem. Po raz kolejny zadowolę się okruciami, które mi rzuci. A ona będzie triumfowała, bo wszystko potoczy się tak, jak sobie zaplanowała”.

Wyciągnęła rękę, musnęła palcem jego czoło.

– Masz zmarszczkę nad nosem – powiedziała czułym, ochrypłym głosem, aż przeszył go dreszcz. – Co jest? Nie cieszysz się, że tu jestem?

Roześmiał się cicho, zrezygnowany.

– A czego się spodziewałaś? Że będę skakał z radości? Nie wiem nawet, czemu właściwie tu jesteś. Nie wiem, co planujesz.

– Chciałeś mi przynieść coś do picia – przypomniała.

Wstał, poszedł do kuchni. Na szczęście w lodówce rzeczywiście chłodził się szampan. Wstawił go do kubelka z lodem i zaniósł do saloniku.

Maja siedziała na podłodze, oparta o białą sofę. Czujnym, krytycznym wzrokiem błędziła po pokoju. Nawet nie usiłowała ukryć, że w myślach taksuje wartość każdego przedmiotu.

To ciągle jest mała zachłanna dziewczynka, pomyślał. I zawsze nią będzie.

Chciwie wychyliła szampana i poprosiła o dolewkę.

– Ładnie tu u ciebie – stwierdziła. – Elegancko. To mieszkanie pasuje do ciebie. Podoba mi się.

– Dziękuję. Nadal nie odpowiedziałaś na moje pytanie.

– O nic nie pytałeś.

– Powiedziałem: „Nie wiem, jakie masz plany”. W pewnym sensie to było pytanie.

Uśmiechnęła się zalotnie.

– A jak myślisz, jakie mam plany?

Zdawał sobie sprawę, że znowu zmarszczył czoło.

– O nie, Maju. Bądźmy rozsądni. Bez słowa uprzedzenia stajesz pod moimi drzwiami z dwiema wielkimi walizkami, na pół godziny zajmujesz mi łazienkę, a potem sadowisz się malowniczo w moim saloniku i uwodzicielsko trzepoczesz rzęsami. Czegoś ode mnie chcesz. Pewnie mieszkania w Londynie.

Naburmuszyła się, wyduła usta.

– Alan, czasami jesteś naprawdę okropny. Ja...

– Maja! – Nie dał jej dokończyć. – Nawet tego nie próbuj! Nie dam się nabrać na słodkie oczy i piskliwy głosik. Proszę cię, zachowuj się jak osoba dorosła.

Chyba w końcu zrozumiała, że mówił poważnie. Wyprostowała się, ciałniej otuliła się ręcznikiem. Była teraz opanowana i skoncentrowana, a wyglądała przy tym tak cudownie, że najchętniej wziąłby ją w ramiona i przyciągnął do siebie.

– No dobrze – odparła. – Porozmawiajmy poważnie. Chciałabym zostać w Londynie. Mam już po dziurki w nosie mieszkania na Guernsey. Strasznie tam nudno, nie widzę tam dla siebie przyszłości. Moi bliscy sądzą, że wyjechałam tylko na kilka miesięcy, ale tak naprawdę wolałabym już nigdy tam nie wracać. Jestem tutaj i tutaj zostaję. I mam nadzieję, że mi pomożesz.

– Jak chcesz się utrzymać?

– Poszukam sobie pracy – odparła spokojnie. – Ale nie sądzę, żebym znalazła coś od razu.

– Na pewno nie. Myślałaś o czymś konkretnym?

Jej pewność siebie przygasła. Domyślał się, że zadał decydujące pytanie, na które zapewne sama jeszcze nie знаła odpowiedzi. Pospiesznie zaciągnęła się papierosem.

– Na Boga, Alan, chcesz mnie bez końca przesłuchiwać? Siedzimy tu razem, jest piękny wiosenny wieczór, za oknami widać londyński ruch... mogłoby być tak pięknie, ale nie, ty musisz robić problemy. Przecież jestem *u ciebie!* – Spojrzała na niego wyzywająco. – Halo! Czy to w ogóle do ciebie *dotarło?* Jestem *u ciebie!* Zrobiłam to, czego zawsze pragnęłam. Przyjechałam do ciebie i chcę tu z tobą zostać!

Nie zdołał się powstrzymać, musiał jej dotknąć. Delikatnie musnął opuszką palca jej policzek. Była taka jedwabista.

– Niestety, znam cię aż za dobrze – powiedział cicho. – I nie wierzę, że robisz cokolwiek bez wyrachowania. I wiesz co? Myślę, że chciałaś przyjechać nie do mnie, tylko do Londynu. A ja przyszedłem ci do głowy, bo musiałaś gdzieś zamieszkać.

Ręcznik zsunął się z jej ciała; Alan nie wiedział, czy stało się to

przypadkiem, czy było zamierzone.

Miała piękne piersi i wiedział dokładnie, jakie są w dotyku. Patrzył na jej szczupłą talię, miękko zarysowane żebra, łagodny łuk bioder.

– Chyba będzie lepiej, jeśli się ubierzesz – stwierdził.

– W takim razie muszę rozpakować walizkę, a nie wiem jeszcze, czy mogę.

Westchnął.

– Oczywiście, że możesz. W każdym razie wolę to, niż żebyś przez cały wieczór biegła w takim stroju. – Machnął ręką w stronę jej nagiego ciała.

Przyglądała mu się zdumiona.

– Naprawdę? Tak bardzo ci się nie podoba ten widok?

– Jest niebezpieczny.

– Dla mnie czy dla ciebie?

– Dla mnie. Bo to ja jestem słabszy.

Ponownie owinęła się ręcznikiem, zawiązała go na wysokości piersi, wstała.

– Zaprosisz mnie na kolację? To się ubiorę.

– Oczywiście, bardzo chętnie.

Odprowadzał ją wzrokiem, kiedy wychodziła z pokoju. Miał świadomość, że wygrała, i obserwując ją czuł, że ona także o tym wie.

Wieczór okazał się inny, niż przypuszczał. Zaskoczył go już widok Mai, gdy wyszła z łazienki, w której przebierała się do kolacji. Zazwyczaj czuł się zażenowany, widząc jej kreacje – gustowała w nieprzyzwoicie krótkich spódniczkach, obcisłych bluzeczkach z wielkim dekoltem, butach na niebotycznie wysokich obcasach, mnóstwie biżuterii i wyzywającym makijażu. Najwyraźniej jednak postanowiła nieco zmienić styl, bo tym razem miała na sobie granatowe spodnium z zapiętą pod szyję białą jedwabną bluzeczką, a jej biżuteria ograniczała się do małych perełek w uszach i prostej złotej bransoletki. Nie chwiała się na wysokich obcasach, zaś jej szminka była – jak na nią – zadziwiająco stonowana. Wyglądała elegancko i dorośle, obco, inaczej i zarazem bardzo znajomo.

„Boże, kocham ją – pomyślał. – I zawsze będę ją kochał”.

Przeraziła go ta myśl. Od trzech miesięcy nie utrzymywał z nią kontaktów, nie dzwonił do niej, wmówił sobie, że w końcu uda mu się o niej zapomnieć. Teraz jednak zrozumiał, że to, co do niej czuł, było równie silne i trwałe jak zawsze. Być może nawet potężniejsze teraz, gdy ją taką zobaczył, taką *inną*.

Choć oczywiście nadal był czujny i nieufny. Znał ją od lat. Wiedział, że bywa wyrachowana i przebiegła, jeśli liczy na to, że dzięki temu osiągnie swój cel. Dlaczego przyjechała do Londynu? Dla niego? Czy po prostu kusił ją blichtr wielkiego miasta, a jego mieszkanie było darmowym punktem zaczepienia?

– Ładnie wyglądasz – powiedział.

– Dziękuję – odparła rzeczowo. Nie trzepotała rzesami, nie usiłowała natychmiast wykorzystać sytuacji. Mruknęła tylko:

– Idziemy? – A on skinął głową i posłusznie podreptał za nią.

Zaproponował włoską knajpkę za rogiem, a Maja zgodziła się ochoczo, co stanowiło dla niego kolejne zaskoczenie. Przecież najbardziej lubiła restauracje drogie, światowe, ostentacyjne. Chciała widzieć sławy i celebrytów, chciała sama się pokazywać całemu światu. Dałby sobie rękę uciąć, że miała na oku co najmniej Ritza.

Ona tymczasem zgodziła się na kolację we włoskiej restauracyjce, zjadła zwykle lasagne, wypiła lampkę pinot grigio i ze względu na figurę podziękowała za deser. Opowiadała o Guernsey, nie wdając się przy tym w opisy swoich romansów, koncentrowała się na Mae, Beatrice i Helene.

– U twojej mamy znowu mieszka ta Niemka – dodała. – Jak ona się nazywa? Karin? Spotkałam ją z Helene w St. Peter Port. Babcia mówi, że przyjechała na dłużej. Podobno ma jakieś problemy z mężem. Dobrze ją znasz?

– W zeszłym roku podwoziłem ją samochodem. Miała problem z rezerwacją hotelu i dlatego zabrałem ją do mamy. Chwilę rozmawialiśmy, ale nie mogę powiedzieć, że ją dobrze znam. – Przypomniał sobie nieśmiałą, niepozorną kobietę z niemieckim akcentem i pięknymi oczami, zbyt przepętnionymi niepokojem, by się nimi naprawdę zachwycić. Unikała jego wzroku, przywodziła na myśl spłoszoną łanię. Przypomniało mu się, jak się zastanawiał, co takiego jej zrobiono, że miała

tak niskie poczucie własnej wartości.

– Babcia oczywiście usiłowała wypytać o nią twoją mamę – opowiadała.
– No wiesz, ją interesuje dosłownie wszystko, co się dzieje na Guernsey, nawet ta cała Karin, w której przy maksimum dobrej woli nie sposób dostrzec nic ciekawego. – Oto dawna Maja, w której krytycznych oczach inne kobiety nie mogły liczyć na litość. – Jest wiecznie przerażona, nie ma w niej za grosz uroku, nie uważasz?

Nie ująłby tego aż tak brutalnie, ale nie zaprzeczył. W tej chwili Karin obchodziła go tyle, co zeszłoroczny śnieg. Z każdą chwilą coraz bardziej ulegał urokowi Mai.

– No, w każdym razie Beatrice nigdy nie była zbyt rozmowna i biedaczka Mae nadal nic nie wie, ale wydaje jej się, że słyszała, jakoby nasza kochana Karin uciekła od męża. – Roześmiała się. – No i proszę. Już wiesz wszystko. Więcej na Guernsey nic się nie wydarzyło, o ile dobrze pamiętam.

Przyglądał jej się uważnie nad stołem. Ściemniło się już i światło świec wyczarowywało z ciemności jej twarz. Wyglądała bardzo młodo, zwłaszcza teraz, prawie bez makijażu, bardzo niewinnie i krucho. „Być może naprawdę się zmieniła” – pomyślał.

– Dlaczego tak naprawdę przyjechałaś do Londynu? – zapytał w drodze powrotnej, gdy przemierzali obok siebie nocne ulice.

Myślała tak długo, że już sądził, iż nie zrozumiała pytania, w końcu jednak odpowiedziała:

– Widzisz, Alan, dużo myślałam. Moje życie biegnie torem, który... nie, właściwie nie biegnie żadnym torem i na tym polega problem. Mój dzień nie ma początku ani końca. Tygodnie, miesiące mijają bez celu, bez sensu. Biorę rzeczy takie, jakie są, cieszę się chwilą i w ogóle nie zawracam sobie głowy myśleniem o przyszłości. – Zatrzymała się w pół kroku. – I wiesz, przez pewien czas to było w porządku. Póki byłam młoda.

Zabrzmiało to bardzo poważnie i musiał się roześmiać.

– Na Boga, Maju, przecież nadal jesteś bardzo młoda!

Lekko zmarszczyła brwi.

– No, może. Ale nie mam już dwudziestu lat. A wtedy w styczniu sam mówiłeś, że powinnam jakoś uporządkować moje życie.

Nie wierzył własnym uszom. Posłuchała go, jego słowa padły na podatny grunt. Z wrażenia wstrzymał oddech.

– Maju...

– Sama jeszcze nie wiem, co z tego wyjdzie, ale pomyślałam, że kiedy już tu będę, wszystko jakoś się ułoży. Pomyślałam... – Zawahała się. – Pomyślałam, że może mi pomożesz. No wiesz, znaleźć właściwą drogę. Bo tak naprawdę... No cóż, chyba nikt nie zna mnie tak dobrze jak ty.

Nagle poczuł się o wiele starszy i przypomniało mu się określenie „ojcowski przyjaciel”. Miał wrażenie, że Maja narzuca mu tę rolę i nie był całkiem pewien, czy to mu odpowiada.

– Czyli uważasz, że będę dobrym doradcą – stwierdził. – Dlatego przyjechałaś.

Uśmiechnęła się leciutko. No tak, od razu przejrzała jego nieudolne wysiłki, by ją wybać.

– Doradcą... – powtórzyła. – Nie, chyba nie tak cię widzę. Raczej jako mężczyznę, którego... którego kocham. Możesz się z tym pogodzić? Czy to zbyt intymne?

Już nieraz mówiła o miłości, zwłaszcza w początkowej fazie ich związku. Z czasem jednak zorientował się, jak lekko szafuje tym słowem, jak rzuca je beztrosko, a także, że nie jest bynajmniej jedynym mężczyzną, którego kochała. Jej „kocham cię” nie było wiele warte, mógł je usłyszeć każdy, kto nieźle wyglądał i dobrze zarabiał. Co prawda nie przestał marzyć, by usłyszeć to z jej ust, i zarazem miał do siebie żal, że czeka na coś, co ma tak niewielką wartość.

Ale tym razem, tak mu się przynajmniej wydawało, powiedziała to inaczej. Jej głos brzmiał bardziej miękko i zarazem bardziej poważnie. Na jej twarzy malowały się ciepło i szczerłość.

Odrobina ostrożności i nieufności oczywiście pozostała. Przecież miał czterdzieści trzy lata. Nie pakował się już na łeb na szyję z jednego ekstremum w drugie. Wyciągnął rękę i musnął dłonią jej policzek.

– Zobaczmy, jak się wszystko potoczy – powiedział.

Michael nie odzywał się od tygodnia, a potem dzwonił nieoczekiwanie dwa dni pod rząd. Za pierwszym razem rozmawiał tylko z Beatrice, która mu przekazała, że Karin jest na plaży na spacerze z psami, na co poprosił, by do niego oddzwoniła, gdy wróci. Karin próbowała wieczorem, ale nikt nie odbierał.

– Pewnie jest u kochanki – powiedziała z goryczą do Beatrice.

– Bardzo boli? – Starsza pani przyglądała jej się uważnie.

Karin się zamyśliła.

– Trochę. Już nie tak bardzo. To wszystko się ode mnie oddała.

Następnego ranka zadzwonił znowu. Był zdenerwowany.

– Nie przekazano ci, że masz do mnie zadzwonić? – warknął zamiast powitania.

– Tak, i dzwoniłam. Nie było cię w domu. Dzień dobry, tak swoją drogą.

– Dzień dobry. – Nie ciągnął tematu swojej nieobecności. – Chciałem się tylko dowiedzieć, kiedy planujesz wrócić do domu.

Zaskoczyło ją, że rzucił to pytanie tak nonszalancko.

– Dziwi mnie, że w ogóle cię to interesuje – zauważyła.

– A niby dlaczego nie? – zachnął się zirytowany.

Karin wiedziała doskonale, że Helene w kuchni pilnie nadstawia ucha i chłonie każde słowo, ale w gruncie rzeczy nic jej to nie obchodziło.

– Przecież już cię nie obchodzę – odparła. – W twoim życiu jest inna kobieta. Czego chcesz ode mnie?

Wydawało się, że jej słowa szczerze go zaskoczyły.

– Ale to ty jesteś moją żoną.

– O czym ostatnio chyba rzadko pamiętałeś.

Westchnął zirytowany.

– Chcesz konfrontacji – no dobrze, niech ci będzie. Chociaż nie, właśnie tego nie chcesz, nigdy tego nie chcesz. Zawsze unikałaś dyskusji i kłótni. Za bardzo się boisz, że usłyszysz nieprzyjemną prawdę, tak?

– Michael, ja...

– No więc przestańmy wreszcie owijać w bawełnę. Przyznałem, że mam romans. Nie chcesz chyba powiedzieć, że nie ma w tym w ogóle twojej winy.

„Nie, to nie może być prawda” – pomyślała Karin.

– Na dłuższą metę to nie jest żadne rozwiązanie – ciągnął. – Już ci kiedyś powiedziałem, że uciezka nie załatwi sprawy, nie rozwiąże problemów. Wolałbym, żebyś jak najszybciej wróciła do domu.

– A wtedy?

– Co: a wtedy?

– Co dalej? Mam znowu wiecznie siedzieć w domu i czekać, aż raczysz zajrzeć do mnie pomiędzy wizytami u kochanki? A może będziesz znikał na całe noce, nawet nie racząc mnie poinformować, czy i kiedy wrócisz. Uważasz, że tak będzie lepiej?

– Nie możesz przecież tygodniami siedzieć na Guernsey!

– Mogę, póki nie zdecyduję, co dalej. Widzisz, Michael, jeszcze nie jestem taka stara. Moje życie nie może się ograniczać do siedzenia w domu i czekania na męża, który w ogóle mnie już nawet nie zauważa!

– Ach, więc to także moja wina! – zachnął się. – A kto niby zamknął cię w domu? Przecież to nie był mój pomysł! Nigdy nie twierdziłem, że masz rzucić pracę! Że masz siedzieć w domu jak mysz pod miotłą! Że masz wpadać w panikę na samą myśl, że mogą do nas przyjść goście! Ja nigdy...

Pełen oburzenia mówił coraz mniej zrozumiale, ale wszystko sprowadzało się do tego, jak wywnioskowała Karin, że on nie był niczemu winien, za to ona – wszystkim. „Lecz to wiedzieliśmy już przedtem” – pomyślała znużona.

– No więc kiedy wrócisz? – zapytał w końcu, gdy już nie przychodziło mu do głowy nic, co jeszcze mógłby jej zarzucić.

– Kiedy zdecyduję, co dalej z moją przyszłością – odparła i znowu odłożyła słuchawkę bez pożegnania.

Kiedy wchodziła do kuchni, minęła ją Beatrice. Bez słowa przeszła obok z kamienną miną i wyszła z domu, głośno trzaskając drzwiami.

– Co ją ugryzło? – zdziwiła się Karin.

Helene siedziała przy stole i wsypywała do herbaty niewiarygodną ilość cukru.

– Przed chwilą była tu Mae – wyjaśniła. – Powiedziała, że Maja pojechała do Londynu i zamieszkała u Alana. Beatrice nic nie powiedziała, ale zamknęła się w sobie i ma dziwną minę. A przed chwilą nagle zerwała

się z krzesła i wybiegła. Domyślam się, że poszła na plażę, żeby wyrzucić z siebie złość.

– Dlaczego jest tak zła? – nie rozumiała Karin.

Stała niezdecydowana, myślami cały czas była przy rozmowie z Michaeliem. Musiała ją jeszcze przepracować i nie wiedziała, jak się do tego zabrać.

– Proszę siadać – zaproponowała Helene. – Ale najpierw niech pani sobie przyniesie filiżankę. Napije się pani ze mną herbatki. Jest pani bardzo blada, herbata dobrze pani zrobi. Znowu pokłóciła się pani z mężem, tak?

Karin usiadła i rozlała do filiżanek gorącą, aromatyczną herbatę. Chyba rzeczywiście w tej chwili potrzebowała właśnie tego.

– Mój mąż chce, żebym wracała do domu – wyjaśniła. – A ja sobie tego po prostu nie wyobrażam. Przeraża mnie w tej chwili świadomość, że nie wyobrażam sobie, bym kiedykolwiek mogła tam wrócić.

– Będzie pani musiała podjąć decyzję i mu o niej powiedzieć – stwierdziła Helene.

Karin skinęła głową.

– Tak, ale potrzebuję czasu. Tu chodzi o moją przyszłość. W pewnym sensie... o moje życie. – Upiła łyk herbaty. Smakowała równie pysznie, jak pachniała. – A jak to jest z Mają i z Alanem? – zapytała. W tym momencie wszystko było dobre, byle nie myśleć o Michaelu.

Helene westchnęła głośno, ale błysk w jej oczach zdradzał, jak bardzo lubiła takie plotki.

– No więc Maja i Alan już od lat mają romans – zaczęła. – A właściwie w kółko go zaczynają i kończą, bo Mai nigdy naprawdę na nim nie zależało. Może po prostu jest na to za młoda.

– Ile ma lat?

– Dwadzieścia dwa. A Alan czterdzieści trzy, więc to spora różnica wieku. No ale wie pani, miłość nie wybiera...

– Ale w przypadku Mai chyba trudno mówić o miłości.

Helene pokręciła głową.

– Maja w ogóle nie potrafi kochać. Tak między nami, to mała puszczalska. Spała chyba ze wszystkimi mężczyznami na Guernsey, poza Kevinem, ale to tylko dlatego, że on jest z innej bajki. A jeśli do tego dodać

turystów... No więc dziewczyna nieźle się bawiła i trudno przypuszczać, żeby z dnia na dzień miało się to zmienić.

– Dlaczego Alan na to pozwala? Co prawda nie znam go zbyt dobrze...

– Przypomniała sobie tamto spotkanie w zeszłym roku, w ciepły wrześnieowy dzień. – Jest przystojny, inteligentny, wydaje mi się też, że odnosi pewne sukcesy. Na pewno jest wiele kobiet, które chciałyby się z nim związać. Nie musi chyba latami dawać się wodzić za nos rozwydrzonej małolacie!

– Dokoła Alana kręci się wiele kobiet – przyznała Helene. – Ale wie pani chyba, że on ma problem z alkoholem? Choć nawet i to ich nie odstrasza. Pewnie każda widzi siebie jako anioła pomocy, który pomoże mu przewyciężyć nałóg. Lecz Alan... – Wzruszyła ramionami. – Koniec końców nie chce żadnej innej, tylko Maję. Zjawia się na jej każde skinienie. I cierpi, kiedy go znowu zostawia dla innego.

– Więc dlaczego do niego pojechała?

– Beatrice też się nad tym zastanawia i nic dobrego nie przychodzi jej do głowy. Powiedziała Mae prosto w twarz, że jej zdaniem Maja liczy na wygodne życie w Londynie, Alan zaś jest na tyle głupi, że będzie ją utrzymywał. I Mae się obraziła, a Beatrice się martwi.

– Rozmawiała z nim?

– Alan jest dorosły, ma ponad czterdzieści lat. Nie posłuchałby jej, o czym Beatrice doskonale wie, i dlatego nawet do niego nie dzwoni.

– Może Maja się zmieniła.

– Też to powiedziałam. Ale Beatrice roześmiała się tylko. Nie widzi w niej nic dobrego.

– A pani?

Helene się zamyśliła.

– Obawiam się, że akurat w tym wypadku Beatrice ma rację. Ale nie powinno się ani żadnego człowieka, ani żadnej epoki oceniać jedną miarą. Pewnie, że Maja może się zmienić, ale wydaje mi się, że tu, na wyspie, nikt za bardzo w to nie wierzy.

Karin wypła łyk herbaty. Była zmęczona i miała wrażenie, że po rozmowie z Michaelem to zmęczenie przytłaczało ją jak ołów. Właściwie, jeśli się nad tym zastanowić, w przeszłości zawsze była zmęczona, ilekroć

z nią rozmawiał, ba, ilekroć siedział naprzeciwko niej. Jakby wysysał z niej całą energię i chęć życia. Jeśli akurat czuła się nieco lepiej, miała więcej energii, wystarczyło, żeby się zjawił; był jak igła przekłuwająca balon; rozlegał się syk powietrza i zostawał tylko pusty, marny strzęp.

„Marny strzęp – pomyślała. – No tak, w jego oczach nie jestem niczym więcej”.

Musiała koniecznie zmienić temat, nie myśleć o Michaelu. Krył się w jej myślach, zadomawiał się tam. Aż za dobrze znała męczącą gonitwę myśli, w którą ją zapędzał, jeśli na dobre usadowił się w jej głowie.

– A czy ojciec Alana jeszcze żyje? – zapytała. – To znaczy, chodzi mi o to, czy są z Beatrice rozwiedzeni, czy może ona owdowiała?

Helene od razu zniżyła głos.

– Właściwie nie wiem, czy powinnam o tym mówić... – Od początku było jasne, że powie, co ma do powiedzenia. – Poza mną wie tylko Mae... i wydaje mi się, że w tym wypadku wyjątkowo jak na nią dotrzymała tajemnicy.

– Ale o czym?

Helene jeszcze bardziej ściszyła głos, tak że Karin musiała bardzo nadstawiać ucha, by cokolwiek zrozumieć.

– Mężczyzna, za którego wyszła Beatrice, Frederick Shaye, *nie jest* ojcem Alana!

– Nie?

– Nie. Zdradziła go, i Alan jest dzieckiem tej zdrady.

– Och...

– Tak. Spędziła tu, w Guernsey, jedno lato w... – Helene się zamyśliła. – w 1956 albo 1957 roku, w każdym razie bardzo dawno temu. Chciała sprzedać dom rodziców i szukała kupca.

– A gdzie wtedy mieszkała?

– W Anglii, w Cambridge. Shaye był profesorem w tamtejszym college'u. Beatrice przysięgła, że nigdy nie wróci na Guernsey, ale Shaye przekonał ją, żeby sprzedała posiadłość rodziców. Sama nigdy by na to nie wpadła, przede wszystkim dlatego, że ja nadal tu mieszkałam.

Dla Helene było to na tyle ważne, że musiała to podkreślić. To Shaye był draniem, nie Beatrice. Karin nie była całkiem przekonana, że sytuacja

naprawdę wyglądała tak, jak malowała ją Helene. Prawdopodobnie także Beatrice chciała spalić za sobą wszystkie mosty. Z tego, czego się do tej pory dowiedziała, mogła przypuszczać, że jej także zależało na tym, żeby w końcu usunąć Helene ze swojego życia, jeśli nie całkowicie, to przynajmniej częściowo.

– Miałam wrażenie, że Frederick nic przeciwko mnie nie miał. Zawsze wydawał się taki sympatyczny... Ale z perspektywy czasu sędzę, że potajemnie snuł intrygi przeciwko mnie.

– Dlaczego po wojnie nie wróciła pani do Niemiec? – zainteresowała się Karin. – Do ojczyzny?

– Jest pani młoda – westchnęła Helene. – Nie przeżyła pani tamtych czasów. Po wojnie okazało się nagle, że w Niemczech nie ma żadnych nazistów. Gdyby się uważnie przysłuchiwać, właściwie wszyscy walczyli w ruchu oporu. A to oznaczało, że nazistom znanym z nazwiska, nazistowskim dygnitarzom, przypisywano wszystko, dosłownie wszystko. Erich co prawda nie żył, ale był wręcz idealnym uosobieniem wroga, które spotykało się na każdym kroku. Jako wdowa po nim... Boże, ja się po prostu bałam. Nie chciałam wracać i znosić tego, że wszyscy pokazują mnie palcami.

– Ale na pewno miała pani w Niemczech rodzinę.

Helene przecząco pokręciła głową.

– Tylko matkę, ale już na początku wojny choroba przykuła ją do łóżka. Ciężki wylew w wieku pięćdziesięciu lat zrobił z niej roślinę, mieszkała w domu opieki i nikogo nie rozpoznawała. Mnie też by nie poznała.

– I już nigdy nie pojechała pani do Niemiec?

– Raz, w kwietniu 1951 roku, na pogrzeb matki. Ale wróciłam zaraz następnego dnia.

– Jednego nie rozumiem – stwierdziła Karin. – Dziwi mnie, że tutaj było pani lepiej niż tam. To znaczy... Niemcy przez pięć lat okupowali te wyspy. Mieszkańcy chyba nie odnosili się do pani zbyt przyjaźnie?

– Ostatni rok, rok głodu, przyniósł spore poczucie solidarności – wyjaśniła Helene. – Beatrice na pewno pani o tym opowiadała. Stosunkowo mało było gniewu i nienawiści. Oczywiście, były gesty niechęci, także skierowane bezpośrednio do mnie, ale to wszystko trzymało się pewnych

granic. W sumie było mi tu chyba lepiej, niż byłoby w Niemczech.

– Ale została pani sama. Po wyjeździe Beatrice...

Oczy Helene zaszły mgłą.

– Nigdy nie pojmowałam, czemu właściwie wyjechała – stwierdziła z naciskiem. – I to zaraz po wojnie... No dobrze, chciała się dowiedzieć, co się stało z jej rodzicami. W tym celu pojechała do Londynu. Ale potem nie chciała wracać. Wróciła tylko po to, żeby skończyć szkołę, i zaraz znowu wyjechała do Southampton na studia. Błagałam ją, żeby została. Twierdziła, że nie chce hodować róz, na co odparłam, że przecież wcale nie musi, są jeszcze inne zajęcia. Powtarzała w kółko, że nie chce mieszkać w domu rodziców. Bo wie pani, żadne z nich nie dożyło końca wojny.

– O Boże! – Karin była przerażona.

Helene energicznie kiwała głową, a Karin przemknęło przez myśl, że Helene to wszystko było chyba bardzo na rękę – i przeraziła się tej myśli. Musi się bardzo pilnować, żeby za szybko nie wyrobić sobie zdania na jej temat.

– W jaki sposób zginęli jej rodzice? – zapytała.

– Ojciec w 1941 roku, podczas nalotu na Londyn. Wyciągnęli go martwego z ruin biurowca, w którym pracował jako nocny stróż. Wtedy matka popadła w ciężką depresję. Wyprowadziła się od siostry, zamieszkała we wschodnim Londynie w skandalicznych warunkach. Nie miała wieści od jedynej córki, a teraz jeszcze straciła męża. Sąsiedzi opowiadali Beatrice, że piła, żeby zagłuszyć ból, że często już o dziewiątej rano snuła się pijana po ulicach. Pod koniec 1944 roku odebrała sobie życie, zażyła tabletki i popiła je alkoholem. – Helene westchnęła dramatycznie. – Straszna tragedia. Beatrice została sierotą w wieku szesnastu lat. Miała już tylko mnie.

– Tragedia, za którą odpowiedzialność ponoszą naziści – zauważyła Karin. – Gdyby nie okupacja wyspy, nadal byliby razem. Czy Beatrice nigdy nie miała z tym problemu? Z tym, że *pani*... że pani też była wrogiem?

Mina Helene zdradzała, że Karin trafiła w czuły punkt, ale szybko udało jej się odzyskać panowanie nad sobą.

– Nie – odparła spokojnie. – Nigdy. Byłam jej najlepszą przyjaciółką,

zastępowałam jej matkę, opiekowałam się nią... Wiedziała, że nigdy nie utożsamiałam się z ideologią nazizmu. Potrafiła to rozdzielić.

Karin uznała, że lepiej zostawić ten temat. Helene stworzyła sobie własną wersję prawdy i nie sposób byłoby ją przekonać, że było inaczej. Może zresztą lepiej nie próbować reformować osiemdziesięciolatki, stwierdziła.

– Kto w takim razie jest ojcem Alana? – zapytała, wracając do punktu wyjścia.

– Pewien Francuz – odparła Helene. – Imieniem Julien. Podczas wojny pracował tu u nas.

– Julien? Znowu się spotkali?

– Wie pani o nim? – Helene nie ukrywała konsternacji.

Karin nie wiedziała, ile właściwie wie Helene, więc odparła wymijająco:

– Kiedyś o nim wspominała.

Helene najwyraźniej to nie ucieszyło. Zapewne wolałaby być jedyną powiernicą Beatrice.

– Podczas wojny miała z nim romans – zaczęła, ponownie zniżając głos do szeptu. – Fatalna sprawa, szkoda, że wtedy mi o niczym nie powiedziała. Przecież mogłam jej pomóc. No, ale dobrze. Po wojnie Julien wyjechał do Francji, Beatrice do Anglii i wydaje mi się, że latami nie utrzymywali żadnych kontaktów. Aż do tamtego lata, gdy przypadkiem spotkali się na wyspie. Julien przyjechał z żoną, chciał jej pokazać miejsca ze swojej przeszłości i chyba się nie spodziewał, że nagle wpadnie na Beatrice. Najwyraźniej stare uczucia jeszcze w nich nie wygasły, może to była jedna romantyczna chwila... W każdym razie spotkali się kilka razy i zanim lato dobiegło końca, Beatrice co prawda nie znalazła kupca na dom, ale za to była w ciąży.

– Powiedziała to pani?

– Nie, ale dowiedziałam się o romansie, a kiedy urodziło się dziecko, przeliczyłam wszystko i dodałam dwa do dwóch. Tylko Julien mógł być jego ojcem.

– I wtedy? – zapytała Karin po dłuższej chwili ciszy.

– I wtedy poszłam do Fredericka Shaye'a i wszystko mu powiedziałam – odparła Helene.

Tykanie kuchennego zegara dzwoniło Karin w uszach.

– Słucham? – szepnęła z niedowierzaniem.

– Frederick Shaye się z nią rozwiódł – wyjaśniła obojętnie Helene. – A Beatrice i dziecko wrócili do mnie.

Wieczorem znowu zadzwonił Michael z pytaniem, kiedy Karin zamierza wracać do domu. Odparła, że jeszcze tego nie wie.

– A niby z czego chcesz się utrzymywać na tym wyjeździe? – zapytał chłodno.

– Przecież mamy konto na Guernsey – przypomniała mu.

– *My?* Nie, *ja* mam konto na Guernsey. Nie możesz zapominać, że chodzi o *moje* pieniądze!

– Mam pełnomocnictwo. Skoro byłam dość dobra, żeby latami tu przyjeżdżać i...

– Na Boga, o takich sprawach nie rozmawia się przez telefon! – sapnęła Michael. – Ty naprawdę nie masz o niczym pojęcia!

– Wiem. Od mniej więcej dziesięciu lat przypominasz mi o tym dzień w dzień.

– Pewnie dlatego, że to prawda.

Nie uległa odruchowi, by znowu odłożyć słuchawkę. Nie mogła przecież w ten sposób kończyć każdej z nim rozmowy.

– Może przez jakiś czas nie będziemy do siebie dzwonić – zaproponowała. – Pozwól mi się zastanowić, jak sobie wyobrażam dalszą przyszłość, i sam zrób to samo. Oboje potrzebujemy czasu.

– Nie bardzo wiem po co. Moim zdaniem w ogóle nie ma sensu zastanawiać się nad czymś, o czym nie rozmawiamy. To nam nic nie da.

– Michael – westchnęła. – Masz kochankę. Musisz sam, w głębi serca, zdecydować, czy chcesz być z nią, czy ze mną. W tym celu nie musisz ze mną rozmawiać. Ja ci nie pomogę.

– Aha. A więc zamierzasz tak długo siedzieć na Guernsey i trwonić moje pieniądze, aż skruszony i potulny do ciebie wrócę.

„On po prostu nie może być inny, musi być wredny” – stwierdziła niemal ze smutkiem.

– Nie wydaje mi się, żebym tutaj trwoniła *nasze* pieniądze – odparła z naciskiem. – I nie chodzi mi o to, byś wrócił skruszony, tylko o to, żebyś podjął decyzję. Bez względu na to, jaka będzie, to ty musisz ją podjąć.

– Gadasz jak pieprzona nauczycielka – syknął i tym razem to on odłożył słuchawkę.

Karin poszła do saloniku, w którym Beatrice siedziała za stołem z lampką czerwonego wina i gazetą przed nosem. Nie czytała jednak, tępych wzrokiem wpatrywała się w blat stołu.

– Przeszkadzam? – zapytała Karin.

Beatrice podniosła głowę.

– Nie, skądże. Nie mam pojęcia, która to godzina. Może chciałaby pani coś zjeść? Chyba nie dam rady dzisiaj niczego ugotować, ale...

– Nie, dziękuję, nie jestem głodna, za to chętnie napiję się wina. Przed chwilą rozmawiałam z mężem i jak zawsze udało mu się wyprowadzić mnie z równowagi.

– Niech pani pije na zdrowie. – Beatrice przysunęła jej butelkę. – Ja też dzisiaj nie poprzestanę na jednej lampce, czuję, że muszę się wzmocnić.

Karin wyjęła kieliszek z kredensu, usiadła koło Beatrice.

– Martwi się pani o Alana, tak? – zaczęła ostrożnie. – Helene coś o tym wspominała dziś rano.

– O ile ją znam, nie wspominała, tylko wszystko wypaplała – poprawiła ją Beatrice, a widząc minę Karin, dodała: – Proszę się nie przejmować, nie mam z tym problemu. Opowiedziałam pani już tyle, że kilka szczegółów doprawdy nie robi żadnej różnicy. Jeśli o mnie chodzi, może pani wiedzieć wszystko.

– A gdzie teraz jest Helene?

– Na kolacji z Mae. Mae jest obrażona, bo powiedziałam, że Maja to szmata i suka, więc Helene chce jej dodać otuchy. Teoretycznie w imię naszej przyjaźni, ale tak naprawdę chodzi jej tylko o siebie. Mae często zabiera ją na kawkę czy na zakupy i Helene się obawia, że to się skończy, jeśli pokłócimy się na dobre.

– A ta sprawa z Mają mogłaby rzutować na waszą przyjaźń?

Beatrice lekceważąco machnęła ręką.

– Skądże! Mae wie doskonale, co sędzę o Mai, mówiłam jej to setki razy,

musi się tylko trochę podąsać dla pozorów. Jediną osobą, na której to jeszcze robi wrażenie, jest właśnie Helene.

– Rozmawiała pani z Alanem?

– Cały czas mnie kusi, żeby złapać za telefon – przyznała Beatrice. – Ale na razie udaje mi się powstrzymać. Alan ma czterdzieści trzy lata. Właściwie nie powinnam się do niczego wtrącać.

– Nie pojmuję, dlaczego do tego stopnia stracił głowę na punkcie Mai – zauważyła Karin. – To znaczy, owszem, to piękna dziewczyna, ale nie wydaje mi się jakoś szczególnie wyjątkowa. A Alan może przecież mieć każdą.

– Tylko że chce właśnie ją. I proszę mnie nie pytać dlaczego. Dlaczego ludzie się w sobie zakochują, dlaczego miłość jest czasami tak intensywna, że nie sposób zapomnieć o tej drugiej osobie, nawet jeśli w zamian dostajemy tylko ból i upokorzenie? A może właśnie te ciągłe ciosy uniemożliwiają zakończenie takiego związku raz na zawsze? Czasami sobie myślę, że Alan nie nauczy się w tym zamieszaniu niczego, póki między nimi nie zapanuje równowaga. Ale może wyciągam pochopne wnioski z jego reakcji, z tej całej sytuacji. Może po prostu Maja ma w sobie coś, co go do tego stopnia fascynuje, że nie może o niej zapomnieć.

– Jest u niego, prawda?

Choć wyraz twarzy Beatrice się nie zmienił, jej oczy zasnuł smutek.

– Tak, jest u niego. I pewnie mu wmawia, że go kocha i że się bardzo zmieniła. A on oczywiście chwyci się tej nadziei i będzie się jej kurczowo trzymał, póki znowu go nie zawiedzie, a on znowu będzie bardzo cierpiał.

– Nie może go pani chronić – stwierdziła cicho Karin. – Nie przez cały czas. Jest już dorosły.

Beatrice zapaliła papierosa, zaciągała się szybko, nerwowo, co Karin zdążyła już u niej często zauważyć.

– Wiem o tym i sama to sobie w kółko powtarzam. Alan ma swoje życie, sam zbiera własne doświadczenia. Ale mimo to nadal jest moim dzieckiem i zawsze nim będzie.

– Jest pani z nim bardzo związana?

– Wychowywałam go sama. Może dlatego ta więź jest tak silna. Nie było równowagi, drugiej osoby, na której barkach można by złożyć ten czy

inny ciężar. Zawsze byliśmy tylko we dwoje, Alan i ja.

– I Helene – dodała cicho Karin.

Beatrice się skrzywiła.

– No tak, mało brakowało, a zapomniałabym o Helene. Helene, która zniszczyła moje małżeństwo z Frederickiem Shaye'em. Opowiedziała pani o tym? Och, szkoda, że pani nie widziała tego dramatu, który urządziła, gdy się zorientowała, że sprawa z Frederickiem się ciągnie, gdy zrozumiała, że od niej odchodzę...

Listopad 1952 – wrzesień 1953

Tamtej jesieni Beatrice była chora, chora na duszy. Siedem lat po zakończeniu wojny wędrowała przez londyńską mgłę i miała wrażenie, że ponury krajobraz wokół odzwierciedlał stan jej duszy. Jej reakcją na odejście Julienu i wiadomość o śmierci rodziców było rzucenie się w wir działań. Wróciła na Guernsey, skończyła szkołę, pokonała opory i histerie rozszlochanej Helene i wyjechała na studia do Southampton. Imiała się najróżniejszych prac, żeby się utrzymać, chodziła w znoszonych, cerowanych ciuchach i dziurawych butach, uczyła się pilnie, zakuwała i robiła, co było w jej mocy, żeby nie zatrzymywać się choćby na moment, nie rozglądać się dokoła. A teraz to wszystko należało już do przeszłości, skończyła studia, filologię angielską i francuską, miała dyplom w kieszeni, ale żadnej pracy, i nagle pochłonęła ją czarna dziura. Nic jej nie interesowało. Tłumione wydarzenia, obawy i troski wzbierały wielką falą, zalewały ją, porywały w mrok. Po raz pierwszy zmierzyła się z tym, co poczuła na wieść o śmierci rodziców, i ogarnął ją ból tak przenikliwy, że nie mogła oddychać. Nagle zrozumiała, że straciła wszystko. Na całym świecie nie miała już nikogo. Z nielicznymi ocalałymi krewniakami w Anglii właściwie nie utrzymywała kontaktów, byli dla niej jak obcy. Deborah i Andrew nie żyli. Czuła, że nie może wrócić na Guernsey, do ich wspólnego domu, a zatem nie miała już swego miejsca na ziemi. Poruszała się w próżni, otaczały ją tylko żałoba i ból.

Mieszkała we wschodniej części Londynu, na ponurym osiedlu

robotniczym, na którym do tej pory nie naprawiono szkód wyrządzonych przez niemieckie bombowce. Tu nie było dachu, tam w oknach zamiast szyb straszyły płyty dykty. Na podwórkach, a czasami także na ulicach poniewierał się gruz. W lecie przez mur zaglądały zielone gałęzie, teraz jednak straszyły tylko nagie konary, drapiące niskie, szare, zachmurzone niebo. Ten widok jeszcze potęgował uczucie beznadziei.

Beatrice wynajmowała pokój na Bridge Lane, w szarym, brudnym domu, przed którym wiecznie stały kałuże i trzeba je było ostrożnie obchodzić, a w środku poniewierały się puste butelki i śmieci. Większość lokatorów nie miała pracy, część z nich także piła, liczne rodziny gnieździły się w malutkich mieszkankach. Kłótnie i przemoc były na porządku dziennym. Beatrice mimowolnie była świadkiem tego wszystkiego, co tylko pogłębiało jej depresję. Zarabiała na życie, ucząc francuskiego damy z towarzystwa, i cierpiała, wychodząc wieczorami z pięknych, wypieszczonych domów w zachodniej części miasta, by wrócić do siebie. Nie po to studiowała, żeby z wysiłkiem wbijać do głów leniwym, rozpieszczonym damom francuskie słówka i gramatykę. Chociaż właściwie wcale nie o to chodziło. Nawet gdyby nagle spełniło się jej marzenie i znalazłaby pracę w wydawnictwie, nie byłaby szczęśliwa. Za bardzo bolała myśl o wszystkich tych, których straciła. Poczucie wewnętrznej pustki i samotności ją przygniatało. Czasami tęskniła za Guernsey, myślała o łąkach i skałach, o widoku na morze i niebo, jaśniejsze, wyższe niż to w Londynie. Jednak każdą taką chwilę, taką myśl, przypłacała bólem, który sprawiały powracające wspomnienia: myślała o rodzicach i dzieciństwie, o różach i ciepłe tamtych dni. Myślała też o wojnie, dziwnym czasie, kiedy chwilami wydawało jej się, że utknęła w sennym koszmarze. I już pojawiała się to tępe pulsowanie w głowie, coś ścisnęło ją za gardło, nie mogła oddychać, nie mogła się prawie ruszać, wydawało się, że pod wpływem smutku nawet jej serce bije coraz wolniej.

„Nie myśleć o tym – nakazywała sobie w takich chwilach – tylko o tym nie myśleć!”

Helene zasypywała ją listami, w których zaklinała ją, żeby wróciła do domu.

„Po co ci Londyn? – pisała. – W tym zimnym, paskudnym mieście nie

znasz nikogo, nikomu nie ufasz. A tu, na Guernsey, masz przyjaciół, masz mnie!”

Czasami Beatrice wydawało się, że to właśnie myśl o Helene powstrzymuje ją przed powrotem na Guernsey. Nie znosiła jej obecności, jej paplaniny o rodzinie i przyjaźni. Absolutnie nie widziała w Helene zastępczej matki, choć ta chętnie przedstawiała się w tym świetle. Mae odwiedziła ją kiedyś w Londynie i wtedy rozmawiały o problemie Helene. Przyjaciółka była w szoku.

– Wszyscy myśleli, że bardzo ci na niej zależy. Jeśli jest inaczej, dlaczego jej nie przegonisz? Jakim prawem panoszy się w *twoim* domu?

– Nie mogę jej przecież wyrzucić.

– Nie jesteś za nią odpowiedzialna.

Rzeczywiście, nie była, ale ponieważ chwilowo i tak nie wytrzymałaby na Guernsey, wygodnie jej było, że był ktoś, kto dbał o dom. W pewnym sensie Helene pozwalała jej w nieskończoność odpychać od siebie pytanie, co zrobić z majątkiem rodziców. Przecież mogła jeszcze trochę poczekać, pograć się w depresji i liczyć na to, że czas rozwiąże wszystkie problemy.

Beatrice prawie nigdy nie wychodziła, rzadko kiedy zaglądała do pubu, tylko wtedy, gdy zostało jej trochę pieniędzy, a to zdarzało się rzadko. Dlatego miała opory, gdy pod koniec listopada jedna z uczennic zaprosiła ją na wieczór fortepianowy.

– Nie jestem pewna, czy pasuję do pani znajomych – zaczęła ostrożnie.

– Może raczej nie powinnam przychodzić.

– Oczywiście, że pani pasuje! – zawołała pani Chandler. – Beatrice, jest pani tak uroczą osóbką. Musi to pani dla mnie zrobić!

Pani Chandler była bardzo egzaltowana i Beatrice domyślała się, że uznała to za ekstrawagancki, szalony pomysł, by zaprosić na przyjęcie nauczycielkę francuskiego.

Chandlerowie mieszkali w dużym, pięknym domu w Windsorze i właściwie Beatrice jeździła do nich bardzo chętnie, choć dla niej była to wyprawa na koniec świata. Myśl, że miałyby pokonać tę trasę w zimny, deszczowy, listopadowy wieczór i wracać jeszcze później, w środku nocy, była raczej przerażająca niż kusząca, ale doszła do wniosku, że właściwie nie miała wyboru. Pani Chandler nie dość, że hojnie płaciła, to jeszcze

często dawała jej żywność i stare suknie. Byłoby głupotą urazić akurat tę klientkę.

Początkowo wieczór wydał jej się koszmarny. Nie miała wyjścia, musiała włożyć sukienkę, którą dostała od pani Chandler, bo w jej rzeczach nie było ani jednej kreacji, w której przy maksimum dobrej woli mogłaby wystąpić w eleganckim towarzystwie. Zdawała sobie sprawę, że cały czas będzie ją gryzła myśl, że każdy z gości rozpoznaje czarny aksamitny kostium, w którym sama sobie wydawała się obca i sztuczna. Do Windsoru dojechała bez kłopotu, ale od przystanku autobusowego do posiadłości czekała ją jeszcze daleka droga pieszo. Za dnia pokonywała ją zazwyczaj bez problemów, jednak w tamten ciemny, zimny wieczór ciągnęła się bez końca. Mgła przenikała przez palto, docierała aż pod kostium, do gołej skóry.

Beatrice zapomniała o kapeluszu czy choćby chustce na głowę i czuła, jak mokre włosy nieładnie przylegają jej do czaszki. Kiedy w końcu dotarła do Chandlerów i przejrzała się w lustrze, policzki miała rumiane od zimna i wysiłku. Stwierdziła, że wygląda jak spłoszona kotka. Była za chuda. Co prawda zwęziła kostium, ale i tak smętnie na niej zwisał. „Jestem mniej więcej tak atrakcyjna, jak strach na wróble” – pomyślała zrezygnowana.

Stawiło się około sześćdziesięciu osób, wszyscy dobrze sytuowani; Beatrice widziała dokoła siebie eleganckie kreacje i drogą biżuterię.

– Och – zauważyła starsza pani w długiej do ziemi koronkowej sukni, spowita obłokiem perfum. – Jak ładnie. Na pani ten kostium leży zupełnie inaczej niż na pani Chandler! Jest pani o wiele szczuplejsza, prawda?

Chyba nawet nie czekała na odpowiedź, odwróciła się na pięcie i przywitała się ze znajomą, wydając głośny okrzyk radości i rzucając jej się na szyję. Jak zauważyła Beatrice, było to zachowanie typowe i najwyraźniej pożądane w towarzystwie. Wszyscy przesadnie okazywali uczucia, tym samym dając innym do zrozumienia, że są powszechnie lubiani i mają wielu bliskich przyjaciół. Beatrice wydało się to bardzo sztuczne, ale poza nią chyba nikomu to nie przeszkadzało. Było jej źle, czuła się bardzo samotna. Bez celu błąkała się po pokojach z kieliszkiem wina w dłoni, udawała, że przegląda książki na półkach i podziwia obrazy na ścianach, choć w rzeczywistości na nic nie zwracała uwagi i nagle zatęskniła za

swoim ciasnym, paskudnym mieszkankiem, w którym panowała cisza, w którym mogła zamknąć za sobą drzwi i zostać sama.

Po nieskończeniu długim czasie pani Chandler zaprosiła gości do stołu. Nieskończenie długim, bo Beatrice zdawała sobie sprawę, że absolutnie nie może wyjść *przed* kolacją, a im bardziej opóźniał się jej początek, tym dłużej to wszystko potrwa. Goście mieli zajmować miejsca przy kilkunastu okrągłych stolikach, nakrytych na osiem osób każdy, rozstawionych na całym parterze. Nie było ustalonych miejsc i Beatrice pięć razy próbowała się do któregoś dosiąść, ale za każdym razem dawano jej do zrozumienia, że te miejsca są już zajęte, i pytano, czy mogłaby łaskawie usiąść gdzie indziej. Już oblewał ją pot na myśl o tym, że zostanie sama pośrodku sali, pod bezlitosnymi spojrzeniami wszystkich gości, ale w końcu udało jej się przysiąść do stolika w ogrodzie zimowym. Gałązka niezidentyfikowanego drzewa zahaczała o jej włosy, ilekroć odchylała się do tyłu, a pozostali biesiadnicy przy jej stoliku mieli od siedemdziesięciu do dziewięćdziesięciu lat. Rozmawiali o wojnie. Dama, której syn poległ pod Dunkierką, zalała się łzami, gdy starszy pan w płomiennych słowach wspominał ewakuację żołnierzy. Ponieważ źle słyszał, trochę potrwało, zanim się zorientował, że obok niego siedzi ktoś, kogo zdaniem ewakuacja Dunkierki *nie przebiegła* wspaniale. Dopiero kiedy kobieta gwałtownie odsunęła krzesło, zerwała się na równe nogi i wybiegła, zrozumiał, że coś jest nie tak.

– Powiedziałem coś złego? – dopytywał się z przejęciem.

Nikt nie czuł się na siłach go uświadomić, wszyscy pochylili głowy nad talerzami i udawali, że nic się nie stało.

Beatrice zrezygnowana pogodziła się z myślą, że wieczór szybko się nie skończy i jakoś będzie musiała to wszystko znieść. Była chyba jedyną osobą przy stole, a może i na całym przyjęciu, która spędziła wojnę pod niemiecką okupacją, i zdawała sobie sprawę, że miałyby wielu słuchaczy, gdyby tylko zaczęła mówić.

Ale nie chciała. Nie mogła.

„Właściwie jeszcze nikomu o tym nie opowiedziałam – stwierdziła w myślach. – Nawet pani Chandler nie wie, że pochodzę z Guernsey”.

O jedenastej podano ostatnie danie i Beatrice chciała się pożegnać, tłumacząc, że czeka ją jeszcze długa droga do domu. Pani Chandler nawet

nie chciała o tym słyszeć.

– Zaraz zjawi się pianista! Punkt kulminacyjny wieczoru! Nie pozwolę pani teraz wyjść, o nie!

„No tak, ale to nie pani będzie wędrować pięć kilometrów do stacji – pomyślała ze złością Beatrice. – I nie pani będzie się modliła, żeby jeszcze jeździły pociągi”.

Pianistą okazał się młody, pryszczaty mężczyzna z długą, chudą szyją. Miał na sobie za szeroki w ramionach garnitur i cały czas nerwowo zaciskał dłonie. Fortepian stał w salonie. Podczas kolacji służący dyskretnie jak duchy ustawili w pomieszczeniu rzędy krzeseł, ale oczywiście było ich za mało i część gości tłoczyła się na stojąco w drzwiach i holu.

Pani Chandler krążyła od grupki do grupki, zapewniając wszystkich, że to „wielki młody talent”. Zachowywała się tak, jakby to ona osobiście go odkryła, i Beatrice pomyślała, że może właśnie tak było.

Była zmęczona i znużona. Udało jej się zdobyć miejsce siedzące, ale miała w nosie, że należy do najmłodszych gości, a część starszych państwa, z którymi usiadła do kolacji, tłoczy się zapewne na stojąco. Nie chciała być grzeczna, chciała, żeby czas minął jak najszybciej.

Młody pianista zagrał Chopina, potem przeszedł do Haena dla. O ile Beatrice była w stanie to ocenić, rzeczywiście grał wyśmienicie. Po jego zdenerwowaniu nie było śladu, wydawał się skoncentrowany i pewny siebie. „Może naprawdę ktoś go odkryje – pomyślała. – Chciałabym, żeby tak się stało”.

Starła się nie wsłuchiwać za bardzo w melodię. Muzyka poruszała ukryte struny, przypominała o samotności, o pokładach smutku w jej duszy. Wśród tłumu poczuła się jeszcze bardziej samotna, jakby naprawdę siedziała w swojej klitce. Nikt z tych wszystkich ludzi nie miał z nią nic wspólnego. Nikt jej nie znał, nikt nic nie wiedział o jej życiu. Stała na zewnątrz, ale nie uchylili się żadne drzwi.

Pani Chandler zarządziła krótką przerwę, ale prawie nikt nie wstał z obawy, że straci miejsce siedzące.

Beatrice także została; i tak nie wiedziała, dokąd mogłaby pójść.

Mężczyzna koło niej, na którego do tej pory właściwie nie zwracała uwagi, pochylił się w jej stronę.

– Bardzo zdolny młody człowiek – stwierdził. – Nie uważa pani?

Skinęła głową.

– Na pewno. Dzięki niemu ten wieczór nabiera sensu.

Uśmiechnął się.

– Nie podoba się tu pani?

– Sama nie wiem – przyznała. Była gościem pani Chandler i nie chciała wyrażać się negatywnie o przyjęciu. – Obawiam się po prostu, że nie bardzo tu pasuję – wybrnęła w końcu. – Nikogo nie znam. Pani Chandler miała jak najlepsze intencje, zapraszając mnie, ale... – Nie dokończyła zdania. Może sąsiad zrozumie, co miała na myśli.

Wyciągnął do niej rękę.

– Nazywam się Frederick Shaye. Teraz już pani kogoś zna. Mnie.

Musiała się roześmiać.

– No, to rzeczywiście wszystko się zmieni. Beatrice Stewart. Uczę panią Chandler francuskiego.

– Jest pani nauczycielką?

– Właściwie nie. Skończyłam romanistykę i anglistykę i chwilowo nie mam pracy, a lekcjami utrzymuję się przy życiu.

Wydawało jej się, że dostrzegła uznanie w jego oczach.

– Romanistykę? Kocha pani Francję?

– Jeszcze nigdy tam nie byłam – przyznała. – Ale kocham język. Literaturę. Mieszkałam bardzo blisko francuskiego wybrzeża, na Guernsey, tamtejsi mieszkańcy to pół-Francuzi.

– Fascynujące – stwierdził i sądząc po minie, mówił szczerze. – Guernsey. Przeżyła tam pani okupację?

– Tak. Ale wolałabym o tym nie rozmawiać.

Skinął głową.

– Oczywiście. Przepraszam, jeśli poruszyłem drażliwy temat.

– Nie mógł pan tego wiedzieć.

– Mimo wszystko przepraszam.

– Nie musi pan, naprawdę.

Roześmiał się.

– Zdaje się, że możemy tak bez końca.

Beatrice mu zawtórowała.

– Więc dajmy sobie już spokój – zaproponowała.

Frederick Shaye przyjechał samochodem i nie było mowy, żeby Beatrice wracała do domu sama po tym, gdy się dowiedział, jak daleko mieszka.

– To w ogóle nie wchodzi w grę – oznajmił. – Jest po północy. Możliwe, że pociągi już w ogóle nie kursują. Nie pozwolę, żeby o tej porze wracała pani sama.

Stali w holu i czekali, aż pokojówka przyniesie ich płaszcze.

– Co za szkoda, że już musicie państwo iść! – zawołała pani Chandler. – Nie możecie zostać jeszcze chwilę? Dopiero teraz robi się naprawdę przyjemnie!

– Nie – odpowiedzieli jednocześnie. Zdążyli już zwierzyć się sobie, że mieli dość tej imprezy, a ponieważ minęła już północ, Frederick uznał, że spokojnie mogą się dyskretnie pożegnać.

Sam usiadł za kierownicą. Deszcz przeszedł w drobny, mokry śnieg, ale mgła ustąpiła, więc widoczność nie była zła. Frederick prowadził w skupieniu, lekko spięty.

– Przepraszam – tłumaczył się. – Ale po ciemku nie najlepiej widzę.

Zdążyła się już dowiedzieć, że wykladał w Cambridge i że w dzieciństwie był w tej samej szkole z internatem co pan Chandler, stąd jego obecność na przyjęciu. Od roku mieszkał w Londynie, na ten czas całkowicie poświęcił się badaniom w laboratorium, które udostępnił mu uniwersytet. Był biologiem.

Beatrice słuchała zafascynowana jego opowieści o pracy. Gdy tak jechali przez ciemne ulice Londynu, dyskretnie zerkała na niego kątem oka. Miał ciemne włosy i bardzo jasne oczy, jego wąska twarz zdawała się wręcz nienaturalnie blada. Spodobał jej się jego czysty profil i delikatne dłonie, nieco zbyt kurczowo zaciśnięte na kierownicy. Po raz pierwszy od dawna – po raz pierwszy od Juliana – widziała w kimś mężczyznę i to ją zarówno zdumiało, jak i zaniepokoiło. Nie pasowało do nastroju smutku i rozpacz, a nie wiedziała jeszcze, czy chce, by coś rozbiło pancierz, którym się otoczyła.

Kiedy w końcu dojechali do jej domu, na skraju drogi i na dachach

domów zalegała już cieniutka warstewka śniegu.

Frederick Shaye odprowadził ją pod same drzwi.

– Bardzo chciałbym się z panią jeszcze kiedyś zobaczyć – powiedział. –

Czy mogę do pani zadzwonić?

– Niestety nie mam telefonu – odparła.

Zamyślił się.

– Ale bywa pani często u Chandlerów? W takim razie będę próbował w ten sposób się z panią skontaktować.

Podawała mu, kiedy ma lekcje z panią Chandler, a on zapewnił, że wszystko zapamięta. Gdy jednak się żegnali, Beatrice pomyślała: „Nie. Właściwie wcale nie chcę się z nim więcej widzieć. Właściwie wcale nie chcę się w nic pakować”.

Frederick Shaye nie odpuścił. Dzwonił, ilekroć była u Chandlerów, i usiłował zaprosić ją na kolację. Beatrice za każdym razem mówiła, że nie ma czasu i torpedowała wszelkie inne pomysły z jego strony.

Pani Chandler zorientowała się oczywiście, co się święci, i namawiała Beatrice, żeby zmieniła zdanie.

– Mam co innego do roboty – zbyła ją.

Pani Chandler zachnęła się i roześmiała.

– No, moja droga, aż tak bardzo zajęta pani nie jest. I właśnie w tym rzecz. Nie ma pani pracy, więc ten czas może pani spokojnie poświęcić Frederickowi.

Grudzień przeciekał jej między palcami. W Wigilię Bożego Narodzenia popłynęła na Guernsey, wbrew sobie, bo najchętniej zostałaby w Londynie, by zamknąć się w swoim mieszkanku, oddać fali rozpaczy i uzalać się nad sobą. Helene jednak zasypywała ją listami, zaklinała, że musi przyjechać, więc z zaciśniętymi zębami postanowiła to zrobić. Nie widziała Helene prawie od roku, toteż obawiała się, że pewnego dnia ta bez zapowiedzi zapuka do jej drzwi, jeśli dalej będzie zwlekała z odwiedzinami.

Na morzu szalał sztorm, przeprawa okazała się fatalnym pomysłem. Pod pokładem było jej tak niedobrze, że obawiała się, że umrze, więc mimo lodowatego wiatru wyszła na pokład w nadziei, że na świeżym powietrzu

poczucie się lepiej. Kurczowo przyciskała dłoń do brzucha. Niestety, skończyło się na tym, że wymiotowała przewieszona przez reling, a gdy w końcu dopłynęli do St. Peter Port, uginały się pod nią nogi i trzęsła się jak osikowy listek. Helene wyjechała po nią samochodem. Elegancka, spokojna, miała na policzkach rumieńce z zimna.

– Boże drogi, co z tobą?! – zawołała na powitanie. – Jesteś blada jak ściana i strasznie chuda! Londyn ci chyba wcale nie służy. Od razu widać, że za mało jesz i śpisz!

– Bzdury – zachnęła się Beatrice. Rzeczywiście czuła się okropnie, ale jej żołądek powoli się uspokajał. – Choroba morska dała mi się we znaki i tyle. Taka przeprawa w zimie ma swoje uroki, zapewniam!

– Nic na to nie poradzę, że tak wiało – jęknęła Helene, spłoszona i jak zawsze gotowa do płaczu. – Przecież nie...

– W pewnym sensie zmusiłaś mnie do przyjazdu – rzuciła Beatrice i z wściekłością cisnęła walizkę na tylne siedzenie. – W innym wypadku zostałam w Londynie i nie byłoby sprawy.

W oczach Helene zalśniły łzy.

– I naprawdę mogłabyś spędzić Boże Narodzenie beze mnie?

– Helene, bardzo cię proszę, nie rób cyrku ze świąt – zachnęła się zdenerwowana. – To naprawdę bez znaczenia, gdzie i z kim spędza się tych kilka dni. Nie pojmuję, jak można robić tyle hałasu o nic!

– A ja nie pojmuję, jak możesz być taka nieczuła! – stwierdziła Helene, urażona do żywego. – Wydawało mi się, że jesteśmy rodziną. Przecież mamy już tylko siebie!

Beatrice była zbyt osłabiona, by dalej prowadzić tę rozmowę. Opadła na siedzenie pasażera i w myślach zaklinała żołądek, żeby się uspokoił.

– Zawieź mnie do domu – mruknęła znużona. – Jest mi wszystko jedno, chcę się tylko położyć do ciepłego łóżka, pospać i może wychylić kieliszek wódki.

Spała do wieczora, potem wstała wypoczęta i świeża i razem z Helene napiła się portwajnu przy kominku w jadalni. Wybrała się też na krótki spacer na plażę, wędrowała nad morzem w świetle księżyca i blasku gwiazd.

Fale ucichły, suche, zimne powietrze przesycił zapach zimy,

przemarzniętych wrzosów i lodowatej wody.

Beatrice oddychała głęboko, miarowo. Po pośpiechu Londynu, po tamtejszym zaduchu i ciasnocie wyspa wydawała jej się oazą, rajską i błogą. Zdawała sobie sprawę, że rozsądniej byłoby tu zostać, znaleźć jakąś pracę i cieszyć się spokojem, który dawała jej Guernsey. Ale wiedziała też, że to niemożliwe. Stary ból rzucił się na nią jak wściekły pies, gdy wpatrywała się w głębokie, czarne morze przecięte smugą księżycowego światła. Wydarzenia z przeszłości nadal za bardzo bolały. Nie zniosłaby Guernsey.

Następnego dnia obdarowały się z Helene prezentami. Na dworze było równie zimno i bezwietrznie jak poprzedniego dnia. Obie siedziały przy kominku otulone szlafrokami i rozpakowywały prezenty. Beatrice przywiozła Helene książkę i nawet, co teraz przyznała ze wstydem, nie zadała sobie specjalnie trudu, by ją wybrać. Właściwie w ostatniej chwili przed wyjazdem przypomniała sobie, że powinna mieć coś dla Helene, więc wpadła do pierwszej lepszej księgarni i sięgnęła po pierwszą lepszą książkę z półki. Okazało się, że to album o dzikich zwierzętach w Kenii, którymi Helene nigdy się nie interesowała. Z lekkim zdumieniem spojrzała na okładkę, zaraz jednak wzięła się w garść i podziękowała z przesadnym entuzjazmem:

– Wspaniale! Bardzo dziękuję, Beatrice! Przeczytam to i dowiem się rzeczy, o których do tej pory nie miałam pojęcia!

Beatrice natomiast potrzebowała aż pół godziny, żeby rozpakować wszystkie paczuszki, które przygotowała dla niej Helene. Widać było, że tamta postarała się naprawdę, że kupowała wszystko, co jej zdaniem mogło sprawić Beatrice przyjemność: nylonowe pończochy, skórkowe rękawiczki, francuski krem do twarzy, moherowy szal, srebrny zegarek, kolczyki z perełkami i wiele innych drobiazków. Jako ostatnią rzecz Beatrice odpakowała fotografię w ciężkiej srebrnej ramie; zdjęcie przedstawiało Helene z rozpuszczonymi, długimi, jasnymi włosami, uśmiechniętą słodko jak anioł. Według Beatrice fotografia była przesłodzona i kiczowata; od razu wiedziała, że nigdy w życiu nie postawi jej u siebie, ale udawała, że jej się spodobała.

Helene promieniała.

– Żebyś zawsze miała mnie przy sobie! – Objęła ją z głośnym westchnieniem. – Nawet nie wiesz, jak bardzo za tobą tęsknię, gdy jesteś w Londynie. Nie masz pojęcia, jak bardzo chciałabym mieć cię tutaj, przy sobie! Przecież mamy już tylko siebie!

„A ja przy tobie dostaję klaustrofobii – pomyślała Beatrice i wyslizgnęła się z jej objęć. – Właściwie dlaczego Helene nie znajdzie sobie jakiegoś miłego mężczyzny, za którego mogłaby wyjść i dać mi spokój?”

Około południa zadzwonił Frederick Shaye, żeby jej życzyć wesołych świąt. Telefon odebrała Helene, która z wyrazem konsternacji na twarzy zajrzała do saloniku i oznajmiła, że dzwoni jakiś pan i chce rozmawiać z Beatrice.

– Co za pan? – zdziwiła się Beatrice. Akurat czytała książkę o dzikich zwierzętach w Kenii.

– Cayne, Shayne czy jakoś tak – odparła Helene. – Kto to? Znajomy z Londynu?

– Wykładowca biologii, którego poznałam na przyjęciu – wyjaśniła Beatrice i wstała. – Dobry Boże, skąd on wziął mój numer telefonu?

Jak się okazało, dowiedział się od pani Chandler, że Beatrice wybrała się na Guernsey i także od pani Chandler usłyszał nazwisko Helene, a potem już bez trudu ustalił numer telefonu na wyspie.

– Nazwisko pani przyjaciółki brzmi z niemiecka – zauważył. – Ma też niemiecki akcent. Mieszka na wyspie od okupacji?

– Tak – odparła krótko. Widziała, że Helene stoi w progu i ciekawie nadstawia ucha.

– No cóż – podjął. – Cieszyłem się na myśl, że spotkamy się podczas świąt, ale oczywiście rozumiem, że wolała pani wrócić do domu.

– Został pan w Londynie? Nie wyjechał do Cambridge?

– A niby po co? – zdziwił się. – Nikt tam na mnie nie czeka, a tu, w Londynie, mogę w spokoju popracować.

– Robi pan postępy?

– Owszem. – Urwał na chwilę. – Szkoda, że nie możemy się spotkać – powiedział w końcu. – Czy mi się tylko zdaje, czy pani przeszkadzam? Nie chciałbym tego, ale... ale oczywiście uszanuję, jeśli pani zdecyduje, że mam do niej więcej nie dzwonić.

– Nie, nie przeszkadza mi pan – zapewniła. W myślach przeklinała Helene, która uparcie tkwiła w tym samym miejscu, nie chcąc uronić ani słowa z tej rozmowy. – Ja po prostu... nie wiem, czy jestem gotowa na jakiegokolwiek komplikację.

– Ale kolacja ze mną to chyba żadna komplikacja.

– Oczywiście, że nie. – Nagle sama sobie wydała się bardzo głupia.

– Czy zatem mogę liczyć, że przyjmie pani zaproszenie na początek stycznia?

Uległa w końcu.

– Dobrze. Początek stycznia. Zdzwonimy się jeszcze?

– Zadzwońię do pani u Chandlerów. Wszystkiego najlepszego, Beatrice. Wesołych Świąt! – rozłączył się.

– Wesołych Świąt – powiedziała Beatrice do głuchej słuchawki.

Helene zaatakowała natychmiast:

– Kto to był?

– Mówiłam ci już, poznałam go na przyjęciu.

– A dlaczego tutaj wydzwania?

Beatrice poczuła się jak na przesłuchaniu.

– Nie mam pojęcia. Pewnie chce się ze mną zobaczyć.

– Dlaczego mówisz, że nie masz pojęcia, skoro wiesz doskonale, o co mu chodzi? – nie dawała za wygraną Helene. – Myślisz, że się w tobie zakochał?

– Helene, widzieliśmy się jeden jedyny raz. Nie wiem, naprawdę. Dlaczego w ogóle cię to interesuje?

– Nie do wiary! – Helene nie posiadała się z oburzenia. – Dlaczego mnie to interesuje! Bo interesuje mnie wszystko, co ciebie dotyczy! Jesteśmy sobie przeznaczone!

– Ale to nie oznacza, że nie mogę poznawać nowych ludzi. Ja mieszkam w Londynie, ty na Guernsey. Nie możemy się wzajemnie ograniczać.

– To wszystko przez to, że mieszkasz w Londynie – rzuciła Helene oskarżycielsko. – I przez to obie jesteśmy samotne. Po co nam to?

– Zachowujesz się, jakbyśmy były parą. Nie sądzisz chyba, że zostaniemy razem do końca życia!?

Helene wygięła usta w podkówkę.

„O Boże, nie, zaraz zaczniesz płakać” – pomyślała Beatrice.

– Wiesz doskonale, jak bardzo czuję się samotna od śmierci Ericha – jęknęła Helene. – Mieszkańcy wyspy mnie ignorują i...

– To nieprawda – zauważyła Beatrice. – Wszyscy są dla ciebie bardzo mili, zwłaszcza jeśli się pomyśli, kim jesteś, kim był Erich!

– Ale ja...

– Proszę cię, Helene, nie rozmawiajmy teraz na ten temat – mruknęła zirytowana. Nie znosiła, gdy Helene robiła okrągłe oczy i wpadała w płaczliwy ton. – Frederick Shaye nie zepsuje nam świąt. Idę na spacer nad morze. Wrócę na kawę.

– Mogę iść z tobą? – zapytała Helene.

– Nie.

Zimne, świeże powietrze dobrze jej zrobiło. Oddychała głęboko, powoli, starała się zrzucić z siebie poczucie osaczenia, które wywoływała w niej Helene. Nie dopuści do tego, żeby Helene miała wpływ na jej życie. Przypomniała sobie ciepły głos Fredericka. Później doszła do wniosku, że właśnie wtedy, w tamto mgliste grudniowe popołudnie, ustąpił jej wewnętrzny opór wobec Fredericka. A jeszcze później zaczęła się zastanawiać, czy ważnej roli nie odegrała także chęć zrobienia Helene na złość.

Po południu, gdy znowu się ściemniło, zjawiła się Mae z kilkoma podarunkami i młodym, onieśmiałym mężczyzną, którego przedstawiła jako swojego narzeczonego. Nazywał się Marcus Ashworth i pracował w banku w St. Peter Port. Mae wyglądała ślicznie z rumieńcami na policzkach i błyskiem w oku. Kiedy na chwilę zostały z Beatrice same w kuchni, gdzie Beatrice parzyła kawę i wyjmowała talerze z kredensu, oznajmiła prosto z mostu:

– Bierzemy z Marcusem ślub. Jestem w ciąży.

– Cieszę się, Mae – zapewniła Beatrice, bo przyjaciółka wydawała się tak promienna, że jej ciąża nie mogła być efektem wpadki. – Zostaniecie na Guernsey?

– Chyba tak. A raczej, na pewno tak – odparła Mae. – Oboje tutaj dorastaliśmy. Nie wyobrażamy sobie życia gdzie indziej. – Ciekawie przyglądała się Beatrice. – Nie pojmuję, jak możesz tak długo mieszkać

w Londynie, z dala od domu! Ale chyba chcesz kiedyś wrócić?

– Sama nie wiem – odparła powoli Beatrice. – Nie jestem pewna, czy w ogóle *mogę* wrócić.

– Nie czujesz, że tutaj jest twój dom?

– Owszem, ale z wyspą wiążą się też złe wspomnienia.

Wpatrywała się w szczęśliwą, rumianą Mae, która tak ufnie patrzyła na świat. W jej wzroku nie było ani przerażenia, ani bólu. Mae przeżyła okupację w domu rodziców, nigdy nie straciła domowego ciepła i bliskości. A Beatrice pięć najważniejszych, kształtujących osobowość lat spędziła pod jednym dachem z hitlerowcem, z dnia na dzień straciła kontakt z rodzicami, wdała się w niebezpieczny, bolesny związek z mężczyzną, który musiał się ukrywać, co doprowadzało go do szału, a gdy było po wszystkim, okazało się, że jej rodzice nie żyją. Gdy tak patrzyła na Mae, miała wrażenie, że dzielą je całe lata świetlne.

– Zobaczymy, jak to będzie – mruknęła.

– Masz w Londynie faceta? – zapytała Mae ciekawie. – Nie uwierzę, że przez te wszystkie lata studiów nie wpakowałaś się w żaden romans!

– Na studiach miałam co innego do roboty.

– O Boże, nie powiesz mi przecież, że cały czas tylko ślęczałaś nad książkami! Z tego, co słyszałam, na uczelniach naprawdę bywa wesoło!

– Mnie nie było – ucięła krótko Beatrice. – Po prostu miałam za dużo pracy.

– A teraz? – nie dawała za wygraną Mae. – Teraz masz kogoś?

– Niby jakim cudem? Uczę rozpieszczone damy z wyższych sfer. Niby jak miałabym kogoś poznać?

– Zawsze jest jakaś możliwość. Ale no dobrze, albo nie masz nikogo, albo nie chcesz o tym rozmawiać, ale gdybyś była wolna, mogłabyś wrócić na Guernsey, co bardzo ucieszyłoby nas wszystkich.

– Kogo niby? – rzuciła Beatrice z cieniem agresji w głosie. – Ty będziesz miała własną nową rodzinę, a dla przyjaciół nie ma miejsca, kiedy na świecie pojawia się małe dziecko!

– Przede wszystkim ucieszyłaby się Helene – zauważyła Mae. – Bez ciebie czuje się bardzo samotna.

– Co, wypłakuje ci się na ramieniu?

– Często narzeka – przyznała Mae ostrożnie. – Ale chyba naprawdę jest samotna. W gruncie rzeczy nie ma na wyspie żadnych przyjaciół, kontaktuje się właściwie tylko ze mną, rzadziej z moimi rodzicami. To straszne, że owdowiała w tak młodym wieku.

– Przecież nikt jej nie broni zacząć nowego życia, tylko może nie tutaj. Powinna wrócić do Niemiec. Szczerze mówiąc, nie pojmuję, czemu jeszcze tego nie zrobiła.

– Bo wszyscy pokazywaliby ją palcami. W Niemczech zaraz po wojnie okazało się nagle, że właściwie nikt nie popierał Hitlera. Jakby ich posłuchać, można by pomyśleć, że wszyscy byli w ruchu oporu – stwierdziła Mae ironicznie. – Dziwne w takim razie, że Hitler tak długo utrzymał się przy władzy, prawda? Ale Helene, jako wdowa po oficerze SS, nie mogłaby udawać, że jest wcieleniem niewinności. Tak, rozumiem, dlaczego nie chce wracać do Niemiec.

– Ale z tego, co mówisz, wynika, że tutaj jest niewiele lepiej. Posłuchaj, Mae, niech ona robi, co chce, to jest *jej* życie. Musi sama o sobie decydować. Nie może się mnie czeptać, nie jest moją matką ani siostrą. Nie jestem za nią odpowiedzialna.

– Ale ona na ciebie liczy – zauważyła Mae.

Beatrice zdjęła z palnika czajnik z wrzącą wodą i tak energicznie zalała kawę w porcelanowym imbryku, że połowa wylałowała na stole.

– Ale ja na nią nie! – krzyknęła.

Kiedy na początku stycznia wybierała się z powrotem do Londynu, Helene wylała morze łez. Tego dnia znowu padało i wiało, Guernsey pokazywała się od najgorszej strony. Beatrice rozumiała, że Helene nie chciała zostać sama jak palec w wielkim domu, w którym jej czynności ograniczały się do rozwiązywania krzyżówek i czekania na programy rozrywkowe w radio.

– Wiem – wychlipała Helene, gdy stały razem na nabrzeżu, a Beatrice nerwowo przestępowała z nogi na nogę, bo już dawno powinna być na pokładzie – wiem, że wracasz przez niego, przez tego mężczyznę. Zawrócił ci w głowie. A ja już nic nie wiem o twoim życiu.

– Co za bzdury! – zachnęła się rozgniewana Beatrice. – Wracam do Londynu, bo zostawiłam tam sprawy do załatwienia, których nie mogę dłużej odkładać, i dlatego, że mam nadzieję znaleźć tam prędzej czy później dobrą pracę. I tyle.

– Ale przecież on tak często dzwonił! – jęknęła Helene. Wiatr bawił się jej mokrymi włosami. Ubrała się za lekko i dygotała na całym ciele. Wydawała się dziecinna, krucha. – I nie mów mi, że to nic nie znaczy!

Frederick Shaye dzwonił jeszcze dwukrotnie; w sylwestra i dzień czy dwa później, żeby zapytać, kiedy wraca do Southampton i czy może po nią wyjść. Beatrice rozmawiała z nim zwięźle i rzeczowo, ale zauważyła, że Helene przysłuchiwała się bacznie i najwyraźniej szósty zmysł jej podpowiadał, że to rozmowa osób, które nie są sobie całkiem obojętne. W jej głowie rozdzwoniły się dzwonki alarmowe. Beatrice czuła, że nie może nawet odetchnąć pełną piersią, bo Helene zaraz zacznie to badać i analizować.

– Pan Shaye wcale nie dzwonił często – odparła zirytowana. – Słuchaj, Helene, muszę już wejść na pokład. Nie masz powodu do płaczu. Mae przyjdzie dzisiaj do ciebie na kolację, już z nią o tym rozmawiałam. Nie będziesz sama.

– Ale przecież to nie to samo! Usiądzie naprzeciwko mnie, a ja przez cały wieczór będę myślała, że jeszcze niedawno *ty* tam siedziałas. Będę bardzo, bardzo smutna i...

– Helene, proszę, weź się w garść! – warknęła. – Jedyne, co mogę zrobić, to poprosić Mae, żeby częściej do ciebie zaglądała i opiekowała się tobą, choć i bez tego to robi. Powodzi ci się lepiej niż wielu innym ludziom. Zresztą nie masz jeszcze nawet trzydziestu pięciu lat. Możesz sobie znaleźć nowych przyjaciół.

– Niby jak? Ze względu na Ericha...

Beatrice doskonale знаła litanie, której teraz słuchała po raz setny. Objęła Helene, cmoknęła ją pospiesznie w policzek i mruknęła:

– Na mnie już czas. Głowa do góry. Trzymaj się!

Porwała walizkę i wbiegła trapem na pokład. Nie obejrzała się za siebie, nie chciała zabierać z sobą ani pełnego wyrzutów spojrzenia Helene, ani rozpacz na jej twarzy.

Po powrocie do Londynu często spotykała się z Frederickiem. Zabierał ją do restauracji, do teatru, do kina, a w pewien weekend na początku lutego zabrał ją do Cambridge, żeby pokazać jej świat, który uważał za swój. To były chłodne zimowe dni, na łąkach i dachach wiekowych gmachów uczelni leżała cieniutka warstewka śniegu, a na zachodzie, tam, gdzie rzeka Cam nikła na horyzoncie, na lodowatym, pastelowym niebie zachodziło czerwone słońce. Beatrice zarezerwowała pokój niedaleko Trinity College, ale zanim poszli na kolację do pubu, Frederick pokazał jej swój domek na skraju miasta. Wzdłuż pnącej się w górę ulicy ciągnął się sznur szeregowych domków, z których jeden, niemal dokładnie pośrodku, należał do Fredericka. Niebieskie okiennice i drzwi pięknie kontrastowały ze ścianami z białego kamienia. Przed domem rosły potężne krzaki o nagich, zimowych gałęziach, ale Frederick wyjaśnił, że to jaśmin i że w lecie pachnie na całą ulicę.

Jaśmin rósł także w malutkim ogródku za domem, były tam także dwie jabłunki i kamienna fontanna, która przypominała chrzcielnicę.

– Prezent od studentów – wyjaśnił. – W lecie mam tu wodę, po której pływają róże.

Domek był mały i przytulny; w niemal wszystkich pomieszczeniach ciągnęły się wzdłuż ścian regały z książkami, od podłogi do sufitu. Wszędzie panowała nieprzyjemna wilgoć.

– Przykro mi, że tak tu niemiło – tłumaczył się. – Nie było mnie tu od miesięcy.

– Ależ Fredericku, taki dom nie może stać nieogrzewany przez całą zimę – oburzyła się. – Wszystko tu panu zmarnieje, książki, meble... Nie ma pan gospodyni, która tu zagląda?

– Nie, nikogo.

– Musimy włączyć ogrzewanie i napalić na kominku. Niech dom się ogrzeje chociaż przez ten weekend.

W końcu postanowili spędzić tu wieczór. Frederick wyruszył na poszukiwanie czegoś do jedzenia, a Beatrice rozpałała małe gazowe piecyki we wszystkich pomieszczeniach, przyniosła drewno z piwnicy i rozpałała ogień na kominku w saloniku. Przez dłuższy czas wietrzyła cały dom, żeby się pozbyć stęchłego zaduchu, który unosił się wszędzie. Później wewnątrz

wypełniło przyjemne ciepło. Beatrice usadowiła się na podłodze wpatrzona w płomień i czuła, jak ogarnia ją spokój i lekkość.

Wrócił Frederick, zaczerwieniony od mrozu, a wraz z nim do domku wtargnął powiew zimy. Przyniósł kolację z pubu: miskę gulaszu, rybę z frytkami, trochę chleba i sera oraz butelkę wina. Jedli przed kominkiem, w milczeniu, wsłuchani w trzaskanie płomieni i trzeszczenie drewnianej podłogi, która pod wpływem ciepła zdawała się wracać do życia.

– To cudowne uczucie – stwierdził w pewnej chwili Frederick – tak tu z panią siedzieć, Beatrice. Spędziłem tu niezliczone samotne wieczory, ale niechętnie wracam do nich w myślach. – Przyniósł się do niej, pocałował ją w policzki i po chwili wahania musnął wargami jej usta.

Przestała oddychać, poczuła, jak całe jej ciało sztywnieje. Broniła się całą sobą. Przypomniała sobie, jak miękła w ramionach Julienu, jak bardzo tęskniła za jego dotykiem. Czekwała, aż to wróci, ale jej ciało uparcie nie reagowało.

„Co się ze mną dzieje, do cholery?” – zastanawiała się niespokojnie.

– Chyba będzie lepiej, jeśli już wrócę do hotelu – powiedziała, wstając. Strzepnęła okruchy z sukienki, wygładziła fałdy spódnicy, jakby przez to mogła zaprowadzić ład i porządek we własnych myślach.

Frederick także wstał.

– Przepraszam, jeśli okazałem się natarczywy. Nie chciałem wprawić cię w zakłopotanie, a tym bardziej sprawić ci przykrości.

– Nie, nie, to nie tak. – Zdawała sobie sprawę, że jest sztywna jak kulek i wydaje się bardzo sztuczna, że jej zachowanie w ogóle nie pasuje do swobodnego wieczora przy kominku. – Dobranoc, Fredericku. Nie gaś ognia do rana, niech dom się porządnie nagrzej.

– Oczywiście odprowadzę cię do hotelu – zapewnił i podał jej płaszcz. – Może jednak trzeba było iść do pubu. Wieczór w moim domu to był kiepski pomysł.

– Nie mieliśmy wyjścia, w domu wszędzie czaiła się pleśń.

– No tak. Na przyszłość muszę to jakoś lepiej zorganizować.

Szli ciemnymi, pustymi ulicami. Mróz kłuł jak małe igiełki. Przed hotelem Frederick wyrzucił z siebie pospiesznie:

– Beatrice, to pewnie nieodpowiedni moment, żeby to powiedzieć, ale

nie ma też sensu dłużej zwlekać. Kocham cię. Nie wiem, czy odwzajemniasz to uczucie, czy możesz sobie wyobrazić, że kiedykolwiek poczujesz coś do mnie. Ale chciałbym, żebyś wiedziała, co do ciebie czuję.

Podniósł jej dłoń do ust, pocałował ją i odszedł, prawie odbiegł, jakby się obawiał, że jej odpowiedź zniweczy jego nadzieje.

Jeszcze przez dłuższą chwilę stała na ulicy. Czekala, aż ustąpi wewnętrzny skurcz. I z czasem krew popłynęła normalnie, a serce odnalazło dawny rytm.

Może z czasem ta sztywność ustąpi. Gdzieś, kiedyś. Może życie w nią wróci, może znowu stanie się znośne. Może znowu zdoła pokochać.

Po powrocie do Londynu spotykali się niemal codziennie. Beatrice stopniowo przyzwyczajała się do jego obecności, do jego bliskości, a on dowiadywał się coraz więcej o jej życiu, o zawirowaniach i burzach, o wewnętrznym bólu, który nie dawał jej spokoju. W pewnym momencie opowiedziała mu także o Julenie. Wysłuchał jej i zadał nieuniknione pytanie:

– Kochasz go nadal?

Zamyśliła się.

– Nie, chyba już nie.

– Chyba?

– Te rany jeszcze się nie zabiłszy, nadal jest mi trochę przykro, także dlatego, że tak bezwzględnie ryzykował również moim życiem. Dlatego, że zniknął bez śladu, ledwie skończyła się wojna. To wszystko nadal nie daje mi spokoju.

Przyglądał się jej w zadumie.

– Jeśli nadal cierpisz, ciągle masz go w sobie.

Wzruszyła ramionami i nie odpowiedziała. Siedzieli w knajpce w Soho, pili ciemne piwo i słuchali ochryplego śpiewu czarnej piosenkarki, która starała się zapewnić rozrywkę nielicznym gościom. Na dworze wiał pierwszy od dawna ciepły wiatr i niósł zapach świeżej ziemi.

– Pójdziemy do mnie? – zapytała nagle.

– Teraz?

Skinęła głową.

– Tak, teraz.

Powróciła miękkość. Zjawiała się nie wiadomo skąd, nieoczekiwanie, jak powiew wiosny. Pancierz opadał.

Kiedy szli ulicą, wzięła go za rękę. Cieszyła się na niego, na jego bliskość, na wspólną noc.

Otworzyła drzwi. Cały czas trzymając się za rękę, szli na górę.

Pod drzwiami mieszkania siedziała na walizce Helene z wyrazem wyrzutu na twarzy.

– Czekam od wielu godzin – rzuciła po niemiecku, tym samym automatycznie wykluczając Fredericka z rozmowy. – Gdzieś ty była, na Boga?

– Co ty tu właściwie robisz? – odparła Beatrice. Demonstracyjnie przeszła na angielski.

Helene wstała z walizki. Była blada, wyglądała na przemęczoną i każdy dałby jej nie trzydzieści parę lat, ale co najmniej czterdzieści.

– Przyjechałam, żeby zobaczyć, co u ciebie. – Bezmyślnie znowu przeszła na swój język ojczysty, tak że teraz rozmowa toczyła się w dwóch językach, a Frederick rozumiał tylko połowę. – Nie odzywasz się od pięciu tygodni. Na święta byłeś jakaś dziwna. Uznałam, że coś jest nie tak, więc postanowiłam się przekonać, jak się masz.

– Helene, to jest Frederick Shaye – przedstawiła Beatrice. – Fredericku, to Helene Feldmann.

– Bardzo mi miło, pani Feldmann. Beatrice sporo mi o pani opowiadała.

Choć chyba kosztowało ją to sporo wysiłku, Helene uściśniła jego dłoń, ale nie zdobyła się na uśmiech.

– Dzień dobry – wycedziła.

Beatrice tymczasem otworzyła drzwi do mieszkania.

– Jak weszłaś do budynku?

– Wpuściła mnie jakaś kobieta, której wytłumaczyłam, że przyjechałam do ciebie. – Helene się wzdrygnęła. – Na dworze mogłabym zamarznąć. Albo paść ofiarą jakiegoś bandyty. Mieszkasz w okropnej okolicy. Jak ty to wytrzymujesz?

– Mnie się tu podoba. – Beatrice czuła, że z wściekłości jest blada jak ściana. Helene naprawdę nie mogła się zjawić w mniej odpowiednim momencie. – Trzeba było mnie uprzedzić, że przyjeżdżasz – zauważyła.

– Niby jak? – Helene znowu zbierało się na płacz. – Przecież z tobą nie sposób się skontaktować.

– Wiesz dobrze, że możesz się ze mną skontaktować przez panią Chandler. Mogłaś sprawdzić jej numer telefonu i do niej zadzwonić. Ale nie, celowo tego nie zrobiłaś, bo doskonale wiesz, że wcale cię tu nie chcę.

Helene stała w ciasnym pokoiku i kurczowo ścisnęła rączkę torebki.

– Jak to? W ogóle się nie cieszysz na mój widok?

– Nie przyszło ci do głowy, że to niezbyt odpowiedni moment? – burknęła gniewnie Beatrice.

Frederick wniósł tymczasem do mieszkania bagaż Helene i postawił go w kącie pokoju.

– Lepiej już pójdę – powiedział cicho do Beatrice. – Zostawię was same.

Chciała go błagać, żeby został, ale z wściekłością zdała sobie sprawę, że w obecności Helene nie ma to najmniejszego sensu. Nie mogła z nim nawet grzecznie porozmawiać, do tego stopnia przeszkadzało jej napięcie wiszące w powietrzu.

– Zobaczmy się jutro? – zapytała tylko.

– Na razie masz gościa, którym musisz się zająć – zauważył. – Ale zdzwonimy się, dobrze?

Pocałował ją na pożegnanie. Kątem oka widziała, że Helene zeszytywniała i zacisnęła usta w wąską kreskę. „Cholerna zazdrosna wiedźma” – pomyślała nerwowo.

Helene odprężyła się trochę, gdy Frederick wyszedł, ale i tak nie zdołała ukryć przerażenia na widok warunków, w jakich mieszkała Beatrice.

– Masz tylko ten pokój, tak? – stwierdziła, gdy rozejrzała się uważnie i nie dostrzegła żadnych drzwi. – A gdzie łazienka?

– Jest wspólna dla wszystkich mieszkańców tego piętra i niższej kondygnacji – wyjaśniła Beatrice. – Na półpiętrze.

– Aha... A ile osób ją... dzieli?

– Siedemnaście albo osiemnaście, nie wiem dokładnie.

Helene wyglądała na tak przerażoną, że Beatrice prawie zrobiło jej się żal.

– Masz dla mnie coś do jedzenia? Gdzie mam spać?

– Właściwie śpię na kanapie, ale możesz się na niej położyć. – Świetnie, teraz oddała jej jeszcze swoje posłanie. – Pościelę sobie na podłodze.

– A...

– Czego jeszcze chcesz? Ach tak, jedzenie. Zajrzyj do szafki.

Wskazała kącik kuchenny, gdzie była płyta do gotowania i mała szafka z zastawą i zapasami.

Helene znalazła chleb, słoik marmolady i kilka ciastek.

– Prawie nic nie masz. Trudno się dziwić, że jesteś taka chuda.

– Często jadam poza domem.

– Z tym... z tym Frederickiem Shaye?

– Między lekcjami często jem na mieście. A wieczorami tak, chodzę na kolację z Frederickiem.

Helene miała taką minę, jakby ciastko, w które właśnie wbiła zęby, stało jej w gardle.

– Nie pojmuję, dlaczego...

– Tak?

– Dlaczego tak żyjesz? W tej... tej norze, bo tego nie można nazwać mieszkaniem. Na Guernsey mamy piękny dom. Mogłabyś...

– Helene, przepraszam, jeśli to zabrzmiało brutalnie, ale to *ja* mam dom na Guernsey, nie *my*. Jest mój. Możesz w nim mieszkać, to wszystko. A *ja* sama decyduję, gdzie *ja* mieszkam. W tej chwili wolę być w Londynie niż na Guernsey. Zrozumiesz to w końcu czy nie?

Kąciki ust Helene opadły żałośnie.

– Chcesz tu zostać przez niego. Zakochałaś się w nim.

Beatrice nie odpowiadała. Do jasnej cholery, nie musiała się z niczego tłumaczyć, nie przed Helene.

– A jak on na ciebie patrzył! – ciągnęła Helene. – I ty na niego. Od razu się zorientowałam, jak wiele was łączy. A swoją drogą, właściwie dlaczego przyprowadzasz go wieczorem do domu? To bardzo nieodpowiednia pora i uważam, że powinnaś...

Beatrice poczuła pulsowanie w skroniach. Nerwy jej drżały.

„Muszę jej pokazać raz na zawsze, gdzie jej miejsce – stwierdziła. – Inaczej to się nigdy nie skończy. Nie odpuści”.

– Helene, dzisiaj oczywiście możesz tu przenocować – oznajmiła. – Ale

bardzo proszę, żebyś jutro wyjechała. Nie zapraszałam cię tutaj. Nie chcę cię u siebie.

– Słucham? – Helene nie wierzyła własnym uszom.

– Bardzo proszę, żebyś jutro wyjechała – powtórzyła Beatrice.

– Nie mówisz poważnie!

– Ależ owszem, i to bardzo poważnie. Mam własne życie. Od lat. Musisz wreszcie zacząć żyć na własny rachunek. Jesteś jeszcze młoda.

Helene pobladła jeszcze bardziej. Wyglądała, jakby miała zaraz zemdleć, zmęczona i załamana.

– Po tym wszystkim, co się wydarzyło – powiedziała. – Po tym, co razem przeszliśmy... Nic nas nie rozdzieli.

Beatrice osunęła się na kanapę. Słowa Helene zabrzmiały jak groźba.

– O Boże – szepnęła. – Ty mi nigdy nie dasz spokoju.

– Jesteśmy sobie przeznaczone – zauważyła Helene miękko. – Dlaczego nie chcesz tego zaakceptować?

– Bo moim przeznaczeniem jest moje własne życie.

– Nasze losy są splecione.

– Jutro wyjeżdżasz.

– Zostaję – odparła Helene.

I została prawie cztery tygodnie, a już trzeciego dnia Beatrice zrozumiała, że żadna siła nie zmusi jej do wyjazdu. Mogłaby postawić jej walizki pod drzwiami, a Helene siadłaby na nich i nie ruszyła się na krok. Była jak kleszcz. „Gorsza od kleszcza – myślała Beatrice. – Kleszcza, który wczepi się w psią skórę, można obracać tak długo, aż w końcu puści i uwalnia swoją ofiarę”. Helene jednak dało się obracać do woli, ale było jasne, że nie odpuści.

W pewnym sensie była bardzo elastyczna. Kiedy upatrzyła sobie cel, nic nie zdołało jej powstrzymać; w drodze do niego była gotowa na wszystko, pozwalając sobie pomiatać, obracać i rzucać, ale koniec końców była tam, gdzie chciała, cała i zdrowa.

Beatrice poddała się po kilku dniach, wycofała się, unikała mieszkania, o ile tylko było to możliwe. Wiedziała, że tylko tym sposobem mogła

choć trochę zbliżyć z tropu Helene. Jej nieobecność sprawiała, że taktyka Helene się nie sprawdzała. Co jednak nie oznaczało, że porzuciła swój plan.

Beatrice zazwyczaj nocowała u Fredericka i tym samym niejako oficjalnie zaczął się ich romans, ale to nie było to samo, co gdyby poszli do łóżka w tamtą ciepłą lutową noc. Beatrice nie przyszła do niego kierowana uczuciami, lecz dlatego, że nie mogła wrócić do siebie. Była rozdrażniona i zła, przespała się z nim niejako na przekór Helene. Nie wiedziała, czy początek ich związku miał coś wspólnego z jego końcem, ale Helene udało się wprowadzić między nich cień niezgody, fałę, która mogła się rozpuścić, ale mogła też wezbrać do wielkich rozmiarów.

Helene wykorzystywała czas w Londynie, żeby włóczyć się po sklepach i kupować to, co jej zdaniem było Beatrice najbardziej potrzebne. Znalazła jej dywan, fotel, obrazy, sprzęty kuchenne, drobiazgi, dzięki którym nora, w której mieszkała Beatrice, rzeczywiście stała się bardziej przytulna i znośna. Kiedy Beatrice wpadła któregoś dnia do siebie, zatrzymała się w progu zdumiona.

– Coś ty tu zrobiła? – zapytała, gdy w końcu odzyskała mowę.

Helene, zapewne wściekła i dotknięta, że Beatrice przepadała na całe dni, uśmiechnęła się łagodnie.

– Pomyślałam sobie, że trochę tu urządzę. Wiem, że nie masz pieniędzy, ale mogłaś jednak zadać sobie choć trochę trudu. Podoba ci się to, co kupiłam?

Helene miała gust, to było jasne. Dywany, poduszki i obrazy pasowały do siebie.

– Skąd miałaś na to pieniądze? – zapytała Beatrice zamiast odpowiedzieć. Helene dostawała bardzo skromną emeryturę po poległym mężu, a i tak długo to trwało, zanim zniszczone wojną Niemcy były w stanie zacząć ją wypłacać, do tego aż na Guernsey.

– Żyję bardzo oszczędnie i dlatego stać mnie na to, żeby od czasu do czasu sprawić ci przyjemność – odparła Helene.

Beatrice opadła na nowy fotel i znużona wyprostowała nogi.

– Nie sprawiasz mi przyjemności, Helene. Przytłaczasz mnie. Wdzierasz się w moje życie. Narzucasz mi swój gust. Nie chcesz zrozumieć, że jesteśmy dwiema różnymi osobami.

– Chciałabym tylko, żebyś się dobrze czuła – zapewniła miękko Helene.
– A ja chciałabym tylko żyć własnym życiem – odparła znużona Beatrice.

Pod koniec marca Frederick zapytał, czy zostanie jego żoną. Wiedziała, że to pytanie padnie, myślała jednak, że ma jeszcze trochę czasu. Przyjęła jego oświadczyzny, wróciła do domu i podzieliła się nowiną z Helene, która ze świeżo umytyymi włosami siedziała na kanapie.

Helene natychmiast spoważniała.

– Chcecie się pobrać? – upewniła się w końcu.

– Tak. Zamieszkamy w Cambridge.

– Nie przyjadę na wasz ślub – oznajmiła Helene z kamienną miną.

– Właściwie nawet nie zamierzałam cię zaprosić – odcięła się Beatrice.

Następnego ranka Helene spakowała walizkę i pojechała taksówką na dworzec. Przez ostatnie godziny nie odezwała się do Beatrice ani słowem, nawet na pożegnanie. Była śmiertelnie obrażona. Beatrice miała nadzieję, że chociaż na jakiś czas da jej spokój.

Frederick był bardzo poruszony, gdy mu o tym opowiedziała. Wiele się dowiedział o Helene, nie do końca jednak pojmował, co właściwie łączyło ją z Beatrice i jak skomplikowana była więź między nimi.

– Zdaje się, że przeze mnie pokłóciłyście się na dobre – stwierdził zmartwiony.

– Trudno mówić o kłótni, skoro nigdy się nie przyjaźniłyśmy – ucięła sucho Beatrice.

Pobrali się w czerwcu. Helene się nie odezwała. Beatrice wysłała jej informację o ślubie i przekazała nowy adres. Helene odpowiedziała suchymi, oficjalnymi życzeniami.

Mae, która przyjechała na ślub i dumnie pokazywała wszystkim swoje malutkie dziecko, opowiadała, że Helene żyje na uboczu, z dala od życia towarzyskiego na Guernsey.

– Wycofała się całkowicie. Zaglądam do niej czasami, ale chyba nie zwraca na to uwagi. Mój Boże, przecież to jeszcze młoda kobieta! A zachowuje się jak stara wdowa.

– Nie martw się, jeszcze weźmie się w garść – mruknęła Beatrice.

Pod koniec sierpnia Frederick skończył swój projekt badawczy

w Londynie i na początku września wrócili do Cambridge.

Mały domek i koledzy z wydziału powitali ich z otwartymi ramionami. Beatrice znalazła pracę w bibliotece w Trinity College. Prowadzili ożywione życie towarzyskie, chodzili na kolacje i przyjmowali gości u siebie. Był to zamknięty, izolowany, spokojny świat, w którym życie płynęło powoli i uporządkowanym trybem. Nawet jeśli knuto jakieś intrygi, Beatrice nie miała o tym pojęcia. Czowała, że staje się częścią tego błęgiego spokoju. Przesiąkała ciepłem Fredericka, czowała, jak zaczyna mu je oddawać.

Stare rany zaczęły się zablizniać.

Lato 1956

Latem 1956 roku pojechała na Guernsey, żeby sprzedać dom rodziców.

Dojrzewała do tego przez całą pierwszą połowę roku. Jej życie było teraz w Cambridge, a Guernsey stanowiła część przeszłości spowitej gęstą mgłą. Frederick namawiał ją kilka razy, żeby pojechała tam w lecie na kilka tygodni, złapała trochę słońca, spotkała się ze starymi przyjaciółmi.

– Jeśli chcesz, pojedę z tobą – zachęcał. – Jeśli nie, wyślę cię samą.

Za każdym razem odmawiała, aż w końcu stwierdził:

– Wydaje mi się, że w ogóle nie chcesz wracać na rodzinną wyspę.

Siedzieli w małym pubie w centrum Cambridge i sączyli wino. Co chwila ktoś im przerywał – studenci albo znajomi wykładowcy, którzy podchodzili się przywitać. Beatrice świetnie się tu czuła i z czułością wpatrywała się w spokojną, mądrą twarz Fredericka.

Miłość? Nie umiałyby powiedzieć, czy go kocha, ale to, co do niego czuła, było miłości bardzo bliskie.

– Chyba już nigdy tam nie pojedę – odparła. – Cieszę się, że udało mi się zapomnieć o wydarzeniach z przeszłości. Wolałabym nie rozdrapywać starych ran.

– I chcesz, żeby Helene Feldmann do końca życia mieszkała w twoim domu? – zapytał ostrożnie. – No wiesz, mogłabyś sporo zyskać, sprzedając albo wynajmując posiadłość. Nie żeby mi na tym zależało – zaznaczył

pospiesznie – przecież mamy wszystko, czego nam potrzeba. Ale powinnaś się zastanowić, czy ona cię nie wykorzystuje.

Zdecydowała w ułamku sekundy.

– Chciałabym sprzedać dom – stwierdziła. – Tak, chyba najbardziej chciałabym go sprzedać.

– No więc zrób to – powiedział.

W ciągu najbliższych miesięcy Beatrice myślała nie o decyzji, bo ta już zapadła, ale o Helene, co z nią będzie i jak ma jej to powiedzieć. Najchętniej zleciłaby sprzedaż domu pośrednikowi i miała problem z głową, ale Frederick uznał, że to byłoby nieładnie.

– Po pierwsze, to nie w porządku wobec Helene – stwierdził. – A po drugie, to też w pewnym sensie niewłaściwe. Musisz zdecydować, co z meblami, z pamiątkami, z tym wszystkim, co do ciebie należy. W którymś momencie pożalujesz tej beztroski, jeśli to wszystko trafi w obce ręce.

– To znaczy, że muszę się wybrać na Guernsey – mruknęła.

– Powinnaś – przyznał. – Mam jechać z tobą?

Zastanawiała się przez chwilę.

– Nie. Muszę sama się z tym uporać.

Dopiero tuż przed tym, nim w Portsmouth wsiadła na statek, wysłała do Helene telegram z informacją o przyjeździe. Wiedziała, że to ją zaniepokoi, a nie miała ochoty wysłuchiwać szlochów w słuchawce i tłumaczyć wszystkiego, zanim nie staną naprzeciwko siebie.

Dopłynęła do St. Peter Port w jasny czerwcowy wieczór; powietrze było miękkie i ciepłe, wiał tylko lekki wietrzyk, niósł zapach morza i lata. Domy na wzgórzu pławiły się jeszcze w słońcu. Wieża kościoła sterczała jak dawniej, zdawała się witać ją bez słów. Mewy kołowały nad portem, krzyczały w niebo. Beatrice poczuła dziwne, bolesne napięcie w piersi, tam gdzie już od dawna niczego nie czuła, ale znała je aż za dobrze.

„Niepotrzebnie tu przyjechałam” – pomyślała.

Zaszalała, pojechała taksówką aż do Le Variouf. Jak dobrze znała wąskie dróżki otoczone niskimi murkami i żywopłotami, małe domki, zarośnięte ogrody, lokalne barwy i zapach, światło, blask słońca wśród listowia. Pamiętała każdy zakręt na drodze, każde miejsce, w którym

człowiek wstrzymywał oddech ze strachu, że z naprzeciwka nadjedzie inny pojazd.

„Dziwne – pomyślała – podczas poprzedniej wizyty nie byłam tak boleśnie świadoma tego wszystkiego. To pewnie dlatego, że tym razem wiem, że nigdy więcej tu nie wrócę”.

Helene czekała podniecona i przejęta. Nie widziały się od czterech lat, a rozstały się w gniewie i złości. Helene dostała zawiadomienie o ślubie, na które odpowiedziała chłodnymi gratulacjami. Poza tym ograniczały się do kartek na święta i urodziny.

Teraz jednak wydawało się, że Helene postanowiła zrzucić chłodną, obcą maskę. Zapewne instynkt jej podpowiadał, że nadchodzi ciężki czas. Nie była pewna, co jej grozi, ale musiała się domyślać, że Beatrice nie zjawiłaby się na Guernsey bez ważkiego powodu. A ten powód mógł oznaczać dla niej same złe wieści.

Beatrice ze swojej strony musiała przyznać, że Helene utrzymywała dom i posiadłość w nienagannym stanie. Ogród był zadbane, żywopłot starannie przycięty, nawet w starych szklarniach panował porządek. Sam dom wręcz lśnił. Helene stała pośrodku jadalni, zarumieniona z pośpiechu.

– Tak się cieszę, że przyjechałaś – powiedziała z dziecinnym podnieceniem w głosie.

„Ładnie wygląda – stwierdziła Beatrice – o wiele ładniej niż dawniej”. Wiek działał na jej korzyść. Ścięta włosy, twarz jej się wydłużyła. Z jej oczu dało się wyczytać, że często czuła się samotna i sporo płakała. Rozpacz, która zostawiła ślady na jej delikatnych rysach, zatarła dawną naiwność i słodycz, przez które zawsze wydawała się taka dziecinna. Teraz była dojrzała, poważniejsza i o wiele bardziej wyglądała na kogoś, kogo trzeba traktować poważnie.

– Cieszę się, że cię widzę – powiedziała Beatrice. Nie była to do końca prawda, ale uznała, że w tej chwili powinna powiedzieć właśnie coś takiego.

Helene lustrowała ją wzrokiem.

– Dobrze wyglądasz. Masz bardzo ładny kostium. Małżeństwo z tym... Frederickiem chyba ci służy.

– Jestem w Cambridge bardzo szczęśliwa – przyznała Beatrice. Zdawała

sobie sprawę, że nie powinna od razu przechodzić do sedna sprawy, ale wydawało jej się, że to odpowiedni moment. – I właśnie dlatego przyjechałam – wyznała szczerze. Chciała mieć to już za sobą, możliwie jak najszybciej. – Prawdopodobnie na zawsze zostanę w Cambridge, to teraz jest mój dom. I dlatego...

– Tak? – Nie sposób było nie usłyszeć paniki w głosie Helene.

Beatrice twardo brnęła dalej.

– Muszę zdecydować, co zrobić z tym domem, Helene. Rozumiesz chyba, że ja nie... No cóż, po co mi ten dom? Nie chcę tu przyjeżdżać. Nie chcę tu mieszkać. Więc... – Urwała. Helene szeroko otworzyła oczy.

– Tak? – powtórzyła.

– Chcę sprzedać dom – oznajmiła Beatrice. – Dla mnie to tylko dodatkowe obciążenie. Za te pieniądze kupimy sobie coś większego w Cambridge. Albo domek weekendowy gdzieś na północy. Coś na pewno wymyślimy. – Roześmiała się sztucznie. – W końcu zawsze się coś wymyśli, jeśli chodzi o wydawanie pieniędzy.

Helene była blada jak ściana.

– Ale przecież ja tu mieszkam – wykrztusiła z trudem.

– Helene, w gruncie rzeczy ten dom jest za duży dla ciebie jednej – tłumaczyła Beatrice. – Jesteś tu samotna, odcięta od świata. Nie możesz tak mieszkać. Jesteś młoda, ładna, możesz ponownie wyjść za mąż...

– Chcesz mnie wyrzucić na bruk! Po tym wszystkim, co razem...

– Jeśli naprawdę nie chcesz wracać do Niemiec, zamieszkać na wyspie. W St. Peter Port możesz wynająć mieszkanie. Tam są ludzie, tam znajdziesz przyjaciół. Tutaj – zatoczyła łuk ręką, obejmując nim dom, ogród i otaczające je łąki – tutaj tylko wpadniesz w depresję.

– Depresję? Tylko tutaj mogę mieszkać. Tutaj Erich... – Nie dokończyła tego zdania.

– Był z tobą szczęśliwy? – domyśliła się Beatrice. – Proszę cię, Helene!

Patrzyły sobie w oczy. Beatrice oczekiwała, że Helene zaleje się łzami, jak robiła zazwyczaj w sytuacjach kryzysowych, ta jednak nawet nie chlipnęła.

– I kiedy chcesz to wszystko robić? – zapytała tylko z zaskakującym pragmatyzmem.

– Będziesz miała dość czasu, by poszukać sobie innego lokum – zapewniła Beatrice. – Nikt nie chce wyrzucać cię na bruk. Chciałabym, żebyśmy o wszystkim zdecydowały razem.

Helene spojrzała na nią z mieszaniną ironii i złośliwości.

– Doprawdy? – zapytała. – Naprawdę właśnie tego chcesz?

– Ależ oczywiście. Przecież nie jestem twoim wrogiem, Helene. Chciałabym tylko, żeby... Cóż, moje życie też musi jakoś funkcjonować.

– Skoro uważasz, że tylko dzięki temu będziesz szczęśliwa...

– Co masz na myśli, mówiąc: tylko dzięki temu?

– No, przecież próbujesz. W Cambridge. Z tym całym Frederickiem. Obracając się plecami do Guernsey i wszystkiego, co cię łączy z wyspą.

– Nie wiem, czy w przyszłości jeszcze kiedykolwiek będę szczęśliwa – mruknęła Beatrice. – Wiem tylko, że w tej chwili jestem. W każdym razie szczęśliwsza niż dawniej – poprawiła się. – Spokojniejsza. Stare wspomnienia już tak bardzo nie boją. Chciałabym o nich zapomnieć raz na zawsze i dlatego... i dlatego muszę się wyzwolić od Guernsey. Nie mogę ciągle mieć wyspy w sobie.

– Najwyraźniej chcesz się pozbyć także mnie – zauważyła Helene. – A w każdym razie robisz wszystko, co w twojej mocy, byśmy rozstały się na zawsze.

– Robię wszystko, żeby żyć własnym życiem, co ty także powinnaś zrobić – poprawiła Beatrice. – Choć oczywiście pozostają pewne punkty styczne...

– Mój Boże, punkty styczne! – zachnęła się Helene. Podniosła głos. – Punkty styczne! Myślisz, że tego od ciebie oczekiwałam?

– Czego w takim razie ode mnie chcesz? – zapytała Beatrice.

– To przecież teraz i tak nieważne – mruknęła Helene i wyszła z pokoju.

Następnego dnia Beatrice zwróciła się do pośrednika handlu nieruchomościami w St. Peter Port, żeby zlecić mu sprzedaż domu.

Agentka wyraziła nadzieję, że prawdopodobnie sprawę da się załatwić szybko i sprawnie.

– Co prawda nie jest to najlepszy okres – przyznała – ale myślę, że mamy spore szanse. Oczywiście muszę jeszcze obejrzeć nieruchomość, ale sądząc po pani opisie, bez problemu znajdziemy chętnych nabywców.

Po tej rozmowie Beatrice ulżyło. Zrobiła pierwszy krok i wydawało się, że wstąpiła na drogę, z której nie było odwrotu. Ta świadomość przyniosła ulgę, choć nie była całkiem prawdziwa, bo przecież zawsze mogła zrezygnować ze sprzedaży. Ale uruchomiła maszynę, która od tej pory miała się potoczyć własnym torem.

Wydawało jej się, że pokonała wielką przeszkodę.

W ciągu następnych dni zabezpieczała znajdujące się w domu przedmioty: meble, obrazy, naczynia, dywany. Zdawała sobie sprawę, że nie może wszystkiego zatrzymać i zaproponowała Helene, żeby wybrała sobie, co chce.

– Szkoda, żeby to wszystko trafiło w ręce obcych – powiedziała. – Helene, naprawdę bym chciała, żebyś wzięła wszystko, co ci się podoba.

– Niczego nie chcę – burknęła Helene z kamienną miną. – Mam przecież zacząć od nowa, prawda? Tego chcesz. Więc lepiej, żebyś nie zabierała niczego z dawnych lat.

– Nie chcę cię do niczego zmuszać, ale mogłabyś...

– Dość już nabroiłaś – burknęła. – Pozwól mi teraz obserwować, jak się zmagasz z całym tym bałaganem.

– Szukałaś już mieszkania? – zapytała Beatrice po chwili milczenia, podczas której rozważała, czy ciągnąć temat bałaganu, czy zacząć nowy, bezpieczniejszy wątek. Koniec końców wybrała to drugie.

– Poinformuję cię o terminie wyprowadzki – powiedziała Helene. – Nie obawiaj się, zrobię to szybko.

„O Boże – pomyślała Beatrice. – Będzie wojna, to już prawie pewne”.

Codziennie rozmawiała z Frederickiem przez telefon i informowała go o przebiegu spraw.

– Jutro przychodzi jedna para obejrzeć dom – cieszyła się dziesięć dni po przybyciu na Guernsey. – Już nie mogę się doczekać. Może go kupią.

– Nie oczekuj zbyt wiele – uprzedzał Frederick. – Rzadko kiedy takie rzeczy dzieją się szybko. Nawet jeśli dopiero czwarty czy piąty oglądający wyrazi zainteresowanie kupnem, i tak będziesz miała dużo szczęścia.

Jak zwykle dobrze jej zrobił jego rozsądek i spokój.

– Oczywiście – mruknęła. – Ale najchętniej miałabym już to wszystko za sobą. Ja... nie jest mi tutaj łatwo.

– Mam przyjechać? – zapytał od razu. – Jeśli chcesz, przyplynie najbliższym statkiem.

Musiła się roześmiać.

– Fredericku, nie możesz przecież zostawić studentów samych na wykładach! A ja jakoś sobie poradzę.

– Kocham cię – powiedział cicho.

– Ja ciebie też – odparła. „I już nie mogę się doczekać, kiedy cię znowu zobaczę” – dodała w myślach, a później nieraz się zastanawiała, dlaczego właściwie nie powiedziała tego na głos.

Następnego dnia ponownie zobaczyła Julię.

To było jak grom z jasnego, bezchmurnego nieba. Wszystkiego się spodziewała, ale nie tego, na wszystko była lepiej przygotowana niż na to, nic nie mogło jej bardziej zaskoczyć, dotknąć.

Przed południem zjawiła się agentka i zapowiedziane małżeństwo, żeby obejrzeć dom i posiadłość, ale Beatrice zorientowała się, że do tej transakcji nie dojdzie. Małżeństwo okazało się wybredne i marudne; gruby, błady mężczyzna o ciastowatej twarzy wybrzydzał na wszystko i krzywił się z niesmakiem, a jego żona zasypywała Beatrice gradem pytań, krytycznym wzrokiem mierząc wszystko, co jej zdaniem zasługiwało na krytykę, czyli właściwie cały dom i ogród. Agentka zносиła wyraźnie sztuczne niezadowolenie klientów z wymuszoną pogodą i nieustającą radosną paplaniną, która Beatrice coraz bardziej działała na nerwy. Nie mogła znieść myśli, że dom jej rodziców stanie się własnością nowobogackiej pary. Widziała, że Helene z ulgą powitała dąsy potencjalnych kupców, co tylko pogarszało zły nastrój Beatrice, choć powtarzała sobie, że Helene ma prawo do radości i ze swojego punktu widzenia miała ku temu powody.

Kiedy naburmuszone małżeństwo odjechało w towarzystwie agentki, Beatrice włożyła wygodne buty i poszła do zatoki Petit Bôt. Dzień był wietrzny i chłodny, powietrze przezroczyste jak ze szkła, nad wodą nie było nawet śladu mgły. Słońce co chwila nikło za chmurami pędzącymi po niebie. Jeżyny przy drodze już przekwitły; owoce powoli nabierały koloru.

„Jak miło będzie zajadać dojrzałe jeżyny pod koniec lata” – pomyślała i w tym momencie przypomniała sobie, że już nie zobaczy jesieni na

wyspie.

Najpierw zobaczyła ciemnowłosą kobietę siedzącą na ławce przy jednym z punktów widokowych wzdłuż drogi. Rozciągał się stamtąd fantastyczny widok na morze i strome skały otaczające małą zatoczkę. Słońce akurat znowu wychyliło się zza chmur i wyczarowało intensywne barwy krajobrazu. Może lśniło turkusowo.

Kobieta na ławce promieniała. Miała na sobie jasne spodnie do kostek i krótki, ciemnoszary sweterek. Wydawała się szczęśliwa i zrelaksowana. Kruczoczarne włosy lśniły, jakby godzinami polerowała je jedwabną chustą.

„Jak ładnie się uśmiecha” – pomyślała Beatrice i podeszła bliżej, na tyle blisko, że zobaczyła mężczyznę, który stał kilka kroków dalej z wielkim aparatem fotograficznym w rękę i z przejęciem fotografował kobietę. Brunetka właściwie nie ruszała się z miejsca, ale zmieniał się wyraz jej twarzy; uśmiechała się raz ciepło i czule, raz zalotnie i kokieteryjnie, tajemniczo, z dystansem. Wyczuwało się pewną rutynę, obycie z kamerą, z sytuacją.

Mężczyzną był Julien.

Od końca wojny minęło jedenaście lat, szesnaście, odkąd zobaczyła go po raz pierwszy. Właściwie niewiele się zmienił, stwierdziła. Wyglądał tak, jakby wcale się nie postarzał, był silny, wypoczęty. Opalona twarz w niczym nie przypominała bledości z czasów, gdy ukrywał się na strychu państwa Wyattów, dlatego ten widok wcale jej nie zdziwił. To był Julien, jej Julien.

Rozpoznał ją w tej samej chwili, co ona jego, opuścił aparat, wbił w nią wzrok. Brunetka zorientowała się od razu, że coś się stało. Odwróciła się. Przez chwilę przyglądali się sobie we trójkę, a powietrze zdawało się iskrzyć.

Julien wyprostował się i zawołał:

– Beatrice! Co ty tu robisz?

Mówił po francusku. Odpowiedziała w tym samym języku.

– Cóż, nie zaskakuje mnie, że *ja* tu jestem, ale że *ty*?

Uśmiechnął się. Wziął się w garść i był w stanie zmierzyć się spokojnie z sytuacją.

– Wędruję śladem młodości. Suzanne chciała zobaczyć, gdzie spędziłem wojnę.

Brunetka się uśmiechnęła.

– Julien wiele mi o tym opowiadał. W końcu powiedziałam, że chcę na własne oczy zobaczyć te wszystkie miejsca.

– Och – mruknęła Beatrice i od razu sama sobie wydała się idiotką, że tak reaguje, ale nic innego nie przyszło jej do głowy.

– Nie przedstawisz nas? – zapytała Suzanne, patrząc na Julię. Widać było, że to ona panuje nad sytuacją.

Julien spełnił jej prośbę po ledwie zauważalnej chwili wahania.

– Suzanne, moja żona – powiedział. – Beatrice Stewart, moja... przyjaciółka z tamtych lat.

Beatrice wyciągnęła rękę do Suzanne.

– Beatrice Shaye. Wyszłam za męża.

Suzanne znów się uśmiechnęła. Roztaczała onieśmielający urok.

– Jak to miło. Cieszę się, że panią poznałam, Beatrice. Jestem bardzo ciekawa wszystkich, którzy w tamtych czasach w ten czy inny sposób uczestniczyli w życiu mojego męża. Czy zechce pani zjeść z nami dzisiaj kolację?

Beatrice zorientowała się od razu, że Julien bynajmniej nie był zachwycony tym pomysłem, ale nie mógł oczywiście odmówić, więc skinął głową z wymuszoną radością.

– Tak, to świetny pomysł. Oczywiście o ile masz czas, Beatrice...

Instynkt jej podpowiadał, że rozsądniej byłoby nie przyjmować tego zaproszenia, ale zarazem wiedziała, że była zbyt ciekawa, zbyt zaintrygowana tym przypadkowym spotkaniem, by z niego zrezygnować. Coś zapomnianego, stłumionego obudziło się nagle, cień dawnej dzikości, szaleństwa, ryzyka z tamtych czasów trąciło strunę, która od dawna milczała. Zrobi to. Chciała jeszcze raz usłyszeć tamten dźwięk.

Wieczorem dowiedziała się, że Julien i Suzanne pobrali się przed czterema laty, a poznali pół roku wcześniej. Suzanne była modelką,

spotkali się na Lazurowym Wybrzeżu, gdzie Julien był na urlopie, a Suzanne na zdjęciach kolekcji mody.

Julien odzywał się mało, za to Suzanne paplała, szczebiotała i śmiała się za dwoje.

Prawie się nie umalowała. Była w białym kostiumie i wyglądała zabójczo. Co chwila odrzucała na plecy długie ciemne włosy i błyskała w uśmiechu białymi zębami. Beatrice z każdą chwilą wydawała się sobie brzydsza i mniejsza.

A przecież spędziła przed lustrem całą wieczność. Usiłowała ułożyć z niesfornych włosów jakąś fryzurę, ale gdy w drodze do restauracji przejrzała się w oknie wystawowym, okazało się, że znieawidzone loki znowu tańczyły dokoła głowy, tak jak im się chciało. No i oczywiście jej kostium nie był nawet w połowie tak elegancki jak strój Suzanne, a materiał był za gruby i za ciepły na letni wieczór. Nawet kolor – jasna, chłodna zieleń, o której Frederick mówił, że jej w niej do twarzy – wydał jej się beznadziejny.

„Wyglądam jak kawał białego sera” – pomyślała niespokojnie.

Suzanne zaproponowała rybną knajpkę w St. Peter Port.

Siedzieli przy stoliku z widokiem na port i zjadali strzykwę, ale Beatrice równie dobrze mogłaby siedzieć w zadymionej speluncie nad rybą z frytkami, i tak nie robiło jej to różnicy. Właściwie nie czuła smaku potrawy, nie dostrzegła cudownego wieczornego światła nad portem. Spoglądała na Julięna i zastanawiała się, o czym myślał, kiedy na nią patrzył.

Nie mogła się równać z Suzanne i oczywiście Julien także to widział. Beatrice daleko było do jej urody, elegancji, energii.

Była tylko szarą myszką z Cambridge.

Najgorsze było to, że naprawdę tak się czuła: szara myszka z Cambridge. Przy czym etykieta Cambridge, nagle lepka, nie do zerwania, zdawała się tylko podkreślać jej nijakość. Cambridge – czyli takie same dni, nudne wydarzenia, spokój i rutyna pozbawione jakichkolwiek niespodzianek. Cambridge, czyli długie rozmowy z Frederickiem, mgliste wieczory przy kominku, intelektualne dyskusje na wydziałach, weekendy, podczas których pracowali i coś razem pichcili, sączyli wino i razem czytali

sobie gazetę... Cambridge, czyli Frederick. Myślała o jego mądrych, ciepłych oczach, patrzyła w rozpalone czarne oczy Julienu i wiedziała, że nie powinna czuć tego, co czuła w tamtej chwili. Tego dziwnego napięcia, tego bólu, przez który nagle jej się wydało, że życie przecieka jej między palcami.

Julien mieszkał w Paryżu i pracował jako dziennikarz polityczny. Dużo podróżował, poznawał fascynujących ludzi, prowadził ekscytujące, elektryzujące życie, a ze stresem radził sobie za pomocą hektolitrów kawy i niezliczonych papierosów. Suzanne jeździła na zdjęcia po całej Europie, też poznawała fascynujących ludzi, zwłaszcza aktorów, jednego dnia była w Rzymie, następnego w Londynie i Nicei, a gdzieś po drodze spotykali się na chwilę w Paryżu, szli na kolację z politykami, na wernisaże i przyjęcia z intelektualistami i artystami. Suzanne sypała jak z rękawa nazwiskami znanymi z gazet. W pewnym momencie umilkła, uśmiechnęła się tym swoim czarującym uśmiechem i zapytała:

– A jak wygląda pani życie, Beatrice? Cały czas paplam tylko o sobie, a pani zapewne też ma wiele do powiedzenia.

– Właściwie nie tak dużo – mruknęła. – W Cambridge żyje się spokojnie. Pracuję w bibliotece uniwersyteckiej, trudno się spodziewać, że dzieje się tam coś ekscytującego.

– Nie ukrywaj światła pod korcem – mruknął Julien. Odezwał się po raz pierwszy, nie licząc słów powitania i zamówienia. – Zachowujesz się tak, jakby twoje życie było ciągiem nic nieznaczących zdarzeń. A przecież dawniej lubiłaś przygody.

– Chciałabym się więcej o tym dowiedzieć! – zawołała Suzanne. – Wyobrażam sobie, że przeżyliście razem mnóstwo przygód!

– Trwała wojna – przypomniał Julien. – Wyspa była pod okupacją. Ukrywałem się i pewnie rozstrzelaliby mnie, gdyby mnie złapali. Życie codzienne wiązało się ze sporym ryzykiem.

– Spędzaliście razem dużo czasu? – wypytywała Suzanne. Choć zabrzmiało to bardzo niewinnie, Beatrice wiedziała od razu, że właśnie w tej chwili tamta zaczęła szczegółowe dochodzenie.

– Beatrice mnie odwiedzała – wyjaśnił Julien. – Byłem kupką nieszczęścia. Czułem się jak więźniowie zamku If, jak hrabia Monte

Christo... Czytaliśmy razem książki i nauczyłem ją francuskiego, co możesz teraz usłyszeć.

– Czytaliśmy *Dzwonnika z Notre-Dame* – wspomniała Beatrice.

– Idealnie – stwierdziła Suzanne. – Wiktor Hugo! Ile miała pani wtedy lat, Beatrice?

– Kiedy Julien zaczął się ukrywać? Czternaście albo piętnaście. W każdym razie byłem bardzo młodziutka. – Unikała jego wzroku.

– To wszystko brzmi bardzo romantycznie, musicie przyznać – stwierdziła Suzanne i roześmiała się, ale jej śmiech nie był już tak perlisty jak przedtem, wkradły się do niego fałszywe nuty. – Oczami wyobraźni już was widzę, jak w upalne letnie dni siedzicie na ciasnym, zakurzonym strychu i czytacie Wiktora Hugo, jak Julien tęsknie gapi się w błękitne niebo, a mała Beatrice usiłuje mu jakoś osłodzić ciężki los... Piękna historia, prawda?

– We wspomnieniach – mruknął Julien – może i tak. W rzeczywistości było po prostu strasznie.

– Tak myślę – przyznała Suzanne. Sięgnęła po torebkę. – Przepraszam na chwilę. – Odeszła w stronę toalety.

– Bardzo się zmieniłaś – odezwał się cicho Julien.

– Minęło sporo czasu. Postarzałam się.

Strzepnął okruchy ze stołu.

– Och, oczywiście, ale nie o to mi chodzi. Zawsze miałaś taki blask w oczach, były w tobie głód życia, pasja, zdecydowanie, które mnie fascynowały. I gdzie się to wszystko podziało?

Cofnęła dłonie leżące na stole, choć Julien nie wykonał najmniejszego ruchu, by ich dotknąć.

– Skoro tak bardzo cię wtedy fascynowałam, pożegnałeś się ze mną zadziwiająco szybko i bezboleśnie.

Westchnął.

– No tak... To... – Szukał odpowiednich słów, ale chyba sam nie wiedział, co i jak powiedzieć. – Myślałem tylko o jednym, o wolności – powiedział w końcu. – O wolności i o życiu. Byłem wypalony, spragniony, wygłodniały. Los ukradł mi kilka lat życia i chciałem je odzyskać. Tylko o tym wtedy myślałem.

– A o mnie zapomniałeś.

– Nigdy o tobie nie zapomniałem – zapewnił. – Ani w maju 1945 roku, gdy zjawili się alianci, ani później, do dziś. Ale zeszłaś na dalszy plan, a potem...

– A potem straciliśmy się z oczu.

– Tak. Ja byłem we Francji, ty tutaj. Właściwie to nawet nie tak daleko, ale... najwyraźniej w pewnych okresach w życiu nie do pokonania.

– Najwyraźniej. A potem zjawiała się Suzanne.

– A potem zjawiała się Suzanne. – Umilkł, jakby wsłuchany w brzmienie jej imienia. – Zjawiała się i została, i w pewnym sensie wszystko, co się później wydarzyło, było nieuniknione.

– Dlaczego chciała zobaczyć Guernsey?

– Dużo jej opowiadałem o wyspie.

– A o mnie?

– Nie. A ty? Opowiedziałaś o mnie mężowi?

– Nie.

Uśmiechnął się.

– Jaki on jest?

– Kto? Mój mąż?

– Tak. Jaki on jest?

– On... – Zawahała się. – Daje mi oparcie i poczucie stabilizacji. Ciepło i spokój.

Julien cały czas się uśmiechał.

– W twoich oczach nie ma dawnego blasku.

– Tak to jest, kiedy się zazna ciepła i spokoju.

Chyba go to nie przekonało, ale nie mógł powiedzieć nic więcej, bo w tej chwili Suzanne wróciła do stolika. Zdążyła musnąć usta szminką i przeczesać włosy i teraz wyglądała wręcz nieziemsko.

– No jak tam? – rzuciła. – Powspominaliście trochę?

– Raczej wyjaśnialiśmy dawne sprawy – odparł Julien. – Pięknie wyglądasz, chérie. Napijesz się kawy?

– Wolałabym raczej lampkę szampana na zakończenie – mruknęła Suzanne. – W końcu to wyjątkowa okazja. Nasz ostatni wieczór na Guernsey. – Przysunęła się bliżej do Beatrice. – Jutro wyjeżdżam do

Wenecji. Sesja zdjęciowa dla pewnego czasopisma.

– Ustaliliśmy przecież, że ja jeszcze trochę zostanę, a pod koniec tygodnia spotkamy się w Paryżu – przypomniał Julien.

– Zmieniłam plany – stwierdziła czule Suzanne. – Pojedziesz ze mną do Wenecji, to mi pozwoli bardziej się koncentrować na pracy.

– Wolałbym tu zostać – upierał się.

– Pojedziesz ze mną – zdecydowała Suzanne.

„Pewnie zrobiła mu nie lada awanturę – pomyślała Beatrice. – Bo to nie jest kobieta, która spokojnie przyjmuje zmianę planów”.

Jak na czerwiec było bardzo gorąco, nad wodą wisiła mgiełka. Głazy w zatoce Petit Bôt były gładkie i ciepłe, nad zaroślami wzdłuż drogi uwijały się pszczoły. Zdawało się, że całą wyspę ogarnęła senność. Być może gdzieś tam toczyło się życie, ale tu, w zatoce, nie było po tym śladu. Dwie starsze panie zdjęły buty, zakasały nogawki spodni i brodziły przy brzegu. Spieniona woda obmywała ich stopy, zacierając ślady, które zostawiały w mokrym piasku. Poza nimi na plaży nie było żywego ducha.

– Jest za gorąco – mruknął Julien. – Za gorąco, żeby cokolwiek robić. – Leżał na szerokim głazie z głową wspartą o drugi kamień i spod w półprzymkniętych powiek patrzył w słońce. Opalił się jeszcze bardziej. Wyglądał fantastycznie, młodo i zdrowo.

– Może ochłodzimy się w wodzie – zaproponowała Beatrice. – Jak te starsze panie. To bardzo zdrowo.

Julien mruknął coś pod nosem. Wręcz emanował spokojem, co było zadziwiające, zważywszy – a Beatrice nie mogła o tym nie myśleć – że zapewne pokłócił się z Suzanne. Nie miała wyjścia, musiała wyjechać, bo miała sesję zdjęciową w Wenecji, a Julien jednak został na Guernsey. Nie mogła nic na to poradzić. Beatrice zakładała, że często do niego dzwoniła i urządziła mu awantury przez telefon, ale Julien nie dawał tego po sobie poznać. Wydawało się, jakby myślał, że Suzanne szaleje gdzieś tam we Włoszech, nie robiła na nim żadnego wrażenia. Był tu, na Guernsey, i rozkoszował się życiem; potencjalnymi problemami zajmie się później. I z rozbrajającą naturalnością od razu umówił się z Beatrice, był święcie

przekonany, że spędzą ten czas razem. A Beatrice nie miała nawet czasu, żeby się nad tym zastanowić. Właściwie nawet jej nie pytał i o dziwo, wcale nie miała mu tego za złe. Czuła się tak, jakby nadciągały potężne fale, i nie miała w sobie dość siły, by się im oprzeć.

– Nie mam ochoty brykać w wodzie ze starszuchami – mruknął Julien. – Wolałbym, żeby sobie poszły.

– Dlaczego? Przecież nikomu nie przeszkadzają.

– Nie? – Otworzył oczy i spojrzał na nią. – Cieszysz się, że tu są?

– Nie. – Starła się oprzeć siłę jego wzroku. – Ich obecność jest mi obojętna.

– Och! – Znowu zamknął oczy. – Pamiętam czasy, gdy byliśmy w tej zatoce całkiem sami.

– Tak, ale to było dawno temu. – Czekwała, czy jakoś to skomentuje, ale milczał przez dłuższy czas, aż pomyślała, że zasnął, on jednak nagle zapytał jasnym, przytomnym głosem:

– Kochasz męża?

Po chwili zaskoczenia odpowiedziała pytaniem:

– A ty? Kochasz Suzanne?

– Chyba tak – odparł po chwili namysłu.

Zazdrość była jak ukłucie cieniutkiej igły.

– Dlatego że jest taka piękna?

– Ma też inne zalety – rzucił od niechcienia.

– Jakie? – Czuła, że pakuje się w zasadzkę, którą na nią zastawił, ale nie mogła się opanować. – Jakie ma zalety, oprócz tego, że jest piękna, rozpacza urok i nosi ciuchy, o jakich inne kobiety mogą tylko pomarzyć?

Julien się zamyślił.

– Życie z nią jest bardzo zmienne. Suzanne jest wiecznie w podróży, a kiedy wraca do domu, jest pełna energii, wydarzeń, sukcesów. Jest silnikiem, który pracuje bez paliwa. Powietrze wokół niej zdaje się wibrować. Nie mam z nią ani chwili spokoju.

– Czy to nie jest bardzo męczące?

– Oczywiście, że jest. Zwłaszcza że moja praca też jest stresująca. Ale nie mógłbym żyć inaczej.

– Tak jak ja?

– To nie dla mnie, ten spokój i stabilizacja. Nadal nie odrobiłem tego, co mi odebrano, i pewnie nigdy nie odrobię. Uganiam się za straconym czasem, za ukradzionymi latami, ale często mam świadomość, że chyba nigdy nie będę mógł się zatrzymać, odpocząć i stwierdzić: odzyskałem to, co wtedy straciłem.

– A Suzanne chociaż czasami daje ci złudzenie, że to jednak możliwe.

Uśmiechnął się.

– Tak. Oczywiście to tylko wrażenie. Ale wielu ludzi, może nawet większość, przez całe życie czepia się kolejnych złudzeń, żyje od iluzji do iluzji, i w pewnym sensie to pozwala im żyć. Co tylko utwierdza mnie w przekonaniu, że warto mieć złudzenia. – Wyprostował się, czujny, przytomny. – Starsze panie już poszły – rzucił. – Jesteśmy sami.

Ton jego głosu przyprawił Beatrice o dreszcz.

– Nie jesteśmy wolni – zauważyła.

Julien wziął ją za rękę. Oczy mu błyszczały.

– Oczywiście – mruknął. – To prawda. Nie myślałaś chyba, że mógłbym o tym zapomnieć?

Usiłowała odnaleźć w sobie tę rzeczowość, chłodny spokój, z którym podchodziła do trudnych sytuacji, ale wyglądało na to, że sprawdzone mechanizmy teraz nie działały. Ani jej umysł, ani jej ciało nie przejmowały się tym, czego chciała lub nie.

– Może ty potrafisz o tym zapomnieć – stwierdziła ochryple.

Chciała go odepchnąć, ale nie była do tego zdolna, nawet wtedy, gdy jego dłoń musnęła skraj jej sukienki, wędrowała powoli po nodze, gdy delikatnie wbił palce w jej udo.

Było lato. Gorące, upalne lato. Słyszała szum fal, czuła na twarzy delikatny powiew morskiej bryzy. Znowu była młoda. Znowu była dziewczyną, która biegnie urwiskiem do ukochanego, a serce bije jej jak oszalałe – od biegu, ale też dlatego, że na wyspie są Niemcy i nocna wycieczka może się skończyć tragicznie.

Leżała wśród głązów na wilgotnym piachu. Julien był nad nią i wydawało się, że od tamtego oszalałego bicia serca nie minął nawet jeden dzień.

– Powiedz, że twój mąż jest śmiertelnie nudny – szepnął, zanim w nią

wszedł, a ona pragnęła go tak bardzo, tak desperacko, że zapomniała o dumie i lojalności.

– Mój mąż jest śmiertelnie nudny – szepnęła i wiedziała, że w tej chwili powiedziała by i zrobiła wszystko, o co by poprosił.

W następnej chwili był w niej, a Beatrice zapomniała o Fredericku i o całym świecie.

– Już po pierwszej – stwierdziła cicho Karin. – W ogóle się nie zorientowałam, jak szybko upłynął czas.

Beatrice się skuliła, myślami cały czas była we wspomnieniach.

– Przepraszam panią. Gadam bez przerwy i nie daję pani spać, ale mam nadzieję, że pani nie znudziłam.

– Ależ skądże! Wręcz przeciwnie! Co było dalej?

Beatrice westchnęła.

– Cóż... Nie skończyło się na tym... incydencie w zatoce. Oczywiście, że nie. Oboje chcieliśmy więcej. Spotykaliśmy się codziennie, kochaliśmy się codziennie. Zapomnieliśmy o bożym świecie. Helene się zorientowała, że coś się dzieje. Frederick także. Nadal dzwonił codziennie, a ja tłumaczyłam mu, że sprzedaż się przeciąga i muszę zostać dłużej, niż planowałam. Mówił, że mam dziwny głos, że jestem jakaś inna, że coś jest nie tak, ale oczywiście wszystkiemu zaprzeczałam, zapewniałam, że wszystko jest w porządku. Ale nic nie było w porządku, nic a nic. Miałam romans z mężczyzną, który już raz mnie zostawił, i wiedziałam, że zrobi to znowu, ale nie mogłam mu się oprzeć. – Beatrice niespokojnie zacisnęła dłonie na stole. – Zawiodło wszystko, z czego byłam taka dumna: silna wola, dyscyplina, duma. W rękach Julienu miękłam jak wosk. I nawet nie chciałam, żeby było inaczej. Przy nim żyłam każdym włóknem ciała, każdą cząsteczką skóry. I z własnej woli nie zrezygnowałabym z ani jednej chwili.

– Rozmawialiście o przyszłości? To znaczy, o ewentualnej *wspólnej* przyszłości.

Beatrice przecząco pokręciła głową.

– Właściwie od początku było jasne, że to nie wchodzi w grę. Julien tego nie powiedział, ale tak po prostu było. Mieliśmy tylko tych parę letnich tygodni, później mieliśmy wrócić do rzeczywistości, do zwykłego życia. I pewnie nigdy się więcej nie zobaczyć.

– I mogła pani z tym żyć?

– Musiałam z tym żyć, a więc tak, mogłam. Myślę, że każde z nas czerpało z tego romansu coś, co było mu wtedy najbardziej potrzebne.

– A co pani to dało?

– Moja młodość była bardzo krótka – odparła Beatrice. – A po wojnie pograżyłam się w depresji, później uciekłam w styl życia nieodpowiedni dla mojego wieku. Julien oddał mi bez troskę, lekkość, która już nigdy nie zniknęła, nie do końca. Aż do dzisiaj. I za to jestem bardzo wdzięczna i Julienowi, i losowi.

– A Julien?

Beatrice wzruszyła ramionami.

– Nie ma co owijać w bawełnę. Julien chciał po prostu oznaczyć swój stary teren. Chciał się przekonać, czy nadal może mnie mieć. Francuzi z południa tacy właśnie są.

– Suzanne coś zauważyła?

– Oczywiście. Z perspektywy czasu jest dla mnie jasne, że zorientowała się od razu, podczas tamtego pierwszego spotkania, gdy rozpoznaliśmy się z Julienem. Kolacja była tak naprawdę rozpoznaniem przeciwnika. Nie bez powodu chciała wtedy, żeby natychmiast wyjechał z nią do Wenecji. A kiedy po tym pierwszym tygodniu nadal nie wrócił do Paryża, jak wcześniej ustalali, miała już stuprocentową pewność. Powiedział jej wtedy przez telefon, że wolałby zostać dłużej na Guernsey. Następnego dnia miała kolejną sesję, więc nie mogła tu przyjechać i zareagować. Pewnie krew ją zalewała na myśl, że my dwoje tu romansujemy, a ona biega z sesji na sesję i nic nie może na to poradzić.

– Bardzo nieprzyjemna sytuacja. Dla niej.

– Ależ oczywiście. Jej frustracja narastała, aż wreszcie pod koniec lipca Suzanne przyjechała na wyspę i urządziła mi isticie filmową awanturę. Pozwoli pani, że daruję sobie szczegóły, padło wiele słów, których wolałabym nie powtarzać. Suzanne miała nie lada temperament, a kiedy czuła, że jej własność jest zagrożona, reagowała jak dzikie zwierzę.

– A Helene wszystko słyszała – domyśliła się Karin.

Beatrice skinęła głową.

– Do awantury doszło u nas w domu. Helene oczywiście cały czas stała obok, podobnie jak Mae, tak przy okazji, która akurat wpadła z wizytą.

W końcu obie skojarzyły, że od sześciu tygodni mam romans z francuskim dziennikarzem, który na dodatek był moim kochankiem w czasie wojny. Biedna Helene przeżywała szok za szokiem. Dowiedziała się, że oszukałam ją dwukrotnie: w czasie wojny i teraz znowu. W końcu jednak wszystkie kawałki łamigłówek pasowały do siebie.

– Spotkała się pani jeszcze z Julienem?

– Nigdy więcej. Ani razu po tej awanturze z Suzanne; nie mogliśmy się nawet pożegnać. Kiedy następnego dnia przyszedłam do hotelu, okazało się, że oboje już wyjechali. Domyślałam się, że postawiła mu ultimatum: albo natychmiast wyjedzie razem z nią, albo z ich małżeństwem koniec. Julien wiedział, że sprawa jest poważna, a i tak dostał, czego chciał. Więc wyjechał.

– A pani...

– A ja byłam w ciąży, co okazało się niewiele później. Wróciłam do Cambridge, nie sprzedawszy domu. Wkrótce także Frederick się zorientował, że oczekuję dziecka. Oczywiście myślał, że jest ojcem. Nie posiadał się z radości.

– A pani?

– Przechodziłam ciężki okres – wyznała Beatrice. – Czułam się fatalnie, byłam wiecznie nieszczęśliwa. Cięża dawała mi się we znaki, ciągle wymiotowałam, byłam w złym humorze. Zżerały mnie zarazem tęsknota za Julienem i wyrzuty sumienia wobec Fredericka, który cudownie się mną opiekował. Oczywiście widział moje rozdrażnienie, ciągle łzy, ale kładł wszystko na karb ciąży, nawet przez myśl mu nie przeszło, że to coś więcej.

– Prawda nigdy nie wyszłaby na jaw – stwierdziła półgłosem Karin.

– Nie – mruknęła Beatrice. – Nigdy. Alan przyszedłby na świat jako nasze wspólne dziecko, a ja przywykłabym na nowo do nudnego, spokojnego życia w Cambridge i w końcu pogodziłabym się z losem. Byłoby mi dobrze. Zestarzałabym się u boku Fredericka.

– I wtedy na scenę wkroczyła Helene.

– Tak. Dosłownie. Przyjechała na początku stycznia 1957 roku. Zjawiła się niespodziewanie, jak wtedy w Londynie, gdy po raz pierwszy chciałam zaprosić Fredericka na noc. Przytargała dwie walizki i była głęboko urażona, że nie zaprosiliśmy jej ani na Boże Narodzenie, ani na sylwestra.

Byłam wtedy w siódmym miesiącu, miałam wielki brzuch, spuchnięte kostki i chodząc, kołysałam się jak kaczką. Jednocześnie przyzwyczajałam się już powoli do codzienności, odnajdywałam się w moim zwyczajnym życiu. Czasami jednak ma się jakieś przeczucie, prawda? I gdy wtedy zobaczyłam Helene w drzwiach, wiedziałam, że czekają mnie kłopoty.

– Powiedziała Frederickowi to, co wiedziała.

– Nie wiem, czy w tym celu przyjechała do Cambridge, czy zrobiła to pod wpływem impulsu, ale pewnego dnia, gdy byłam na spacerze, nalała mu wina i opowiedziała wszystko, co wiedziała o wydarzeniach tamtego lata, o mnie i Julienie, o Suzanne, i wyraziła przypuszczenie, że dziecko, które miało się urodzić w marcu, to dziecko Julienna, a nie jego. Pamiętam, że to był zimny, mokry, styczniowy dzień, ponury i nieprzyjemny, i tuż przed zmierzchem wróciłam do domu przemarznięta na kość. Cieszyłam się na ciepłą kąpiel i gorącą herbatę, na wieczór przy kominku. Helene poszła już spać, co mnie zdziwiło, a Frederick nie wyszedł z gabinetu, żeby się ze mną przywitać, choć zawsze to robił. W końcu sama do niego poszłam. Gabinet cuchnął whisky, co było do Fredericka w ogóle niepodobne. Jeszcze nigdy się nie upił. Miał oczy zapuchnięte od płaczu, był trupio blady i w pierwszej chwili pomyślałam, że jest w żałobie, bo ktoś umarł, ktoś bardzo mu bliski. Jeden ze studentów? Różne myśli przebiegały mi przez głowę, gdy tak stałam w progu, i choć nie miałam pojęcia, o co chodzi, czułam, jak między nami narasta coś mrocznego, groźnego, niebezpieczeństwo, którego jeszcze nie widziałam, ale które już przepelniało mnie strachem.

– Frederick? – szepnęłam. – Co się stało?

Musiał bardzo dużo wypić, ale nie chwiał się na nogach. Prawdopodobnie szok sprawił, że alkohol nie podziałał tak, jak na to liczył. Mówił powoli, ale wyraźnie. Zarazem był pijany i nie był. Jeszcze nigdy nie widziałam nikogo w takim stanie.

– Powiedz, że to nieprawda – poprosił. – Na miłość boską, powiedz, że to nieprawda.

Chciałam zapytać, co ma na myśli, ale nie był w stanie ująć tego w słowa, wypowiedzieć na głos. Gdyby nie zapach whisky, nie przyszłoby mi do głowy, że pił, uznałabym raczej, że zachorował. Usadziłam go

w fotelu przy małym kominku i zapytałam, co się stało. Najchętniej uklęknęłam przy nim i objęłam go za nogi, ale brzuch mi na to nie pozwalał. Stałam więc przy nim, głaszcząc go po głowie, i po, jak się wydawało, całej wieczności, gdy nerwowo szukał odpowiednich słów, opowiedział mi w końcu o rozmowie z Helene. Nie patrzył na mnie, wbijał wzrok w ścianę naprzeciwko albo po prostu w przestrzeń. Ja zaś wpatrywałam się w regał przy kominku, choć tytuły i litery tańczyły mi przed oczami. Ziemia chwiała mi się pod nogami. Nagle zaschło mi w ustach, zrobiło mi się niedobrze. Od razu wiedziałam, że nie będę mogła zaprzeczyć tym zarzutom, nawet mimo tego, że Frederick był wręcz boleśnie skłonny mi uwierzyć.

– Powiedz, że to nieprawda – powtórzył i spojrzał mi w oczy, z których wyczytał odpowiedź, zanim zdążyłam otworzyć usta. O ile to było możliwe, pobladł jeszcze bardziej. Znowu się rozplakał. Odruchowo gładziłam go po głowie i walczyłam z zawrotami głowy, przez które z trudem trzymałam się na nogach. Nigdy nie widziałam tak bardzo zranionego człowieka. Zrozumiałam, że mam przed sobą kawałki, których nikt już nigdy nie skleci. Tego dnia Frederick się załamał, a wraz z nim rozpadła się nasza miłość. A wskutek tego wkrótce rozpadło się i nasze małżeństwo.

Beatrice umilkła. Pograżona we wspomnieniach, skrzywiła się boleśnie.

– Niepotrzebnie w ogóle próbowaliśmy – dodała.

– Zażądał rozwodu? – zapytała ochryple Karin.

– O nie, Frederick nigdy by tego nie zrobił. Był gotów dać dziecku nazwisko, był gotów zachować pozory i żyć dalej tak, jak dotychczas. Chciał spróbować jeszcze raz. Ale nie udało nam się. Frederick nie mógł się pogodzić z moją zdradą, a ja w pewnym momencie zrozumiałam, że nie wytrzymam z tym złamanym człowiekiem. Jego przygnębienie ogarnęło i mnie, nic już mnie nie cieszyło, bardzo schudłam, snułam się jak wybladły, zapłakany cień. Kiedy Alan miał pół roku, zdecydowałam, że odchodzę. Frederick zgodził się od razu. On chyba także zrozumiał, że nie ma dla nas wspólnej przyszłości.

– I wróciła pani tutaj.

– Nie miałam innego wyjścia. To był mój dom, moje miejsce na ziemi.

Alternatywą byłoby ciasne mieszkanie, ale zależało mi, żeby Alan miał dużo miejsca i żeby dorastał w zdrowym środowisku. Guernsey wydawało się idealne.

– Ale tutaj była Helene – zauważyła Karin. – Helene, która wszystko zepsuła. Jak mogła pani wytrzymać z nią pod jednym dachem?

– Początkowo wydawało mi się, że nie wytrzymam – przyznała Beatrice. – Byłam wściekła i urażona. Chciałam ją wyrzucić raz na zawsze. Przyjechałam tutaj. Posadziłam ją przy stole – siedziała właśnie tu, szlochała, płakała, oskarżała siebie – i wtedy zrozumiałam, że nie będę w stanie tego zrobić. Stanowiła obraz nędzy i rozpacz, a z czasem dojrzała we mnie myśl, że... – Beatrice się zawahała. – Że koniec końców to nie Helene zniszczyła moje małżeństwo. Owszem, zrobiła coś okropnego, ale przecież nie powiedziała nieprawdy. Rozumie pani? Ja naprawdę miałam romans z Julienem i prawdziwe było to, co mnie pchnęło w jego ramiona. Między mną a Frederickiem od początku czegoś brakowało, inaczej nie zareagowałabym tak ochoczo na awanse Juliana. I dzisiaj jestem głęboko przekonana, że nasze małżeństwo rozpadłoby się prędzej czy później także bez udziału Helene.

– I nie czuła już pani nienawiści?

– Och, oczywiście – przyznała Beatrice. – Czuję ją do dzisiaj. Ale nie przez tę sprawę. Nienawidzę Helene, bo udało jej się przywiązać mnie do siebie na całe życie. Bo w 1940 roku zajęła mój dom i ten stan trwa do dzisiaj. Nigdy nie skapitulowała. Kiedy Winston Churchill ogłosił kapitulację Niemiec i wyzwolenie Wysp Normandzkich, zapomniał o Helene Feldmann.

– Odnowiła pani rodzinną uprawę róż? – zapytała Karin ostrożnie.

Gdzieś w głębi domu zegar wybił godzinę.

– Wpół do drugiej – stwierdziła Beatrice. – Powinnyśmy iść spać. Albo wie pani co? – Sięgnęła po butelkę. – Wypijemy jeszcze po łyczku, po winie człowiek po prostu lepiej się czuje. – Rozlała rubinowy płyn do kieliszków. – Tak, zajęłam się uprawą róż – płynnie przeszła do odpowiedzi na pytanie Karin. – Coś w końcu musiałam robić, a róże były pod ręką i mogłam po prostu kontynuować pracę rodziców.

Wypiła spory łyk wina. Jej oczy zdradzały, że myślami jest

w przeszłości i analizuje drogę, którą od tamtej pory pokonała.

– Zatrudniałam miejscowego ogrodnika, który znał się na różach i nauczył mnie tego, czego o nich nie wiedziałam. Muszę przyznać, że to on odwalał lwią część roboty i te parę skromnych sukcesów, które udało nam się odnieść, to była głównie jego zasługa. Nie wzbogaciłam się na tym, ale mogłam go zatrudnić, utrzymać siebie i wpłacać co nieco na poczet skromnej renty, dzięki której dzisiaj mam co jeść. I tak zamiast Cambridge miałam te cholerne kwiaty. – Uśmiechnęła się gorzko. – Wychowywałam syna i opiekowałam się Helene, która w miarę upływu lat stawała się coraz bardziej roszczeniowa. Czasami nienawidziłam mojego życia, ale jakoś dawałam sobie radę i dzisiaj uważam, że nie ma co narzekać, bo koniec końców nie było tak źle.

To było kłamstwo, Karin to wyczuła, ale nie zaprzeczyła, żeby nie sprawić starszej pani przykrości.

Nie spodziewała się, że będzie się tak strasznie nudzić. Nie w Londynie. Z St. Peter Port znała szare, puste dni, podczas których nieskończenie długi, mialki poranek przechodził w równie beznadziejne popołudnie. Wraz z wieczorem przychodziło ożywienie, ale każdy dzień niósł na nowo pytanie, jak przeżyć czas do zmierzchu.

Mogłaby spać do późna, ale najpóźniej o jedenastej się budziła i nie mogła dłużej wytrzymać w łóżku. Wstawała więc, snuła się po mieszkaniu w koszulce i majtkach, oglądała obrazy na ścianach, choć znała je już na pamięć, znudzona ściagała z półek książki i przeglądała je od niechcenia, by w końcu usiąść nad kolorowymi pismami, które kupiła dzień wcześniej. Periodyki, które on kupował, w ogóle jej nie interesowały; były to przede wszystkim prawnicze pisma fachowe. Czytając czy raczej oglądając zdjęcia w czasopiśmie, jadła śniadanie, które prawie zawsze wyglądało tak samo – sok pomarańczowy, kromka chleba z serem cheddar i dużo mocnej czarnej kawy. Potem paliła papierosa, wpatrywała się w okno, obserwowała życie ulicy i zastanawiała się, czy to jest ta wielka przygoda, po którą tu przyjechała.

W końcu była gotowa, ubrana i przygotowana – choć sama nie wiedziała na co. Wędrowała ulicami, zaglądała do sklepów, tęsknie wpatrywała się w te wszystkie skarby, które chciałaby kupić, godzinami błąkała się po Harrodsie, przymierzała dziesiątki ciuchów, by zaraz odwieść je z powrotem, bo nie miała na nie pieniędzy.

Pogoda była słoneczna i przyjemna. Około drugiej zazwyczaj piła kawę w ulicznej knajpce, przegryzając do tego ciastko, a żeby poprawić sobie humor, często uzupełniała to lampką musującego wina. Wolałaby oczywiście szampana, ale jej zasoby finansowe topniały w zastraszającym tempie i nie mogła sobie pozwolić na taki luksus.

„Alan naprawdę mógłby mi co jakiś czas coś odpalić” – myślała nieraz z gniewem.

Mieszkała u niego od dziesięciu dni i nic nie zapowiadało, że jej życie jakoś specjalnie się zmieni. Alan jakby nie pojmował, że mógłby znacznie uprzyjemnić jej egzystencję.

Wieczorami zapraszał ją na kolację, to musiała mu przyznać, a kiedy później siedzieli w jego saloniku, nie żałował jej szampana ani drogich win. Ale rano wychodził do kancelarii i siedział tam do wieczora.

„Co jego zdaniem mam *robić* całymi dniami?” – zastanawiała się oburzona.

Drugiego dnia w Londynie zaskoczyła Alana, wkraczając w południe do jego biura. Chciała go wyciągnąć na obiad. Był na spotkaniu z klientami, ale wyszedł do niej, gdy sekretarka poinformowała go, że przyszła Maja. Maja zadała sobie sporo trudu, żeby ubrać się bardzo elegancko, i widziała po jego minie, że zrobiła na nim wrażenie.

– Skarbie, to niemożliwe – stwierdził z żalem w głosie. – Muszę iść na obiad z klientami, już dawno to zaplanowaliśmy.

Naburmuszyła się, odrzuciła włosy przez ramię. Jej kolczyki zabrzęczały kusząco.

– A jutro?

– Jutro będzie tak samo. Przykro mi. Zjemy coś wieczorem, dobrze?

– Dlaczego nie mogę iść z wami?

– Bo będą mi opowiadać o rzeczach, które może słyszeć tylko ich prawnik. Nie pisną słowa przy obcej osobie. To absolutnie niemożliwe.

Wycofała się więc i przez resztę dnia strasznie się nudziła. Wieczorem Alan zapytał od razu, jak sobie wyobraża swoją przyszłość, co chce robić, jaka praca ją interesuje.

– Bo chyba nie zamierzasz całymi dniami przesiadywać w domu albo włóczyć się po mieście – dodał na koniec.

Spodziewała się, że w końcu poruszy ten temat, ale miała nadzieję, że stanie się to nieco później. Spojrzała na niego z całą ufnością i szczerością, na jaką mogła się zdobyć.

– Oczywiście masz rację – zapewniła. – Ale daj mi jeszcze trochę czasu, dobrze? Dla mnie to wszystko jest takie nowe, takie obce. Muszę się przyzwyczaić, muszę... zaufać temu miastu.

– Pracując, poznasz różnych ludzi, a to bardzo pomaga przy oswojaniu

nowego miejsca – zauważył.

– Daj mi trochę czasu – powtórzyła. – To wszystko jest takie nowe i obce, ale wkrótce poczuję się tu jak w domu.

Jak na to liczyła, na jakiś czas dał jej spokój. Oczywiście prędzej czy później znowu do tego wróci, ale знаła go na tyle, by wiedzieć, że ma jeszcze trochę czasu. Był zbyt wrażliwy, by na kogoś naciskać.

„A jeśli będzie przy tym obstawał, to zobaczymy” – zdecydowała.

Mae dzwoniła dwa razy i wypytywała, czy odwiedziła już prababkę Wyatt, i rozzłościła się nie na żarty, gdy się okazało, że Maja jeszcze u niej nie była.

– Doprawdy, Maju, zawiodłam się na tobie! Obiecałaś mi to! Dlaczego nie możesz tego zrobić choćby dla mnie? Powiedziałam mamie, że jesteś w Londynie, i jest jej bardzo przykro, że nawet do niej nie zadzwonisz.

„Jakby mi się chciało zmarnować cały dzień w domu starców” – pomyślała Maja ze złością.

Ale teraz, dziesięć dni po przyjeździe do Londynu, myślała o tym trochę inaczej. O marnowaniu czasu mowy być nie mogło, bo i tak nie miała innego wyjścia, jak wypełniać godziny głupimi zajęciami, chociaż to, co robiła, trudno było nawet tak nazwać. Zamiast więc włóczyć się po sklepach, w których i tak na nic nie było jej stać, co tylko pogłębiało jej frustrację, równie dobrze mogła odwiedzić prababkę Wyatt i poświęcić dzień starym dziadkom. Skinęła na kelnera w bistro, w którym zjadła grzankę z masłem, zapłaciła i przeszła na drugą stronę ulicy, do budki telefonicznej. Weszła do środka i zadzwoniła do prababki.

Edith Wyatt, jak wszyscy starzy ludzie, żyła przeszłością, a najchętniej wspominała historie wojenne. Godzinami mogła się rozwodzić nad okupacją Guernsey. I tak było zawsze, odkąd Maja sięgała pamięcią, odgrzewane historie, które nie obchodziły jej w najmniejszym stopniu.

Dom spokojnej starości znajdował się w małej, sielskiej miejscinie niedaleko Londynu, pod Henley. Wielki, bogato zdobiony gmach z epoki wiktoriańskiej, z szeroką werandą otaczającą go z czterech stron, stał pośrodku starego, nieco zapuszczonego ogrodu, w którym rosły także

drzewa owocowe, a pod nimi stały pomalowane na biało stoły i krzesła. Jednak starcy siedzieli nie w ogrodzie, nie wśród krzaków jeżyn i wysokich traw, ale na werandzie; usadowili się jak głodne kruki czyhające na smakowity kęs. W miarę jak Maja się zbliżała, cichły rozmowy, wszystkie głowy zwracały się w jej stronę. Kusiło ją, by pokazać im język.

Nie znosiła starych ludzi, nie znosiła siwizny, trzęsących się głów, oślinionych ust. Nie znosiła widoku upadku, który przypominał, jak blisko znajduje się granica, za którą jest już tylko śmierć.

„Życ – myślała, przechodząc koło kruków i usiłując nie wciągać w płuca zapachu starości i choroby. – Muszę żyć, szybko, intensywnie, nie powinnam marnować czasu”.

Podjęcie, że z Alanem tylko marnuje czas, od kilku dni nie dawało jej spokoju, a teraz poczuła, że ta świadomość nie da o sobie zapomnieć.

Edith Wyatt jako jedyna siedziała nie na werandzie, tylko na tyłach ogrodu, w białym wiklinowym fotelu. Na małym stolczku stały przed nią imbryk z herbatą, dwie filiżanki i talerzyk z ciasteczkami. Nie posiadała się z radości, że odwiedza ją prawnuczka.

– Napij się herbaty – zachęcała. – I zjedz coś! Jesteś za chuda. No, pokaż się. Nie sposób uwierzyć, że jesteś z naszej rodziny, takiej ładnej nigdy wśród nas nie było!

„Na szczęście nie śmierdzi jak tamci – pomyślała Maja – bo tego już bym nie zniosła”.

Podziękowała i za herbatę, i za ciasteczka, brzydziła się zastawy, której dotykali starcy. „Nie wiadomo, jak dobrze tu sprzątają” – pomyślała i znowu poczuła, jak pokrywa się gęsią skórka.

Edith Wyatt chciała oczywiście usłyszeć ploteczki z Guernsey, dowiedzieć się, co słyhać na starych śmieciach, ale większość jej znajomych już nie żyła, a nazwiska, które wymieniała Maja, nic jej nie mówiły.

– Straciłam kontakt z wyspą – stwierdziła po jakimś czasie ze smutkiem. – Żałuję, że się stamtąd wyprowadziliśmy. Guernsey było całym moim życiem.

Jako posłuszna żona starego typu nie oponowała, gdy w połowie lat pięćdziesiątych jej mąż otrzymał propozycję objęcia praktyki lekarskiej

w Londynie po śmierci kolegi ze studiów. Ale Edith Wyatt nigdy nie poczuła się w Anglii jak u siebie i po śmierci męża długo rozważała, czy nie wrócić na Guernsey do dzieci i wnuków. Jednakże jej mąż jeszcze za życia wykupił miejsca w domu spokojnej starości dla nich obojga i Edith uznała, że postąpiłaby nieuczciwie, ignorując jego decyzję. Wychowano ją, by była posłuszna mężowi, i ta zasada według niej nie wygasła po jego śmierci.

– Ach, tak bardzo, bardzo chciałabym jeszcze raz zobaczyć St. Peter Port! – westchnęła. – Za dwa tygodnie Dzień Wyzwolenia, cała wyspa będzie tonęła w kwiatach. Weźmiesz udział w paradzie, kochana?

– Przecież cały czas będę w Londynie – przypomniała Maja. Bardzo chciało jej się pić, ale nie śmiała tknąć herbaty. – Tak szybko na Guernsey nie wrócę!

Edith przyglądała jej się mądrymi oczami.

– Słyszałam od Mae, że mieszkasz w Londynie z Alanem Shaye. Synem Beatrice Shaye.

– Tak. Od lat chciałam, żebym z nim zamieszkała, i w końcu to zrobiłam.

– Kochasz go? Chcesz z nim zostać?

Maja wierciła się niespokojnie na krześle.

– Musimy do siebie przywyknąć.

– Ale przecież znacie się od lat. Powinnaś już wiedzieć, co do niego czujesz. – Edith westchnęła. Uważała, że w dzisiejszych czasach młodzi ludzie mieli aż za dużo okazji, by sprawdzić się bez zobowiązań, i przez to nie umieli się wiązać na stałe. – Alan Shaye to bardzo wrażliwy człowiek – ciągnęła. – Trzeba się z nim ostrożnie obchodzić.

– Przecież prawie go nie znasz!

– Czasami odwiedzał mnie i twojego pradziadka, był też tutaj kilka razy. Jest bardzo wierny, nie zapomina o człowieku tylko dlatego, że jest stary i w niczym już mu nie pomoże.

Maja była zaskoczona. Alan nie wspominał, że odwiedza prababkę Wyatt.

„Cały Alan” – pomyślała, sama nie wiedząc, czemu tak bardzo rozżłościła ją jego dobroć.

– No cóż – mruknęła Edith. – Mam nadzieję, że między wami wszystko się ułoży. Opowiedz mi o Beatrice i Helene. Jak tam między nimi?

Mai nie interesowała ani Beatrice, ani Helene, zresztą właściwie nie miała o nich nic do powiedzenia.

– Nie wiem – burknęła. – Chyba jak zawsze.

– Mój Boże, oczyma wyobraźni nadal je widzę, gdy były młode – stwierdziła Edith z błyskiem w oku, a Maja pomyślała: „No to zaraz się zacznie, dawne czasy i wojna!”.

– Wtedy, w maju 1945 roku, prawie o tej samej porze, ponad pięćdziesiąt lat temu... Wiesz, że co roku w maju myślę o wyzwoleniu? Obrazy z tamtych lat znowu stają mi przed oczami.

„I na tym właśnie polega problem z wami, starcami” – pomyślała gniewnie Maja.

– Beatrice miała wtedy szesnaście lat, była taka młodziutka i krucha – ciągnęła Edith. – Niedożywiona, wygłodzona, jak my wszyscy, ciekawa, co przyniesie przyszłość... A Helene była tylko cieniem samej siebie, umierała ze strachu. Trzecia Rzesza leżała w gruzach, Helene nie wiedziała, co czeka ją i jej męża. Wyspy cały czas były nominalnie pod okupacją niemiecką, czas mijał, wszyscy się zastanawiali, co będzie po kapitulacji. Na naszym strychu nadal ukrywał się ten francuski jeniec wojenny, Julien, i dosłownie umieraliśmy ze strachu, ogarnął nas taki zabobonny lęk, że akurat teraz, tuż przed końcem, stanie się coś strasznego. Do tej pory przecież wyszliśmy z tego właściwie cało!

Maja westchnęła. Już tyle razy to słyszała!

– Wydarzenia następowały bardzo szybko po sobie – ciągnęła Edith. – A Niemcy nadal wydawali wyroki śmierci, wiedziałas o tym? Och tak, baliśmy się bardzo! W takich czasach plotki rozchodzą się z szybkością błyskawicy. Niektórzy twierdzili, że Niemcy wysadzą wyspy w powietrze, że zastrzelą wszystkich mieszkańców... To oczywiście były bzdury.

– Oczywiście – mruknęła Maja ze znudzeniem.

– Ale okupanci tracili zimną krew – ciągnęła Edith. – A człowiek zdenerwowany jest podwójnie niebezpieczny. Najgorszy był Erich Feldmann. Dopiero później się dowiedzieliśmy, że od lat faszerował się środkami psychotropowymi, a w tych ostatnich dniach potrzebował ich pewnie bardziej niż kiedykolwiek. Ale ich brakowało. Zaopatrzenie było katastrofalne. Jeśli chodzi o lekarstwa, dostępne były jedynie podstawowe

środki opatrunkowe dla rannych, odrobina penicyliny i tym podobne. Oczywiście żadnych środków psychotropowych i Erich wpadał w coraz większą panikę. Był od nich uzależniony.

Maja westchnęła trochę głośniej. Ani Erich Feldmann, ani jego problemy nie obchodziły jej zupełnie.

– Groził Thomasowi – ciągnęła Edith. – No wiesz, twojemu pradziadkowi. Opowiadałam ci już o tym? Rankiem, tego dnia, kiedy zginął, to znaczy Erich, no wiesz. Błłym świtem zjawił się w gabinecie twojego pradziadka. Wyglądał koszmarnie, był bły jak ściana, miał przekrwione oczy. Domagał się środków pobudzających, wrzeszczał, że Thomas na pewno coś ma, jest przecież lekarzem, na pewno ma swoje źródła... A Tommy naprawdę nic nie miał, jednak Erich mu nie uwierzył. Wyciągnął pistolet i biedny Thomas musiał otworzyć każdą szafkę, każdą szufladę, nie tylko w gabinecie, ale także w domu. Erich zachowywał się jak wariat. Odchodziliśmy od zmysłów ze strachu, bo przecież na strychu siedział Julien, kłapa na strych była doskonale widoczna i Erich w każdej chwili mógł zażądać, żebyśmy ją opuścili i pokazali mu, że w tamtym pomieszczeniu nie ukrywamy leków. To był koszmar. – Edith wzdrygnęła się na samo wspomnienie. – Myślałam, że zacznę krzyczeć ze strachu, moje nerwy były napięte jak postronki. Ale gdybym wpadła w histerię, tylko pogorszyłabym sprawę. Musiałam udawać, w miarę możliwości, że wszystko jest w porządku.

Maja akurat tej historii nie znała, co wcale nie oznaczało, że jej nie nudziła. Przecież to wszystko działo się tak cholernie dawno temu. Nie miało żadnego wpływu na nią, na jej życie.

– Domyślam się, że nie odkrył tego Juliana – mruknęła. – Bo w innym wypadku nie byłoby cię tutaj.

– No, nie – przyznała Edith. Ostrożnie upiła łyk herbaty. – Nie byłoby mnie tu. Odszedł, nie zauważywszy kłapy w suficie. Ale cały czas czułam, że wydarzy się coś strasznego, i miałam rację. Późnym popołudniem tego samego dnia wezwano Thomasa do Beatrice i Helene. Drugi Francuz, który pracował u Ericha, chyba miał na imię Pierre, leżał ciężko ranny na podłodze w kuchni. Erich do niego strzelał. Nie pamiętam już dokładnie dlaczego... – Edith zmarszczyła czoło. – To pewnie było jakieś

nieporozumienie. Erich stracił panowanie nad sobą, bo nie dostał leków... Thomas mówił, że strasznie to wyglądało.

– I co, udało mu się pomóc temu Francuzowi? – zapytała Maja. Bardzo chciało jej się pić.

„Może w kuchni coś znajdę – pomyślała. – Puskę, zamkniętą butelkę, coś, czego na pewno jeszcze nie dotknął żaden ze staruchów”.

– Tak – ciągnęła Edith. – O ile pamiętam, mówił o czystej ranie, kula przeszła przez nogę. Pierre zapewne stracił wiele krwi, na dworze było strasznie gorąco... – Jej oczy pociemniały. – To były czasy – westchnęła niejasno, z czymś na kształt tęsknoty w głosie. – Owszem, były straszne, były niebezpieczne, ale byliśmy wszyscy razem, żyliśmy... A tutaj czasami mi się wydaje, że tego nie ma.

– Powinnaś wrócić na Guernsey – stwierdziła Maja. – Babcia na pewno się ucieszy, gdy z nią zamieszkasz.

– Sama nie wiem – mruknęła Edith i nie było wiadomo, czy powątpiewa w sens swego powrotu na Guernsey, czy w radość Mae. – Kto wie, czy jest tam jeszcze dla mnie miejsce...

Maja wstała.

– Pozwolisz, że zajrzę do kuchni, dobrze? Muszę się czegoś napić...

Edith wskazała imbryk.

– Ale herbata...

– Czegoś zimnego – rzuciła pospiesznie Maja. – Dzisiaj jest za gorąco na herbatę.

– Piękna, słoneczna wiosna – przyznała Edith. – Może dlatego powróciły wspomnienia. W 1945 roku też było ciepło, za ciepło na kwiecień i na maj...

„Zawsze zachowują się tak, jakby to były cudowne czasy – pomyślała Maja, idąc w kierunku domu. – A przecież to był koszmaryny okres. Nie mogłabym wtedy żyć. Wojna, głód, fatalna moda...”.

Skrzywiła się i pokręciła głową. Doszła do domu, ku swej radości wypatrzyła tylne drzwi, na dodatek uchylone. Nie miała ochoty ponownie przechodzić pod ciekawskimi spojrzeniami staruchów.

Znalazłszy się w kuchni, zobaczyła kilka wielkich lodówek i olbrzymią płytę kuchenną. Wszędzie panował nieskazitelny porządek, wszystko

lśniło czystością, nigdzie nie poniewierały się brudne naczynia, nie dostrzegła nawet odrobiny kurzu. Czego jak czego, ale brudu nie można było temu ośrodkowi zarzucić.

Jedna z lodówek była otwarta, a przy niej klęczał młody mężczyzna i szukał czegoś w środku. Słyszając kroki Mai, odwrócił się przerażony. W dłoni trzymał puszkę coli, wilgotną z zimna, kilka kropel spływało powoli. Na ten widok pod Mają ugięły się nogi.

– O rany – powiedziała. – Tu jest cola.

– Chętnie zapłacę – zapewniał młody mężczyzna, wyraźnie speszony. – Po prostu nikogo nie widziałem. Czy pani tu pracuje? Ja chętnie...

– Jestem tu z wizytą – przerwała mu. – I umieram z pragnienia. – Odepchnęła go i sięgnęła po puszkę coli. – A nie chcę pić herbaty, którą tu podają.

– Jest paskudna – przyznał mężczyzna. – Tak słaba, że równie dobrze mogłaby to być sama woda.

– Nawet nie próbowałam – przyznała. Otwierana puszka syknęła cicho. – Brzydzę się tych naczyń. Nie wiadomo, czy je dobrze myją.

– Przecież są tu zmywarki – zauważył mężczyzna. Też otworzył swoją puszkę, najwyraźniej Maja dodała mu odwagi. – Pycha – mruknął.

Maja wypila prawie wszystko jednym haustem.

– Pycha – zgodziła się. – Sama już nie wiem, czy bardziej dokucza mi upał, czy przytłaczająca atmosfera, ale potrzebowałam czegoś, co szybko postawi mnie na nogi.

– Odwiedza pani babkę czy dziadka? – zainteresował się młody mężczyzna. W jego oczach Maja widziała fascynację, znaną jej z innych męskich spojrzeń. Widziała ją w oczach właściwie każdego faceta, który ją zobaczył.

– Prababkę – odparła.

Zaskoczyła go.

– Naprawdę? To się rzadko zdarza. W sensie, to że ktoś ma jeszcze prababkę.

– W naszej rodzinie wszyscy są długowieczni – mruknęła Maja.

Stali niezdecydowani naprzeciwko siebie. Maja dostrzegła jego miękkie ciemnoblonde włosy, piwne oczy, miękko zarysowane, pociągające usta.

„Ładny chłopak” – pomyślała.

– Jestem Frank – przedstawił się. – Frank Langtry.

– Maja Ashworth.

– Bardzo mi miło. Gdzie pani mieszka? W Londynie?

– Tak, pan też?

– Tak. Może wrócimy razem? Przyjechała pani samochodem?

– Nie, autobusem.

– W takim razie podwiozę panią do miasta, jeśli oczywiście nie ma pani nic przeciwko temu.

Bardzo się ucieszyła. Nie znosiła jeździć autobusem, a do tego w towarzystwie przystojnego mężczyzny szybciej zapomni o domu starców.

– O piątej? – zapytała.

Ochoczo skinął głową.

– Tak. Spotkamy się o piątej przed głównym wejściem.

Dzień nabrał kolorów, Maja czuła to całym ciałem, wracając do ogrodu z puszką coli zawierającą ostatnie łyki napoju. Słońce świeciło jaśniej, drzewa nagle stały się bardziej zielone. Lekki wietrzyk bawił się jej włosami.

„Zobaczymy, co z tego wyniknie – pomyślała. – Czyli jednak dzień w domu starców nie okazał się takim złym pomysłem”.

Pierwszy maja wypadał w poniedziałek. Dzień wcześniej Karin przygotowała kruszon, którym powitały nadejście maja. Towarzyszyli im Mae i Kevin. Mae odzywała się już do Beatrice, choć napięcie między nimi było wręcz namacalne, a o ile Karin się orientowała, nie padło jeszcze ani słowo przeprosin. Beatrice od prawie dwóch tygodni nie miała żadnych wieści od Alana i Karin się domyślała, że chciwie słuchała tego, co Mae paplała o wnuczce. Jednak nie dała niczego po sobie poznać. Sączyła kruszon, zerknęła na morze i nawet spojrzeniem nie zdradzała, co jej chodziło po głowie.

– Na całe szczęście Maja odwiedziła moją matkę – opowiadała Mae. – Mama była zachwycona, mówiła, że ślicznie wygląda. Zdawała się odprężona. – Zerknęła z ukosa na Beatrice. – Chyba dobrze jej się powodzi.

– To dobrze – mruknęła Beatrice.

– Prędzej czy później każdy musi dorosnąć – ciągnęła Mae. – I może Maja w końcu doszła do tego momentu. To chyba możliwe?

Po tym, co Karin o niej słyszała, wątpiła, by Maja kiedykolwiek osiągnęła ten etap życia, ale nie powiedziała tego na głos. W gruncie rzeczy ani Maja, ani Alan w ogóle jej nie obchodzili, podobnie jak napięcie między Mae i Beatrice. Choć znała już prawie całą historię życia starszej pani, uważała, że nie ma prawa mieszać się w jej sprawy. Wyczuwała dystans, który nadal je dzielił. Miała wrażenie, że Beatrice życzy sobie, by tak zostało.

Mogli aż do późna siedzieć na werandzie na tyłach domu; wieczór był jasny i ciepły, słońce bardzo powoli nikło za horyzontem.

Karin jak zawsze obserwowała wszystkich i zwróciła uwagę na Kevina, spiętego i dziwnie bladego, oraz na Helene, która co chwila pograżała się w myślach. Przypomniała sobie, że pierwszy maja to rocznica śmierci Ericha. Zapewne Helene ponownie przeżywała dramatyczne godziny sprzed pięćdziesięciu pięciu lat. Tymczasem Mae i Beatrice raz po raz

dopiekały sobie złośliwym słowem. „W gruncie rzeczy wcale nie jest tu tak idealnie, jak się wydaje na pierwszy rzut oka” – stwierdziła Karin.

Do północy wszyscy wypili trochę za dużo i Beatrice zaproponowała Kevinowi i Mae, żeby zostali na noc. Mae natychmiast odmówiła, oznajmiła, że może zasnąć tylko w *swoim* łóżku, w otoczeniu swoich drobiazgów.

– A ty, Kevin? – zapytała Beatrice, ale on też odmówił.

– Muszę wracać – powiedział szybko.

„Schudł – stwierdziła Karin – policzki mu się zapadły”.

Wyglądał też gorzej niż dawniej, nie był już tak idealnie wystylizowany. Miał odrobinę za długie włosy, jakby ciągle zwlekał z wizytą u fryzjera, mocno się pocił. Najwyraźniej był w kiepskiej formie, nie sposób było jednak określić, czy chodziło o stan psychiczny, czy fizyczny, a nie dawał żadnych sygnałów, że chciałby o tym porozmawiać. Pożegnał się szybko.

– Jeśli policja go zatrzyma, straci prawo jazdy – stwierdziła Beatrice niespokojnie. – Taka lekkomyślność! Nie znałam go od tej strony. Ostatnio jest bardzo nerwowy. Ciekawe, co go tak gryzie.

Następnego ranka wszyscy zaspali. Kiedy Karin się obudziła, w domu panowała cisza. Zamrugnęła oślepiona słonecznym światłem, usiadła i jęknęła z bólu. Głowa jej pękała, oczy łzawiły.

– O Boże – mruknęła. – Przesadziłam z alkoholem.

Wstała ostrożnie, poczłapała do okna, wyjrzała na dwór. Piękne słońce, rześkie powietrze, przejrzyste jak rzadko – zapowiadał się piękny majowy dzień. W oddali widziała połyskującą taflę wody. Zazwyczaj o tej porze nad morzem snuły się pasma mgły, dzisiaj jednak nie było po nich śladu.

„Idealny dzień” – pomyślała.

Włożyła szlafrok i najciszej jak umiała zeszła do kuchni. Zaschło jej w ustach, koniecznie musiała się napić.

Na stole stały jeszcze naczynia z poprzedniego wieczora, na dnie dzbanka czerwienił się kruszon. Karin krzątała się po kuchni. Każdy krok przeszywał jej mózg jak sztylet.

„Boże, gdzie jest aspiryna” – pomyślała. Stała w kuchni oparta o zlew i małymi łykami piła wodę, gdy usłyszała kroki na zewnątrz. Ktoś

obchodził dom. Chwilę później w przeszklonych drzwiach werandy pojawiła się twarz Kevina. Karin przeraziła się tak bardzo, że mało brakowało, a upuściłaby szklanę.

„Na miłość boską, to tylko Kevin” – upomniała się surowo i otworzyła mu drzwi.

Szybko wszedł do środka. Najwyraźniej kamień spadł mu z serca, że ktoś w domu nie spał.

– Karin, tak się cieszę, że panią widzę – zaczął. – Zdaję sobie sprawę, że jest jeszcze bardzo wcześnie, ale...

Nie dokończył, właściwie sam chyba nie wiedział, dlaczego poderwał się z łóżka tak wcześnie. O ile w ogóle się położył, choć Karin bardzo w to wątpiła. Wyglądał, jakby przez całą noc nie zmrużył oka i nawet nie przyszło mu do głowy, żeby iść do łóżka.

– Chciałem zapytać, czy nie miałaby pani ochoty zjeść dzisiaj u mnie kolacji – rzucił i zaraz się poprawił: – To znaczy, nie tylko pani, ale panie wszystkie, Helene i Beatrice też. Dzisiaj jest rocznica śmierci męża Helene, ona zawsze bardzo to przeżywa. Pomyślałem sobie, że coś ugotuję, żeby ją trochę rozerwać.

– Och... to bardzo miło z pana strony – stwierdziła Karin zaskoczona. – Chętnie przyjdę. Beatrice i Helene jeszcze śpią, ale na pewno bardzo się ucieszą.

– W takim razie proszę do mnie zadzwonić, kiedy wszystko ustalicie – poprosił. Przeszepował z nogi na nogę, wydawał się zdenerwowany, niezdecydowany, spięty. „Jakby go niepokoiło, że nie spotkał Helene ani Beatrice, choć o tej porze musiał się chyba z tym liczyć” – pomyślała Karin.

– Naprawdę pani myśli, że się zgodzą? – upewnił się jeszcze raz.

Chyba bardzo mu na tym zależało. Karin wpatrywała się w jego bladą twarz i zastanawiała się, czy naprawdę tylko kłopoty finansowe spędzały mu sen z powiek.

– Nie rozumiem, dlaczego miałyby się nie zgodzić – zauważyła grzecznie. – Ja w każdym razie przyjadę z przyjemnością.

– Dobrze, w takim razie o siódmej u mnie, dobrze? – zaproponował. Znużonym gestem odgarnął włosy z czoła. Karin widziała, że jego twarz lśniła od potu.

– Czy pan się dobrze czuje? – zapytała. – Nie wygląda pan najlepiej. Może napije się pan kawy?

– A nie miałyby pani koniaku? – odparł.

Zirytowana poszła do jadalni po butelkę i kieliszek, nalała mu, wychylił wszystko jednym haustem, powtórzył godzinę i wyszedł.

Karin zaparzyła sobie mocną kawę, jeszcze raz, znowu daremnie, rozejrzała się w poszukiwaniu aspiryny, a potem poszła z książką do saloniku. Brak snu i wczesna pora szybko dały o sobie znać.

Mimo kawy zasnęła w fotelu.

Alan usiadł do śniadania, czytał „Timesa” i głowił się, dlaczego prawie każde zdanie musi czytać po dwa razy, żeby cokolwiek zrozumieć. Dlaczego nie może się skoncentrować? Na stole kusiły herbata, sok pomarańczowy, jajka na miękko, grzanki, różne rodzaje marmolady, ser i wędzony łosoś. Zadał sobie wiele trudu, by pięknie nakryć do stołu i kupić to wszystko, co lubiła Maja. Wyczarował prawdziwe niedzielne śniadanie – i to w poniedziałek. O ósmej rano zadzwonił do sekretarki i oznajmił, że tego dnia nie przyjdzie do pracy.

– Ale... Spotkania... – wykrztusiła przerażona. Nie dał jej dokończyć.

– Proszę wszystko odwołać. Jutro już będę – zapewnił i rozłączył się.

W sobotę był na zakupach, wędrował po dziale spożywczym Harrodsa, nie spieszył się, starannie wybierał wszystko, co najlepsze, najpiękniejsze. Początkowo liczył na to, że Maja pójdzie z nim, ona jednak z samego rana oznajmiła, że chciałaby odwiedzić Edith i spędzić z nią cały dzień.

– Znowu? – Zdumiony pytająco uniósł brwi. – Przecież w zeszłym tygodniu byłaś u niej już dwukrotnie! Nie mieści mi się to w głowie. Cały czas narzekasz, że się tobą nie zajmuję, że wiecznie nie ma mnie w domu, że właściwie ciągle jesteś sama, a kiedy w końcu mam trochę czasu i chcę z tobą spędzić sobotę, akurat tego dnia umawiasz się z kim innym. Równie dobrze mogłabyś odwiedzić Edith w przyszłym tygodniu!

Spojrzała na niego z przejęciem.

– Nie pomyślałam o tym, przepraszam, Alan. Ale jeśli teraz odwołam spotkanie z Edith...

– Nie, nie. – Zrezygnowany machną ręką. – Nie ma mowy, nie możesz jej tego zrobić, byłoby jej bardzo przykro. – Zamyślił się. – Może gdybym pojechał z tobą...

Wydawało mu się, że przeraziła ją ta perspektywa.

– Nie czuje się najlepiej, myślę, że wolałaby, gdybym była sama, więc jeśli nie masz nic przeciwko temu...

– Nie, oczywiście że nie.

Fakt, nie miał nic przeciwko temu. Ale poczuł niepokój. Coś mu nie pasowało. Znał Maję od dziecka, odkąd przysłała na świat, znał ją aż za dobrze. Nigdy nie była osobą specjalnie rodzinną. Pewna więź łączyła ją z babką Mae, ale u podstaw tej więzi leżały czeki, które Mae wypisywała wnuczce nader hojną ręką. Pewnie lubiła też Edith, ale to zupełnie niepodobne do Mai, odwiedzać ją trzy razy w ciągu dziesięciu dni. Wiedział, jak panicznie bała się starości. Kiedy tylko mogła, starała się nie zauważać tego aspektu życia.

A jakby tego było mało, także w niedzielę pojechała do Henley. Akurat szykował w kuchni prawdziwe niedzielne śniadanie, gdy Maja nagle oznajmiła, że znowu wychodzi na cały dzień.

– Edith jest w złej formie. Po prostu chciałabym przy niej być. Chyba mnie rozumiesz?

I teraz, pierwszego maja, gdy w samotności jadł śniadanie, po głowie chodziły mu niepokojące myśli. Czy były to tylko nieuzasadnione obawy? Maja zapewniała go, że chce się zmienić. Udowodniła mu, że mówiła poważnie.

Czyżby?

Pierwszego wieczora na pewno. Wsypał łyżeczkę cukru do herbaty, zamieszał z namysłem. Widział ją przed oczami – skromnie ubraną i umalowaną, opanowaną – zupełnie inną niż rozwydrzona istota, którą widywał dawniej. Ale to było tylko zewnątrz, to tylko pozory. To ta łatwiejsza część.

Co wieczór była w domu, przypomniał sobie, czekała na niego, gdy wracał z pracy. Leżała na kanapie, czytała, cieszyła się na jego widok.

Więc skąd ten ból głowy? W sobotę włóczył się po mieście, zrobił zakupy i na próżno usiłował się pozbyć narastającego poczucia zagrożenia.

Odpychał je od siebie, bronił się, ale nie dał rady, strach wziął górę i od tej chwili nie odstępował go na krok.

Stał w Harrodsie, gdy nagle go olśniło: „Przecież to niemożliwe! Mówię do niej: idziemy na zakupy! W jej systemie wartości zakupy to czarodziejskie słowo. Wie doskonale, że mogę na nią dużo wydać. Kiedy indziej rzuciłaby wszystko i zaciągnęła mnie do sklepów, które sobie upatrzyła w ciągu tygodnia. A ona zamiast tego odwiedza Edith w domu starców?”.

Sobota upłynęła mu na lekturze na ławce w parku St. James. Czuł się bardzo samotny. Kiedy wieczorem wracał do domu, liczył na to, że zastanie tam Maję, że może razem wyjdą gdzieś na drinka, a później na kolację. W mieszkaniu jednak powitała go pustka. Zrobił sobie dzin z tonikiem, wiedział już jednak, że jeśli Maja zaraz nie wróci, sięgnie po mocniejsze trunki. Odkąd u niego mieszkała, pił znacznie mniej. Nie potrzebował alkoholu, gdy wieczorem witał go jej miękki uśmiech, gdy obejmowała go i całowała, gdy otaczał go jej zapach; ten zapach, tak słodki, znajomy, cudowny, że chciał go zachować tylko dla siebie. Czuł, jak coś, nie wiedział, serce czy dusza, kurczy się w nim boleśnie, ilekroć o tym pomyślał. „Dobry Boże – jęknął bezgłośnie – żebyśmy wreszcie mogli mieć pewność!”

Przez całą sobotę i niedzielę kusiło go, żeby złapać za telefon i zadzwonić do Edith, zapytać, czy Maja jeszcze u niej jest, czy może już wyszła, a tak naprawdę, żeby się upewnić, że naprawdę u niej była.

Ilekroć za bardzo swędziały go palce i już wyciągał rękę, powstrzymywał się w ostatniej chwili, czuł się podle, nie chciał jej przecież szpiegować.

Może też nie chciał wiedzieć.

Wczoraj wieczorem o dziesiątej wypił pierwszą whisky, zaraz potem drugą, trzecią... Zrobiło mu się niedobrze, dygotał z zimna. „Gdzie ona jest, do cholery?”

O północy rozpacz wzięła górę. Nawet wczoraj, w sobotę, wróciła wcześniej niż teraz, w niedzielę, ale oczywiście przy jej stylu życia było to bez znaczenia, czy następny dzień to dzień wolny od pracy, czy zwykły, pracujący, i tak spała do południa. Ale czy w domu starców można

przebywać do tej pory? Nie bardzo to sobie wyobrażał. Położył się o wpół do pierwszej. Mimo ilości wypitego alkoholu nie mógł zasnąć, wiercił się niespokojnie wsłuchany w tykanie zegara, wpatrywał się w wyświetlacz budzika przy łóżku. Wpół do trzeciej. Na to nie miał już żadnego wytłumaczenia, nawet biorąc pod uwagę jego gotowość, by uwierzyć we wszystko, co ona mu powie.

„Nie teraz – pomyślał – tylko nie teraz. Muszę wszystko przemyśleć, muszę mieć więcej czasu, nie mogę decydować pochopnie”.

Udawał, że śpi i wydawało mu się, że łóżko dygocze w rytm jego rozszalałego serca. Maja spędziła dość dużo czasu w łazience, nim na paluszkach zakradła się do sypialni. Starła się poruszać jak najciszej, gdy wślizgiwała się do łóżka. „Nic dziwnego – pomyślał ze złością – nie chce mnie obudzić, żebym się nie zorientował, o której wraca do domu”.

Zasnął dopiero nad ranem, ale obudził się już o wpół do siódmej. Krótki sen nie przyniósł odpoczynku, tylko znużenie. Słyszał regularny oddech Mai u swego boku. Światło słoneczne wślizgiwało się przez szpary w roletach, przeganiało z pokoju nocny mrok. Widział tylko jej długie włosy, bo leżała z twarzą wtuloną w poduszkę, ciasno owinięta kołdrą. Minie wiele godzin, zanim się obudzi.

I oto siedział przy pięknie nakrytym stole, zastanawiając się, czemu właściwie zadaje sobie tyle trudu i z jej powodu zaniedbuje pracę. Starał się nie zwracać uwagi na łupanie pod czaszką. Wczoraj wypił za dużo whisky i musiał też jakoś przeżyć kaca. W ciągu minionych dwóch tygodni pił – jak na niego – bardzo mało, więc teraz kac szczególnie dawał mu się we znaki. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek uda mu się przestać szukać pociechy w kieliszku.

„Człowiek tylko się tym wykańcza – stwierdził, pocierając obolałe oczy – i to mając pełną świadomość tego, co się z nim dzieje. I mimo wszystko to robi”.

Przyglądał się sobie z bezlitosną uwagą, bez cienia tej łagodności, z którą traktował nawet najtwardszych przeciwników. I widział czterdziestotrzyletniego mężczyznę, który w poniedziałkowy ranek zasiadł do śniadania, urwał się z pracy i nawet nie był w stanie skosztować smakołyków, które przyszykował. Na którego twarzy lata nadużywania

alkoholu zostawiły trwałe ślady. Który miał worki pod oczami i bladą skórę o rozszerzonych porach. Który właściwie był przystojny, ale niebezpiecznie balansował na bardzo cienkiej linii. Lada chwila mógł stracić równowagę, runąć w przepaść i za pięć lat wyglądać jak sześćdziesięciolatek. Z drugiej strony, to ostatnia chwila, by wziąć się garść. Szczerść, z jaką przyglądał się sobie, podsuwała mu kolejne scenariusze. Był jeszcze na tyle młody, że zdoła dojść do siebie. Jeszcze może wyjść na prostą. Jeszcze ma szansę.

Tylko jak ją wykorzystać, skoro dzień w dzień uświadamiał sobie na nowo, jak bardzo, jak gruntownie schrzanił sobie życie! Mnóstwo płytkich, przelotnych romansów, zamiast długiego, trwałego związku opartego na przyjaźni i zaufaniu. Dlaczego się nie ożenił, nie spłodził dwójki dzieci, czemu nie miał domku za miastem i ładnego pieska? Dlaczego wpakował się w romans z kobietą młodszą o dwadzieścia lat, która szła do łóżka z każdym, kto stanął na jej drodze? Która go wykorzystywała i oszukiwała, zwodziła fałszywymi obietnicami, wystawiała na pośmiewisko, bawiła się nim, tak jak jej pasowało, i od lat nie pozwalała, by związał się z inną, choć każda byłaby lepsza od niej.

„Powiniennem ją wyrzucić – stwierdził stanowczo – wczoraj i przedwczoraj na pewno była u jakiegoś faceta. Pewnie zdradza mnie już od tygodnia i bez mrugnięcia okiem wciska mi łzawe historyjki o prababce Edith, którą z dobrego serca w kółko odwiedza w domu starców”.

Zdawał sobie sprawę, że musi wzbudzić w sobie agresję, jeśli chce wyrzucić Maję za drzwi. Z niepojętych dla siebie powodów nie czuł jednak złości, tylko zrezygnowanie i smutek. I bezradność.

Karin śniło się, że wbija gwóźdź w ścianę, żeby powiesić obrazek. Walila ze wszystkich sił, ale gwóźdź nie wchodził w beton.

„Może w beton nie da się niczego wbić?” – pomyślała. W tej samej chwili obudziła się i rozejrzała nieprzytomnym wzrokiem. Szybko zrozumiała, że to był tylko sen, dziwiło ją tylko, że walenie nie ustawało. Niosło się po całym domu. Dopiero po chwili skojarzyła, że ktoś dobijał się do drzwi wejściowych.

Wstała z jękiem bólu; od niewygodnej pozycji na krześle bolało ją całe ciało, a kark zeszywniał jej tak, że prawie nie mogła ruszać głową. Książka, którą czytała, osunęła się na podłogę, leżała zapomniana na dywanie. Mimo ciepłego dnia dygotała z zimna; nic dziwnego, że czuła się fatalnie.

Wybiegła do przedpokoju i zobaczyła na schodach Beatrice. Wydawała się zasnana i zła.

– Co się dzieje?! – krzyknęła. – Dlaczego nikt mnie nie zawołał? Już prawie dwunasta!

– Ja też zasnęłam – przyznała Karin. – Chyba wczoraj wszyscy wypiliśmy trochę za dużo kruszonu.

– Też mi się tak wydaje. – Beatrice ciasniej zacisnęła pasek szlafroka i gniewnie zerknęła na drzwi. – Jezus, Maria! Kto tak wali jak wariat? – Usiłowała choć trochę okiełznać włosy przed lustrem. – Proszę otworzyć, Karin.

Karin podeszła do drzwi i posłusznie je otworzyła. Na progu stał Michael.

– Dobry Boże! – ryknął zdenerwowany. – Już myślałem, że nikogo tu nie ma!

– Michael! – sapnęła Karin i spojrzała na niego ze strachem. U jego stóp stała mała walizka. Schylił się po nią.

– Mogę wejść? Już chyba dość się tu nasterczałem.

Cofnęła się o krok.

– Tak, oczywiście.

Michael wszedł do środka i miała wrażenie, że nagle zgasło światło poranka. Poczowała, że jest jej zimno na całym ciele, a na gardle zaciska się cienka obręcz, która towarzyszyła jej stale w ciągu minionych lat. Oddychała z trudem, miała wrażenie, że jej pierś unosi się wolniej, z większym wysiłkiem. Czuła, jak po jej ciele rozlewa się nieokreślony strach. Strach, który nie pasował do osoby w jej wieku, do dorosłej kobiety. Strach, który przywodził na myśl małą dziewczynkę, strach, o którym wiedziała, że właściwie nie powinna go już odczuwać. Ale pojawił się tak nagle, że nie miała czasu, by się bronić.

– Dzień dobry – odezwał się Michael na widok Beatrice. – Nazywam się Michael Palmer.

– Beatrice Shaye – przedstawiła się uprzejmie. Zirytowana zerknęła na Karin. – Nie mówiła pani, że spodziewa się męża.

– Nie spodziewała się – wyjaśnił Michael. – Zdecydowałem się pod wpływem impulsu.

– Ach tak – mruknęła Beatrice. Karin miała wrażenie, że gospodyni zauważyła napięcie, które nagle ją ogarnęło. – Może przejdzie pani z mężem do saloniku. Proszę brać z kuchni, co tylko pani zechce, kawę, herbatę, wodę... Będę na górze, gdyby mnie pani potrzebowała.

Karin miała dziecinną ochotę poprosić Beatrice, żeby nie odchodziła, ale oczywiście nic takiego nie powiedziała. Mruknęła tylko:

– Wcześniej był tu Kevin. Zaprosił nas dzisiaj do siebie na kolację – panią, Helene i mnie. Na siódmą.

– Zadziwiające, jaki tłum gości przewija się tutaj od rana – mruknęła Beatrice. – Kevin zazwyczaj nie zaprasza nikogo w środku tygodnia.

– Chyba chodziło mu o Helene – zaczęła Karin, ale zniecierpliwione chrząknięcie Michaela kazało jej umilknąć. – W każdym razie to był Kevin – zapewniła niepotrzebnie, bo akurat w to Beatrice nie wątpiła.

– Czy jest tu jeszcze jakiś wolny pokój, w którym mógłbym przenocować? – zainteresował się Michael. – Bo inaczej muszę poszukać hotelu.

– Pokój, w którym mieszka pana żona, to nasz jedyny pokój na wynajem – oznajmiła Beatrice.

– Na razie możesz zostawić tam walizkę – zaproponowała szybko Karin. – Chodź, zaprowadzę cię.

– A później może pójdziemy coś zjeść – powiedział Michael już na schodach. – Przecież nie musimy siedzieć cały czas tutaj, prawda?

– Nie, jeśli chcesz... możemy gdzieś wyjść...

Michael postawił w pokoju walizkę, która, choć mała, wydawała jej się intruzem, a potem poszedł do łazienki „żeby się odświeżyć”. Karin wytarła spocone dłonie w nogawki dżinsów i jak zaczarowana wpatrywała się w lustro na drzwiach. Czy na koszulce są plamy? Czy spodnie nie są brudne? I czemu, do licha, nie umyła rano włosów? Nerwowo poprawiała kosmyki, szczypała się w policzki, żeby nabrały choć trochę koloru, ale i tak uważała, że wygląda brzydko i mdło. Nagle przez głowę przemknęła

jej myśl, że w ciągu minionych dwóch tygodni nie miała żadnych zastrzeżeń do swego wyglądu i dopiero przybycie Michaela wzbudziło w niej niepokój. „Jeszcze nawet nic nie powiedział na ten temat – pomyślała – a ja już jestem kłębkim nerwów”.

– Powinna pani wypić spory łyk wódki – odezwał się głos z boku. Beatrice miała iść do siebie, ale zawróciła. – A potem niech pani sobie przypomni, jaka jest silna. Niech pani nie patrzy przerażona jak królik w lufę pistoletu. Nie musi pani tego robić.

Karin westchnęła.

– Aż tak bardzo to widać?

– Od kilku minut jest pani zupełnie inną osobą – stwierdziła Beatrice. – A szczerze mówiąc, o wiele bardziej lubię tę poprzednią Karin, bo moim zdaniem to właśnie była prawdziwa pani. Teraz widzę zastraszone stworzenie, które pospiesznie wskakuje w skórę małej dziewczynki, żeby ułagodzić rozgniewanego tatusia. Bo z małą dziewczynką wszyscy obchodzą się delikatnie. Taką przynajmniej ma pani nadzieję.

– Sama nie wiem, co się dzieje, po prostu...

– Niech pani wyszczerzy kły – poradziła Beatrice. – I na miłość boską, niech pani zostawi te włosy w spokoju. To on zjawił się bez zapowiedzi. Nie może oczekiwać, że powita go pani wystylizowana jak królowa.

Karin musiała się roześmiać.

– Cóż, o stylizacji w moim wypadku raczej nie może być mowy. O Boże, nerwy mi puszczają. Kieliszek wódki chyba rzeczywiście dobrze mi robi. Kevin rano też prosił o coś mocniejszego. Co się właściwie z nami dzieje?

– Rzeczywiście wyczuwa się tu pewną nerwowość – przyznała Beatrice.

– Coś jest w powietrzu, nie wiem jeszcze, co to takiego, ale mi się nie podoba. Jakby nagromadziło się zbyt wiele uczuć. – Odetchnęła głęboko. – Zadzwoń do Alana?

– Czemu nie. Mamy pierwszy dzień maja. Niech mu pani życzy pięknego lata.

– Może po południu – mruknęła. – Może wtedy będę miała więcej odwagi.

Karin zbiegła na parter, po raz drugi tego dnia wyjęła z kredensu

butelkę koniaku, nalała sobie i wychyliła duszkiem. Alkohol palił ją w gardle żywym ogniem, ale dobrze jej zrobił. Napięcie nieco zelżało. Wypiła drugą lampkę i odetchnęła głęboko.

„To nie może wejść mi w krew – stwierdziła – ale od czasu do czasu nie zaszkodzi”.

– Pijesz już w południe? – rozległ się chłodny głos od schodów. – Muszę przyznać, że mnie to zaskoczyło.

Odwróciła się. Michael niezauważenie wszedł do pokoju i przyglądał się jej z pogardą. Szacował ją tym zimnym spojrzeniem, które znała aż za dobrze, którego obawiała się od samego początku ich małżeństwa. W tej chwili działanie alkoholu zniknęło równie szybko, jak przedtem się pojawiło. I nie zdołała zapobiec temu, że odezwała się w niej znowu mała dziewczynka. Jak to powiedziała Beatrice?

Proszę pokazać mu kły!

Owszem, chciała pokazać mu kły, za żadne skarby nie chciała znowu czuć się jak mała dziewczynka, chciała być silną, dorosłą kobietą.

Nie udało się.

– Po prostu chciałam się czegoś napić – powiedziała cicho.

Michael wyjął jej z ręki butelkę i stanowczo odstawił na półkę.

– Lepiej z tym w ogóle nie zaczynać. A przy okazji, obejrzałem sobie ten twój pokój i doprawdy nie pojmuję, jak mogłaś z własnej woli wybrać tak spartańskie warunki! Ja bym tu nie wytrzymał nawet jednej nocy!

– Jak mnie znalazłeś? – zapytała.

Wzruszył ramionami.

– Znałem przecież nazwisko właścicielki. Beatrice Shaye. A ta wyspa to właściwie mała wioska. Zapytałem o nią na lotnisku St. Martin i wszyscy wiedzieli, o kogo mi chodzi. Więc wynająłem samochód i przyjechałem.

Skinęła głową. Rzeczywiście nie kosztowało go to zbyt wiele wysiłku.

– Dlaczego właściwie przyjechałeś? – zapytała.

Skrzywił się zniecierpliwiony.

– Musimy teraz o tym rozmawiać? Jestem głodny, chciałbym pójść w jakieś przytulne miejsce, gdzie będziemy mogli pogadać. Czy to możliwe?

– Tak – odparła Karin. Wzięła kluczyki ze stołu. Michael pokręcił

głową.

– Ja prowadzę – powiedział.

Właściwie nie miało znaczenia, kto siądzie za kierownicą, ale nagle ta kwestia wydała się Karin szalenie ważna.

– Nie – powiedziała. – Ja prowadzę.

Coś w jej głosie musiało zaskoczyć Michaela, bo spojrzał na nią dziwnie i skinął głową.

– No dobrze, jeśli o mnie chodzi. Ty prowadzisz.

Siedzieli na werandzie hotelu Chalet powyżej zatoki Fermain. Całe zbocze, aż do lustra wody, pokrywały kwitnące krzewy. Majowe słońce przygrzewało mocno, nie można się było obejść bez osłony parasoli. Nad morzem pojawiła się delikatna mgiełka, niebo nie było już tak bezchmurne jak rano. Zerwał się lekki wiaterek i spychał słone powietrze w dół zbocza.

– Gorąco jak w lecie – zauważyła Karin.

Michael mieszał w swojej filizance. Zamówili quiche i sałatkę, które popili lokalnym piwem, siedzieli już nad kawą, a nadal nie poruszyli najważniejszego tematu, ograniczając się do nic nieznaczących drobiazgów. Michael opowiadał o problemach w laboratorium i o tym, że jeden z jego najlepszych współpracowników zrezygnował z pracy, co, jak podkreślił, było dla niego wielkim ciosem. Karin natomiast opowiadała o swoich wędrownkach po wyspie i o tym, że dokładnie pięćdziesiąt pięć lat temu, pierwszego maja, Erich Feldmann popełnił samobójstwo. Michaela to chyba w ogóle nie interesowało, ale słuchał uprzejmie.

„Nie słyszy nawet słowa z tego, co mówię – pomyślała Karin – ale z drugiej strony nie przyjechał tu przecież ze względu na Helene i Ericha”.

Odzyskała skrawek pewności siebie. Michael pochwalił restaurację, którą wybrała, a to było więcej, niż słyszała od niego pochwał w ciągu minionych pięciu lat.

– No cóż – powiedział w końcu. – Powinniśmy porozmawiać naprawdę poważnie, nie uważasz? Z dnia na dzień wyjechałaś na Guernsey i nie raczysz mi nawet wytłumaczyć, dlaczego tak postępujesz, unikasz rozmów o przyszłości. Przez telefon w każdym razie było to niemożliwe. I dlatego

przyjechałem.

Wydawał się urażony. No tak, według niego to szczyt bezczelności, że przez nią musiał jechać taki kawał drogi.

„Ciekawe, co powiedział kochance? – zastanawiała się Karin. – Zapewne nie była zachwycona, że wyrusza w pościg za żoną”.

– Przecież powiedziałam przez telefon, że to ty musisz podjąć decyzję – sprostowała. – To ty masz romans. Może to zresztą coś poważnego, nie wiem. Musisz zdecydować, jak to ma dalej wyglądać.

Coraz energiczniej mieszał łyżeczką w szklance. Temat mu wyraźnie nie leżał, ale zorientował się już chyba, że nie zdoła zamieść go pod dywan.

– Jeśli chodzi o ten romans, jak to nazywasz, nie ja jeden ponoszę winę – zauważył. – Już ci to mówiłem.

– Ależ oczywiście – zachnęła się. – Nie wyobrażam sobie, że wzięłbyś winę na siebie.

– I słusznie, bo nie tylko ja tu zawiniłem. Zważywszy na to, jak się zachowywałaś, właściwie nie miałem innego wyjścia niż... – Urwał, szukał odpowiednich słów.

– Niż wskoczyć do łóżka innej kobiecie – dokończyła Karin. – To chciałeś powiedzieć, tak?

– Nie możesz sprowadzać tego do seksu – zareagował natychmiast. – Chodziło mi przede wszystkim o co innego. Szukałem towarzystwa kobiety, z którą mogę coś zrobić. Iść do kina, do teatru, do opery. Z którą mogę odwiedzać znajomych i zapraszać gości. Kobiety pewnej siebie, silnej, która mnie wspiera, gdy czasami jestem w dołku. Karin, ja chciałem żyć, po prostu. Czy tak trudno to zrozumieć?

„A więc jemu też nie było łatwo – pomyślała. – No jasne, że nie. Neurotyczna żona, która ciągle płacze i w większej grupie ludzi wpada w panikę... no tak, to bardzo skomplikowało mu życie”.

– Rozumiem, jasne – przyznała. – Każdy to zrozumie. Ale to, jak to przedstawiasz, jak być może sam o tym myślisz... Chyba nie widzisz, że przeoczyłeś sporą część prawdy. Michael, nie twierdzę, że cała wina leży po twojej stronie, ale odkąd się poznaliśmy, swoim zachowaniem podważałeś moją pewność siebie. Nigdy niczego nie zrobiłam dobrze. Nigdy nie byłam wystarczająco dobra. Zawsze miałeś mi coś do

zarzucenia. Nie przyszło ci do głowy, że takie traktowanie bardzo podkopuje pewność siebie? Że człowiek z czasem czuje się coraz mniejszy, aż zupełnie znika?

– No jasne, jeszcze tego brakowało, żebyś to mnie obarczyła winą za twoje kompleksy i neurozy! – oburzył się. – Przecież wszystko zaczęło się od tej klęski w szkole.

Skuliła się w sobie. W jej oczach to także była klęska, ta cała sprawa w szkole, ale co innego usłyszeć te słowa z *jego* ust.

„No właśnie – pomyślała znużona. – Właśnie to mnie wykończyło. Dlaczego w takiej chwili nie poszuka innego słowa, czegoś mniej raniącego? Dlaczego musi mi wszystko wiecznie utrudniać?”

– Owszem, zawiodłam – powiedziała bardzo spokojnym głosem. „Może to też błąd, to wieczne panowanie nad emocjami” – przemknęło jej przez głowę. Nigdy nie krzyczała, nie okazywała gniewu, strachu, urazy. Może nigdy nie zrozumiał, jak bardzo cierpiąca. – Ale czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy – ciągnęła – że tę klęskę w pewnym sensie spowodował również mój mąż, który jeszcze przed pierwszym egzaminem zawodowym uznał, że nie nadaję się do tej pracy? Który bardzo otwarcie dawał mi do zrozumienia, że jestem zbyt nieśmiała, za słaba, za mało wiem, żeby pokazać swoją wartość? Kiedy po raz pierwszy stanęłam przed grupą uczniów, wiedziałam, jeszcze zanim powiedziałam choćby słowo, że nic z tego nie będzie.

– Ach, więc to tak! Idziemy na łatwiznę! Naprawdę chcesz powiedzieć, że wszystko ułożyłoby się wspaniale, gdybym nie powiedział, co o tym sądzę?

Nie tak to ujęła i wiedziała już, że Michael też miał tego świadomość. W ciągu minionych lat ich rozmowy bardzo często właśnie dlatego utykały w martwym punkcie. Michael celowo przekręcał fakty i celowo przedstawiał je w innym świetle. Kończyło się zawsze tak samo – Karin poświęcała mnóstwo energii, żeby odkręcać jego kłamstewka, i potem nie miała siły wracać do pierwotnego tematu. A później już tylko się broniła, co męczyło ją najbardziej.

– Nie twierdzę, że gdyby nie twój wpływ, wszystko byłoby wspaniale – podkreśliła – ale może nie byłoby też tak źle. Byłabym w innym stanie,

gdybyś od czasu do czasu dodawał mi odwagi. Ale to już i tak bez znaczenia. – Podniosła głos, widząc, że już otwiera usta, by zaprotestować. – Moglibyśmy godzinami wyliczać sobie wzajemnie zarzuty i pretensje, ale nic z tego nie wyniknie. Musimy się zastanowić, co dalej.

– Nasza przyszłość wiąże się z naszą przeszłością – nie dawał za wygraną Michael. – Jesteśmy w takim a nie innym punkcie ze względu na błędy, które popełniliśmy w przeszłości.

„Przynajmniej mówi *my*” – zauważyła.

Urwał. Ciszę mącił jedynie szum wiatru w gałęziach i krzyki mew. A potem roześmiała się kobieta przy sąsiednim stoliku i nagle ze wszystkich stron rozległy się rozmowy, a powietrze drżało od tłumionych głosów.

– Wsiadłem w samolot i przyleciałem tutaj, żeby z tobą porozmawiać – stwierdził w końcu. – Chciałem ci w ten sposób udowodnić, że zależy mi na naszym małżeństwie.

Karin milczała. Przyglądała mu się wyczekująco.

– Gdybyś mogła się zmienić, gdybyś się naprawdę postarała... – ciągnął. – Ta kobieta nie ma dla mnie znaczenia. W każdej chwili mogę z nią zerwać.

Zaczęło się od delikatnego pulsowania w skroniach. Ból, który wcale nie wydawał się bólem, przypominał raczej nieprzyjemne zakłócenia.

Gdybyś mogła się zmienić, gdybyś się naprawdę postarała...

„To i tak się nie uda” – pomyślała i świadomość, z którą ogłosiła bankructwo małżeństwa, powitała z zadziwiającym chłodem i spokojem: nie uda się i już. To bez sensu. Kolejne próby to tylko strata czasu.

– Och, Michael – westchnęła zrezygnowana. Nawet nie bolało. Koniec był zbyt oczywisty, by boleć. Nadszedł o wiele lat za późno, ale było całkowicie jasne, że musiał nadejść.

– Co to ma znaczyć: *och, Michael?* – zachnął się. – Nie masz mi nic więcej do powiedzenia? Złożyłem ci pewną propozycję. Mam pewien pomysł. Chyba zasługuję na coś więcej niż *och, Michael!*

Pulsowanie w skroniach przybierało na sile, przeradzało się w ćmiący ból, miękką watę, która zagłuszała odgłosy zewnętrznego świata – gwar głosów, brzęk talerzy, krzyki mew. A także zapach jedzenia i słonego

powietrza. A nawet barwy kwiatów, morza i nieba.

„Obym miała przy sobie tabletki – pomyślała. – Nie sprawdziłam przed wyjściem”.

– Michael, chcę się rozwieść – powiedziała.

Około południa Maja weszła do saloniku zaspana i skacowana. Była blada, jej zazwyczaj wielkie kocie oczy przypominały teraz wąskie szparki. Wyglądała na o wiele więcej niż dwadzieścia dwa lata. Tego dnia nie była też ładna, seksowna ani atrakcyjna, ale nie przypominała też słodkiego, zaspanego dziecka.

„Jest po prostu skacowana” – stwierdził Alan.

Miała na sobie nocną białą koszulkę ze spranym pluszowym misiem, gołe nogi i bose stopy. Osunęła się na krzesło i dramatycznie ukryła twarz w dłoniach.

– Jezu, ale mi niedobrze! – sapnęła.

– Chcesz coś zjeść? Może pić? – zapytał Alan. Odłożył gazetę. Dziwiło go, jak normalnie z nią rozmawiał, jak obojętnie brzmiał jego głos, choć coś w nim wibrowało, napięty, podrażniony nerw. Beztroska, z jaką wyrzuciła z pamięci zarwaną noc i pijaństwo, szokowały go. Nie zadała sobie nawet trudu, by udawać, że zasiedziała się na kawce w domu starców.

„Kim ja właściwie dla niej jestem? – zastanawiał się. – Szmata, popychadłem, przed którym nawet nie trzeba się silić na pozory, że ma się dla niego choćby cień szacunku”.

– Nie, żadnego jedzenia – jęknęła udręczonym głosem. – Niedobrze mi. Mogę prosić o herbatę?

– Wystygła – odparł.

– Zaparz mi świeżą – mruknęła.

Wibrowanie przybierało na sile.

– Sama sobie zaparz – powiedział.

Najwyraźniej tymi słowami przedarł się przez jej odrętwienie. Spojrzała na niego zdumiona, zapuchnięte oczy otworzyły się nieco szerzej.

– Słucham? – sapnęła.

– Sama sobie zaparz – powtórzył Alan. – Od rana czekałem na ciebie ze

śniadaniem. Ponieważ ani wczoraj, ani przedwczoraj nie udało nam się spędzić razem choćby chwili, odwołałem na dzisiaj wszystkie spotkania i nie poszedłem do pracy. Jeśli do południa nie raczyłaś zwlec się z łóżka, nie możesz oczekiwać, że poderwę się na równe nogi i po raz drugi będę tu wszystko znosił.

– Wszystko! Przecież proszę tylko o filiżankę herbaty, ale najwyraźniej nie mogę na to liczyć!

– Wiesz, gdzie jest kuchnia, wiesz, gdzie trzymam herbatę – odparł spokojnie Alan. – Nikt ci nie broni, żebyś sama sobie zaparzyła.

Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem, poderwała się z miejsca, gwałtownym ruchem sięgnęła do barku po butelkę koniaku, nalała do szklanki na sok przy swoim nakryciu i wypila długimi, chciwymi łykami.

– W takim razie napiję się tego! – warknęła. – A skoro niczego mi nie żałujesz, nie będziesz miał nic przeciwko temu!

Ostentacyjnie dołała sobie zaraz i po raz drugi opróżniła szklankę.

– Wiesz – rzuciła okrutnie – usłyszeć takie słowa akurat z twoich ust to zakrawa na ironię losu. Bo kto z nas dwojga ma problem z piciem? No dobrze, może rzeczywiście wyglądam dzisiaj rano na starszą, niż jestem. I co z tego? Najpóźniej jutro wszystko wróci do normy. Zarwana noc mi nie zaszkodzi. W przeciwieństwie do ciebie. Masz czterdzieści trzy lata, wyglądasz na pięćdziesiąt i nic na to nie poradzisz, choćbyś nie wiadomo co robił, nie cofniesz czasu.

Każde słowo było jak celny cios. Starał się nie kulić. Ale najgorsze było to, że miała rację. Nie uderzała na oślep w nadziei, że jeden cios osiągnie celu; wymieniała fakty, którym nie mógł zaprzeczyć.

– W takim razie nie ma sensu iść w moje ślady, prawda? – mruknął, bo coś musiał powiedzieć, a nic innego nie przychodziło mu do głowy.

Uśmiechnęła się. Nadal czuła się fatalnie, ale teraz przynajmniej oprzytomniała. I była gotowa do walki.

– O nie, nie idę w twoje ślady, spokojna głowa – odparła. – Nigdy nie będę taka jak ty. Jestem od ciebie silniejsza. Wiem, kiedy przyhamować.

– Wielu się wydawało, że to wiedzą, a jednak przeoczyli kluczowy moment.

Wzruszyła ramionami.

– Mam w nosie, co sobie myślisz. Możesz narzekać jak stara baba. Zaparzysz mi herbaty?

– Nie – odparł.

Usiadła ponownie i spojrzała na niego.

– Jezu, Alan, co cię ugryzło? Masz minę jak guwernantka, zachowujesz się po prostu nieznośnie. Co ci jest?

Odpuścił sobie strategię dystansu, lekkich złośliwostek, delikatnych prztyczków w nos.

– Gdzie wczoraj byłaś? – zapytał prosto z mostu.

Nawet nie drgnęła jej powieka.

– U Edith. Przecież ci mówiłam.

– Do wpół do trzeciej w nocy? Nie wiedziałem, że w domu starców tak bardzo wydłużyli godziny odwiedzin. W sobotę, tak przy okazji, też późno wróciłaś, ale wczoraj... Cóż, jestem ciekaw, jak to wytłumaczysz.

– Cóż, oczywiście nie byłam tak długo u Edith.

– Ach, więc przyznajesz to. A gdzie byłaś?

Westchnęła cicho, teatralnie.

– Zdajesz sobie sprawę, jak to paskudnie brzmi? Masz świadomość, jaki w takich chwilach jesteś ohydny? Wiesz, że nie znoszę, kiedy mnie tak przesłuchujesz?

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym jednak pociągnąć to dalej. Jestem ciekaw, gdzie byłaś.

– A niby jakim prawem?

– Mieszkasz w *moim* mieszkaniu. Za *moje* pieniądze. Na twoje wyraźne życzenie usiłujemy budować związek. Moim zdaniem zasługuję na odrobinę szczerości. – Nie wierzył własnym uszom. Mówił tak spokojnie, argumentował rzeczowo, ważył słowa, zanim wypowiedział je na głos.

„Źle, źle, źle – powtarzał wewnętrzny głos. – Tłumaczysz, usprawiedliwiasz. Nakrzycz na nią! Potraktuj tę szmatę tak, jak od lat na to zasługuje! To jedna z tych kobiet, które rozumieją tylko język przemocy!”

Problem w tym, że on nie znał tego języka. Rozumiał go, ale nigdy dotąd po niego nie sięgał. Jako adwokat potrafił posługiwać się mniej lub bardziej zawołowanymi groźbami i insynuacjami, ale tu chodziło o coś innego; w pracy wkładał zbroję, którą zostawiał za sobą, przekraczając

próg domu.

– Czekam na odpowiedź – mruknął. – Gdzie byłaś?

– Na miłość boską, nie masz nawet pojęcia, jak bardzo mnie denerwujesz! No dobra, wyszłam od Edith o siódmej, a potem wsiadłam w zły autobus i wylądowałam na kompletnym zadupiu. Nie mam pojęcia, dokąd mnie wywiózł... A kiedy w końcu się zorientowałam, że jadę nie w tę stronę, od razu wysiadłam, a potem czekałam całe wieki, zanim przyjechał drugi, który odwiózł mnie z powrotem do domu starców, a tam z kolei strasznie długo czekałam na autobus do Londynu i... – Nabrała powietrza i spojrzała na niego oskarżycielskim wzrokiem. – To był koszmarny wieczór. Przemarzałam na kość i bardzo się bałam, a następnego dnia jeszcze muszę wysłuchiwać twoich insynuacji!

– Trzech rzeczy nie rozumiem – mruknął Alan. – Po pierwsze, jakim cudem udało ci się wsiąść do autobusu w przeciwną stronę, skoro w tym tygodniu byłaś tam po raz czwarty. Po drugie, dlaczego przez cały ten czas ani razu nie przyszło ci do głowy, żeby do mnie zadzwonić i uprzedzić, że wrócisz później. Albo poprosić, żebym po ciebie przyjechał. A po trzecie, jak ci się udało po tak koszarnej podróży wypić tyle alkoholu, żeby jeszcze dzisiaj rano z trudem patrzeć przed siebie.

– Po prostu nigdzie nie było telefonu – odparła Maja. – Ten dom jest na odludziu! Na końcu świata! Co, miałam jeszcze latać po bezdrożach, żeby znaleźć telefon?

– A nie miałaś z sobą komórki?

– Zapomniałam.

Kłamała, zorientował się od razu, ale ponieważ nie mógł udowodnić jej kłamstwa, zostawił ten temat w spokoju.

– W porządku. – Skinął głową. – Zostaje jeszcze sprawa złego autobusu i alkoholu.

– Czy ty nigdy, przez całe życie, ani razu nie wsiadłeś do złego autobusu? Do pociągu w przeciwną stronę? Nigdy nie zabłądziłeś? Nigdy...

– Och, dobrze już, dobrze! – machnął ręką. – A więc to tylko przypadek, pech, który każdemu może się zdarzyć. A jak wytłumaczysz – pochylił się nad nią, przewiercał ją wzrokiem – alkohol? Kiedy, na miłość boską, zdążyłaś wypić tyle, że dzisiaj od rana wyglądasz jak żywy trup?

Zapędził ją w kozi róg i zareagowała w typowy dla siebie sposób: w ułamku sekundy zmieniła się w rozdrażnioną kotkę.

– Jesteś zwyczajnie wredny, Alanie Shaye! – prychnęła. – Wredny i złośliwy! Bawisz się w prokuratora, bierzesz mnie w krzyżowy ogień pytań, chcesz mnie załatwić, chcesz mnie w coś wrobić. Ale to ci się nie uda. A wiesz dlaczego? Bo po prostu nie będę odpowiadała na twoje pytania! Nie masz prawa tak na mnie naciskać! Nie masz prawa mi niczego insynuować. To moja sprawa, do cholery, kiedy i co piję! I z kim!

Tak jest. To był odpowiedni moment. Rozpoznawał oznaki sugerujące, że oskarżony chce się przyznać, bo ma już dosyć kłamstw. Maja osiągnęła ten etap.

– Dajmy sobie z tym spokój – zaproponował. – Oboje doskonale wiemy, co się dzieje, więc skończmy te żałosne przepychanki. Jeśli w ogóle byłaś wczoraj u Edith, wyszłaś od niej dość wcześnie, choć moim zdaniem w ogóle do niej nie zajrzałaś. Spotkałaś się z jakimś facetem, włączyłaś się z nim po knajpach i w końcu pewnie wylądowaliście w łóżku. Tak było?

Nie mylił się. Za bardzo przyparł ją do ściany, by mogła podnieść gardę i zasłonić się przed ciosem. Zresztą wcale nie chciała się bronić, chciała atakować.

– Tak – odparła zapalczywie. – Tak właśnie było, Alan. Poszłam do łóżka z innym facetem. I wiesz co? Był sto razy lepszy od ciebie!

Wiedział, że go zdradziła, a i tak zabolalo, i to tak bardzo, że na moment stracił oddech. Jak z oddali słyszał własny głos:

– Więc co tu jeszcze robisz?

– Co? Jak to: co tu jeszcze robię?

– W twoim życiu jest inny mężczyzna, fantastyczny w łóżku. Więc pytam, co tu jeszcze robisz?

Roześmiała się, ale w jej głosie nie było dawnej pewności siebie.

– Na Boga, Alan, przecież ta sprawa z Frankiem to nic poważnego! Wciąż zostawiałeś mnie samą, więc chciałam się trochę pocieszyć, to wszystko!

– Frank też tak to postrzega?

Wzruszyła ramionami.

– A skąd niby mam wiedzieć, jak Frank to postrzega?

– Cóż, jesteście z sobą dosyć blisko. Mogłem chyba założyć, że czasami rozmawiacie o swoich uczuciach.

Zniecierpliwiona niespokojnie poruszała rękami. Widać było, że się denerwuje. Nie chciała się wcale przyznawać do romansu z Frankiem. Wolałaby cofnąć czas, bardziej uważać, nie wpaść z taką łatwością w pułapkę, którą zastawił Alan. Widział teraz, że za wszelką cenę starała się zminimalizować znaczenie kochanka.

– Frank naprawdę nie jest ważny. To miły chłopak, owszem, ale nie jest dla mnie odpowiednim *mężczyzną*, rozumiesz? Gdybym nie była wiecznie sama, nie doszłoby do niczego.

Za każdym razem zaskakiwało go na nowo, z jaką łatwością, z jakim sprytem potrafiła się wytłumaczyć, zbagatelizować swoje grzeszki.

– Aha – mruknął. – Czyli mam rozumieć, że ilekroć w przyszłości poczujesz się samotna albo znudzona, uznasz, że jesteś usprawiedliwiona, wdając się w przelotny romans z innym facetem? Ot tak, dla zabicia czasu? Inni w tym celu zapisują się na kurs języka obcego albo uprawiają sport. A ty szukasz numerku na jedną noc. Dla ciebie to mniej więcej to samo.

– Jeśli tak chcesz na to patrzeć...

– Wydaje mi się, że patrzę na to dokładnie tak, jak jest. Wszystko inne to mydlenie sobie oczu.

Umilkł na chwilę. Ból nie dawał mu spokoju. Nie chodziło tylko o ból spowodowany tym, co się stało. Najgorsza była świadomość, że musi z nią zerwać, jeśli chce zachować choćby odrobinę szacunku do samego siebie. Nadszedł ten moment. Jeśli teraz tego nie zrobi, nigdy w życiu nie spojrzy w lustro z czystym sumieniem.

– Powiedziałem ci, że chcę się z tobą ożenić – ciągnął. – Ale nawet jako moja żona postępowałabyś dokładnie tak samo jak teraz, prawda?

– A skąd niby mam to wiedzieć? Alan, czy naprawdę muszę się akurat teraz deklarować raz na zawsze? Chcesz akurat teraz wiedzieć, jak postąpię w każdej możliwej sytuacji? Co zrobię? Tego nie wie nikt! Nikt nie jest w stanie określić...

– Daruj sobie te banały, Maju! – *Daj sobie z nią w końcu spokój, do cholery!*
– Przestań w końcu owijać w bawełnę! Nie potrafisz być wierna, nawet gdybyś tego chciała, nie jesteś do tego zdolna, nawet gdyby od tego

zależało twoje życie. Taka jesteś i pewnie nawet nie można mieć o to do ciebie pretensji.

Przyglądał się jej uważnie. Choć tego ranka wyglądała okropnie, nawet w takiej chwili ogarniała go czułość na jej widok. „Będę potrzebował sporo czasu – pomyślał i poczuł, jak ogarnia go strach na samą myśl o długich, smutnych godzinach, dniach, gdy będzie się starał wyrzucić ją z serca. – Będę potrzebował naprawdę mnóstwo czasu, zanim o niej zapomnę. A możliwe, że tak do końca nigdy mi się to nie uda”.

– Ale tak dalej być nie może – mówił dalej. – Próbowałem od pięciu lat. Liczyłem na to, że się zmienisz albo że to ja nauczę się akceptować ciebie taką, jaka jesteś. Ani jedno, ani drugie się nie stało i zapewne głupotą z mojej strony było sądzić, że to w ogóle możliwe. Zaoszczędziłbym sobie czasu i energii, gdybym wcześniej dostrzegł beznadziejność moich wysiłków.

Zobaczył błysk niepokoju w jej oczach. Najwyraźniej zorientowała się, że to coś innego niż zazwyczaj. Już nieraz wygłaszał podobne przemowy, słuchała go wtedy, ale widział, że ani przez chwilę nie traktowała jego słów poważnie. „A teraz się denerwuje” – zauważył, ale ta świadomość nie sprawiła mu satysfakcji.

– Alan, powinniśmy... – zaczęła, ale po raz kolejny tego dnia nie dał jej dokończyć.

– Nie, Maju, niczego nie powinniśmy. Poza jednym – rozstać się. To jedyne rozsądne rozwiązanie.

Pochyliła się nad stołem, chciała wziąć go za rękę, ale się odsunął, nie pozwolił się dotknąć.

Zmrużyła oczy.

– Mówisz poważnie?

Odwzajemnił spojrzenie, świadom, że na jego twarzy maluje się cierpienie, ale i determinacja.

– Tak, mówię poważnie. I nie chcę z tym zwlekać. Po śniadaniu spakujesz swoje rzeczy i opuścisz moje mieszkanie.

– A niby dokąd mam iść?

– Do Franka.

– Do Franka? Frank mieszka w malutkim wynajmowanym pokoiku!

Tam nie ma dla mnie miejsca!

– Najwyraźniej jednak znalazło się go dosyć, żeby się tam z nim spotykać i chodzić do łóżka. Myślę, że jakoś sobie poradzisz. Po prostu przez pewien czas będziesz mieszkała w ciasnym wynajmowanym pokoiku. Tak też można, przekonasz się.

Zacisnęła dłoń na papierowej serwetce przy nakryciu, zgmiotła ją odruchowo.

– Boże, Alan – szepnęła cicho. – Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że odchodzę. Jak bardzo mam dość tego mieszkania z tobą! Jesteś nudny, ponury, a do tego jeszcze wyglądasz na starego i zapitego faceta! – Wstawiała powoli, cały czas obsypując go zatrutymi strzałami słów. – Właśnie tak, Alan, ktoś musi ci to w końcu powiedzieć, już nawet nie jesteś przystojny. Owszem, kiedyś byłeś, ale to wszystko przepiłeś. Jezu, jak mogłam być taka głupia, by spędzić z tobą choć jeden dzień! I jedną noc! – Mówiła coraz ciszej, z coraz większym zacięciem. – A w łóżku jesteś zerem, totalnym zerem, rozumiesz? Zmarnowałam tyle czasu! Ale jedno ci powiem. – Pochyliła się nad stołem. Oczy jej rozbłyły. – Będziesz za mną tęsknił, będziesz błagał, żebym do ciebie wróciła, bo nie znajdziesz nikogo. Nikogo, słyszysz? Będziesz tak samotny, tak bardzo samotny, że zaczniesz pić coraz więcej, żeby się z tym uporać. Będzie ci tak źle, że będziesz za mną biegał jak pies za suką. Wiesz co? Bardzo mi ciebie żal, Alan! – cisnęła zmiętą serwetkę na stół i wyszła z pokoju.

Choć wieczór był pogodny i wiał zaledwie delikatny wiaterek, fale wściekle uderzały o brzeg, rozbijały się o skały, zalewały głązy białą pianą, wycofywały się miękko, by po chwili zaatakować z nową siłą. Na dole, w zatoce, człowiek nie słyszałby własnych myśli, ale tu, na urwisku, słychać było tylko cichy szum, jakby wiaterek szemrał wśród liści. Słońce wisiało nad horyzontem jak wielka, rozpalona kula, ścieliło się szeroką złotą drogą na falach, spowijało brązowe skały nieziemsko pięknym światłem. Krajobraz byłby bardzo kiczowaty, gdyby nie jego szorstkość, twardość, nieokrzesanie.

Ten zakątek Guernsey Beatrice kochała najbardziej. To tutaj, na Pleinmont Point, na południowym skrawku Guernsey, mogła przesiadywać godzinami wpatrzona w wodę albo biec z wiatrem we włosach. Kochała dzikość wybrzeża i moc morza. Kochała samotność wyczuwalną w tym miejscu. Pleinmont Point wydawał jej się kopia jej samej – twardy, dziki, wolny, nigdy nie spoczywał, choć sprawiał wrażenie ospałego zakątka. Tu nie było kwiatów ani palm, a jeśli akurat nie zachodziło słońce, jedynymi kolorami były burość skał i zieleń trawy. Wieże twierdzy zbudowanej przez Niemców wznosiły się w niebo brzydkimi szarymi słupami.

Tutaj duma i zdecydowanie splatały się z melancholią i pięknem, które niewielu dostrzegało.

„W każdym razie – pomyślała Beatrice – czuję, że tu jest moje miejsce, czy tu pasuję, czy nie”.

Siedziała w samochodzie, zaparkowała na zakurzonej, nieutwardzonym parkingu dziesięć minut drogi od wieży Pleinmont. Zapaliła papierosa ze wzrokiem wbitym w morze. Z radia cicho płynęła muzyka.

Siedziała tu już prawie od godziny, a minęło ją tylko dwoje spacerowiczów. Mimo pięknego zachodu słońca tylko nieliczni turyści

odkrywali ten zakątek. Beatrice się domyślała, że większość siedziała przy kolacji, było przecież w pół do dziewiątej, albo włączyła się po zatoczkach na południu i wschodzie wyspy, paliła ogniska, spacerowała wzdłuż urwiska.

Wcześniej zawiozła Helene do Kevina i przeprosiła, że nie zostanie na kolacji.

– Wybacz mi, Kevin. Zdaję sobie sprawę, że to nieładnie odwoływać tak w ostatniej chwili, ale dzisiaj niczego nie przełknę. Nie mogę. Ja... – Spojrzała na niego błagalnie, licząc na to, że ją zrozumie. – Nie gniewaj się, ale muszę dzisiaj pobyć sama.

– Rozmawiała z Alanem – wtrąciła się Helene, znacząco unosząc brwi. – A on znowu był... niemiły.

– Przykro mi – mruknął Kevin. Był upiornie blady. Uwadze Beatrice nie uszło, że drżały mu ręce. – Czy znowu był...?

Skinęła głową. W tej chwili nie była w stanie wydobyć z siebie głosu.

– O Boże – szepnął. – Tak mi przykro. – Przeczesał włosy palcami, choć i tak sterczały na wszystkie strony. Rzadki widok, zważywszy na to, jak zawsze dbał o wygląd.

– A gdzie Karin? – zapytał. – Sama dojedzie?

– Kevin, bardzo mi przykro, Karin też nie przyjedzie – odparła. Zagryzła usta. Karin prosiła ją po południu, żeby w jej imieniu poinformowała Kevina, ale po rozmowie z Alanem wszystko wyleciało jej z głowy.

„Wszystkie jesteśmy okropne – stwierdziła. – Kevin przygotował kolację dla trzech osób, a zjawia się jedna”.

– Nieoczekiwanie zjawił się jej mąż – wyjaśniła Helene. – Najwyraźniej potrzebują omówić jakieś przykre sprawy i musiała się z nim dzisiaj spotkać.

Kevin był przerażająco blady.

– A zatem jesteśmy sami – stwierdził. – Mój Boże, myślałem... tyle nagotowałem i...

– Naprawdę mi przykro – powtórzyła Beatrice. – Ale dzisiaj jest zły dzień, dla nas wszystkich.

– Nie dla mnie. – Helene uśmiechnęła się pod nosem. Miała na sobie

sukienkę z błękitnego jedwabiu, z nakrochmaloną halką przywodzącą na myśl szalone lata pięćdziesiąte. Zdaniem Beatrice wyglądała idiotycznie, ale sama chyba była z siebie bardzo zadowolona. – Bardzo się cieszę na nasz wieczór, Kevin – zapewniła. – Miło sobie pogawędzimy, prawda? U ciebie jest zawsze tak miło i przytulnie. A jedzenie pachnie po prostu wspaniale.

Kevin odprowadził Beatrice do samochodu i po raz kolejny zapytał, czy na pewno nie chce zostać, ale zbyła go szorstko, czego oczywiście zaraz pożałowała, bo w końcu to ona zachowała się nieuprzejmie, nie on. Dziwiło ją, że tak bardzo zależało mu na jej obecności, ponieważ zazwyczaj wolał spotykać się z Helene w cztery oczy, bo tylko wtedy mógł bez oporów prosić ją o pieniądze.

„Nie moja sprawa – pomyślała w końcu – teraz nie mam głowy dla Kevina. I bez niego mam dość zmartwień”.

Zduśliła wypalonego do połowy papierosa w popielniczce, otworzyła drzwiczki, wysiadła. Zapragnęła świeżego powietrza, musiała się przejść. O tej porze wiał zimny wiatr, więc ciasniej otuliła się kurtką. Ruszyła ścieżką, skręciła jednak w lewo, na łąkę, nad którą wznosiły się wielkie spiętrzone głązy. Tu nie było już dróżki, podłoże było kamieniste i nierówne, ale przed sobą miała już tylko morze i urwisko, łąki i samotność. Przeszywające poczucie wolności, którego doświadczała, ilekroć tu przyszła, zjawilo się i tym razem, ale miała zbyt wiele zmartwień, by mu ulec.

Przez pół dnia walczyła z sobą, czy ma zadzwonić do Alana, i ciągle miała wrażenie, że wewnętrzny głos radzi, by tego nie robiła. Potem rozmawiała z Karin, która nie widziała nic dziwnego w tym, by się z nim skontaktowała. Aż sama pomyślała: „No właśnie, właściwie co w tym złego? Chcę porozmawiać z synem, zapytać, co u niego słychać. Najnormalniejsza rzecz pod słońcem”.

O czwartej zadzwoniła do kancelarii, gdzie dowiedziała się, że odwołał wszystkie spotkania i został w domu. Zaniepokojona zadzwoniła pod numer domowy. Minęły całe wieki, zanim ktoś podniósł słuchawkę. Już miała się rozłączyć, gdy Alan odebrał w ostatniej chwili. W pierwszym momencie go nie poznała; a potem wiedziała, że to on, i była przerażona.

Nawet teraz, na łące skąpanej w złotoczerwonym blasku zachodzącego słońca, czuła lodowaty chłód i przenikliwy ból tamtej chwili. Pamiętała każde słowo, każde przeciągające się milczenie, każdy głośny oddech.

– Kto tam? – zabełkotał głos w słuchawce.

Odpowiedziała:

– Halo?

– Kto tam? – powtórzył głos i w tym momencie poczuła, jak niewidzialna pięść boleśnie zaciska się na jej wnętrznościach.

– Alan?

– Tak. A kto mówi?

– Ja. Beatrice. Mama. Alan, jesteś chory? Masz dziwny głos.

Wiedziała, że nie jest chory, ale rozpaczliwie czepiała się desperackiej nadziei.

Długo trwało, zanim odpowiedział, jakby samo zebranie myśli sprawiało mu nie lada trudność.

– Mama?

– Tak. Alan, jak się czujesz? Wszystko w porządku?

– Och... oczy... wiście. Wszystko jest w najlepszym... porządku. – Mówił powoli, zjadał sylaby. – A... u... ciebie?

– Alan... – W jej głosie pojawiły się wysokie, nerwowe nuty. – Piłeś?

– O Boże... mam... Czy... dla... tego... dzwonisz? – Bełkotał tak strasznie, że prawie go nie rozumiała.

– Alan! – Miała wrażenie, że musi go ratować, utrzymać przy sobie choćby jego głos. – Dlaczego piłeś? Jest środek dnia! Dlaczego nie jesteś w pracy?

– Whisky – wykrztusił. – Tylko... jedną... whisky.

– Nie, to nie była jedna whisky. To było co najmniej kilka. Podwójnych. Jesteś pijany.

– To bz... bz... bzdura. Prze... sadzasz. – Mówił z wielkim wysiłkiem. – Nie... przejmuj się. U mnie wszystko w porządku. Naprawdę.

– Nie, nie w porządku, skoro pijesz w środku dnia. Gdzie Maja?

– Maja?

– Tak, Maja! Mieszka z tobą od dwóch tygodni. Gdzie jest?

– Jej... nie ma.

– A gdzie jest?

– Ja... nie wiem.

– Nie wiesz? Musisz to wiedzieć, skoro razem mieszkanie. Alan, skup się na chwilę! – Desperacko usiłowała wyrwać z zamroczonego alkoholem umysłu choć strzępy wspomnień. – Gdzie Maja? Pokłóciliście się?

Nie rozumiał, o co go pyta, usiłował ją zbyć bezsensownymi ripostami, bełkotał coś o głośnym procesie, w którym brał udział w zeszłym roku, a wszystko to było przetykane tak długimi przerwami, że Beatrice myślała, że w ogóle się rozłączył. A potem znowu coś bełkotał, paplał bez sensu, a raz roześmiał się głośno i tak rozpaczliwie, że myślała, że serce jej pęknie. W końcu, po niemal godzinie, udało jej się poskładać strzępy informacji w spójną całość: Maja odeszła na zawsze, a raczej, sam ją wyrzucił.

– Jest teraz u Franka – wyjaśnił po dłuższej chwili, podczas której usiłował sobie przypomnieć, jak miał na imię jej najnowszy kochanek. – Powiedziałem jej, że... że ma tam zostać.

– I bardzo dobrze, Alan. To jedyne rozsądne rozwiązanie. Posłuchaj mnie. – Mimo rozpacz starła się mówić konkretnie i rzeczowo. – Alan, nigdy więcej się z nią nie zobaczysz, rozumiesz mnie? Maja nie jest dla ciebie dobra. Za każdym razem jest to samo. Między wami się nie układa, a ty nie możesz sobie z tym poradzić. Słyszysz mnie? Rozumiesz, co mówię?

W końcu wymusiła na nim obietnicę, że nie będzie się więcej kontaktował z Mają, ale podejrzewała, że sam do końca nie wiedział, co mówi. Tłumaczyła mu, że powinien przestać pić, iść do łóżka i tego dnia już nie sięgać po alkohol. Obiecał też to, choć nie wierzyła, by dotrzymał słowa. Wypije wszystko, co zgromadził w mieszkaniu, a na pewno miał spore zapasy.

Skończyła rozmowę pogrążona w rozpacz. Nie wiedziała, co robić, bez sensu krążyła po całym domu, aż w końcu trafiła do ogrodu i zabrała się do pielienia różanych rabatek, mimo drżących rąk i nóg jak z waty.

W pewnym momencie wróciła Karin, blada jak ściana.

– A gdzie pani mąż? – zapytała Beatrice raczej odruchowo, bo w tej chwili w ogóle jej to nie obchodziło.

– Byliśmy na kolacji w hotelu Chalet – wyjaśniła Karin – nad zatoką

Fermain. Mieli jeszcze wolny pokój, więc tam przenocuje. – Wydawała się spięta, niespokojna.

„Dzisiaj nie jest dobry dzień” – pomyślała Beatrice.

– Nie mogę dzisiaj jechać do Kevina – dodała Karin. – Muszę jeszcze raz spotkać się z Michaeliem. My... Trzeba ustalić mnóstwo spraw i dlatego musimy się jeszcze raz zobaczyć. Gdyby mogła mi pani podać numer telefonu do Kevina...

– I tak idę do domu, sama do niego zadzwonię – zapewniła Beatrice i wstała z trudem. Nie było sensu dalej zajmować się różami. Było jej niedobrze, czuła, że lada chwila załamie się zupełnie.

Weszła do domu, ale nagle zabrakło jej siły, żeby zadzwonić do Kevina; odsuwała to od siebie i poszła do swojego pokoju. Została tam aż do kolacji. W końcu usłyszała, jak Helene szykuje się w łazience. Jak prawie zawsze, starsza pani nuciła coś sobie pod nosem, bardzo z siebie zadowolona. Beatrice poczuła wzbierającą agresję.

„Karin jest w kiepskiej formie, ja też – pomyślała ze złością – ale ona niczego nie zauważa i udaje, że wszystko jest w porządku”.

Karin ubrała się w końcu na spotkanie z Michaeliem; wybrała nową krótką sukienkę, którą kupiły z Helene w St. Peter Port. Lekko muśnięta słońcem, ze świeżo umyтыми włosami i umalowanymi ustami wyglądała lepiej niż kiedykolwiek, mimo powagi i smutku.

„Jej mąż zrobi wszystko, żeby ją odzyskać – stwierdziła Beatrice – ale nie sądzę, żeby mu się to udało”.

A teraz biegła wzdłuż urwiska, bo nie mogła znieść myśli o kolejnym wieczorze z Helene. Gdyby była sama z Kevinem, opowiedziałyby mu o telefonie Alana, zwierzyła się z tego, co leżało jej na sercu, ale nie zniosłyby komentarzy Helene. Nie chciała jej nic mówić. Fatalny stan Alana to nie była jej sprawa. Zresztą Helene i tak się czegoś domyślała; słyszała urywki rozmowy, a reszty mogła się domyślić. Wiedziała przecież, na czym polegał jego problem. Podobnie jak wszyscy na Guernsey i zapewne sporo osób w Londynie.

„O Boże, wiedziałam – powtarzała w myślach. – Wiedziałam, wiedziałam, wiedziałam. Kiedy tylko usłyszałam, że Maja do niego pojechała, wiedziałam, jak to się skończy”.

Biegła szybko i ciężko dyszała. Wspięła się na głaz, który blokował jej drogę. Oparła dłonie o szorstką powierzchnię jeszcze ciepłą od słońca. I jak zawsze miała wrażenie, że z głębi kamienia płynie ku niej siła. Ten czar nigdy nie zawodził, nawet w tak strasznym dniu czerpała z niego pociechę. Uspokoiła się trochę, wzięła się w garść. Usiadła na głazie, ukryła twarz w dłoniach.

„Cholera, on się nigdy nie uwolni – stwierdziła. – Nie da rady. Zawsze coś wpycha go na nowo w szpony nałogu”.

Tak bardzo ją poruszył jego głos w telefonie, bo wiedziała, co to oznaczało, wiedziała, w jakim był stanie, że wypił tyle, że nie mógł ustać o własnych siłach, że zawodził go język, że był jak małe dziecko, nie był w stanie sformułować logicznej myśli, a cóż dopiero wypowiedzieć ją do końca. Widziała go w takim stanie niezliczoną ilość razy.

„Kiedy był pierwszy raz?” – zastanawiała się. Szukała w pamięci; miał wtedy chyba dwadzieścia jeden, może dwadzieścia dwa lata. Studiował już i przyjechał na Guernsey na wakacje. Okazało się, że miał problemy, o których mówił niechętnie i stopniowo. O ile sobie przypominała, chodziło o zaważone egzaminy. Kiedy raz to z siebie wyrzucił, nie mógł przestać; najwyraźniej bardzo go gryzło, dniami i nocami. Ani ona, ani Helene nie widziały nic strasznego w czymś, co on postrzegał jako klęskę, ale z perspektywy czasu Beatrice miała do siebie pretensję, że nie słuchała wtedy uważniej.

Nie wraca się w kółko do tego samego tematu, jeśli nie leży on człowiekowi na sercu. Pewnej nocy słyszała, jak po powrocie do domu przewrócił się i spadł ze schodów, wybiegła z pokoju i od razu uderzył ją smród alkoholu. Alan leżał na najniższym stopniu i jęczał głośno. Koszula wysunęła mu się ze spodni, marynarkę porzucił gdzieś w holu. Jego włosy sterczały w nieładzie, twarz pokrywał rumieniec.

– Cześć... mamó – wybełkotał. Usiłował wstać, ale zaraz znowu osunął się na ziemię.

– Na miłość boską, Alan, coś ty zrobił? – Pochyliła się nad nim, uniosła mu głowę, musnęła palcami rozpalone policzki.

– Niedobrze mi – sapnął.

Oczywiście tymczasem obudziła się także Helene. Wyszła na korytarz.

Była w szoku, o krok od hysterii.

– Nie! Co tu się dzieje!? Alan jest ranny? Dobry Boże, chyba nie jest pijany? Przerażliwie cuchnie alkoholem! Myślisz, że on...

– Tak – odparła krótko Beatrice. – To się zdarza młodym mężczyznom. A teraz pomóż mi zaprowadzić go do pokoju.

Razem zaciągnęły Alana na górę. Po drodze zdążył zwymiotować, co ponownie przyprawiło Helene o dreszcz. Przesadzała teatralnie, jak uznała wtedy Beatrice. Dzisiaj zastanawiała się, czy już wtedy przeczuwała, że to początek tragedii.

Alan leżał na łóżku i cały czas gadał, cały czas opowiadał o oblanym egzaminie. Beatrice rozebrała go, obmyła i prosiła, żeby przestał zawracać sobie głowę egzaminem, może go przecież powtórzyć i wkrótce wszystko pójdzie w zapomnienie. Powtarzała sobie, że to tylko jednorazowa wpadka i dlatego upił się do nieprzytomności. Każdemu to się zdarza, prawda?

Jemu zdarzało się do końca wakacji, dzień w dzień. Wychodził wieczorem z przyjaciółmi i wracał zalany w pestkę. Kilka razy nie wrócił. Szukała go wtedy i znajdowała w porcie na ławce, na kamieniach. Leżał w kałuży wymiocin. Zdawała sobie sprawę, że to nie jest normalne. Zdarzało się za często, pił za dużo. Nie pił ot tak, wydawało się, że chce się zapić na śmierć. Jakby życie było dla niego nie do zniesienia, jakby chciał z niego uciec, najlepiej na zawsze. Beatrice czepiała się nadziei, że to tylko w czasie wakacji, tych wakacji. Kiedy wróci na uczelnię, kiedy będzie musiał się uczyć, nie będzie mógł sobie pozwolić na takie eskapady. Będzie musiał nauczyć się żyć inaczej.

Ale nie potrafił żyć inaczej, w każdym razie nie na długo. Bywało, że pił mniej, ale to oznaczało tylko, że ograniczał alkohol do minimum niezbędnego, żeby móc normalnie funkcjonować. Musiał jednak codziennie wypić pewną ilość, dzięki której czuł się dobrze – i był przy tym elokwentny, pewny siebie, skuteczny. Jeśli wypijał mniej, zaczynał się denerwować, pojawiało się rozedrganie. Jeśli wypił więcej – zalany w pestkę leżał w kącie martwy dla świata. Przez dłuższy czas udawało mu się tym sposobem mydlić oczy wszystkim w otoczeniu, nawet Beatrice. Kto nie wiedział, czego szukać, po czym poznać alkoholika – skóry o rozszerzonych porach, żółtego odcienia policzków, ciemnych worków

pod oczami – widział w nim zdrowego, solidnego mężczyznę, który może czasami wyglądał nie najlepiej, ale to zapewne skutki przepracowania i stresu. Beatrice potrzebowała wielu lat, żeby się zorientować, że syn pije nałogowo. Że potrzebował procentów, by zmierzyć się z problemami życia codziennego, z wyzwaniem zawodowymi, kłótniami z kolegami, kłopotami w związku. Później nie pamiętała już, po czym w końcu poznała; ta myśl formowała się powoli, stopniowo, w tym czasie uczyła się dostrzegać symptomy, mieć oczy i uszy otwarte. W pewnym momencie nie mogła się już dłużej oszukiwać. Jej syn był alkoholikiem i chyba nie było sposobu, by mu pomóc. Mogła mu tylko raz za razem dawać do zrozumienia, że przy nim jest. Że zawsze, ze wszystkim, może się do niej zwrócić.

Siedziała na gładzie, patrzyła, jak słońce zapadało się w morze, i pomyślała rozdrażniona, że tak naprawdę zaczęło być źle, gdy po raz pierwszy związał się z Mają. Co on, do cholery, widział w tej małej puszczałskiej, która nie dorastała mu do pięt? Tak, była bardzo ładna, ale na świecie jest mnóstwo pięknych kobiet, a wiele z nich ma też styl i klasę do kompletu i kieruje się w życiu pewnymi zasadami moralnymi. Alan był przystojny, miał ciekawy zawód. Beatrice wiedziała, że podobał się kobietom. Dlaczego musiał się zakochać w najgorszej kobiecie na Guernsey?

I oczywiście znowu poszło nie tak. Jak zawsze, i poza nim wiedzieli to już wszyscy bez wyjątku. Podobno Maja przez dwa tygodnie trzymała się w karbach, a potem stara natura wzięła górę. Czy raczej nigdy nie zniknęła, tylko dwa tygodnie trwało, zanim Alan się zorientował.

Mae, biedna głuptaska! Jako jedyna oprócz Alana wierzyła jeszcze, że Maja się zmieni.

„A tak się oburzała, kiedy zwierzyłam się z moich zmartwień – myślała Beatrice. – Powtarzała, że przesadzam. Oburza się, ilekroć ktoś powie złe słowo na jej pupilkę. Chyba do końca życia będzie widziała w Mai małe niewiniątko”.

Zadrzała. Słońce już zaszło i zaraz zrobiło się zimno. Niebo nad zachodnim horyzontem jeszcze mieniło się czerwienią, ale znad gładów i łąk nadciągał już mrok. Wiedziała, co będzie dalej: Alan nie poprzestanie

na jednym pijaństwie, przez kolejne dwa tygodnie będzie się upijał do nieprzytomności dzień w dzień. Zniknie z życia, będzie nieosiągalny, zawali wszystkie terminy zawodowe. Jego sekretarka, na szczęście wierna i bardzo dyskretna, będzie załamywała ręce i robiła, co w jej mocy, by jakoś ratować sytuację, będzie rozpaczliwie wymyślała wymówki i usprawiedliwienia, żeby jej szef chociaż wobec klientów zachował twarz. Beatrice domyślała się, że przychodziło jej to z coraz większym trudem. Oczywiście w prawniczym świecie od dawna było wiadomo, że Alan Shaye pije i nikomu nie zależało na dyskrecji, nikt nie przejmował się jego reputacją. To tylko kwestia czasu, zanim znikną pierwsi klienci. Wszystko będzie zależało od tego, jak często zaczną zawałać terminy. Nikt tego nie zniesie na dłuższą metę. Ludzie po prostu poszukają sobie innego prawnika i Beatrice przypuszczała, że wielu tak właśnie zrobiło, tylko Alan jej o tym nie mówił. Maja zniszczy mu nie tylko zdrowie, mogła też przyczynić się do jego finansowej ruiny.

Beatrice wiedziała też, nauczyły ją tego lata bolesnych doświadczeń, jak dalek będzie wyglądał związek Alana i Mai. Rozstał się z nią i teraz bardzo cierpiał, a ona robiła, co chciała, i spokojnie czekała na odpowiedni moment. Wiedziała doskonale, że przyjmie ją z otwartymi ramionami, że będzie błagał, by do niego wróciła. Przez mniej więcej dwa tygodnie będzie pił na umór, potem poczłapie do biura, blade jak trup, umęczony, wymizerowany, nieszczęśliwy, jakby dopiero co przeszedł przez piekło, które zostawiło na nim swoje piętno, ale przynajmniej chwilowo wraca do świata żywych. Piekło było w nim i nie trzeba było wiele, by znowu tam wrócił. Najpierw jednak przebrnie przez dzień pracy, ograniczy picie do „dziennej normy” (przy czym po każdym ciągu było to trochę więcej niż poprzednio). Będzie cierpiał, samotność będzie mu doskwierała, wypełni każdą komórkę jego ciała i duszy, będzie mu odbierała energię i zdrowie. W okresach bez Mai najgorsza była wewnętrzna samotność – i na nią właśnie liczyła Maja, planując powroty. W pewnym momencie cierpiał za bardzo. Wyrzucał do śmieci dumę, poczucie własnej wartości, wszystko. Ona twierdziła, że się zmieni, on chciał jej uwierzyć, czepiał się rozpaczliwie nadziei i zmierzał w stronę kolejnej katastrofy.

Wstała, ciaśniej otuliła się kurtką, choć to niewiele dawało przy

zimnym wietrze od morza. A poza tym drżała od wewnątrz, a na to nie pomoże nawet najgrubsza wełna.

„Chciałabym, żeby Maja nie żyła” – pomyślała, idąc do samochodu. Rozpacz była jak przenikliwy ból. Nie przeraziła ją intensywność tego pragnienia. „Chciałabym, żeby już jej nie było”.

Wsiadła do wozu, czuła się mała i zagubiona. Dręczyły ją wyrzuty sumienia, bo przecież to także jej wina. Alan był jej synem. Nie upilnowała go.

Nie chciała wracać do domu. Siedząc w samochodzie, wpatrywała się w noc zapadającą nad wyspą.

Siedzieli w Old Bordello, restauracji tak kiczowatej, jak sugerowała jej nazwa, i nie zwracali najmniejszej uwagi na ziewanie i pochrząkiwania kelnerów, którzy snuli się po sali, wyraźnie czekając tylko na to, aż w końcu poproszą o rachunek i sobie pójda. Byli jedynymi gośćmi. Wcześniej niedaleko siedziała jeszcze jedna para, ale tamci szybko zjedli i wyszli. Karin się wydawało, że w ciągu ostatnich pięciu minut ktoś pogłośnił muzykę. Chcieli im utrudnić rozmowę. Chcieli ich po prostu wypłoszyć.

Tylko że oni nie rozmawiali, i to już od dobrych trzydziestu minut. Michael zamówił jeszcze jeden koniak i obracał kieliszek w dłoni, jakby chciał odłamać mu nóżkę. W kieliszku znajdowała się jeszcze odrobina trunku, jasnozłota plama barwiła przezroczyste dno.

„Po co go trzyma? – zastanawiała się. – To pretekst, który pozwala mi tutaj tak długo siedzieć? A może chce mnie zatrzymać? Wie doskonale, że w każdej sytuacji jestem idiotycznie uprzejma. Nie wstanę, nie odejdę, póki któryś z biesiadników ma jeszcze coś na talerzu czy w kieliszku”.

Zażyła tabletkę, żeby przetrwać ten wieczór, a potem wsiadła do samochodu i pojechała po Michaela do hotelu. Chciała, żeby sam wybrał restaurację, ale od tak dawna nie było go na Guernsey, że żaden lokal nie przychodził mu do głowy. Pojechali do portu, zaparkowali i szli drogą wzdłuż wybrzeża, gdy nagle Michael stwierdził:

– Popatrz, ta restauracja nazywa się Old Bordello! Zabawne, prawda?

Wejdźmy tam.

Według Karin o atmosferze tego wieczora można było powiedzieć wiele, ale na pewno nie, że była zabawna, dlatego nie całkiem rozumiała, o co mu chodzi. Było jej obojętne, gdzie zjedzą, ale się zgodziła. Usiedli przy oknie z pięknym widokiem na twierdzę Cornet. Choć właściwie to także nie miało znaczenia. W grę wchodził rozwód. Przy takiej stawce nastrój schodził na dalszy plan.

Michael początkowo niechętnie, z pewnym trudem, silił się na konwersację, puste pogaduszki o pogodzie, o wyspie, o mentalności mieszkańców.

– Recepcjonistka w hotelu opowiadała mi, że dziewiątego maja cała wyspa świętuje – mówił. – Są parady, pochody, mnóstwo kwiatów... Może zostaniemy jeszcze tydzień, żeby to zobaczyć? Wiesz, ze względu na moją pracę nie bardzo mogę sobie na coś takiego pozwolić, ale wyjątkowo, na kilka dni, mógłbym zaszaleć. Zamknąć oczy i o niczym nie myśleć. Co ty na to?

W tym momencie po raz drugi poruszyła najważniejszy temat.

– Nie chcę spędzać z tobą urlopu – powiedziała. – Chcę porozmawiać o tym, jak zorganizujemy nasz rozwód.

Kelner przyniósł jedzenie i Michael odczekał chwilę, zanim odpowiedział, choć przecież mężczyzna i tak zapewne nie zrozumiałby ani słowa z prowadzonej po niemiecku rozmowy.

– Jesteś rozdrażniona i podekscytowana – stwierdził. – Wbiłaś sobie coś do głowy... Dlatego uznałem, że popełniłaś błąd, tak po prostu wyjeżdżając bez słowa. Rozumiem, że mój... romans mógł wyprowadzić cię z równowagi. – Nieco zakłopotany grzebał widelcem w talerzu. – Przepraszam – powiedział w końcu. Ci, którzy go znali, doceniliby wyjątkowość tej chwili. Karin nie przypominała sobie, żeby Michael kiedykolwiek kogokolwiek za cokolwiek przeproszał. – Postąpiłem niewłaściwie. Sprawilem ci przykrość. Skończę z tym i to się już nigdy nie powtórzy.

– Michael...

Podniósł rękę.

– Chwileczkę, chciałem jeszcze tylko dodać, że w takich sytuacjach

ucieczka to niewłaściwa reakcja.

„Ależ oczywiście – pomyślała – przecież to byłby pierwszy raz w historii, że postąpiłabym właściwie”.

– Nie wolno zamykać się w sobie i zaszywać na odludziu. Zdaję sobie sprawę, że chciałaś spojrzeć na wszystko z dystansu, że chciałaś być sama. Ale w takich sytuacjach człowiekowi przychodzą do głowy różne głupstwa, bo kręcimy się w kółko w więzieniu własnego umysłu. Sama to widzisz po sobie. Wymyśliłaś rozwód, co moim zdaniem jest wielką przesadą.

Odepchnęła od siebie talerz. Nagle zwątpiła, że zdołałaby przełknąć choćby kęs.

– To nie jest przesada – zauważyła. – I nie wymyśliłam tego w więzieniu mego umysłu, jak to określiłeś. Szczerze mówiąc, aż do dzisiejszego ranka w ogóle o tym nie myślałam. Dopiero kiedy stanąłeś w progu... – Zastanawiała się, jak ująć w słowa to, co czuła. – W jednej chwili zrozumiałam, że musimy się rozstać. Widzisz, to nie był efekt rozważań. To była wiedza. Nie musiałam się nad tym zastanawiać. Po prostu wiedziałam, że tak dalej być nie może.

– Boże, czyli jest jeszcze gorzej, niż myślałem. – Michael także odsunął od siebie talerz i zapalił papierosa. – Przecież to klasyczna decyzja impulsywna! Jakaś myśl przychodzi ci do głowy, myśl niosąca ogromne, trudne do wyobrażenia konsekwencje, a ty od razu wmawiasz sobie, że to głęboka wiedza, i hop, zaskakujesz mnie rozwodem, i nawet nie chcesz o tym porozmawiać.

– Gdybym nie chciała z tobą rozmawiać, nie byłoby nas tutaj. Po dziesięciu latach nie odejdę bez słowa. Owszem, możemy rozmawiać, ale to niczego nie zmieni, ponieważ sama, choćbym chciała, nie zdołam niczego zmienić. Nie mogę. Tak dalej być nie może. Zrozum to, nie mogę z tobą zostać, także czysto fizycznie.

Przyglądał jej się niespokojnie.

– Nie chcesz ze mną spać? Ale przecież i tak rzadko...

– Przecież tu nie chodzi o seks! – Widziała, że nie pojmował, co miała na myśli. – Dzisiaj rano fizycznie poczułam strach. Oddychałam nerwowo, ugięły się pode mną nogi, miałam ręce mokre od potu. Boże, Michael,

przyznasz chyba, że to nie jest normalne. Żadna kobieta nie powinna tak reagować na bliskość swojego męża.

– Oczywiście, że nie, ale czy to nie jest typowa dla ciebie reakcja? Posłuchaj, ja naprawdę jestem gotów przyznać, że część winy leży po mojej stronie...

„Nie, właśnie na to nie jesteś gotowy” – pomyślała.

– Ale nie zgodzę się, że tak reagujesz tylko i wyłącznie na mnie. Tak samo reagujesz dosłownie na wszystko. Ty... taka jesteś! Panikujesz, boisz się własnego cienia, jesteś nerwowa i – przepraszam za słowo – rozhisteryzowana. I właśnie dlatego poniosłaś klęskę na gruncie zawodowym.

– Nawet jeśli to prawda, ty przynajmniej powinieneś udzielić mi wsparcia, może nie?

– Och, teoretycznie tak, i wydaje mi się, że zrobiłem wiele, by ci to wsparcie dać. – Patrzył na nią urażony, obrażony, że nie doceniała jego wysiłków. – Ale najwyraźniej niewiele to przyniosło. Nigdy nie chciałaś przyjąć ode mnie pomocy. Chciałem cię wspierać, tłumaczyłem ci, co zrobiłbym na twoim miejscu, a czego nie, ale wtedy mi zarzucałaś, że cię ubezwłasnowolniam i krytykuję. Choćbym nie wiem co dla ciebie robił, nic ci nie odpowiada.

Ból głowy znowu o sobie przypomniął, delikatnie, subtelnie, ale Karin poczuła go, wiedziała, że będzie narastał z minuty na minutę. Ból pojawiał się zawsze podczas każdej dyskusji z Michaeliem. Może wiązało się to z intensywnością jego słów, a może z wiecznymi wyrzutami, które jej robił bez względu na to, czego dotyczyła rozmowa. „Zadziwiające, że on nie dostrzega, że to wszystko nie ma już sensu – stwierdziła ze zdumieniem – że nie widzi, jakie to wszystko chore i zmarnowane”.

No tak, zreflektowała się. Nie czuje tego, bo nigdy nie był w ich małżeństwie tak zestresowany jak ona. To nie *jego* upokarzano na każdym kroku. Nie *jego* wiecznie atakowano. Nie *on* dzień w dzień kwestionował swoje decyzje, swoje opinie, wszystko. Zapewne jeszcze nigdy tak bardzo nie bolała *go* głowa. Po prostu jego życie wyglądało zupełnie inaczej.

Kelner zobaczył, że oboje odsunęli od siebie talerze i podszedł zaniepokojony.

- Czy państwu nie smakuje?
- Nie jesteśmy głodni – warknął Michael. – Proszę to zabrać.
- Ale...
- Proszę to zabrać. I podać mi wódkę!

Kelner oddalił się, wynosząc talerze z nietkniętymi potrawami. Michael palił, zaciągając się chciwie.

- Nie wiem, co cię opętało – mruknął. – Ale tu, na Guernsey, coś ci się poprzestawiało w głowie. Na Boga, znasz się przecież! Tygodniami bałaś się wychylić nos z domu, żeby iść do sklepu, obawiałaś się ataków paniki, więc po prostu siedziałaś w czterech ścianach. Zastanów się, jak niby taka osoba jak ty mogłaby mieszkać sama. Przecież zanim wyjrzysz za próg, musisz się naszpikować prochami.

- A jednak jakoś dojechałam na Guernsey – zauważyła. – I nie wiem, czy w to uwierzysz, czy nie, ale tutaj zdarza mi się chodzić do sklepów. A teraz siedzę z tobą w restauracji i nie widzisz chyba żadnych oznak paniki.

- Pewnie zażyłaś tabletki.

- Tak, ale dawniej też to robiłam, a mimo to nie radziłam sobie z najprostszymi sprawami.

„Powinnam coś zjeść – upomniała się – z głodu głowa rozboli mnie jeszcze bardziej. Ale nie przełknę ani kęsa”.

- Guernsey to mały, zamknięty w sobie światek, który zapewne daje ci poczucie bezpieczeństwa – stwierdził Michael. – Ale to tylko złudzenie. Prędzej czy później będziesz musiała wrócić do rzeczywistości, a tam nadal będą stare problemy.

- Może zostanę na Guernsey – odparła.

Michael wpatrywał się w nią z niedowierzaniem.

- Na Guernsey? A co ty chcesz tu robić?

- Żyć.

- Żyć? A z czego, pozwolę sobie zapytać?

- Przez pewien czas zdołam się utrzymać z tego, co dostanę po podziale naszego majątku. A potem zobaczą.

- Aha. Wreszcie mówisz otwarcie. Chodzi ci o pieniądze.

- Przypuszczam, że należy mi się połowa naszego wspólnego majątku.

Takie jest prawo.

– A więc o to ci chodzi! Chcesz mnie puścić z torbami i uciec. Pewnie się łudzisz, że dostaniesz więcej niż połowę, ale ja...

Ból atakował z oszałamiającą intensywnością. Rzadko doświadczała czegoś takiego. Miała wrażenie, że drapieżne zwierzę wbija jej pazury w mózg.

– Chcę tylko to, co mi się należy. Ale o tym wszystkim porozmawiamy później. Jakoś dojdziemy do porozumienia. Powinniśmy zrobić, co w naszej mocy, żeby nasze rozstanie przebiegło w sposób w miarę cywilizowany i bezbolesny.

Michael zapalił kolejnego papierosa. Zaczerwieniona skóra wokół nosa zdradzała, że był bardzo zdenerwowany.

– Nie do wiary – powtarzał. – Nie do wiary! Siedzimy tu, na tej cholerniej wyspie, pierwszego maja i rozmawiamy o rozwodzie! Nie do wiary!

– W pewnym momencie oboje poczujemy ulgę – zapewniła.

Wyjęła z torebki tabletkę aspiryny i wrzuciła do szklanki z wodą.

– Przepraszam, muszę to wypić.

Po tych słowach zapadła cisza, którą od czasu do czasu przerywały zarzuty i pretensje Michaela, a także snute przez niego ponure wizje przyszłości Karin.

Zdażył też zamówić sobie wino i koniak oraz zapalić kolejnego papierosa. Karin twardo trzymała się wody, z ulgą stwierdziła, że ból głowy ustępuje i czekała na koniec tego wieczoru. Z przerażającą intensywnością chciała być jak najdalej od Michaela. Wydawało jej się, że zasady dobrego wychowania kazały jej wytrzymać do końca kolacji, pozwolić, by Michael wyrzucił z siebie wszystko, co chodziło mu po głowie, nawet jeśli w dużej mierze były to jad i trucizna. To ona chciała rozstania i tym samym musiała odpokutować, siedząc tu z nim i wysłuchując jego narzekania. W najgorszym razie łyknie jeszcze jedną aspirynę.

„Ale wkrótce – powtarzała sobie – w niedalekiej przyszłości, będzie po wszystkim. Nigdy więcej się nie zobaczymy. On pójdzie swoją drogą, ja swoją i nie będzie między nimi żadnych punktów styecznych”.

Szukała w sobie smutku na tę myśl, a przynajmniej poczucia straty, i nie znalazła niczego. Zobaczyła za to co innego, jeszcze ukryta pod stertami zapomnianego bólu i starych lęków iskrzyła się radość, szczęście niemal przerażające swoją intensywnością i witalnością. Wewnętrzny głos przywoływał ją do porządku, ale drugi, nowy, twierdził, że dość już rozsądku. Coś się zmieniło, a był to dopiero pierwszy krok, na razie jednak nieufnie przyglądała się propozycji, którą składało jej życie. Zbyt długo żyła bez odrobiny szczęścia, bez radości. Nie miała pojęcia, jak się z nimi obchodzić.

Na krótko przed północą zdenerwowany kelner ponownie podszedł do stolika.

– Zamykamy o dwunastej – szepnął. – Gdybym mógł podać państwu rachunek...

– Sam zdecyduję, kiedy wyjdę – warknął Michael. Był już pijany i szukał ujścia dla agresji. Karin wyczuwała, że rzuci się na kelnera, jeśli ten da mu choćby cień pretekstu. Szybko sięgnęła po torebkę.

– Poproszę o rachunek – powiedziała. – Ja się tym zajmę.

– Pozwalasz, żeby ten typ cię poganiał? – wybełkotał Michael. – Moja żona pozwala, żeby pingwin wyrzucał ją z knajpy? Ty...

– Wystarczająco długo tu siedzimy – wpadła mu w słowo Karin. – Niech personel restauracji też ma wreszcie wolne. Właściwie powinniśmy już dawno...

– Niczego *dawno* nie *powinniśmy!* No jasne, cała ty! Ktoś coś mówi, a ty od razu podkulasz ogon. Uciekasz, gdy tylko człowiek otwiera usta. Jesteś tak uległa, że to mi się w głowie nie mieści. Ty...

– Michael! – szepnęła błagalnie.

Podniósł głos. Kelnerzy zerkali na nich z irytacją.

– Nie będziesz mi mówiła, kiedy mam się zamknąć! Nie skończyłem jeszcze.

– Jestem zmęczona – mruknęła. – Chcę do domu.

– Chcesz do domu? Chcesz skończyć tę rozmowę? I co, myślisz, że ci się to uda? Rzucasz mi w twarz słowo „rozwód”, a potem oznajmiasz, że jesteś zmęczona i chcesz do łóżka?

– Nie mamy nic więcej do omówienia – zauważyła Karin. – I dlatego nie

ma sensu dłużej tu siedzieć.

Kelner przyniósł rachunek. Karin położyła na stoliku kilka banknotów.

– Jeszcze nie skończyliśmy – upierał się Michael.

Wstała. Nogi się pod nią ugiwały, dzień odcisnął piętno na jej nerwach, ale uważała, że w ogólnym rozrachunku dobrze sobie poradziła.

– Ależ tak, Michael – stwierdziła. – Skończyliśmy.

To jego sprawa, jak wróci do hotelu. Są przecież taksówki. To już nie jej problem. Wyszła z restauracji. Czując na sobie jego zdumione spojrzenie, podeszła do samochodu.

Wiedziała, że w tej chwili dotarło to do niego w pełni: nie ma sensu o nią walczyć, decyzja zapadła.

Otworzyła drzwiczki samochodu, usiadła za kierownicą. Przed nią widniał zamek Cornet. Morze obmywało ciemną plażę.

„Jestem wolna” – pomyślała. Było to porażające, przytłaczające uczucie i na moment zamknęła oczy. „Jestem wolna. I sama sobie tę wolność wywalczyłam. Nikt mi jej nie przydzielił, nie narzucił, nie wydał łaskawie. *Sama ją sobie wzięłam*”.

Uniosła powieki. Zdawała sobie sprawę, że zwątpienie i lęki powrócą, nie dadzą jej spokoju. Ale w tej chwili przepętniała ją tak bezgraniczna moc, że sama myśl o tym zapierała dech w piersiach.

„Muszę na zawsze zapamiętać tę chwilę – pomyślała – do końca życia. Muszę pamiętać, że ta moc istnieje, bo przecież nie czułabym jej, gdyby było inaczej. Jest we mnie. Na zawsze we mnie zostanie, muszę tylko mieć tego świadomość”.

Odczekała kilka chwil, aż jej serce przestało bić jak oszalałe, a potem odpaliła silnik i wyjechała z parkingu.

Była dokładnie północ.

Jechała przez uśpioną wioskę Le Variouf, pokonała stromą drogę na skraju wioski. Noc była pogodna i ciemna. „Niebo pewnie skrzy się od gwiazd” – pomyślała.

Skręciła na podjazd, zaparkowała za innym samochodem. Beatrice. Dopiero kiedy wysiadła, zobaczyła, że ta nadal siedziała za kierownicą.

Zapukała w szybę. Beatrice drgnęła i uchyliła drzwiczki.

– Ach, to pani – mruknęła. – Straciłam poczucie czasu. Która to godzina?

– Koło wpół do pierwszej. Czemu pani siedzi w samochodzie?

– Musiałam pomyśleć. – Beatrice wysiadła, pokręciła głową, jakby chciała się pozbyć nieprzyjemnych refleksji. – Problemy z Alanem, rozumie pani. Dzisiaj w ogóle nie dają mi spokoju.

– A Kevin pani nie rozbawił?

– Nie poszłam do niego. Zawiozłam Helene, pojechałam na Pleinmont Point i tam długo siedziałam na skałach. Pewnie złapałam przeziębienie i to będzie cały plon tego wieczora. – Uśmiechnęła się gorzko.

Razem weszły do domu.

– Helene na pewno już śpi – mruknęła Beatrice. – A jak pani minął wieczór? Jak poszło z mężem?

Karin wzruszyła ramionami.

– Niezbyt przyjemnie. Ale to chyba już koniec.

Beatrice przyglądała się jej badawczo.

– Nie wygląda pani na smutną.

– Bo nie jestem – przyznała. Odwiesiła płaszcz, który niosła przerzucony przez ramię. – Odczułam ulgę.

– Zajrzę do Helene – powiedziała Beatrice. – Chcę mieć pewność, że wróciła cała i zdrowa. A potem napijemy się wina i opowie mi pani o wszystkim, dobrze?

Karin przelotnie dotknęła jej ramienia.

– A co z Alanem? – zapytała cicho.

– To też pani opowiem – obiecała Beatrice. Weszła na schody. Karin czekała na dole, przy szafie koło lustra.

„Jak wygląda kobieta wolna?” – zastanawiała się. Uśmiechnęła się do swego odbicia. Kobieta w czerwonej sukience odpowiedziała tym samym. Ładnie, oceniła. Zdaje się, że wolność dodaje urody.

Beatrice wychyliła się przez poręcz pierwszego piętra.

– Nie ma Helene! – W jej głosie brzmiał niepokój. – Nie ma jej w łóżku.

– Może jest gdzieś w domu? – podsunęła Karin.

Beatrice zmarszczyło czoło.

– W całym domu jest ciemno. I cicho. Nie, nie ma jej tutaj.

– No to zasiedziała się u Kevina. Pewnie niedługo przyjdzie.

Beatrice zbiegła ze schodów. Wydawała się bardzo zirytowana.

– Helene nigdy nie siedzi tak długo. Najpóźniej o wpół do jedenastej oczy jej się zamykają. O tej porze zawsze już jest w domu. – Była bardzo poruszona. – To bardzo dziwne – mruknęła.

Kwadrans po pierwszej zadzwoniła do Kevina. Przedtem przeszukały cały dom.

– Niewykluczone przecież, że Helene poszła do piwnicy i tam miała nieszczęśliwy wypadek – podsunęła Beatrice.

Nic.

– W szafie nie ma jej płaszcza – zauważyła Karin – więc chyba jeszcze nie wróciła do domu.

Beatrice wzięła z kuchennego kredensu dużą latarkę.

– Może zapomniała klucza i siedzi w ogrodzie. W szopie albo w szklarni. Jeśli tam jej nie będzie, dzwonię do Kevina, choćby spał jak kamień.

– Ja też pójdę – zaproponowała Karin.

Razem szły przez ogród spowity mrokiem. Światło latarki wyczarowywało z ciemności jasny słup. Na niebie widniał wąski sierp księżycy, wiatr tajemniczo szumiał wśród drzew. Karin wdepnęła w miękką, spulchnioną ziemię kretowiska.

– Niesamowicie tu w nocy – stwierdziła z drżeniem.

Beatrice wołała Helene po imieniu. Bez odpowiedzi. Zaglądały

wszędzie: do szklarni, do starej szopy, w której poniewierały się rowery, połamane meble i skrzynie z książkami. Karin wspięła się nawet po drabinie do dawnego mieszkania. Słyszała drapanie mysich pazurków, poczuła na twarzy lepkie pajęczyny.

– Tu nikogo nie ma! – zawołała z góry.

– Dzwonię do Kevina – zdecydowała Beatrice.

Minęła cała wieczność, zanim Kevin podszedł do aparatu. Beatrice wybierała jego numer trzykrotnie, za każdym razem nikt nie odbierał. A kiedy w końcu usłyszała jego głos w słuchawce, bynajmniej nie wydawał się zasnuty.

– Kto mówi? – rzucił przytomnym głosem.

– Kevin? Boże, już się martwiłam, że wyłączyłeś telefon i nie słyszysz dzwonka. Tu Beatrice. Czy Helene nadal jest u ciebie?

– Nie, już jej nie ma.

– Dawno wyszła?

Zastanowił się.

– O wpół do jedenastej.

– Wpół do jedenastej? Dochodzi wpół do drugiej. Nie ma jej w domu!

– Dziwne – stwierdził.

– Dziwne? Delikatnie mówiąc. *Widziałeś*, jak wchodziła do domu?

– Nie odwoziłem jej.

– A jak wróciła?

– Taksówką. Zamówiła ją jakoś między dziesiątą a wpół do jedenastej.

– A dlaczego sam jej nie odwoziłeś? Przecież zawsze...

– Zawsze, ale nie tym razem. Za dużo wypilem.

– Jeszcze nigdy ci się to nie zdarzyło.

– A *teraz* tak. Czy to takie straszne, że *raz* wypilem trochę więcej?

Beatrice czuła, jak stopniowo narasta w niej gniew. Do jasnej cholery, Kevin zachowuje się tak, jakby wszystko było w porządku. To on złamał zasady gry, a teraz Helene zniknęła, na nim jednak najwyraźniej nie zrobiło to większego wrażenia.

– Kevin, do cholery, to jest stara kobieta! Była u ciebie, więc tak, ty jesteś za nią odpowiedzialny! Co to był za taksówkarz?

– Nie mam pojęcia, sama zamówiła taksówkę.

– Ale chyba to ty podałeś jej numer.

– Nie. Ale przy telefonie wisi u mnie kartka z numerem firmy taksówkarskiej. Pewnie wybrała właśnie ten.

– Dlaczego sama...

– Na miłość boską, Beatrice, byłem pijany! Posprzeczaaliśmy się... chciała wracać... Nie zwalaj całej winy na mnie!

– Podaj mi ten numer. Helene nie mogła rozplątać się w powietrzu. Obawiam się, że coś się stało.

– Może jeszcze kogoś odwiedziła – podsunął Kevin.

Beatrice nie wytrzymała.

– Kevin, na miłość boską! Znamy ją przecież! To nie w jej stylu, żeby nagle wyruszyć w kurs po knajpach w St. Peter Port! A teraz podasz mi ten numer? Może doszło do jakiegoś wypadku.

Zapisała numer telefonu, rzuciła szybko:

– Odezwę się, Kevin! – I zadzwoniła do firmy taksówkarskiej. Próbowała wielokrotnie, zanim usłyszała kobiecy głos, zaspany i wyraźnie zły.

– Bardzo przepraszam – zaczęła Beatrice – ale zaginęła kobieta, która dzisiaj wieczorem skorzystała z jednej z państwa taksówek. Nie dotarła do domu.

W słuchawce ktoś demonstracyjnie ziewnął.

– Czy to takie pilne? – zapytała zdenerwowana kobieta.

– Oczywiście, że to pilne – zachnęła się Beatrice. – A jeśli coś jej się stało? Nie mogę czekać do rana.

– Mąż miał wieczorem zlecenie. Zaraz go obudzę, ale nie będzie zachwycony, uprzedzam.

Beatrice słyszała, jak człapie w głąb mieszkania. Czuła, jak powoli zaciska się wokół niej sieć strachu i podejrzeń. Taksówkarz wiózł Helene osobiście, a teraz spał smacznie. A zatem nie było wypadku, co z jednej strony oznaczało, że nikt nie został ranny, ale też powodowało, że sprawa zaginięcia Helene wydawała się coraz bardziej tajemnicza.

„Zaraz dowiem się więcej” – pomyślała i ogarnęło ją przeczucie, że zbliża się coś strasznego.

Taksówkarz, który po nieskończeniu długim czasie wreszcie podszedł

do telefonu, poinformował, że jego jedyny pracownik jest obecnie na urlopie we Francji i że on osobiście obsługuje wszystkie zlecenia. Doskonale pamiętał kurs z Torteval oraz Helene, która tam wsiadła i pojechała do Le Variouf.

– Bardzo przerażona dama – zauważył. – Osobiście odebrałem telefon i prawie nic nie zrozumiałem. Myślałem, że ucho mi spuchnie, zanim zrozumiem, gdzie jest i o co jej chodzi. Prosiłem, żeby mówiła głośniej, ale najwyraźniej nie mogła.

– Ona szeptała?

– No przecież mówię. Pomyślałem, że zupełnie oszalała. A kiedy przyjechałem do Torteval, stała już przy drodze i od razu wskoczyła do samochodu. W aucie chyba poczuła się lepiej. Poprosiła, żebym ją zawiózł do Le Variouf i żebym się pospieszył.

To wszystko brzmiało coraz bardziej dziwacznie i budziło wielki niepokój Beatrice.

– Wysadził ją pan na początku podjazdu – upewniła się – czy podwiózł ją pan pod same drzwi?

Wydawało się, że kierowcę kusilo, żeby skłamać, w końcu jednak powiedział prawdę.

– Nie podjechałem pod dom – przyznał. – No dobra, nie podjechałem nawet do bramy... ale skąd mogłem wiedzieć, że staruszka zniknie? Wysadziłem ją trochę wcześniej, najwyżej sto metrów od domu.

– Ale dlaczego? – Beatrice nic już nie rozumiała.

– No bo droga się tam rozwidła. – Było jasne, że kierowca był na siebie wściekły za to lenistwo, zwłaszcza że prawdopodobnie wpakował się przez to w nie lada tarapaty. – Pomyślałem sobie, że dalej będzie mi trudniej wykręcić. Dość blisko za mną jechał jeszcze jeden samochód, a droga jest bardzo wąska i... no cóż...

– Drogi są wąskie na całej wyspie – wpadła mu w słowo Beatrice. – A na naszym podjeździe spokojnie mógłby pan zawrócić!

– No tak, ale ta pani powiedziała, że brama jest pewnie zamknięta i zanim ją otworzy... No i ten wóz za nami naprawdę siedział mi na zderzaku... W każdym razie zapytałem, czy miałyby coś przeciwko temu, żeby wysiąść trochę wcześniej, na co odparła, że chętnie przejdzie ten

kawałek, że to jej dobrze zrobi. No więc...

– Czyli pozwolił pan, żeby osiemdziesięcioletnia kobieta sama wędrowała po nocy! Nie no, to...

– Niecałe sto metrów! – Taksówkarz okazał się nagle całkiem przytomny i bardzo zdenerwowany. – Na pewno nie więcej! Przecież pani wie, o którym miejscu mówię!

– Tylko że na tych niecałych stu metrach musiało wydarzyć się coś, co uniemożliwiło Helene powrót do domu – zauważyła Beatrice. – I mam nadzieję, że zdaje pan sobie sprawę, że dla pana może się to okazać nie lada problemem! – Cisnęła słuchawkę na widełki i spojrzała na stojącą obok Karin. – Co za kretyn! Tylko dlatego, że nie chciało mu się wykręcać na wąskiej drodze, wysadził Helene przed rozwidleniem! Powinien był podjechać pod sam dom i poczekać, aż wejdzie do środka. Na Boga, przecież to staruszka!

– No tak, ale zastanawia, co mogło jej się stać na tym odcinku – mruknęła Karin. – Przecież to nie Nowy Jork, gdzie na każdym kroku można zostać napadniętym, to Guernsey! Zawsze mi się zdawało, że tu się nigdy nic nie dzieje!

– Ja też tego nie pojmuję. – Beatrice pokręciła głową. – Ale mam naprawdę złe przeczucie.

– Może poszła do sąsiadów...

– Nie o tej porze. We wszystkich oknach jest ciemno, ludzie już śpią.

– W takim razie...

– Może jej się coś pomyliło? Zamiast do domu, ruszyła w stronę klifu?

– To bardzo niebezpieczne, zwłaszcza po ciemku... – jęknęła Karin. – A ona przecież niezbyt pewnie trzyma się na nogach...

– Chodźmy – zdecydowała Beatrice energicznie. – Chodźmy jeszcze raz, ale teraz weźmiemy psy i przeszukamy teren także poza ogrodem.

Karin ją zatrzymała.

– Nie powinnyśmy zawiadomić policji?

– Jeśli nie znajdziemy jej w ciągu godziny, zrobimy to – zapewniła Beatrice.

Psy, zwłaszcza wierna Misty, wierciły się podekscytowane, zachwycone nocnym spacerem. Tak energicznie, z takim zapałem

wietrzyły przy ścieżce, jakby w ciągu minionych godzin pojawiły się tu co najmniej setki nowych ekscytujących zapachów. I znowu latarka rzucała snop jasnego światła, wyczarowywała dziwne, tajemnicze cienie na kamiennym murku wzdłuż ścieżki, wydobywała z mroku wrzosa, jeżyny, krzewy i drzewa.

Na niebie kłębiły się chmury, częściowo zasłaniając księżyc.

– Znosi się na deszcz – powiedziała Beatrice i także Karin zwróciła uwagę na ciężką wilgoć w powietrzu.

– Czyżby poszła do zatoki Petit Bôt? – podsunęła.

Beatrice potrząsnęła głową.

– Nie wyobrażam sobie, czemu miałyby to zrobić. Nigdy nie przepadała za tym miejscem.

Misty, która wybiegła daleko przed nie, zatrzymała się nagle i czujnie uniosła łeb. Węszyła intensywnie. Pozostałe psy poszły w jej ślady. Wszystkie trzy znieruchomiały jak kamienne posążki na ścieżce.

– Coś tam jest – stwierdziła Beatrice. – Oby...

Misty zaskomlała cicho. Wydawała się zaniepokojona i przerażona.

– Nie najlepiej to wygląda – mruknęła Beatrice i na chwilę kobiety znieruchomiały podobnie jak psy.

Ale potem wszystko ożyło, psy pobiegły przodem, dwie kobiety za nimi. W pewnym momencie zwierzęta zatrzymały się z głośnym ujadaniem.

– Jezu, to chyba koniec – szepnęła Beatrice.

– Dlaczego uważa pani, że... – zaczęła Karin i w tym momencie zobaczyła na ścieżce ciemny kształt, przy którym zatrzymały się psy. Misty piszczała cicho, pozostałe psy z gardłowym warkotem jeżyły sierść na karku. Powoli, ostrożnie, z wahaniem Beatrice skierowała strumień światła z latarki na postać. Zobaczyły wąską twarz Helene. Długie do ramion siwe włosy wysunęły się z kłamry, którą zawsze nosiła, rozsypały się w nieładzie dokoła głowy. A potem zobaczyły ciemną plamę, która wykwitła na kamieniach przy jej głowie, i Karin stwierdziła z przerażeniem:

– To chyba krew!

Beatrice odruchowo machnęła ręką, światło latarki powędrowało niżej

i wtedy to zobaczyły: ktoś poderżnął Helene gardło i zostawił ją na wąskiej ścieżce do zatoki Petit Bôt, żeby wykrwawiła się na śmierć.

Jak na Guernsey, gdzie właściwie nie dochodziło do poważniejszych przestępstw, nie licząc kradzieży jachtów, które od wielu lat stanowiły część lokalnego kolorytu – w Le Variouf tej nocy zapanował istny policyjny chaos. Technicy zabezpieczali odciski butów i opon, otoczyli miejsce zbrodni policyjną taśmą. Wioska się obudziła; ludzie wstawali, wychodzili na ulice, tłoczyli się przy taśmie zabezpieczającej. Gapie ścigali nawet z St. Martin, zwabieni sensacją. Nie wiadomo jakim cudem rozeszła się wieść, że Helene Feldmann padła ofiarą przestępstwa. Gapie szeptali z przejęciem: „Podobno poderżnęli jej gardło! Straszne, prawda? Dobry Boże, jak to w ogóle możliwe?”.

Beatrice i Karin siedziały w saloniku w fotelach, daleko od siebie, jakby bliskość niczego nie zmieniała. Przesłuchiwał je policjant, ale najpierw lekarz musiał wyrazić na to zgodę. Karin początkowo sądziła, że Beatrice była w ciężkim szoku. Po raz pierwszy starsza pani nie była w stanie nic zrobić; stała jak wryta na polnej dróżce i drżała, upuściwszy latarkę, która z trzaskiem upadła na ziemię. Karin podniosła ją, objęła Beatrice. O dziwo, sama w ogóle nie drżała.

„Może to przyjdzie później” – pomyślała.

– Musimy wezwać policję – powiedziała. – Proszę, Beatrice, wracajmy do domu.

Beatrice dała się bezwolnie zaprowadzić do domu. Karin zawołała psy; przerażone, ze zjeżoną sierścią i zwieszonymi łbami biegły za nimi.

W domu Karin usadziła Beatrice w fotelu, postawiła przed nią kieliszek koniaku, a potem zadzwoniła na policję i poinformowała zaspanego funkcjonariusza, który zapewne akurat rozwiązywał krzyżówkę, co się stało. W pierwszej chwili uznał jej opowieść za kiepski żart.

– Czy jest pani pewna tego, co mówi? – zapytał.

– Proszę tu natychmiast przyjechać – powtórzyła Karin i pomyślała, że chyba nie starczy jej energii, by dłużej z nim dyskutować.

– Piła pani coś? – wypytywał.

– Nie. Proszę tu kogoś przysłać!

W końcu się ożywił.

– Tak jest. I proszę niczego nie dotykać na miejscu zbrodni.

Karin wróciła do saloniku, do poszarzałej na twarzy Beatrice. Nie tknęła koniaku.

– Proszę się napić – zaklinała Karin – bo mi tu pani zemdleje!

Beatrice spojrzała na nią. W jej oczach malowała się dziwna pustka.

– Poderżnęli jej gardło – szepnęła. – Jakie to straszne. Niewyobrażalnie straszne.

– Lepiej teraz o tym nie myśleć – poradziła Karin, świadoma, że sama się załamie, jeśli zacznie analizować szczegóły zbrodni. Na samą myśl, że gdzieś tam kryje się szaleniec, który napada na ludzi i podcina im gardła, że czai się w zaroślach wzdłuż drogi, a potem atakuje niczego nieprzeczuwającą Helene... „Na jej miejscu mógł być każdy – pomyślała – ja też. A przecież ostatnio ciągle spacerowałam sama wzdłuż wybrzeża...”

Czuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła, i szybko odepchnęła od siebie te myśli. Później zmierzy się z każdym aspektem tego koszmaru, ale nie teraz. Teraz musiała zachować zimną krew.

Przyjechało dwóch policjantów, podejrzliwych i najwyraźniej przekonanych, że to albo głupi kawał, albo koszmarnie halucynacje. Karin powiedziała, jak mają dojść na ścieżkę, i uprzedziła, że znajdą tam kobietę z poderżniętym gardłem. Oddalili się. Jeden wrócił wkrótce błąd jak ściana.

– Jezu! – sapnął. – W życiu czegoś takiego nie widziałem!

Wkrótce przed domem zaroilo się od policjantów. Ciemność przecinały lodowatym światłem snopy reflektorów, schodzili się gapie, a nocną ciszę zakłócało wycie syreny na karetce pogotowia. Karin zapewniała, że sama czuje się dobrze, ale lekarz powinien się zająć Beatrice. Lekarz przyjrzał się jej uważnie.

– Pani mi wygląda na ten typ, który reaguje z opóźnieniem – stwierdził.

– Proszę. – Wcisnął jej w dłoń fiolkę pełną małych białych tabletek. – Środek homeopatyczny. Proszę łyknąć pięć, kiedy poczuje pani, że traci panowanie nad sobą.

Obiecała, że to zrobi, dopilnowała, żeby zrobił zastrzyk Beatrice, co ta przyjęła bez sprzeciwu.

– Na uspokojenie – zapewnił.

Niedługo potem policzki Beatrice odzyskały odrobinę koloru, a ona otrząsnęła się z odrętwienia.

– Proszę pytać – mruknęła do policjanta, który podszedł nieśmiało. – Na wszystko odpowiem.

Jej głos powracał do dawnej siły. Z zadziwiającym spokojem znosiła wszystkie pytania. Opowiadała, że Helene spędziła wieczór u Kevina w Torteval i że około wpół do jedenastej wyruszyła do domu taksówką. Policjant notował wszystko skrzętnie. Szczególnie zainteresowała go informacja, że taksówkarz wysadził Helene kilkadziesiąt metrów od domu.

– Na tym odcinku mogła spotkać mordercę – stwierdził.

– Mijała ścieżkę, która prowadzi nad urwisko i dalej na plażę po wschodniej stronie naszej posiadłości – mówiła Beatrice. – Tę ścieżkę, na której...

– Miejsce zbrodni.

– Myśli pan, że zamordowano ją tam, gdzie ją znalazłyśmy? Czy wcześniej, na ulicy? Może ją...

Policjant pokręcił głową.

– Jeszcze nie zabezpieczono wszystkich śladów, ale z tego, co widziałem, wnioskuję, że właśnie tam zginęła. W innym wypadku widzielibyśmy ślady krwi i wleczenia.

– No tak – szepnęła Beatrice i znowu pobladła.

– Chciałem jeszcze zapytać, gdzie spędziły panie dzisiejszy wieczór – zaczął policjant i spojrzał na Beatrice i Karin. – Razem?

– Nie – odparła Karin. Opowiedziała o kolacji w Old Bordello.

– Ale pani mąż tu z panią nie mieszka? – upewnił się policjant.

– Nie. Zatrzymał się w hotelu Chalet nad zatoką Fermain.

– Aha. I nie przyjechał tu z panią?

– Nie, wróciłam sama, samochodem.

– A pani Shaye już tu była?

– Siedziała w samochodzie na podjeździe.

Policjant spojrzał na Beatrice.

– Czyli dopiero pani przyjechała? Albo gdzieś się wybierała?

– Byłam tam od jakiejś półgodziny – odparła. – Siedziałam w samochodzie i rozmyślałam.

Policjant przyglądał jej się ze zdziwieniem.

– Siedziała pani przez *pół godziny* w samochodzie i *myślała*? Dlaczego nie weszła pani do domu?

Wzruszyła ramionami.

– Nie miałam ochoty. W ogóle nie przyszło mi to do głowy. Straciłam poczucie czasu. Gdyby nie Karin, siedziałabym tam pewnie do tej pory.

– Bardzo dziwne – mruknął policjant i zapisał jej słowa, z niedowierzaniem kręcąc głową.

Według Karin wcale nie było dziwne, że siedząc w samochodzie i myśląc, można zapomnieć o całym świecie, ale najwyraźniej policjantowi nie mieściło się to w głowie.

– Czyli mogła tu pani być w czasie morderstwa? – zapytał.

Beatrice chciała odpowiedzieć, ale Karin nie dała jej dojść do głosu.

– Nie. Zjawiłam się mniej więcej dwadzieścia po dwunastej. Skoro Beatrice siedziała wtedy w samochodzie pół godziny, przyjechała mniej więcej za kwadrans dwunasta. Helene wsiadła do taksówki w Torteval o wpół do jedenastej... – Liczyła szybko. – A zatem była tu przed jedenastą. Co najmniej trzy kwadransy przed Beatrice.

– Może kierowca będzie w stanie dokładniej podać godzinę – mruknął policjant. – A swoją drogą nie wydaje mi się, żeby pani Shaye mogła z całkowitą pewnością twierdzić, że siedziała przed domem dokładnie pół godziny. W końcu powiedziała pani, że straciła pani poczucie czasu. A więc równie dobrze mogło to być pół godziny, jak i półtorej.

– Wydaje mi się, że wyruszyłam z Pleinmont Point około wpół do dwunastej – wyjaśniła Beatrice. – Ale oczywiście mogę się mylić.

– A co pani robiła po nocy na Pleinmont Point? – Widać było, że odnosił się do Beatrice z coraz większą podejrzliwością. Jego zdaniem zachowywała się bardzo dziwnie.

– Spędziłam tam cały wieczór – wyjaśniła. – Trochę spacerowałam, obserwowałam zachód słońca, trochę siedziałam w samochodzie.

Policjant ze zdumieniem uniósł brwi.

– Czyli przez cały wieczór i pół nocy siedziała pani w samochodzie? Najpierw na Pleinmont Point, a potem tutaj? Dziwne to trochę. Czy ma pani na głowie poważne problemy?

– Tak – odparła Beatrice zwięźle, a jej mina dawała jasno do zrozumienia, że ten temat uważała za zakończony.

– A zatem mogła pani być na miejscu zbrodni, kiedy do niej doszło?

– Skoro zakłada się, że do zbrodni doszło o jedenastej, to nie, nie mogłam. O tej porze na pewno jeszcze siedziałam na Pleinmont Point.

Zapisał coś w notesie, spojrzął na nią i nagle wydawało się, że odnosi się do niej odrobinę chłodniej, bardziej surowo.

– Czy ktoś mógłby to potwierdzić? – zapytał.

Beatrice pokręciła przecząco głową.

– Nie.

Zatrzasnął notes.

– Chwilowo nie mam dalszych pytań.

„Ale proszę pozostać do naszej dyspozycji” – pomyślała Karin.

– Ale proszę pozostać do naszej dyspozycji – powiedział.

Alan powoli odłożył słuchawkę na widełki. Wpatrywał się w telefon, jakby widział go po raz pierwszy.

Był jak ogłuszony.

– Dobry Boże – wyszeptał.

Podszedł do kredensu, wyjął butelkę sherry, nalał, wypił duszkiem, otworzył butelkę whisky.

Sherry nie dawało takiego kopa, zresztą było już po osiemnastej, można było sięgnąć po coś mocniejszego. Przeliykał właśnie pierwszy łyk, rozkoszował się ciepłym pieczeniem, dzięki któremu życie stawało się znośniejsze, i wtedy rozległ się dzwonek do drzwi.

Zastanawiał się, czy otwierać. Właściwie nie miał ochoty na towarzystwo, wolał zostać sam ze swoim strachem. I swoją whisky.

„Nikogo nie ma w domu” – powiedział w myśli. Miał za sobą ciężki, długi dzień. Dużo spotkań, w większości nieprzyjemnych. Ratował się dżinem i jedną whisky. Od trzech dni nie mógł przestać, był w ciągu. Pił

cały poniedziałek, wtorek i pół środy. W środę po południu wymiotował przez kilka godzin i przeraził się na widok nieogolonego oblicza w lustrze. Ręce mu drżały.

„Żul – pomyślał. – Wyglądam jak żul”.

Telefon dzwonił uparcie, ale nie podnosił słuchawki. Czuł, że nie uda mu się sklecić sensownego, inteligentnego zdania. Co gorsza, prawdopodobnie będzie bełkotał. Właściwie mógłby w zaciszu łazienki spróbować coś powiedzieć, ale bał się nawet tego. Wystarczająco wstrząsający był jego widok. Wolał się nie słyszeć.

Późnym wieczorem wymiotował po raz ostatni. Teraz był tak osłabiony, że wychodził z łazienki na czworakach, dygocąc na całym ciele. Telefon dzwonił uparcie. Najwyraźniej ktoś chciał się z nim za wszelką cenę skontaktować. Pewnie Beatrice. Przypomniał sobie jak przez mgłę, że rano z nią rozmawiał. Był pijany w trupa i pewnie biedaczka zamartwiała się z tego powodu. Nie miał siły słuchać jej wymówek ani ochoty znosić jej marudzenia.

Położył się, przekonany, że zmęczenie pozwoli mu zasnąć, ale ku swemu zdumieniu nagle zupełnie oprzytomniał. Targał nim niepokój. Wiercił się, kręcił z boku na bok i cierpiał na myśl o szklaneczce whisky. Drżenie ustanie, serce się uspokoi, znajdzie wewnętrzny spokój... Ale nie poprzestanie na jednym łyeczku, wiedział o tym, i to było najgorsze. Jeśli chciał następnego dnia iść do pracy... „Nie dam rady – pomyślał – wszystko zacznie się od nowa. Samotność. Picie”. Tego ranka wyglądał fatalnie, ale długi gorący prysznic, golenie, dwie mocne kawy wystarczyły, by uznał, że może zaryzykować i wrócić między ludzi. Włożył elegancki garnitur, połknął dwie aspiryny.

W kancelarii usłyszał od sekretarki, że odwołane spotkania w ciągu minionych trzech dni mogą mieć przykre konsekwencje. Skinął głową; spodziewał się tego, zawsze tak było, gdy wpadał w ciąg alkoholowy. Do tej pory uchodziło mu to płazem, ale tak dalej być nie mogło, zdawał sobie z tego sprawę.

– Gdyby dzwoniła moja matka, proszę *nie* łączyć – polecił sekretarce. – Proszę powiedzieć, że jestem bardzo zajęty i mam spotkania jedno po drugim.

Sekretarka skinęła głową. To także już знаła. Po załamaniu szef nigdy nie chciał rozmawiać z matką. Najwyraźniej starsza pani w takich sytuacjach nie owijała w bawełnę.

– Pańska matka dzwoniła dwukrotnie – poinformowała go w południe. Spodziewał się tego. Ale teraz wiedziała przynajmniej, że żyje.

„I to musi jej wystarczyć” – pomyślał z nagłą złością.

Jakoś przeżył ten dzień, uczeplił się myśli, że wieczorem wypije jedną whisky.

„Jedna whisky nie zaszkodzi” – powtarzał sobie, a tymczasem miał w dłoni już drugą, a przedtem wypił też sherry, chociaż sherry się nie liczyło, a już na pewno nie, kiedy człowiek słyszy taką straszną wiadomość.

Znowu rozległ się dzwonek do drzwi, tak uporczywy i nachalny, że to musiał być akwizytor, któremu zależy na szybkim zarobku.

„Nikogo nie ma w domu” – pomyślał Alan i łyknął whisky. W tej chwili usłyszał szcęk klucza w zamku. Wyjrzał do przedpokoju i zobaczył Maję.

– Przepraszam – powiedziała zamiast powitania – ale skoro nie otwierałeś...

– Nie możesz tak tu wchodzić!

– Mam przecież klucz. Martwiłam się o ciebie. Od przedwczoraj usiłuję się do ciebie dodzwonić. Nie było cię w pracy, nie otwierasz drzwi... chciałam zobaczyć, jak się czujesz.

Wyciągnął rękę.

– Oddaj mi klucze. I idź sobie. Widzisz przecież, że nic mi nie jest.

Jej śliczny nosek, który zawsze wydawał mu się taki kruchy, taki delikatny, zmarszczył się lekko, jakby dotarł do niej nieprzyjemny zapach.

– Piłeś – stwierdziła.

– Jedną whisky – potwierdził. – Tyle chyba mi wolno, prawda? A teraz daj mi klucze.

Nie posłuchała, minęła go, weszła do saloniku. Wszędzie poniewierały się butelki i kieliszki. Bardzo wymowny widok.

„Cholera” – pomyślał, idąc za nią.

Odwróciła się. Wydawała się bardzo przejęta, jej oczy były większe niż zazwyczaj.

– Wiesz o Helene? – zapytała.

Odetchnął głęboko.

– Właśnie się dowiedziałem. Beatrice do mnie zadzwoniła.

– Babka powiedziała mi we wtorek rano. Płakała tak bardzo, że prawie nic nie rozumiałam. Dzwoniłam do niej, bo chciałam prosić, żeby mi przysłała trochę pieniędzy... a tu coś takiego! Chciałam się z tobą skontaktować, porozmawiać z kimś, kto znał Helene, kto jest równie poruszony jak ja... – Urwała. W jej oczach malowało się autentyczne przerażenie.

„To dziwna chwila” – stwierdził Alan. Po raz pierwszy, odkąd sięgał pamięcią, widział prawdziwe oblicze Mai. Nie udawała poruszenia. Jakby zdjęła maskę i wreszcie widział ją taką, jaka była naprawdę – miłą, normalną dziewczynę.

– To straszne – powiedział. – Niewiarygodne. Coś takiego na Guernsey...

Pomyślał o Helene. Stanowiła ważną część jego życia. Opiekowała się nim, gdy Beatrice nie było w domu, opowiadała mu historyjki, piekła ciasto, czytała niemieckie bajki i uspokajała, gdy w nocy dręczyły go koszmary. Kiedy spotkało go coś złego, biegł do Helene. Beatrice bywała twarda, czasami okrutna, zirytowana. Helene zawsze była spokojna, ciepła, dobra, pomocna, troskliwa. To jej zwierzał się ze złych ocen oraz problemów z kolegami i nauczycielami.

Nie mieściło mu się w głowie, że Helene nie żyje.

A tym bardziej, że zginęła w tak straszliwy sposób. „Nie do wiary” – pomyślał i zebrało mu się na mdłości. Boże, pewnie bardzo cierpiała...

– Babcia mówiła, że torebka leżała koło niej – odparła Maja. – Podobno pieniądze i karty kredytowe były na miejscu... Czyli nie chodziło o rabunek.

– Chyba też nie o przestępstwo na tle seksualnym? – mruknął. Krótco rozmawiał z Beatrice, był zbyt wstrząśnięty, by o cokolwiek pytać.

– Na pewno nie – potwierdziła Maja. – Kto chciałby napastować taką staruszkę?

– Takie rzeczy też się zdarzają – zapewnił.

– Podobno policja szuka motywu po omacku – powiedziała Maja. – Czyli nie na tle seksualnym.

– To musi być jakiś psychopata, nic innego nie przychodzi mi do głowy – myślał na głos Alan. – Wariat, który morduje dla samej przyjemności zabijania. Helene miała pecha i była w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Co ona w ogóle robiła o tej porze poza domem?

– Wracała od Kevina. Taksówkarz wysadził ją kilkadziesiąt metrów od domu, żeby łatwiej mu było zawrócić. I na tym ostatnim odcinku... – Maja głęboko zaczerpnęła tchu. – Dasz mi whisky? – zapytała cicho.

Alan w milczeniu nalał jej i podał. Wychyliła whisky jak wodę.

– Jezu – rzuciła szorstko. – Wydaje mi się, że już nigdy nie będę beztroska. Wiesz, o co mi chodzi? Wcześniej wszystko było w porządku, ale teraz już tak nie będzie. Jeszcze długo nie.

Wiedział, o co jej chodzi. Także w jego życiu nie było do tej pory tak brutalnej przemocy. Oczywiście, znał ją z gazet i z telewizji. Wiedział, ale nigdy jej nie zaznał.

A teraz przemoc była namacalna. Rana, która zabiła Helene, zraniła też jej najbliższych.

„I może ma rację – pomyślał – może rzeczywiście nic już nigdy nie będzie jak dawniej”.

– Moja mama mówi, że policja wyda... – Zagryzł usta. Chciał powiedzieć, że policja wyda zwłoki, ale to słowo brzmiało tak strasznie, gdy chodziło o Helene, że nie przeszło mu przez gardło. – Policja wyda Helene na początku przyszłego tygodnia – dokończył. – Pogrzeb będzie w środę.

– Wybierasz się?

– Oczywiście. Helene jest... była dla mnie jak druga matka. Poza tym muszę się zająć Beatrice. Też będzie potrzebowała wsparcia.

– Nie sądzę – mruknęła Maja. – Pewnie teraz jest w szoku, ale na pewno nie wrywa sobie włosów z głowy.

Alan spojrział na nią ze zdumieniem.

– Przeżyła z Helene prawie całe życie. Myślę, że świat jej się zawalił.

– Nigdy nie przepadała za Helene. Właściwie chyba niewiele było osób, które lubiła mniej niż ją.

– Przesadzasz. Pewnie, czasami dochodziło między nimi do zgrzytów, ale to normalne. W gruncie rzeczy...

– W gruncie rzeczy Helene wczepiła się w Beatrice jak kleszcz, a Beatrice miała jej po dziurki w nosie – dokończyła Maja. Szok nie złagodził jej ostrych sądów ani nie stępił języka.

– Powinnaś bardziej uważać na słowa – zauważył Alan gniewnie. – Nie wydaje mi się, żebyś...

Roześmiała się cicho, ale nie było w tym zwykłej kokieterii ani radości, raczej desperacja i ostentacja.

– Wiesz, Alan, zawsze mnie to w tobie zachwycało. Wychowały cię, spędziłeś z nimi pół życia, a mimo to nie widziałeś czegoś, co wie cała wyspa: przez pięćdziesiąt lat łączyła je nienawiść i tak naprawdę jedna nie znosiła drugiej. Helene została z Beatrice, bo była od niej zależna, a Beatrice nie mogła się jej pozbyć, pewnie z litości albo...

– Moja matka nie wie, co to litość – wpadł jej w słowo Alan. – Na pewno nie kierowałaby się litością, przyjmując pod swój dach osobę, której wcale nie chciała tam mieć. Ona taka nie jest. W końcu trochę ją znam. Kiedy kogoś nie lubi, mówi mu to jasno i klarownie.

– Najwyraźniej nie Helene.

– Może dlatego, że Helene lubiła – zauważył.

– Mae twierdzi...

– Mae! – Alan ze złością zmarszczył czoło. – Nie gniewaj się na mnie, Maju, ale twoja babka plecie mnóstwo bzdur, i to od rana do nocy. Nie bierz sobie wszystkiego do serca.

– Pewnie, że nie, ale co do Beatrice i Helene ma rację. Bo oprócz niej setki osób twierdziły to samo. Zresztą sama też zawsze miałam takie wrażenie.

– Nie ma sensu się nad tym zastanawiać – stwierdził. – Helene nie żyje i... O Boże. – Opadł na fotel, ukrył twarz w dłoniach. Kiedy znowu uniósł głowę, miał czerwone oczy, chociaż nie płakał.

– Co ty tu właściwie robisz? – zapytał cicho.

– Przecież już ci powiedziałam. – Stała pośrodku pokoju z pustą szklaneczką po whisky w dłoniach. – Chciałam porozmawiać z kimś, kto znał Helene.

– Mogłaś iść do Edith.

– Edith nie powinna o niczym wiedzieć. Jest za stara, za bardzo się

przejmie.

– No dobrze, więc przyszedł do mnie. Porozmawiałaś ze mną. Teraz właściwie powinnaś już iść.

– Właściwie powinnam.

– I?

– Chcesz, żebym sobie poszła?

– Jeśli masz jakieś problemy, powinnaś porozmawiać o tym z twoim chłopakiem. Teraz to on ma cię pocieszać.

– Och, on... – Urwała.

– Tak?

– Z nim już koniec. Nie mam nic, nie mam mieszkania, pieniędzy, nikogo. – Rozpłakała się. – I będę musiała wrócić na tę przeklętą wyspę.

– Nie pojmuję, jak ten policjant może być taki gruboskórny. Przesłuchiwać Beatrice w dniu pogrzebu Helene? – dziwiła się Karin. – Mogliby chociaż dzisiaj zostawić ją w spokoju.

– Przecież to nawet nie jest przesłuchanie – sprzeciwił się Alan. – Poprosił ją o tylko o chwilę rozmowy, dał jej wybór, czy się zgodzi, czy nie. Była gotowa, nie chciała nawet, żebym jej towarzyszył, więc myślę, że naprawdę nie miała nic przeciwko temu.

Był piękny, słoneczny, majowy dzień, błękitu nieba nie zakłócała nawet jedna chmurka. Łąki nad morzem i na urwiskach kwitły. Morze mieniło się turkusowo, żaglówki mknęły wzdłuż wybrzeża albo kołysały się leniwie w zatoczkach. Gorący, spokojny dzień.

– Muszę się przejść – stwierdziła Karin zaraz po tym, jak policjant i Beatrice zniknęli w saloniku. – Głowa mi pęka.

– Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, pójde z panią – zaproponował. On także kręcił się bez celu po holu, wpatrzony w drzwi, za którymi jego matka zniknęła z policjantem. – Też chętnie rozprostuję nogi.

Bardzo go poruszyło nabożeństwo żałobne; przetrwał je tylko dlatego, że wcześniej wychylił kilka koniaków. Po pogrzebie Beatrice zaprosiła do domu na stypę – szwedzki stół oraz wino i piwo. Pił tyle, żeby zachować wewnętrzny spokój. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że Beatrice cały czas ma go na oku, że liczy odstawiane przez niego kieliszki. Jednak przy gościach nie mogła mu niczego powiedzieć, on zaś bardzo pilnował, by nie znaleźć się z nią sam na sam. A zaraz po tym, jak wyszli ostatni goście, zjawił się policjant i tym samym Beatrice znowu nie mogła wygłosić mu pogadanki na temat jego nałogu.

Teraz u boku Karin szedł ścieżką wysoko nad morzem. Odruchowo ominęli dróżkę, na której znalazły zamordowaną Helene, szli drogą, która za starym domem Wyattów skręcała nad zatokę Petit Bôt. Panował tu głęboki cień, a trawy przy ścieżce pachniały nawet wilgocią. Zaraz jednak

skończył się zielony baldachim i znowu zaświeciło słońce.

– Może powinniśmy byli się przebrać – zauważył Alan. Sam ciągle miał na sobie czarny garnitur, który włożył na pogrzeb Helene, a Karin czarny kostium i niewygodne pantofle na wysokim obcasie. – Może pani w tym w ogóle chodzić?

– Powoli – tak.

Zobaczyli przed sobą morze, tego dnia – lśniąca w słońcu taflę. Nawet w takich chwilach Karin potrafiła docenić piękno krajobrazu.

– Cudownie tutaj, prawda?

Podążył wzrokiem za jej spojrzeniem i skinął głową. Rzeczywiście, cudownie. Ponieważ mieszkał na wyspie od dzieciństwa, jej dzika, surowa uroda była dla niego oczywista, ale teraz widział ją oczami Karin i nagle wydało mu się, że patrzy na Guernsey po raz pierwszy. Morze i skały niosły otuchę. Helene była bardzo związana z wyspą. „A tam, gdzie jest teraz, jest równie pięknie jak tutaj” – pomyślał i zrobiło mu się trochę głupio.

– Czuł pan te spojrzenia na naszych plecach? – zapytała.

Nie, nic nie zauważył, był całkowicie pochłonięty myślami.

– Nie. Czyje spojrzenia?

– Różnych osób z wioski. Widziałam, jak w oknach drgały firanki, a kilka osób przestało pracować w ogrodzie i odprowadzało nas wzrokiem.

– To normalne – zauważył. – Ktoś z mojej rodziny padł ofiarą strasznego przestępstwa. I dlatego gapili się na *mnie*. A pani ma to nieszczęście, że od kilku tygodni mieszka w domu mojej matki, dlatego gapili się na *panią*. Ludzie już tacy są.

Pokręciła głową.

– Po wyspie chodzi straszne podejrzenie.

– Podejrzenie?

– Beatrice nie potrafi powiedzieć, co robiła tamtego wieczora. To znaczy, oczywiście potrafi, ale to, co mówi, wydaje się ludziom dziwne. Siedziała godzinami na skałach na Pleinmont Point, a potem jeszcze pół godziny w samochodzie przed domem. Wiele osób uważa, że to podejrzane.

– Skąd pani wie, że *wiele* osób tak uważa?

– Od Mae.

– Mae! Znowu Mae! – Zbył ją pogardliwym machnięciem ręki. – Czy wszyscy wokół słuchają bzdurnych plotek?

– A kto jeszcze?

– Maja. Też o tym wspominała kilka dni temu. – Karin wzruszyła ramionami. – Ja tylko powtarzałam, co słyszałam. I co sama uważam. Ludzie węszą sensację i oczywiście języki zaraz idą w ruch.

Alan znieruchomiał.

– Ktoś naprawdę myśli, że mama zabiła Helene?

– Nie, nie sądzę, żeby ktokolwiek poważnie brał to pod uwagę, ale mówi się, że opowieść Beatrice o tym, jak spędziła wieczór, jest rzeczywiście dość dziwna. A skoro powszechnie wiadomo, jak bardzo nienawidziła...

– O nie – mruknął Alan. – Niech pani tylko nie zaczyna, że mama tak bardzo nienawidziła Helene!

We wzroku Karin nie widział ani żądzy sensacji, ani plotkarstwa, tylko ciepłe zainteresowanie i bardzo dużo troski.

– Nie wydaje mi się, żeby określenie „nienawiść” było odpowiednim słowem – zauważyła. – Ale pańska matka wolałaby, żeby Helene mieszkała jak najdalej stąd. I mieszkańcy Guernsey o tym wiedzą.

„Dziwne uczucie – pomyślała Beatrice – iść przez ten dom ze świadomością, że nie ma tu już Helene i że nigdy nie wróci”.

Policjant wyszedł przed kwadrans. Ponownie zadał jej kilka pytań na temat tamtego feralnego wieczora, interesowało go szczególnie, co i kiedy robiła Beatrice.

– Pani, zdaje się, też była zaproszona do pana Hammonda na kolację. Dlaczego pani nie poszła?

– Już mówiłam, miałam problemy i chciałam pobyć sama.

Skinął głową.

– Problemy z synem, wiem. Jakiej natury są te problemy?

– Osobistej.

Nie wnikał dalej.

– Czy tamtego dnia zauważyła pani coś dziwnego u pani Feldmann?
Czy pod jakimkolwiek względem była inna niż zazwyczaj?

– Była taka sama jak zawsze, cieszyła się na kolację u pana Hammonda.
Nie, niczego dziwnego nie zauważyłam.

– Często odwiedzała pana Hammonda?

– Co cztery, pięć tygodni, mniej więcej. Czasami częściej, czasami rzadziej. Bardzo się lubili.

– Dziwne. Starsza pani i młody mężczyzna... rzadki układ.

– Była jego powiernicą, matkowała mu, przyjaźnili się. A on zastępował jej syna, którego nigdy nie miała.

– Często spotykali się we dwoje?

– Tak, ale w niedzielę, jak już mówiłam, pan Hammond zaprosił także mnie i panią Palmer. To zbieg okoliczności, że koniec końców nie dotarliśmy na tę kolację.

– O ile mi wiadomo, pani Palmer spotkała się wtedy z mężem, który wcześniej tego dnia nieoczekiwanie przyleciał z Niemiec.

– Tak.

– A pan Hammond nie wpadł na pomysł, żeby odwołać kolację, skoro z trójki zaproszonych gości stawiała się tylko jedna osoba?

– To nasza wina, właściwie nie dałyśmy mu znać, że nie możemy przyjść. Powiedziałam mu to dopiero, kiedy przywiozłam Helene, dopiero wtedy się dowiedział, że nie będzie mnie ani Karin.

– Był zły?

– Cóż, nie był zachwycony, przecież już wszystko ugotował i naszykował.

– Umówiliście się, że przywiezie panią Feldmann do domu?

– Nie ustalaliśmy tego szczegółowo, ale to się rozumiało samo przez się. Zawsze ją odwoził, gdy u niego była.

– Czyli zazwyczaj nie wracała taksówką?

– Nie, to był pierwszy raz.

– Pan Hammond twierdzi, że tym razem jej nie odwiózł, bo był pijany.

To też się wcześniej nie zdarzało?

– O ile mi wiadomo, nie.

– Dlaczego akurat tamtego wieczora tyle pił?

– O to musi pan zapytać jego, ja tego nie wiem.

– Oczywiście, że go pytaliśmy. Twierdzi, że ma obecnie przejściowe kłopoty finansowe. Najwyraźniej przeinwestował, kupując dwie nowe szklarnie. Przyznał, że ostatnio w ogóle więcej pije, żeby zapomnieć o problemach.

– Skoro tak twierdzi, to zapewne tak jest.

– Najwyraźniej nie był w stanie zamówić pani Feldmann taksówki. Zadziwiająco: pozwolić, żeby gość obsługiwał się sam, prawda? A kiedy później z nim pani rozmawiała tej samej nocy, był bardzo pijany? Zakładam, że był właściwie nieprzytomny i nie dał rady zamienić słowa.

Zamyśliła się.

– Nie, właściwie nie miałam wrażenia, że był pijany. Wydał mi się trzeźwy i przytomny.

– Hm. Widzi pani, że jedno przeczy drugiemu, prawda? Między dwudziestą drugą a dwudziestą drugą trzydzieści jest zbyt pijany, by wezwać pani Feldmann taksówkę, a po pierwszej jest trzeźwy i przytomny. Musimy to dokładniej zbadać. – Przeglądał notatki. – Taksówkarz wspominał, że Helene Feldmann wydawała się głęboko poruszona. Przez telefon mówiła tak cicho, że prawie jej nie zrozumiał. Zawsze tak robiła?

– Nigdy nie mówiła specjalnie głośno, ale zawsze dało się ją świetnie zrozumieć.

– Dalej, czekała na taksówkę na ulicy, nie w domu. To moim zdaniem też nietypowe zachowanie jak na damę w jej wieku.

– Nie mam pojęcia, co się z nią działo. Mogę tylko powiedzieć, że w ciągu dnia zachowywała się normalnie. Była może przygaszona, tak, ale zawsze tak reagowała na pierwszego maja. To była pięćdziesiąta piąta rocznica śmierci jej męża.

– A czy wydaje się pani możliwe, że wieczorem tego dnia, gdy na dodatek wypila trochę wina, ogarnął ją bardzo cikliwy nastrój, może nawet depresja, i może dlatego tak cicho mówiła do słuchawki? I dlatego wyszła przed dom, żeby poczekać na zewnątrz?

– Niewykluczone. Nigdy do końca nie pogodziła się ze śmiercią męża.

– Taksówkarz mówił, że jechał za nimi jakiś samochód, i do tego trzymał się na tyle blisko, że między innymi z tego powodu taksówkarz

wolał wysadzić panią Feldmann nieco dalej, żeby nie pakować się w ślepy zaułek. Kierowca tamtego samochodu mógłby być ważnym świadkiem. Taksówkarz niestety nie widział numeru rejestracyjnego, nie wie nawet, jaki to był samochód. Apelowaliśmy w radiu i w prasie, żeby kierowca się zgłosił, ale na razie bez rezultatu. – Policjant wstał, wsunął notes do kieszeni. – I to by było wszystko. Jeszcze tylko jedno pytanie. – Przyglądał jej się, miała wrażenie, ze szczególną uwagą. – Jaki był pani stosunek do Helene Feldmann?

Później wracała w myślach do swojej odpowiedzi, wędrując po domu w poszukiwaniu kogoś, kogo już w nim nie było.

– Znałyśmy się od prawie sześćdziesięciu lat.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

Spodziewała się takiego komentarza. Nie miała najmniejszej ochoty tłumaczyć mu zawilości jej relacji z Helene.

– Od prawie sześćdziesięciu lat mieszkaliśmy pod jednym dachem. I to jest odpowiedź na pańskie pytanie. Stałyśmy się rodziną. Rodziny człowiek sobie nie wybiera i nie zastanawia się, jaki ma do niej stosunek. I tak nie można jej zmienić. Rodzinę się po prostu ma.

Nie odpuszczał.

– Często się panie kłóciły?

– Nie. Bardzo rzadko.

– Miała pani do niej pretensje? Bo przecież pani Feldmann zjawiała się tu jako żona okupanta.

– Boże, przecież wtedy byłam dzieckiem! Zresztą to i tak nie miało znaczenia, już od wielu lat nie.

– A co miało znaczenie w waszych stosunkach?

– Szacunek. Szanowałyśmy się. I przyzwyczyłyśmy się do siebie.

Westchnął. Niewiele mu przyjdzie z tych informacji.

„A przecież powiedziałam mu prawdę – myślała. – Szacunek i przyzwyczajenie. Tak było w ostatnich latach”.

Czyżby? Weszła na piętro, uchyliła drzwi do pokoju Helene, stanęła w progu. Nic tu się nie zmieniło, jakby jego właścicielka miała zaraz wrócić. Nawet jeszcze pachniał Helene, jej perfumami i talkiem. Na małym sekretarzyku przy oknie leżała sterta kartek zapisanych jej delikatnym

pismem. Niezglębiony kłęb karteluszków, listów, wycinków z gazet.

„Dobry Boże, ona chyba zachowywała wszystko, co wpadło jej w ręce – pomyślała. – Sporo czasu minie, zanim to wszystko przejrzę i posortuję”.

Wyrzuci z szaf ubrania i bieliznę – część wyrzuci, część odda dla biednych. Przejrzy papiery, poszuka niezapłaconych rachunków, sprawdzi wyciągi. „Kto właściwie po niej dziedziczy? – zastanowiła się. – Czy Helene zostawiła testament? Czy jej pokój ma zostać jej pokojem, nawet po jej śmierci? Tym sposobem w pewnym sensie byłaby tam nadal. Nawet w tej chwili”.

„Opróżnię go – zdecydowała. – Tak samo, jak wyrzucę jej dokumenty i rozdaję jej ubrania. Może urządzę drugi pokój dla letników”.

Trochę ją przeraziła szybkość, z jaką zdecydowała o doczesnym dobytku staruszki.

Jaki był pani stosunek do pani Feldmann?

Spojrzała w okno.

Wiecznie majstrowała przy moim życiu. Czasami chciałam, żeby poszła do diabła.

Teraz też? – zapytałby policjant.

Zastanawiała się nad odpowiedzią.

„Chyba nigdy nie przestałam. Tak, chciałam, żeby poszła do diabła. I może chciałam tego każdego dnia naszego wspólnego życia”.

Odczuwa pani ulgę teraz, gdy nie żyje?

Nie wiem... nie życzyłam jej takiego końca, ale wydaje mi się, że kiedy ustąpi szok, poczuję ulgę.

„Prawdopodobnie jestem idealną kandydatką na ławę oskarżonych – przemknęło jej przez głowę. – Kto mógł jej zrobić coś tak strasznego?”

Poprzedniego dnia zgodziły się z Karin, że to musiał być szaleniec. Z taką wersją najłatwiej było im się pogodzić. Co prawda wizja, że na Guernsey grasuje psychopatyczny morderca, była straszna, ale jeszcze straszniejsze byłoby przypuszczenie, że ktoś do tego stopnia nienawidził Helene, by z zimną krwią poderznąć jej gardło i zostawić, żeby się wykrwawiła na śmierć na polnej dróżce.

Usłyszała coś na schodach. Skuliła się. W pierwszej chwili pomyślała idiotycznie, że policjant po wyjściu zakradł się potajemnie i podsłuchiwał jej

bardzo obciążający monolog. Nie, to bzdura, żaden brytyjski policjant nie zrobiłby czegoś takiego. Podeszła więc do poręczy, wychyliła się, zawołała:

– Halo?

W tym momencie zobaczyła Kevina, który właśnie zamierzał wejść na schody. Wyglądał, jakby miał zaraz umrzeć na serce. Dygotał na całym ciele, był śmiertelnie blady.

– Jezu! Myślałem, że nikogo nie ma w domu! Pukałem, potem wszedłem od kuchni, wołałem... i nikt mi nie odpowiedział. – Był spięty i zdenerwowany. – Przepraszam, że tak bezczelnie...

– Bzdury. Jesteś członkiem rodziny. – Schodząc, uświadomiła sobie, że chciał wejść *na górę*, i pomyślała, że to rzeczywiście trochę dziwne. – Po co szedłeś na górę? – zapytała najbardziej od niechcienia, jak umiała, i pocałowała go w oba policzki.

Odpowiedział tym samym, ale miał zimne usta.

– Ja... wiem, nie powinienem, ale chciałem jeszcze raz zobaczyć jej pokój.

– No to idź. Musisz się z nią pożegnać, tak samo jak ja. A ja tymczasem zaparzę nam kawy.

Słyszała go na górze, gdy sama krzątała się po kuchni. „Może oceniałam go niesprawiedliwie – rozważała – gdy sądziłam, że spotyka się z nią tylko po to, żeby wyciągać z niej pieniądze. Może łączyło ich coś więcej. Może naprawdę jest tak, jak powiedziałam dzisiaj temu policjantowi: zastępowała mu matkę”.

Ustawiła na tacy dzbanek z kawą, filiżanki, cukierniczkę oraz dzbanuszek z mlekiem i zanosła na werandę. Nagle przypomniała jej się tamta sylwestrowa noc, gdy stała tu z Erichem. Jedna z nielicznych okazji, gdy nie opowiadał o ostatecznym zwycięstwie Trzeciej Rzeszy. Bał się. Zdawał sobie sprawę, że Führer sprowadził go na manowce, prosił ją wtedy, żeby zaopiekowała się Helene.

Taca zadrżała, łyżeczki zabrzęczały. Szybko postawiła ją na stole.

Niech to szlag. To nieodpowiednia chwila, by wspominać tamte czasy. Tamtą noc sprzed tylu lat. Tamtą noc sprzed całego życia. Mokrą, zimną noc, w którą złapała zapalenie płuc.

A dzisiaj jest piękny, gorący, majowy dzień. Ciepły wiaterek szumiał

wśród gałęzi.

Beatrice głęboko zaczerpnęła tchu. Wraz z Helene odszedł kolejny fragment trudnej przeszłości. Tak późno, tak bardzo późno!

– Nigdy sobie nie daruję tego wieczora – powiedział Kevin. – Ostatniego wieczora w życiu Helene. – Podeszedł niezauważony.

– Przecież to nie twoja wina. Nie ma nic złego w tym, że gość wraca do domu taksówką. Nawet do taksówkarza nie można mieć pretensji, tak straszny koniec nikomu nie przyszedłby do głowy. Nie. – Beatrice bezradnie rozłożyła ręce. – Tak chciał los. Tak miało być. Nikt nie mógł temu zapobiec.

Kevin wyjął papierosa, usiłował go zapalić, ale udało mu się dopiero przy trzeciej zapałce.

– Jezu, co się z tobą dzieje? – zdziwiła się. – Od kiedy znowu palisz?

– Odkąd za dużo piję. – Zaciągał się szybko, nerwowo. – Beatrice, mam kłopoty. Zdaję sobie sprawę, że dzisiaj nie jest dobry dzień, by o tym rozmawiać, dopiero co pochowaliśmy Helene i...

– Jeśli *dzisiaj* masz kłopoty, porozmawiamy o nich *dzisiaj*. Od dawna coś jest z tobą nie tak, wszyscy to widzą.

– No... tak. – Zaciągnął się. Był chorobliwie blady. – Beatrice, potrzebuję pieniędzy. I to dużo. Tu... tu chodzi o wszystko. O moje życie, o mój majątek.

– Ile? Na co?

– Pięćdziesiąt tysięcy funtów.

– Pięćdziesiąt tysięcy funtów? Na rany boskie, to majątek!

– Wiem o tym! – Nerwowym gestem przecesał włosy palcami, aż stanęły dęba. – Wiem, że to ogromna suma. Nie powinienem był do tego dopuścić, ale tak się stało. I muszę je mieć jak najszybciej.

– Komu musisz to oddać?

– Bankowi. Zadłużone jest wszystko: dom, działka, wszystko po najmniejsze źdźbło trawy.

– Ale po co ci aż tyle pieniędzy? Pięćdziesiąt tysięcy funtów? Takiej sumy nie wydaje się ot tak!

– Przez lata tyle się nzbierało – wyznał speszony. – Życie jest drogie i... No wiesz, na różach nigdy się jakoś nie dorobiłem.

– Wcale źle nie zarabiałeś – zauważyła. – Ale żyłeś na zbyt wysokiej stopie. Zawsze wydawałeś więcej, niż zarabiałeś.

– Chyba tak – przyznał. – I to mnie załatwiło.

– Bank dobrał ci się do skóry?

– Odsetki mnie wykańczają. Od miesięcy ich nie płacę, o samej sumie nie wspominał, ale odsetki ciągle rosną, więc zakłęty krąg się zamyka. – Gniewnym, desperackim ruchem zdusił papierosa. – Boże, Beatrice, stracę wszystko, wszystko.

– Więc najpierw trzeba się zająć odsetkami – mruknęła ostrożnie – a resztą zajmujemy się później.

– Ale co mi to da na dłuższą metę? W kolejnym miesiącu będzie to samo, i tak dalej. Musiałbym spłacać większą ratę, żeby odsetki były mniejsze, rozumiesz?

– Kevin, chciałabym ci pomóc, ale nie mam takich pieniędzy. Niestety. Posłuchaj. – Nalała kawy, usiadła, wskazała zapraszającym gestem fotel. – Siadaj. Napij się. Musimy się spokojnie zastanowić, co robić.

Kiedy podnosił filiżankę do ust, ręka drżała mu tak bardzo, że oblał sobie spodnie kawą.

– Helene ci pomagała, prawda? – domyśliła się delikatnie Beatrice.

Skinął głową.

– Gdyby nie ona, już dawno byłoby po mnie. Dała mi więcej, niż sobie wyobrażasz. Kilkadziesiąt tysięcy.

– Skąd je miała?

– Miała i już.

– Otrzymywała bardzo skromną rentę. Nie wyobrażam sobie, jak mogła z niej odłożyć jakąkolwiek większą sumę.

– Tego wieczora, gdy zginęła, po raz pierwszy powiedziałem jej całą prawdę – ciągnął. – Przyznałem się do wysokości długów.

– Wcześniej tego nie wiedziała?

– Nigdy nie rozmawialiśmy o tym tak otwarcie, tylko co jakiś czas prosiłem o taką czy inną sumę.

– Nie pytała na co?

– Owszem, ale zawsze mi się wydawało, że to pytania czysto retoryczne. Nigdy nie zagłębiała się w szczegóły. W gruncie rzeczy

mówiłem jej prawdę, mianowicie, że mam długi. Nie wiedziała tylko, jakiej wysokości.

– A w poniedziałek wieczorem...

– Wyłożyłem karty na stół.

– Jak zareagowała?

– Wcale nie była taka przerażona, jak się tego obawiałem. Trochę mnie skrzyżowała, że od początku jej wszystkiego nie powiedziałem, była urażona, że jej nie ufałem, jak to ona. Widziałem, jak się uspokoiła. – Usiłował wypić łyk kawy i znowu wylądowała na jego spodniach. – Siedziała tam w tej śmiesznej błękitnej sukience, za mocno umalowana, z za długimi włosami, staruszka, która chce wyglądać jak młoda dziewczyna, ale nagle miała w sobie coś z dobrotliwej babci. Nagle wydawała mi się taka dojrzała. Wiesz, w przypadku Helene rzadko kiedy miało się wrażenie, że jest dorosła...

Skinęła głową. Ileż razy irytowało ją, że Helene dożyje setki, zachowując się jak mała dziewczynka.

– Mówiła, że wszystko będzie dobrze – ciągnął Kevin. Z trudem przełknął ślinę, tego dnia cały czas był na granicy łez, Beatrice widziała to wyraźnie. – Że mi pomoże, że wszystko będzie dobrze.

– Bardzo to oczywiście miłe z jej strony – mruknęła. – Ale nie zmienia faktu, że dość mocno mijają się z prawdą. Twoje długi znacznie przerastały jej możliwości.

Po raz kolejny próbował sięgnąć po filiżankę, ale od razu zrezygnował. Nie zdołałby podnieść jej do ust.

– Powiedziała, że da mi te pieniądze – wyznał. Głos mu się łamał. Był już tak blisko. Porażka okazała się bardzo bolesna. – Następnego dnia miała iść do banku. Mieliśmy wybrać się tam razem. Chciała podjąć pięćdziesiąt tysięcy funtów i mi dać.

Beatrice pochyliła się odruchowo. Zmarszczyła czoło.

– A skąd miała wziąć taką sumę?

Kevin patrzył na nią umęczonym, pustym wzrokiem.

– Nie wszystko wiesz o Helene – powiedział. – Choć zawsze przedstawiała się jako twoja najlepsza przyjaciółka i powiernica, kilka szczegółów na swój temat udało jej się przed tobą zataić. Beatrice, Helene

była bardzo bogata. Siedziała na pieniądzach. Skromna renta, o której ciągle opowiadała, to była farsa. Pięćdziesiąt tysięcy funtów dla mnie to dla niej było kieszonkowe.

Beatrice czuła, jak blednie.

– Skąd je miała?

– To długa historia – mruknął Kevin. Sądząc po jego minie, nie uśmiechała mu się myśl, że zaraz zdradzi sensacyjną nowinę i zawiedzie zaufanie starszej pani, która padła ofiarą strasznego morderstwa. Był jednak zbyt wyczerpany, by czuć cokolwiek poza znużeniem.

– Opowiem ci, jeśli chcesz.

– Poproszę – szepnęła.

CZEŚĆ III

1

„Kiedy poznaje się kogoś nowego, zmienia się całe życie. Podobnie jak kiedy się kogoś traci” – dumiał Alan.

Siedział w knajpie The Terrace w St. Peter Port i usiłował sobie uświadomić, że Helene nie żyje.

Wokół niego wrzało życie, kafejka pękała w szwach od turystów, słońce świeciło jasno, ludzie chronili się pod parasolami słonecznymi, walczyli o każdy skrawek cienia. Powietrze pachniało frytkami, hamburgerami, kiełbaskami z grilla, które turyści zapijali wodą i winem. Nieco niżej, w marinie, właściciele jachtów szykowali swoje cudeńka na morze. Wobec niemal idealnej flauty łodzie motorowe były górą; wysypywały się powoli z portu, na otwartym morzu przyspieszały, unosząc na pokładach opalonych, roześmianych ludzi w okularach słonecznych, z wiatrem we włosach i radością bijącą z każdego ruchu. Zakotwiczą w jednej z licznych zatoczek i tam będą się kąpać, nurkować, opalać, a wieczorem spragnieni i głodni wrócą do miasteczka, do knajpek i barów, i będą się bawić do

późnej nocy. „Jacy oni wszyscy są pogodni” – pomyślał Alan.

Jego uwagę przykuła dziewczyna oparta nonszalancko o kamienny murek otaczający port; miała na sobie dżinsowe rybaczki – postrzępione nitki łaskotały kolana – i górę od bikini, zsuniętą na ramiona. Wystawiała twarz do słońca, miała zamknięte oczy. Koło niej stała butelka wody.

„Tego wszystkiego Helene już nigdy nie zrobi” – pomyślał i zaraz uświadomił sobie, że to przecież absurd, bo Helene i tak nigdy tego nie robiła. Podobnie jak nie pływała żaglówkami ani nie śmigała motorówkami, nigdy też nie opierała się nonszalancko o murek i nie dumiała o życiu z butelką wody pod ręką. Helene nigdy nie pozwalała sobie na tak daleko posunięte odprężenie, na takie rozkoszowanie się życiem. Jeśli kiedykolwiek zdarzyło jej się usiąść w porcie – Alan nie miał pojęcia, czy naprawdę do tego doszło – to z całą pewnością nie w szortach i staniku, a już na pewno nie z zamkniętymi oczami. Helene wiecznie obserwowała otoczenie, analizowała je, pilnowała. Wszędzie i zawsze wietrzyła niebezpieczeństwo. Alan właściwie nie przypominał sobie, żeby kiedyś przestała jęczeć, narzekać, uskarżać się na los, albo żeby nie snuła mrocznych przepowiedni na przyszłość. Humor poprawiał jej się jedynie w obecności Kevina. Jakimś cudem poruszał w niej strunę, do której nikt poza nim nie docierał. Jakby budziła się w niej beztroska dziewczyna, którą zapewne kiedyś była. Przez chwilę odsłaniała zupełnie nową stronę osobowości. Alana bardzo to wzruszało, ilekroć był tego świadkiem.

Sączył właśnie drugą lampkę wina i zastanawiał się, czemu zamawia półśłodkie – było mdłe i nijakie, smakowało jak kompot z alkoholem. Tego dnia udało mu się wytrzymać z piciem do obiadu. Przez cały ranek był trzeźwy, co jednak zawdzięczał argusowemu spojrzeniu Beatrice, które czuł na sobie w domu. W tej chwili wypicie choćby łyżeczka alkoholu w domu matki zdawało się niemożliwe. Ciągle była przy nim, zjawiała się w najmniej oczekiwanych momentach i krzyżowała mu szyki, gdy skradał się do kredensu po lampkę sherry czy koniaku. Dlatego w końcu wsiał w jej samochód – dzięki czemu, jak miał nadzieję, nie podąży za nim – i uciekł do St. Peter Port. Już pierwszy łyk wina przyniósł ukojenie. Pierwszy łyk dnia zawsze był najpiękniejszy.

Helene od dwóch dni leżała w grobie, powinien już dawno wrócić do

Londynu, czekało go mnóstwo pracy, zwłaszcza że w zeszłym tygodniu zaważył kilka terminów. Sekretarka była w rozpaczy, gdy jej oznajmił, że wróci dopiero w następny poniedziałek.

– Nie wiem, jak... – zaczęła z paniką w głosie, ale nie dał jej dokończyć.

– Wie pani chyba, że brutalnie zamordowano towarzyszkę życia mojej matki. Nie mogę jej tak z dnia na dzień zostawić.

Na to oczywiście nie miała żadnych argumentów, zresztą skąd mogła wiedzieć, że było to kłamstwo szyte grubymi nićmi. Beatrice nie trzeba pocieszać. Co prawda teraz miała cały czas kamienną twarz, co prawda wydawało się, że za każdym razem, gdy się do niej odzywał, wracała z dalekiej podróży, a mimo to i tak nie sprawiała wrażenia osoby potrzebującej wsparcia.

Niewykluczone, że brutalna śmierć Helene wstrząsnęła nią bardziej, niż chciała to okazać, ale z tym musiała uporać się sama. Jak zawsze, ze wszystkim. Zastanawiał się, czy ona w ogóle wie, jak to się robi, jak prosić innych o pomoc i wsparcie.

Tak więc właściwie nie miał powodu, żeby siedzieć na Guernsey, ale coś kazało mu zostać, nie pozwalało wsiąść w najbliższy samolot do Londynu. Nigdy się nie okłamywał – czasami nawet podejrzewał, że gdyby potrafił bardziej skutecznie fałszować rzeczywistość we własnych oczach, nie popadłby w alkoholizm. I dlatego teraz, siedząc w słoneczne popołudnie w portowej knajpce, przyznał sam przed sobą, że po prostu boi się powrotu do pustego mieszkania, do pustego życia.

Zawsze cierpiał, gdy po pracy nikt na niego nie czekał. Mężczyznę w jego wieku powinna witać żona i dwójka naburmuszonych dzieci tuż przed nastoletnim okresem burzy i naporu, i jeszcze merdający ogonem pies, i mruczący radośnie kot. Powinni rzucać mu się na szyję i zasypywać rewelacjami: że sprzątaczką odeszła, że matematyczka jest niesprawiedliwa, że najlepsza przyjaciółka okazała się wredną zmiłą.

– O rany – powiedziałyby wtedy. – A mogę najpierw umyć ręce? I usiąść?

A oni poszliby za nim do łazienki i paplali dalej, a on nie mógłby nawet nalać sobie whisky, bo nie miałby na to czasu. I nie czułby w sobie tej pustki, tej próżni, która kazała mu sięgać po alkohol, bo tylko dzięki niemu

mógł ją znieść.

„Zmarnowane życie – myślał i poczucie beznadziei zacisnęło na nim lodowate palce mimo południowego upału. – Całkowicie zmarnowane życie”.

Może właśnie dlatego tak bardzo go poruszyła śmierć Helene. Być może w tej chwili przeżywałby mocno każdą śmierć w kręgu znajomych. Życie, które skończyło się przedwcześnie, uświadamiało mu brutalnie, że on także ma pewne ograniczenia, jak wszyscy ludzie na ziemi. Nawet jeśli mało prawdopodobne, by miał skończyć z poderżniętym gardłem na polnej dróżce, jego także czekał nieuchronny koniec, równie nieodwracalny jak los Helene. Helene nieraz narzekała na swoje zmarnowane życie. Jak on. Zapewne gorzko się umiera z tą świadomością.

Zastanawiał się, czy zdobędzie się na wysiłek, by wstać i podejść do baru po trzeci kieliszek wina, i już miał to zrobić, gdy zobaczył, jak w jego stronę idzie Maja.

Szła ku niemu z taką pewnością siebie, że zrozumiał, że zauważyła go już dawno i nie ma sensu się ukrywać, udawać, że go tu nie ma. Przypomniał sobie, jaką radością napawały go dawniej takie przypadkowe spotkania, bo każde było w jego oczach nową szansą. Marzenie, by zapaść się pod ziemię, byle z nią nie rozmawiać, było dla niego czymś nowym.

„Prawdopodobnie czuję się tak – pomyślał – bo ten związek to już naprawdę przeszłość”.

Wstał, żeby ją powitać, i poczuł na policzku jej zimne usta. Była bez makijażu, miała zapłakane oczy.

– Cześć, Maju.

– Byłam przy kościele – wyjaśniła. – I nagle cię zobaczyłam. Chciałam się przekonać, że to naprawdę ty. Myślałam, że już dawno wróciłeś do Londynu.

– Nie, jeszcze nie – odparł sztywno i wskazał krzesło po drugiej stronie stolika. – Usiądź, właśnie miałem się napić wina. Przynieść ci?

– Przynieś mi wodę – szepnęła i dodała po ledwie zauważalnej chwili wahania: – proszę. Przy takim upale źle znoszę alkohol.

Wszedł do środka, stanął w kolejce do baru. Przesuwała się powoli. Większość gości chciała już o tej porze coś zjeść i niełatwo podejmowali

decyzję.

Alan spojrział na dwór, na stolik, przy którym siedziała Maja. Otworzyła torebkę, wyjęła z niej okulary słoneczne, nałożyła je. Dawniej skorzystałaby z okazji, by zwrócić na siebie uwagę wszystkich dokoła, teatralnie odrzucić włosy na plecy, założyć nogę na nogę i triumfalnie rozejrzeć się dokoła, zanim zasłoni ciemnymi szklami oczy o długich zmysłowych rzęsach.

Teraz po tym wszystkim nie było nawet śladu. Nie rozejrzała się nawet, czy w pobliżu jest jakiś interesujący mężczyzna, który być może miał ją już na oku. Wbiła wzrok w stolik i nerwowo obgryzała paznokcie.

W końcu przysłała jego kolej, zapłacił za napoje i wrócił do stolika.

– Jeśli chcesz wina – zwrócił się do niej – możesz się napić. Wyglądasz, jakby było ci to potrzebne.

– Nie, dziękuję. – Wypiła łyk wody. Alan stwierdził ze zdumieniem, że gdy odstawiła szklanekę, na jej krawędzi nie było czerwonego śladu szminki. – Ty też chyba powinieneś przejść na wodę.

– Wino dobrze mi robi.

– Skoro tak mówisz... – Wypiła kolejny łyk. – Czemu jeszcze nie wróciłeś do Londynu? – zapytała.

Splawił ją tym samym kłamstwem, co swoją sekretarkę:

– Muszę się zająć matką. Nie chciałem jej zostawiać samej.

Z tym że Maja oczywiście nie dała się nabrać.

– Och, proszę cię! Jeżeli ktoś na całym świecie może sobie poradzić sam, to z pewnością jest to twoja matka! Z jej powodu nie musisz tu siedzieć.

– Znam ją lepiej niż ty.

Uśmiechnęła się smutno.

– Dobrze, wmawiaj sobie, co chcesz. Jeśli szukasz powodu, żeby zostać, równie dobrze może to być twoja matka.

– Ty też zostajesz? To znaczy... Naprawdę nie wracasz do Londynu?

– Gdzie miałabym mieszać? Z czego żyć? Nie mam nawet pieniędzy na samolot czy prom. – Lekko uniosła głowę. Zorientował się, że tym gestem chciała powstrzymać łzy, które napłynęły jej do oczu. – Wszystko zepsułam. Zmarnowałam sobie życie.

Te słowa poruszyły go do głębi, bo zaledwie kilka minut temu myślał

to samo o sobie. I że Helene tak właśnie postrzegała swoje życie. „Ilu ludziom chodzi po głowie ta sama myśl? – zastanawiał się. – Czy to dlatego, że mamy tak żałośnie mało czasu? I tak wiele oczekiwań, tyle marzeń, planów, wiary. A zarazem jesteśmy tacy słabi. Dążymy za tym, czego chcemy, ale gdzieś po drodze brakuje nam tchu i wydaje nam się, że ponieśliśmy klęskę”.

Pochylił się nad stołem i na chwilę uściśnął jej dłoń. To był miły, ciepły gest, nie było w nim nawet cienia erotyzmu, który zazwyczaj cechował ich kontakty.

– Jesteś bardzo młoda – powiedział. – Dasz radę.

– Och, proszę cię, popatrz tylko na mnie! – odparła z przejęciem i ściągnęła okulary słoneczne. Jej oczy, już wcześniej podpuchnięte, poczerwieniały od płaczu. – Mam to wypisane na twarzy, prawda? Już widać. Zawsze mi to powtarzałeś.

Obserwował ją, obiektywnie, spokojnie, tak jak jeszcze nigdy na nią nie patrzył. Wyglądała młodziutko, jak małe, przekorne dziecko o bladej buzi i czerwonym nosie. Ale rzeczywiście, w jej rysach była też pewna twardość i pospolitość. Jej organizm regenerował się jeszcze po pijaństwach i hulankach, jej skóra jeszcze nie zdradzała śladów nałogów, ale latami była łatwa, chodziła z robotnikami portowymi i z opalonymi turystami z nieodłączną deską surfingową pod pachą. Ten tryb życia zostawił ślady; była po prostu tania, pomyślał i przeraził się tej myśli. „Ona jest tania”.

Widziała, co mu chodzi po głowie.

– Tak – mruknęła. – Ty też tak to widzisz.

– Och, Maju – westchnął znużony. – Nieraz o tym rozmawialiśmy. Nie mamy nic więcej do powiedzenia.

– Zobaczymy się jeszcze?

– Oczywiście. Nadal będę tu przyjeżdżał. I nasze drogi na pewno nieraz się skrzyżują.

– No dobrze. Jak to się mówi? Zostańmy przyjaciółmi.

– Lepsze to niż męczyć się w nieudanym związku. Prędzej czy później nie bylibyśmy w stanie nawet porozmawiać jak normalni ludzie, znieawidzilibyśmy się. Wolę to, co jest teraz.

– W moim życiu będą inni mężczyźni – powiedziała bez przekonania.

Coś się zmieniło, jakby znowu zakiełkowała w niej nadzieja. Choć była naprawdę załamana, choć śmierć Helene poruszyła ją do głębi, choć koniec ich związku naprawdę odebrał jej grunt pod nogami, da sobie radę. Żyła intensywnie, nigdy o sobie nie dbała, ale nadal potrafiła się dźwignąć po bolesnym ciosie.

„Weźmie się w garść – stwierdził. – I to szybko”.

I wtedy zobaczył, co zwróciło jej uwagę, co kazało jej usiąść prosto i dodało pewności siebie. Z budynku restauracji wyszedł na taras mężczyzna. Ten obleśny typ, z którym widział ją we wrześnie zeszłego roku, jak szła z nim Hauteville Road i zniknęła w mieszkaniu. Nagle znowu widział tę posępną twarz, której nigdy nie zdołał wytrzeć z pamięci; stała mu przed oczami – podobnie jak tamto straszliwe popołudnie, gdy jak zbity pies żałośnie warował po jej domem wpatrzony w zamknięte okna jej mieszkania i dręczył się, wyobrażając sobie, co też Maja wyprawia w sypialni z tym typem, który wyglądał jak żywcem wyjęty z podrzędnego kryminału.

Alan obserwował, jak tamten przeciskał się między stolikami z piwem w rękę. Szukał wolnego miejsca. Towarzyszył mu mężczyzna, który, sądząc po wieku, mógłby być jego ojcem, gdyby nie ciemna karnacja i oczy oraz zdecydowanie bardziej dystyngowany wygląd. On także niósł piwo i rozglądał się badawczo. Najwyraźniej żaden z nich jeszcze nie dostrzegł Mai.

– Czy to nie... – zaczął Alan.

Maja szybko nałożyła okulary. Zapewne przypomniawszy sobie, jak brzydko wygląda z zapuchniętymi oczami.

– Znasz Gérarda? – zapytała.

– Gérarda? Nawet nie wiedziałem, że tak ma na imię, i nie, nie znam go. Ale widziałem cię z nim, dawno, pół roku temu. Akurat szliście do ciebie.

Dziwne, powiedział to bardzo spokojnie. Dawniej to byłoby niemożliwe. Ale teraz już nie bolało. Pustka, tak, mnóstwo pustki, ale nie ból. I nagle zrozumiał, jak bardzo ten ból go wypełniał, a także i to, że czasami ludzie wolą nosić w sobie ból niż zmierzyć się z pustką, która po nim zostaje, i że być może właśnie odkrył rąbek tajemnicy, dlaczego od tyłu

lat tkwił w tym idiotycznym, destrukcyjnym związku z Mają.

– On wygląda jak bandyta – powiedział i poczuł pierwszą zapowiedź wewnętrznej ulgi, bo zostawił za sobą świat Mai i już nigdy więcej nie będzie dzielił się kobietą z mężczyznami, którym w innych okolicznościach nawet nie podałyby ręki. – Nadal z nim jesteś?

Wzruszyła ramionami.

– Dawno go nie widziałam, wiesz przecież, że byłam w Londynie. Nigdy też tak naprawdę nie byliśmy parą, ja tylko...

– Tak wiem, sypiałaś z nim od czasu do czasu. – Przyglądał się jej z namysłem. – Posłuchaj, Maju, to już mnie naprawdę nie obchodzi i mam nadzieję, że nie uznasz, że znowu truję jak stary belfer, ale proszę, bądź ostrożna przy wyborze kolejnych partnerów. Wiesz, że Helene spotkało coś strasznego, a twój... znajomy naprawdę wygląda jak...

– Jak przestępca, już to powiedziałaś. – Wodziła wzrokiem między nim a Gérardem, ale nie widział jej oczu za ciemnymi szklami okularów. – On naprawdę jest przestępcą, Alan. To paskudny typ, podobnie zresztą jak jego towarzysz. Pieprzyłam się z przestępcą i to było bardzo podniecające. Nigdy wcześniej tego nie robiłam, wiesz? Kiedy się żyje tak jak ja, szuka się wiecznie nowych podniet, nowego kopa, bo inaczej wkrada się nuda. Kręciło mnie to, że... – urwała, ale instynkt podpowiedział Alanowi, co miała na myśli.

– Że jesteśmy tak różni – dokończył za nią. – Raz ja, raz on. Prawnik i przestępca.

– Ale teraz nie chce mnie znać. Nawet on – dodała gorzko.

– Długo cię nie było – zauważył pojednawczo. – Może znowu nabierze na ciebie ochoty.

Zabolą ją ta uwaga, poznał to po lekkim drzeniu jej ust, zresztą sam zdawał sobie sprawę, że to, co powiedział, było bardzo dziecinne. Przecież dopiero co ostrzegął ją przed typami w rodzaju tego Gérarda, a teraz sam ją podpuszczał, żeby sprawdziła, czy nadal na nią leci, i to tylko po to, żeby ostrożnie wy badać, jak daleko może się posunąć, co może znieść z jej strony.

– Przepraszam, to było głupie – mruknął. – Naprawdę, Maju, trzymaj się od niego z daleka. Nie wiem, czym się zajmuje, ale to nie jest

odpowiedni człowiek i...

– Co ty wiesz – syknęła.

– Co?

– Co ty wiesz o tym, jak on zarabia. Brudne pieniądze!

– Nie wiem, ja tylko...

Pochyliła się nad stołem, była tak blisko, że czuł jej oddech, w którym zapach papierosów mieszał się z miętowym śladem po cukierkach. Zniżyła głos.

– Jesteś adwokatem. Jeśli teraz coś ci opowiem, nie możesz tego nikomu powtórzyć, tak?

– Słuchaj, nie chcę wiedzieć, czym twój kochanek... – Miał złe przeczucie. Nic go to nie obchodziło. *Wcale nie chciał tego wiedzieć.* – Maju...

Zniżyła głos do szeptu.

– Kradną jachty. Stąd, z mariny. Przemalowują je i pod nowymi nazwami zabierają do Francji. To lukratywny interes, o ile wiem, nieźle na tym zarabiają.

– O Boże. – Głos mu zadrżał. – Czy ty...?

Szukała w torebce zapalniczki.

– Nie, nie byłam ich współniczką, nie bezpośrednio. Ale czasami... Jezu, gdzie moje papierosy? – Znalazła je w końcu, wyjęła jednego i czekała, aż Alan poda jej ogień. – Czasami tylko... Zasięgałam języka – wyjaśniła. – O jachtach, o tym, kiedy wracają ich właściciele i tak dalej. No cóż. – Najwyraźniej zobaczyła jego minę i postanowiła wyłożyć wszystkie karty na stół. – Od czasu do czasu badałam grunt. To wszystko. Jezu, Alan, nie patrz tak na mnie! To było kiedyś, już dość dawno temu. Potrzebowałam pieniędzy, a Gérard powiedział... – Urwała. Przypominała teraz małą, przerażoną dziewczynkę. – Uważasz, że to bardzo źle? – zapytała.

Czuł, że nie obejdzie się bez kolejnej lampki wina. Nie wiedział, co nim tak wstrząsnęło, ale nagle poczuł się po prostu fatalnie.

– Och, Maju – westchnął tylko.

– Karin? – zagadnęła Beatrice. – Nie wie pani, czy Alan już wrócił? Samochodu nie ma na podjeździe, ale możliwe, że...

– Nie widziałam go – odparła. – Ani samochodu. Dokąd pojechał?

– Nie wiem. Pewnie do St. Peter Port. Trochę się martwię... – Beatrice urwała, zagryzła wargi. Nigdy nie czuła się komfortowo, rozmawiając z obcymi – a w pewnym sensie Karin nadal była obca – o problemie syna. I tak wszyscy o tym wiedzieli, a już na pewno Karin, a mimo to czasami wydawało jej się, że jako jego matka powinna udawać, że *nic się nie stało*. Jakby dzięki temu mogła go ochronić przed ludzką wrogością, przed plotkami i złośliwymi komentarzami. Jakby milcząc na temat jego nałogu, zasłaniała go przed wszelkimi ciosami, na które był narażony. Tak samo jak w dzieciństwie otulała go ciepłym kocykiem, żeby nie zmarł w przeciągu...

„Bzdura – upomniała się. – Alan nie jest już dzieckiem. Traktuj go jak dorosłego, a to oznacza, że nie możesz go osłaniać przed wzrokiem innych, choćby nie wiadomo jak cierpiał. Musi mieć dość sił, by się z tym uporać”.

– Boję się – powiedziała głośno. – Z Alanem jest niedobrze. Odwleka powrót do Londynu, żyje z dnia na dzień... to nie może oznaczać nic dobrego. Najchętniej przywiązałabym go gdzieś, żeby nie mógł sięgnąć do butelki, ale jak to zrobić? Może nawet w tej chwili siedzi w knajpie w St. Peter Port i upija się do nieprzytomności.

Spotkały się w holu, Beatrice wracała z ogrodu, gdzie z obowiązku zajmowała się kwiatami, a Karin zbiegała z piętra. Beatrice zauważyła, jak zdrowo wyglądała. Opaliła się, jej skóra przybrała brązowy odcień, słońce rozjaśniło jej włosy. Wydawała się pełna życia i energii. Choć poruszona straszną śmiercią Helene, ze wszystkich wplątanych w to osób była najsilniejsza, najzdrowsza. Trzymała się dzielnie i wzięła na siebie troski codziennego życia, robiła zakupy, gotowała, prała.

„Właściwie nie powinnam wziąć od niej pieniędzy za pobyt – stwierdziła Beatrice. – Przecież tylko dzięki niej jeszcze jakoś funkcjonujemy”.

Sama nie czuła się na siłach zająć się czymkolwiek. Śmierć Helene była szokiem, z którego nadal nie mogła się otrząsnąć. A do tego ta historia, którą opowiedział jej Kevin... Miała wrażenie, że wędruje przez świat w dziwnym transie, oddzielona zasłoną od bieżących wydarzeń. Jedynym, co wytrącało ją z odrętwienia, było picie Alana. Troska o syna sięgała tam,

dokąd uciekała, by nie myśleć o Helene, o kobiecie, z którą dzieliła życie, życie które tamta, jak czuła, jej odebrała. To życie i o wiele więcej.

– Proszę sobie tym nie zawracać głowy. – Karin starała się ukoić jej niepokoje co do Alana. – Wydaje mi się, że on się weźmie w garść. Nie wiem dlaczego, po prostu mam takie przeczucie.

Beatrice przyglądała się jej badawczo.

– Bardzo dobrze pani wygląda. W niczym nie przypomina pani tej ofiary losu, która stanęła na moim progu we wrześniu zeszłego roku. Życie na wyspie pani służy.

– Wolność mi służy – poprawiła Karin. Odgarnęła włosy z czoła i w tym geście dało się dostrzec ślady dawnego braku pewności siebie. – Powoli zaczynam w siebie wierzyć.

Beatrice kusiło, żeby zapytać, czy nadal bierze tabletki, ale powiedziała sobie, że nie ma prawa zadawać takich pytań. Środki uspokajające to prywatna sprawa Karin. Nigdy nie wiadomo, jakie rany można rozdrapać takim pytaniem. Powiedziała więc tylko:

– A przecież właściwie można by uznać, że trafiła pani w sam środek koszmaru. Człowiek nigdy nie jest przygotowany na coś takiego, prawda? Wydaje nam się, że wiemy o takich tragediach, krwawych zbrodniach, o tym, co ludzie potrafią sobie wzajemnie zrobić. Świat jest tego pełen, a za sprawą gazet i telewizji my także niejako bierzemy w tym udział. Wydaje się nam, że nic nas nie ruszy. Ale jednak, kiedy tragedia dotyka nas osobiście, jest inaczej.

– Tak, to tragedia – powtórzyła Karin. – Ale jednocześnie... – Szukała właściwych słów. – Och, Beatrice – powiedziała w końcu. – Nie powinnam tego mówić, nie po tym co się stało... ale mam wrażenie, że zaczyna się nowy rozdział mojego życia.

– Nie musi się pani tłumaczyć – zauważyła Beatrice. – Ma pani swoje życie, ja mam swoje, Helene miała swoje. Przed panią piękne czasy, Karin, to widać. Niech pani nie pozwoli, by ktokolwiek to popsuł.

– Wybieram się na cmentarz – powiedziała Karin. – Chciałam zanieść kwiaty Helene.

Beatrice się uśmiechnęła.

– Niech pani idzie. Czy pani mąż już wyjechał?

- Przedwczoraj. W końcu dał sobie spokój.
- A pani jest przekonana, że chce rozwodu?
- W stu procentach – odparła.

Karin pchnęła furtkę prowadzącą na cmentarz położony na południe od St. Peter Port. Miała na sobie dżinsy, przy tym upale nieprzyjemnie klejące się do nóg, koszulkę na ramiączkach i słomiany kapelusz. Już od kilku dni utrzymywała się isticie wakacyjna pogoda. Jakby lato stawiało się punktualnie na Dzień Wyzwolenia. Ludzie tłoczyli się na ulicach i wiwatowali, kwiaty na platformach rwały oczy w słońcu, jakby wzajemnie chciały się przebić kolorami. Grała orkiestra, wszyscy śpiewali patriotyczne pieśni, a mówca w stroju Churchilla wygłaszał płomienne przemówienie, zwieńczone słynnym zdaniem, które do dzisiaj brzmiało w uszach mieszkańców jak najpiękniejsza muzyka: „And our beloved channel islands will also be freed today!”. W rozbawionym tłumie nie słyszało się własnych myśli.

Karin zjrzała do St. Peter Port tylko na chwilę, nie chciała brać udziału w radosnych uroczystościach. Śmierć Helene była zbyt świeża. Radość sprawiała jej ból.

„Nie czas na to – pomyślała. – Tej wiosny nie czas na radość”.

Tego dnia chciała być sama, chciała móc wszystko w spokoju przemyśleć. Najpierw zamierzała się wybrać do zatoki Petit Bôt, żeby tam posiedzieć w słońcu na rozgrzanym kamieniu, ale potem przypomniała sobie Helene, pomyślała, że jej morderca nadal chodzi na wolności, i znowu powróciła groza. Wyspa straciła urok raj. Gdzieś tutaj, wśród malowniczych wiosek, bujnych ogrodów i tajemniczych zatoczek, krył się morderca, który podcina kobietom gardła.

Kupiła wielki bukiet róż i stwierdziła, że zanieśie go Helene, posiedzi przy jej grobie, porozmawia z nią, pomyśli, co dalej. Michael nie odzywał się od wyjazdu, a nie miała ochoty dzwonić do niego do Niemiec. Po kolacji w Old Bordello kilkakrotnie zjawił się w domu Beatrice, głęboko poruszony śmiercią Helene upierał się, że za wszelką cenę musi zabrać żonę „z tego całego szaleństwa”.

Przeciwko temu zaprotestowali policjanci. Karin, podobnie jak Kevin i Beatrice, miała na razie nie opuszczać wyspy.

Michael wpadł w szal.

– Słuchaj, przecież nie masz z tym wszystkim nic wspólnego! – krzyczał. – Nie mają prawa cię tu przetrzymywać, Bóg jeden wie, kiedy dojdą, kto załatwił tę staruchę. Nawet jeśli będę musiał iść do samego ambasadora, wyciągnę cię stąd!

– To bez sensu – tłumaczyła.

Najeżył się od razu.

– Co znaczy: to bez sensu? No oczywiście, to dla ciebie typowe, wiesz o tym? Dlaczego to bez sensu? Dlaczego zakładasz, że ci ludzie...

– Niczego nie zakładam – wpadła mu w słowo Karin. – Nie zrozumiałeś mnie. Ja chcę tu zostać. Nie chcę wracać do Niemiec. Tak więc jeśli chodzi o mnie, nie ma problemu, czy mają prawo mnie tu trzymać, czy nie. Zostaję tu, bo tego chcę.

Przez kilka sekund przyglądał jej się badawczo.

– Tobie już nie można pomóc – stwierdził w końcu. – Wbiłaś sobie do głowy te bzdury o wolności i samorealizacji czy o czym tam jeszcze. Moim zdaniem popełniasz wielki błąd. Gdybyś w najbliższym czasie jednak poszła po rozum do głowy, zadzwoń do mnie.

Odebrała to jako prośbę, by jeszcze raz sobie wszystko przemyślała, ale czuła spokojną pewność, że nie było odwrotu, a ponieważ nie zmieniła zdania, nie widziała powodu, by do niego dzwonić. Zresztą przekonała się już, że jeśli go nie słyszała, nie miała z nim kontaktu, czuła się lepiej. A jeśli chodzi o jej przyszłość, cóż, na ten temat nie chciała z nim rozmawiać. Sama musiała się zastanowić, co dalej.

Szła zwirowaną ścieżką, pokonała kilka stopni prowadzących na cmentarz. Kwitnące drzewa opadały miękko aż do morza, które dzisiaj było równie błękitne jak niebo.

„Jak na obrazku” – pomyślała.

Dobrze jej zrobiło przyjście tutaj. Cały czas miała wrażenie, że nie zdążyła się porządnie pożegnać z Helene. Podczas pogrzebu na małym cmentarzyku tłoczyły się setki ludzi.

„Czyżby Helene była aż tak lubiana?” – zastanawiała się Karin, ale

potem zobaczyła na twarzach wielu zebranych ordynarną ciekawość, nieprzyzwoite wścibstwo. Większość to byli zwykli gapie zwabieni tanią sensacją. Ciekawie przyglądali się Beatrice i Kevinowi, bo rozeszła się już wieść, że Helene spędziła ostatni wieczór u niego. Karin czuła wstręt i na darmo usiłowała go w sobie stłumić, bo uważała, że to uczucie nie na miejscu. Nie mogła ich ganić za niezdrową fascynację na myśl o kobiecie, którą znaleziono na polnej ścieżce z poderżniętym gardłem.

Stała przy grobie najwyżej dwie sekundy, potem ktoś ją odepchnął. Teraz chciała to naprawić.

Grób znajdował się w najniższej części cmentarza, tam gdzie kończyły się nagrobki, a zaczynał las, który prowadził do urwiska. To tutaj ponad pół wieku temu spoczął Erich Feldmann, a teraz w tym samym grobie leżała także Helene.

Kiedy podeszła bliżej, zorientowała się, że nie jest tam sama. Przy świeżym grobie ktoś stał i wpatrywał się w nagrobek. Maja, co Karin stwierdziła z wielkim zdumieniem. To ostatnia osoba, którą spodziewała się tu spotkać.

– Dzień dobry, Maju – zagaiła delikatnie. – Mogę położyć kilka róż?

Maja drgnęła.

– Oczywiście. Dzień dobry. Sama nie wiem, jak długo tu sterczę. – Zmarszczyła czoło. – Gorąco dzisiaj. Głowa zaczyna mnie boleć.

– Tak, mnie też jest gorąco – przyznała Karin.

Maja spojrzała na nią i tak samo jak Alan kilka godzin wcześniej, Karin ze zdumieniem zobaczyła jej zapłakane oczy i twarz bez odrobiny makijażu.

– Biedna Helene – mruknęła.

Karin nie przypominała sobie, żeby Maja przepadała za Helene, tym bardziej więc dziwiła ją ta rozpacz.

– Tak – odparła cicho – biedna Helene. – Straszna śmierć, taka bezsensowna i gwałtowna.

Obie wpatrywały się w nagrobek. Ziemia lśniła ciemnym blaskiem. Wkrótce porośnie trawą, jak na innych grobach. Na nagrobku widniało tylko nazwisko Ericha, o Helene jeszcze nie było wzmianki.

Oberstleutnant Erich Feldmann

urodzony 24.12.1899

zmarł 1 maja 1945

„Nie zdawałam sobie sprawy, że oboje zginęli pierwszego maja – pomyślała Karin. – Jakie to dziwne. Pierwszego maja, w odstępie pięćdziesięciu pięciu lat!”

Położyła róże na kopczyku ziemi. Upał już dawał im się we znaki, smętnie zwiesiły główki. Szybko zwiędną.

– Jutro będzie padać – zauważyła Maja. – Czuję to.

– Roślinom deszcz dobrze zrobi. A jeśli naprawdę zanosi się na zmianę pogody, to tłumaczyłoby pani ból głowy.

– Może – mruknęła Maja obojętnie. Wpatrywała się w kopczyk ziemi z tak rozpaczliwą intensywnością, że Karin zadrżała. Opanowała odruch, żeby objąć Maję ramieniem. Nie wiedziała, czy dziewczyna by tego chciała.

– Tak bardzo ją pani lubiła? – zapytała, zerkając z ukosa na grób.

Maja pokręciła głową.

– Nie, prawie jej nie znałam.

– Czyli przeraziła panią ta zbrodnia?

– Przeraża mnie śmierć. Jeszcze niedawno żyła, a teraz już jej nie ma. I to tak bez sensu, i...

– Tak, zbrodnia wydaje się szczególnie bez sensu, ale...

– Nie chodzi mi o zbrodnię – wtrąciła ostro Maja. Z jej oczu znowu popłynęły łzy. – Chodzi mi o życie. Co ona z niego miała? Co Helene miała z życia? – Intensywność jej słów zaskoczyła Karin do tego stopnia, że cofnęła się o krok.

– Maju...

– Bardzo wcześnie straciła męża i później już nigdy nie poznała nikogo, kto ją pokochał. Mieszkała w obcym kraju. Wśród ludzi, do których mówiła obcym sobie językiem. I wszyscy wiedzieli, że Beatrice trzymała ją w domu tylko z litości. Tolerowała ją – jak biedną, starą ciotkę, która nie ma nikogo na świecie i dlatego trzeba się nią zająć. Ale bardzo chciała się jej pozbyć

i Helene doskonale o tym wiedziała. Co za zmarnowane życie. I już nikt nigdy nie odda jej straconego czasu.

– Może ona patrzyła na to inaczej.

– Och, oczywiście! Za krótko ją pani znała i dlatego pani tego nie widziała. Helene była zgorzkniała i samotna i wiedziała, że wszystko zmarnowała.

– Ale przecież chyba nie dlatego... – zaczęła Karin, ale Maja znowu nie dała jej dokończyć:

– Helene to tylko przykład! Widać na nim, jak wygląda zmarnowane życie. Jej, czyli moje!

Karin nie wierzyła własnym uszom.

– *Pani* życie? Na miłość boską, Maju, jak może pani porównywać swoje życie z losem Helene? Jest pani młodą, zabójczo piękną kobietą, która przyciąga wszystkich, a zwłaszcza mężczyzn. Jeszcze przez kilka lat będzie pani szaleć, a potem wyjdzie pani za mąż za przyzwoitego człowieka i założy rodzinę. W niczym nie przypomina pani Helene!

– Och, proszę nie gadać takich bzdur! – zachnęła się Maja. Była niesprawiedliwa, ale w tej chwili mało ją to obchodziło. Szukała kogoś, na kim mogłaby się wyładować, a Karin była pod ręką. – Przecież wszystko spieprzyłam! Nie mam matury. Nie mam wykształcenia. Nie mam pracy. Muszę błagać babkę o pieniądze i wysłuchiwać jej narzekań, jak bardzo ją rozczarowałam. Wszyscy mają mnie za nieudacznicę, ja...

– To nieprawda i dobrze pani o tym wie. Jeśli chodzi o maturę i wykształcenie, może to pani przecież nadrobić. Ma pani dwadzieścia dwa lata! Jest pani jeszcze taka młoda! Przed panią całe życie!

Maja się odwróciła. W ciągu ostatnich kilku minut pobladła jeszcze bardziej i wydawała się jeszcze młodsza, niż była.

– Ale bez Alana – powiedziała cicho.

„Biedna mała – pomyślała Karin. – Nagle taka samotna”. Podeszła do niej i objęła ją ramieniem. Maja przytuliła się do niej i zaczęła płakać. Płakała coraz głośniej, aż szloch wstrząsał całym jej ciałem.

– To takie straszne – płakała. – Straciłam go. Już nigdy mi nie zaufa, nigdy. Latami wiedziałam, że mogę robić, co zechcę, a i tak do mnie wróci. Choćbym nie wiem jak go zraniła, jak bardzo go uraziła... Zawsze mnie

przyciskał i przebaczał, a ja... – Nie mogła mówić dalej, łzy jej na to nie pozwalały.

Karin czule gładziła ją po włosach.

– W ciągu minionych lat często go pani raniła, prawda? – zapytała cicho.

Maja skinęła głową.

– Robiłam to, co chciałam – wychlipała. – To, na co miałam ochotę. Czasami zadawałam się z okropnymi facetami. Nie uwierzyłaby pani: z pijakami, hazardzistami, kryminalistami. Ale nigdy się nie bałam. Zawsze miałam u boku Alana. Zawsze miałam wrażenie, że mnie chroni. Wiedziałam, że nic mi nie będzie.

– Przecież nadal nic pani nie grozi.

– Ale Alana już nie ma.

– Ależ owszem, jest. Zapewne w tej chwili dzieli was wiele bólu i goryczy, ale to przejdzie, a zostanie to, co było między wami najważniejsze – przyjaźń. On zawsze będzie pani przyjacielem, Maju. Nie kochankiem, ale przyjacielem.

– Ale ja go kocham – szepnęła Maja. Przestała płakać, lecz nadal wyglądała bardzo smutno. – Ja go naprawdę kocham!

– Jest od pani prawie dwukrotnie starszy i oczekujecie od życia różnych rzeczy. Pani chce się bawić, flirtować, tańczyć, upewniać się o swojej atrakcyjności. Alan ma ponad czterdzieści lat i postrzega życie zupełnie inaczej. Ma inne wymagania. I to też normalne. I dlatego tak trudno te oczekiwania pogodzić.

Maja wpatrywała się w nagrobek z taką miną, jakby widziała w nim symbol całej beznadziejności życia.

– On też umarł pierwszego maja – zauważyła. – Jak Helene.

– Tak – mruknęła Karin. – Też mi się to rzuciło w oczy. Pierwszego maja 1945 roku. I podobnie jak Helene, zginął tragicznie. Co prawda z własnej ręki, ale mimo to tragicznie.

– Ciekawe, czy zostaliby razem, gdyby Erich nie zginął?

Karin wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Chyba tak. Helene nie miałyby dość siły, żeby od niego odejść. Zostałyby z nim tak samo, jak została z Beatrice.

– Właściwie dlaczego go wtedy nie uratowali? – zdziwiła się Maja. – Strzelił sobie... w głowę?

– O ile mi wiadomo, w klatkę piersiową, i żył jeszcze kilka godzin po strzale. Pewnie dałoby się go uratować. Wykrwawił się na śmierć, bo nigdzie nie było lekarza. Pani pradziadek cały dzień jeździł od pacjenta do pacjenta, a niemiecki lekarz był nieuchwytny. I dlatego Erich Feldmann umarł.

Maja zmarszczyła czoło.

– Mój pradziadek jeździł od pacjenta do pacjenta?

– W tamtych dniach na wyspie panował pewnie niewyobrażalny chaos. Dzień wcześniej Hitler popełnił samobójstwo. Rosjanie zajęli Berlin. Alianci zwyciężali na wszystkich frontach. Nikt nie wiedział, co się stanie z okupantem tu, na Wyspach Normandzkich. Wszyscy lekarze czekali w gotowości i nikt nie zawracał sobie głowy, czy któryś z nich jest osiągalny w razie nagłego wypadku.

– Nie o to mi chodzi – mruknęła Maja. – Zdziwiłam się, bo...

– Tak?

– Zdaje mi się, że prababka Wyatt opowiadała, że tamtego dnia, gdy zginął Erich, jej mąż był u nich. Wezwano go po południu, bo... był jakiś wypadek z francuskim jeńcem, nie pamiętam...

– Dziwne – przyznała Karin. – Dałabym sobie rękę uciąć, że Beatrice mówiła, że...

– Och, pewnie się mylę – mruknęła Maja. Objęła się ramionami, jakby było jej zimno. Na dworze było gorąco, ale być może szarpał nią wewnętrzny dreszcz. – Tak, na pewno coś źle zrozumiałam – powtórzyła. Jej skóra lśniła od potu. – Czas już na mnie. Przepraszam, że obarczyłam panią moimi problemami.

– Nie obarczyła mnie pani. Do zobaczenia. Niech pani posiedzi w słońcu i trochę odpocznie.

Odprowadziła wzrokiem smukłą, wysoką postać o długich włosach i nogach do nieba.

„Dziecko – pomyślała. – Przecież to dziecko. Jak Alan mógł poświęcić tyle lat życia takiemu dziecku?”

Kiedy Karin wróciła do Le Variouf, Beatrice czekała na nią w progu. Chyba nie czesała się od rana, bo niesforne włosy rozsypywały jej się w nieładzie na ramiona. Cały czas miała też na sobie to samo ubranie, co wcześniej w ogrodzie. Na dżinsach widniały plamy ziemi, a luźną męską koszulę znaczyły zielone trawiaste smugi. W ciągu minionych dwóch tygodni jej rysy się wyostrzyły, twarz wychudła, wydawała się starsza. Po raz pierwszy Karin przemknęło przez głowę, że widać po niej wiek.

– Jak dobrze, że pani już wróciła! – zawołała z ulgą w głosie. – W kółko usiłowałam dodzwonić się do Mai, myślałam, że może wie, gdzie jest Alan. Przed chwilą w końcu udało mi się ją złapać, u niej w domu. Mówiła, że spotkałyście się na cmentarzu. I że była z Alanem w południe w The Terrace, i że znowu pije. Tak bardzo chciałam, żeby pani wróciła do domu. W innym wypadku zamówiłabym oczywiście taksówkę, ale... – Zaczerpnęła głęboko tchu, jakby mówiła tak szybko, że zapomniała zupełnie o oddychaniu. – Karin, czy zawiezie mnie pani do St. Peter Port? Chciałabym sprowadzić Alana do domu. Martwię się. Mam złe przeczucie. Pewnie jest już tak pijany, że nie powinien siadać za kierownicą, a boję się, że pijany wpadnie do wody albo coś gorszego!

– Oczywiście, że panią zawiozę – zapewniła Karin. – Tylko pójde po torebkę.

Pobiegła na górę do swego pokoju, wyjęła tabletkę z szuflady, połknęła bez popijania. Łyknęła już jedną rano i w drodze z cmentarza czuła, że przestaje działać; zdradzało to lekkie mrowienie w opuszkach palców i nerwowość, która ogarniała ją stopniowo, powoli.

Przyjmowała teraz tabletki dwa razy dziennie, rano i wieczorem, i uważała, że to pewien postęp – nie łykała ich już kiedy popadnie, nie nosiła z sobą, żeby na wypadek nagłego ataku paniki natychmiast się znieczulić. Zresztą ataki jako takie ustały, teraz zjawiał się niepokój, który odezwał się także w tej chwili. Domyślała się, że ten niepokój skończy się prędzej czy później potężnym atakiem paniki, jeśli do tego dopuści, ale dwie tabletki dziennie załatwiały sprawę.

„Kiedyś nauczę się bez nich żyć – obiecała sobie. – To potrwa, ale dam radę”.

Wracając na dół, uśmiechnęła się do myśli, że oto wyrusza z Beatrice na

ratunek Alanowi, żeby go ustrzec przed tragicznymi konsekwencjami nałogu. I w tym celu sama musi się wesprzeć swoim narkotykiem.

„Właściwie niczym się od niego nie różnię – pomyślała. – Tyle że uzależnienie od środków uspokajających nie rzuca się tak bardzo w oczy jak zapach alkoholu”.

W samochodzie Beatrice spojrzała na nią.

– Mam nadzieję, Karin, że nie uważa pani, że ją wykorzystuję – powiedziała. – Wpakowała się tu pani w prawdziwy melodramat i obawiam się, że czasami obarczamy panią zbyt wielkim ciężarem.

– Proszę sobie nie zawracać tym głowy. Mój melodramat rozgrywał się gdzie indziej i nie miał nic wspólnego z Guernsey. Dam sobie radę. – Po chwili wahania dodała: – Daję sobie radę lepiej niż kiedykolwiek. Ale to już pani mówiłam.

– Cieszę się, że pani tu jest – powiedziała cicho Beatrice. – Po raz pierwszy w życiu czuję, że to wszystko mnie przerasta. Nie radzę sobie z tym wszystkim. Mogłabym cały dzień stać pośrodku pokoju ze zwieszonymi rękami i gapić się w pustkę. I nawet to kosztowałoby mnie mnóstwo wysiłku.

Karin zerknęła na nią z boku.

– Nie najlepiej pani wygląda, Beatrice. Czy pani dzisiaj w ogóle coś jadła?

– Nie, nie miałam na to czasu.

Przyjechały do St. Peter Port. Karin wypatrzyła wolne miejsce parkingowe przy kościele, wjechała tam, zaparkowała.

– Bez względu na to, czy Alan jest w The Terrace, czy nie, usiądziemy tam, zjemy coś i nie pozwolę pani wyjść, jeśli pani nie zje wszystkiego.

– Karin, ja naprawdę...

– Żadnych sprzeciwów. Szkoda, że pani siebie nie widzi. Schudła pani z pięć kilo, i to w ciągu kilku dni. Nic dziwnego, że nie ma pani na nic siły. Musi pani jeść.

W The Terrace kłębił się tłum. Ciepły wieczór wabił gości na taras. Beatrice i Karin obeszły cały lokal, ale nigdzie nie dostrzegły Alana.

– Poszedł dalej – stwierdziła Beatrice zrezygnowana. – Jest już pewnie w ósmej z kolei knajpie i zdążył się porządnie zatruć alkoholem. Karin,

musimy...

Karin delikatnie, ale stanowczo pchnęła ją na krzesło.

– Nikomu nic z tego nie przyjdzie, jeśli pani zemdleje. Proszę poczekać, przyniosę coś do jedzenia. Kilka minut i tak nas nie uratuje. Zjemy i pójdziemy go szukać, ale najpierw musimy się wzmocnić. Sama pani wie, że trochę to potrwa, zanim obejdziemy wszystkie knajpy w St. Peter Port.

Zostawiła Beatrice, weszła do środka i stanęła w długiej kolejce. Odruchowo wróciła myślami do swojej pierwszej wizyty we wrześniu zeszłego roku. Panika wzięła wtedy górę, wybiegła, tłukąc po drodze naczynia. Tym razem obejdzie się bez kompromitujących scen. Jest już inną osobą – prawda? Widziała się w przeszklonej ścianie i rzeczywiście, przynajmniej fizycznie wyglądała zupełnie inaczej. Nie była już taka błada i niepozorna jak w zeszłym roku. Inaczej nosiła głowę, wyprostowała się. Patrzyła przed siebie z większą odwagą, nie tak trwożliwie jak dawniej. Zauważyła nawet, że niejeden mężczyzna spoglądał na nią z zainteresowaniem.

„Nie jest źle – pomyślała. – Nieźle jak na kobietę, o której Michael mówił, że nie nadaje się do samodzielnego życia”. Zamówiła dwie porcje tej samej tajskiej potrawy – nieokreślone coś z makaronem i warzywami – i na wszelki wypadek wzięła też dwa kieliszki wina. Łyczek alkoholu dobrze zrobi Beatrice.

Beatrice oczywiście powtarzała, że nie przełknie ani kęsa, ale Karin zapowiedziała, że w takim wypadku nie pójda szukać Alana, i Beatrice bez apetytu grzebała widelcem w talerzu.

– Mój świat legł w gruzach – powiedziała z bezradnością w głosie, której Karin jeszcze nigdy u niej nie słyszała. – I nie umiem się w nim odnaleźć.

– Śmierć Helene? – zapytała ostrożnie. – Czy Alan?

– Helene, Alan... wszystko. Kiedy traci się równowagę, wszystko wydaje się o wiele cięższe. Nie ma się oparcia, wszystko stoi pod znakiem zapytania. – Jej oczy zaszyły mgłą smutku. – Oczywiście już przedtem zastanawiałam się, gdzie popełniłam błąd. Kiedy jedyne dziecko nie radzi sobie z życiem, każda matka zadaje sobie to pytanie. Tak, oczywiście, Alan dorastał bez ojca. Może to też miało wpływ. Dorastał w domu dwóch

kobiet, z których jedna, neurotyczna i nierówna, go uwielbiała, a druga, jego matka, zawsze starała się ściągnąć go na ziemię i przy tym zapewne nieraz okazała się zbyt surowa. – W końcu uniosła widelec do ust, zaraz go jednak opuściła, nie zjadłszy ani kęsa. – Czasami sobie myślę, że my obie, Helene i ja, wymagałyśmy od niego zbyt wiele, choć każda na swój sposób. Chciałyśmy, żeby spełniał nasze oczekiwania i marzenia, które na dodatek często były sprzeczne, bo stanowiły też wyraz naszych różnic. Alan zaczął pić, gdy oblał kilka egzaminów. I to była nasza wina. Alan zawsze uważał, że nie może zawieść, i w pewnym momencie to obciążenie go załamało. Szukał katalizatora i znalazł go przypadkiem... i od tej pory nic nie mogło zapobiec tragedii.

– Beatrice, niech pani nie ocenia się tak surowo – powiedziała Karin. Na chwilę przykryła jej dłoń swoją. – Robiła pani dla niego, co pani mogła. Która matka jest doskonała? Jeśli tego pani od siebie oczekuje, chyba trochę pani przesadza.

– Może powinnam była także bardziej konsekwentnie trzymać go z dala od Helene. Nasze tak zwane życie rodzinne właściwie zdominowała ona, kobieta wiecznie skrzywiona, przekonana, że lada dzień nadejdzie koniec świata, a ją spotka lada chwila śmierć, jeśli się nią nie zajmę. – Beatrice roześmiała się gorzko. – Narzekała bez przerwy. Na pogodę, na rodzinę królewską, na konflikt w Irlandii, na jedzenie, na swoje wyimaginowane choroby, na swój wiek. Najbardziej narzekała na swoją samotność i na to, że dostaje taką małą rentę, że już zawsze będzie ode mnie zależna. „Gdyby nie ty, mieszkałabym w jakiejś ciasnej norze”, powtarzała. – Beatrice się skrzywiła. – Ta płaczliwa, wiecznie niezadowolona kobieta była w gruncie rzeczy wyrafinowaną, skupioną na sobie egoistką. Z perspektywy czasu muszę jej to przyznać. Ja przez całe życie byłam od niej o wiele głupsza.

Karin przyglądała jej się uważnie.

– Mówi pani inaczej niż dawniej. Co prawda nigdy nie miałam wrażenia, że się przyjaźnicie, ale... w pani głosie jest więcej twardości, cynizmu. Zazwyczaj po śmierci bliskiej osoby jest inaczej, prawda? Dostrzega się raczej jej zalety, ocenia mniej surowo. Co się stało?

Beatrice odłożyła sztucę na stół. Było jeszcze jasno i Karin po raz

kolejny zwróciła uwagę na umęczony wyraz jej twarzy.

– Nie zjem więcej. Proszę mnie nie zmuszać, błagam. Nie przełknę ani kęsa.

– Co się stało?

Przecząco pokręciła głową.

– Nie mogę o tym rozmawiać. To... zbyt świeże. Muszę to przemyśleć, potrzebuję więcej czasu.

Karin nie naciskała. Rzuciła obojętnym tonem:

– Maja powiedziała dzisiaj coś dziwnego. Spotkałyśmy się przy grobie Helene i nagle obie uświadomiłyśmy sobie, że zginęli tego samego dnia – pierwszego maja. Dziwny zbieg okoliczności, prawda?

– Nie ma zbiegów okoliczności – odparła Beatrice. Oprzytomniała. – A co takiego powiedziała?

– Rozmawiałyśmy o tamtym dniu, gdy umarł Erich. Powiedziałam, że zapewne dałoby się go uratować, gdyby w pobliżu był lekarz, co jednak było niemożliwe ze względu na chaos na całej wyspie. Maja bardzo się zdziwiła. Prababka opowiadała jej, że tamtego popołudnia doktor Wyatt był u was; zdaje się, że wezwano go, żeby opatrzył rannego jeńca wojennego, jakiegoś Francuza. A mnie się wydawało, że po południu Erich już się postrzelił i leżał na łożu śmierci. W takim wypadku doktor Wyatt chyba mógł go opatrzyć? – Karin wzruszyła ramionami. Spojrzała na Beatrice. – Pewnie coś źle zrozumiałam.

Ściemniło się, ogródek restauracji spowijały cienie, w bladym świetle twarz Beatrice wydawała się szara. „Choć może to nie wina światła – pomyślała Karin. – Ona bardzo cierpi. Poszarzała z bólu”.

– Tamten pierwszy maja – powiedziała cicho Beatrice. – Mój Boże, co to był za dzień. Pierwszy maja 1945 roku... to był dzień wydarzeń brzemiennych w skutki. Wszystko rozegrało się w ciągu kilku godzin, dokonywaliśmy wyborów, podejmowaliśmy decyzje, nie zdając sobie sprawy, jak dalekosiężne będą ich skutki.

Karin pochyliła się nad stołem. Po raz drugi w ciągu kilku minut dotknęła dłoni Beatrice. Poczowała pod palcami szorstką, pomarszczoną skórę i drżenie całego ciała.

– Co się wtedy wydarzyło, Beatrice? – zapytała cicho. – Co się

wydarzyło pierwszego maja przed pięćdziesięciu pięciu laty?

Guernsey, maj 1945

Od początku roku Niemcy zmierzały w stronę całkowitej klęski i głosy prorokujące ostateczne zwycięstwo cichły coraz bardziej. Gazeta „Deutsche Guernsey Zeitung” ciągle jeszcze zagrzewała do walki gorącymi słowami, ale chyba już nikt na całej wyspie w te słowa nie wierzył. „Nie poddajemy się” – głosiła wytłuszczonym drukiem jeszcze dwudziestego kwietnia; w dniu urodzin Führera prześcigała się z innymi gazetami, „Star” oraz „Evening Press”, w hymnach pochwalnych na cześć wodza i podkreślała jego żelazne dążenie do zwycięstwa. W tym samym czasie Rosjanie stali pod Berlinem, Polska była wolna, w Prusach Wschodnich i na Śląsku roiło się od rosyjskich żołnierzy, w zbombardowanych miastach gnieździły się dziesiątki tysięcy uchodźców, a niemieckie armie kapitulowały jedna po drugiej. Nawet cud nie uratowałby Trzeciej Rzeszy. Wojna zmierzała ku końcowi i ci, którzy twierdzili, że karta jeszcze się odwróci, albo należeli do beznadziejnych optymistów, albo po prostu byli fanatycznie ślepi na to, co się działo wokół.

Erich, który tymczasem awansował, zmieniał zdanie mniej więcej pięć razy dziennie. Te wahania nastrojów, które już dawno wszystkim rzucały się w oczy, przybierały na sile, zjawiały się niespodziewanie i nigdy nie było wiadomo, w jakim akurat będzie humorze. Erich po raz pierwszy przyznawał otwarcie, że coś zażywa, że czegoś potrzebuje. Na odciętych od świata wyspach brakowało żywności i lekarstw, a już na pewno środków poprawiających nastrój. Erich przechodził odwyk. W miarę upływu wiosny sytuacja stawała się coraz bardziej dramatyczna. Był bezbronny wobec swoich lęków, fobii i obsesji. Czasami milczał godzinami, w milczeniu siedział w kącie i wpatrywał się w dal. A potem stawał się agresywny, przeczesywał cały dom, wszystkie szafki, szuflady w poszukiwaniu zapomnianych leków.

W lutym znalazł w starej walizce na strychu płatek z dwiema tabletkami i od tego czasu nie dawała mu spokoju myśl, że w domu jest

więcej zakamarków, gdzie znajdzie kolejne tabletki i że musi w tym celu szukać bardzo dokładnie. Po raz setny sprawdzał te same miejsca, a gdy Helene pytała, czy sądzi, że ktoś ukradkiem podłożył mu tam upragnione lekarstwa, reagował agresją i gniewem.

– Wcześniej też mówiłaś, że w domu nic nie ma! – wrzeszczał. – A potem jednak coś znalazłem! Więc milcz! Nie masz o niczym pojęcia! Nigdy nie chciałaś, żebym je brał, i teraz wydaje ci się, że jesteś górą, co? Ale ja się nie dam, rozumiesz? Nie dam się! Zdobędę tabletki i nic na to nie poradzisz!

Kiedy było mu gorzej, wpadał w szał. Wyrzucał na ziemię zawartość szuflad i nie obchodziło go, czy i kto to posprząta. Wywlekał z szafy sukienki Helene i ciskał nimi po całym pokoju. Buszował w kuchni, tłukąc przy tym beztrzesko naczynia. Później często siadał na pobojuwisku, grzebał w skorupach i mamrotał:

– Wiem, że coś tu jest. Wiem na pewno.

Oczywiście już nie powtórzył się lutowy cud, gdy znalazł zapomniany zapas. Czasami – często zaraz po wybuchu agresji – przychodziła euforia, zapewniał, że wszystko będzie dobrze, przy czym nigdy nie określał, co miał na myśli, mówiąc „wszystko”. Nie wnikał w to, jak będzie wyglądał koniec wojny, ale sugerował, że jest dobrej myśli.

– Wiesz, Helene, myślę, że zostaniemy na Guernsey – powiedział kiedyś. – Podoba mi się tutaj i taki przyjemny klimat... Co ty na to? Wytrzymasz tu?

Kiedy tak gadał, Helene bladła, wydawała się spięta i przytłoczona. Nie wiedziała, czy tłumaczyć mu absurdalność tego pomysłu, czy udawać, że się z nim zgadza. Najczęściej szeptała tylko: „Och, Erich...”, co zwykle brał za wyraz aprobaty. Tylko raz w jego oczach pojawiły się złośliwe błyski. Spojrzał na Helene i zapytał:

– Co to ma znaczyć? Co chcesz powiedzieć przez: *Och, Erich?*

Helene jękała się nerwowo:

– Ja nie... ja tylko...

– Co? Co ty?

– Erich...

Mierzył ją gniewnym spojrzeniem.

– Chcę znać twoje zdanie, Helene. Chcę, żebyś mi jasno powiedziała, co myślisz, rozumiesz?

– Nie wiem, o co ci chodzi. Ja naprawdę chciałam tylko...

– Tak? No powiedz w końcu, *co chciałaś!*

– Że po wojnie będzie nam ciężko – wykrztusiła, zebrawszy się na odwagę. – Nie możemy przecież wiedzieć na pewno, że mieszkańcy Guernsey będą nas tu chcieli.

– A niby dlaczego mieliby nas nie chcieć?

– Bo... No cóż, przybyliśmy tu jako najeźdźcy i niewykluczone, że później... że po wojnie może się okazać, że nie będziemy mogli tu zostać.

Posłał jej nieprzeniknione spojrzenie.

– Chcesz powiedzieć, że twoim zdaniem Niemcy przegrają wojnę?

Helene była jak zwierzę zapędzone w ślepy zaułek.

– Nikt z nas nie wie dokładnie, jak to będzie – szepnęła.

– Nie wiemy? Cóż, Helene, może ty tego nie wiesz. Ja wiem, co będzie, ja wiem! – A potem stanął pośrodku pokoju i wygłosił długą, płomienną przemowę o zwycięstwie, wymieniając przedziwne powody, które jego zdaniem przyczynią się do ostatecznej wygranej Trzeciej Rzeszy. Nikt nie śmiał mu się sprzeciwić.

Beatrice, która chciała ukradkiem wyjść, musiała zostać, nakazał jej to krzykiem. Później zawsze myślała, że obie z Helene były jak posłuszne uczennice, które sztywno wyprostowane siedziały na swoich miejscach i wysłuchiwały nauk w nadziei, że nikt nie będzie od nich oczekiwał, by powtórzyły to wszystko, co usłyszały.

W pewnym momencie Erich skończył, pobladł i ciężko osunął się na kanapę.

– I tak nigdy tego nie zrozumiecie – mruknął. – Nie zrozumiecie kwintesencji.

– Oddałabym dużo za te tabletki – wzdychała nieraz Helene. – Dawniej nie chciałam, żeby je brał, teraz podałabym mu osobiście. Gdybym tylko je miała!

Beatrice miała szesnaście lat, była bardzo dojrzała na swój wiek. I miała świadomość, że Erich to tykająca bomba zegarowa. Póki nie dostanie tabletek, będzie całkowicie nieobliczalny. Czuła, że wkrótce sprawy

osiągną punkt kulminacyjny i stanie się coś strasznego. Erich wiecznie szukał ofiar, żeby na nich wyładować frustrację, niepokój i narastającą panikę. Często wrzeszczał na Willa, który załatwiał dla niego różne rzeczy, ale nigdy nie był w stanie spełnić oczekiwań Ericha. Często jego ofiarą padała Helene; zarzucał jej, że milczy, że robi miny jak przerażona kura, że gapi się jak głupia krowa. Helene przemykała się po domu jak cień, usiłując schodzić mu z drogi. Udawało jej się to zadziwiająco skutecznie, poruszała się bezgłośnie i w tajemniczy sposób zlewała się z tłem.

Erich czasami szukał jej godzinami i naprawdę nie mógł znaleźć, choć była w domu. Jakby miała niewidzialny sejsmograf, który ją uprzedzał, kiedy będzie w którym pokoju. Niemal zawsze zdążyła uciec w ostatniej chwili. Oczywiście zdenerwowanie Ericha narastało, gdy ofiara wymykała mu się z rąk, i natychmiast szukał innego kozła ofiarnego. Pierre, francuski robotnik przymusowy, był w najgorszej sytuacji. Cały czas zajmował się ogrodem, choć wobec fatalnego zaopatrzenia głupotą było dbać o róże, grządki i trawnik. Pierre nie miał zielonego pojęcia o ogrodnictwie, nie wiedział nawet, jak wykorzystać szklarnie i grządki do uprawy warzyw, dzięki czemu mieliby choć kilka pomidorów i główek sałaty.

Ilekcroć Erich był w złym humorze, wypominał mu to.

– Mamy wielką działkę! – ryczał. – Mamy piękną żyzną ziemię, tyle grządek! Mamy dwie szklarnie! Nie pojmuję, jakim cudem nie udaje ci się tego wszystkiego wykorzystać! Dlaczego nie mamy sałaty? Kalafiorów? Niczego do jedzenia?

Pierre, wychudzony jak wszyscy, blady i mizerny, nerwowo miętosił czapkę w dłoniach. Musiał ciężko pracować i wiecznie był o krok od załamania.

– To dlatego, że nie jestem ogrodnikiem z zawodu, Herr Oberstleutnant – wyjaśnił. – Nie mam odpowiedniego wykształcenia. W domu, we Francji, studiowałem literaturę i historię. Nie mam pojęcia, jak uprawiać warzywa. Dorastałem w Paryżu. Nigdy nie mieliśmy ogródka, nawet na balkonie.

Erich przyglądał mu się spod zmrużonych powiek.

– Jak długo tu jesteś? Masz o tym pojęcie, czy to też cię przerasta?

– Nie, Herr Oberstleutnant. Od prawie pięciu lat.

– Od pięciu lat. Ho, ho! – oczy Ericha były lodowato zimne. – Przyznasz

chyba, że pięć lat to kawał czasu?

Dla Pierre'a zapewne oznaczały całą wieczność.

– To kawał czasu – przyznał cicho. – To bardzo dużo, Herr Oberstleutnant.

– Dość, żeby się co nieco nauczyć, prawda?

– Cóż, ja...

– Odpowiadaj na pytania. Nie uważasz, że pięć lat to dość czasu, by się nauczyć czegoś, o czym dawniej nie miało się pojęcia?

– Herr Oberstleutnant, to prawda, pod warunkiem, że...

– Nawet studia nie trwałyby dłużej. A może chciałeś zostać wiecznym studentem i bez końca być na garnuszku rodziców? Tak, pewnie tak. Sam nie ustoisz na własnych nogach. Prześlizgniesz się przez życie kosztem innych.

– Chciałem tylko powiedzieć, że brakowało mi wskazówek – wyjaśnił Pierre z godną podziwu odwagą, bo przecież musiał mieć świadomość, że Erich nie szukał prawdy, nie obchodziły go obiektywne powody sytuacji. Szukał po prostu kozła ofiarnego i wszelkie próby tłumaczenia ze strony Pierre'a tylko bardziej go rozwścieczyły.

Erich powoli pokręcił głową.

– Brakowało ci wskazówek? Ciekawe podejście. Bardzo ciekawe podejście. Co ty myślałeś, że jesteś tu, żeby się uczyć? Szkolić? Naprawdę myślałeś, że za darmo zdobędziesz tu wiedzę? Nie, nie za darmo: na koszt narodu niemieckiego.

– Nie, Herr Oberstleutnant, ja tylko powiedziałem, że...

– Co, spodziewałeś się, że naród niemiecki tobie, cholernemu Francuzowi, zapewni darmowe wykształcenie? Że pilne niemieckie ręce będą harowały, żebyś ty się uczył? Myślałeś, że masz do tego prawo?

Pierre milczał. Zdawał sobie sprawę z bezsensowności tej rozmowy. Zwiesił głowę i pozwolił, by Erich na niego wrzeszczał, ciągnął dalej tyradę, w której ogłaszał, że teraz będzie inaczej, a Pierre dopiero zobaczy, co to dyscyplina, bo najwyraźniej za dobrze mu się powodzi; ma za dużo jedzenia, a za mało pracy i chyba trzeba to zmienić. Bo z jego, Ericha, doświadczenia wynika, że ludzie szybko idą po rozum do głowy, kiedy mają pełne ręce roboty i nie mają czasu napychać sobie brzuchów.

Racji żywnościowych Pierre'a właściwie nie dało się bardziej zmniejszyć, a jednak Erichowi się to udało i biedny jeniec dostawał minimum potrzebne do przeżycia, pod warunkiem, że nie zachoruje albo nie znajdzie się w innej wyjątkowej sytuacji. Wkrótce wyglądał jeszcze gorzej, jeszcze smętniej. Helene oczywiście za bardzo się bała, żeby się sprzeciwić woli męża, ale Beatrice od czasu do czasu podsuwała mu coś do jedzenia, choć i jej przychodziło to z coraz większym trudem. Po prostu już prawie nic nie mieli.

W marcu i kwietniu wszyscy, okupanci, okupowani i jeńcy wojenni, żyli z wizją śmierci głodowej.

Trzydziestego kwietnia Adolf Hitler zastrzelił się w zdobytym przez Rosjan Berlinie. Pierwszego maja doszło do eskalacji w okupowanym domu Feldmannów.

Oczywiście nie mieli pojęcia o losie Führera. W wiadomościach nie było o tym mowy; być może nawet w Berlinie jeszcze o tym nie wiedzieli albo nie byli w stanie potwierdzić plotek.

Rano usłyszeli, że Rosjanie zajmują kolejne ulice Berlina i że niemieccy żołnierze walczą bohatersko. Nikt nie śmiał wypowiedzieć słowa „kapitulacja”, ale Beatrice czuła, że koniec wojny jest blisko, bardzo blisko. Co musiałoby się jeszcze stać, żeby Niemcy się nie poddały? Ostateczny koniec to była już kwestia dni.

Erich obudził się bardzo wcześnie, Beatrice słyszała, jak już o piątej buszował po domu. Zapewne znowu szukał tabletek, bo docierał do niej zgrzyt otwieranych szuflad i szafek, a w pewnym momencie zaczął nawet odsuwać co mniejsze kanapy i komody. Około szóstej zaczął wołać Helene.

– Helene! Do cholery, Helene! Gdzie jesteś? Chodź tutaj i pomóż mi!

Na korytarzu rozległ się odgłos kroków, a potem Helene zajrzała do pokoju Beatrice.

– Nie śpisz? – szepnęła.

Erich wrzeszczał tak głośno, że nie sposób było go nie słyszeć, więc Beatrice stłumiła odruch, by udać, że śpi, i zostawić Helene samą z jej problemami.

– Co jest? – zapytała niechętnie.

– Zejdiesz ze mną na dół? – szepnęła Helene. – Erich jest chyba

w fatalnym humorze. Boję się go. Nie chcę być z nim sama.

– Ale wołał *ciebie* – zauważyła Beatrice. – *Mnie* nie potrzebuje.

Helene była bardzo blada, miała wielkie, przerażone oczy.

– Proszę cię, Beatrice. On szuka tabletek, a obie wiemy, że ich nie znajdzie. I jego furia skupi się na mnie!

Beatrice miała na końcu języka komentarz, że przecież to ona za niego wyszła i sama powinna wiedzieć, jak sobie z nim radzić, ale nic nie powiedziała, bo to i tak nie miało sensu. Nie był to odpowiedni moment, żeby omawiać z Helene jej związek z Erichem.

Obie zbiegły ze schodów, otuliwszy się szlafrokami. Erich stał w jadalni koło masywnego kredensu z ciemnego drewna. Był czerwony na twarzy, pocił się mocno, wręcz cuchnął. Drżały mu ręce.

– O, dobrze, że jesteście! Musimy przesunąć kredens. Wydaje mi się, że kiedyś wpadł mi tam listek leków. Na pewno jeszcze tam jest.

– Na pewno już nic tam nie ma – mruknęła Beatrice. – Zresztą nie sądzę, żebyśmy zdołali go przesunąć.

– We trójkę mamy radę – zapewnił Erich. – Wy z jednej strony, ja z drugiej. No, dalej!

Beatrice nie przypominała sobie, żeby ten kredens kiedykolwiek ruszono z miejsca. Teraz także nie drgnął, choć pchali i ciągnęli z całej siły.

– To na nic – stwierdziła w końcu. – Nie mamy rady.

Erich ociekał potem.

– Oczywiście, że nie, bo w środku jest pełno naczyń! Musimy to wszystko wyjąć.

– Jezu – jęknęła Helene. – Tam są całe góry naczyń!

Erich już otwierał na oścież wszystkie drzwiczki i nerwowymi ruchami opróżniał wielki mebel. Serwetki i obrusy przecinały powietrze, wkrótce ich śladem podążyły sztuce i po niedługim czasie w pokoju zapanował chaos. Z naczyniami początkowo obchodził się ostrożnie, ale szybko stracił cierpliwość i nie przejmował się już, czy delikatna porcelana wytrzyma jego furję. Ciskał za siebie talerzyki i filiżanki z tą samą bezmyślnością, z jaką potraktował obrusy.

Beatrice usiłowała ratować, co się da. Najszybciej jak mogła chwyciła cenne kieliszki matki, odstawiała je na bok, podobnie jak święteczną

zastawę, której Deborah pilnowała jak oka w głowie. Działała szybko, ale nie była w stanie dotrzymać kroku Erichowi. Wielka waza z hukiem roztrzaskała się o nogę stołową.

Erich kłął na całe gardło.

– Cholerne pudło! Komu, do diabła, strzeliło do głowy, żeby napchać tam tyle gratów! Nie do wiary! Trzeba się było już dawno tym zająć!

W końcu kredens był pusty, a pokój wyglądał jak pobojowisko. Teraz jednak udało im się we trójkę ruszyć ciężki mebel z miejsca. W powietrzu zawirowały tumany kurzu, na tapecie pozostał ciemniejszy kontur kredensu.

Erich natychmiast wślizgnął się w szparę i buszował w śmieciach na podłodze, jakby liczył na to, że znajdzie tam bezcenny skarb. Kaszłał i prychał, pocił się coraz bardziej, cuchnął na odległość.

– Musimy go bardziej odsunąć – stwierdził, ocierając pot z czoła. – Płatek pewnie nie leży przy samej ścianie.

– Bardziej się nie da. – Sądząc po głosie, Helene była o krok od płaczu. – Dalej jest dywan. Dywanu nie ruszymy.

– No to go zwiniemy – zdecydował Erich.

– Na dywanie stoi stół – zauważyła Beatrice. Zaczynała rozumieć, że Erich nie spocznie, póki nie opróżni całego pokoju. – A poza tym wszędzie stoją naczynia!

Oczy Ericha lśniły nienaturalnie; wyglądał, jakby miał gorączkę.

– Trzeba to wszystko wynieść – zdecydował. – No, dalej, do roboty! Gdzie ten cholerny Francuz? Zawsze, kiedy człowiek go potrzebuje, tego lenia nigdzie nie ma!

– Pierre'a przywożą o siódmej – wyjaśniła piskliwie Helene. – A jest dopiero za kwadrans siódma.

– To się musi zmienić! – ryknął Erich. – O siódmej! O siódmej! Co to ma być, sanatorium, do jasnej cholery?

Wytaszczyli stół i krzesła do holu, zaczęli wnosić naczynia. W końcu przyszedł strażnik z Pierre'em i obaj zostali natychmiast zaprzęgnięci do pracy. Pierre nie dostał jeszcze śniadania i wyglądał, jakby lada moment miał zemdleć.

Strażnik zdawał sobie zapewne sprawę, że to, co robią, jest tyleż

bezsensowne, co energochłonne, ale oczywiście nie śmiał zaprotestować. Unikał wzroku Helene i Beatrice, udając, że szaleństwo, w którym przyszło mu uczestniczyć, to najnormalniejsza sprawa pod słońcem.

Aż w końcu zwinęli i wynieśli dywan i Erich, Pierre oraz strażnik przesunęli ciężki kredens na środek pokoju. Odślonili pokłady kurzu i śmieci, ale ani jednej tabletki. Erich pełzał na czworakach i klął na czym świat stoi; był przekonany, że coś znajdzie, nie panował już nad pragnieniem. Wyglądał, jakby był gotów zabić za tabletkę, i Beatrice podejrzewała, że naprawdę tak było.

– Nikomu nie wolno wyjść z pokoju! – ryknął. – Nikomu! Póki nie znajdziemy tabletek!

Stali nieruchomo. Helene starała się powstrzymać łzy, ale było widać, że to z góry przegrana walka. Pierre stał blady jak ściana, od wielu tygodni był na skraju śmierci głodowej i widać było, że w ogóle nie ma już siły. Erich toczył dokoła oszalałym spojrzeniem.

– Które z was je ukradło? – zapytał, koncentrując się na Helene. – Gdzieś muszą być, rozumiecie? A jeśli nie, to znaczy, że jedno z was je ukradło!

– Nikomu nie udałoby się samodzielnie ruszyć kredensu – zauważyła Beatrice. – W każdym razie nie tak, żeby pan tego nie zauważył. Widzi pan przecież, że zanim go przesunęliśmy, musieliśmy opróżnić cały pokój!

Erich analizował jej słowa.

– Więc może ktoś porwał je ukradkiem – podsunął – kiedy nie patrzyłem. No jak? Mogło tak być? Helene?

Helene skuliła się w sobie.

– Dlaczego ja? – szepnęła. – Dlaczego akurat ja?

Oddychał ciężko, w jego wzroku malowała się nienawiść, na widok której Beatrice zadrżała. „Życzy jej jak najgorzej” – pomyślała ze zdumieniem.

– Dlaczego akurat ty? – syknął. Podszedł bliżej. Helene cofnęła się o krok. – Dlaczego akurat ty? Bo ty zawsze tylko wszystko psujesz, Helene. Przyniosłaś mi same problemy. Od pierwszego dnia, odkąd cię poznałem, przysparzałaś mi kłopotów. I wiesz co? – Był coraz bliżej, Helene opierała się o ścianę, dalej nie mogła już uciekać, choć to właśnie chciała zrobić. –

Żałuję, że cię poznałem. Wolałbym spędzić życie bez ciebie. Żałuj, że siebie nie widzisz. Jako młoda dziewczyna byłaś jeszcze całkiem, całkiem, ale teraz już i to się skończyło. Nie jesteś już ładna, rozumiesz? Idź na górę, przejrzyj się w lustrze. Ale uważaj, bo jeszcze się przerazisz.

Helene zalała się łzami. Erich nie miał racji i pewnie o tym wiedziała, ale i tak poruszyły ją jego ostre, brutalne słowa. Odwróciła się na pięcie, wybiegła. Słyszeli jej szybkie kroki na schodach i trzask zamykanych drzwi.

Erich przechadzał się po pokoju, uderzał pięścią w otwartą dłoń. Wydawał się myśleć intensywnie. Nagle się zatrzymał.

– Ubieraj się – rzucił do Beatrice. – Idziemy do Wyattów!

– Do Wyattów? – powtórzyła Beatrice pytająco, choć zrozumiała za pierwszym razem. Starła się opanować gonitwę myśli. Gorączkowo szukała rozwiązania, pretekstu, który mógłby go powstrzymać. U Wyattów ukrywał się Julien i ryzykownie byłoby wprowadzać tam Ericha.

– Tak – powtórzył zniecierpliwiony – do Wyattów. Szanowny doktor na pewno ma jeszcze zapas prochów i na pewno chętnie się ze mną nimi podzieli.

– Nie sądzę, żeby coś mu jeszcze zostało. Lekarze też nie mają zapasów i nie dostają nowych dostaw. W gabinecie nie ma pewnie nawet tabletek na ból głowy.

Najwyraźniej jednak Erich nie był już w stanie myśleć logicznie, nie docierała do niego idiotyczność jego planu.

– A ja myślę, że jeszcze coś ma – powtarzał z takim samym uporem, z jakim wcześniej dowodził, że za kredensem jest zapomniany listek. – Ubieraj się w końcu. Pospiesz się.

Szła na górę najwolniej, jak mogła. Najchętniej zadzwoniłaby do Wyattów, ale telefon stał na dole, przy uchylonych drzwiach do jadalni. Niemożliwe, żeby Erich tego nie usłyszał. A może zdoła go przekonać, by zapowiedział się telefonicznie? Wtedy Wyattowie mieliby przynajmniej czas, żeby wyprowadzić Juliena z domu, zatrzeć w pośpiechu ślady na strychu... Nawet ślepiec zauważyłby, że tam ktoś mieszkał.

Erich jednak nie chciał zawracać sobie głowy telefonem.

– Nie, do cholery, po co? – warknął gniewnie. – Jesteś wreszcie gotowa?

Idziemy!

Przemierzali wioskę energicznym marszem, na podjeździe przed domem lekarza Erich wyjął pistolet z kabury.

– Z bronią zawsze ma się lepsze karty – wyjaśnił. – Na pewno okażą się bardzo pomocni. Wchodzimy tam i nie wyjdę bez tych cholernych leków, choćbym miał wywrócić cały dom do góry nogami.

Beatrice posłała do nieba błagalną modlitwę i poszła za nim.

Szalał, krzyczał, kłął, wymachiwał pistoletem, kazał otwierać wszystkie szafki, ciskał zawartością szuflad przez cały pokój, ba, zajrzał nawet do klatek po królikach w ogrodzie, jakby ktoś mógł coś tam ukryć. Przeraził śmiertelnie rodzinę lekarza, a pani Wyatt wyglądała tak, jakby miała lada moment zemdleć. Mae stała i drżała jak liść osiki.

– Co mu się stało? – zapytała szeptem, zanim jednak Beatrice zdążyła odpowiedzieć, Erich odwrócił się gwałtownie i wycelował do Mae z pistoletu.

– Ani słowa! – ryknął. – Ani słowa! Jeszcze jedno, a będę strzelał!

Edith Wyatt przyciągnęła do siebie Mae, która zdążyła już przerosnąć matkę o głowę, i objęła ją serdecznie, jakby to nadal była mała dziewczynka.

Doktor Wyatt usiłował uspokoić Ericha, ale ten w ogóle nie miał na to ochoty.

– Chcę dostać lekarstwa – powtarzał uparcie. – Chcę natychmiast dostać te cholerne lekarstwa!

Beatrice wpatrywała się błagalnie w doktora Wyatta, ten jednak tylko wzruszył ramionami i powiedział bezgłośnie, że naprawdę nic nie ma.

Istny cud, że Erich nie dostrzegł klapy w suficie. Nękany obsesją, na pewno kazałby spuścić drabinkę i wszedłby na górę, żeby przeszukać także strych. Ale na piętrze już nie spojrzął w górę. Szalał, miotał się, zamiast przeszukiwać wszystko metodycznie. Wybebeszył szafę w sypialni państwa Wyattów, wyrzucił wszystko na łóżko, potem przewrócił materac i wpatrywał się w sprężyny, jakby sądził, że pod odpowiednio intensywnym spojrzeniem zdradzą mu swoją tajemnicę. Później buszował w pokoju Mae, i w końcu wrócił na dół. Beatrice widziała, że Edith z trudem zachowuje przytomność. Na wyspie jeszcze ciągle wydawano –

i wykonywano – wyroki śmierci. Edith zdawała sobie sprawę, że gdyby Erich znalazł Julię, całą rodzinę czekałoby rozstrzelanie.

Erich tymczasem był tak wyczerpany, że drżały mu ręce, w których trzymał broń. Z jego twarzy zniknęły wypieki emocji, był śmiertelnie blady. Miał ciemne cienie pod oczami, wyglądał jak człowiek bardzo chory.

– Wyatt, już po tobie – syknął nienawistnie. – Załatwię cię, jeśli się dowiem, że mnie okłamałeś. Jeśli się okaże, że masz tu moje lekarstwa. Zastrzelę cię, jasne?

– Niczego tu nie mam, sir – odparł doktor Wyatt spokojnie i Beatrice podziwiała jego opanowanie. Jemu pewnie też serce stało w gardle, ale w ogóle nie dał tego po sobie poznać. – Zapewniam pana, że od miesięcy dostaję tylko najbardziej podstawowe leki, a to, czego pan szuka, do nich nie należy.

Erich z trudem wracał do domu; z najwyższym wysiłkiem pokonał stromy pagórek. Ostatnie godziny bardzo go zmęczyły. Beatrice miała nadzieję, że resztę dnia spędzi w łóżku.

I rzeczywiście, zaraz po powrocie do domu bez słowa poszedł do sypialni i zamknął za sobą drzwi. Helene czekała na progu kuchni.

– Co tam się działo? – zapytała.

– Doktor Wyatt niczego nie miał – odparła Beatrice znużona. – Ale może teraz będzie spokojniejszy. Jest wyczerpany. Teraz chyba będzie spał.

– Jest z nim coraz gorzej – stwierdziła zapłakana Helene. – I myślę, że jeszcze da nam dzisiaj popalić. Trochę pośpi, a potem wszystko zacznie się od początku.

– Możemy tylko czekać – mruknęła Beatrice. – A tymczasem powinnyśmy choć trochę posprzątać w jadalni.

– On już nie jest normalny – ciągnęła Helene. Chyba nie była zdolna do jakiegokolwiek sensownego działania. – On jest chory, rozumiesz? Nadaje się do szpitala. Co z nami będzie po wojnie?

Beatrice miała nadzieję, że po wojnie Erich trafi do więzienia i na wiele lat utkwii za kratami, ale nie powiedziała tego. Po co niepotrzebnie denerwować Helene? I bez tego była w kiepskiej formie.

– Jest coś na śniadanie? – zapytała.

Helene bezradnie wzruszyła ramionami.

– Nie mamy już ani kawałka chleba, ani weków, nic. Ugotowałam trochę kawy, to wszystko.

Beatrice wypila filiżankę kawy, która smakowała jak woda. Nie było już cukru ani mleka, niczego, co mogłoby jakoś poprawić smak brązowej lury.

Helene siedziała z opuszczonymi rękami przy stole kuchennym, narzekała na Ericha i nadchodzącą śmierć głodową. W końcu stwierdziła, że jej właściwie wszystko jedno, czy mają coś do jedzenia, czy nie, bo i tak nie przełknęłyby ani kęsa.

Beatrice usiadła na werandzie i wpatrywała się w ogród, w którym Pierre pod nadzorem strażnika pieliał grządkę. Pracował powoli, co chwila przerywał, oddychał z trudem. On też jeszcze nie dostał śniadania i był o krok od omdlenia. Strażnik żuł kawałek kory, gapiąc się przed siebie tępym wzrokiem.

Słońce stało już wysoko na niebie, zapowiadało upalny dzień. „Powinniśmy posprzątać” – pomyślała Beatrice, ale ona także była tak wyczerpana, że nie wiedziała, czy zdobędzie się na taki wysiłek. Wewnętrzny głos podpowiadał, że tym razem Helene zapewne miała rację: tego dnia Erich jeszcze da im popalić.

Zanosilo się na burzę, choć nie zdradzała tego pogoda, gorąca i sucha, bez odrobiny wilgoci. A jednak w domu panowało dziwne napięcie, jakby coś wibrowało pod pozornie gładką powierzchnią, coś, co przywodziło na myśl burzowe pomruki. To była owa słynna cisza przed burzą.

Panował spokój, zdradziecki bezruch dotknął i ludzi, i przyrodę. Ale był w nim fałsz, pod jego osłoną miało dojść do przerażających wydarzeń.

Wczesnym popołudniem, kilka minut po trzeciej, zemdlął strażnik. Cały czas siedział na pniu i wytrwale żuł kawałki kory. Podobnie jak właściwie wszyscy, tego dnia jeszcze nic nie jadł. Był bardzo blady, ale ponieważ nikt nie miał w tych czasach zdrowych rumieńców, nikt nie zwrócił na to uwagi. Właściwie w ogóle nikt nie zwracał na niego uwagi. Gdy w południe przestał poganiać Pierre'a, Beatrice pomyślała, że kierowało nim współczucie, bo Pierre wyglądał naprawdę okropnie, widać było, że goni resztkami sił, i zmuszać go do ciężkiej pracy fizycznej byłoby naprawdę nieludzkie. Pierre kulił się w cieniu jabłonki, co jakiś czas ocierał pot z czoła, zamknął oczy. Oddychał bardzo płytko.

Strażnik wstał. Nie wiadomo, może chciał iść po wodę, ale nagle pobladł jeszcze bardziej i osunął się na ziemię. Zrobił to bezgłośnie, upadał jak w zwolnionym tempie. Upadł i leżał nieruchomo.

Beatrice, która siedziała na werandzie, też walczyła z ogarniającą ją słabością.

– Co mu jest? – zapytała.

Pierre wstawał z trudem. Podeszedł do strażnika, kucnął przy nim.

– Zemdlał z wyczerpania – powiedział.

Beatrice wpatrywała się w niego intensywnie. Uśmiechnął się ze zmęczeniem.

– Nie, mademoiselle, dziękuję, ale nie. – Zrozumiał jej niewypowiedzianą propozycję. – Nie ucieknę. Nie mam dokąd, jestem za słaby. Zostanę. Zresztą to i tak niedługo się skończy.

– Musimy przenieść go w cień – stwierdziła.

Wspólnymi siłami, choć żadne z nich nie miało ich za wiele, zawlekli strażnika pod jabłonkę, pod którą wcześniej siedział Pierre. Beatrice przyniosła dzbanek zimnej wody. Zwilżyli nieprzytomnemu czoło i nadgarstki.

– Chyba musimy wezwać lekarza – powiedziała Beatrice niespokojnie.
– Bardzo długo nie odzyskuje przytomności!

W tym momencie strażnik otworzył oczy i tępym wzrokiem wpatrywał się w nią i Pierre'a. Powieki mu zatrzepotały.

– Co się stało? – zapytał.

Zanim jednak Beatrice zdążyła odpowiedzieć, znowu stracił przytomność.

– Zadzwoń do doktora Wyatta – zdecydowała.

Zerwała się na równe nogi, ale zbyt szybki ruch sprawił, że zachwiała się na nogach, zrobiło jej się czarno przed oczami, cała oblała się potem. Odruchowo złapała się pnia jabłoni, przytrzymała się kurczowo, czekała, aż ustąpią zawroty głowy. Kiedy ponownie otworzyła oczy i rozejrzała się dokoła, zobaczyła, że na werandzie pojawił się Erich. Był trupio blady. W dłoni trzymał pistolet. Za jego plecami kulił się mały, chudy cień – Helene z twarzą zastygłą w grymasie przerażenia.

Sprawy potoczyły się tak szybko, że Beatrice dopiero później była

w stanie przeanalizować przebieg wydarzeń.

Erich zbiegał z werandy do ogrodu i celował do Pierre'a, który nadal kulił się na trawie koło strażnika.

– O nie – warknął Erich. – Ty mi nie uciekniesz!

Pierre nie miał najmniejszego zamiaru uciekać; było to tak oczywiste, że lodowata wściekłość Ericha mogła mieć tylko jedno źródło – jego omamy i obsesje.

Helene krzyknęła przerażona; jej głos brzmiał jak ptasi pisk.

Beatrice zaklinała go w myślach, żeby tego nie robił, czuła, że w powietrzu wisi tragedia, której już nic nie powstrzyma, nie mogła wykrztusić słowa, nie mogła się ruszyć, nie wiedziała, co zrobić, żeby zapobiec nieszczęściu. Wszyscy poza Erichem zastygli w bezruchu, sparaliżowani nienawiścią widoczną w jego oczach.

Pociągnął za spust i spudłował. Kula wbiła się w ziemię koło Pierre'a. Francuz ani drgnął.

– Uciekaj! – krzyknęła Beatrice. – Uciekaj!

Erich strzelił drugi raz. Tym razem trafił go w nogę. Pierre krzyknął z bólu, przycisnął dłonie do rany. Kula weszła poniżej kolana. W końcu odzyskał zdolność ruchów, chciał uciec trawnikiem, ale nie miał szans; otaczał go pusty, słoneczny ogród i na przestrzeni wielu metrów byłby doskonałym celem.

– Pistolet! – krzyknęła Beatrice. – Pierre, pistolet! Strzelaj! Strzelaj!

Choć spanikowany, zrozumiał, co miała na myśli: broń ciągle nieprzytomnego strażnika. Odwrócił się.

Erich ponownie pociągnął za spust. Znów trafił Pierre'a w nogę. Strzał powalił Francuza na ziemię, szarpnął nim akurat wtedy, gdy wyjmował strażnikowi pistolet z kabury.

Erich był o dwa kroki bliżej.

„Jemu to sprawia przyjemność – pomyślała Beatrice wpatrzona w jego twarz. – Dla niego to wszystko jest fascynującą rozgrywką”.

Czekał. Czekał, aż Pierre, poszarzały z bólu, z trudem wstał, odwrócił się, kolejny raz sięgnął po broń leżącą tuż przed nim. Ba, poczekał, aż Pierre jej dosięgnął i odbezpieczył, aż się odwrócił i wycelował w niego.

Strzelili jednocześnie.

Tym razem spudłował, kula wbiła się w ziemię daleko od Pierre'a.

Ale w tym samym momencie Erich runął na ziemię jak kłoda. Upadł i się nie ruszał.

Ciszy nie przerywał żaden dźwięk. Nawet ptaki umilkły, spłoszone strzałami. Zapanowała niesamowita cisza, jakby cały świat wstrzymał oddech. Słońce oświetlało niesamowitą scenę. Trzech mężczyzn leżących w trawie, dwie kobiety stojące nieruchomo, niezdolne pojąć, co się stało, dwa pistolety na ziemi, niezeczywiste jak rekwizyty, które po bardzo długim namyśle ktoś umieścił dokładnie tam, gdzie było ich miejsce.

Scenografia, punkt kulminacyjny dramatu. Tyle że w tym momencie aktorzy nie bardzo wiedzieli, co dalej. Reżyser nie dawał im żadnych wskazówek. Czekali w bezruchu.

– A więc to Pierre strzelił do Ericha! – stwierdziła Karin. – To nie było samobójstwo.

– Nie – przyznała Beatrice. W restauracyjnych ogródkach płonęły lampki; w ich miękkim, nastrojowym świetle nie wyglądała już tak strasznie jak kilka godzin wcześniej, choć w jej oczach nadal malowały się smutek i ból. – Pierre działał w obronie własnej, choć to i tak niewiele znaczyło. Gdyby o całym zajściu dowiedział się ktoś z Niemców, Pierre zostałby rozstrzelany zgodnie z prawem. Musiałyśmy coś z tym zrobić.

– Erich zmarł?

Beatrice pokręciła przecząco głową.

– Nie. Ta część historii jest prawdziwa. Erich był ranny i było jasne, że bez pomocy lekarskiej nie przeżyje. Kula weszła w klatkę piersiową, powyżej serca.

– Strażnik...

– Był na szczęście cały czas nieprzytomny i nic nie widział. W przeciwnym wypadku byłoby po nas.

– Co zrobiłyście? W jaki sposób uporaliście się z tą sytuacją?

– Pierre stracił dużo krwi – odparła Beatrice. – Powiedziałam, że musimy natychmiast wezwać lekarza. Pierre panikował: do tego czasu nie zastanawialiśmy się jeszcze, jak opiszemy przebieg wydarzeń, a przecież strzelał do niemieckiego oficera. Obawiał się, co z nim będzie, gdy zjawi się lekarz, któremu przecież trzeba będzie coś powiedzieć. Razem z Helene zaciągnęłyśmy go do kuchni, gdzie ona zajęła się opatrywaniem mu nogi, a ja wróciłam do ogrodu, żeby zobaczyć, co z Erichem. Jęczał cicho, był na wpół przytomny. Strażnik na razie się nie ruszał, ale było jasne, że prędzej czy później odzyska przytomność. Do tego czasu musiałyśmy coś wymyślić. Wróciłam do kuchni i powiedziałam Helene, że musi mi pomóc wnieść Ericha do środka. Okazało się to trudniejsze niż w przypadku Pierre'a, który kulał, ale szedł pawie o własnych siłach. Erich zwiślał

bezwładnie między nami. Na szczęście nie był już taki masywny; głód od dawna dawał się nam we znaki. Nie wiem, jakim cudem udało nam się go zawlec do jadalni. Położyliśmy go na dywanie. Wyglądał, jakby już nie żył. Krwawił, ale nie tak bardzo jak Pierre, który tracił ogromne ilości krwi mimo opatrunku.

Zastanawialiśmy się z Helene, co jeszcze możemy zrobić, i wtedy zobaczyliśmy strażnika, który szedł w stronę domu. Gdyby wszedł do środka i zobaczył szpital polowy, w który zamienił się parter, podniósłby raban na całą wyspę, a tego nie chcieliśmy, więc musiałam zatrzymać go na zewnątrz. Wybiegłam do ogrodu.

– Nie było krwi? – zdziwiła się Karin. – Przecież ciągnęłyście Pierre’a i...

– Oczywiście, że była – odparła Beatrice. – I ktoś w lepszej formie od razu zwróciłby na nią uwagę. Ale strażnik był u kresu sił, szwankował mu układ krążenia, był na progu kolejnego omdlenia. Nie był w stanie iść w linii prostej. Nawet gdyby zobaczył krew, uznałby, że to halucynacje.

– Nie zastanowiło go, gdzie jest więzień?

– Oczywiście, ale jednocześnie zmagał się z kolejnym omdleniem. Było z nim naprawdę bardzo źle. Na szczęście nawet nie zdążył wejść na werandę, usiadł na najniższym stopniu, ukrył twarz w dłoniach i jęczał. Powiedziałam mu, że nie musi się martwić, Erich nad wszystkim panuje, a on ma wracać do siebie, zaraz ktoś po niego przyjedzie. Ma tu siedzieć i czekać. – Beatrice milczała przez chwilę, miała przed oczami wydarzenia tamtego dnia. – Właściwie mogłam mu chociaż dać trochę wody – ciągnęła – ale bałam się, że nagle odzyska siły i jednak wejdzie do domu. A Pierre leżał w kuchni i natknąłby się na niego od razu.

– Jak się go pani pozbyła?

– Helene zadzwoniła do Willa i poprosiła, żeby przyjechał. Zjawił się od razu. Musiałam szybko zdecydować, czy go we wszystko wtajemniczamy, czy nie. Wiedziałam, że nie będzie łatwo wepchnąć mu strażnika i kazać go odwieźć. Zaraz zacząłby wypytywać, gdzie Pierre, kto go pilnuje, czy Erich wie. Chciałby porozmawiać z Erichem. Zaryzykowałam. Najkrócej, jak umiałam, opowiedziałam mu, co się stało.

Karin w zadumie przyglądała się starszej kobiecie.

– Dokonała pani o wiele więcej, niż można by się spodziewać po

szesnastoletniej dziewczynie – stwierdziła.

– Sytuacja tego wymagała – mruknęła Beatrice. – Nie mogłam usiąść i szlochać. A na Helene, jak zwykle, nie mogłam liczyć. Kiedy mi pomagała przenieść obu rannych do domu, jeszcze jakoś się trzymała, ale później całkiem się rozsypała. Bała się zajrzeć do jadalni, do Ericha, i cały czas siedziała w kuchni z Pierre’em, bez sensu zmieniała mu opatrunek, jak zahipnotyzowana wpatrywała się w plamy krwi i dygotała jak osika. Była na skraju załamania nerwowego.

– Chyba mogę to zrozumieć – mruknęła Karin.

– Na pewno. Tylko że tym samym cały problem był na mojej głowie. Musiałam się wszystkim zająć, a jeden błąd wystarczyłby, żeby... – Wzdrygnęła się. – Pierre nie miałby szans. Choć wojna już właściwie dobiegła końca, nadal dokonywano egzekucji. Niemcy szaleli do samego końca.

– A jak Will przyjął tę opowieść?

– Oceniłam go właściwie. Nie był nazistą. Dał mi to do zrozumienia już na początku okupacji, wtedy, latem i jesienią 1940 roku, gdy siedzieliśmy u niego na stryszku i uczył mnie niemieckiego. Wyszłam z założenia, że nie będzie mu zależało na tym, żeby wydać Pierre’a w ręce kata. Powiedziałam mu, co się stało, i że musimy jak najszybciej znaleźć lekarza. „A co mu powiecie?”, zapytał wtedy, i odparłam, że nad tym się jeszcze zastanowimy. Najważniejsze to pozbyć się strażnika, i to póki ten był oszołomiony i nie myślał logicznie. Will zaakceptował ten plan, a sporo przy tym ryzykował. Nie powinien przecież na prośbę szesnastoletniej Angielki wywozić strażnika bez rozmowy z przełożonym. Ale wiedział, że i tak nie groziła mu kara śmierci, zresztą mógł liczyć na to, że zanim cokolwiek wyjdzie na jaw, będzie już po wojnie.

– I wtedy zostaliście same z Erichem i Pierre’em?

– Tak. Usiłowałyśmy coś wymyślić, ale Helene bez przerwy szlochała i nie była do niczego zdolna. Cały czas nie chciała zajrzeć do Ericha, to ja u niego byłam. Ciągle był nieprzytomny, ciągle cicho pojękiwał. Powiedziałam Helene, że chyba umrze, jeśli nie sprowadzimy lekarza, na co odezwał się Pierre, że on umrze, *jeśli sprowadzimy lekarza...* Ale później, po południu, stało się jasne, że Pierre nie da rady. Wykrwawiał się na

naszych oczach. Kuchnia wyglądała jak łazienka wtedy, gdy Helene podcięła sobie żyły. Podeszłam do telefonu i zadzwoniłam do doktora Wyatta.

– I zastała go pani? – zapytała cicho Karin.

Beatrice skinęła głową.

– Tak. I zaraz przyjechał.

Guernsey, 1 maja 1945

Doktor Wyatt zjawił się około piątej i szybko udzielił pierwszej pomocy rannemu Pierre'owi, z którym było już bardzo źle.

– Trzeba go zabrać do szpitala – powiedział. – Beatrice, dzwoń. Niech przyślą karetkę. Jeśli jeszcze mają benzynę – dodał pod nosem.

Beatrice spełniła polecenie i wróciła do kuchni.

– Co się stało? – pytał akurat doktor Wyatt.

– Mój mąż do niego strzelał – odparła Helene. Już nie płakała. – On... dzisiaj...

– Tak, wiem, w jakim był stanie – mruknął sucho lekarz. – Rano miałem tę wątpliwą przyjemność. – Założył opaskę uciskową, ale Pierre nadal wygadał jak trup. – Na Boga, dlaczego nie wezwaliście mnie wcześniej? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, dodał: – A gdzie pan Feldmann?

Beatrice już otwierała usta, by powiedzieć, że Erich leży w sąsiednim pokoju i też walczy o życie, ale zanim powiedziała choć słowo, usłyszała Helene, zadziwiająco spokojną, pewną siebie:

– Nie wiemy – odparła. – Po tej strzelaninie mąż wyszedł z domu. Nie był sobą. Nie mogliśmy go powstrzymać.

Wyatt nie wątpił w prawdziwość jej słów, skinął tylko głową i ponownie zajął się pacjentem. Beatrice ze zdumieniem wpatrywała się w Helene, która odpowiedziała spokojnym spojrzeniem. „Ona wcale nie chce go ratować – przemknęło Beatrice przez głowę. – Dobry Boże, ona pozwoli, żeby tam leżał i umarł!”

Ugięły się pod nią nogi, osunęła się na krzesło i obserwowała, jak doktor Wyatt usiłuje reanimować Pierre'a. Czekali na karetkę. Jednocześnie

w jej głowie kłębiły się setki myśli. Co planuje Helene? Dlaczego okłamała Wyatta? Przecież pozbawiając Ericha pomocy lekarskiej, skazywała go na śmierć, na powolne konanie w sąsiednim pokoju. Czy ona, Beatrice, powinna interweniować? Powiedzieć, że Helene się pomyliła i że...?

Prawdopodobnie, rozważała, Helene kierował ten sam motyw, który i jej przyszedł do głowy, który pojawił się na początku tego koszmarnego popołudnia: jeśli Erich przeżyje, zaraz zarządzi aresztowanie Pierre'a, a to oczywiście skończy się rozstrzelaniem tego ostatniego.

„To dlatego? – zastanawiała się. – Czyżby poświęcała Ericha, żeby ocalić Pierre'a? Własnego męża dla Francuza, dla jeńca wojennego?”

Karetką przyjechała szybko, Pierre'a zabrano. Doktor Wyatt także odjechał, zniknął za zakrętem. Nad domem znowu zapadła spokojna majowa cisza. Kobiety zostały same z Erichem Feldmannem.

Beatrice spojrzała z ukosa na Helene.

– Dlaczego to zrobiłaś? – zapytała. – Dlaczego powiedziałaś, że go nie ma? Dlaczego...?

– A co niby miałam zrobić? – powiedziała ostro Helene.

– Chodziło ci o Pierre'a? Chciałaś go ratować?

– Nie. Nie o Pierre'a. W ogóle o nim nie pomyślałam.

– Ale...

– Myślałam o *sobie* – odparła Helene. – Chciałam ratować *siebie*.

Beatrice nie mieściło się w głowie to, co usłyszała. Helene przyznała oto, że była zdecydowana pozwolić mężowi umrzeć, byle się go pozbyć raz na zawsze. Beatrice wydawało się, że śni. Helene od samego rana płakała i dygotała, ani przez chwilę nie sprawiała wrażenia, że jest w stanie sprostać sytuacji, a teraz nagle oznajmia z zimną krwią, że dopuści, by Erich skonał, byle wreszcie mogła się od niego uwolnić.

– Nie możemy tego zrobić – wykrztusiła Beatrice, gdy odzyskała mowę.

– To... to morderstwo. – To słowo zawisło w pokoju jak obce ciało, coś, czego znaczenia nie pojmowały, ale co niosło grozę i przerażenie.

– Pierre albo Erich – powiedziała Helene, ale nie tym się kierowała, i to było najgorsze.

– Zajrzyjmy do niego – powiedziała Beatrice.

Erich leżał w pustej jadalni, w której został już tylko opróżniony

kredens. Położyły go na kocu, przykryły drugim. Jego twarz przybrała żółtawy odcień, cały czas tracił krew, oddychał płytko, ale był przytomny i odwrócił głowę w ich stronę.

– Drań – wycedził przez zęby. – Cholerny drań. Gdzie on jest? To mu nie może ująć płazem.

Beatrice domyślała się, że ma na myśli Pierre'a, i sam fakt, że w tej chwili jasności umysłu wiedział, co się stało, dowodził, na jak wielkie niebezpieczeństwo naraziłyby Pierre'a, sprowadzając lekarza.

„Ale przecież nie możemy go zostawić własnemu losowi” – myślała przerażona.

Erich usiłował usiąść, ale nie dał rady. Głowa bezwładnie opadała mu do tyłu.

– Boli – szepnął. – Bardzo boli. Potrzebuję lekarza.

– Nie ma go – oparła Helene. Uklękła koło niego, położyła mu dłoń na czole. Była jak troskliwa samarytanka. – Wszyscy lekarze zostali zmobilizowani, nie ma kogo wezwać. Ale cały czas próbujemy.

– Szpital – wykrztusił. – Zawieź mnie do szpitala.

– Nie mamy samochodu – zauważyła miękko Helene.

– Niech przyjedzie Will.

– Nie wiemy, gdzie jest, nie możemy się z nikim skontaktować. Leż spokojnie, wieczorem na pewno przyjdzie doktor Wyatt.

– Wieczorem już będzie po mnie – sapnął Erich. Jego twarz lśniła od potu. Stracił dużo krwi i teraz zaczął mu dokuczać ból, którego do tej pory nie czuł, bo był w szoku. Kula naruszyła mięśnie i nerwy, prawdopodobnie rozerwała także płuco. W końcu zaczął kwilić jak dziecko, do bólu dołączyły strach przed śmiercią i wysoka gorączka. Beatrice najchętniej zakryłaby sobie uszy dłońmi.

– Helene, to nieludzkie – szepnęła. – Nie wytrzymam tego. Ja...

W dziwny sposób zamieniły się rolami. Teraz to Helene była dorosła i panowała nad sytuacją, a Beatrice była na skraju załamania nerwowego i nie wiedziała, co robić.

– Wyjdź na dwór – poleciła Helene. – Zajmij się czymś. Poszukaj czegoś do jedzenia. Ja z nim zostanę.

– Ale...

– Wyjdź stąd – powtórzyła Helene ostrym głosem, jakiego Beatrice jeszcze nigdy u niej nie słyszała. To było jej być albo nie być. Była gotowa na wszystko, byle się uwolnić od Ericha, i demonstrowała siły, o jakie nikt jej nie podejrzewał.

Beatrice wstała i wymknęła się na zewnątrz. Nad suchym, rozgrzanym ogrodem wisało słońce, które dopiero teraz zaczęło powolną wędrówkę ku zachodniemu horyzontowi. Nie wiał nawet najlżejszy wietrzyk, nie drgnął żaden listek, żadne źdźbło trawy. Przysiadła na stopniach prowadzących z werandy do ogrodu i ukryła głowę w dłoniach. Mogłaby teraz iść do wioski, popytać, może znalazłby się gospodarz, które sprzeda jej kilka jaj czy kawałek chleba, ale bała się, że wszystko po niej widać, że każdy wyczyta z jej twarzy, że Erich leży w domu w jadalni i kona, że w sąsiednim pokoju był lekarz, ale nic mu o nim nie powiedziały, że Helene była zdecydowana pozwolić mu umrzeć, byle się od niego uwolnić i mieć spokój na resztę życia.

„Koszmar – pomyślała bezradnie, desperacko. – Koszmar, który nie wiadomo jak się skończy”.

Było jej słabo z głodu, ale nie mogłaby przełknąć ani kęsa. Wydawało jej się, że już nigdy niczego nie przełknie. W pewnym momencie wstała, poszła do kuchni po wodę, ale poza tym siedziała nieruchomo i czekała, aż coś się stanie, choć sama nie wiedziała co.

Okolo wpół do szóstej Erich zaczął jęczeć. Do tej pory z jadalni do ogrodu nie docierał żaden odgłos; tylko kiedy była w kuchni, słyszała szepty. Erich i Helene chyba rozmawiali. To jej dodało otuchy; może wcale nie jest z nim tak źle. Ale kiedy usłyszała jego jęk, wiedziała, że zaczęła się agonizować.

– Jego agonia trwała mniej więcej godzinę – powiedziała Beatrice. W jej oczach do dzisiaj malował się koszmar tamtego dnia, Karin widziała to wyraźnie. – Kiedy ktoś godzinami błaga o pomoc, kiedy broni się przed śmiercią, choć wie, że jest już blisko, że jej nie ucieknie, takie godziny trwają całe wieki. Równie dobrze to mogły być lata. Myślałam, że to się nigdy nie skończy, że tego nie wytrzymam. Uciekłam w głąb ogrodu, rzuciłam się na ziemię, zatkałam uszy dłońmi. Modliłam się, żeby już było po wszystkim. Zapewne strasznie cierpiał, a nie miałyśmy nic, ani morfiny, ani eteru, nic. Musiał to wszystko znieść bez znieczulenia.

– I Helene została przy nim do końca? – zapytała Karin.

Beatrice skinęła głową.

– Wytrzymała. Bóg jeden wie, skąd czerpała siły. Ja nie dałabym rady. Nie znam nikogo, kto mógłby to wytrzymać. Erich umierał w męczarniach, a ona nie dość, że koło niego spokojnie siedziała, to z zimną krwią realizowała swój plan. Cały czas myślałam, że już nie wytrzyma, że zaraz pobiegnie po lekarza. Tylko potwór mógłby odmówić mu pomocy... A Helene nie była potworem. Była słabą, sentymentalną, nudną kobietą, która jęczeniem i marudzeniem zmuszała innych, by się nią opiekowali. Sama nie była w stanie podjąć żadnej decyzji, za cokolwiek odpowiadać. Ale siedziała tam i patrzyła, jak Erich umierał, i nie zrobiła nic, absolutnie nic, żeby mu pomóc.

Karin dopiła resztkę wina. Było ciepłe i niedobre, od dwóch godzin stało w kieliszku, ogrzewał je nie tylko ciepły wieczór, ale także jej dłonie, bo ciągle bawiła się naczyniem.

– Nie sądzę, że taka była – stwierdziła. – To znaczy sentymentalna i słaba. Helene doskonale wiedziała, czego chce. Wiedziała to może najlepiej z was wszystkich, lepiej niż pani czy Erich. Osiągała w życiu wszystko, co chciała: została na Guernsey, w tym domu, z panią i Alanem, byliście jej rodziną... Właściwie zawsze wszystko układało się tak, jak tego

chciała. Miała określoną strategię: udawała osobę słabą i kruchą, wiecznie narzekała i zmuszała wszystkich dokoła, by robili to, czego chciała. Wiedziała, że uchodzi za słabą, że nikt jej nie szanuje, ale dla niej najważniejszy był efekt końcowy – taki, jak sobie zaplanowała. Jej zachowanie przy śmierci Ericha doskonale to obrazuje, choć wyjątkowo musiała przyjąć inną taktykę. Nie mogła usiąść i szlochać, i pozwolić, żeby Beatrice wszystkim się zajęła, bo tym razem to Beatrice się załamała. Helene musiała działać. To znaczy, musiała działać jawnie, a nie tylko pociągać za niewidzialne sznurki, jak zazwyczaj. I także tym razem spisała się na medal. Ona nie była inna tamtego dnia. Była sobą, tą samą Helene co zawsze. Zapragnęła czegoś, dostała to. Nie zrobiła niczego wyjątkowego.

Beatrice obracała w dłoni od dawna pusty kieliszek.

– Tak – powiedziała cicho. – Tak, to prawda. Była silna. I samolubna. I przebiegła. Przez całe życie tego nie widziałam. Dopiero w dniu jej pogrzebu. Gdy Kevin mi powiedział, co *jeszczewydarzyło się* tamtego pierwszego maja 1945 roku.

Karin zmarszczyła czoło.

– A co się jeszcze wydarzyło? Co takiego mogło się wydarzyć, o czym pani by nie wiedziała?

Beatrice pochyliła się nad stołem. Wydawała się umęczona, zniżyła głos do szeptu.

– Chciałam najpierw powiedzieć, że jest pani pierwszą osobą, która zna prawdę, prawdę o śmierci Ericha. Poza doktorem Wyattem, którego musiałyśmy wtajemniczyć, żeby potwierdził naszą wersję. Ale on i tak był po naszej stronie, przez lata ukrywał Julię, rozumiał tamte czasy i ludzką motywację. Poza nim jednak nie wie nikt. Nikt. I... chciałabym wiedzieć, co pani o tym myśli. O nas. O mnie i o Helene, o tym, co zrobiliśmy. Czy pani zdaniem zamordowałyśmy go?

Myślała o tym pytaniu, idąc promenadą w porcie St. Peter Port i szukając Alana. Co jakiś czas zaglądała do restauracji i barów na nabrzeżu. W porcie płonęły latarnie, widoczność była bardzo dobra. Ale mógł oczywiście zawędrować dalej, w głąb miasta, albo pić na drugim końcu wyspy.

Wysłała Beatrice do domu, bo ta była taka blada, tak zmęczona

i bezsilną, że zdaniem Karin nie miało sensu zabierać ją na włóczęgę po mieście. Opowieść o śmierci Ericha wiele ją kosztowała. Była ledwie żywa ze zmęczenia.

– Proszę posłuchać – powiedziała Karin. – Proszę jechać do domu i iść spać. Ja sama poszukam Alana.

Oczywiście Beatrice zaprotestowała.

– Nie ma mowy. Co dwie pary oczu, to nie jedna. A poza tym zostanie pani bez samochodu, jeśli wrócę do Le Variouf!

– Ale będę miała pani wóz – jeśli znajdę Alana.

– A jeśli nie?

– Wtedy wrócę taksówką. Przecież to żaden problem!

Beatrice skapitulowała, kolejny dowód na to, że czuła się tak źle, jak to sugerował jej wygląd.

– Ale przywiezie go pani? – upewniła się jeszcze.

– Przywiozę – obiecała Karin. – Może pani na mnie liczyć.

Nigdzie go nie było i powoli zaczynała się obawiać, że będzie musiała wracać bez niego. „Biedna Beatrice – pomyślała – jeśli go nie przywiozę, nie zmruży oka”.

Odwracała się kilkakrotnie i patrzyła na bajkowy widok – jasno oświetloną twierdzę Cornet. Noc była bardzo ciepła, dokoła przechadzało się jeszcze wiele osób. Równie dobrze mogłaby się znajdować w kurorcie na południu Europy. Słowo „morderczynie” chodziło jej po głowie.

– Nie zamordowałyście go – powiedziała wcześniej do Beatrice, gdy ta patrzyła na nią z napięciem w ogródku The Terrace. – Nie pani strzelała do Ericha, tylko Pierre. A wy tylko nie udzieliliście mu pomocy.

Beatrice zbyła ją machnięciem ręki.

– Nie interesuje mnie prawna definicja tego, co zrobiłam, tylko kwestia moralna. A tu zgodzi się pani ze mną, że to było zabójstwo. Nie ma co owijać w bawełnę.

– Można też uznać, że ocalenie Ericha oznaczało śmierć Pierre’a. A z nich dwóch na pewno Pierre był bardziej niewinny niż Erich.

– Tylko że nam wcale nie chodziło o ratowanie Pierre’a. Mam na myśli to, co czułyśmy w głębi serca. Och, wiem, świat nie oceniłby nas zbyt surowo. Erich był nazistowskim dygnitarzem, robił straszne rzeczy, był

całym sercem oddany zbrodniczemu reżimowi. I rzeczywiście uratowałyśmy Pierre'a, młodego Francuza, którego Erich latami dręczył i na którym się wyżywał. Nie, nikt nie osądzałby nas surowo. Ale ja wiem, że kierowała nami nie jego miłość do nazizmu i nie troska o Pierre'a. Helene chciała się go pozbyć. Wyszła za niewłaściwego faceta i nie wiedziała, jak się z tego wyplątać. A teraz okazja sama się nasuwała, więc z niej korzystała. To było takie proste, takie banalne. Przemoc domowa, która nie miała nic wspólnego z wojną, prześladowaniami i trudnym czasem. Ani trochę.

– A panią co kierowało? – zapytała wtedy Karin, i Beatrice spojrzała na nią zdziwiona.

– Mną?

– Tak. Wyjaśniła pani, czym się kierowała Helene, ale pani? Młoda Beatrice była dzielną, rozsądną dziewczyną, to już wiem. Mogła sama iść po lekarza, zamiast chować się w ogrodzie, zakrywać uszy dłońmi, żeby nie słyszeć jęków konającego Ericha.

Teraz, na tej przybrzeżnej drodze, wspominała odpowiedź Beatrice, krótką, zwięzłą, szczerą:

– Zemsta. Kierowała mną zemsta. Zemsta za okupację wyspy. Za to, że straciłam rodziców. Za lata, które bezprawnie spędził w moim domu. Nie zabiłabym go własnymi rękami, ale nie widziałam powodu, by zapobiec jego śmierci.

„Tak – pomyślała Karin – to zrozumiałe. Nie można mieć jej tego za złe. Każdy by tak postąpił. Ale ona... ona sobie tego nie wybaczyła. Nigdy się z tym nie pogodziła”.

– A więc wtajemniczyłyście doktora Wyatta? – zapytała rzeczowo, żeby cokolwiek powiedzieć. Nie czekała na odpowiedź Beatrice.

– Musiałyśmy. Nie mógł powiedzieć, że był w domu u Pierre'a. Wystawił świadectwo zgonu Ericha, w którym napisał, że ten chciał popełnić samobójstwo strzałem w głowę, ale spudłował, zranił się w klatkę piersiową i wykrwawił na śmierć. Dopilnował, żeby zaraz zabrano i pogrzebano zwłoki. Obiecał nam, że zachowa w tajemnicy prawdziwy przebieg tamtych wydarzeń. Oczywiście utrzymywałyśmy przed nim, że chodziło nam o życie Pierre'a. Wyatt uważał, że w zaistniałej sytuacji nie

miałymy innego wyjścia. Był nam wdzięczny, że mu nie powiedziałyśmy o Erichu, kiedy był u nas po południu, bo nie mógłby pozostać w zgodzie z sumieniem i przysięgą lekarską, gdyby mu nie pomógł. Ale ponieważ o niczym nie wiedział, miał czyste ręce. Zdecydował, że powie żonie, bo wiedziała przecież, że był u Pierre'a i że cały dzień był dostępny. Wiedzieliśmy, że Edith potrafi utrzymać język za zębami. – Beatrice uśmiechnęła się i lekko wzruszyła ramionami. – Ale w końcu jednak coś wypaplała, prawda? Nie można jednak mieć jej tego za złe. Ma ponad czterdzieści lat i nie do końca wszystko kojarzy. W jej wieku pewnie będziemy takie same.

„Pięć osób – myślała – pięć osób o tym wiedziało i milczało. I właśnie to przywiązało Beatrice do Helene bardziej, niż ta miała tego świadomość. Razem popełniły przestępstwo. Połączyło je, choć wtedy nie zdawały sobie z tego sprawy”.

Szła dalej, gdy nagle zobaczyła mężczyznę na ławce. Choć nie widziała jego twarzy, wiedziała, że to Alan.

Była dość daleko od The Terrace, na szerokiej ulicy prowadzącej do nabrzeża, przy którym cumowały promy. Widziała szyldy z drogowskazami z nazwami poszczególnych linii. O tej porze było tu pusto. Wielkie latarnie rzucały niebieskawe światło na parkingi i puste budynki administracyjne. Woda pluskała cicho o kamienne nabrzeże.

Podeszła cicho.

– Alan? Wszędzie pana szukałyśmy.

Odwrócił się do niej.

„Jaki jest udręczony – pomyślała ze współczuciem – jaki samotny”.

– Ach, to pani, Karin. Co tu pani robi o tej porze?

Ze zdumieniem stwierdziła, że nie był pijany. Owszem, może w ciągu dnia wypił kilka kieliszków wina w The Terrace, ale nie był pijany. Włóczęga po knajpach, której obawiała się Beatrice, najwyraźniej nie miała miejsca.

– Mówiłam, że pana szukałyśmy. Pana matka i ja.

– Gdzie ona jest?

– Kazałam jej wracać do domu. Nie czuje się dzisiaj najlepiej. Helene i to wszystko... – Zatoczyła łuk ręką. – Sam pan wie.

– Tak – mruknął. – Sam wiem.

Znowu wbił wzrok w taflę wody. Przez chwilę stała niezdecydowana, ale zaraz usiadła koło niego.

– Pojedzie pan ze mną do domu? – zapytała. – Nie może pan przecież siedzieć tu całą noc.

– Która godzina?

– Po jedenastej, dochodzi wpół do dwunastej.

– Sam nie wiem... chciałbym tu jeszcze trochę posiedzieć.

– Beatrice się o pana martwi.

Roześmiał się gorzko.

– Idę o zakład, że myśli, że jestem pijany w sztok. Pewnie dlatego szukała mnie po całym St. Peter Port, prawda? I pewnie dlatego pani nie może spokojnie iść spać. Mama myśli, że leżę gdzieś w kącie zalany w pestkę albo że zataczam się po nabrzeżu i lada moment wpadnę do wody.

W pierwszej chwili chciała wszystkiemu zaprzeczyć, przekonywać go z oburzeniem, że się po prostu martwiły, kiedy nie wrócił na kolację, ale uznała, że to byłoby nieuczciwe i łatwe do przejrzenia.

– A pana to dziwi? – zapytała. – Nie wierzę, żeby był pan naprawdę zaskoczony.

Pokręcił głową.

– Nie – przyznał znużony. – Nie jestem.

– Ale pan nie pił – stwierdziła. – Pana mamie spadnie kamień z serca.

– I będzie zaskoczona – dodał. – Przede wszystkim zaskoczona.

Odwrócił się.

– Mam odejść? – zapytała. – Zostawić pana w spokoju?

Milczał tak długo, że już chciała powtórzyć pytanie, gdy nagle wyznał:

– Rozstałem się z Mają. Nieodwołalnie. Na dobre.

– Dlaczego? – zapytała i w następnej chwili była na siebie wściekła o to pytanie. Znała Maję, wiedziała, co zrobiła Alanowi, a on wiedział, że ona wie. Pewnie uznał, że to idiotyczne pytanie. Ale odpowiedział spokojnie:

– Jest jeszcze bardziej zepsuta, niż mi się wydawało. Robiła gorsze rzeczy, niż sądziłem. Zainwestowałem tyle uczuć, czasu i wysiłku w zwykłą... – Urwał, nie dokończył, zamiast tego powiedział: – Ale to i tak

już bez znaczenia.

– Maja jest młoda i lekkomyślna – zauważyła Karin. – Może jeszcze wyrośnie z niej porządny człowiek, tylko najpierw musi się wyszumieć.

– Nie wiem i szczerze mówiąc, wątpię w to. Dzisiaj opowiedziała mi o sobie takie rzeczy, w które nikt normalny nie uwierzy. Ona nie ma żadnych oporów, żadnych. Ani godności. Dumy, bo ją traci się razem z godnością. Nie ma dla niej żadnych granic. Robi to, co jej odpowiada. Uczucia innych nie mają dla niej znaczenia. Ma w nosie takie pojęcia jak cudza własność, czy takie bzdury jak prawo i porządek. To już nie jest młodzieńcza beztroska czy chęć wyszumienia się. Ona po prostu taka jest. Niemoralna, niepoważna. A ja ją kochałem. Jezu. – Mówił cichym głosem, kruchym jak szkło. – Ja ją naprawdę kochałem.

Karin nie miała pojęcia, czego mógł się dowiedzieć o Mai, ale zrozumiała, że musiał przeżyć wstrząs i że był u kresu sił. Do tego stopnia, że nie wierzył, żeby nawet alkohol dał mu ukojenie; gdyby było inaczej, zaszyłby się w knajpie i pił do białego rana. Rozpacz Alana łamała jej serce.

– Jest ciężko, wiem – powiedziała – bardzo ciężko, gdy poznaje się o kimś całą gorzką prawdę, nie musi nawet być taka gorzka. Chyba zawsze jest ciężko, gdy zagłębimy w głąb czyjejś duszy. Tym samym niszczymy nasze złudzenia, wyobrażenia, które sobie stworzyliśmy. To boli i pozbawia pewności siebie.

W końcu na nią spojrział. Był smutny, ale na jego twarzy malowała się czułość.

– To prawda. Tracimy grunt pod nogami, gdy widzimy, że iluzja jest właśnie tym – tylko złudzeniem. Może dlatego, że to podważa wszystko, cały nasz system wartości. Gdzie jeszcze popełniliśmy błąd? Dlaczego wcześniej nie widzieliśmy, co się święci? Dlaczego byliśmy tak ślepi, tak głusi?

– Nie tylko o to chodzi – mruknęła Karin. – To naturalne, że dopadają nas wątpliwości, lęki, niepokoje. Ale najgorsze, że ucierpiały nasze uczucia. Bo to *one* oberwały najbardziej, o wiele bardziej niż nasze zdolności poznawcze. A mało co boli tak bardzo jak złamane serce.

– Z czasem nawet serce się zabliznia – powiedział cicho, raczej do siebie niż do niej. – Przynajmniej tyle. Powoli, ale nawet serce się zabliznia.

Chętnie powiedziałyby coś pocieszającego, coś, co dodałoby mu sił i sprawiło, że z jego głosu zniknie to straszne poczucie beznadziei, ale nic nie przychodziło jej do głowy poza prawdą, którą sam właśnie wypowiedział, choć na razie doświadczał jej rozumem, nie sercem.

– Beatrice dowiedziała się od Kevina czegoś o Helene, czegoś, co całkowicie zważyło ją z nóg – powiedziała. Tamta nie kazała jej obiecać, że zachowa to dla siebie; to Karin uznała, że powinna milczeć, ale w tej chwili wydawało jej się, że może to powiedzieć synowi Beatrice, żeby go wyrwać z rozpacz, żeby mu pokazać, że to, co go spotkało, spotyka także innych, że każdego dnia ktoś cierpi.

– O Helene? – zdziwił się Alan. – Kevin wiedział coś, czego nie wiedziała Beatrice?

– Och, Kevin był jej powiernikiem. Helene bała się ostrego języka Beatrice, przy Kevinie czuła się bezpieczna.

Alan uśmiechnął się ponuro.

– Czyżby staruszka Helene miała romansik na boku? Namiętny związek, o którym nikt nie miał pojęcia?

Karin odwzajemniła uśmiech tylko po to, żeby przedwcześnie nie zgasł.

– Nie, myślę, że do końca była wierna Erichowi. I miała ku temu powody: zanim zmarł, zostawił jej majątek.

– Helene miała pieniądze? – Alan nie wierzył własnym uszom. – Nasza Helene?

– Siedziała na pieniądzech. Dosłownie. Większość trzymała w szafie w swoim pokoju, z czasem jednak część wpłacała na konta w różnych bankach. Miała prawie pół miliona funtów. Co rusz wspierała Kevina finansowo, zapewne po to, by kupić jego sympatię i utrzymać zainteresowanie. W którymś momencie musiał się zorientować, że nie mogła tego uciulać z emerytury po mężu i zapytał ją, skąd ma te pieniądze. Nie mogła się powstrzymać, wyznała mu prawdę. Od tej pory był jej stałym gościem. Wyciągnął od niej tysiące funtów.

– Ale skąd? – zapytał zdumiony. – Skąd miała takie pieniądze? I skąd miał je Erich, skoro powiedziała pani, że odziedziczyła je po nim?

– Od Żydów – odparła. – Erich wzbogacił się kosztem Żydów. W czasie wojny często przebywał we Francji. Zagrabił mnóstwo złota i kosztowności

francuskich Żydów, których wypędzano z domów i deportowano. Nawet na Guernsey były dwie zamożne żydowskie rodziny. Obiecał im pomoc w ucieczce, w zamian za co przekazały mu swoje majątki, a on potem i tak wydał tych ludzi straży wybrzeża i kazał zastrzelić. W każdym razie zostawił Helene o wiele lepiej zabezpieczoną, niż ktokolwiek mógł się domyślać.

– A Helene? – zapytał. – Wiedziała? To znaczy, czy już w czasie wojny wiedziała, czym zajmował się jej mąż i że ukradkiem zgromadził małą fortunę?

Karin pokręciła głową.

– Nie, nie wiedziała. Powiedział jej o tym dopiero na łożu śmierci. Siedziała przy nim godzinami, póki nie skonał. I podczas tych długich godzin powiedział jej, gdzie są te pieniądze. Beatrice była w ogrodzie, nic nie słyszała.

– Mój Boże – szepnął Alan. – I przez te wszystkie lata...

– Nie pisnęła ani słowem. Gdyby wyszło na jaw, że posiada majątek... Beatrice mogłaby koniec końców wyrzucić ją z domu.

– Wiecznie narzekała, że ma mało pieniędzy – wspominał Alan. Wydawał się bardzo poruszony, wstrząśnięty. – Czasami wyliczała nam, ile dostaje, i powtarzała, że to za mało, żeby żyć, a za dużo, żeby umrzeć. I w pewnym sensie miała rację. Naprawdę dostawała bardzo mało.

– Kolejny podstęp, żeby poruszyć serce Beatrice, zmusić ją, żeby cały czas się nią opiekowała – zauważyła Karin. – Walczyła wszelkimi środkami. Była totalną egoistką.

– I tylko Kevin wiedział...

– Tak, i oczywiście nikomu nie pisnął ani słowa. Chciał pozostać jedynym, który doi mleczną krowę. W dniu pogrzebu zakradł się do domu pana matki. Chciał przeszukać pokój Helene, liczył na to, że znajdzie tam trochę gotówki. Ale natknął się na Beatrice i w końcu wszystko jej wyznał. Zdaje się, że jest w opłakanej sytuacji finansowej.

Alan zacisnął powieki. Wydawał się bardziej przytomny, mniej pogrążony we własnej rozpacz. W jego twarzy była jakaś czujność, napięcie.

– A więc tylko Kevin wiedział – stwierdził po namyśle. – Kevin

wiedział, a Helene zamordowano. Tego dnia, gdy była u niego na kolacji. W dniu jej pogrzebu szukał pieniędzy...

Podjęcie, choć niewypowiedziane, wyraźnie zawisło w powietrzu między nimi. Karin jęknęła głośno.

– O nie, nie Kevin! To niemożliwe!

Ale po minie Alana widziała, że owszem, możliwe. Zresztą sama już dawno zrozumiała, że wszystko jest możliwe.

– Jedziemy do domu – zdecydowała.

Następnego dnia po pięknej pogodzie nie został nawet ślad, jakby ktoś w nocy przełożył niewidzialną wajchę na deszcz. Powietrze było łagodne, a niebo bezchmurne, gdy Karin i Alan wjechali na podjazd. W żadnym oknie nie paliło się światło.

– Mam nadzieję, że Beatrice zasnęła – szepnęła Karin. – Bardzo źle wyglądała. Musi wypocząć.

Na palcach weszli na piętro. Zatrzymali się pod drzwiami Karin. Alan uściśnął jej rękę.

– Dziękuję – powiedział.

– Za co?

– Za to, że mnie pani znalazła i przywiozła do domu.

Speszyła się nagle.

– Ale... to nic takiego... Cieszę się, że nic panu nie jest.

– Owszem, to coś ważnego. I bardzo miłego.

– Pan też mi kiedyś pomógł – przypomniała. – Wtedy równie dobrze mógł mnie pan zostawić, nie znał mnie pan przecież. Nic nas nie łączyło.

– Poza tym, że kurczowo trzymała się pani mojego samochodu. Nie mogłem pani zignorować.

– Ale nie musiał pan zawracać sobie mną głowy – upierała się, myśląc jednocześnie, że oczywiście rozmawia z nim jak niezdara. Podobał jej się, lubiła go, była ciepła, letnia noc.

„Inna zaczęłaby teraz flirtować – myślała. – Albo powiedziałyby coś, co stawiałyby ją w dobrym świetle, coś dowcipnego, inteligentnego... a ja sterczę jak kołek i wymieniam uprzejmości... Pewnie ma mnie za straszną nudziarę”.

– No to oboje zadaliśmy sobie sporo wysiłku – podsumował i Karin wydawało się, że wychwyciła w jego głosie nutę irytacji.

Zrobiła coś szalonego, coś czego jeszcze nigdy nie zrobiła, na co, jak jej się wydawało, nie byłaby w stanie się zdobyć: wspięła się na palce, lekko

pocałowała go w policzek i powiedziała:

– Przepraszam. Czasami plotę straszne bzdury!

A potem zniknęła w pokoju, zamknęła za sobą drzwi i pomyślała, że przynajmniej zrobiła to, na co miała ochotę. Nawet jeśli Alan uzna jej zachowanie za nachalne i irytujące, mogła być z siebie dumna, bo zareagowała pod wpływem impulsu.

Zobaczyła go następnego ranka przy śniadaniu. Gdy weszła, siedział w jadalni nad miseczką musli, filiżanką kawy i grzanką. Na jej widok odłożył gazetę, wstał, pocałował ją w policzek.

– Dzień dobry – zagaił. – Jak pani spała? O ile tych kilka godzin można nazwać snem.

– Jak kamień – odparła. – Padłam do łóżka i od razu zasnęłam. – Spojrzała w okno. – Szkoda, że pogoda się zepsuła. Wczoraj było już prawie lato, a dzisiaj...

Padało, na niebie chmury wisiały tak nisko, że w ogóle nie było widać morza. Drzewa kołysały się na wietrze.

– Tutaj pogoda szybko się zmienia – odparł Alan. – Ale na szczęście nigdy nie pada długo. Jak dobrze pójdzie, jeszcze dzisiaj zaświeci słońce.

Karin usiadła i przysunęła do siebie imbryk z kawą. Była odrobinę skrępowana i gorączkowo szukała jakiegoś niezobowiązującego tematu do rozmowy, ale oczywiście nic takiego nie przychodziło jej do głowy.

– Nie jest pani głodna? – zainteresował się Alan. – Może chociaż grzankę?

Pokręciła głową.

– Nie, dziękuję, rano właściwie nic nie jem. Za to o dziesiątej dopada mnie wilczy głód i wtedy pochłaniam coś niezdrowego, na przykład czekoladę.

– No cóż, pani może sobie na to pozwolić. – Bawił się grzanką na swoim talerzu, kruszył ją w palcach. – Dużo o tym wszystkim myślałem – powiedział w końcu. Przedtem zerknął na drzwi i zniżył głos. – Wydaje mi się, że nie możemy zatrzymać tych podejrzeń dla siebie. Musimy porozmawiać z policją.

– Jakich podejrzeń? – zdziwiła się.

– Kevin – przypomniał. – To, co mi pani wczoraj powiedziała...

Pieniądze Helene. Kevin, który jedyny o nich wiedział...

– Tak przypuszcza – zaznaczyła Karin. – Wydaje mu się, że tylko jemu powiedziała, ale nie wiemy tego na pewno. Może zwierzyła się jeszcze komuś.

– Nie sędzę. Taka wiadomość rozeszłaby się po wyspie lotem błyskawicy. Guernsey to mała wioska, wszyscy tu plotkują. Dziwi mnie, że Kevin nie puścił pary z ust, ale to oczywiście dlatego, że zależało mu, by zachować w tajemnicy źródło, z którego czerpał zyski. Nie. – Alan pokręcił głową. – Jestem przekonany, że Kevin był jedynym, który cokolwiek wiedział.

– Ale...

– Helene nie była głupia. Nie ryzykowałyby, zwierając się Mae czy innym plotkarom. Ta cała sprawa ma też aspekt prawny. Te pieniądze zrabowano wywożonym Żydom. W ogóle nie należały do Helene. Postąpiła lekkomyślnie, mówiąc o nich Kevinowi, ale myślę, że chciała to z siebie wyrzucić, chciała się z kimś podzielić tym ciężarem. A Kevin, wiecznie potrzebujący pieniędzy, był idealnym powiernikiem właśnie dlatego, że kierowany egoistycznymi pobudkami miał trzymać język za zębami, dokładnie tak, jak ona tego chciała.

– Dlaczego miałby ją zabić? Przecież jej potrzebował.

– Nie wiemy przecież, co zaszło tamtego wieczora w Torteval – przypomniiał. – Znamy tylko wersję Kevina. Może Helene zastrajkowała. Może mu powiedziała, że to koniec, że już nie dostanie od niej ani grosza. Zagroziła mu i spanikował. Nie wiem, w co się wpakował, ale widać, że ciągle potrzebuje pieniędzy i że coś mu bardzo ciąży. Mówiła pani, że mama go zdybała, jak w dniu pogrzebu zakradł się do domu, żeby w pokoju Helene szukać pieniędzy. Może właśnie taki był plan: zabić Helene, a potem zagarnąć jej majątek.

– Akurat Kevina w ogóle sobie nie wyobrażam popełniającego taką zbrodnię – mruknęła Karin. – To znaczy właściwie nikogo sobie nie wyobrażam, ale akurat Kevin... Jest taki delikatny, taki...

– Nie wie pani, czym się kierował. Zdziwiłaby się pani, ilu miłych, łagodnych ludzi zmienia się w bestie, gdy poczuje zapach pieniędzy. Może bank przykręcił mu śrubę. Albo ktoś, kto egzekwuje spłaty długów bardziej

brutalnie niż bank.

Karin zmarszczyła czoło.

– Co pan ma na myśli?

– Założmy, że Kevin maczał palce w brudnych interesach – zaczął powoli. – To oczywiście tylko przypuszczenie, hipoteza, której na razie nie mogę niczym poprzeć. Ale ten ciągły brak pieniędzy... Znam go od lat. Znam jego sytuację, wiem, jak żyje. Z pewnym rozmachem, jego konto pewnie zazwyczaj świeci pustkami, ale moim zdaniem nie robi nigdy zbyt dużego debetu. W każdym razie nie na tyle, żeby posuwać się do takich dziwacznych zachowań.

– Jakich znowu *dziwacznych zachowań*? Przecież jak dotąd wcale nie wiemy, czy...

Alan pochylił się do przodu.

– Moim zdaniem dziwaczne jest zakradanie się do cudzego domu, żeby ukraść pieniądze z pokoju zamordowanej kobiety. Bardzo przy tym ryzykował. Nawet jeśli nie miał nic wspólnego ze śmiercią Helene, samo to zachowanie sprawia, że niejako automatycznie znajduje się w kręgu podejrzanych.

– O ile mi wiadomo, kupił nowe szklarnie i bardzo się przy tym zadłużył.

– Od budowy szklarni się nie bankrutuje. Pewnie wziął na nie kredyt, może nie spłacił kilku rat, ale to nie powód, żeby wpadać w taką panikę. Takie bajki mógł opowiadać Helene i mojej mamie, ale ja widzę sporo słabych punktów w jego wersji.

Karin dołała sobie kawy. Zadrżała, zacisnęła dłonie na porcelanie. W pokoju nie było ogrzewania, a od okna zakradały się chłód i wilgoć. Alan zaważył jej reakcję, wstał, zamknął okno i został przy nim wpatrzony w ogród i deszcz.

– Do tego zeznanie taksówkarza – podjął przerwany wątek. – Mówił, że ktoś za nimi jechał, całą drogę z Torteval do Le Variouf. A jeśli to był Kevin?

– Musiałby oszaleć. To pech, że kierowca nie zwrócił uwagi na rejestrację.

– Jeśli jedzie za panią samochód z włączonymi długimi światłami

i trzyma się bardzo blisko – a kierowca mówił, że tak właśnie było – nie widać tablicy rejestracyjnej. Na to mógł liczyć Kevin.

– Nie ryzykowałby tak bardzo.

Alan odwrócił się i spojrzał na nią. Wdziąka jego napięcie, koncentrację, widziała cień tego, kim był poza piciem i zadawaniem się z niewłaściwymi kobietami. Widziała inteligentnego prawnika, mężczyznę, który robił karierę, był opanowany i panował nad sytuacją. Widziała, jak silna jest ta strona jego osobowości, ale też jak łatwo było ją zniszczyć, gdy w grę wchodził przekłety alkohol.

– Ta kolacja też jest dziwna – zauważył – jeśli się weźmie pod uwagę, jak wyglądały inne takie spotkania. Helene jeszcze nigdy nie wracała taksówką. Kevin zawsze osobiście odwoził ją do domu, zawsze. To przecież była ważna część całego rytuału: przychodził po nią i odprowadzał ją jak... jak zakochany uczeń swoją partnerkę z tańców, żeby posłużyć się językiem Helene. Bo przecież chciała w ten sposób przeżyć tę część życia, którą jej zapewne odebrano.

– Ale tamtego wieczora rytuał od początku był zakłócony – włączyła się Karin. – Kevin po nią nie przyjechał. Odwiozła ją Beatrice.

– Tak, bo tym razem nie zaprosił Helene samej. To chyba tylko zbieg okoliczności, że... – Urwał. – Właściwie dlaczego mama tam nie została? – zapytał. – U Kevina? Dlaczego przez cały wieczór włóczyła się po Pleinmont Point?

Karin cały czas czekała na to pytanie. Poczuli się nieswojo.

– Ona... źle się czuła – rzuciła wymijająco.

Alan przyglądał jej się uważnie.

– Dlaczego? Na pewno to pani powiedziała.

Po chwili wahania postanowiła powiedzieć mu prawdę.

– Po południu do pana zadzwoniła, a pan akurat rozstał się z Mają i...

Nie dokończyła, ale i tak wiedział, co chciała powiedzieć.

– Byłem pijany – stwierdził. – Pamiętam. I to ją tak zdenerwowało, tak?

– Była strasznie roztrzęsiona, zszokowana, załamana, bezradna. Jeszcze nigdy jej nie widziałam w takim stanie. Stwierdziła, że nie zniesie paplaniny Helene przez cały wieczór i... no cóż, poszła na klif.

Alan oparł się o parapet. Był zamyślony i smutny.

– Wiele przeze mnie przeszła – mruknął. – To pewnie dla matki okropne widzieć, jak jej syn się zapija.

– Ale sprawiał jej pan też radość – zapewniła ciepło. – Jest z pana bardzo dumna.

Uśmiechnął się.

– Jest pani bardzo miła, Karin. A pani? Dlaczego pani nie było u Kevina? A może pani nie zaprosił?

– Akurat tego dnia niespodziewanie zjawił się na Guernsey mój mąż. Chciał mnie namówić, żebym wróciła, a ja chciałam go prosić o rozwód. Tak więc ten wieczór upłynął nam na średnio przyjemnej rozmowie.

– I? – zapytał Alan.

Spojrzała na niego.

– Co: i?

– Wraca pani do niego? Czy jednak rozwód?

– Rozwód – odparła krótko.

Skinął głową i nie powiedział nic więcej.

– W każdym razie pańska teoria ma luki – zauważyła. – Tamtego wieczora Kevin chyba nie chciał wyciągnąć od Helene pieniędzy, bo wtedy nie zapraszałby Beatrice ani mnie.

– Może wcale tego nie chciał. Może pomyślał, że nie może wiecznie zapraszać tylko Helene, że czasami musi zaprosić także resztę rodziny. A kiedy okazało się przypadkiem, że zjawiła się sama Helene, postanowił skorzystać z okazji i poprosić o pieniądze. Ona odmówiła i...

– Dlaczego odmówiła? Przecież zawsze mu pomagała.

– Kiedyś każdy ma dość. Może Helene miała mnóstwo pieniędzy, ale niewykluczone, że powoli zaczęło jej świtać, że właściwie nie musi mu tyle dawać. Może pomyślała, że w przyszłości może ich potrzebować, gdyby na przykład ciężko zachorowała i potrzebowała fachowej opieki. Odcięła go od źródła.

– Hm – mruknęła Karin i po raz trzeci dołała sobie kawy. Przez cały dzień będzie miała palpacje, ale nie chciała teraz sobie niczego odmawiać.

– Pamięta pani, co mówił taksówkarz? – ciągnął Alan. – Helene zadzwoniła z domu Kevina. Zazwyczaj robi to gospodarz, prawda? Podobno był zbyt pijany, żeby ją odwieźć, ale mama mówi, że kiedy do

niego dzwoniła w nocy, był trzeźwy i przytomny. Nie wydawało jej się, by przesadził z alkoholem. Taksówkarz wspominał, że Helene mówiła bardzo cicho i wydawała się bardzo poruszona. Czekala na niego na drodze. Oboje znaleźli Helene. Nie stałyby sama na ulicy w środku nocy. Poczekalaby, aż taksówkarz zadzwoni do drzwi. Chyba że...

– Tak?

– Chyba że poczuła się zagrożona, i to tak bardzo, że musiała uciekać. Może nawet dzwoniła po taksówkę ukradkiem – i dlatego szeptała. Jakoś udało jej się dopaść do telefonu i zadzwonić, a potem wymknąć się z domu.

– Abstrahując od tego, że absolutnie sobie nie wyobrażam, żeby Kevin komuś zagrażał – stwierdziła Karin – nie wyobrażam sobie też, żeby (zakładając, że ma pan rację) z założonymi rękami czekał, aż Helene zadzwoni po taksówkę. A potem jeszcze stała jakiś czas przy drodze, a on nie zacząłby jej szukać? A poza tym, nie dziwi pana, dlaczego, jeśli naprawdę tak było, nie zadzwoniła od razu na policję?

Alan przechadzał się między stołem a oknem i teraz zatrzymał się przy oknie. Deszcz ustawał, ale od strony morza nadciągały nowe chmury. Wiatr hulał wśród mokrych drzew.

– Wydaje mi się, że w sytuacji zagrożenia chciałaby przede wszystkim wrócić do domu. Jeśli Kevin naprawdę jej groził, była wytrącona z równowagi. Nie spodziewała się po nim czegoś takiego. I nie, nie sądzę, żeby od razu pomyślała o policji. Kevin był jej przyjacielem, powiernikiem, substytutem syna. Tylko jemu powiedziała o fortunie, którą zostawił jej Erich. Nie nasyła się policji na najlepszego przyjaciela. Najpierw chciała to sobie przemyśleć, zrozumieć, co się dzieje.

Karin bezradnie wzruszyła ramionami.

– I co teraz? Co robimy?

– Idziemy na policję. Powiemy, co myślimy.

– Albo porozmawiamy z Kevinem – podsunęła.

Alan chciał coś powiedzieć, ale przeszkodziła mu Mae, wchodząc do pokoju. Nie słyszeli, kiedy przyjechała.

– Dzień dobry – zaczęła nieśmiało. – Pukałam do drzwi, ale chyba mnie nie słyszeliście. Umówiłam się na dzisiaj z Beatrice.

Miała na sobie nieodpowiedni strój – jasnożółtą lnianą sukienkę

z krótkim rękawem i białe buciki. Najwyraźniej wybrała tę kreację poprzedniego dnia i nic nie mogło zmienić jej postanowienia, nieważne, że padało i było o osiem stopni zimniej. Chude, pomarszczone ramiona pokrywała gęsia skórka.

„Cała Mae – pomyślała czule Karin. – Prędzej zamarznie, niż zrezygnuje z próżności”.

– Wybieramy się z Beatrice do St. Peter Port – ciągnęła Mae. – Na zakupy i na obiad.

– Mama jest jeszcze na górze – powiedział Alan. – Zobaczą, co z nią. Usiądź sobie z Karin, napij się kawy.

Mae usiadła i z rozkoszą otoczyła palcami ciepła filiżankę.

– Co za paskudna pogoda – mruknęła wpatrzona w okno i wzdrygnęła się. – Trudno uwierzyć, że wczoraj wszyscy chodzili w bikini.

– Gdyby nie to, że jest tak zimno, nie miałabym nic przeciwko temu, żeby znowu włożyć ciepły sweter – stwierdziła Karin.

– Jadę właśnie z St. Peter Port – doniosła Mae – i widziałam w porcie Kevina i Maję. Jak zwykle była za lekko ubrana.

Karin uśmiechnęła się pod nosem. Mae chyba nie zdawała sobie sprawy, jak blisko pada jabłko od jabłoni.

– Stali w deszczu bez parasoli, bez płaszczy przeciwdeszczowych, rozmawiali, gestykulowali... Trąbiłam i machałam do nich, ale chyba mnie nie zauważyli, byli bardzo przejęci. – Mae energicznie pokręciła głową. – Czasami trudno mi zrozumieć młodych. Jak to w końcu jest? – Znacząco zniżyła głos: – Czy Alan i Maja nadal są razem? Dogadali się w końcu?

– Rozstali się – odparła Karin. – I chyba nie powinno się ich do niczego zmuszać. Różnica wieku jest za duża, mają zbyt odmienne oczekiwania. Chyba będzie lepiej, jeśli każde z nich znajdzie sobie kogoś innego.

– Alanowi nie będzie łatwo – mruknęła Mae, która jak zwykle musiała bronić wnuczki. – No bo jaka kobieta chciałaby faceta, który tyle pije? A z tym nie będzie lepiej. Miękki człowiek.

Karin pomyślała, że to samo można by powiedzieć o Mai, ale ugryzła się w język. Na ten temat nie było sensu dyskutować z Mae.

Przyszli Alan i Beatrice, która zapytała zrezygnowana, czy nawet przy tak fatalnej pogodzie Mae upiera się, żeby jechać do St. Peter Port. Tamta

zrobiła minę sugerującą, że obrazi się śmiertelnie, jeśli Beatrice zechce się wykręcić.

– No, dobrze – mruknęła zrezygnowana. – Ale naprawdę chcesz tak jechać? Zamarzniesz mi na śmierć!

– Wcale nie jest mi zimno – zapewniła Mae. – Jeśli o mnie chodzi, możemy jechać.

Alan spojrzał na Karin.

– A może pójdzie pani ze mną na spacer? Możemy później wpaść do miasta. Nie mam ochoty siedzieć cały dzień w domu i gapić się na deszcz.

– Uważam, że to świetny pomysł – wtrąciła szybko Beatrice. – Niech pani z nim idzie, Karin. Jeśli do wieczora będzie tu siedział sam...

– Na pewno zaleje się w trupa – dokończył Alan. – Spokojnie, mamó. Znajdę sobie tyle zajęć, że nawet nie spojrzę na flaszkę.

– Wczoraj wieczorem Alan wcale nie był pijany – zapewniła pospiesznie Karin. – Wszystko było w porządku.

Alan się uśmiechnął.

– Dziękuję pani. Ale tym nie zrobi pani na mamie wrażenia. Jest głęboko przekonana o słabości mojego charakteru. Jeden wieczór bez alkoholu tego nie zmieni.

Zapadła niezręczna cisza, którą przerwała Mae:

– No, jedźmy już! Zróbmy sobie taki swobodny, przyjemny dzień!

– Jedźcie – powiedział Alan. – My z Karin dojedziemy później. Nie musimy przecież wszędzie chodzić razem.

Było jasne, że nie ma ochoty spędzać dużo czasu z matką, zwłaszcza gdy znowu robiła aluzje do jego picia.

– Powiedz od razu, że... – zaczęła poruszona Beatrice, ale Karin starała się pospiesznie rozładować sytuację:

– Możemy się przecież spotkać gdzieś w St. Peter Port na obiedzie.

Umówili się o pierwszej u Bruna, we włoskiej knajpce w porcie. Była dziesiąta i ciągle padało.

O wpół do pierwszej deszcz ustał właściwie nagle, silny wiatr rozpędził chmury, między którymi pokazało się jasnoniebieskie niebo.

Trawa i liście lśniły od wilgoci. Ciepłe słońce przyspieszało parowanie, tak że powietrze przesycił mokry zapach ziemi. Alan i Karin wrócili ze

spaceru urwiskiem aż do zatoki Moulin Huet zmęczeni, zmoknięci, z wilgotnymi włosami.

– Oczywiście kiedy wróciliśmy do domu, przestało padać – stwierdził Alan. – Mamy doskonałe wyczucie czasu.

– Musimy jechać do St. Peter Port – przypomniała Karin, zerkając na zegarek. – Pana mama i Mae już czekają.

– Och, darujmy to sobie – zaproponował. – Nie mam najmniejszej ochoty przez dwie godziny wysłuchiwać pouczeń mamy.

– A przecież to był pana pomysł, żeby się z nimi spotkać!

– No właśnie, głupota. Zawsze kiedy tu jestem, myślę sobie, że powinienem się nią bardziej zajmować, zwłaszcza teraz, kiedy ma już tylko mnie... I przy tym zapominam, jaka bywa okropna i że chyba nigdy nie da mi spokoju.

– No tak, ale nie możemy ich wystawić do wiatru – mruknęła Karin. – Chodźmy. Nie ma rady, musimy przez to przejść.

Alan westchnął zrezygnowany i sięgnął do kieszeni po kluczyki.

– Jak tam: jest pani pod kurtką w miarę sucha czy chce się pani przebrać?

– Nie jest źle, możemy jechać.

Samochód stał na podjeździe. Szli w jego stronę wśród mokrych kwiatów, gdy Karin coś sobie przypomniała.

– Cholera – zakląła po niemiecku i zatrzymała się w pół kroku.

Alan nie zrozumiał. Spojrzał na nią zdumiony.

– Co się stało?

Myślała intensywnie.

– Chyba jednak się przebiorę – powiedziała już po angielsku. – I poprawię fryzurę... Doprowadzę się do ładu. Poczekaj pan?

– Oczywiście. W samochodzie.

Skinęła głową i pobiegła z powrotem do domu, schodami na piętro, do swego pokoju, zamknęła za sobą drzwi. Rano zapomniała. Zapomniała zażyć tabletkę. Otworzyła szufladę w nocnym stoliczku, wyjęła opakowanie. Było puste.

Dwadzieścia minut później nadal nie znalazła nawet jednej pigułki. Opakowanie w szufladzie było zaczęte. Nie wierzyła własnym oczom.

Usiłowała sobie przypomnieć poprzedni wieczór: zażyła tabletkę, zanim pojechały z Beatrice do St. Peter Port. Spieszyła się, ale zauważyła, że to ostatnia w listku. Zajrzała do opakowania i wydawało jej się, że był tam jeszcze jeden płatek, a teraz okazało się, że się myliła; w kartoniku była tylko ulotka.

– Cholera – zakłęta pod nosem. Wieczorem była nieuważna, niechlujna. Nie, poprawiła się w myślach. Od samego początku była nieuważna. Na wyspie przecież nie można dostać tego leku. Co najmniej dwa tygodnie temu trzeba było go zamówić w Niemczech.

Stała pośrodku pokoju.

„Dlaczego tego nie zrobiłam? – zastanawiała się gorączkowo. – Dlaczego? To mi się jeszcze nigdy nie zdarzyło...”

Znowu zaczęła szukać i odruchowo pomyślała o Erichu, który w ostatnim dniu swego życia tak samo gorączkowo szukał w tym domu tabletek.

„Nie jesteś nim – powtarzała sobie. – Nie jesteś taka jak on. Opanuj się”.

Ale nie mogła się zastosować do tych rad. Z każdą chwilą denerwowała się coraz bardziej. Łaskotanie w opuszkach palców przybierało na sile. Wiedziała, że lada chwila zaczyną jej dygotać ręce.

Rozejrzała się po pokoju, gorączkowo usiłowała zapanować nad narastającą paniką.

„Jestem zdenerwowana, bo nie mogę znaleźć tabletek – powtarzała sobie – inaczej nic by mi nie było. To tylko sugestia. To nic takiego”.

Nie mogła wечно ukrywać się na górze. Zerknęła na zegarek. Zaraz pierwsza. Od prawie dwudziestu pięciu minut jest w domu. Alan w końcu zacznie jej szukać. A jeszcze się nawet nie przebrała, choć przecież mówiła, że właśnie dlatego idzie do siebie.

„Walizka – pomyślała. – Może coś zostało w walizce. Gdzie walizka?”

Rozglądała się nerwowo, póki sobie nie przypomniała, że położyła ją wysoko na szafie. Przysunęła sobie krzesło, weszła na nie, przeszukała walizkę. Nic nie widziała, bo nawet stojąc na krześle, musiała szukać po omacku, była za niska. Obmacała miękką wyściółkę. Walizka była pusta.

Mocując się z suwakiem wewnętrznej kieszeni, wspięła się na palce i wyciągnęła na całą wysokość. Cały czas była w mokrych kaloszach i nagle

poślizgnęła się na gładkim drewnie krzesła. Usiłowała przytrzymać się szafy, ale nie trafiła, straciła równowagę i runęłaby w tył, gdyby nie podtrzymały jej silne ręce.

– Ostrożnie – powiedział Alan. – Taki upadek może mieć fatalne skutki.

Czego pani tam szuka?

Odzyskała równowagę, odwróciła się, spojrzała na niego z góry. Puścił jej biodra.

– Dziękuję – powiedziała. – To było naprawdę w ostatniej chwili.

– Przepraszam, że tak bezczelnie wpadłem do pani pokoju – zaczął Alan – ale siedziałem w samochodzie, czekałem i pomyślałem, że za długo to trwa! – Zmierzył ją wzrokiem. – Nawet się pani nie przebrała – stwierdził. – Nadal ma pani na sobie kurtkę deszczową. I kalosze.

Nie było sensu tego kwestionować, więc tylko skinęła głową. Wzięła ją za rękę i pomógł zejść z krzesła.

– Jest pani bardzo blada – zaważył. – Coś nie tak?

Stała przemoczona do suchej nitki, ze zwieszonymi smętnie rękami i czuła, że przedstawia sobą obraz nędzy i rozpacz.

– Przecież pan wie – odparła zrezygnowana. – Pan wie, co jest nie tak.

Skinął głową.

– Tabletki.

– Muszę je brać dwa razy dziennie, rano i wieczorem, i wtedy wszystko jest w porządku. Dzisiaj rano zażyłam, a teraz powinnam wziąć kolejną, ale opakowanie jest puste! – Gestem wskazała stoliczek przy łóżku. Szuflada była otwarta, na blacie poniewierało się puste opakowanie i zgnieciona ulotka. – Ależ ze mnie idiotka! – Łzy napłynęły jej do oczu, ale starała się nad nimi zapanować. – Cały czas sądziłam, że mam jeszcze jeden listek, że mam jeszcze czas, zanim zamówię kolejne, a potem myślałam... No cóż, liczyłam na to, że coś zostało w walizce.

– Ale miała pani pecha.

– Tak, ta cholerna walizka jest pusta! I nie wiem już, gdzie jeszcze mogłabym szukać.

Rozejrzał się po pokoju.

– Chyba rzeczywiście nic już nie ma – mruknął.

– No właśnie, też się tego obawiam.

Stali naprzeciwko siebie, bezradni, niezdecydowani.

W końcu odezwał się Alan:

– Przecież pani wcale ich nie potrzebuje!

Roześmiała się gorzko.

– No jasne, pan to wie najlepiej, w końcu widział mnie pan w szczytowej formie we wrześniu zeszłego roku.

– Tak jest, jak to pani sama powiedziała, we wrześniu zeszłego roku – powtórzył spokojnie. – A teraz mamy maj i widzę przed sobą zupełnie inną osobę. Kobieta w niczym nieprzypominającą tamtego przerażonego stworzenia, które kurczowo trzymało się mojego samochodu, a wcześniej nabroilo w The Terrace.

– Nie jestem inną osobą – zaczęła, ale nie dał jej dokończyć:

– Ależ owszem! Sama pani tego nie widzi, bo nie ma pani do siebie dystansu. Zmieniła się pani i myślę, że może pani dać sobie spokój z tymi prochami.

Czuła, jak narasta w niej gniew. Naczytała się tylu poradników, że znała na pamięć te rady rodem z pop-psychologii:

Nie potrzebujesz tych tabletek!

Jesteś silna!

Nie boisz się nikogo i niczego!

Dasz radę!

Minęły czasy, gdy wierzyła w te slogany. Naiwne próby uporania się z problemem za pomocą złotych myśli. Nie pomagały, choć też przynajmniej nie pogarszały sytuacji, ale nie podobało jej się, że ktoś chce jej pomóc tak banalnym sposobem.

– A pan niby skąd to wie? – syknęła ostro. – Zna mnie pan na tyle, że może to ocenić?

Nie przejął się agresją w jej głosie.

– Nie, nie znam pani zbyt dobrze, fakt. Ale mam oczy. I widzę, jak bardzo się pani zmieniła. Nieważne, czy chce pani tego słuchać, czy nie, ja tylko mówię, co widzę.

– Może wcale mnie to nie interesuje – odparła opryskliwie. – A poza tym kto jak kto, ale... – Nie dokończyła, lecz Alan wiedział, co chciała powiedzieć.

– Kto jak kto, ale akurat ja powinienem milczeć – dopowiedział. – Ja, alkoholik. No tak, ale to mi daje pewną wiedzę, musi pani przyznać. Nie wydaje mi się pani słaba, uzależniona, niezrównoważona. Jest pani aktywną, energiczną kobietą, która chodzi własnymi drogami i tylko z przyzwyczajenia wydaje jej się, że musi łykać jakieś prochy, żeby się utrzymać na nogach.

Słyszała jego słowa, ale ich sens do niej nie docierał.

– Muszę mieć te tabletki – powiedziała, ale w jej głosie nie było już wściekłości, tylko rezygnacja. – Bez nich sobie nie poradzę.

– A tutaj nie można ich dostać?

– Nie, upewniłam się już w zeszłym roku. Mogę je zamówić tylko w Niemczech, przez moją terapeutkę.

– Może znajdziemy aptekę, w której sprzedadzą pani coś podobnego.

Obojętnie wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Pewnie trudno będzie go dostać bez recepty, to mocny środek, Alan, takich rzeczy nie dostaje się ot tak.

– Spróbujemy – nie dawał za wygraną. – No, chodźmy. A może chce się pani przebrać?

Karin patrzyła na niego ze zdumieniem.

– Mam z panem jechać do St. Peter Port? Teraz?

Zerknął na zegarek.

– Kwadrans po pierwszej! Byliśmy umówieni o pierwszej! Musimy się pospieszyć. Pewnie obie już myślą, że spotkało nas coś złego.

– Ja nie mogę jechać.

– Czemu nie?

Czuła, jak ponownie narasta w niej złość. Jego niewiedza, która zawsze wydawała jej się głupią taktyką, coraz bardziej działała jej na nerwy.

– Czemu nie? Nie wiem, może się mylę, ale wydawało mi się, że dość dokładnie to wytłumaczyłam! Jak się panu zdaje, o czym do tej pory rozmawialiśmy? O pogodzie?

Zdawała sobie sprawę, że mówi nieprzyjemnym wysokim głosem, ale to był efekt paniki, która czaiła się w niej, jeszcze nieśmiała, ale już gotowa do ataku.

Alan nie dał się sprowokować.

– Wydaje mi się, że zrozumiałem, o co chodzi. Nie pojmuję po prostu, dlaczego teraz chce pani zostać w domu. Nie ma pani tabletek, obawia się ataku paniki. Dobra, niech przyjdzie. Ani tutaj, ani w St. Peter Port, nigdzie nie jest pani bezpieczna. A więc równie dobrze może pani ze mną pojechać.

– Ale w domu nie będzie tak intensywne.

– Na pewno?

Nagle ogarnęło ją potworne zmęczenie.

– Nie wiem. Ale jestem wtedy okropna i wolałabym nie być w miejscu publicznym.

– To akurat rozumiem. Ale tu byłaby pani całkiem sama, a to też nie jest dobry pomysł.

Zmęczenie przybierało na sile i Karin zrozumiała, że przynajmniej chwilowo nie grozi jej napad paniki. Jeśli nadciągało zmęczenie, oznaczało to, że panika wygasła, zapadła się w sobie, zanim na dobre zaatakowała. Zmieniła się w obezwładniającą bezsilność. Trochę potrwa, zanim znowu weźmie się w garść. Najpierw będzie musiała odzyskać siły.

Nie miała już sił, by dłużej wstrzymać łzy. Płynęły jej z oczu, spływały po policzkach.

– Przepraszam – szepnęła. – Nie wiem, dlaczego płaczę. Jestem zmęczona, jestem tak strasznie zmęczona.

Poczuła na sobie ramiona Alana. Przywarła twarzą do jego mokrej kurtki przeciwdeszczowej, ale to jej nie przeszkadzało, bo jej twarz i tak była mokra od łez. Otuliła ją kojąca ciemność. Ramiona niosły ciepło i wsparcie.

Jego głos dobiegał jak z oddali:

– Nie musisz przepraszać. Na miłość boską, płacz. Płacz, ile chcesz.

Zatraciła się we łzach, w jego ramionach, jego głosie. Nie chciała się bronić, choćby mogła.

„Potrzebuję siły – myślała. – Potrzebuję skądś siły”.

Ku swemu zdumieniu stwierdziła, że znalazła jej źródło.

Było już po drugiej, gdy w końcu wpadli do włoskiej knajpki.

– Moja mama pewnie już szaleje z niepokoju – stwierdził Alan. – Oczywiście wyobraża sobie, że leżę gdzieś w kącie zalany w trupa, a ty nie jesteś w stanie mnie przytaszczyć na spotkanie.

Przeszli na ty po chwili bliskości w pokoju Karin. Szlochała przez pół godziny, łkała, dygotała i czuła zarazem, że to nie efekt brakujących środków, ale że oto doszedł do głosu stary, od dawna tłumiony ból, że oplakuje stracone lata, przegraną miłość Michaela, wszystkie przykrości, których doznała, bezradność, z jaką je znosiła.

Pozwolił jej płakać, aż łzy same obeschły, aż się uspokoiła, aż rozpacz przestała się z niej wylewać. W pewnym momencie pogłaskał ją po głowie i szepnął:

– Wiem, co czujesz. Wiem bardzo dobrze.

I to utwierdziło ją w przekonaniu, że on także czerpie z niej pociechę, chwyta się jej równie kurczowo, jak ona jego, choć można by pomyśleć, że tylko ona znalazła w nim źródło siły.

– Już dobrze – powiedziała w końcu, trochę wzięła się w garść i wyswobodziła z jego ramion. Odgarnęła włosy z twarzy. – Pewnie okropnie wyglądam.

– Wyglądasz bardzo ładnie – zapewnił. – Ale może lepiej umyj twarz, w innym wypadku będziemy musieli się tłumaczyć przed mamą i Mae.

Poszła do łazienki, obmyła twarz zimną wodą, wydmuchała nos, przeczesała włosy. Nadal wyglądała okropnie, ale nie miała czasu się przebierać i stroić.

„Nieważne – pomyślała. – Alan to nie Michael, pokaże się ze mną nawet w takim stanie”.

W samochodzie po drodze do St. Peter Port nie wracali do tego zajścia. Wiatr tymczasem przegnał chmury i niebo było równie błękitne jak poprzedniego dnia.

– Wiedziałem, że się wypogodzi – mruknął Alan. Wydawał się bardzo zadowolony. – Czyli jednak wiem co nieco o wyspie.

– Nie kusi cię czasami, żeby wrócić? – zapytała.

– Czasami tak – przyznał. – Ale nie ma tu dla mnie pracy, a o tym też muszę myśleć... może przede wszystkim – dodał po chwili namysłu, jakby chciał przekonać samego siebie.

Kiedy stali przed restauracją i rzucił uwagę, że jego matka pewnie już podejrzewa najgorsze, Karin zaprotestowała.

– Jeszcze nigdy nie widziałam jej w rozsypce. Jest bardzo silna. Podziwiam ją.

– Czasami sobie myślę, że może za bardzo wierzyła w tę swoją siłę – stwierdził z namysłem. – Do tego stopnia uczepiła się tego swojego wizerunku, że stała się jego ofiarą. Mówiłaś, że Helene ją oszukała, żeby zostać w domu na zawsze. Ale kiedy się nad tym zastanowić, właściwie nie miała powodu, by trzymać pod swoim dachem wdowę po niemieckim oficerze przez ponad pięćdziesiąt lat. Miała tyle możliwości... Nie musiała tu siedzieć, wśród tych znienawidzonych róż. Ale może w pewnym sensie podobało jej się to, że udzielała Helene schronienia. Może chciała być silną głową rodziny, kobietą, która samotnie wychowuje dziecko, ma na głowie marudną staruszkę i sama ze wszystkim daje sobie radę. To, co jej teraz doskwiera, to nie tyle sytuacja, ile świadomość, że jeśli chodzi o siłę i wyrafinowanie, Helene pobiła ją na głowę. Zainwestowała tyle wysiłku w kogoś, kto tego nie potrzebował. I to ją teraz gryzie.

Karin myślała o jego słowach, wchodząc w ślad za nim do włoskiej restauracji. Tylko kilka stolików było zajętych; przy tak pięknej pogodzie wszyscy wychodzili na zewnątrz. W kącie siedziała Mae w letniej sukience, która okazała się jednak właściwą reakcją na ten dzień. Rozglądała się nerwowo. Na widok Karin i Alana pomachała im energicznie.

– Wreszcie! Spóźniliście się ponad godzinę! Co się stało?

– Mama już poszła? – domyślił się Alan. Dosiedli się do Mae. – Przepraszamy – dodał. – Byliśmy na spacerze i straciliśmy poczucie czasu. Zjadłaś już?

Przed Mae stała lampka sherry. Skinęła głową.

– Tak, choć właściwie nie miałam apetytu, prawie nic nie przełknęłam.

W ogóle nie byłam głodna.

Karin wyczuwała, że Mae poruszyło nie tylko ich spóźnienie. Coś wisiało w powietrzu.

– Gdzie Beatrice? – zapytała.

– Nie przyszła – odparła Mae. Była zła i dotknięta. – Przecież jeśli nie chciała się ze mną spotkać, mogła mi to otwarcie powiedzieć. Ale nie, umawiamy się, wybieramy się na zakupy, a potem na obiad, po czym siedzę tu sama jak pies przez bite dwie godziny. O nie! Tak się nie robi! Mogłam sobie inaczej zaplanować ten dzień.

– Chwileczkę, nie spóźniliśmy się dwie godziny – zaprotestował Alan – tylko godzinę z kawałkiem!

– Siedzę tu od dwunastej – prychnęła Mae. – A dochodzi wpół do trzeciej.

– Od dwunastej? Ale dlaczego? I dlaczego nie ma z tobą mamy?

– Spotkała znajomego. Na promenadzie – wyjaśniła Mae. – I od tej chwili ja już dla niej nie istniałam.

Alan zmarszczył brwi.

– Znajomego? Jest teraz z nim?

– Wymyślili sobie, że pójda na kawę do portu. Przecież znowu się wypogodziło. Co prawda nie powiedzieli, że mam ich zostawić samych, ale przecież wiem, kiedy się mnie nie chce. I nigdy się nie narzucam – opowiadała Mae urażona. – Beatrice obiecała, że przyjdzie tu około wpół do drugiej, miałam wam przekazać, że się spóźni. Ale od razu widziałam, że zapomniała o bożym świecie.

– A kogo spotkała? – dopytywał się Alan z roztargnieniem. Otworzył menu i studiował listę win. Kiedy zdał sobie sprawę, co czyta, szybko przesunął wzrok na makarony.

Mae pochyliła się nad stołem i ściszyła głos. Nagle stała się bardzo tajemnicza.

– Nie uwierzycie – szepnęła. – Po tylu latach... Początkowo myślałam, że jej się przywidziało, ale miała rację. To naprawdę był on.

– Kto? – zapytała Karin.

– Julien. Francuz. *Ten* Francuz.

– Co za Julien? – dopytywał się Alan.

– To niemożliwe! – krzyknęła Karin.

Alan zamówił rigatoni napoli, a Karin uznała, że jest tak zmęczona, że może sobie pozwolić na grzech i zdecydowała się na spaghetti z czterema gatunkami sera oraz lampkę pinot grigio. Alan dopytywał się, kim jest Julien. Mae wierciła się niespokojnie; najwyraźniej obiecała kiedyś przyjaciółce, że nie powie Alanowi o Julienie, a z drugiej strony aż ją skręcało, żeby opowiedzieć mu pikantne szczegóły z życia jego matki.

– Najdziwniejsze, że już w zeszłym roku Beatrice wydawało się, że go widziała. Siedziałyśmy w Le Nautique jakoś pod koniec sierpnia albo na początku września i nagle powiedziała, że zobaczyła go w tłumie. Stwierdziłam, że to niemożliwe, wydawało mi się, że po tylu latach i tak nie mogłaby go poznać, ale ona obstawała przy swoim. A dzisiaj znieruchomiła nagle i powiedziała: „to Julien”! No i muszę jej przyznać, ja też go rozpoznałam. Jest już bardzo stary, ma pod osiemdziesiątkę, a jednak rysy mu się nie zmieniły. Wygląda młodo jak na swój wiek. – Mae westchnęła. – Wtedy też był, szczerze mówiąc.

– Czy ktoś mi w końcu wyjaśni, o co chodzi z tym tajemniczym Julienem? – nie dawał za wygraną Alan. – Zdaje się, że to ktoś ważny dla mamy, skoro dla niego zapomniała o spotkaniu z naszą trójką.

Mae dramatycznie przewracała oczami i Karin pomyślała, że nawet mężczyzna mniej inteligentny od Alana powinien był już się domyślić, o co chodzi.

– Przyjaciel z młodości – powiedziała. – Z czasów wojny. Pracował u Ericha Feldmanna.

– Aha – mruknął Alan. – Pierwsza miłość mamy?

Karin nie widziała powodu, by temu zaprzeczać.

– Tak. Kiedyś bardzo się kochali. On uciekł z niewoli i...

– I moi rodzice ukrywali go u nas na strychu – dokończyła Mae. – Co oczywiście było bardzo niebezpieczne. Mój tata mógł za to zginąć.

– Ciekawe. – Alan się uśmiechał. – I mama spotykała się z nim właśnie na strychu?

– Można tak powiedzieć. – Po Mae było widać, że do dzisiaj nie pogodziła się z faktem, że swego czasu Julien całkowicie pochłaniał uwagę Beatrice. – Oczywiście była za młoda, uważam...

– Chyba musimy na to patrzeć przez pryzmat tamtych czasów – wtrąciła się Karin. – Wszyscy, także młodzi, byli świadomi grożącego im niebezpieczeństwa. Każdy dzień mógł być ich ostatnim. Nie czekało się na odpowiedni wiek na miłość. Brali to, co dawał im los, i to brali szybko.

– Swoją drogą, w dzisiejszych czasach nastolatki też szybko biorą się do rzeczy – wtrącił Alan. – Wydaje się, że nie ma dolnej granicy wieku.

Mae ponuro skinęła głową.

– O tak, i uważam, że to straszne. Przecież tym samym pozbawiają się prawdziwych uczuć, tracą szansę na wspaniałe przeżycie. Pamiętam, jaka byłam wstrząśnięta, gdy się dowiedziałam, że Maja straciła dziewictwo jako trzynastolatka. Trzynastolatka! Na tylnym siedzeniu samochodu. Idę o zakład, że dzisiaj nawet nie pamięta, kto to był.

– Co do tego nie mam wątpliwości – zauważył sucho Alan. – Gdyby Maja miała spamiętać wszystkich swoich partnerów, musiałaby się nauczyć na pamięć książki telefonicznej. A tego nikt od niej nie oczekuje.

Mae gniewnie zacisnęła usta, ale nie protestowała, bo wiedziała, że Alan ma rację.

– No cóż – sapnęła, szukając w torebce portmonetki. – Nie będę dłużej czekać na Beatrice. Uważam, że zachowała się bardzo niegrzecznie, ale w pewnym sensie już przywykłam do takiego traktowania z jej strony.

– Zapraszam cię, Mae – powiedział Alan. – I przepraszam za mamę, ale skoro to jej pierwsza miłość...

Uśmiechnął się czarująco, lecz Mae nie udobruchał. Wyszła naburmuszona, z dumnie uniesioną głową i z miną, która dobitnie mówiła wszystkim wokół, co o tym myśli.

– Muszę przyznać, że o życiu mojej matki wiesz o wiele więcej niż ja – zauważył Alan, gdy Mae zniknęła im z oczu. – Nigdy mi nie opowiadała o tym Julenie.

– Nie wydaje mi się, żeby matki chętnie opowiadały synom o swoich pierwszych miłościach – odparła. – Nie bierz tego osobiście.

Ale dla Alana temat już nie istniał. Nie interesowało go, z kim kiedyś romansowała jego matka. Cieszył się, że Mae sobie poszła.

– Tak sobie myślę – zaczął – że najlepiej byłoby pojechać do Kevina i skonfrontować go z naszymi podejrzeniami. Zobaczymy, jak zareaguje.

Zaoferuję mu pomoc prawną. To chyba uczciwe postawienie sprawy.

– Jeśli to nie on – zauważyła Karin – czego jestem pewna, może się poczuć urażony. I słusznie. Alan, to nie jest jakieś tam podejrzenie. Tu chodzi o ludzkie życie. O brutalne zabójstwo. I właśnie dlatego – podkreśliła, kręcąc głową – absolutnie nie wyobrażam sobie Kevina jako mordercy. Nawet jeśli wszystko pasuje, jeśli twoja teoria ma ręce i nogi, Kevin nie mógłby poderżnąć Helene gardła. Nie wiem, mógłby ją może udusić, rozbić jej butelkę na głowie. W afekcie, w akcie rozpaczy. Ale nie robiłby czegoś tak brutalnego. On jest... – Długo szukała odpowiedniego słowa, wiedziała, że to, co powie, nie oddaje w pełni stanu rzeczy, ale nic innego nie przychodziło jej do głowy. – On jest na to za wrażliwy.

– Zobaczmy, co powie na nasze podejrzenia – obstawał przy swoim Alan. – Może nam to wszystko wyjaśni. Lepsze to niż iść na policję, wtedy musiałby się tłumaczyć na posterunku.

– Fatalnie się z tym czuję – mruknęła Karin.

Odsunęła od siebie talerz z ledwie tkniętym jedzeniem – nie miała apetytu. Panika znowu uniosła łeb. „Dopadnie mnie dzisiaj – stwierdziła zrezygnowana. – Prędzej czy później, w najmniej odpowiednim momencie. Może u Kevina”.

Alan także odepchnął od siebie talerz. On chyba też stracił apetyt.

– Jestem przekonany, że policja wkrótce wpadnie na to, żeby mieć Kevina na oku. Przecież nie siedzą beczynnie, wyciągają wnioski, szukają motywu... i w końcu skojarzą, że coś tu śmierdzi. Trochę to potrwa, bo nie znają pewnych faktów, o których my wiemy. Nie mają pojęcia o pieniądzach Helene, o tym, że Kevin je od niej wyłudzał, że w dniu pogrzebu chciał przeszukać jej pokój i tak dalej. Ale uwierz mi, dojdą do tego wszystkiego i wtedy sprawa się wyjaśni. Właściwie wyświadczymy mu przysługę, uprzedzając policję.

Przekonał ją, a mimo to miała dziwne przeczucie. Starła się nie zwracać na nie uwagi. Może to dlatego, że nie zażyła tabletki.

– No dobrze, chodźmy więc – powiedziała, wstając.

Mała portowa knajpka miała taras wychodzący na morze, prosty podest z desek, na nim zwykle stoły i krzesła, kilka wystrzępionych parasoli. Budynek stał tak, żeby chronić przed nawet najmniejszym powiewem wiatru i na tarasie zrobiło się bardzo gorąco.

Beatrice zdjęła kurtkę przeciwdeszczową, a teraz ściągnęła też przez głowę sweter. Pod nim miała białą koszulkę z nadrukiem końskiego łba. Usiłowała jakoś okiełznać niesforne włosy.

– Kto by się spodziewał, że tak się dzisiaj wypogodzi? – powiedziała.

Julien przyglądał się jej z uśmiechem.

– Wiesz, Beatrice, uznasz to za dumny komplement, ale właściwie prawie w ogóle się nie zmieniłaś. Oczywiście, postarzałaś się jak ja, ale twoje ruchy, twój śmiech, sposób, w jaki odwracasz głowę... To wszystko jest takie samo. Nie masz duszy starej kobiety. Równie dobrze mogłabyś nadal być tą dziewczyną, która siedziała ze mną na strychu w Le Variouf i czytała Wiktora Hugo.

– Przesadzasz – mruknęła. – Od tamtej dziewczyny dzielą mnie lata świetlne. Całe życie.

– Czy od tego czasu zajrzałaś kiedyś do *Dzwonnika z Notre-Dame*?

Przyglądała mu się, zastanawiała, do jakiego stopnia może zdradzić swój sentymentalizm, i w końcu przyznała:

– Z każdą linijką wiążą się wspomnienia. A te pewnie z wiekiem nabierają znaczenia.

– Ja też go często czytałem. I zawsze myślałem o nas. – Wyjął cygaro, poczęstował Beatrice, ale podziękowała. Nigdy za nimi nie przepadała. – Z perspektywy czasu widzi się wiele rzeczy inaczej – ciągnął. – I teraz tamte lata wydają mi się bardzo romantyczne, muszę sobie w kółko powtarzać, że wcale takie nie były. To były ciężkie, straszne czasy, a ja byłem zdesperowany. Naziści odebrali mi młodość. Siedziałem latami na strychu, gapilem się w małe okienko i chciałem wykrzyknąć to, co czułem. Ale przecież ty to wiesz. Już wtedy wiecznie na to narzekałem.

– Lecz miałeś rację, mówiąc, że taki był los – zauważyła. – To był nasz los, twój i mój. I kiedy dzisiaj widzimy w tym romantyzm, czemu nie? To oznacza, że pogodziliśmy się z tym, co nam było pisane, że już się nie buntujemy. I dobrze. Inne podejście skończyłoby się goryczą i podatnością

na choroby.

Myślał chwilę, zanim się roześmiał.

– Jak zawsze cudownie praktyczna. Podatność na choroby! Nie znam innej kobiety, która wymyśliłaby coś takiego!

Zamieszała kawę. Przyglądała mu się intensywnie od kilku godzin. Miał osiemdziesiątkę na karku, ale wyglądał o dziesięć lat młodziej. To, co powiedział o młodzieńczej gibkości jej ruchów, dotyczyło także jego. Nie wydawał się stary. Owszem, jego ciemne włosy były siwe, gładka dawniej twarz – poorana zmarszczkami, ale w oczach był ten sam blask. I czujność.

Opowiadał, że rozwiódł się z Suzanne jeszcze w latach sześćdziesiątych, że potem zenił się jeszcze dwukrotnie. Z drugą żoną rozstał się w latach siedemdziesiątych, trzecia zmarła na raka w 1992 roku.

– Z nią byłem naprawdę szczęśliwy – podkreślił. – Dobrze się rozumieliśmy, dawaliśmy sobie dużo swobody. Może chodziło też o to, że nie byliśmy już tacy młodzi. Dojrzeliśmy. Ona nie chciała mnie zmieniać, a ja przestałem się w końcu uganiać za innymi kobietami. W pewnym momencie to staje się śmieszne, nie uważasz? Najpóźniej wtedy, gdy na głowie dominuje siwizna. No i przestałem też czuć, że muszę nadrobić stracone lata. Uznałem, że już to zrobiłem – o ile to w ogóle możliwe. Każde życie jest jedyne w swoim rodzaju. Niepowtarzalne, wyjątkowe.

Dopiero kilka godzin po tym, jak spotkali się na nabrzeżu i przyglądali sobie z niedowierzaniem, zapytał:

– A co z... jak on się nazywał? Frederickiem? Nadal jesteście razem?

Pokręciła głową.

– Już od dawna nie, od ponad czterdziestu lat. Nie mam z nim kontaktu, nie wiem nawet, czy jeszcze żyje.

– Więc dlatego wróciłaś na Guernsey – domyślił się. – Myślałem, że zostałaś w Cambridge. Wydawałaś się wtedy zdecydowana wyjechać tam na zawsze.

– Ale stało się inaczej – powiedziała i jej ton dawał jasno do zrozumienia, że nie chce o tym rozmawiać. – Właściwie spędziłam na Guernsey całe życie.

Przyglądał jej się uważnie, z namysłem, ale nic nie powiedział.

– Byłem tu kilka razy – powiedział. – W marcu, w zeszłym roku

w sierpniu, a dzisiaj przypląnąłem z St. Malo na kilka dni.

– Nigdy nie próbowałeś się ze mną skontaktować. Przez te wszystkie lata.

– Myślałem przecież, że jesteś w Cambridge – zauważył bez przekonania.

Beatrice potrząsnęła głową.

– Nie mogłeś tego wiedzieć na pewno. Mogłeś chociaż zajrzeć.

– Masz rację. Tak się jakoś... nie składało...

Wiedziała, co chciał przez to powiedzieć: w jego życiu nie było dla niej miejsca. Nie pasowała do niego; należała do innej epoki i nie chciał jej w nowej fazie, bo to oznaczałoby połączenie starego z nowym, a on najwyraźniej chciał mieć jasny podział.

„Ale czytał Wiktora Hugo – pomyślała z niemal dziecinną radością. – Czytał Wiktora Hugo i myślał o nas. Nigdy mnie nie zapomniał”.

Nie było między nimi obcości, choć nie widzieli się prawie pół wieku. Siedzieli obok siebie w słońcu jak stare małżeństwo, które milczy razem, bo rozumie się bez słów. Mogliby sobie opowiadać, co się działo w ciągu tych pięćdziesięciu lat, ale nie czuli takiej potrzeby. Wymienili się faktami, ale przede wszystkim milczeli. I teraz Julien zapytał:

– *A ona?* Żyje jeszcze? No wiesz, wdowa po Feldmannie. Po wojnie została w twoim domu.

Beatrice była zdziwiona: śmierć Helene była tematem numer jeden na wyspie od dwóch tygodni i na chwilę zdenerwowało ją, że oto spotyka kogoś, kto tak beztrąsko o nią pyta. Zaraz jednak przypomniała sobie, co powiedział Julien: że zaledwie tego ranka przybył na Guernsey z Bretanii.

– Helene nie żyje – powiedziała. – Zamordowano ją dwa tygodnie temu. Znalazłyśmy ją na ścieżce za domem. Ktoś poderżnął jej gardło.

Kiedy to mówiła, zbierało jej się na mdłości. Zabrzmiało to tak koszmarnie, tak nieprawdopodobnie. Nie tak miało być. Powinna móc powiedzieć: *Umarła. Zasnęła i już się nie obudziła. Albo: Była bardzo chora. Wreszcie nie cierpi.* Tak się informuje o śmierci starszych pań. A nie: *Ktoś poderżnął jej gardło.*

„O Boże” – pomyślała.

– O Boże – szepnął Julien. – To niemożliwe! Kto to zrobił?

– Jeszcze go nie złapali. Policja nie ma pojęcia, kogo szukać.

Julien wydawał się bardzo poruszony, przez kilka minut nic nie mówił. W milczeniu ćmił cygaro.

Beatrice zapaliła papierosa i rozważała, czy nie zamówić dwóch koniaków. Spojrzała na nabrzeże i zobaczyła nadchodzących Karin i Alana.

Poderwała się na równe nogi.

– Alan! Karin! Tutaj!

W pierwszej chwili rozglądali się zaskoczeni, zaraz się jednak zorientowali, skąd dochodzi wołanie. Chwilę później stanęli w ogródku.

– Mój syn Alan – przedstawiła Beatrice. – Alan, to Julien. Stary znajomy.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. Julien uśmiechał się serdecznie, Alan zachował dystans.

„Ojciec i syn – pomyślała Karin z przejęciem – i żaden nie ma o tym pojęcia”.

Beatrice przedstawiła ją także i Julien przywitał się serdecznie.

„W młodości musiał być bardzo przystojny – stwierdziła Karin. – Nic dziwnego, że łamał kobietom serca”. Nawet teraz widziało się w nim resztki dawnej urody. Kobiecie u jego boku musiało być bardzo ciężko.

– Mamo, jedziemy do domu – powiedział Alan. – Zabierzesz się z nami? Na Mae nie możesz liczyć, odeszła obrażona, że zostawiłaś ją w restauracji.

– Jedźcie sami – odparła. – Ja tu jeszcze chwilę zostanę z Julienem, poplotkujemy o dawnych czasach. Wrócę autobusem.

– Albo ja cię odwiozę – zaproponował Julien. – Wynająłem samochód. – Spojrzał na Alana. – Dopiero co przyjechałem z Francji.

– Aha – mruknął Alan. Coś mu w Julienie nie pasowało, ale Alan nie wiedział, co takiego. – To bardzo miło z pana strony.

– To się rozumie samo przez się – odparł Julien.

Stał, póki Alan i Karin nie odeszli.

– Nie mówiłaś, że masz syna – zwrócił się do Beatrice.

– Wielu rzeczy ci nie mówiłam – odparła.

– Jak dobrze, że nie musimy odwozić mamy do domu – zauważył Alan, gdy wsiedli do samochodu. – Pojedziemy od razu do Kevina i nie musimy się przed nią z niczego tłumaczyć.

Karin otworzyła okno od strony pasażera, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Zdawała sobie sprawę, że coraz bardziej potrzebuje tabletki. Alan chyba już zapomniał, że miał zapytać w aptece o środek o podobnym składzie. Teraz ścigał przestępców, nie mógł się już doczekać konfrontacji z Kevinem. Karin rozważała, czy mu nie przypomnieć, ale stwierdziła, że to i tak bez sensu; nie wierzyła, że dostanie tak silny lek bez recepty.

Słońce grzało bardzo mocno. Do zmęczenia Karin dołączyły pierwsze sygnały migreny; znała je aż za dobrze. Najczęściej miały związek z Michaelem. Teraz to chyba była reakcja na brak leku. „Cholera” – pomyślała znużona.

– Skądś go znam – myślał na głos Alan. – Tylko nie wiem skąd. Ale już gdzieś widziałem tę twarz.

– Może u mamy?

Przecząco pokręcił głową.

– Nie, zapamiętałbym. Nie, nie. W innych okolicznościach... Ale za nic nie mogę sobie przypomnieć.

Nie wracał do tego aż do przyjazdu do Torteval. Brama posiadłości Kevina była zamknięta, więc zaparkowali na poboczu. Charakterystyczna wieża kościoła dźgała błękitne, bezchmurne niebo. Karin widziała wielkie niebieskie hortensje wzdłuż cmentarnego muru. Starego, kamiennego, omszałego muru... Czepiała się tej idyllicznej wizji, szukała siły w spokojnym widoku zarośniętych, barwnych, kwitnących ogrodów i małej wioski wśród nich. Musiała jakoś się przygotować na panikę, która też zbierała siły i szykowała się do ataku. Jeszcze nie dawała za wygraną.

„Hortensja moją bronią w walce z paniką” – pomyślała i usiłowała się roześmiać, ale jej się nie udało. W jej strachu nie było już nic zabawnego.

Otworzyli furtkę i weszli do ogrodu. Wokół brzęczały pszczoły, lekki wietrzyk szumiał wśród kwitnących wiśni.

Drzwi i okna były zamknięte. Alan kilka razy zapukał do drzwi – nic. Obeszli dom. Nikogo nie zauważyli.

– Może pojechał po zakupy – podsunęła Karin.

W głębi duszy odetchnęła z ulgą. Przerazała ją myśl, że zarzuca Kevinowi straszne czyny, które w umyśle Alana już niemal stały się faktami. Poza tym mogła liczyć, że szybciej wróca do domu. Może zdoła się schronić w bezpiecznym pokoiku, zanim panika zaleje ją powodziową falą.

Alan zajął do ogrodu. Na jego krańcu słońce odbijało się w oknach szklarni.

– A gdzie te słynne nowe szklarnie, przez które wpakował się w długi? – zapytał ze zmarszczonym czołem. – Przecież te stoją tu od lat.

– Nie mam pojęcia – odparła. – Jestem tu po raz pierwszy.

Dom, w którym Helene spędziła ostatnie godziny życia... Karin podniosła wzrok. Na wschodniej ścianie pięło się dzikie wino, zielone gałązki zaglądały w okna. Nie sposób było sobie wyobrazić, że w tym domu doszło do zbrodni. A jednak coś się tu wydarzyło... Coś... Bo choć nie zgadzała się z Alanem co do przebiegu wydarzeń tamtego wieczora, pewnych faktów nie mogła ignorować, przede wszystkim tego, że wyraźnie poruszona Helene stała w nocy sama na skraju drogi i czekała na taksówkę, a jak dotąd nie usłyszeli sensownego wyjaśnienia tej sytuacji.

„Była tutaj – rozważała. – W tym ładnym, przytulnym domu, jadła z Kevinem kolację, piła wino, plotkowała... a potem usłyszała coś albo Kevin zrobił coś, co kazało jej podejść na palcach do telefonu, szeptem zamówić taksówkę i czekać na nią na zewnątrz, zamiast poczekać, aż kierowca zapuka do drzwi.

Czego się tak przestraszyła? I to u Kevina, którego znała od lat, którego kochała, któremu ufała, który był dla niej jak syn?”.

– Może ma działkę w innym miejscu – zastanawiał się Alan – i tam są te nowe szklarnie. Może tam poszedł. Zobaczę, czy jest ktoś z sąsiadów.

Przyglądała mu się z podziwem; z podziwem, bo był taki zdecydowany i władczy. Wypił jeden kieliszek wina. Bez alkoholu był dobry, przekonujący, zdecydowany, pewny siebie. Karin wiedziała aż za dobrze,

co to znaczy obchodzić się bez nałogu. Teraz wiedziała już, że Alan nie potrzebuje alkoholu. Być może zaczął pić, przekonany, że bez tego nie poradzi sobie w życiu, ale mylił się, drastycznie się mylił, nie doceniając samego siebie. Był przystojnym, inteligentnym, wykształconym mężczyzną, zapewne błyskotliwym prawnikiem, ale chyba do tej pory nie zdawał sobie sprawy z własnej wartości.

Przechadzając się po podwórzu, natknęli się na młodego mężczyznę – akurat minął bramę od strony ogrodu. Był bardzo wysoki, chudy, miał bardzo starannie ufryzowane jasne włosy, które lśniły srebrzyście w świetle słońca. I wyglądał tak gejowsko, że mógłby być ucieleśnieniem wszystkich stereotypów na temat gejów.

Przeraził się na ich widok, zaraz jednak wziął się w garść.

– Pan Shaye? – zdziwił się. – Nie wiem, czy pan mnie pamięta. Steve Gray. Kilka razy widzieliśmy się w domu pańskiej matki, kiedy jeszcze byłem z Kevinem.

Alan zmarszczył czoło i zaraz sobie przypomniał.

– Tak jest! Pan Gray! Dzień dobry. Chcieliśmy się zobaczyć z Kevinem, ale chyba nie ma go w domu.

– Ostatnio rzadko jest w domu – jęknął Steve. Wydawał się bardzo nieszczęśliwy. Karin domyśliła się, że nadal kochał Kevina, który nie odwzajemniał jego uczuć. – Martwię się o niego.

Alan ciekawie nadstawił ucha.

– Tak? A dlaczego?

Steve ucieszył się wyraźnie, że ktoś chce go wysłuchać.

– Jest taki spięty, taki nerwowy. Ma straszne problemy. Ciągłe potrzebuje pieniędzy, właściwie nie wiem na co.

– Z tego, co wiem, kupił nowe szklarnie i bardzo dużo w nie zainwestował – rzucił Alan.

– Och! – Steve pogardliwie machnął ręką. – Za te szklarnie na pewno dużo nie zapłacił! To stare rudery... Poprzedni właściciel chyba mu jeszcze dopłacił!

– A gdzie te szklarnie? – Alan rozglądał się ciekawie. – Najwyraźniej nie tutaj!

– Nie, nie tutaj, nad samą zatoką Perelle. Były częścią wielkiego

przedsiębiorstwa ogrodniczego, którego właściciel zmarł przed dwoma laty. Jego spadkobiercy nie byli zainteresowani dalszą uprawą, więc rozdzielili ziemię i szklarnie. Kevin wtedy opowiadał... – Urwał, posłał Karin żalosne spojrzenie. – Byliśmy razem prawie trzy lata – wyjaśnił. – Choć obawiam się, że nie zawsze był mi wierny.

– Mówił panu, że chce kupić szklarnie w zatoce Perelle? – naciskał Alan. Problemy uczuciowe Steve'a nie interesowały go ani trochę.

– Tak, opowiadał mi o tym. Pożyczyłem mu na to pieniądze, ale odradzałem ten interes. Moim zdaniem to głupota kupować szklarnie położone z dala od reszty upraw. Wydawało mi się, że będzie miał z nimi tylko kłopoty.

– A gdzie jest zatoka Perelle? – zainteresowała się Karin.

– Na zachodnim wybrzeżu – rzucił Alan – na północ od Pleinmont Point. Samochodem to rzut beretem stąd i pod tym względem wcale mnie nie dziwi, że Kevin chciał tam zainwestować.

– Był bardzo tajemniczy – stwierdził Steve. – W ogóle nie chciał mnie tam zabrać. Myślałem... cóż, myślałem, że może się tam z kimś spotyka... więc kiedyś pojechałem za nim ukradkiem. To są rudery, te nowe szklarnie. Dwie rozwalające się rudery.

– I co on tam uprawia?

Steve wzruszył ramionami.

– Wtedy jeszcze niczego nie sadził, dopiero je kupił. Mówił, że nastawia się przede wszystkim na warzywa. Bardzo się zdenerwował, kiedy się dowiedział, że go śledziłem. Jeszcze nigdy nie widziałem go w takim stanie. Jezu – przecesał włosy palcami, ale fryzura była tak mocno utrwalona, że po palcach nie został nawet ślad. – Chyba wtedy wszystko zepsułem między nami, później już było coraz gorzej. Nic nam nie wychodziło.

– Przykro mi – mruknął Alan. Był spięty i podekscytowany. Najwyraźniej nowe informacje pasowały do jego teorii. Kevin coś ukrywał, a zatem stawał się coraz bardziej podejrzany.

– Cóż, skoro go nie ma... – Steve jeszcze się wahał. – Chyba już pójdę... Pewnie jest w zatoce Perelle, ale na waszym miejscu nie jechałbym tam. Wicie, chciałbym, żebyśmy znowu byli razem. Bardzo go kocham. I wydaje mi się, że do siebie pasujemy.

„Biedak” – pomyślała Karin. Wydawał się samotny i zagubiony. Miała nadzieję, że pewnego dnia zakocha się szczęśliwie.

– Musimy koniecznie porozmawiać z Kevinem – powiedział Alan. – Jedźmy do zatoki Perelle.

Steve spojrział na niego z przerażeniem.

– Ale proszę o mnie nie wspominać! Błagam! Nie może się dowiedzieć, że wam powiedziałem o tych szklarniach, uzna, że zawiodłem jego zaufanie. Błagam, nie mówcie mu! – Jego przerażenie budziło litość.

– Nie, spokojnie – odparł Alan. – Nie piśniemy ani słowa. Idziemy, Karin?

Poszła w ślad za nim do samochodu. „Zdaje się, że jeszcze długo nie wrócimy do domu” – pomyślała zrezygnowana.

Już z daleka widzieli dwa podłużne budynki na skraju zatoki. Teraz, podczas przyprływu, woda podchodziła niemal pod ściany, zatrzymywała się zaledwie kilka metrów od szklarni. Po wąskim pasku widocznej teraz plaży spacerował samotny turysta, poza tym dokoła nie było żywego ducha.

Odstawili samochód i wąską ścieżką przez łąkę ruszyli w stronę zatoki. Kiedy podeszli bliżej, zrozumieli, co miał na myśli kochanek Kevina; szklarnie były w opłakanym stanie. Dziury w ścianach zabito prowizorycznie deskami i papą, brakowało wielu szyb. Wydawało się niewiarygodne, że ktoś zainwestował w te rudery ogromne środki finansowe.

– Tam dalej widzę samochód Kevina – zauważyła. Auto stało tuż przy szklarni.

– A więc musi gdzieś tu być – stwierdził Alan z zadowoleniem. – Mamy szczęście.

Doszli do pierwszej szklarni. Alan uchylił drzwi, zajrzał do środka. Powitał go półmrok, bo do wilgotnego, ciepłego wnętrza światło wpadało przez okna zabite deskami i papą. Środek pomieszczenia oraz półki pod ścianami zajmowały doniczki, w których smętnie wędły nieliczne sadzonki. Wszystko to było zapuszczone i zaniedbane, nigdzie nie było widać pedanterii ani porządku, typowych dla Kevina.

– I to ma być kwitnący interes? – powiedział Alan z niedowierzaniem. –

To najgorsza szklarnia, jaką w życiu widziałem.

– Najwyraźniej Kevin nad tym nie panuje – przyznała Karin. – Straszny tu chaos.

– Moim zdaniem to tylko przykrywka – mruknął. – Bo na pewno nie jest to uprawa kwiatów z prawdziwego zdarzenia. – Rozglądał się, ale nikogo nie dostrzegł.

– Zajrzyjmy do drugiej szklarni – powiedział. – Kevin musi gdzieś tu być, przecież jest jego samochód.

Wyszli z rozwalającej się szopy. Na zewnątrz Karin odetchnęła pełną piersią. Świeże powietrze dobrze jej zrobiło. Panująca w środku duchota potęgowała jej napięcie i ból głowy.

– Dobrze – powiedziała. – Sprawdźmy to.

Otworzyli drzwi do drugiej szklarni. Były to ciężkie, szerokie, dwuskrzydłowe wrota, których oba skrzydła otwierały się na zewnątrz. Także tutaj okna zabito papą i deskami, ale płonęły lampy. Pod ścianami piętrzyły się takie same skrzynie i pudła, jakie już uprzednio widzieli, za to pośrodku stał białozielony jacht, a wokół niego grupka mężczyzn. Wśród nich – Kevin.

Karin nie do razu zrozumiała, co widzi, i wydawało jej się, że Alan też nie skojarzył w pierwszej chwili, co mieli przed oczami. Mężczyźni umilkli gwałtownie; odwrócili się do drzwi i patrzyli na wchodzących. Kevin pobladł, za to cienie pod jego oczami jeszcze pociemniały.

On pierwszy przerwał milczenie.

– Alan! – zawołał.

Mężczyźni patrzyli na siebie w milczeniu, jakby próbowali wysondować, o czym myśli ten drugi.

Czar prysł. Jeden z nieznanomych zapytał ostro:

– Kto to?

Karin miała gonitwę myśli. Jacht, pięciu nieznanomych mężczyzn, rozwalająca się szklarnia, atmosfera strachu i zagrożenia... jeszcze ciągle nie połączyła faktów, ale spojrzawszy na Alana, domyśliła się, że on już wie, że już wszystko skojarzył, i widziała coś jeszcze: niemal niezauważalny grymas zdradzał, że będzie udawał, że nic nie wie, że niczego nie zauważył.

– Jesteśmy znajomymi Kevina – wyjaśnił. – Wybraliśmy się na wycieczkę po wyspie i pomyśleliśmy, że do niego zajrzemy. Nie przyszło nam do głowy, że wam przeszkadzamy. – Mówił lekko, swobodnie. Każdy, kto go znał, nabrałby podejrzeń; Alan zachowywał się tak tylko wtedy, gdy miał coś do ukrycia. – Nie ma sprawy, Kevin. Jesteś zajęty. Pojedziemy dalej na północ. Chciałbym pokazać Karin te zakątki wyspy, których jeszcze nie widziała.

– Jasne – odparł Kevin i uśmiechnął się z wysiłkiem. – Jeszcze nie zna całej Guernsey.

– Na razie – powiedział Alan, skinął nieznajomym i wypchnął Karin przez drzwi, zanim sam wyszedł. Czuła na plecach jego zadziwiająco silną dłoń. Jego palce boleśnie wbijały się w skórę.

Chciał stąd odejść jak najprędzej, ale panował nad sobą, udawał, że odchodzą spokojnie, nonszalancko.

Ledwie znaleźli się na zewnątrz, syknął do niej:

– Do samochodu! Ale nie biegiem. Obserwują nas i zorientują się, że coś wiemy.

– Co to za ludzie?

– Widziałaś łódź? Kradną jachty. W tak zwanych szklarniach Kevina przemalowują je, a potem przemycają, pewnie do Francji.

Oddalali się równym, spokojnym krokiem. Karin czuła, że mocno bije jej serce, że cała oblewa się potem. Nagle zagrożenie, które do niedawna było niejasne, nieokreślone, stało się rzeczywiste. Pustka wokół nie była już malownicza i dzika, tylko groźna. Na plaży szumiały fale, krzyki mew zdawały się nieść ostrzeżenie. Przypomniała sobie Helene leżącą na polnej ścieżce w coraz większej kałuży krwi.

„O Boże” – pomyślała przerażona, bo w tej chwili rozumiała, że to wszystko się łączy i że przed chwilą widziała morderców starszej pani. I że byli tu z nimi sami.

– Myślisz, że Kevin... – zaczęła i Alan wiedział, co chciała powiedzieć. Dokończył za nią:

– Miał z tym coś wspólnego? Na pewno. Tkwi w tym po uszy. Znam też tego drugiego. Maja z nim romansowała.

„A z kim Maja nie romansowała?” – pomyślała Karin.

Wcześniej droga od samochodu do szklarni nie wydawała się taka długa, ale teraz, gdy mieli za plecami morderców, którzy poderżnęli gardło staruszce, wydawała się ciągnąć bez końca. Chciała biec, ale coś kazało jej zachować spokój. Szła powoli, jakby byli na spacerze w ciepły wiosenny dzień.

– Wiem już, skąd znam tego Juliena – mruknął Alan. – Widziałem go wczoraj w The Terrace. Był z Gérardem, tym, który pytał, kim jesteśmy.

– Ale w takim razie...

Skinął głową.

– W takim razie musimy jak najszybciej ostrzec mamę. I poprosić, żeby go zatrzymała, póki nie zjawi się policja. W samochodzie mam komórkę. Jak się nazywa ta knajpa, w której siedzą?

– Nie wiem – odparła. – Nie zwróciłam na to uwagi.

– Zaraz sobie przypomnę – zapewnił. – Sam tam siedziałem setki razy.

W tej chwili rozległ się ostry głos:

– Chwileczkę! Stać!

Alan zaklął.

– Wiedzą, że my wiemy. Karin, szybko, biegniemy!

Poczuła, jak bierze ją za rękę. Poczuła, jak ciągnie ją za sobą. Ugięły się pod nią kolana, zadrżała.

– Nie mogę – wyjąkała, ale on twardo ciągnął ją za sobą.

– Pomyśl o Helene! Pomyśl, co jej zrobili! Musimy dotrzeć do samochodu!

Nie tyle biegła, co się potykała, upadłaby zapewne, gdyby jej nie trzymał. Myślała o Helene i panika narastała jak potężna, ciemna fala. Udało jej się opanować, ale wiedziała już, że następna fala ją dopadnie. Zaleje. I wtedy nie zrobi już ani kroku.

Słyszała, że bandyci biegną za nimi. Słyszała ich krzyki, czuła drżenie podłoża. Jeszcze pięćset metrów do samochodu. Czy zamknęli drzwiczki? A jeśli nie zapali?

„W filmach nigdy nie zapala” – pomyślała, a ponieważ już czuła się jak w filmie, jak w horrorze, nagle nabrała pewności, że samochód nie zapali, że ich zawiedzie.

– Sea View – wykrztusił Alan – tak się nazywa ta knajpa, w której jest

mama!

W tym momencie padł pierwszy strzał. Niósł się echem nad łąką, spłoszył mewy, które zaraz zaczęły krzyżeć, a ich głos przypominał echo wystrzału. Padł drugi. Do samochodu było jeszcze trzysta metrów. Nie wątpiła już, że ich zabiją, jeśli ich dopadną. Mieli zbyt wiele do stracenia, przecież nie tylko kradli jachty, ale także dopuścili się morderstwa.

Kiedy upadał, w pierwszej chwili pomyślał, że dostał. Ku swemu zdumieniu z początku nie poczuł bólu. „Ale chyba musi boleć” – pomyślał rzeczowo i przebiegło mu przez głowę, że stawia sobie te pytania, bo doznał szoku. Tym samym odpychał od siebie inne, gorsze myśli – że zaraz go dopadną i zabiją.

Chciał wstać, ale przeszywający ból w prawej kostce kazał mu z jękiem opaść na ziemię. Czy tam trafiła go kula? Czy po prostu potknął się i przy okazji coś sobie naderwał? Zwichnął?

„Albo złamałem – pomyślał. – O Boże”.

Zobaczył, że Karin stanęła. Trzymał ją za rękę i mało brakowało, a upadłaby razem z nim. Teraz przyglądała mu się, dysząc ciężko. Miała szeroko otwarte, wielkie oczy, wyglądała jak przerażone zwierzę. Sięgnął do kieszeni dzinsów po kluczyki. Cisnął je w jej stronę.

– Biegnij! – krzyknął. – Szybko do samochodu! Jedź na policję! Zadzwoń do mamy! Pospiesz się!

Ani drgnęła.

– Pospiesz się! – nalegał.

Przez łąkę biegło w ich stronę dwóch mężczyzn. Jednym z nich był Gérard. Ten typ, którego widział wtedy na Hauteville Road przed domem Mai, którego zapamiętał. Gérard, kochanek Mai. Gérard, morderca. Zapewne człowiek od mokrej roboty.

– Do cholery, Karin, nie stój tak jak królik przed wężem!

Nagle przypomniało mu się ich pierwsze spotkanie, też na Hauteville Road, tego samego dnia, gdy po raz pierwszy zobaczył Gérarda. „Jak królik przed lufą – pomyślał wtedy. – Raz królik, zawsze królik” – przemknęło mu przez głowę.

Skąd się biorą takie bzdurne myśli?

– Biegnij! – krzyknął do niej. – Biegnij co sił w nogach!

Idiotyczne słowa, ale Karin oprzytomniała.

– Nie. Nie bez ciebie. Chodź, pomogę ci. Wstawaj!

– To bez sensu. Nie dam rady. Proszę cię, uciekaj. Uprzedź mamę.

Jej oczy zaszyły mgłą.

„Tylko nie panikuj” – zaklinał ją w myślach.

Odbiegła. Jakby wrzuciła nowy, ukryty bieg. Biegła do samochodu, otworzyła drzwiczki, wsiadła, odpaliła silnik. Zaskoczył od razu. Zawróciła z piskiem opon. Padł kolejny strzał. Odjechała.

„Dzięki Bogu” – pomyślał Alan. Opadł z powrotem na trawę. Na moment zamknął oczy, a gdy ponownie je otworzył, zobaczył nad sobą Gérarda. Zimne, brutalne oblicze bez żadnych ludzkich uczuć, niewzruszone, twarde.

Pomyślał o Helene. O kobiecie, która opowiadała mu bajki i czytała książeczki, która wieczorami przynosiła mu do łóżka gorące mleko. Myślał, że umierając, patrzyła pewnie w tę bezlitosną twarz. Nie mogła liczyć, że okaże jej litość. Czy to wiedziała? A może wszystko stało się tak szybko, że nawet się nie zorientowała?

Dlaczego tak obstawał, żeby jechać do Kevina? Żeby bawić się w detektywa?

„To już koniec” – pomyślał. Przez chwilę zrobiło mu się żal, że tak mało zrobił w życiu. A potem odwrócił głowę.

Nie chciał dłużej patrzeć Gérardowi w oczy.

– Przykro mi z powodu Helene – powiedział Julien. – Pewnie ci bardzo ciężko.

Odkąd wyszli Alan i Karin, prawie nie rozmawiali. Julien pograżył się w myślach, zamówił jeszcze dwie kawy i Beatrice pomyślała, że serce zaraz stanie jej w gardle.

Pił czarną kawę bez cukru. Czy dawniej też? Zastanawiała się nad tym, ale zaraz przypomniała sobie, że w czasie wojny właściwie nie było kawy, a później także cukru ani mleka, a smaku paskudnej lury, którą pili zamiast kawy, nic nie mogło poprawić.

– To był szok – odpowiedziała, słysząc jego słowa. – Czyjaś nagła śmierć jest dostatecznym szokiem, ale taka śmierć... Nie można się z tym pogodzić. Czasami budzę się w nocy i wydaje mi się, że to tylko zły sen, a potem dociera do mnie, że to się stało naprawdę. Że to też jest częścią mojego życia. – Wzruszyła ramionami. – Tego, co mi z tego życia zostało, w każdym razie. A nie jest to już zapewne dużo.

– Dożyjesz setki – zapewnił. – Czyli masz jeszcze trzydzieści lat.

– No cóż – mruknęła leniwie – chyba dam radę.

Popatrzyli na siebie i nagle Julien wyciągnął rękę nad stołem, a Beatrice podała mu swoją. Trzymali się za ręce i oddychali powoli, równo.

– Czasami sobie myślę... – zaczął i urwał, ale nie naciskała, bo wiedziała, co chciał powiedzieć: chciał wspomnieć o życiu, które mogli razem mieć, na które sobie nie pozwolili, o życiu być może lepszym niż to, które prowadzili osobno; być może znowu myślał o niepowtarzalności utraconych szans.

– Miło się z tobą siedzi w słońcu – powiedział tylko i milczeli dalej, a Beatrice zastanawiała się, czy on także czuł ten dojmujący smutek co ona.

„Cholera – myślała – niektóre rzeczy nigdy się w życiu nie udają!”

Ale tak już musi być i nie ma sensu się przeciwko temu buntować.

Starła się zapanować nad bólem, patrzyła w słońce, chwytając się

kurczowo widoku twierdzy Cornet, która władczo i niewzruszenie panowała nad portem i towarzyszyła jej przez całe życie. Potężna budowla dodawała jej sił i odwagi.

Julien zerknął na zegarek.

– Muszę iść – powiedział. – Jestem umówiony. Przepraszam, że tak nagle...

Jasnowłosa kelnerka krążyła w pobliżu, podeszła do ich stolika.

– Pani Shaye? – zapytała.

Beatrice podniosła głowę.

– Tak?

– Telefon do pani. W środku, przy barze.

– Och! – Zaskoczyło ją to. Jeszcze nigdy nikt do niej nie dzwonił w barze czy restauracji. Wstała. – Julien, poczekaj jeszcze chwilę, dobrze? Zaraz wracam.

Wydawało jej się, że był spięty, że naprawdę mu się spieszyło. Postanowiła, że go zapyta, z kim się umówił. Cały czas się łudziła, że przyjechał na Guernsey ot tak, kierowany sentymentem, ale najwyraźniej miał jakieś plany.

„Cóż, ze mną się na pewno nie umówił” – pomyślała i poczuła delikatne ukłucie zazdrości.

Słuchawka leżała obok aparatu, na barze. Kelnerka, która ją poinformowała, wskazała ją machnięciem ręki.

– Tutaj, proszę!

Beatrice podniosła słuchawkę do ucha.

– Beatrice Shaye – zaczęła.

Dzwoniła Karin. Wydawała się bardzo poruszona.

– Beatrice, jest pani jeszcze z Julienem? Dobrze. Proszę go jakoś zatrzymać, dobrze? Nie mogę pani tego teraz tłumaczyć. Jest członkiem bandy, która kradnie jachty na wyspach i sprzedaje we Francji. Tak, wiem, że to brzmi idiotycznie, lecz Alan jest tego pewien. Kevin też jest w to wplątany. Muszę zadzwonić na policję i wysłać ich do zatoki Perelle i do Sea View. Julien musi tam zostać. Beatrice, on może być niebezpieczny. On... niewykluczone, że miał coś wspólnego ze śmiercią Helene. Nie, nie przesadzam. Proszę mi uwierzyć, błagam. Cudem udało mi się uciec. Niech

pani zatrzyma Juliana, niech pani zrobi, co mówię. Teraz muszę zadzwonić na policję. Później porozmawiamy! – Rozłączyła się.

Wydawało jej się, że minęła cała wieczność, zanim się zorientowała, jak działa.

Stała przy wjeździe do wioski nad morzem, nie wiedziała, gdzie dokładnie, ale zakładała, że w pobliżu Pleinmont Point. Zatrzymała się na poboczu i zajęła telefonem. Majstrowała przy nim już podczas jazdy, ale nie miała zasięgu. Stwierdziła, że prowadząc, nie zadzwoni, a jeśli teraz nie zadziała, wejdzie do pierwszej lepszej kafejki i zadzwoni stamtąd.

„Spokojnie, tylko spokojnie – powtarzała sobie. – Zachowaj spokój, a wszystko będzie dobrze”.

Telefon nagle zapiszczał, udało jej się dodzwonić do operatora i poprosiła, żeby połączono ją z restauracją Sea View w St. Peter Port.

Ku jej zdumieniu w słuchawce rozległ się kobiecy głos. Kelnerka.

– Z panią Shaye – powiedziała do kelnerki po drugiej stronie – to siwa kobieta, siedemdziesięcioletnia. Siedzi przy stoliku na tarasie, z boku, tuż nad wodą.

Dopiero wtedy przypomniała sobie, że taras Sea View jest otoczony wodą z trzech stron, więc jej opis nie był zbyt dokładny, ale dziewczyna powiedziała, że się rozejrzy. Karin czuła, jak drżą jej ręce, gdy czekała. Czy postąpiła właściwie? A może trzeba było najpierw dzwonić na policję? Ale wtedy Julien mógłby uciec. Nie mogła myśleć o Alanie. Oblewał ją pot, palce łaskotały.

Boże nie może o nim myśleć, *ani przez moment!*

A potem usłyszała w słuchawce głos Beatrice i opowiedziała jej, co się dzieje, kazała zatrzymać Juliana. Nie wspomniała o Alanie i rozłączyła się, zanim Beatrice zdążyła o cokolwiek zapytać. Wyczuła, że zdaniem Beatrice przesadzała i nie chciała wdawać się w dyskusję.

Wyłączyła telefon i odetchnęła głęboko. Teraz mogła już tylko mieć nadzieję, że Beatrice zrobi to, o co ją prosiła.

„Nie ma czasu, nie ma czasu o tym myśleć. Muszę zadzwonić na policję”.

Zadzwoń do operatora, niech ją połączy. Majstrowała przy telefonie.

„Trzeba było najpierw dzwonić na policję. Dlaczego tego nie zrobiłam? To był błąd!”

Ręce drżały jej coraz bardziej. Słowo *błąd* chodziło jej po głowie, wracało rykoszetem z ust Michaela. Popęłiła błąd. Nie nadawała się. Zachowała się jak idiotka, dokonała niewłaściwego wyboru. Tak już jest, zawsze tak było. W restauracjach zamawiała nie to, co trzeba, w sklepach – nieodpowiednie sukienki. I zadzwoniła w złej kolejności. W przypadku Alana chodziło o życie, a ona najpierw zadzwoniła do Beatrice, żeby zatrzymać nieważnego Juliana.

„Nawet *jeśli* to był błąd – odezwał się wewnętrzny głos – nie czas teraz o tym rozmyślać, bo będzie jeszcze gorzej. Dzwon, do cholery, na policję!”

Palce drżały jej tak bardzo, że nie trafiała w klawisze telefonu. Cała dygotała, drżały jej nogi, drżała na całym ciele. Była mokra od potu, pojawiał się falami, zalewał ją. Dopadło ją poczucie beznadziei, totalna niemoc.

Panika. Panika, którą zwalczała cały dzień, teraz była o krok. Miała dość czasu, żeby nabrać sił. I była zdesperowana jak nigdy. Odpychano ją od tak dawna, ale teraz nie da się spłoszyć.

„Nie teraz, nie teraz, nie teraz! Muszę zadzwonić na policję! Nie teraz, na miłość boską!”

Dyszała chrapliwie, miała plamy przed oczami. Nie była w stanie skupić wzroku na jednym punkcie, wszystko wirowało. Telefon wysunął jej się z rąk, upadł gdzieś między pedały. Była zlane potem, mokra jakby wyszła z wody. Oddychała z trudem. Strach otaczał ją jak mgła, coraz gęstsza, bardziej nieprzenikniona. Wciągała ją, ciemniała. Czerni. Mgła zmieniła się w czarną ścianę, która sunęła prosto na nią.

„O Boże, umrę, umrę”.

Chciwie chwyciła ustami powietrze. Zawsze się bała, że pewnego dnia udusi się w czasie ataku paniki. I oto nadszedł. Siedziała na Guernsey w samochodzie na poboczu drogi, przy wjeździe do wioski, której nazwy nawet nie знаła, Alan jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie, a może już nie żyje, zamordowany tak strasznie, brutalnie, jak Helene, zadzwoniła do Beatrice, zamieszała jej w głowie, a teraz nie była w stanie zawiadomić

policii i miała atak paniki, który ją zabije. Serce waliło jej jak oszalałe. Chciała otworzyć drzwi, zaczerpnąć powietrza, ale ręce odmówiły jej posłuszeństwa. Zresztą i tak nic nie widziała, nie wiedziała, gdzie szukać klamki. Wydawało jej się, że przednia szyba na nią napiera, uciska pierś, odbiera oddech. Nie mogła nawet krzyknąć. Przerazenie wzbierało w niej krzykiem, któremu nie mogła dać ujścia.

Było coraz gorzej, z każdą chwilą było coraz gorzej, ciasniej, bardziej niebezpiecznie. Z każdą chwilą pogarszała się sytuacja Alana.

Myśl o Alanie coś w niej wyzwoliła, skojarzenie, którego nie potrafiła w pierwszej chwili odnaleźć, ale wiedziała, że w szalejącym w niej chaosie jest coś ważnego, coś, czego mogłaby się złapać. Musiała się czegoś chwycić.

Wizja... Była jak ktoś, kto chce złapać liść na wietrze; ilekroć wyciągała do niego rękę, wymykał się jej palcom.

Aż nagle chwyciła skraj, zacisnęła dłoń.

Fala. Obraz fali. Fali, która narasta, coraz potężniejsza, spiętrza się, by potem runąć w dół, załamać się i jako miękka biała piana sunąć po piasku.

Alan o tym mówił, kiedyś opisał tę falę. Co on wtedy mówił? Czują, że wspomnienie jego słów jej pomoże. Co on takiego mówił o fali?

Ale nic, naprawdę nic nie może wznieść się dalej niż na najwyższy punkt. A potem zaczyna opadać. Zupełnie jak pływy morza.

Potem powiedział coś jeszcze:

Musi pani zapamiętać, jak się pani czuła, gdy przyszła panika, a pani nie miała nic na swoją obronę. Jak to było, gdy strach narastał, dławił panią, aż była pani przekonana, że umrze. Jak pani zapadła się w sobie. A potem mogła pani znowu oddychać równo i spokojnie. Drżenie ustąpiło. Myśli odzyskały jasność i stwierdziła pani, że jednak przeżyje.

Jednak przeżyje. Uczepiła się tej myśli, wyobrażała sobie niski, spokojny głos Alana:

A potem mogła pani znowu oddychać równo i spokojnie. Drżenie ustąpiło. Myśli odzyskały jasność i stwierdziła pani, że jednak przeżyje.

Fala rosła, rosła, rosła. Karin nie mogła już oddychać, ale miała słowa Alana, które opasywały ją jak koło ratunkowe. Nie opierała się panice, powitała ją, dała się ponieść.

Czarna ściana była tuż przed nią. Tak ciemno, tak ciemno... i jeszcze milimetr bliżej, zaraz dojdzie do katastrofy, zaraz ją pochłonie, porwie, zniszczy...

I wtedy nadszedł punkt kulminacyjny. Jeszcze łąpczywie chwyciła ustami powietrze, jeszcze oblewał ją pot, a potem panika zaczęła opadać, malała, nikła, stała się białą pianą na piasku.

Powoli wracał oddech, szum w uszach cichł, już nie miała mroczków przed oczami, odzyskiwała wzrok, dostrzegła kontury. Wyprostowała się za kierownicą, spojrzała przez szybę na drzewa i krzewy, i asfaltową drogę wijącą się przez wieś. Poczowała zapach samochodu – benzynę, obicia foteli, gumę opon, a w tym wszystkim jej pot, zimny, zasychający na skórze. Słyszała świergot ptaków, gdzieś daleko warczał silnik samolotu. Była przytomna i żywa. Tak żywa, jak to tylko możliwe. Przetrwała. Sama. Bez tabletek, ale też bez kogoś, kto jej pomagał, jak wtedy Alan na Hauteville Road w St. Peter Port. Pokonała to sama, i teraz podniosła głowę i przyznała, że to nie dramat. Było ciężko, strasznie, koszmarnie, ale w sumie wcale nie trwało długo.

„A jeśli znowu się pojawi, dam radę” – pomyślała.

Nie było czasu, by rozkoszować się zwycięstwem, na to przyjdzie pora później. Alan jej potrzebował. Schyliła się, wyjęła komórkę spod pedałów. Musiała wysłać policję do zatoki Perelle. I do Sea View w St. Peter Port.

Beatrice powoli wracała do stolika w pełnym słońcu. W głowie jej się kręciło od nadmiaru myśli. To, co przed chwilą chaotycznie, nerwowo opowiedziała Karin, brzmiało tak dziwnie, tak niesamowicie, że nie mogła w to uwierzyć. Julien członkiem bandy złodziei jachtów, którzy przemycają je do Francji? I że niby miałby mieć coś wspólnego ze śmiercią Helene? Nie, Karin zupełnie oszalała.

„I co teraz?” – zastanawiała się.

Przypomniała sobie, co wiedziała o Karin.

Jest uzależniona do tabletek, bo ma ataki paniki. Jest bardzo niepewna siebie, ma kompleksy i wydaje jej się, że jest wieczną nieudacznicą. Co prawda ostatnio wydawała się bardziej stabilna emocjonalnie, to jednak oczywiście nie znaczyło, że choroba nie zaatakowała z nową siłą. Ale przez telefon nie wydawała się szalona. Chociaż laikowi trudno ocenić takie rzeczy.

Julien wstał, gdy podchodziła do stolika, i wsunął cygarniczkę do kieszeni.

– Jesteś wreszcie – powiedział. – Naprawdę muszę już iść. Wszystko w porządku? Kto do ciebie dzwonił?

Odpowiedziała pytaniem:

– Z kim się umówiłeś?

– Nie znasz ich – odparł wymijająco. – Znajomi... właściwie już jestem spóźniony... – Rzucił na stół kilka banknotów i przycisnął je popielniczką.
– Ja stawiam.

Objął ją, pochylił się, chciał ją pocałować, ale odwróciła głowę.

– Co jest? – zapytał.

Pod wpływem impulsu postanowiła od razu przejść do rzeczy. A może po prostu taka była. Przez całe życie stroniła od podstępów i sztuczek.

– Czy to prawda, że masz coś wspólnego ze złodziejami jachtów, którzy później sprzedają je we Francji? – zapytała.

Zmrużył oczy, zacisnął usta.

– Kto dzwonił?

Pokręciła głową.

– To nieważne. Odpowiedz mi.

– O Boże. – Podniósł dłoń do czoła. – O Boże. – Opadł z powrotem na krzesło. W tej chwili opuściło go opanowanie, nagle wydawał się bardzo nieszczęśliwy i bardzo stary.

Wpatrywała się w niego. Choć wcale tego nie chciała, zrobiła to, o co prosiła ją Karin. Julien ani myślał odchodzić. Pewnie ugięty się pod nim nogi. Tak go zaskoczyła, zabiła mu takiego ćwieka, że minie kilka minut, zanim weźmie się w garść.

Zrozumiała, że Karin mówiła prawdę, bo w innym wypadku tak by nie zareagował. Byłby zaskoczony i skonsternowany, możliwe też, że wyśmiałyby ją i zapytał, co mają znaczyć te bzdury. Ale nie pobladłby tak śmiertelnie, nie skuliłby się tak nagle. To wystarczyło za przyznanie się do winy.

– O Boże – szepnęła i ona.

Niby nic się nie zmieniło. Woda cały czas iskrzyła się słonecznym blaskiem. Mewy cały czas śmigły w nagrzanym powietrzu. Wokół wciąż tłoczyli się roześmiani ludzie. Twierdza Cornet wciąż dumnie górowała nad portem i czujnym okiem obserwowała miejski gwar.

A jednak wszystko się zmieniło. Nagle zrobiło się groźnie. Strasznie. Beatrice miała wrażenie, że dzień płowieje na jej oczach, jakby nagle między nią i Julienem a światem stanął niewidzialny mur. Nie byli jego częścią. Zostali sami.

I nagle jakby cofnął się czas. Julien nie był już siwowłosym panem o pomarszczonej twarzy, a ona – starszą panią, która wkrótce będzie świętowała siedemdziesiąte drugie urodziny. Nagle miała przed sobą młodego Juliana o ciemnych, błyszczących oczach, słyszała jego śmiech, widziała jego łzy, jego rozpacz. Widziała go na ciasnym strychu, widziała, jak wpatruje się przez lufcik w błękit nieba, czuła jego desperację. Stała u jego boku, młodziutka jak wtedy, i zastanawiała się, jak mu pomóc, i wiedziała, że nie może nic zrobić, że nie może go uwolnić, oddać mu życia, które mu zabrano.

Nie mogła mu pomóc. Wtedy nie, ale teraz tak.

Wróciła rzeczywistość. Mur zniknął. Wróciły słońce, mewy i ludzie. Oprzytomniała.

Wiedziała już, co ma zrobić. Złapała go za ramię.

– Chodź. Szybko. Lada chwila będzie tu policja. Karin i Alan jakimś cudem trafili na ślad twoich kompanów, Karin nasłała na nich policję. Musimy uciekać!

Wpatrywał się w nią wielkimi oczami. Złapała go za rękę, pociągnęła za sobą.

– No chodź! Pospiesz się, nie mamy czasu!

Wyciągnęła go z kafejki i zatrzymała się na ulicy.

– Gdzie twój samochód?

– Co?

– Twój samochód! Mówiłeś, że wynająłeś samochód!

W końcu trochę wziął się w garść.

– Kawalek dalej, przy rogu.

Znaleźli samochód, wsiedli do środka.

– Dokąd? – zapytał Julien.

– Nie wiem, jedź już.

– Tkwę w tym od prawie dwudziestu lat – powiedział – więc od prawie dwudziestu lat jestem przestępcą, jeśli tak chcesz to nazwać. Późna kariera.

– Dlaczego to robisz?

Wzruszył ramionami.

– Dla przygody, dla dreszczu adrenaliny. Pieniądze miały najmniejsze znaczenie. Ale nie jestem typem, który w wieku sześćdziesięciu lat, bo tyle miałem, kiedy zacząłem, przechodzi spokojnie na emeryturę. Szukałem nowych wyzwania i je znalazłem. Tyle że w złej branży.

Siedzieli w zatoce Petit Bôt. Samochód zostawili nieco dalej, schodzili nad wodę w cieniu bujnych, kwitnących drzew i krzewów. W zatoce było sporo ludzi. Przyptyw osiągnął punkt kulminacyjny, więc szeroki złoty pas piachu zniknął zupełnie. Kilka osób pluskało się w wodzie. Przy wejściu do zatoki kołysał się jacht.

Beatrice i Julien usadowili się na płaskich głazach, które co prawda od

dołu podmywała woda, ale na górze siedziało się wygodnie i sucho. Nad nimi wznosiło się urwisko.

– Załoga ciągle się zmieniała – ciągnął Julien. – Poza głównym szefem tylko ja tkwiłem w tym od lat. Kradniemy jachty na Wyspach Normandzkich, przemalowujemy je i sprzedajemy we Francji, to była moja działka, sprzedaż. Zajmuję się tym we Francji, znajduję nabywców, organizuję transakcje.

Wpatrywała się w słońce. Zbierało jej się na mdłości.

– Nie pojmuję tego – powiedziała cicho. – To się nie zgadza z tobą takim, jakiego zapamiętałam.

– A jakiego mnie zapamiętałaś?

– Jesteś mężczyzną, którego kochałam. Trochę lekkomyślnym, który nie przejmuje się innymi, ale w moich oczach zawsze byłeś tym dobrym. Wiesz, o co mi chodzi?

– Tak – mruknął. – Ale zrozumiem, jeśli zmienisz zdanie.

– Chyba będę musiała.

– Wiedziałem oczywiście, że łamiemy prawo, nie łudziłem się, ale...

– Ale?

– Ale aż do tej pory chodziło tylko o kradzieże. A teraz...

Beatrice poczuła, że drży, mimo słońca miała gęsią skórę na ramionach i wstrząsnął nią dreszcz.

Karin miała rację we wszystkim.

– A Helene? – zapytała. – Naprawdę mieliście coś wspólnego z jej śmiercią?

– Do wczoraj nie miałem o tym pojęcia – zapewnił Julien. – A dokładnie mówiąc, do dzisiaj nie wiedziałem, że to była Helene. Przyjechałem z St. Malo wczoraj, nie dopiero dzisiaj. Oszukałem cię, bo... och, bo myślałem, że tak będzie łatwiej. I wczoraj Gérard – to jeden z nich, bardzo nieprzyjemny typ – powiedział mi, że doszło do tragedii, że zabili kobietę, bo trafiła na nasz ślad. Staruszkę, która znalazła się w niewłaściwym czasie na niewłaściwym miejscu... Byłem przerażony. Zaszokowany. – Milczał przez chwilę, bawił się piaskiem, przesypywał go między palcami. Tuż koło nich dzieci uganiały się za frisbee. Szczupłe, opalone ciała śmigały między głazami jak strzały.

– Jak mówiłem, nie miałem pojęcia, że to Helene – podjął przerwany wątek. – Nie wiedziałem też, że... że poderżnęli jej gardło. I bez tego było to straszne. Kradzież to jedno, morderstwo to coś innego.

– Kevin Hammond jest jednym z was? – Beatrice widziała, że Karin przekazała jej wszystkie istotne informacje.

– Kevin Hammond? To ogrodnik, od dwóch lat przemaalowujemy u niego jachty. Ma szklarnie w zatoce Perelle, tam można to niepostrzeżenie załatwić. – Przyglądał jej się uważnie. – Znasz go?

– Przyjaźnimy się od lat. Helene bardzo go lubiła. Był jej powiernikiem, jej najlepszym przyjacielem. Tego wieczora, gdy została zamordowana, była u niego. Zakładam, że widziała albo słyszała coś, czego nie powinna.

– Nie wiem dokładnie, co tam się wydarzyło, ale twoje podejrzenia brzmią sensownie. Tak pewnie było.

– Czy to Kevin...?

– Nie, to Gérard; jest specem od takich rzeczy. Latami był najemnym zabójcą na południu Francji. Ma związki z francuską mafią. Od początku byłem przeciwny jego udziałowi, uważałem, że jest zbyt niebezpieczny, ale nie do mnie należała decyzja.

– Karin mówiła, że wysłała policję do zatoki Perelle.

Julien się skrzywił.

– Czyli mają wszystkich. Ja też powinienem tam być. Mieli dzisiaj odebrać jacht, który miał potem popłynąć do Calais, dlatego zebrali się prawie wszyscy. Miał wyruszyć teraz, podczas odpływu. Taki był plan. Ale może jest tam już policja.

– Mam nadzieję – powiedziała ostro. – Mam szczerą nadzieję, że złapią tych drani. Bóg mi świadkiem, że Helene nie była aniołem, ale na taki koniec nikt nie zasłużył. Nikt. Nigdy nie zapomnę tamtego straszego widoku. – Wyprostowała się, objęła się ramionami, jakby chciała się ochronić przed tym, co życie może jeszcze przynieść. – Chcę, żeby ponieśli karę. Chcę, żeby ten Gérard do końca życia siedział za kratami.

Julien powoli skinął głową. Nie patrząc na nią, zapytał:

– A czemu mnie tego nie życzysz?

– Co?

– Jestem jednym z nich. Dlaczego nie chcesz, żebym ja do końca życia

siedział za kratami?

– Nie masz nic wspólnego ze śmiercią Helene.

– Więc chodzi o Helene?

Zamyśliła się. Tak, w pewnym sensie chodziło *właśnie* o Helene.

– Chcę, żeby została pomszczona. Okłamywała mnie, zawiodła moje zaufanie, ukradła mi lata życia. Ale też sama jej na to pozwalałam. Czasami myślę że ofiara jest tak samo winna jak napastnik. Ograniczałam jej miejsce w moim życiu, a przecież była jego częścią. Przyczyniłam się do tego. A więc nie mam prawa jej osądzać.

– To ci podpowiada rozsądek. A serce?

Krażek frisbee przeleciał tuż koło nich i wpadł do wody, a za nim pobiegły rozbawione, rozkrzyczane dzieci.

– Serce – odparła – mówi mi, że Helene coś mi dała. Sama wiem, że to brzmi idiotycznie, ale część mojej siły czerpałam właśnie z niej. Zawsze przy mnie była. Jęczała bez przerwy, żebrała o odrobinę uwagi, stawała na głowie, żeby mnie przy sobie zatrzymać. I teraz sobie myślę, że tego potrzebowałam. Potrzebowałam wyzwania, które mi rzucała, jej narzekania i marudzenia. Mogłam być silna, bo ona była słaba. I nawet jeśli nie była to prawda, było to konsekwentnie podtrzymywane złudzenie, które zaakceptowałyśmy obie. Bez którego żadna z nas nie byłaby sobą. Tak więc – wzruszyła ramionami, tym gestem nadając słowom pozór obojętności, której nie czuła – zawarłam z nią pokój, a dla jej pokoju ważne jest, żeby jej mordercy stanęli przed sądem.

– Nadal nie odpowiedziałaś na moje pytanie – nie dawał za wygraną Julien. – Dlaczego mnie ostrzegłaś?

– Ze względu na starą znajomość.

Przyglądał jej się badawczo.

– Znajomość?

– Z twojej strony to nigdy nie było nic więcej.

– A z twojej?

Beatrice uznała, że w swoim wieku nie musi się już wdzięczyć ani krygować.

– Z mojej strony to była miłość. A czego się niby spodziewałeś po czternastolatce, którą wtedy byłam? To była miłość, tak głęboka i mocna, że

nie pozwoliła mi pokochać innego mężczyzny.

– Mój Boże – szepnęła.

Starła się zdławić sentymentalizm, zanim zagościł w niej na dobre.

– No cóż – mruknęła. – Ciebie nie można zamykać, spędziłeś już wiele lat za kratami. Niewinnie. Ścigany przez Niemców. Możemy uznać, że tym samym odpokutowałeś udział w śmierci Helene, o ile w ogóle można o tym mówić. I tak sprawiedliwości stało się zadość.

Patrzył jej w oczy.

– Jesteś wyjątkową kobietą, Beatrice. Naprawdę nie chcesz, żebym trafił za kratki?

Widział, że mówiła poważnie.

– Nie chcę – odparła. – Nigdy więcej nie chcę tego widzieć, nie chcę tego przeżyć. Nigdy nie zapomniałam wyrazu twoich oczu z tamtych czasów. Zawsze mnie prześladował. On mnie... wypełniał. I dlatego w Sea View podjęłam taką decyzję. Ze względu na ciebie.

– Muszę jak najszybciej opuścić wyspę – powiedział. – Zanim policja pozna moje nazwisko i zanim zaostrzą kontrolę paszportową na promach i lotnisku.

Zaniepokoił się nagle. Cały czas sprawiał wrażenie człowieka w szoku, przytłoczonego obrotem wydarzeń, zagubionego, niewiedzącego, jak zareagować. Teraz jednak był zwarty i czujny. Teraz wiedział, że musi się spieszyć.

– Czas na mnie – powtórzył i wstał.

Beatrice także się podniosła.

– Sam musisz sobie poradzić. Mam nadzieję, że ci się uda.

Patrzyli sobie w oczy. Wiedzieli, że kolejnego spotkania nie będzie. Nie wiedzieli, co powiedzieć. Ale Beatrice była już myślami gdzie indziej.

– Alan – szepnęła, nagle zdenerwowana. – Karin nie powiedziała, gdzie jest Alan. Dlaczego to ona dzwoniła, nie on? Muszę jechać do zatoki Perelle. Zawieź mnie do domu, Julien, wezmę swój samochód i tam pojedę. Boże, oby Alanowi nic się nie stało!

Już z daleka widziała policyjną blokadę. Widziała gromady wścibskich, tłoczących się gapiów, którzy niepojętym trafem dotarli także tutaj. Słyszała głos mówiący coś przez megafon, ale nie rozumiała słów. Nisko na niebie latał śmigłowiec. Przy wejściu do zatoki kołysały się policyjne motorówki.

Jej niepokój narastał. Bała się. Wiedziała, że stało się coś złego, czuła to. Przyspieszyła, ale zaraz znowu zwolniła. Za dużo tu ludzi.

Policjant zastąpił jej drogę, położył rękę na masce jej samochodu i kazał się zatrzymać. Opuściła okno.

– Co się stało? – zapytała.

– Dalej nie można, proszę pani. Musi pani tutaj zostać.

– Mój syn – powiedziała. – Gdzieś tutaj jest mój syn.

– Ale gdzie?

– U przestępców. Musi gdzieś tam być.

Policjant przyglądał się jej z powątpiewaniem.

– Nazwisko?

– Shaye. Beatrice Shaye.

– Proszę chwileczkę poczekać – mruknął i odszedł naradzić się z kolegą.

Beatrice skorzystała z okazji. Wyskoczyła z samochodu, desperacko przepychała się przez tłum. Za sobą słyszała krzyk policjanta:

– Pani Shaye! Halo, pani Shaye! Proszę się zatrzymać!

Ale ani myślała się zatrzymać. Zobaczyła karetkę przy odgrodzonym terenie i przez moment miała wrażenie, że serce stanęło jej w piersi. Co tu robi karetka? Ktoś jest ranny? *Alan*?

„O Boże – modliła się w myślach – nie Alan, błagam, nie Alan. Nie rób mi tego, Boże!”

Stała przed policyjną barierą, trzymała się jej, oddychała z trudem.

Wyteńczyła wzrok.

Dwóch sanitariuszy taszczyło nosze. Szli piaszczystą dróżką od strony zatoki. Na noszach leżało ciało. Zakryte z głową.

„Dlaczego zakryli mu głowę?” – zastanawiała się. Wiedziała oczywiście, ale nie dopuszczała do siebie tej myśli: człowiek na noszach nie żył.

Ze szklarni nad wodą wychodzili mężczyźni w kajdankach w towarzystwie uzbrojonych po zęby policjantów. To wszystko wydawało się nierzeczywiste, jakby trafiła na plan filmowy. Gdzieś tu są kamery, reżyser wykrzykuje polecenia. Bo to nie może być prawda. To nie jest rzeczywistość.

Beatrice pchnęła barierę, prześlizgnęła się przez szparę. Stojący nieco dalej policjant spojrzał na nią z oburzeniem.

– Proszę pani... – zaczął, ale odbiegła, zanim wyciągnął do niej rękę. Mimo ponad siedemdziesięciu lat była zwinna jak łasica. Potykała się na łące, ale szczęśliwie jak zawsze miała na nogach adidasy. Mae w swoich pantofelkach nie pokonałaby tu nawet dwóch metrów.

Dopadła do noszy. To była jedna z tych chwil, gdy czuła, jak wyłączają się w niej wszelkie emocje, wszelkie myśli, wszystko, co w niej żyło i pulsowało. Była pustą, zimną skorupą, która poruszała się machinalnie. Która robiła, co trzeba, ale nic ze świata zewnętrznego do niej nie docierało.

Zanim sanitariusze zorientowali się, co zamierza, szarpnęła białe prześcieradło okrywające martwe ciało na noszach.

I zobaczyła puste spojrzenie Kevina Hammonda.

– Jednego nie mogę zrozumieć – stwierdził Alan. – Za żadne skarby świata nie mogę zrozumieć, mamo, jak mogłaś pozwolić uciec temu Julienowi?

Siedział w wygodnym fotelu na werandzie rodzinnego domu, a przed nim na stołeczku leżała opatrzona noga. Zerwał więzadło i lekarz kazał mu odpoczywać. Nie musiał; i bez tego Alan ani myślał się ruszać.

Beatrice, która siedziała na ławce ze szklaneczką sherry w ręku, smutno pokręciła głową.

– Byłam w szoku po tym, co usłyszałam. Nie mieściło mi się to w głowie. I chyba też nie do końca w to uwierzyłam. Myślałam, że Karin jest pijana, że coś jej się pomyliło. To brzmiało tak absurdalnie... A kiedy wróciłam, Juliana już nie było. Pospieszył się.

– No pewnie, że się pospieszył – sapnął Alan. – Spieszyło mu się do kumpli w zatoce Perelle. Tylko że jakoś nigdy tam nie dotarł. Jakby coś wyczuł.

– Kiedy ja tam dotarłam, roilo się od policji – zauważyła. – Pewnie to zobaczył i zawrócił. Przecież nie wpakowałby się z własnej woli w ręce policji!

– Denerwuje mnie, że się wymknął – nie dawał za wygraną Alan. – Powinien razem z innymi siedzieć w więzieniu!

Beatrice nie odpowiedziała, dalej w milczeniu sęczyła sherry.

Karin, która akurat weszła i usłyszała końcówkę tego zdania, spojrzała na nią pytająco. Beatrice śmiało patrzyła jej w oczy. Karin ledwie zauważalnie skinęła głową; zrozumiała. I miała uszanować jej decyzję.

Mieli za sobą wielogodzinne przesłuchania, zwłaszcza Alan, który widział na własne oczy, jak zginął Kevin. Zamknęli się z nim w szklarni, wzięli go jako zakładnika.

Nadal nie mógł uwierzyć, że żyje. Gdy leżał w trawie, był pewien, że Gérard go zastrzeli. Nie było powodu, dla którego miałyby tego nie zrobić.

Ale wtedy usłyszał, jak Gérard mówił do towarzyszy:

– Ta baba ściągnie gliny, idę o zakład. Nie damy rady uciec. Zabierzcie go do szklarni!

Silne ramiona dźwignęły go z ziemi i mało brakowało, a zemdlałby z bólu, który promieniował jak zatrute strzały z nogi na całe ciało. Droga do szklarni ciągnęła się w nieskończoność, była największą męką, jakiej doznał w życiu. W środku skulił się w kącie, między donicą, w której wiodły fiołki afrykańskie, i wielkim koszem z cebulkami kwiatowymi. Dyszał ciężko, starał się myśleć o czymkolwiek, byle nie o bólu w nodze. Błagalnie patrzył na Kevina, ten jednak uciekł spojrzeniem. Mężczyźni naradzali się cicho, nie słyszał, co mówili.

Wszystko, co działo się później, pamiętał jak przez mgłę. Ból był wszędzie, otaczał go jak mgła.

W pewnym momencie zrozumiał, że na zewnątrz jest policja, a potem, że nadchodzi wsparcie. Tymczasem bandyci postanowili wziąć zakładnika. O dziwo, trochę to trwało, zanim zrozumiał, że chodzi o niego.

Nie miał pojęcia, ile minęło czasu. Później dowiedział się, że wszystko trwało dwie godziny, ale dla niego to były całe dni. Ból wypełniał go szczelnie, nie tylko ciało, ale także umysł, duszę, uczucia. Istniał tylko ból, nic więcej. Wszystko inne zeszło na dalszy plan. Marzył o jednym – żeby ustało bolesne pulsowanie w nodze, w stopie.

Jak doszło do tego, że nagle padł strzał? Policjanci bardzo chcieli to ustalić i łamał sobie głowę, by przypomnieć sobie wszystko ze szczegółami. Leżał tam, między fiołkami afrykańskimi i cebulami, czuł, jak ból wypełnia mu czaszkę. Mocno zaciskał powieki, zamykał się w swoim strachu i rozpacz. Nagle usłyszał męski głos, może dlatego, że tamten krzyczał głośno, z przejęciem:

– Idą tutaj! Cholera, gliny tu idą!

– Dobra – powiedział Gérard. – To powiemy, że rozwalimy zakładnika. Jeśli tego chcą, niech podejną bliżej!

Na dworze ktoś krzyknął.

– Naprawdę są coraz bliżej! – wrzasnął mężczyzna. – Podchodzą! Cholera! Trzeba było zwiewać!

– No to już po nim – stwierdził Gérard. – Niech to zobaczą. Postawcie

go!

Bardziej niż śmierci bał się, że każą mu stać. Nie przeżyłby tego bólu. To był koszmar. Skulił się, gdy dwóch mężczyzn złapało go za ręce.

– Proszę, nie! – prosił, błagał prawie. – Proszę, nie!

Nie zwracali na niego uwagi. Przenosił ciężar ciała na zdrową nogę, ale ból i tak atakował jak rozszalałe zwierzę. Miał łzy w oczach, płakał i nic nie mógł na to poradzić. Zdawał sobie sprawę, że chcą go przesunąć przed drzwiami. Nie wiedział, czy wytrzyma. Miał nadzieję, że straci przytomność. Miał mroczki przed oczami, gdy ciągnęli go do wejścia. Zwisał między nimi jak worek. Starał się nie jęczeć. Cały czas chodziło mu po głowie, że nie chce, żeby później mówiono, że w ostatnich minutach życia łkał jak dziecko.

Późniejsze wydarzenia starał się wielokrotnie zrekonstruować w rozmowach z policjantami, ale w jego pamięci cały czas były białe plamy.

– Wycelował we mnie.

– Kto?

– Ten Francuz. Gérard. Nie wiem, czy naprawdę tak się nazywa.

– No dobrze, wycelował w pana. Jak daleko był od pana?

– Trzy kroki? Może cztery. Stałem w drzwiach, on nieco dalej, w szklarni. Celował we mnie.

– Widział pan, że się zbliżamy?

Usiłował sobie przypomnieć, ale widział tylko niezrozumiałe cienie.

– Nie, chyba niczego nie zarejestrowałem. Ani was, ani nikogo innego. Widziałem tylko pistolet. Nie byłem w stanie logicznie myśleć. Szalałem z bólu.

– A potem?

– Wszystko działo się tak szybko... I co chwila zamykałem oczy. Ale wydaje mi się, że Kevin stał kilka kroków ode mnie, po lewej stronie. I kiedy Gérard strzelił... – Zacisnął oczy, żeby sobie przypomnieć. – Kevin krzyknął.

– Co krzyknął pan Hammond?

– Krzyknął „nie!”. I nagle był przede mną.

– Zasłonił pana sobą?

Alan bezradnie wzruszył ramionami.

– Wiem tylko, że nagle się tam znalazł. I od razu runął na ziemię.

Gérard trafił Kevina prosto w serce. Zginął na miejscu.

– Czy możliwe, że ktoś go popchnął?

– Nie wiem, naprawdę nie wiem, ale nie sędzę. Dlaczego któryś z jego kompanów miałby to zrobić?

– A dlaczego pan Hammond miałby się dla pana poświęcić?

Też się nad tym zastanawiał, w kółko o tym myślał. Dlaczego Kevin się dla niego poświęcił? Poświęcił za niego *życie*?

– Może działał instynktownie, może chciał powstrzymać Gérarda, może myślał, że nie strzeli, kiedy zobaczy kogoś innego... A może miał wyrzuty sumienia. Kevin Hammond był starym przyjacielem naszej rodziny, często bywał w domu mojej matki. Helene już przez niego zginęła. Może nie mógł znieść myśli, że umrze ktoś jeszcze. Zrobiliby wszystko, by temu zapobiec. *Zrobił* wszystko – poprawił się.

Był jednak jeszcze jeden aspekt, który zachował dla siebie, bo nie miał żadnych dowodów na poparcie tej teorii, poza przeczuciem, które opierał nie wiadomo na czym. Ale coś mu mówiło, że Kevin chciał umrzeć. Szukał śmierci. Teraz, z perspektywy czasu, wydawało mu się, że widział w nim to pragnienie śmierci już od dawna. Może nawet od zawsze. Kevin nigdy nie był z tego świata i nie miało to nic wspólnego z jego orientacją seksualną. Był marzycielem, wolał kwiaty i rośliny od ludzi. Przyjaźnił się ze staruszką, która traktowała go ciepło i serdecznie, która tak samo jak on dostała w kość od życia i od innych ludzi. Kevin starał się trzymać z daleka od wszystkiego, co brzydkie, brudne i szorstkie. Stworzył sobie własne życie, piękniejsze, czystsze, delikatniejsze niż życie większości ludzi. Dramat się zaczął, gdy los postawił na jego drodze zło, przemoc i okrucieństwo, i to w natężeniu większym, niż spotyka to większość ludzi. Odkąd zadał się z przestępcami, gasł, szarzał, był coraz bardziej zmęczony i smutny. W ciągu minionych dwóch lat był cieniem samego siebie. A teraz jego życie dobiegło końca, życie, na które nie miał już siły. Być może w ułamku sekundy dostrzegł swoją szansę i wykorzystał ją w pełni.

Potem wszystko potoczyło się już bardzo szybko. Policjanci wpadli do szklarni tuż po strzale. Alan leżał wtedy półprzytomny na ziemi; upuścili go, gdy Kevin padł trupem. Nie wiedział, czemu Gérard nie strzelił jeszcze

raz. Może dlatego, że policjanci zjawili się tak szybko. A może nawet on, taki zimny i bezduszny, przeraził się, widząc u swoich stóp martwego Kevina.

Alan sam już nie wiedział, czy jeszcze żyje, czy nie. Dopiero kiedy w pewnym momencie pochylił się nad nim lekarz, zaczął obmacywać ranną stopę i zrobił mu zastrzyk przeciwbólowy, zrozumiał, że mu się udało. A potem widział już Karin, która trzymała go za rękę i mówiła coś niewyraźnie, że jej przykro, że działała za wolno, że najpierw zadzwoniła do Sea View, a i to na darmo, bo Julien jednak umknął, a potem miała atak paniki i znowu zmarnowała cenny czas i...

Nie do końca rozumiał, co chciała mu powiedzieć, ale kilkakrotnie powtórzył pocieszająco:

– Już w porządku, wszystko w porządku. – Widział ją i było mu dobrze, czuł się bezpiecznie.

Jeszcze wtedy nie wiedział, że Kevin nie żyje.

Beatrice opłakiwała Kevina, wszyscy to widzieli. Siedziała na werandzie z nieodłącznym kieliszkiem sherry w dłoni i powiedziała:

– Już nigdy więcej się z nim nie napiję.

Karin i Alan wiedzieli od razu, że miała na myśli Kevina.

– Był niestabilny – mruknął Alan i zaraz wyjaśnił, o co mu chodziło; przecież samo to nie pocieszyłoby jego matki. – Ktoś mniej chwiejny emocjonalnie nie wpakowałby się do tego stopnia w kunszachty z kryminalistami.

Jego kumple zaczęli sypać. Okazało się, że Kevin zetknął się z bandą dwa i pół roku wcześniej – za sprawą młodego Francuza, z którym miał krótki romans. Ten poznał go ze swoimi kumplami. W pewnym momencie Kevin się zorientował, że ma do czynienia z kryminalistami, ale był wtedy po uszy zakochany, nie chciał ryzykować, że ukochany go zostawi, i tak zaczął się angażować; załatwiał pozwolenia, zdobywał informacje. W końcu dał się namówić na kupno pustych szklarni w zatoce Perelle i firmował całe przedsięwzięcie swoim nazwiskiem. Wkrótce potem przemalowali tam pierwszy jacht.

Związek z Francuzem szybko się rozpadł i Kevin chciał odejść, ale już mieli go w garści; jeśli się wycofa, sypną go policji. Sami niczym nie

ryzykowali – mogli w każdej chwili zniknąć we Francji, ale Kevin byłby zrujnowany, straciłby wszystko. Nie mógł więc przestać.

Niestety, w przypiływie czułości Kevin wyznał kochankowi, że ma w Helene niewyczerpane źródło dochodów, a ten przekazał tę informację kompanom. I od tej pory domagali się od niego pieniędzy – które biedak usiłował wyciągnąć od Helene.

– Interes z kradzionymi jachtami przynosił coraz mniejsze zyski – mówił jeden z bandytów. – Zarabialiśmy na tym coraz mniej. Więc kiedy potrzebowaliśmy kasy, szliśmy do Kevina Hammonda, a on do starej. W zeszłym roku odmówił, więc daliśmy ostrzeżenie – rozwaliliśmy mu samochód. Zrozumiał i już później był grzeczny.

Wszyscy – Beatrice, Alan i Karin – nie mogli przestać myśleć o tym, jak bardzo Kevin musiał być zdesperowany. Żył w wielkim stresie i nie śmiał się nikomu zwierzyć. Tamtego feralnego dnia, pierwszego maja, gdy zginęła Helene, doszło do tragicznej eskalacji. Kilka dni wcześniej Kevin zdecydowanie, ale i ze strachem, oznajmił, że to koniec.

– Nie dam się dłużej szantażować! – krzyczał. – Dajcie mi wreszcie spokój!

Gérard zapowiedział się z wizytą na pierwszego maja.

– Pewnie dlatego nas zaprosił – stwierdziła Beatrice. – Liczył na to, że kiedy dom będzie pełen gości, nic mu nie zrobią. Był przerażony, gdy przywiozłam Helene i odjechałam, i dowiedział się, że Karin też nie przyjdzie. Pewnie umierał ze strachu. – Wzdrygnęła się, zacisnęła dłoń na kieliszku. – Dopiero teraz rozumiem wiele spraw. Jego nagłą lękliwość, obsesję zamykania drzwi... Myślałam, że dziwaczne, a on się bał. I miał ku temu poważne powody.

– To ten Gérard zamordował Helene? – zapytała Karin. Była już przesłuchiwana, ale nie wiedziała jeszcze, co mówili pozostali.

Beatrice skinęła głową.

– Tak, znaleźli ślady krwi na jego nożu sprężynowym. Krew Helene. Prawdopodobnie była z Kevinem w jadalni, kiedy przyszli. Weszli od kuchni, Kevin się zorientował. Poszedł do nich, nie powiedział, że ma gościa. Grozili mu, mówili, że go zniszczą, że zniszczą wszystko, co ma, potną mu opony w samochodzie, wybiją szyby. Błagał, żeby pozwolili mu

odejść. Helene prawdopodobnie podsłuchiwała. Może chciała się tylko dowiedzieć, czemu poszedł do kuchni, może usłyszała coś, co ją zaintrygowało, stanęła i zaczęła słuchać. Zapewne bardzo się przeraziła, poszła do saloniku i cichutko zamówiła taksówkę. Być może jeszcze chwilę stała w przedpokoju. Kiedy wymykała się z domu, mężczyźni w kuchni usłyszeli trzask zamykanych drzwi. – Beatrice umilkła na chwilę.

– Pewnie bardzo się bała – szepnęła Karin.

– Helene, która uciekała na widok pająka – powiedziała Beatrice – która podczas oglądania kryminałów zakrywała sobie oczy. Ta Helene znalazła się nagle w samym środku kryminalnej historii.

Popatrzyli na siebie i poczuli to samo: lada chwila w drzwiach powinna stanąć Helene w jak zawsze nieodpowiedniej dziewczęcej sukience z falbankami. Zrobiłaby wielkie oczy i mruknęła:

– Och, tu wszyscy jesteście! Dlaczego nikt mi o niczym nie powiedział?

– I wszyscy poczuliby ten wyrzut i wycofali się zmieszani. Helene przyniosłaby sobie kieliszek i naląła sherry. Pogłaskałaby Alana po głowie, skomplementowała szczerze Karin, a potem usiadłaby i zaczęła narzekać. Na pogodę, na politykę. I na Misty, której kłaki pokrywały wszystkie fotele i krzesła. W pewnym momencie zirytowana Beatrice warknęłaby:

– Tak, Helene, już to wszystko wiemy. Czy nie możesz chociaż raz trzymać buzi na kłódkę i pozwolić nam rozkoszować się pięknym dniem?

– Ależ proszę bardzo – zachnęłaby się Helene, zaciskając usta w wąską kreskę.

– Gérard był ciekaw, kto wyszedł – podjęła Beatrice przerwany wątek. – Kevin go zbywał, ale wystarczyło, żeby zajrzał do jadalni i zobaczył dodatkowe nakrycie. Nietrudno było się domyślić, że gość się wymknął, bo usłyszał coś, co nie było przeznaczone dla jego uszu. Gérard wybiegł przed dom, szukał najpierw w ogrodzie; nikt nie słyszał telefonu, więc sądził, że Helene chowa się w krzakach. A kiedy przyszło mu do głowy, żeby się rozejrzeć od frontu, zobaczył, jak Helene wsiada do taksówki. W nocy po Torteval nikt nie jeździ. Od razu się zorientował, że starsza pani była tajemniczym gościem Kevina. Wsiadł do samochodu i pojechał za nią. I zabił ją. Żeby niczego nie zdradziła. Tylko dlatego musiała zginąć.

– Gdyby Michael nie zjawił się akurat tamtego dnia – westchnęła Karin.

– I gdyby Alan...

– Gdybym wtedy nie upił się tak strasznie – dokończył, gdy urwała – mama nie włączyłaby się po Pleinmont Point, a ty nie poszłabyś z mężem do restauracji, towarzyszyłybyście Helene do Kevina i być może żyłaby nadal. Ale to jałowe rozważania, a już na pewno nie ma sensu robić sobie wyrzutów. Nie zmienimy tego. Może tak było jej pisane.

– Może – przyznała Beatrice. – Może od początku tak jej było pisane. Pięćdziesiąt pięć lat, co do dnia, po śmierci męża umrzeć na polnej drodze nad zatoką Petit Bôt. Nic nie mogło jej ocalić. Nikt nie mógł jej uratować. – Odstawiła kieliszek i wstała energicznie. – Wiecie co – powiedziała dziwnie twardym głosem, niepasującym do jej miny. – Nie wiem, czy w to uwierzycie, ale brakuje mi jej. Brakuje mi jej i tak pewnie będzie do końca mego życia.

Szybkim krokiem odeszła do ogrodu. Karin widziała, że miała łzy w oczach. Chciała się gdzieś wypłakać w samotności, gdzieś, gdzie nikt jej przy tym nie zobaczy.

– Biedna mama – szepnął Alan. – Chyba jednak ją kochała. Na swój sposób.

– Chyba tak – przyznała Karin.

Uścisnął jej dłoń.

– Co teraz?

– Jak to?

– Co teraz? Zostaniesz tu jeszcze trochę?

– Tak, tydzień albo dwa. Nie chcę nagle wyjechać i zostawić Beatrice całkiem samej. Musi się przyzwycząić do nowego życia, a w jej wieku to nie lada wyzwanie.

– Przypomina mi staruszkę, której umarł mąż – zauważył Alan. – To nie było dobre małżeństwo, od dawna łączyły ich tylko wzajemny żal i pretensje. Ale całe życie łączy, czy się tego chce, czy nie, i nagle czuje, że straciła część siebie, czy ją lubiła, czy nie. W pewnym sensie owdowiała.

– Będzie musiała się zmierzyć z tymi uczuciami – stwierdziła Karin. – Z miłością, nienawiścią, uzależnieniem, agresją, bólem. Będzie musiała być z sobą brutalnie szczerą. Ale poradzi sobie, a potem zacznie nowe życie.

Patrzył na nią, jak jej się zdawało, z czułością.

– Wiesz, co mówisz – mruknął.

Skinęła głową.

– Wiem, bardzo dobrze wiem.

– Kiedy wracasz do Niemiec?

– Kiedy poczuję, że mogę zostawić Beatrice samą. Muszę się zająć rozwodem, uporządkować sprawy finansowe, poszukać mieszkania. Ja... – Bezradnie wzruszyła ramionami. – Muszę się zastanowić, jak ma wyglądać moje nowe życie.

Zamyślił się.

– Złóż wniosek o rozwód. Uporządkuj, co musisz. Ale zanim poszukasz mieszkania, zanim poszukasz pracy – przyjedź do mnie. Bardzo się ucieszę.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

– Mam cię odwiedzić w Londynie?

– Chociaż się rozejrzyj. Daj nam szansę się poznać. Bez zobowiązań. Oboje wiele przeszliśmy. Oboje potrzebujemy czasu. Ale nie traćmy się z oczu.

– To chyba da się zrobić – mruknęła ostrożnie. – Tak, mogę przyjechać do Londynu.

– Obiecujesz? – zapytał Alan.

– Obiecuję – odparła Karin.

Epilog

Właściciel Le Nautique w St. Peter Port podszedł do stolika przy oknie, przy którym siedziały dwie starsze panie.

– Dwa sherry, jak zawsze? – zapytał.

– Dwa sherry, jak zawsze – odparła Beatrice. – I dwie sałatki. Awokado i pomarańcze.

– Ależ oczywiście, już podaję. – Uśmiechnął się. – Nie do wiary, co? Zaraz minie rok, jak rozmawialiśmy o kradzieżach jachtów. Jak się nazywał tamten, który akurat wtedy zniknął? Miał taką dziwną nazwę...

– Niebo może poczekać – powiedziała Beatrice. – Tak się nazywał.

– No właśnie, tak. Niebo może poczekać. Coś takiego, i to pani syn ich przyłapał!

– To lekka przesada. Ale we właściwym momencie wpadł na dobry trop.

– Straszna sprawa z panem Hammondem. Kto by pomyślał, że na naszej spokojnej wyspie dzieją się takie straszne rzeczy?

– Dzieją się wszędzie. Tak już jest.

– Tak, tak – westchnął właściciel. Właściwie podobało mu się zamieszanie powstałe po ujęciu szajki złodziei i dwóch morderstwach. Taki skandal doskonale robi interesom. Ludzie siedzą i gadają rozgorączkowani, piją dwa razy więcej niż zazwyczaj i nawet tego nie widzą. Jeśli chodzi o niego, bardzo dobrze.

Oddalił się, żeby zrealizować zamówienie starszych pań.

– Nie przepadam za nim. Strasznie żądny sensacji – mruknęła Mae.

Sama bardzo przeżyła ostatnie wydarzenia. Dwie bliskie jej osoby, które od dawna stanowiły część jej życia, zginęły w dramatycznych okolicznościach w krótkim odstępie czasu. Miała wrażenie, że jeszcze nie do końca to do niej dotarło. Wydawało się takie straszne i nierzeczywiste. Marzyła, że nagle się obudzi i przekona, że to był tylko koszmarny sen.

– Ludzie kochają skandale – odparła Beatrice. – On też. A śmierć Helene i Kevina była tematem plotek na całej wyspie przez kilka tygodni.

Mae westchnęła. Jak zwykle nie miały sobie z Beatrice wiele do powiedzenia, i to mimo jej uwag, że wreszcie będą mogły pogadać.

Podano sherry, jak zwykle w kieliszkach do szampana. Uniosły kieliszki.

– Chciałabym, żebyśmy wypily za Maję, jeśli nie masz nic przeciwko temu – zaczęła Mae nieśmiało. – Żeby jej się udało.

– Macie szczęście, że przyjęli ją na staż w hotelu Chalet – zauważyła Beatrice. – Przecież nawet nie ma matury! Za to fatalną reputację.

Mae zacisnęła uszmiłkowane usta. Nawet po tylu latach nie przywykła do bezpośrednich komentarzy Beatrice.

– Maja chce się zmienić – ujęła się za wnuczką. – Zerwanie z Alanem podziało na nią jak kubek zimnej wody. Myślę, że naprawdę chce uporządkować swoje życie.

– I może jej się uda. Przynajmniej miałabyś mniej zmartwień, a tego ci szczerze życzę. – Beatrice nie była w stanie wyrażać się ciepło o Mai. Nie mogła jej darować, że przez nią Alan znalazł się w tak głębokim dołku.

Mae uznała, że lepiej będzie zmienić temat.

– Myślisz, że Karin naprawdę się rozwiedzie? – zapytała z powątpiewaniem. – Obawiam się, że ten jej mąż tak długo będzie naciskał, aż zgodzi się dać mu drugą szansę.

– Nie sądzę – odparła Beatrice. Poprzedniego dnia pożegnała się z Karin. – Wydawała mi się bardzo zdecydowana.

Mae nie mogła ukryć ciekawości.

– A co z Alanem? Spotkają się jeszcze? Sugerowałaś, że...

– Że przypadli sobie do gustu? Tak, owszem. Karin pojedzie do niego do Londynu, gdy załatwi sprawę rozwodu. A potem zobaczymy.

– Ale dwie tak rozchwiane osoby? Czy to się może udać?

– Moim zdaniem nie są rozchwiani – zauważyła Beatrice. – Po prostu wiele przeszli, oboje. Dadzą sobie radę, jestem pewna.

– No cóż – mruknęła Mae, a potem obie milczały, wpatrzone w ciepły czerwcowy dzień, który niepostrzeżenie przeradzał się w długi, jasny wieczór. Maszty jachtów kołysały się lekko na tle błękitnego nieba. Większość spacerowiczów na promenadzie zajadała lody. Na twierdzy Cornet powiewała brytyjska flaga.

Właściciel przyniósł talerze z sałatką i wazonik.

– Zobaczyłem, że nie mają panie kwiatów! – zawołał. – Tak nie może być!

W wazoniku była pojedyncza czerwona róża. Beatrice dotknęła opuszkami palców jedwabistych płatków. „Jakie są miłe – pomyślała. – Jaka jest piękna”.

Czekała na uczucie, które zjawiało się, ilekroć patrzyła na różę. Poczucie, że życie ją oszukało. Że nie miała wyboru.

I po kilku sekundach zrozumiała, że to uczucie nie nadejdzie. Skończyło się na tym, że podziwiała piękno róży. Że rozkoszowała się miękkością płatków między palcami. Że zapragnęła ją powąchać.

„To coś nowego” – pomyślała.

– Patrzysz na tę różę, jakbyś widziała coś takiego po raz pierwszy w życiu – zauważyła Mae. – A przecież latami to ty je dostarczałaś!

– W pewnym sensie – odparła powoli Beatrice – jeszcze nigdy nie widziałam róży. Nie tak, jak teraz.

Mae zastanawiała się przez chwilę, co też przyjaciółka chciała powiedzieć, ale nic nie przychodziło jej do głowy i pomyślała sobie, że z wiekiem Beatrice dziwacznie coraz bardziej.

– Miałś jakieś wieści od Julienu? – zapytała.

– Nie – odparła Beatrice. – Skądże. Jeszcze długo nie wyjdzie z ukrycia, to zbyt ryzykowne.

– Przyszłoby ci do głowy, że ma coś wspólnego z przestępcami? – dopytywała się Mae.

– Och – mruknęła Beatrice. – Po Julenie można się wszystkiego spodziewać.

– Hm – mruknęła Mae. Uważnie przyglądała się przyjaciółce. – Jak się

czujesz? Sama w domu. Bez Helene.

– Tęsknię za nią.

Mae szeroko otworzyła oczy.

– Tak?

– Tak. – Beatrice patrzyła w dal, na port. Coś się zmieniło. Zawarła pokój. Późno, ale zawsze. Pokój z różami. I z Helene.

– Chodźmy – powiedziała. – Zapłaćmy i wracajmy do domu. Jestem zmęczona.

– W porządku – odparła Mae.